

A movie poster for the film 'Where the Truth Lies'. The central image shows a woman with voluminous, wavy red hair from behind, her back to the camera. She is wearing a dark, strapless dress. In the background, a man in a dark suit and white shirt is looking towards her. To the left, another man in a dark suit is looking thoughtfully at his chin. The background is a blurred, dimly lit room with other people. The overall color palette is dark with a strong red accent from the woman's hair.

**RUPERT HOLMES**

**Gdzie leży prawda**

WHERE THE TRUTH LIES

Prószynski i S-ko

Los Angeles, lata siedemdziesiąte.

O'Connor, znana z dociekliwych wywiadów z gwiazdami showbiznesu młoda dziennikarka, otrzymuje zlecenie napisania książki o słynnej w latach sześćdziesiątych parze artystów. Piosenkarz Vince Collins i komik Lanny Morris, tworzący uwielbiany swego czasu duet, zostali wplątani w niewytłumaczalną tragedię. I chociaż żadnego z nich o nic nie oskarżono, od tamtej pory nigdy się już nie spotkali. Co ich poróżniło?

O'Connor, wnikając w mroczne tajemnice, coraz bardziej ulega urokowi obu mężczyzn. Zaczyna się jednak obawiać, że teraz wie już o wiele za dużo...

Rupert Holmes – pisarz i kompozytor, autor uhonorowanej czterema nagrodami Tony musicalowej adaptacji „Mystery of Edwin Drood” Charlesa Dickensa oraz broadwayowskiej komedii kryminalnej „The Accomplice”, za którą otrzymał nagrodę Edgara.

„Gdzie leży prawda”, jego powieściowy debiut, znakomicie oddaje klimat ekstrawaganckich lat siedemdziesiątych i ówczesnego Hollywood. Wykorzystując szczegóły z życia Deana Martina i Jerry’ego Lewisa, Holmes stworzył współczesną wersję „Alieji w Krainie Czarów” z kryminalną intrygą w niepowtarzalnej scenerii Nowego Jorku i Los Angeles.

*„Gdzie leży prawda” to czarująca... powieść kryminalna. Jest seksowna i zaskakująca, błyskotliwa i intrygująca. Wciągnęła mnie od pierwszej strony.*

Candace Bushnell,

autorka powieści „Seks w wielkim mieście” i „Za wszelką cenę”

SERENOPITY POINT FILMS PRESENTS A ROBERT LAINTOS PRODUCTION A FILM BY ATOM EGROYAN KEVIN SPACEY COLIN FURTH ALISON LOMAX  
"WHERE THE TRUTH LIES" DAVID HARMAN RACHEL BLANCHARD MAURY CHAYEN KRISTIN ADAMS  
EXECUTIVE PRODUCERS COLIN LEVENTHAL DONALD A. STORO DANIEL J.B. TAYLOR EXECUTIVE PRODUCERS MARK NISSLSMANN JULIA ROSENBERG  
MUSIC SUPERVISOR LIZ GALLAGHER COSTUME DESIGNER BETH PASTERNAK PRODUCTION DESIGNER PHILIP BARKER MAKEUP MICHAEL DANBA  
EDITED BY SUSAN SHOPTON DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY PAUL SAROSSY C.S.C. EXECUTIVE PRODUCERS DANIELA CUNNINGHAM CHRIS CHRISTOPH  
SCREENPLAY BY ATOM EGROYAN BASED ON THE NOVEL BY RUPERT HOLMES PRODUCED BY ROBERT LAINTOS DIRECTED BY ATOM EGROYAN

by  
Serenopity

OLUMPIA

Film w kinach od 9 czerwca 2006 r.

PATRONAT MEDIALNY



Cena 29,90 zł

ISBN 83-7461-321-0



Informacje o naszych książkach

9 788374 633250

RUPERT HOLMES

# Gdzie leży prawda

Przełożyli Jan Hensel, Tomasz Wilusz  
Prószyński i *S-ka*

Tytuł oryginału:

WHERE THE TRUTH LIES

Copyright © 2003 by Rupert Holmes

*Excerpt from Swing copyright © 2004 by Rupert Holmes*

All Rights Reserved

Ilustracja na okładce © 2005, SLU Productions Inc./Vincelanny

Productions Limited - All Rights Reserved

Redakcja: Wiesława Karaczewska

Redakcja techniczna: Anna Troszczyńska

Korekta: Grażyna Nawrocka

Łamanie: Małgorzata Wnuk

ISBN 83-7469-329-0

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa:

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA

ul. Mińska 85, 03-828 Warszawa

*Dla Lizy*

*Chłopcy są kapitalnymi kompanami  
w gronie rówieśników,  
lecz nieprzyjemnymi towarzyszami  
ludzi dorosłych.*

Charles Lamb

## Od autorki

Jako dwudziestosześcioletka miałam niespożytą dziewczęcą energię, która pozwalała mi przeżywać życie i jednocześnie o nim pisać. Zdumiewające. W związku z tym większość tego, co następuje, została nagryzmoniona przez owego skrybę tak, jak działo się w latach siedemdziesiątych, często w kilka godzin po opisywanych wydarzeniach, na gorąco, charakterem pisma, który odzwierciedlał mój własny charakter: lekkomyślnym, pośpiesznym, często nieczytelnym. W końcu jednak zdałam sobie sprawę, że nie mogę opublikować ani kawałka z tego, co napisałam, póki przynajmniej jedna osoba, która figuruje w opowieści, nie umrze. (*Miło jest liczyć na coś w przyszłości, nie sądzicie?*). W rzeczy samej, dopiero w tym roku stronicę tę można było wydrukować wraz z pewnymi innymi pismami, mającymi ścisły związek z historią, którą od tak dawna pragnęłam opowiedzieć.

Muszę się przyznać, że jestem nieco zaniepokojona naiwnością, jaką okazuję na niektórych z tych stronic, a także szowinizmem nie tylko innych, ale i swoim. Wtedy po prostu było inaczej.

Wyznam także od razu, że tu i tam poprawiałam to, co napisałam (choć może uznacie, że w niedostatecznym stopniu). Skoro się do tego przyznałam, śpieszę dodać, że większość tego, co znajdziecie na następnych stronach, została w takim ujęciu, w jakim ją pierwotnie zanotowałam, z drobnymi zmianami nazw własnych i czasu teraźniejszego. Moja *prose nouveau* (barwy często ciemnoczerwonej, z cierpkim posmakiem) pozostała w dużej mierze tym, czym była, ku mojemu wielkiemu zażenowaniu i, mam nadzieję, waszemu lekkiemu rozbawieniu.

Pisma Lanny'ego Morrisa i inne materiały z nim związane, zaczerpnięte z moich rozmów z Vince'em Collinsem, przedrukowano tu na mocy umowy prawnej i nie mogą być wykorzystywane bez pisemnej zgody.

O'Connor

Wyspa Kiawah, Karolina Południowa

# 1

W latach siedemdziesiątych zaliczyłam trzy niezwiązane ze sobą lunche z trzema różnymi facetami, z których każdy mógł się być dopuścić Rzeczy Potwornej. Natura tych odmiennych „rzeczy” wahała się od nieprzyzwoitości, poprzez niewyraźność, aż do spraw nie do pomyślenia i na pewno zrozumiecie, że jako pisarka miałam nadzieję, że wszyscy się ich dopuścili (to znaczy swoich Rzeczy Potwornych).

Co do lunchu z pierwszym mężczyzną, w chwili, gdy położył złotą Carte Blanche na opiewającym na znaczną kwotę rachunku za posiłek, wiedziałam już, że moje nadzieje są aż nadto uzasadnione.

W wypadku drugiego lunchu, nawet gdy młodszy kelner nalewał nam wodę do szklanek, zdałam sobie sprawę, że współbiednik jest równie niewinny (i w sposób nieunikniony uciążliwy) jak rozbrykany szczeniak. Lecz żaden z tych facetów nie musi nas tu obchodzić.

Co się tyczy mężczyzny numer trzy (którego poznać kilka akapitów dalej), z naszego pierwszego wspólnego posiłku wyszłam, czując się tak, jak po kolacji złożonej z *chirashi* i zielonej herbaty... najedzona, ale głodna. By sparafrazować Marka Twaina, wydawało się, że moje studia znacznie już zaciemniły przedmiot i jeśli miałabym je kontynuować, wkrótce nie będę o całej sprawie wiedziała kompletnie nic.

Zgodził się spotkać ze mną w restauracji według własnego wyboru, Le Carillon, która już nie istnieje, ale która tamtego akurat miesiąca w połowie lat siedemdziesiątych była ulubioną restauracją hollywoodzkiego towarzystwa. Mnóstwo błyskotek na ścianach i na ludziach przy stołach. Taki był wtedy szpan. Wszędzie od groma kwiatów. Zostałam powitana (jeżeli pełny wojskowy przegląd umundurowania można nazwać powitaniem) przez diabelnie wystrzałowłą dziewczynę, która górowała nade mną



tylko wzrostem. W ten sposób chcę powiedzieć, że kiedy to wszystko się działo, byłam zblazowaną dwudziestosześcioletką i jeśli w ogóle mnie sobie wyobrażacie, to może macie mnie przed oczami jako osobę liczącą metr siedemdziesiąt wzrostu i dość szczupłą dzięki regularnej diecie, złożonej z napoju niskokalorycznego Tab, mentolowych Virginia Slims i zbliżających się terminów oddania głupiotkich tekstów do publikacji. Najwyraźniej byłam też dosyć „ładniutką”, a przynajmniej mnóstwo żonatych facetów próbowało mi to wmówić.

Podaliśmy hostessie swoje nazwisko, a ta zaczęła go szukać w księdze rezerwacji, prawie na pewno jedynej książce, jaką przeczytała od deski do deski.

- O'Connor, O'Connor - wymamrotała, szczęśliwa, że poznaje nowe słówko.

- Jestem umówiona z panem Collinsem - dodałam.

Zwiewne Dziewczę (nie tylko jej podobne do babiego lata włosy, lecz nawet odsłonięty pępek był jakimś sposobem zwiewny) kiwnęło główką na znak, że rozumie, po czym powiedziało:

- Ach, tak, właśnie kończy swój pierwszy lunch. - Hostessa wskazała na nieduży restauracyjny bar. - Gdyby zechciała pani usiąść, *mizz* O'Connor - powrót do użycia słówka *miss* był wciąż nowością i opatrzyła literę „s” uroczym bzczeniem - dam pani znać, kiedy będzie gotów.

Tak oto zajęłam miejsce przy barze, który obsługiwała kolejna gładkolica Ofelia, równie beużytecznie uroczą jak hostessa. Miała nogi pod sufit i bezmyślną ładniutką buzię o wielkich, pustych oczach ofiary morderstwa. „Ofelcia” (jak ją zdążyłam przezwać) z zadaniem aktorki usiłującej nadać znaczenie trzeciorzędnej rólce zapytała, czego bym się napiła.

- Poproszę o wytrawny wermut z lodem i plasterkiem cytryny. Noilly Prat, jeśli macie - wyrecytowałam idealnie. To był mój drink grzecznej dziewczynki. Wermut z lodem do obiadu był w latach siedemdziesiątych tym, czym dzisiaj woda mineralna. W porze lunchu wszyscy piliśmy w latach siedemdziesiątych alkohol. Jakim sposobem udawało się w tamtej dekadzie wykonać kompetentnie jakąkolwiek robotę po trzeciej po południu, jest dla mnie pytaniem równie tajemniczym jak to, które zamierzałam zadać panu Collinsowi – na spotkanie z nim właśnie czekałam.

Za barem, na butelkowozielonej ścianie, wisiało oprawione w mosiężną ramę lustro, a po jego bokach umieszczono ozdobny mosiężny kosz na węgiel i ozdobny mosiężny brodzik. W lustrze mogłam zobaczyć tył głowy Vince'a Collinsa. Siedział przy stole z kobietą ubraną w typowy damski strój biznesowy epoki - żakiet w prążki, kamizelkę i bardzo obcisłą spódniczkę, podjeżdżającą wysoko na udach. Nie widziałam twarzy Vince'a,

ale jej twarz wyrażała na przemian szczery niepokój typu: „Czy cokolwiek z tego, co mówię, ma sens?” i okazjonalny oszalałymi śmiech. Śmiała się najwyraźniej raczej z tego, co powiedział on niż ona. Nie słyszałam, co mówił, dochodził do mnie tylko jego niski, mruczący głos.

Ofcia postawiła przede mną wermut. Przyszło mi do głowy, że gdy Vince wreszcie pozwoli mi usiąść przy stole dla dorosłych, wołałabym nie przedstawiać swojej biznesowej propozycji przy jednoczesnych zmaganiach z daniem wymuszającym wysokie kwalifikacje w posługiwaniu się sztucami. Próbowалам raz zachwalać serię szkiców o „niewierności w stereo” naczelnemu „Viva Magazine”, a równocześnie rozkawałkować prawie całe stadko przepiórek, które zapełniały mój talerz. Nigdy więcej! Byliśmy teraz, w latach siedemdziesiątych, w erze patelnianej kuchni na bazie jaj, więc zastanawiałam się, czy na liście dań znajdę naleśnik z ratatouille albo omlet Gruyère. Z całą pewnością nie zamierzałam zamać niczego, czego nie dałoby się pokroić widelcem.

- Mogę zobaczyć menu? - zwróciłam się do Ofci.

- Och, proszę się nie martwić, podadzą menu, kiedy siądzie pani przy stoliku - zapewniła mnie najżyczliwszym tonem stewardesy linii Braniff Airlines i odpłynęła na drugi koniec baru.

W lustrze towarzyszka Vince'a przy stole znowu się roześmiała, prezentując kilka rzędów użębień. Vince również się zaśmiał, nisko i uroczo - jak można było oczekiwać po popularnym piosenkarzu, na którego styl bardzo wpłynęli Crosby i Como.

Wobec tej wspaniałej manifestacji Totalnie Nieodpowiedniej Reakcji zaczynałam się teraz czuć... odrzucona. Tak. Zraniona, jakbym dostała kosa od faceta, którego jeszcze nie poznałam. Uszy piekły mnie ze wstydu i zazdrości. Jego prądkowana kobieca przyjaciółka w lustrze była teraz ucieleśnieniem dziewczyn, znienawidzonych przeze mnie w liceum - dostępnych żmij, których imiona i nazwiska dawno zapomniałam: Janet Maitlin, Ann Rakowsky, Lisa Robb, Sarah Connelly i Barbara Tozer. Kielich wermutu przede mną był poniżającą misą ponczu z potańcówki Sadie Hawkins, na którą Kevin McMahon przybył ze mną, lecz cały wieczór przetańczył z inną. A Vince...

- Pan Collins jest teraz gotów przyjąć panią przy swoim nowym stoliku - oznajmiła hostessa.

Wstałam ze stołka przy barze, czując się, owszem, trochę głupio z powodu zranionego serca. Kątem oka zobaczyłam, jak towarzyszka Vince'a opuszcza restaurację. Przystanąła, żeby pożartować z grupą facetów przy innym stole. Jeden z nich położył rękę na prądkowanym tyłku. Przyjęła to ze śmiechem, jakby jej lewy pośladek był Okrągłym Stołem z hotelu

Algonquin, a jego rozczapierzone łapsko George'em S. Kaufmanem. Hostessa zaprowadziła mnie niczym otepiałe ciele do nowego, czystego stolika, gdzie Vince oczekiwał na moje przybycie. Najlepszy z młodszych kelnerów w restauracji uwijał się przy Vinsie, przenosząc jego niedokończony burbona z lodem i szklanke z popitką do nowego stolika i wycierając szklanki do sucha z kropelek rosy, zanim je postawił.

- Przepraszam, że musiała pani czekać - powiedział Vince absurdalnie znajomym barytonem.

Ludzie myślą sobie różne rzeczy, które okazałyby się wstydlive albo poniżające, gdyby je było słyhać, i, dzięki Bogu, rzadko wypowiadają je na głos. Jednak jako pisarka zawsze czułam, że moja robota polega właśnie na tym, by dać wyraz dokładnie takim myślom, żebyście mieli przyjemność je usłyszeć, sama zaś nie powinnam się przejmować wstydem i poniżeniem... jak diabetyk nie przejmuję się zastrzykiem, a bokser mocnym ciosem w twarz. To przecież nic innego jak na wpół szamański obowiązek, jasno ujęty w opisie mojej pracy, odkąd zgłosiłam się do Szkoły Sławnego Pisarstwa Sławnych Pisarzy.

Tak więc wyjawię, że w chwili, gdy pierwszy raz ujrzałam Vince'a Collinsa, przebiegło mi przez głowę: „Mój Boże, naprawdę niezły z niego przystojniak” (przy czym nie pamiętam, abym kiedykolwiek wcześniej użyła słowa „przystojniak”). „Jest trochę niższy, niż przypuszczałam, ten kaszmirowy golf i marynarka z wielbłądziej wełny musiały kosztować fortunę. Ciekawe, czy jest obrzezany”.

Proszę, weźcie pod uwagę, że o tym ostatnim nie pomyślałam dlatego, że coś w sposób widoczny rozpychało portki w okolicach jego krocza. Miałam po prostu przecucie, że uzyskam definitywną odpowiedź, zanim z Vince'em skończę albo zanim on skończy ze mną.

Było to jednak krocze w bardzo fajnych spodniach.

- Ależ skąd - powiedziałam, co nie bardzo pasowało do jego: „Przepraszam, że musiała pani czekać”. Usiadłam, ale gdy usiłowałam płynnie przejść do inteligentnego zagajenia, które opracowałam kilka dni wcześniej i wyćwiczyłam aż do stopnia swobodnej perfekcji, przeszkodziło mi Zwiewne Dziewczę, które przyniosło z baru mój wermut. Kiedy stawiało przede mną kieliszek, słomka upadła na dywan.

- Och, pani słomka - powiedziała dziewczyna, jakbym to ja ją upuściła.

Odruchowo schyliłam się, żeby ją podnieść, ale hostessa skorygowała mój błąd:

- Proszę tego nie robić - poleciła. - Mamy ich więcej. - Łypnęła na młodszego kelnera, wskazując słomkę w taki sposób, że on i reszta ludzi w restauracji po prostu musieli ją zobaczyć. Spojrzałam z powrotem na Vince'a. Plasterek cytryny pływał bezsensownie pośrodku mojego kieliszka,

a ja siedziałam równie głupio na środku krzesła. Oto byliśmy: moje krzesło, moja cytrynka, moja słomka i ja.

- Jestem tu pierwszy raz - oznajmiłam swobodnie.

- Jadła pani coś? - spytał.

- Tak, jasne, kiedy swierklałam przy barze, skonsumowałam michę zupy z homarów, chateaubriand dla dwóch osób, ziemniaki po lionsku, *petit pois* z cebulkami perlowymi, wyzłopałam pół karafki bordeaux i zakończyłam dużymi lodami Dairy Queen z tęczową posypką. Umówiłam się ze mną na lunch, siedzę przy twoim stoliku dopiero od czterdziestu sekund, a ty chcesz wiedzieć, czy coś jadłam. Oczywiście, że nie.

Naturalnie nie powiedziałam tego. Odparłam za to radośnie:

- Nie, ale właściwie to późno jadłam śniadanie. Nie jestem znowu taka głodna.

Zjawił się kelner. Vince popatrzył na niego i powiedział:

- Dziękuję.

Kelner zrozumiał i odwrócił się do mnie. Vince pokusił się o radę:

- Jeśli jest pani głodna, kraby z miękkimi skorupami są tu naprawdę nie z tej ziemi.

- W takim razie kraby z miękkimi skorupami - oświadczyłam śpiewnie z wysilonym uśmiechem, oddając kelnerowi menu i jednocześnie tłumiąc przypływ absolutnej paniki. Przez całe życie unikałam krabów z miękkimi skorupami. Nie odpowiada mi żaden sposób ich konsumpcji. Na własne oczy widziałam ludzi, którzy brali je w obie ręce i wbijali zęby w martwe stworzenie, jakby to była obrzydliwa szara kanapka. Nienawidzę krabów z miękkimi skorupami.

- Dobry wybór - pochwalił Vince, kiwając głową.

- Mniam! - zawtórowałam.

Pociągnął łyżeczek burbona. Wyczuwałam aromat trunku z drugiego końca stołu, karmelowy, czekoladowy i dorosły. Vince był dorosły. Sporo facetów w moim wieku nosiło włosy dwa razy dłuższe od moich, naszyjniki ze sztucznego jadeitu i teku i gustowało w bransoletach z rzeźbionych rogów nosorożca. Vince miał na ręce zegarek. Gruby, ciężki i kosztowny zegarek. Gdyby kiedykolwiek został porwany, mógłby dać ten zegarek porywaczom, a puściliby go wolno i pewnie dorzucili jeszcze dwadzieścia doliców na taksówkę do domu.

- Menedżer przesłał mi wybór pani prac - oznajmił. - Ma pani interesujący punkt widzenia. - Zmarszczył lekko brwi. - To, co napisała pani o Rolling Stonesach, nie było zbyt miłe.

Wyteżyłam pamięć.

- Tylko raz wspomniałam o Rolling Stonesach. Porównałam ich do Orfeusza, Liszta i Franka Sinatry.

- Wiem. To nie było zbyt miłe. Nie obchodzi mnie, co sądzi pani o dwóch pozostałych facetach, ale Frank to mój kumpel. - Obrócił szklanke zgodnie z ruchem wskazówek zegara, jakby nastawiał radio. - Ta rozmowa z Benem Gazzarą była całkiem dobra. Ta część, którą czytałem.

- Dziękuję.

- I ten wywiad z Godfreyem Cambridge'em. - Przestał okręcać szklanke i popatrzył na mnie. - Zabawne, bardzo się w nich pani udziela.

Miałam nadzieję, że nie zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Włożyłam w nie dużo pracy? W poznanie ludzi, z którymi rozmawiam?

Upił malusieńki łyk burbona - zaledwie zwilżył usta, jakby miało mu to tylko przypomnieć o napiciu się kiedyś w przyszłości.

- Nie, chodzi mi o to, że dużo było w tych wywiadach pani. Wszędzie, w prawie każdym zdaniu. Były w równym stopniu o pani, co o nich.

Skrzywiłam się i bąknęłam:

- Cóż, to nowy styl w dziennikarstwie. Obecnie redakcje zdają się szukać właśnie czegoś takiego...

- To znaczy, Godfrey Cambridge jest wspaniałym komikiem, a Oskar Werner to całkiem dobry aktor, więc rozumiem, czemu ktoś chciałby się o nich czegoś dowiedzieć, ale ilekroć czytam któryś z tych wywiadów, gdzie dziennikarz mówi: „Tak się czułem rano w dzień, kiedy miałem się spotkać z papieżem, i tak się czułem, kiedy papież mnie powitał, i, wiecie, papież tak bardzo przypomina mi mojego drogiego przyjaciela, Mike'a”, zawsze myślę sobie: Kim, kurwa, jest Mike? Kim ty jesteś? Nie występujesz na scenie, nie zagrałeś w żadnym filmie, dlaczego miałbym się tobą interesować? Interesuje mnie papież, opowiedz mi o nim.

Dodajcie mnie do dzisiejszego jadłospisu - pomyślałam - nadzianą na szpikulec, polaną spirytusem i podpaloną. Musiał zauważyć, jak schnę i wędnę pod palącą krytyką, bo czym prędzej dodał życzliwym tonem:

- Ale na szczęście pani okazuje się interesująca. Więc w pewnym sensie uchodzi to pani płazem.

O radości! Chyba mu się spodobałam. Upił normalny łyk burbona, który - według mojego rozeznania - był jackiem danielsem. Vince podjął:

- Okej, więc: milion dolarów to kupa forsy. Mogę tyle dostać za wystąpienie w jednym albo dwóch filmach, ale za książkę, którą pani za mnie napisze? Z kim muszę się przespać?

Już miałam odpowiedzieć, ale dodał:

- Tak nawiasem, jeśli odpowiedź brzmi: „z panią”, to jestem gotów przystać na dziewięćset tysięcy.

Poczułam się jak w siódmym niebie. (Wiem, wiem, ale Vince Collins właśnie powiedział, że pociągam go jak sto tysięcy dolarów. Naprawdę mi się to spodobało. Zostawcie mnie w spokoju). Po zmagazynowaniu komplementu w szufladce z tytułem „Poranki, kiedy się nienawidzę: Środki zaradcze” spróbowałam wrócić do interesów.

- Słyszał pan o Neumanie i Newberrym?

- O pani wydawnictwie?

- Pana wydawnictwie, jeżeli się pan zgodzi. Przygotowują się do wypuszczenia na rynek nowego magazynu dla mężczyzn, będzie się nazywać „Master”\*: coś jak „Playboy” czy „Penthouse”, ale z większym naciskiem na teksty. Dla mężczyzn, którzy kiedyś czytali oryginalną wersję „L.A. Free Press” albo „Rolling Stone'a”, ale przyzwyczaili się do połyskliwego papieru. Zdjęcia też będą na wyższym poziomie. Mock Scavullo z odrobiną sado-maso. Cały wizerunek pisma będzie bardzo na fali, bardzo trendy.

\* Ostatecznie pismo nazwano „Pulse”. Przetrwalo tylko do piątego numeru.

Kiedy to mówiłam, Vince sięgnął po słomkę wetkniętą w szklanekę wody sodowej obok drinka. Przycisnął palec do górnej dziurki, zatykając ją, po czym wyjął słomkę i przesunął jej koniec nad szklaneczkę burbona. Słomka była wciąż pełna wody: kiedy ją podniósł, nie wylała się ani kropelka. Przypomni mi się eksperyment z siódmej klasy podstawówki: chodziło o coś ze sprężeniem powietrza czy też ciśnieniem płynu. Dłoń Vince'a i słomka zawisły nad burbonem niczym bombowiec. Odetkał dziurkę i woda skapnęła do drinka. Vince powtarzał ten rytuał przez całą naszą rozmowę, rozcieńczając burbona drobnymi ilościami wody. To i niezwykle małe łyżeczki mogły tłumaczyć, dlaczego Vince'a nigdy nie widywano publicznie bez drinka, lecz zarazem nigdy nie widziano go pijanego.

- Okej. Zapiszcie mnie na roczną prenumeratę - powiedział.

- Neuman i Newberry chcą, żeby napisała o panu książkę. Nie pean na pana cześć, ale pozwolę sobie dodać - pozwoliłam sobie dodać - nie byłaby to również partanina. Jeśli przejrzy pan moje teksty, zobaczy pan, że staram się przedstawiać swoich bohaterów w sposób wyważony. Wszystkie wnioski zostawiam czytelnikowi.

Vince lynął burbona i rozgryzł kawałek lodu, jaki mu się trafił razem z płynem.

- Ale... nie wydaje mi się, żeby „wyważony” był fajny. - Uśmiechnął się z całą powagą. - Fajne są „peany na cześć”. Tak naprawdę nie zależy nam, żeby czytelnik dochodził do własnych wniosków, prawda? Nie ubiegam się o urząd zaufania publicznego. Nie mam wpływu na wysokość podatków

ani plany budownictwa miejskiego w Schenectady i nie decyduję o tym, czy wywołamy wojnę, czy nie. Jestem cholernym piosenkarzem, który czasami udaje aktora filmowego. Chodzi mi o rozgłos, a nie analizy.

Nie byłam do końca zaskoczona tą reakcją. Przyszłam na spotkanie przygotowana, miałam kilka planów działania, od A do H. Zależało mi na tej umowie. Zależało mi na czeku dołączonym do tej umowy. Książkę wystawią w witrynach wszystkich księgarń, a na okładce, pod zdjęciem i nazwiskiem Vince'a Collinsa, będzie moje nazwisko. Przeskoczyłam do planu G.

- Będą tam wyłącznie pańskie słowa - obiecałam. Znowu małeńki lyczek.

- Jak by to wyglądało? - spytał.

- Będę pana tylko cytować. Opublikujemy książkę w formie zapisu żywej rozmowy. Nie będę przeinaczała pańskich słów, parafrazowała ani cytowała zdań wyrwanych z kontekstu. Wyciągnięcie od pana tego, co chcę, będzie zależne wyłącznie od moich umiejętności prowadzenia wywiadu. Pan byłby jednak odpowiedzialny za każde słowo. Nagrywalibyśmy rozmowy na taśmę, będę potrzebowała kilku tygodni pańskiego czasu, może miesięcy, ale mogę się dostosować do pana harmonogramu. Jeśli coś pan powie, mogę to wykorzystać. Jeśli nie, to nie.

Rozejrzał się po sali po raz pierwszy, odkąd usiadłam. Jakiś facet o dystygowanych srebrzystych włosach i bokobrodach wystroił się w lśniący srebrny łańcuszek na szyi i błękitny bezrękawnik, który pozwalał stwierdzić, że włosy pod pachami ma równie dystygowane. Szacowałam, że jego piersi, ładnie zarysowane pod podkoszulkiem, są co najmniej rozmiaru B. Zobaczył Vince'a i uniósł drinka do toastu. Vince nie zareagował i znów spojrzał na mnie.

- A co, jeśli będę gadał tylko o pogodzie?

- Nie, musiałby pan odpowiadać na wszystkie moje pytania. Nie byłoby żadnego zasłaniania się odmową komentarla, zapisalibyśmy to w kontrakcie. Będzie pan musiał wierzyć, że jest w stanie odpowiedzieć tak, jak chce, a ja będę musiała wierzyć, że umiem wydobyc od pana to, czego potrzebuję. Moi wydawcy są przekonani, że to potrafię. - To ostatnie zdanie nie było do końca prawdziwe, ale Vince nie musiał o tym wiedzieć. Myślałam, że wermut uderzał mi do głowy.

Następna kapka wody sodowej ze słomki wylądowała w burbonie. Jakby pracownik laboratorium policyjnego badał plamkę krwi pod mikroskopem i dodawał jakiegoś odczynnika za pomocą długiej pipety.

- Ale nadal nie rozumiem, jak ta książka wiąże się z czasopiśmie, które chcę wypuścić na rynek.

- Dzięki panu mają nadzieję zamortyzować inwestycję. Szukają bardzo mocnych historii na start. Fragment pańskiej książki byłby doskonałym dodatkiem do pierwszego numeru.

Wiedział, do czego to prowadzi.

- A o czym miały być ten fragment? Jakies pomysły?

Trzeba było wywalić kawę na ławę.

- Jasne. O Dziewczynie z New Jersey. Zależałoby mi na wydobyciu od pana, ile się da, na ten temat. Na tym skupiałby się artykuł. Książka dotyczyłaby całego pańskiego życia.

Vince zastanowił się nad tym. Wyciągnął papierosa z paczki viceroyów. Spodobało mi się, że nie ma do nich kosztownej papierošnicy, chociaż było go na nią stać. Poczęstował mnie.

- Mam własne - odparłam, sięgając po torebkę. - Też zapalę.

Miał jednak drogą zapalniczkę ze szczerego złota. Kiedy przypalił mi mentolowego virginia slimsa, zapytał:

- A Lanny też dołoży swoje trzy grosze?

Pomyślałam o złożonym na pół liście od adwokata Lanny'ego, spoczywającym głęboko w mojej torebce.

- Lanny twierdzi, że pisze o tym własną książkę.

Vince prychnął.

- A to dobre! - Wychylił burbona potężnym haustem. - To mi się podoba - powiedział, co znaczyło, że wcale mu się to nie podoba.



## 2

SZANOWNNA PANNO O'CONNOR!

JESTEM WSPÓLNIKIEM W KANCELARII PRAWNICZEJ WEISNER, HILLMAN I DUMONT, KTÓRA OBECNIE REPREZENTUJE INTERESY PANA LANNY'EGO MORRISA NA ROZLEGŁYM POLU DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ. PISZĘ W NAWIĄZANIU DO PANI LISTU Z 19 LIPCA, KTÓRY BYŁ ODPOWIEDZIĄ NA LIST OD MOJEGO STARSZEGO WSPÓLNIKA PANA JOHN HILLMANA Z 11 LIPCA, KTÓRY Z KOLEI BYŁ ODPOWIEDZIĄ NA PANI PIERWOTNY LIST Z 28 CZERWCA, DOTYCZĄCY PROPOZYCJI KSIĄŻKI O NASZYM KLIENCIE, JAKĄ MIAŁABY PANI NAPISAĆ DLA WYDAWNICTWA NEUMAN I NEWBERRY, SP. Z O.O.

PAN HILLMAN POPROSIŁ MNIE, ABYM PRZEKAZAŁ PANI, ŻE RZECZYWIŚCIE, ZNÓW ROZMAWIAŁ Z PANEM MORRISEM O OBU PANI LISTACH I MOŻE JESZCZE RAZ POTWIERDZIĆ, ŻE OBECNIE NASZ KLIENT NIE JEST W NAJMNIJSZYM STOPNIU ZAINTERESOWANY UDZIELANIEM PANI POMOCY W PRACY BIOGRAFICZNEJ O JEGO ŻYCIU ALBO KARIERZE ANI O ŻYCIU LUB KARIERZE JEGO BYŁEGO PARTNERA, PANA VINCE'A COLLINSA. WARUNKI PIENIĘŻNE I TANTIEMY, JAKIE ZAPROPONOWAŁA PANI W IMIENIU NEUMANA I NEWBERRY'EGO, CHOĆ ZNACZNE I ODPOWIEDNIE WZGLĘDEM ARTYSTY O POZYCJI ZAJMOWANEJ PRZEZ PANA MORRISA W BRANŻY ROZRYWKOWEJ, NIE WPLYWAJĄ NA JEGO DECYZJĘ. PIENIĄDZE NIE STANOWIĄ W TYM WYPADKU PROBLEMU. Z CAŁYM SZACUNKIEM, NASZ KLIENT NIE JEST PO PROSTU ZAINTERESOWANY PROJEKTEM, KTÓRY PANI PROPONUJE.

JESTEŚMY, W PRZECIWIENSTWIE DO TEGO, CO ZDAJE SIĘ SUGEROWAĆ PANI DRUGI LIST, ŚWIADOMI PANI OSIĄGNIĘĆ, KTÓRE SĄ RZECZYWIŚCIE IMPONUJĄCE JAK NA KOGOŚ, KTO WYPRACOWAŁ JE ZALEDWIE W CIĄGU, JAK PANI STWIERDZA,

„PIĘCIU LAT OD PUBLIKACJI PIERWSZEGO ARTYKUŁU”. W RZECZY SAMEJ, PAN HILLMAN POINFORMOWAŁ MNIE, ŻE Z PRZYJEMNOŚCIĄ PRZECZYTAŁ ARTYKUŁ, KTÓRY NAPISAŁA PANI W ZESZŁYM ROKU O MUZYKU JAZZOWYM MILESIE DAVISIE DLA „ESQUIRE MAGAZINE”. DECYZJA NASZEGO KLIENTA NIE JEST OSOBISTYM ANI ZAWODOWYM GESTEM ODRZUCENIA ANI PANI, ANI TEŻ HOJNEJ OFERTY, PRZEDSTAWIONEJ PRZEZ PANIĄ W IMIENIU NEUMANA I NEWBERRY’EGO.

Z TEGO, CO WIEM, PAN MORRIS JEST OBECNIE W TRAKCIE PISANIA SWOICH WSPOMNIEŃ I Z TEGO WZGLĘDU NIE CHCIAŁBY ZASZKODZIĆ WŁASNEJ AUTOBIOGRAFII POPRZEZ POPARCIE TUDZIEŻ POMOC W STARANIACH OSOBY TRZECIEJ, JAKO ŻE JEGO WŁASNE WSPOMNIENIA ZAPEWNIĄ OPINII PUBLICZNEJ NAJWIERNIEJSZY I NAJBARDZIEJ OSOBISTY OPIS JEGO PAMIĘTNEJ KARIERY.

PROSZĘ PRZYJĄĆ DO WIADOMOŚCI, ŻE GOTOWI JESTEŚMY SKORZYSTAĆ ZE WSZYSTKICH UPRAWNIEŃ I MOŻLIWOŚCI NASZEGO KLIENTA, ABY ZAPOBIEC POWSTANIU I ROZPOWSZECHNIANIU WSZELKICH NIELICENCJONOWANYCH I NIEAUTORYZOWANYCH MATERIAŁÓW, EKSPLOATUJĄCYCH ŻYCIE, NAZWISKO ALBO PODOBIZNĘ PANA MORRISA, I SKORZYSTAMY ZE WSZELKICH PRAWNYCH ŚRODKÓW ZARADCZYCH, POZOSTAJĄCYCH W NASZEJ DYSPOZYCJI, ABY DO TEGO NIE DOPUŚCIĆ.

Z POWAŻANIEM,



MEC. WARREN RICHTER

KOPIA DO: MEC. JOHN HILLMAN,  
LANNY MORRIS

### 3

Jak wszystkie kobiety samotne, przeflancowane do Los Angeles, prawie natychmiast po przybyciu stałam się ekstatycznie dumną właścicielką rozklekotanego kabrioletu. Mój był kanarkowożółty. Fajną rzeczą w byciu kobietą w południowej Kalifornii było to, że gdy parkingowy podstawił ci gruchota, wcale nie wstydziłaś się do niego przyznać. Zniszczony kabriolet w posiadaniu kobiety uważano za oznakę osobowości, a w Los Angeles z odrobiną osobowości można było daleko zajechać - tak daleko, że Hollywood importował je ze Wschodu - takie osoby, nie kabriolety. Z drugiej strony, facet w Los Angeles drżał przed przyznaniem się do jeżdżenia zarzewiałym chevroletem caprice, tak jak gwiazdor rock and rolla przed oficjalnym przyznaniem się do machnięcia dzieciaka swojej *groupie*.

Myślę, że istniał przepis, że takie samochody muszą mieć przynajmniej jedne drzwi, które by się nie otwierały (a gdyby się już otwierały, to potem nie można by ich było zatrzasnąć). Ja wybrałam bardziej ekskluzywny typ - „z niesprawnymi drzwiami i oknem”, ale za to z w pełni sprawnym radem.

W tej akurat chwili radio w całej chwale dźwięku mono emitowało niedawny przebój: radosną interpretację „Fool on the Hill” - nie oryginalną wersję Beatlesów, tylko przeróbkę Sergia Mendeza i Brasil '66. Długie pasmo sukcesów zupełnie zaskoczyło członków zespołu i niedawno musieli zmienić nazwę na Brasil '77. Za kilka lat znowu będą zmuszeni podwyższyć liczbę i, logicznie rzecz biorąc, proces ten będzie trwał aż do nowego tysiąclecia, kiedy to staną się Brasil '11, co brzmi dla mnie jak niepełny wynik meczu siatkówki. Przy akompaniamencie beztroskiego arpedžia na Hollywood Way wjechałam w bramę Burbank Studios.

Kiedyś była to własność Warner Bros., ale wytwórnie przeżywały teraz cięższe czasy i parcele na tyłach, gdzie kiedyś wznoszono na wolnym

powietrzu dekoracje, zamieniano na działki budowlane i sprzedawano z zyskiem. Akry ziemi studia MGM dawały obecnie schronienie tym, którzy kiedyś szukali schronienia w filmach MGM. *Sic transit Gloria Swanson*. Wytwórnia Paramount została z niczym. Zawsze, gdy w jej telewizyjnym serialu „Mission: Impossible” potrzebowano rodzajowej miejskiej ulicy zza żelaznej kurtyny, wieszano rodzajowy obco brzmiący znak w rodzaju FUMEN NIET przed studyjną kafeterią, która z zewnątrz została dziesięć lat wcześniej sprytnie zaprojektowana w stylu bawarsko-elżbietańskim, aby służyć do tego właśnie celu. To była praktycznie cała scenografia w plenerze. Wytwórnia Twentieth Century Fox wciąż miała scenografię z kolejką naziemną z musicalu „Hello, Dolly!”, lecz niewiele poza tym. W Uniwersalu urządzono park tematyczny, gdzie z wagonika tramwaju można było zobaczyć Darrena McGavina i Jo Ann Pflug, uwijających się przy Wtorkowym Filmie Tygodnia.

Tylko studio Burbank Warner Bros. wciąż miało te wspaniałe nachodzące na siebie budowle, które jednego przedpołudnia mogły być dziedzińcem hotelowym na Ile de la Cité z krętym zejściem na stację metra tuż za kutą żelazną bramą, a następnego dnia rosyjską ambasadą na Manhattanie. Że nie wspomnę o mnóstwie uliczek miast Dzikiego Zachodu z czasów, gdy Warner wypuszczał „Cheyenne”, „Bronco”, „Sugarfoot”, „Mavericka” i tym podobne produkcje.

Vince'owi przydzielono przestrzeń biurową w jednym z dwukondygnacyjnych budynków, niedawno wzniesionych niedaleko sztucznych ulic Nowego Jorku, które wyznaczały północny kraniec należącego do wytwórni terenu - bez wątplenia celowo jak najdalej od głównej siedziby administracji. Budynki wyglądały, jakby należały do dość porządnego motelu, co było całkiem stosowne, bo pokoje szybko zmieniały lokatorów. Głównie służyły jako garderoby dla świeżych talentów, które nagradzano własnymi mikrymi pokojkami, odpowiednimi do gaży. Wykorzystywano je też jako kostnice dla przebrzmiałych sław, gdy ta ostatnia zmiana lokalizacji stanowiła jednoznaczny sugestię: „Fora ze dwora”.

Vince nie należał do żadnej z tych dwóch kategorii. Chociaż nie przeciągał już do kin rekordowych tłumów jak kiedyś, to wciąż samo jego nazwisko mogło sprawić, żeby film na siebie zarobił, w duecie zaś z popularną aktorką i ze scenariuszem, który pasował do jego celowo szorstkiego stylu gry, wciąż mógł zarobić kilka szekli. Czwarta część serii filmów o odtwarzanym przez niego żołnierzu fortuny, Colcie Carrerze, została nawet dobrze przyjęta przez krytyków, przynajmniej jak na bezmyślny film przygodowy. „Śmierć jest zimna” z Angelem Tompkinsem i Victorem Buono nie zarobiła tyle co „Śmierć jest ciepła” albo „Śmierć jest zielona”,

na razie jednak nikt nie powiedział na głos, że Vince się kończy. Jego najnowszy film, „Casa Grande”, był wciąż w produkcji. Przedsięwzięcie finansowała wytwórnia Warner Bros i na czas kręcenia scen we wnętrzach oraz kilku ujęć w scenografii westernowej dała Vince'owi oprócz luksusowo wyposażonej przyczepy kempingowej Winnebago, która czekała na niego w plenerze, dodatkowe biuro.

Zaparkowałam swojego caprice'a i weszłam po betonowych schodkach na piętro. W połowie biegnącej wzdłuż fasady kładki natknęłam się na drzwi z subtelnym napisem PAUS & ANTER. Zdążyłam zebrać o swej ofercie dość informacji, by wiedzieć, że to nazwa firmy producenckiej Vince'a, a nie błędnie zapisane zaproszenie PAUSE & ENTER (Zatrzymaj się i wejdź). Tak naprawdę firma wzięła nazwę od imion trójki dzieci Vince'a: Paula, Sandi i Terri. Znak & dodał Vince dla żartu. Miał również drugą firmę producencką, stworzoną tylko po to, by zabezpieczyć parę centów przed łapskami swojej byłej żony. Firma nazywała się FTC Productions. Gdy ktoś spytał, co oznaczają trzy pierwsze litery, Vince odparł, że „T” to skrót od „Tę”.

Zatrzymałam się i weszłam. Za biurkiem siedziała krępa kobieta pod trzydziestkę i rozmawiała przez telefon. Podniosła wzrok i popatrzyła na mnie, jakbym była powietrzem.

- Tak?

- Przyszłam zobaczyć się z Vince'em Collinsem. Nazywam się O'-Connor.

Wstała zza biurka i wyprowadziła mnie z powrotem z biura. Pokazała na stojące na podporach tyły scenografii przedstawiającej jakąś ulicę.

- Powinien być na ulicy Klonowej. Widzi pani tę biegnącą po łuku uliczkę ze staroświeckimi domami? Jest pewnie na jej końcu. Proszę iść, czeka na panią.

Mieszkałam w Los Angeles od jakiegoś czasu i odzwyczaiłam się od chodzenia. Minęłam remizę strażacką, której północna fasada była ratuszem, a południowa bankiem. Ciekawiło mnie, co znajdę, gdy dojdę do czwartego boku. Kino. Skreśliłam w wygiętą w zgrabny łuk uliczkę, która musiała być Klonową. Mogłaby robić za scenografię do „Zakochanego kundla”. Wszystkie domy pomalowano na biało, a wzdłuż jezdni rosło mnóstwo drzew, choć niektóre wyraźnie tylko wypożyczono, a nie zaszczepiono, i nie było wśród nich ani jednego klonu.

Z ulgą stwierdziłam, że nie ma żadnej ekipy filmowej. Właściwie na ulicy w ogóle nikogo nie było. Sytuacja wymagała narracji Roda Serlinga. To było tak, jakbym weszła za winkiel i znalazła drogę powrotną do dzieciństwa: nieskazitelną, ocienioną uliczkę w małym miasteczku Środkowego Zachodu, uporządkowaną, szacowną i zadbaną. Tylko że to nie było moje dzieciństwo, bynajmniej.

Usłyszałam miłe dla ucha, ciche *pyk!* i zobaczyłam Vince'a. Stał na trawniku przed ostatnim domem na całej ulicy, na nisko i równiusiętko skoszonej gęstej murawie, i uderzał po kolei ułożone w równy rząd piłeczki golfowe, najwyraźniej próbując umieścić je w dołku - tak, było to idealne pole golfowe. Miał na sobie kardigan o barwie musztardy, włożony na gładki biały golf, a do tego dobrze skrojone spodnie w jodełkę. Skarpetki były beżowe, a buty brązowe z frędzelkami.

- Cześć - powiedział, nie odrywając wzroku od piłeczki. Uderzył ją lekko i precyzyjnie posłał prosto do dołka. - Dzięki, że przyszłaś. Fajna ulica, co?

- Bardzo w stylu Thorntona Wildera - mruknęłam. Przypomniawszy sobie, że Vince nie ukończył ogólniaka, dodałam: - To facet, który napisał sztukę „Nasze miasto”.

Skupił uwagę na następnej piłeczce.

- Zgadza się, i jeszcze „Swatkę”, i „Niewiele brakowało”. - Po raz pierwszy podniósł wzrok i popatrzył na mnie z dziwnym uśmiechem. - Co? Myślałaś, że nigdy nie słyszałem o Thorntonie Wilderze? Kurczę, musisz mnie naprawdę brać za kompletnego durnia. - Zadrzał lekko, co wyglądało dziwnie w ciepły dzień. - Jezu.

Złożyłam przeprosiny.

- Przepraszam, jeśli podczas pierwszego spotkania zapomniałam wspomnieć, że często jestem totalną idiotką. - Z zadowoleniem zobaczyłam, że się uśmiechnął, i postanowiłam zmienić temat, rzucając wnikliwą uwagę: - Tak tu spokojnie.

Vince ustawił się za piłeczką golfową.

- No, to prawdziwe studio filmowe, nie to, co ta jarmarczna buda w Universalu. Wolno ci się tutaj znaleźć, tylko jeśli kręcisz film albo budujesz dekoracje. Tak się składa, że akurat nikt nic nie kręci.

- Nawet telewizja?

- „Waltonowie”, ale mają dom aż przy lagunie.

- To tutaj nagrywają „Waltonów”?

- Za plecami masz górę Waltona.

Odwrociłam się i spróbowałam usunąć w wyobraźni druty wysokiego napięcia na brązowym, porośniętym krzakami wzgórzu, wznoszącym się bezpośrednio za terenem studia.

- Mój Boże, to rzeczywiście góra Waltona. Zawsze myślałam, że kręcą w plenerze.

- Bo kręcą. To jest właśnie ten plener.

Pokręciłam głową.

- Przejeżdżałam koło tego wzgórza tysiące razy. Forest Lawn jest zaraz po prawej, prawda? Mój Boże, góra Waltona. Burbank.

Vince zebrał piłeczki i wrzucił je do drewnianego pudełka, które następnie postawił na ganku domu.

- Jeżeli podoba ci się ta część Burbank - powiedział, zdejmując kardiogram i przewieszając go sobie przez ramię - pokażę ci coś jeszcze lepszego.

Najwyraźniej czekało mnie zwiedzanie. Na końcu Klonowej skręciliśmy w następną uliczkę i ruszyliśmy na zachód. Było piątkowe popołudnie, dzień traktowany przez większość siły roboczej Los Angeles całkowicie niezobowiązująco. Pracownicy studia skutecznie ewakuowali się aż do poniedziałku, więc byliśmy zupełnie sami, spacerując po ulicach miasta widma.

Nadarzały się zapewne lepsze momenty na refleksję, że niektórzy ludzie z mojej branży uważają, że Vince Collins mógł być kiedyś zamieszany w morderstwo młodej kobiety. Osobiście nie mogłam w to uwierzyć nie tylko dlatego, że był taki przystojny, ale też dlatego, że od tamtej pory nakręcił tyle kasowych filmów. (Zdaję sobie sprawę z wady tkwiącej w tej linii rozumowania, ale czy świat nie byłby o niebo lepszy, gdybyśmy starali się bardziej ufać ludziom, którzy naprawdę dobrze się ubierają i używają najlepszych wód kolońskich? Czy może myślicie, że jestem trochę płytka?).

Minęliśmy kowbojski saloon z namalowanym znakiem „Paris, Texas” - najwyraźniej jedną z lokalizacji, gdzie kręcił swój najnowszy western, gatunek filmowy, który stopniowo wypierał z jego repertuaru musicale, komedie i przygodówki. Od niechcienia zapytałam go o powody wzmożonego zainteresowania lassem i siodłem.

- Spaghetti westerny robią teraz furorę. - Uśmiechnął się. - Kto jest bardziej włoski, ja czy Clint Eastwood? Mój następny film będzie się nazywał „Makaroniarz w dolinie Red River”.

Skręciliśmy w następną długą westernową ulicę, która biegła lekko pod górkę i była wysypana czarnym, podobnym do suchego mułu piaskiem.

- Widzisz tę ziemię? - spytał, wzbijając butem szarą chmurę kurzu. - To Laramie Street. Wykorzystują ją głównie jako bardziej cywilizowane miasteczka Zachodu po wojnie secesyjnej: Dodge City, Tombstone, Laredo. Ale może też robić za San Francisco z ostatniej dekady dziewiętnastego wieku. A jak chcesz tu mieć scenografię z lat dwudziestych albo trzydziestych naszego wieku, wystarczy ustawić stare latarnie elektryczne, zmienić saloony w sklepy wielobranżowe i centra handlowe, a otrzymasz idealne miasteczko Środkowego Zachodu z czasów wielkiego kryzysu. Ale piaszczysta droga zdradza iluzję. Powinna być asfaltowa i pewnie by ją wylali asfaltem, gdyby nie to, że następnego dnia musiałyby robić za scenografię westernu. Dlatego wymyślili inny sposób...

Pochylił się i nabrał w garść trochę ziemi.

- Spryskali piasek czarną farbą.

Zmrużyłam oczy, patrząc na wyżłobioną koleinami drogę, i stwierdziłam, że rzeczywiście czarny piasek mógł udawać asfalt, w każdym razie z oddali.

- Pewnie zrobili to do sceny z „Waltonów”. Wiesz: „John jedzie do miasta kupić kompost i chleb z mąki kukurydzianej”. - Vince wyprostował się, otrzepując ręce. - Kiedy pierwszy raz to zobaczyłem, pomyślałem: „Tak, to jest właśnie Hollywood. Miejsce, gdzie maluje się piach”. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Przyniosłaś list?

- Tak, mam go tutaj. - Przyglądał mi się, gdy sięgnęłam do torebki i wyjęłam list od adwokata Lanny'ego. Miałam go przy sobie w środę w Le Carillon, ale nie chciałam pokazywać Vince'owi, póki nie byłam pewna, że nie łamię jakichś przepisów prawa albo kodeksu etyki dziennikarskiej. „To list do ciebie - powiedział mi Bernard Besser, radca prawny Neumana i Newberry'ego - od młodszego wspólnika kancelarii prawniczej. Nie zaznacza w nim, że przekazuje poufne informacje. Możesz to pokazać, komu ci się podoba”. Vince mi się podobał, więc pokazałam mu list.

Przeczytał go, kiedy przechodziliśmy przez ulicę. Rozejrzałam się w obie strony, co było absurdalne, bo nie jeździł tędy żaden samochód. Vince złożył kartkę z powrotem na pół i mi oddał.

- Zdaje się, że skoro Lanny ma zamiar przerwać milczenie, to ja też mogę, co?

Śliśmy teraz między rzędami nowojorskich kamieniczek o fasadach z brunatnego piaskowca.

- Rozmawialiście z Lannym od czasu, kiedy zerwaliście współpracę? - spytałam mimochodem.

- Ani razu - odparł bez chwili wahania.

- Dlaczego?

Wziął mnie za ramię tak delikatnie, że nie można się było obrazić.

- Tak między nami? Lanny potrafi być czasem potworem. Bywa okrutny. - Odegnął od siebie tę myśl, wskazując ręką na kamienicę. - To moja ulubiona ulica: wygląda dokładnie jak moje dawne sąsiedztwo. Gdybyśmy mieli kij od szczotki i „spaldynkę”, tak nazywaliśmy te różowe gumowe piłeczki, jakie kiedyś produkował Spalding, moglibyśmy sobie zagrać w podwórkowego bejsbola.

Spojrzałam na tablicę z nazwą ulicy.

- Aleja Euklidesa.

- To oni tak ją nazywają. Dla mnie to róg Forbes i Hooper.

- Tam, gdzie się wychowałam, też mieliśmy aleję Euklidesa.

- Tak - przyznał Vince. - Nigdy nie skapowałem, o co chodzi z tym Euklidesem. Większość miast, w których grałem, też miała aleję Euklidesa. Jak to wyjaśnisz? Rozumiem Klonową, Dębową, Wiązową, Waszyngtona albo Jeffersona, Broadway albo Main. Ale... Euklidesa? Co takiego zrobił



grecki matematyk, że zaskarbił sobie miłość tego narodu? Czy w każdym miasteczku jest aleja Archimidesa? Plac Pitagorasa?

Był znacznie bystrzejszy, niż się spodziewałam. W jego gadce wyzuwałam też coś dziwnie znajomego. Dopiero później uświadomiłam sobie, że w pewnym stopniu papugował tekst Lanny'ego Morrisa. Może kiedy współpracujesz z kimś tak długo, nawet nie zauważasz, że to robisz.

Roześmiałam się i oparłam plecami o mur kamieniczki, odkruszając niechcący kawałek gipsu. Vince wyciągnął rękę, żeby mnie podtrzymać, a potem poprowadził na zbieg alei Euklidesa z ulicą Francuską.

- A „musisz to pamiętać” - mruknął Vince, wskazując uroczy bulwar szarobrunatnych kamieniczek, który ukazał się nam, gdy skręciliśmy. Była to scenografia z „Casablanki”, której obraz dawno temu wrył mi się w pamięć. Obecna nazwa „Burbank Studios” sprawiła, że zapomniałam, że to wciąż Warner Bros., a w tym zaułku Rick i Ilsa po raz pierwszy się w sobie zakochali, w reminiscencji, parę kroków od Łuku Triumfalnego.

- Jestem na tej samej ulicy, gdzie grali Bogart i Bergman - wyszeptalam.

- To tylko makieta Paryża. - Uśmiechnął się.

Och, jaki sprytny był z niego gość, w kilku filmach zagrał tę samą szorstkość urażonej męskiej dumy, którą Bogart opatentował o pokolenie wcześniej. Nagle przypomniałam sobie, że Vince jest gwiazdorem filmowym. Kiedy miałam dziewięć lat, widziałam tego samego mężczyznę, gdy obejmował Lizabeth Scott i Marthę Hyers w zaułkach dokładnie takich jak ten. Gapiałam się w ekran, z torbą popcornu za ćwierć dolca w rękach, a moje oczy i dłonie robiły się wilgotne.

Spojrzałam teraz na Vince'a, na szerokie bary pod golfem, na urocze kędziorki włosów na głowie. Zastanawiałam się, co nas jeszcze czeka.

Nie przyzwyczaiałam się nadal do zmierzchu na Zachodnim Wybrzeżu. Słońce wisiało nad horyzontem znacznie dłużej, świecąc pod niezwykle ostrymi kątami, do których widoku nie przywykłam. Chmury były fioletowosinym murem na południowym krańcu nieba albo ustawionymi w bojowym szyku Apaczami, gotowymi ruszyć na kawalerię.

Teraz Vince poprowadził mnie obok kosmopolitycznego rzędu budynków, które sprawiały wrażenie czegoś pośredniego między Central Park South a Piątą Aleją, i pagórkowatej bawarskiej wioski, zaprojektowanej w stylu wczesnego Gepetto. Paryż ustąpił miejsca Niemcom tak łatwo, jak Alzacja i Lotaryngia ustąpiły Hitlerowi. Między zakładem

szewskim a sklepem tytoniowym była łukowata brama. Vince otworzył zamasyżycie drzwi, ukazując początek długich kamiennych schodów, biegnących w dół po zarośniętym zboczach wzgórz. Nie mam na myśli kilkunastu stopni, tylko schody, po jakich zbiegał Kopciuszek na dziesięć sekund przed północą, coraz niżej i niżej w głąb wąwozu.

- Okej, teraz nie wolno ci się oglądać za siebie, dopóki ci nie pozwolę - poinstruował mnie Vince. - Patrz prosto pod nogi i nie odwracaj głowy.

Zgodziłam się. Idąc przede mną bokiem niczym krab, poprowadził mnie jakąś ogrodową ścieżką, bo po obu stronach widziałam roślinność, gęsty mech i bluszcz, i rabatki wysokich kwiatów o śliwkowofioletowych kwiatach, pasujących do fioletowego nieba.

- Dobra - powiedział wreszcie. - Odwróć się.

Posłuchałam. Istne delirium. Wysoko nade mną, jakby przylepione do urwistego klifu, wznosiły się niemal gotyckie wieże i wieżyczki azjatyckiego zamku. Szaleńcze iglice i ponure bramy były oplatane wijącymi się kłęczami roślinności. Tu i tam klif przemieniał się w płaskowyż, a to z kamienną ławeczką, a to znów kadzielnicą, tudzież płaskimi skałami, które mogły być ołtarzami służącymi do dziwnych obrzędów.

Oniemiała z wrażenia spojrzałam na Vince'a, oczekując wyjaśnienia.

- Shangri La - wytłumaczył. - Główna zewnętrzna scenografia do musicalu „Zagubiony horyzont”. Z tymi wspaniałymi śpiewakami, Peterem Finchem i Liv Ullmann. Bomba.

- Same dekoracje musiały zrujnować budżet filmu - zauważyłam.

Poprawił małą statuetkę smoka.

- Do pewnego stopnia zamortyzowali straty, wykorzystując je do serialu „Kung-fu”. Nigdy nie pokazują całego pejzażu, tylko zbliżenia, które wyglądają jak azjatycka sceneria.

Znowu Burbank. Kto by pomyślał.

- Napiałabyś się czegoś? - zapytał.

- Kiedy?

- Teraz.

- Gdzie?

- Tam. - Wskazał na przyczepę Winnebago, spoczywającą na betonowych blokach u podnóża zbocza. - Wytwórnia trzyma ją tu, kiedy akurat kręcę w studiu.

Przyczepa była długa i szeroka, bez wątpienia na tyle długa, żeby pomieścić dobrze zaopatrzony bar, i z pewnością dość szeroka na królewskich rozmiarów łóżce.

Ach. Aha. Więc przemierzaliśmy Lizakowy Gaj, okrążyliśmy Tęczowy Szlak i przelęcz Toffi i wreszcie, omijając bagno melasy, dotarliśmy na

odległość rzutu kostką do Cukierkowej Krainy, gdzie miałam zostać pralinką z kremowym nadzieniem, cudzołożnym smakołykiem, słodkim deserkim, wieńczącym dla Vince'a popołudnie spędzone na wbijaniu piłeczek do pustego dołka na prywatnym polu minigolfa. Zabrano mnie za kulisy Burbank na specjalną wycieczkę, na której koniec zwiedzającym uprzejmie się przypomina, że zgodnie z tradycją przewodnik otrzymuje gratyfikację seksualną, jeżeli jesteś zadowolona z usługi. A ja wytrzeszczałam gały i zachwycalam się niezdrowo przez całą drogę niczym bohaterka harlequina. Nie byłabym nawet zaskoczona, gdyby w przyczepie znalazł się portret ostatniej eksmałżonki Vince'a, strzeżony przez krępa kobietę z biura, która ma, jak się okaże, na imię Danvers. „To była poprzednia pani Collins. Jej rozszarpane zwłoki znaleziono u stóp najwyższej wieży zamku”.

Poczułam się jak idiotka, rozczarowana i urażona. (Czy wspomniałam, że czułam się również jak idiotka?). Po chwili przestraszyłam się, że zainteresowanie Vince'a współpracą się urwie, gdy wypalimy papierosa po odbyciu stosunku. Naprawdę zależało mi na podpisaniu umowy na książkę. Poza tym Vince podobał mi się jako facet. Musiałam bardzo uważać.

Spojrzałam w dół schodów, na przyczepę.

- Więc sprowadziłeś mnie na sam dół? - powiedziałam żartobliwie, jakby to była tylko gra słów.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

- Nie musisz ze mną iść, jeśli nie chcesz. Po prostu chce mi się pić. - Ruszył w kierunku przyczepy. Ja ani drgnęłam. Vince wydukał przeproszając: - Ja naprawdę muszę się czegoś napić. Kiedy miałem piętnaście lat, schlałem się z chłopakami. Wróciłem do domu koło północy. Matka rzuciła na mnie okiem i powiedziała: „Vince, musisz być pijany”. - Zrobił pauzę. - Od tamtej pory zawsze się jej słucham. - Najwyraźniej był to jeden z jego stałych tekstów. - Więc idę się napić.

- Chcesz się ze mną przespać? - spytałam.

Odpowiedział w miły sposób, unikając wulgarności:

- Cóż, na pewno nie byłbym pierwszym, który tego chciał. Jesteś interesująca, bystra i atrakcyjna. Tak, bardzo chciałbym się z tobą przespać. Ale naprawdę zapraszam cię tylko na drinka.

Wiedziałam, że gdybyśmy oboje weszli do przyczepy i oboje byśmy się napili, to oboje baraszkowalibyśmy w łóżku, zanim kalifornijskie słońce zaszłoby za horyzont. Myślę, że on też to wiedział. Powiedziałam bez złośliwości:

- Myślę, że zanim przejdziemy do dyskusji nad jakąkolwiek propozycją, którą masz dla mnie dzisiaj, powinnam się dowiedzieć, jaka jest twoja

decyzja w sprawie propozycji, którą ci złożyłam wczoraj.

Usiadł na schodku i popatrzył na mnie z rozczarowaniem. Nie wiedziałam, czy udaje, czy nie. Vince wystąpił w kilku strasznych szmirach, ale był niezłym aktorem.

- Chcesz powiedzieć, że zgodzisz się na moją propozycję, jeśli ja zgodzę się na twoją?

- Nie. Nie prześlę się z tobą, jeśli będziemy razem pracować nad książką.

Roześmiał się.

- Ale jeżeli nie zgodzę się na twoją propozycję, to się ze mną prześlę?

- Nie, nie prześlę się z tobą, jeśli odrzucisz moją propozycję. - Teraz przydałby mi się drink, którego zaoferował. - Ale prześlę się z tobą, kiedy książka będzie gotowa.

Myślę, że prawie go zaskoczyłam. Dodałam:

- Niech tam, może nawet prześlę się z tobą dwa razy. Uważam, że jesteś „interesujący, bystry i atrakcyjny”. A poza tym jesteś Vince'em Collinssem. Fajnie by było, gdybym oglądała film albo telewizję z przyjaciółką, nagle ty pojawiłbyś się na ekranie, a ja rzuciłabym jakby nigdy nic: „Spałam z nim”.

- A co, jeśli w trakcie wywiadu usłyszysz o mnie rzeczy, które sprawią, że przestaniesz mnie lubić? Mimo to się ze mną prześlę?

Czy mogłabym wziąć ślub z facetem, którego nie lubię? Nie sądzę. Czy mogłabym się z nim raz przespać, gdyby był fizycznie atrakcyjny? Też pytanie!

- Każdy ma jakieś wady. - Wzruszyłam ramionami. - Ja niektóre już ci ujawniłam. Nie brałabym się do pisania tej książki, gdybym nie wierzyła, że nie mogę się o tobie dowiedzieć czegoś mrocznego albo kontrowersyjnego. Byłabym zszokowana, gdybym nie odkryła czegoś nieprzyzwoitego, a moi pracodawcy po prostu by się wściekli. Więc kiedy dorzuciłam siebie do oferty, to bez złudzenia, że jesteś świętym. Umowa to umowa.

Podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Uścisnęłam ją. Była sucha i silna.

- Okej, dasz mi słowo, a ja dam ci wywiad.

- Daję słowo.

Podszedł do swojej przyczepy.

- Moim adwokatem jest Harold Cohen, Lucille w biurze da ci jego numer. - Sięgnął do klamki. - Zaproszenie na drinka jest wciąż aktualne. - Uznałam, że lepiej będzie, jeśli odmówię, i powiedziałam mu to.

- Przepraszam, że cię nie odprowadzę, ale naprawdę chcę się napić. Tak przy okazji, nie musisz wspinać się z powrotem po schodach.

Pokazał mi omijającą wzgórze drogę, która doprowadzi mnie prosto na parking i do mojego caprice'a. Patrzyłam, jak otwiera drzwi przyczepy, i jakiś perwersyjny chochlik podkusił mnie do zapytania:

- Więc to dzięki seksowi ze mną dobiliśmy targu?

Było to obrzydliwie wścibskie z mojej strony.

Zszedł o stopień niżej.

- Jeżeli zamierzałem odmówić, znaczyłoby to, że niezły z ciebie towar, co? Ale z drugiej strony, jeśli od początku zamierzałem się zgodzić, to możliwe, że oddałaś swój słodki tyłeczek za frico. Ty jesteś mózgiem naszego tandemu. Sama mi powiedz.

Wszedł do wnętrza przyczepy, posławszy mi ostatni uśmiech, najcieplejszy tego dnia, ale podobnie jak w unoszącym się nisko słońcu Los Angeles, było w nim coś odrobinę niepokojącego.

Godzinę później na osiedlu w Studio City minęłam wonne, lepkie kwiaty, które rosły wokół małej fontanny pod moim oknem. Ich zapach dobrze pasował do perfum Jungle Gardenia, których zawsze używałam. Przystanąłam pod zadaszeniem przy wejściu, żeby otworzyć skrzynkę pocztową, i natychmiast zauważyłam, że jeden z listów jest od Weisnera, Hillmana i Dumonta, kancelarii prawniczej, reprezentującej Lanny'ego Morrisa.

## 4

SZANOWNNA PANNO O'CONNOR!

MÓJ WSPÓŁPRACOWNIK, WARREN RICHTER, INFORMOWAŁ MNIE NA BIEŻĄCO O PANI CIĄGLYM DIALOGU Z NASZĄ KANCELARIĄ. PRZEPRASZAM, ŻE TYMCZASOWO „WYPADŁEM” Z KORESPONDENCJI, LECZ MAM NADZIEJĘ, ŻE CAŁA NASZA LISTOWNA WYMIANA BYŁA SERDECZNA I PEŁNA SZACUNKU WOBEC ARTYSTYCZNYCH DOKONAŃ ZARÓWNO PANI, JAK I NASZEGO KLIENTA, PANA LANNY'EGO MORRISA.

OD OSTATNIEGO LISTU PANA RICHTERA DO PANI ZNOWU ODBYŁEM OSOBISTĄ ROZMOWĘ Z PANEM MORRISEM NA TEMAT PANI ZAINTERESOWANIA JEGO KARIERĄ. BĘDĘ SZCZERY I POWIEM, ŻE TO ON ZAINICJOWAŁ TĘ KONKRETNĄ ROZMOWĘ TELEFONICZNĄ, W KTÓREJ TO POINFORMOWAŁ MNIE, IŻ PRZECZYTAŁ WIĘKSZY WYBÓR PANI PRAC, JAKI UDOSTĘPNIŁ BYŁ AGENT SZANOWNEJ PANI, I ŻE WCIĄŻ POZOSTAJE POD WRAŻENIEM PANI TALENTU.

CHOCIAŻ MÓJ KLIENT NADAL NIE JEST ZAINTERESOWANY WSPÓŁTWORZENIEM ANI AUTORYZACJĄ PRZEDSIĘWZIĘCIA ZAPROPONOWANEGO PRZEZ PANIĄ W PIERWSZYM LIŚCIE DO NASZEJ KANCELARII (NAPISANIA I OSTATECZNIE OPUBLIKOWANIA KSIĄŻKI W WYDAWNICTWIE NEUMANA I NEWBERRY'EGO), TO NIE ZAMIERZA RÓWNIEŻ WYSTĘPOWAĆ PRZECIW ANI W ŻADNEJ MIERZE UTRUDNIAĆ PANI DZIENNIKARSKIEJ PRACY O JEGO ŻYCIU I KARIERZE. W RZECZY SAMEJ, PAN MORRIS WYRAZIŁ PRAGNIENIE, BY - W NIEWIELKIM STOPNIU - DOPOMÓC PANI W TYM DZIELE. (MÓWIĘ TO, OCZYWIŚCIE, BEZ SZKODY DLA UPRAWNIEŃ PRAWNYCH MOJEGO KLIENTA).

Z TEGO WZGLĘDU PROPONUJĘ, BY ZECHCIAŁABY SIĘ PANI STAWIĆ SIĘ W NASZYM BIURZE WE WTOREK 12 SIERPNIĄ W POŁUDNIE. JEŻELI TO PANI NIE

ODPOWIADA, PROSZĘ ZADZWONIĆ, ABYŚMY MOGLI UZGODNIĆ INNY TERMIN. Z GÓRY PRAGNIEMY UPOMNIEĆ PANIĄ, ŻE NIE BĘDZIE PANI WOLNO KORZYSTAĆ Z ŻADNEGO URZĄDZENIA NAGRYWAJĄCEGO BĄDŹ STENOGRAFUJĄCEGO W NASZYM LOKALU ANI DOKONYWAĆ ŻADNYCH NOTATEK. ŻYWI MY NADZIEJĘ, IŻ ZROZUMIE PANI, ŻE JEST TO GODNA UBOLEWANIA KONIECZNOŚĆ, MAJĄCA NA CELU OCHRONĘ INTERESÓW PANA MORRISA, KTÓRA, NIESTETY, STANOWI WSTĘPNY WARUNEK RZECZONEGO SPOTKANIA. PODOBNIENIE PANI OSOBA, JAK TEŻ JAKAKOLWIEK WŁASNOŚĆ, JAKĄ PANI PRZYNIESIE, MOŻE ZOSTAĆ PODDANA OGŁĘDZINOM PRZEZ PRACOWNICĘ OCHRONY, KTÓRĄ ZATRUDNIAMY DO TAKICH CELÓW, TAK WIĘC MOŻE ZECHCE PANI UBRAC SIĘ I DOBRAĆ DODATKI W SPOSÓB, KTÓRY JAK NAJBARDZIEJ UŁATWIŁBY I PRZYŚPIESZYŁ PODOBNE OGŁĘDZINY. JESZCZE RAZ ZAPEWNIAMY, ŻE TE SUROWO BRZMIĄCE WYMAGANIA TRAKTUJEMY JAKO NIEZBĘDNE ŚRODKI OSTROŻNOŚCI, KTÓRE OCZYWIŚCIE NIE MAJĄ NIC WSPÓLNEGO Z PODEJRZLIWOŚCIĄ WOBEC PANI I NIE SĄ WYMIERZONE OSOBIŚCIE PRZECIW NIEJ.

ŻYWIĘ NADZIEJĘ, ŻE BĘDĘ MIAŁ PRZYJEMNOŚĆ POZNAĆ PANIĄ OSOBIŚCIE. PROSZĘ SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI PO ZAPOZNANIU SIĘ Z NINIEJSZYM LISTEM, ABY POTWIERDZIĆ SPOTKANIE ALBO UZGODNIĆ DOGODNIEJSZY TERMIN.

Z POWAŻANIEM,



MEC. JOHN HILLMAN

KOPIA DO: MEC. WARREN RICHTER,  
LANNY MORRIS

## 5

Recepcjonistka gadała przez telefon z nowym chłopakiem i paliła nową markę papierosów, którą sprzedawano pilotażowo na Zachodnim Wybrzeżu. Nazywały się Tramps, miały atrakcyjne beżowe bibułki i licencjonowaną podobiznę Charliego Chaplina na każdym pudełku. „Pokochaj je albo rzuć” brzmiało hasło reklamowe: urocze papieroski, dające kobietom uroczego raka. Kancelaria Weisnera, Hillmana i Dumonta zajmowała całe piętro wieżowca przy Sunset 7760, ostatniego przyczółka wielkiego biznesu, zanim Sunset Strip zmienił się w Sunset Boulevard, a zarazem znajdowała się naprzeciw najfajniejszej restauracji sieci Hamburger Hamlets (tej z nowoczesnym duńskim kominkiem na środku sali, gdzie kelner, jeśli go ładnie poprosisz, podpiecze ci cukierki ślazowe).

Recepcja nie mogłaby wyglądać bardziej szacownie, nawet gdyby stała tam chrzcielnica i kolejka akolitów. Pekańowe panele podkreślały kremowo-szare pasy, w jakie pomalowano ściany, na których wisiały oprawione litografie żeglujących statków. Nic nie pozwalało się domyślać, że kancelaria ma jakiegokolwiek kontakty z show-biznesem.

Skloniłam recepcjonistkę do przerwania na chwilę rozmowy z chłopakiem i wyjaśniłam, że przyszłam na spotkanie z panem Lannym Morrissem.

- Nie ma go - powiedziała cierpko, po czym wylewnie przeprasząc swojego faceta, machnęła ręką, żebym usiadła na miejscu, które łaskawie pozwoliła mi zająć.

Na powitanie wyszła sekretarka Hillmana. Była zadziorną Brytyjką o blond włosach i imieniu Gillian (standard dla adwokatów na tym poziomie), która paliła st. moritza, drogiego mentolowego papierosa ze lśniąca złotą opaską, ozdabiającą filtr.

- Więc przyszła pani, doskonale! - powiedziała uradowana. Zwróciła się do recepcjonistki. - Leslie, mogłabyś się zająć ekspresem do kawy?



Obawiam się, że zrobiła się straszna smoła. Pozwoli pani za mną, panno O'Connor.

Poprowadziła mnie kilkoma korytarzami, pełnymi biurkami, na których stały elektryczne maszyny do pisania, obsługiwane przez sekretarki w średnim wieku; to one wykonywały większość rzeczywistej roboty firmy. Gillian była cała w skowronkach.

- Więc wiesz, że mamy taką panią, która cię obszuka. Tak mi przykro! To ci nie przeszkadza? Doskonale! Ostrzegaliśmy przed tym w liście, nieprawdaż? Choć trudno mi sobie wyobrazić, gdzie mogłabyś cokolwiek ukryć w tym stroju - wyznała.

Umyślnie włożyłam coś opinającego i prześwitującego - sukieneczkę z dzianiny i cieliste pończochy - rzekomo, żeby pokazać, że nie mam nic do ukrycia, lecz także po to, by wyrzucić mocne wrażenie na Lannym Morrisie. Którego jednak nie było.

Gillian wpuściła mnie do małej, pozbawionej okien biblioteki prawniczej. Przed wyjściem przedstawiła mnie Naomi, wielkiej babie, która ledwo mieściła się w granatowym stroju, przypominającym mundur policjantki, choć nim nie był.

Naomi podeszła do mnie i wyrecytowała:

- Proszę unieść ręce nad głowę i rozstawić nogi jak najszerzej. - W sukience, którą miałam na sobie, to drugie oznaczało niewiele. Potem Naomi mnie obmacała. Każdy centymetr mojego ciała. Gwiżdżę na to, jak nazwaliby to inni, Naomi mnie obmacała.

Otworzyły się drzwi. Do środka wszedł wysoki, chudy facet po sześćdziesiątce w tweedowej marynarce od Harrisa. Ukoronowaniem jego stroju była, jak na tamte czasy, wyzywająco konserwatywna rdzawoczerwona muszka.

- Panno O'Connor! John Hillman, jakże się cieszę z pani wizyty. Strasznie mi przykro z powodu, tego, no, wie pani - skinął głową w kierunku Naomi - lecz wymagała tego sytuacja. Teraz muszę panią poprosić o podpisanie tych dokumentów w miejscu, gdzie widzi pani X...

Podpisałam wszystko, co kazał.

- Myślałam, że spotkam się z Lannym Morrisem.

Skinął głową.

- W pewnym sensie to właśnie panią czeka. - Położył na stole czarny segregator. - Oto wybór pism mojego klienta. Pragnął, aby miała pani możliwość zapoznania się z nimi.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Z tego, co rozumiem, sądzi, że może to pani w jakiś sposób pomóc. - Zerknął pytająco na moją kumpelę, Naomi. - Panno...

- Schall - oświeciła go Naomi. W owej chwili z zapalczywym zainteresowaniem wertowała egzemplarz „Seventeen”.

- Panna Schall zostanie tu, aby dopilnować, że nie upamiętni pani ani nie zabierze niczego, co będzie pani czytać. Materiały te oferujemy jako tak zwane odległe tło informacyjne. Co oznacza, że nie wolno pani zacytować ani sparafrazować ani jednego zdania. Rozumiemy się?

Hillman opuścił pokój i nastąpił ten głupi moment jak z „Obywatela Kane'a”: ja przy samotnym mahoniowym stole w bibliotece, zabierająca się do lektury osobistych wspomnień Wielkiego Człowieka... tyle że ten Wielki Człowiek wciąż żył i czuł się świetnie. Przypomniałam sobie, że gdy parę dni wcześniej zapytałam Vince'a, dlaczego nie rozmawiał z Lannym od czasu zerwania współpracy, zwierzył mi się: „Lanny potrafi być czasem potworem”.

Okej. Mam nie mniej odwagi niż wszystkie bohaterki, które kiedykolwiek głupio zapuściły się w głąb mrocznych korytarzy zamku Draculi, aby się przekonać, co to za dziwne hałasy dobiegają z krypty. Poza tym miałam pod bokiem Naomi, która w razie czego mnie obroni.

Dotknęłam okładki segregatora. „Ty King Kong - pomyślałam. - Ja Fay Wray. Ukaz się, potworze”.

## 6

Te wspominki nie będą jak inne moje książki, które czytaliście: „Śmieję się, klaunie, śmieję” Lanny'ego Morrisa przy współpracy Dicka Schaapa, „Dwadzieścia cztery klatki na sekundę” opowiedziane przez Lanny'ego Morrisa Reksowi Reedowi, i tak dalej. Tę książkę piszę całkiem samodzielnie z powodów, których nie chcielibyście poznać.

Jeśli kupiliście tę książkę - a jeśli nie: Policja! Złodziej! (dowcip) - to wiecie o mnie wszystko. Oczywiście mnie znacie. W śródmieściu Barcelony jest ulica, a na Tajwanie kino mojego imienia, więc jeśli siedzicie sobie i czytacie to w jakimś Plainfield w New Jersey, to jasne, że mnie znacie.

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o moim życiu przed latem 1959 roku, znajdziecie w moich innych książkach. Niektóre z tych rzeczy są zabawne, a za to niekoniecznie prawdziwe, ale to, co jest nieprawdziwe, powtarzałem tak wiele razy, że po jakimś czasie stało się prawdą nawet dla mnie. Może i nie urodziłem się tak całkiem biedny („Byli my tak biedni, że...”), ale stanowczo nie urodziłem się bogaczem. I może w rzeczywistości pracowałem z raz czy dwa z Vince'em przed wieczorem, gdy - jak mówi moja biografia - spotkaliśmy się po raz pierwszy w kuchni kawiarni Arcadia i wymyśliliśmy dla siebie skecz na pięć minut przed wyjściem na scenę. Ale posłuchajcie: to, co wam teraz opowiem, będzie tak szczere i prawdziwe, jak tylko może być, nawet jeśli czasami nie pokażę się wam od najlepszej strony.

Opowieść musi się zacząć w apartamencie, który ja i Vince dzieliliśmy w hotelu Versailles w Miami, gdy tylko tam pracowaliśmy. Był to najlepszy apartament w hotelu, cudowny, prezydencki, choć Eisenhower nigdy się tam nie zatrzymał. Zresztą gdyby się zatrzymał, byłaby to olbrzymia strata, bo w 1959 roku Ike nigdy nie zdołałby przyjąć tytułu lasencji, ile przewinęło się przez te pokoje.

W tamtych latach wszystkie dziewczyny świata dzieliły się dla mnie na cztery kategorie: rozrywkowe, które ciupciałem, porządne, które w łóżku okazywały się rozrywkowe (te ciupciałem z przyjemnością), porządne, które w łóżku pozostawały porządne (te generalnie zostawiałem pracującym sztywniakom, bo cywile też muszą sobie pociupciać), oraz moją matkę. Tej nie ciupciałem pomimo to, jak menedżer nazywa mnie, gdy się wścieknie. Nigdy nie czułem chęci, by wyciupciać matkę. Trochę jak mój ojciec. (Dowcip).

Więc jest około piątej po południu, a ja w swojej sypialni właśnie dobiegam się do takiej jednej. Nazywa się Denise i jest piarówką hotelu. Podrywałem ją od trzech dni bardzo po dżentelmeńsku, „z galanterią”, jak to się mówi, a teraz zrzuciła dla mnie kieckę i leży przykryta do połowy kołdrą. Nosi jeden z tych głęboko wyciętych staników, które niżej zmieniają się w coś jakby półgorset (choć ta dziewczyna nie potrzebuje gorsetu, bo jest naprawdę chuda). Stanik kończy się na poziomie dolnych żeber i podtrzymuje piersi, które jakby się unosiły na platformie, co przy sukienkach z głębokim dekoltem sprawia wrażenie, że są znacznie większe, niż się w końcu okazują. Takie małe oszustwo. Majteczki nie pasują do góry - są jasnoniebieskie, a stanik czarny. Dlaczego kobiety uważają, że to w porządku?

Mam właśnie ściągnąć wkurzające majteczki, a ona nie robi nic, żeby mnie powstrzymać, kiedy rozlega się pukanie do drzwi salonu. Wzdycham z irytacją. „Nigdzie nie odchodź” - ostrzegam ją. (Jakbym się przejmował!). Wyjmuję czarno-czerwony jedwabny szlafrok z szafeczki, gdzie zawsze zostawia mi go Reuben, mój służący Filipińczyk, i podchodzę do drzwi apartamentu. To obsługa hotelowa z szampanem, którego zażyczyła sobie Denise (cena wstępu, z mojego punktu widzenia).

Wpuszczam obsługę hotelową do sypialni. Można się wiele dowiedzieć o kobiecie po tym, jak się zachowuje, kiedy leży w łóżku, a do pokoju wchodzi obsługa hotelu. Czasami dziewczyna siada i zapala papierosa, jakby nie było nic dziwnego w tym, że pod kołdrą jest goła, a ja paraduję w szlafroku; jest oczywiste, że właśnie się bzykamy, więc czemu nie mielibyśmy wpuścić do pokoju obcego ubranego w czerwony uniform ze złotym galonem? Są też takie, które naciągają kołdrę na głowę i udają, że śpią - albo nawet lepiej, kładą się plackiem, na płask, myśląc, że łóżko będzie wyglądało na puste. Nieśmiałość. To lubię.

Tym razem (jak często zdarza się Vince'owi i mnie) boy hotelowy okazuje się dziewczyną. Fantastyczną, cudowną dziewczyną o rudych włosach, spływających lśniąco kaskadami burgunda na złoty galon. Uniform pasował naprawdę dobrze (to znaczy: był bardzo obcisły), a babka

miała niezłą figurę, daję słowo. Pomyślałem, że chętnie zaciągnąłbym ją do wyra zamiast Denise.

Zamówilem „butelkę bąbelków marki Versailles”. Flaszkę wnoszą w kubek kruszonego lodu, a nazwa Versailles sprawia, że wino wygląda na francuskie, tak naprawdę jednak to Great Western z rejonu Finger Lakes w stanie Nowy Jork. Hotel kasuje od trzech do dziewięciu dolców za butelkę, ale to nadal znacznie mniej niż dwadzieścia dolarów za Cordon Rouge. Więc wszyscy są zadowoleni: hotel zdziera pokaźną marżę, dziewczyna myśli, że jest wyjątkowa, a ja mogę sobie strzelić korkiem. I tak często szampan ląduje na jej piersiach i brzuchu, a nie uwierzę nikomu, kto twierdzi, że odróżni krajowe od importowanego, kiedy je chłepce spomiędzy cycków, które już zostały spryskane nadmierną dawką perfum Arpège od Lanvina. (Tak naprawdę nie należę do facetów, którzy muszą mieszać seks z miodem, bitą śmietaną, siekanymi orzechami czy szampanem, ale niektóre kobiety oczekują tego typu bajerów po sławnym facecie, a ja nie chciałbym ich rozczarować. Jestem dość troskliwy, jeśli o to idzie).

Apetyczna dziewczyna z obsługi podniosła kubek z szampanem z wózka.

- Tam, koło kwiatów - mówię jej. Widzę, że Denise w łóżku pali salema.

- Mogę poprosić o autograf, panie Morris? - pyta dziewczyna z obsługi.

Ludzie są niesamowici, prawda? Oto jestem *flagrante delicto*, „śródcuciolino”, że się tak wyrażę, a ta chce mój autograf. Ale podchodzę do tych spraw bardzo życzliwie. Nigdy nie gryź ręki, która bije ci brawo, jak mawia mój agent.

- Jasne - odpowiadam. Podchodzę do stosu zdjęć dziesięć na osiem, które Reuben zostawia na toalecie razem ze scripto admirałem, jednym z niewielu flamastrów, nierozmazujących się na śliskiej powierzchni. W tym fachu człowiek dowiaduje się takich rzeczy.

- Jak ci na imię, kotku?

- Nie, chodziło mi o pański podpis, panie Morris. Na rachunku - mówi, podając mi skórzaną okładkę z kwitem za szampana w środku.

Denise w łóżku wydała z siebie ostre parsknięcie, co nie uszło mojej uwagi. No, ładnie. Zobaczymy, jak jutro będzie się śmiała na wspomnienie mojego imienia.

Spoglądam z powrotem na dziewczynę z obsługi. Ma fantastyczne zde-rzaki, co najmniej rozmiar C, a spodnie opinają się wokół jej tyłeczka jak na dwóch niezależnie rosnących, rozkołysanych melonach. Obejrawszy ją z tej strony, patrzę na buzię. Ma w sobie to irlandzkie coś, idę o zakład, że na imię jej Maureen. (Rzeczywiście, jak się dowiaduję. Jestem niesamowity).

Uśmiecha się. Drobne ząbki, szeroki język. To lubimy. Dodaje pośpieszenie:

- To znaczy, proszę mi wierzyć, z radością wzięłabym od pana autograf, tylko że nie wolno nam prosić.

Uśmiecham się do Denise w łóżku, gdy podpisuję rachunek dla dziewczyny z obsługi, dodaję pod spodem napiwek i dopisuję: „Dryndnij do mnie do pokoju za godzinkę”. Wkładam kwit w okładkę, dziewczyna bierze go ode mnie i mówi:

- Bardzo dziękuję. Gdyby potrzebował pan czegoś jeszcze, panie Morris, proszę po prostu spytać o Maureen z obsługi pokojowej.

Nie zajrzała w rachunek, więc odprowadzam ją do salonu.

- Zostawiłem ci mały napiwek - mówię, wskazując na skórzaną okładkę. - Powinnaś tam zajrzeć po wyjściu. Myślę, że się nie rozczarujesz.

Ona znowu dziękuje, podczas gdy ja lekko klepię ją po dupie i zamykam za nią drzwi. Spoglądam na drzwi sypialni Vince'a na drugim końcu salonu. Są zamknięte. Podchodzę do nich i pukam dwa razy, raz i znowu dwa razy. Nasz umówiony sygnał. Nikt nie odpowiada. Następnie pędem wracam do Denise, która właśnie gasi niedopałek salema. Zrzucam szlafrok.

- Kto tam przed chwilą pukał? - pyta zirytowana.

- Ja. Do Vince'a. Upewniałem się, że go nie ma. Robi się ostrożna.

- Powiedział, że jedzie do Palm Beach.

- Jasne. Po prostu pomyślałem, że przezorny zawsze ubezpieczony. - Sięgam pod kołdrę i zsuwam jej majtki. - A właśnie, skoro o bezpieczeństwie mowa...

- Nie, nie we mnie - mówi Denise. - Okres skończył mi się dwa tygodnie temu.

- Użyję trojana.

- Raz wpadłam z palantem, który używał trojana.

- Strzeżcie się Greków przynoszących dary - mówię, co uznałem za dowcipne. Niektórzy są bardzo zaskoczeni, kiedy słyszą z moich ust taki intelektualny żart.

Ale nie ona. Zamiast tego mówi:

- Zabieg kosztował mojego ojca pięćset dolarów. Lekarz, który go dokonywał, był młodszy niż ja. Pewnie student zarabiający aborcjami na studia medyczne. Chyba nie odwalił najlepszej roboty. Wciąż czuję się trochę niespecjalnie, kiedy siusiam.

W tym momencie kubel z lodem wydał mi się bardziej zachęcającym miejscem do parkowania niż ta chuda maruda. Te piarówki, każdy hotel ma co najmniej jedną. Założę się, że schodzą z taśmy produkcyjnej w Detroit, gdy nie ma popytu na studebakery. Zimny metal, lśniący lakier, tak

samo twarde w zderzeniu. (Dla Vince'a piarówki są zupełnie jak kosz owoców w dzień przyjazdu. „Z wyrazami uszanowania od dyrekcji”).

Duszkciem wychylam kieliszek szampana, żeby rozruszać libido. Nalewam jednego Denise i drugiego sobie.

- Za nas! - mówię. Wypijam połowę drugiego kieliszka i odpinam jej stanik, podczas gdy ona sączy swojego szampana. Jest dokładnie tak, jak myślałem: biustonosz powiększał je na maksa. Teraz interesuje mnie tylko, czy jej umiejętności oralne wybiegają poza paplanie felietonistom z Miami o sławnych gościach, którzy właśnie zatrzymali się w hotelu. Czuję rozbudzone nadzieje. Vince ma wysokie standardy w tym względzie.

- Za nas? - zasztydziła. - Ty i ja nie jesteśmy parą, prawda?

- Inaczej niż ty i Vince?

- Nie wiem. Czuję, że z Vince'em może chodzić o coś więcej - rozgląda się po pokoju - niż to.

- To co tu ze mną robisz? - pytam.

Uśmiecha się.

- Trudno ci odmówić. Tak naprawdę nie dajesz dziewczynie szans. To dość pociągające. Poza tym fajnie jest być obiektem zainteresowania Lanny'ego Morrisa, nawet jeśli chodzi tylko o dwadzieścia cztery godziny, gdy jego partner jest poza miastem. Aż do wczoraj nie wiedziałam nawet, że się mną interesujesz, od obiadu ciągle mnie zagadujesz, a teraz leżę nago w twojej sypialni.

- Nie musisz tego robić - sugeruję.

- Och, kiedy taka już jestem. - Zapala następnego papierosa, co, moim zdaniem, nie jest zbyt sympatyczne, jeśli wziąć pod uwagę, co dla niej zaplanowałem. - Kiedy dorastałam, zepsuto mnie pieśzcotami, więc teraz sama muszę psuć sobie życie. Lubię Vince'a. Zastanawiam się, czy czeka nas jakaś przyszłość poza waszym trzytygodniowym pobytem. Więc według zasad, które kierują moją psychiką, nadszedł czas, żebym pod nieobecność Vince'a przespała się z jego partnerem. - Rozchyliła nogi. - Co o tym myślisz?

Myślę, że znam ten typ dziewczyn z każdego miasteczka uniwersyteckiego, gdzie kiedykolwiek graliśmy. Występują pod postacią magistrantek, asystentek, a w większych miastach po ukończeniu dwudziestu dwóch lat „kobiet z karierą”. Bezwzględnie najłatwiejsze do bzyknięcia w tym kraju. Na imprezach cały wieczór naburmuszone podpierają ściany, podczas gdy ty próbujesz oczarować jakąś kształtną blondynę. A one będą tak stały w prostych czarnych sukienkach, z ponurymi ciemnymi włosami: neurotyczne, gustujące w protest songach pseudointelektualistki, wyznające zasadę: „Muszę się przespać z Murzynem, zanim umrę, bo inaczej nie będę prawdziwą liberałką”.

Około trzeciej nad ranem blondynka dała ci kosza, więc proponujesz, że odwieziesz neurotyczną brunetkę do domu. Podczas jazdy jesteś burkliwy i małomówny. Podjeżdżasz pod jej dom albo akademik, w którym mieszka, i pytasz, czy nie ma ochoty na bzykanko na tylnym siedzeniu. Ona mamrocze pod nosem: „Dobra, w porządku”, i rżnicie się, aż wam się mózgi lasują. Kiedy jest po wszystkim, nie da ci nawet numeru telefonu. „Było, co było”, mówi. Kiedy podchodzi do frontowych drzwi, zauważasz, że w ogóle nie ma dupy.

Teraz też zauważam brak dupy, gdy dymam Denise. Ona hałasuje i ja hałasuję, ale nie na tyle, żebym nie usłyszał, jak otwierają się drzwi do sypialni.

Wchodzi Vince.

- Lanny, postanowiłem jednak nie jechać do Palm Springs... - mówi.

Czuję, jak Denise pode mną zmienia się w śliską salamandrę, jej skóra robi się natychmiast wilgotna i zimna. W niespełna dwie sekundy temperatura spadła jej o trzydzieści stopni. Patrzy na Vince'a. Wstaję z niej, co sprawia, że wygląda naprawdę goło, nie seksownie, tylko tak, jakby leżała na stole operacyjnym. Teraz patrzy na mnie i widzę, że myśli, że skoro jestem taki bystry i taki sławny, na pewno umiem powiedzieć coś, dzięki czemu wszystko się ułoży.

- Przepraszam, Vince - mamroczę.

Uwielbiam Vince'a. Facet ma klasę. Podchodzi do kubelka z szampanem i nalewa sobie kieliszek. Pociąga łyk i krzywi się.

- Jezu, w dzisiejszych czasach każdego sikacza nazwą „szampanem”. Który to rocznik? Dziewiętnaście po dwunastej? - Wylewa zawartość do kubelka, wyciąga paczkę cavalierów i zapala papierosa jednym pstryknięciem złotej zapalniczki. Zaciąga się głęboko, wydycha dym i strzepuje popiół do kubelka. - Więc?

Patrzę na niego.

- Więc co?

Wskazuje na Denise.

- Mam nadzieję, że ją kochasz. Bo jeśli ją kochasz, to mówię: Niech tam, pal sześć! Kochajcie się i tak dalej. Ale jeśli nie, to znaczy, że bardziej zależy ci na szybkim numerku niż na naszej współpracy.

- Vince... - zaczyna Denise.

Spogląda na nią zdziwiony, że w ogóle się odezwała. Robi taką minę, jakby mówił: „Ciekawe, co mądrego mogłabyś powiedzieć w tej sytuacji”.

- Czy mój partner cię gwałcił? - pyta Vince i rozgląda się po pokoju. - Jakoś nie widzę śladów walki. Widzę plamkę na prześcieradle, ale nie wyglądamy mi raczej na krew.



Denise sięga po salema i zapala.

- Nieważne - mówi.

Pod prawym okiem rozmazał jej się trochę tusz do rzęs. Wygląda jak plama czekoladowej polewy wokół ust dziecka. Zdaje się, że czuła do Vince'a więcej, niż myślałam.

Vince zwraca się do mnie.

- Wiedziałaś, że znaczyła dla mnie więcej niż inne, Lanny? Bo jeśli tak, to oznacza to wrogie działanie. - Odwraca się do Denise. - Powinnaś nas teraz zostawić. To sprawa między mną a moim partnerem.

Patrzemy, jak wkłada na gołe ciało sukienkę i wsuwa na nogi buty. A potem jakimś sposobem upycha resztę - majteczki, rajstopy - w małej torebeczce. Robi mi się jej żal, ale co się stało, to się nie odstanie. Mówi:

- Vince, jest coś, co powinieneś o mnie wiedzieć. Kiedy...

- Denise. Pieprzyłaś się z moim partnerem. To koniec.

Parokrotnie kiwa lekko głową naszym skazaniec, który zgadza się z sędzią wydającym surowy wyrok. Patrzy na mnie.

- Lanny?

Milczę. Vince wrzuca cavaliera do kubelka z lodem. Słysząc ciche „pssst”. Wtedy Vince mówi do niej (i do mnie):

- Jeśli mój partner jeszcze raz się do ciebie odezwie, nie będzie więcej Collinsa i Morrisa. Kiedy odwołamy rezerwację, będziesz mogła osobiście wyjaśnić szefom dlaczego. Może również wytłumaczysz to naukowcom badającym polio... i wszystkim, którzy liczą, że ulżymy im w ciężkiej codziennej doli.

Nie mogę spojrzeć Denise ani Vince'owi w oczy.

Przeglądamy się, jak dziewczyna wychodzi z sypialni, i nasłuchujemy, gdy zamyka za sobą drzwi na korytarz.

Vince zapala następnego papierosa. Pozwalam sobie wyrazić pogardę, którą odczuwam:

- „I wszystkim, którzy liczą, że ulżymy im w ciężkiej codziennej doli”? - Przewracam oczami. - Jezu, Vince. Dzięki Bogu, to nie ty piszesz nam teksty.

Vince kiwa potakująco głową i robi do mnie oko.

- Dzięki, stary.

Ruszam do łazienki, narzekając:

- Mogłeś przynajmniej dać mi wystrzelić, na litość boską. Teraz cały wieczór będę laził jak pokrecony. - Wtedy przypomniała mi się apetyczna rudowłosa pokojówka Maureen i od razu poprawił mi się nastrój. Odkreśliłem wodę w prysznicu, czekając, aż polecą wrzątek.

Vince podążył za mną i przystanął przed framugą. Spojrzał na zegarek.

- Przepraszam, myślałam, że mam wparować dwadzieścia po.

- Tak, miałeś rację - przyznaję. - Obsługa hotelowa zajęła mi trochę więcej czasu, niż przewidywałem.

Vince próbuje mnie pocieszyć.

- Niczego tak naprawdę nie straciłeś, stary. Ona jest taka jak ta aktorka, którą wywaliliśmy. Jakżeż się nazywała? Ta, która była nieprawdopodobna podczas przesłuchania, a potem po każdej próbie robiła się odrobinę gorsza. Jak miała na imię?

- Sheila.

- Właśnie, Sheila. Za każdym razem Denise starała się, żeby to coraz bardziej przypominało miłość, a coraz mniej seks. Jeszcze tydzień, a zmieniłaby się w dziewicę.

Zrzucam szlafrok i wchodzę pod prysznic.

- Jasne! - wołam. - Kapuję. Raz zakochała się we mnie dziwka. Wtedy postanowiła, że nie robi ze mną niczego, co kiedykolwiek zrobiła z klientem. Powiedziała: „Tamto to praca. Między nami to co innego”. A ja na to: „Między nami koniec”.

Vince siada na klapie klozetu.

- Dzięki, że tak ładnie mnie od niej uwolniłeś. Możliwe, że będziemy musieli jeszcze kiedyś tutaj pracować.

- Zrobiłbyś dla mnie to samo, racja? - stękam. Reuben wyłożył mi mydło camay, ale kranówka w Miami jest mimo to bardzo twarda. Opłukiwanie się było prawdziwą mordęgą.

- Masz jakieś plany na wieczór? - pyta Vince.

- Przez jakiś czas będę zajęty rudą Irlandką imieniem Maureen z obsługi hotelowej. Nie posuwasz jej, racja?

Widzicie, jak byliśmy sobie z Vince'em bliscy. Dam jeszcze jeden przykład. Tego samego wieczora wyglupiamy się dla publiki podczas drugiego występu. Musicie zrozumieć, że na tym etapie naszej zawodowej kariery, gdybyście wzięli pod uwagę część występu, która stanowiła przygotowaną zawnazs formalną całość, tekst nie zająłby więcej niż dwie strony, i to z podwójną interlinią. A dowcipy, niech Bóg się nad nami ulituje, wyglądały mniej więcej tak:

**VINCE:** Słuchaj, koleś, nie przyszedłem tu, żeby mnie obrażano!

**JA:** Aha. To dokąd zwykle idziesz? *Mina do publiczności.*

**VINCE:** Wolałbym zejść ze sceny.

**JA:** To co tu jeszcze robisz? *Galopada wokół fortepianu.*

**VINCE:** Dostyc tego! Nie zaśpiewam już żadnej piosenki.

**JA:** Zawsze dajesz publiczności, czego chce! *Spacer na wewnętrznych stronach kostek.*

Ale trzy czwarte naszego czasu na scenie wypełniały improwizacje, po prostu klaunady. Dzięki sukcesom filmowym i sypiącym się ze wszystkich

stron zaproszeniom do występów telewizyjnych jedynym powodem, dla którego wciąż graliśmy w nocnych klubach, były zobowiązania kontraktowe wobec pewnych ludzi, którzy zabiliby nas, gdybyśmy się nie wywiązali, serio. Tak więc traktowaliśmy kilkutygodniowe pobyty w Versailles, w Biarritz w Las Vegas i Casino del Mar w północnym New Jersey trochę jak pracę wakacyjną.

A kiedy bawiliśmy publikę, byliśmy jak zwiadowcy rozpoznający teren. Rozeznanie dotyczyło tego, z kim będziemy się później bzykać. Nie liczyło się, jeśli dziewczyny przychodziły na występ z randkami. Potem wracały bez nich. To był główny powód, dla którego nie przeszkadzały nam dwa występy jednego wieczoru; po pierwszym mój służący, Reuben, dawał dziewczynom znać, że zapraszamy je na drugi występ jako gości honorowych. Jak pozbywały się w tym czasie swoich chłopaków, nie wiem, ale zawsze im się udawało.

Tego konkretnego wieczoru mam już umówioną rudą Maureen, która obsłuży mnie później w pokoju, więc dla odmiany nie bawię się w zwiadowcę, tylko staram się nawiązać kontakt z publicznością, chodząc między stolikami. Ale pewien grubas cały czas mi przeszkadza. „Jesteś do dupy, Morris!” - krzyczy. „Nie jesteś zabawny!”. Wyraźnie ma coś przeciwko mnie osobiście. Zadaje sobie nawet trud, żeby śmiać się z tych kwestii Vince'a, które są w zamierzeniu poważne. Vince spogląda w głąb sali, żeby do akcji wkroczył ochroniarz, ale nigdzie go nie widać.

Zwykle nie daję krzykaczom przejąć kontroli nad występem, ale, niestety, ten facet jest naprawdę głośny i muszę jakoś zareagować.

- Proszę pana - mówię - czy kiedy pan chodzi do kina, rozmawia pan z ekranem?

- Wracaj, skąd przyszedłeś, sukinsynu! - Wspaniała riposta z jego strony.

Zastanawiam się, skąd - według niego - przyszedłem. Mam w zanadru mnóstwo ciętych odzywek, ale facet praktycznie nie daje mi żadnego punktu zaczepienia. Co gorsza, uwziął się tylko na mnie, Vince'a zostawia w spokoju.

Vince nie pozostaje obojętny na sytuację i próbuje „uprzejmie zawstydzić” klienta.

- Przepraszam, proszę pana. Wyraźnie nie podoba się panu nasz występ, ale psuje pan zabawę również reszcie tej przemilej publiczności. Kierownictwo zwróci panu pieniądze, jeśli nie udało nam się pana rozweselić. A teraz proszę nam pozwolić kontynuować występ.

Inni widzowie biją brawo, reagując dokładnie tak, jak Vince oczekiwał.

- Nie, ciebie wszyscy uwielbiamy, Vince! - krzyczy grubas. - Po prostu uważam, że błazen jest bałwanem.

Oczywiście, ma na myśli mnie.

Vince słyszy słowo „bałwan” i natychmiast cytuje piosenkę, którą napisałem dla niego do naszego pierwszego filmu, „W drobny mak”. Piosenka nosi tytuł „Mój kumpel i moja dziewczyna”. Vince recytuje:

- Panie, „To zaszczyt, że pracuję z tym bałwanem” - wskazuje na mnie i z mikrofonem w dłoni podchodzi do grubasa. Russ Cummings daje pianście sygnał, żeby zaczął akompaniować, podczas gdy Vince śpiewa: - „Z nim zawsze wiem, co jest grane. Ten błazen jest śmieszny jak żaden. Jego humor jest dla mnie bez ceny”.

Grubas wrywa Vince'owi mikrofon i mówi:

- Dobra, ale wykop tego mośka ze sceny!

Oczywiście na sali wybucha śmiech.

Vince także zaczyna się łamać. Lekko zmieszany mówi:

- Panie i panowie, rzadko zdarza się, żeby osoba z publiczności pokonała nas dowcipem, ale temu panu udało się ta sztuka i zastanawiamy się, proszę pana, czy byłby pan tak miły i pomógł nam na scenie. Ludzie, co wy na to?

Ludzie na to jak na lato. Vince wyjaśnia:

- Widzą państwo, Lanny i ja zawsze trzymamy w zanadrzu stary skecz pod tytułem „Egzamin dojrzałości” na okazje, gdy gościmy na scenie jednego z naszych sławnych przyjaciół. Ale nie sądzicie, że ten pan... jak się pan nazywa? Phil? Nie sądzą państwo, że Phil jest równie zabawny, co na przykład Red Buttons, Red Skelton, a nawet Red China?

Publika jest wniebowzięta i bije Philowi brawo, gdy ten wychyla resztę drinka. Vince jeszcze raz ucisza wszystkich machnięciem ręki i mówi:

- Dobrze, w tym skeczu nasz przyjaciel Phil zagra zwariowanego profesora, przed którym Lanny i ja będziemy zdawać egzamin maturalny... Więc jeśli wybaczyście nam na moment, pomogę Philowi przebrać się w kostium zwariowanego profesora. Russ, proszę o przerywnik muzyczny! - Spogląda na naszego kierownika kapeli, Russa Cummingsa, który szybko poddaje muzykom melodię „There'll Be Some Changes Made”.

Zupełnie nie wiem, co też, do licha, Vince zamierza zrobić, ale schodzi z upierdliwym Philem ze sceny, zostawiając mnie samego. Więc zaczynam odstawać numer, w którym pytam puzonistę, czy mogę pograć na jego instrumencie, gram kilka dźwięków, po czym wypada mi suwak i gdy usiłuję z powrotem go zamocować, „przez przypadek” przewracam wszystkie stojaki z nutami - teraz na scenie panuje kompletny bajzel, a ja zaglądam za kulisy i widzę, jak Vince grzmoci łbem grubasa o kaloryfer przy wejściu do garderoby. Facet odbija się od kaloryfera i ląduje na podłodze. Gdybym

powiedział wam, że gość ma złamany nos, minąłbym się z prawdą. Facet w ogóle nie ma teraz nosa. Został mu tylko fioletowosiny obrzęk nad ustami i pod oczami. Może pewnego dnia znowu będzie miał nos, ale na pewno nie w tym roku.

Publika nie może niczego zobaczyć ani usłyszeć, ale ja z miejsca, w którym stoję, widzę sporo. Grubas jęczy słabo. Vince pochyla się nad nim i mówi: „Nazywaj sobie każdego Żyda na tej planecie, jak ci się tylko podoba, nic mnie to nie obchodzi. Ale nikt nie będzie przeżywał mojego partnera mośkiem, rozumiano?”. Potem przykopał mu jeszcze na dokładkę i pewnie dalej by faceta masakrował, gdyby Reuben nie interweniował. Odciągnął Vince'a na bok i poprawił mu smoking (o dziwo, ani kropla krwi nie zabrudziła Vince'owi przodu koszuli, ale taki już jest Vince, mówię wam). Po chwili Vince wraca na scenę, elegancki jak zawsze.

Teraz ludziska się zastanawiają, gdzie jest Phil. Więc pytam Vince'a w imieniu publiczności:

- Hej, gdzie się podział nasz przyjaciel Phil?
- Chyba ma atak tremy. Twierdzi, że czuje motylki w brzuchu - odpowiada Vince.
- Oj, obawiam się, że może chodzić o coś gorszego - mówię.
- O co?
- Może mieć motylicę! - piszczę i odstawiam taniec typu „bardzo się wstydzę, że jestem taki śmieszny”. Kapela zaczyna grać jeden z rockandrollowych kawałków i wyglupiam się tak przez pięć minut, aż wreszcie wywijam popisowego orła.

Najbardziej z całej sali śmiali się ludzie przy stoliku Phila. Miesiąc później nie było im już do śmiechu, gdy Vince oświadczył przed sądem, że ich kumpel potknął się o składane krzesło za kulisami. Reuben, oświetleniowiec, garderobiana i tancerki rewiiowe potwierdzili jego zeznanie. Ochroniarz klubu też tak powiedział, a był szczególnie dobitny, biorąc pod uwagę, że podczas zajścia przebywał w jednej z przebieralni, gdzie szansonistka ciągnęła mu druta. Sędzia strzelił adwokatowi Phila mały wykład na temat ludzi, którzy wnoszą bezpodstawne skargi na sławnych i bogatych współobywateli. Później podpisaliśmy dla sędziego parę fotosów, jeden do jego urzędowego gabinetu, a drugi dla bratanka, właściciela stadniny. (Napisałem mu: „Koń by się uśmieł!”. Urocze).

Posuwanie panienek i rozwalanie łbów facetom. Mówię wam, nie było na tej ziemi niczego, czego byśmy z Vince'em nie zrobili dla siebie nawzajem.

**W** bibliotece prawnej Hillmana zamknęłam powoli segregator, jakbym nieodwołalnie zatrzaśkiwała drzwi za wychodzącym gościem, który zasiedział się na kolacji do pierwszej w nocy, podczas gdy pozostali mieli dość przyzwoitości, by wyjść przed jedenastą\*.

\* Byłoby zaiste zdumiewającym wyczynem, gdyby udało mi się zapamiętać co do joty wspomnienia Lanny'ego Morrisa, które właśnie przytoczyłam. Oczywiście, od czasu, gdy po raz pierwszy przeczytałam je w kancelarii Hillmana, miałam do nich dostęp i zdobyłam prawo ich cytowania.

Świetnie. Z rękoma przywiązany do pała obwarowań prawnych sta-  
nęłam twarzą w twarz z Bestią i przeżyłam. Lanny Morris nie był King  
Kongiem ani Draculą, nie miał ani dobrego serca przerośniętego goryla,  
ani zimnej krwi wampira. Teraz drążyło mnie przede wszystkim jedno  
pytanie, a gdy John Hillman ponownie wszedł do pokoju bez pukania,  
zdałam sobie sprawę, że jest jedyną osobą w pobliżu, która może znać  
odповідź.

- Panno O'Connor, pani czas minął. Proszę mi wybaczyć, że muszę... -  
Wziął segregator i szybko przekartkował strony, upewniając się, że żadnej  
nie brakuje. Potem skinął głową do Naomi, która dała do zrozumienia, że  
powinnam znowu unieść ręce nad głowę.

Zobaczyłam, jak Hillman nieświadomie oblizuje wargi. Znoszenie tego,  
na co pozwalała sobie Naomi, to jedno, lecz zapewnianie Hillmanowi wra-  
żeń, które wykorzystałby potem w łazience do celów masturbacyjnych, to  
zupełnie co innego. Zapytałam, czy nie byłby uprzejmy się odwrócić.  
Spełnił moją prośbę, wzruszając wyniośle ramionami.

Oprócz dotyku rąk Naomi czułam, że ogarnia mnie inne obrzydliwe  
doznanie, które wiązało się z tym, co właśnie przeczytałam. Nie było to po-  
 prostu poczucie, że „z tym obrazkiem jest coś nie tak”. Nie, przypominało

to raczej sytuację, w której poproszona o wykrzycie, co w tym obrazku nie pasuje, nagle zauważam, że cały jest wytatuowany na plecach trupa.

Gdy Naomi wytoczyła się z biblioteki, Hillman musiał zauważyć wyraz oszołomienia na mojej twarzy, bo zapytał, czy coś się stało.

Usiadłam z powrotem na krześle i odparłam:

- Zupełnie nie rozumiem, czemu Lanny Morris pozwolił mi przeczytać to, co właśnie przeczytałam. W kategorii autoportretów ten nie sprawia wrażenia zbyt... Czytał pan to? - spytałam, wskazując segregator.

Pokiwałam głową.

- To dosyć mocny materiał, przyznaję. Pozbawiony wszelkich zaha-mowań, oględnie mówiąc.

- Czemu miałoby mu zależeć, aby ktokolwiek poznał tę stronę jego ży-cia? - wyrzuciłam z siebie.

Z leżącego na bibliotecznym stole tekowego pudełka wyjął papierosa marki Sobranie.

- Mam na ten temat swoje teorie, ale oczywiście mogą tylko zgadywać.

Posłałam Hillmanowi gorliwe i uważne spojrzenie, jakim zwykle sy-gnalizowałam uległość wykładowcom college'u. Pozwolił sobie na mentor-ski ton:

- Zdaje się, że to Jack Kerouac powiedział kiedyś, że każdy nosi w so-bie jedną wielką książkę.

Wzruszyłam ramionami.

- Szkopuł w tym, że Jack Kerouac napisał więcej niż jedną.

Uśmiechnął się.

- Możliwe, że to był Jack London. Ja sam... - Przypalił czarną bibułkę papierosa z bałkańskim tytoniem. - Wystarczy zauważyć, że choć wiele osób ogłasza zamiar napisania wspomnień, większość kończy na ułożeniu dedykacji. Podejrzewam, że mój klient pragnął dać pani wyraźnie do zro-zumienia, że rzeczywiście jest bliski ukończenia książki, która posłuży nie tylko jako jego autobiografia, lecz również ostateczna historia współpracy Collinsa i Morrisa. Poznała pani teraz, by użyć dziennikarskiego żargonu, pisarski głos Lanny'ego. Może go pani określić, jak chce...

- Haniebnie narcystycznym, obrzydliwie szowinistycznym?

Odganiając moje słowa, zamachał ręką, która pozostawiła widmowy ślad błękitnego dymu.

- Podobna książka, tak szorstka, tak szczerza, sprawiłaby, że pani własne plany pisarskie... Cóż, w ciągu wieków pojawiło się sporo bardzo ładnych przekładów Biblii, ale wszystkie utraciłyby zainteresowanie czytelników, gdyby powiedzmy, znaleziono oryginalne kamienne tablice, na których Pan

Bóg ogłosił dziesięć przykazań. Nie sądzi pani?

Odpowiedziałam, że z tego, co właśnie przeczytałam, rozdział autobiografii Lanny'ego łączy z dziesięcioma przykazaniem wyłącznie całkowity brak tych drugich w tym pierwszym.

Hillman podniósł segregator opiekuńczym, macierzyńskim gestem i skomentował z oburzeniem:

- Tak się składa, że uważam, iż mój klient wspaniałomyślnie stara się zaoszczędzić pani mnóstwa pracy i przykrości związanych z przedsięwzięciem z góry skazanym na klęskę. - Kiedy odprowadzał mnie do drzwi, choć sama nie zamierzałam wychodzić, zapytał: - Słyszała pani kiedyś o Roaldzie Amundsenie?

Znałam to nazwisko, lecz nie wiedziałam skąd i przyznałam się do tego Hillmanowi.

Skinieciem głowy zachęcił mnie do wyjścia na korytarz.

- W 1911 roku brytyjski podróżnik, Robert Falcon Scott, wyruszył na czele małej ekspedycji na Antarktydę z zamiarem zdobycia po raz pierwszy w dziejach bieguna południowego. Zarówno on, jak i jego ludzie musieli znosić niewyobrażalne trudy. Kiedy wreszcie osiągnęli swój cel, odkryli, że norweski podróżnik nazwiskiem Amundsen dotarł tam pięć tygodni wcześniej. Wszystkie ich wyrzeczenia i cierpienia poszły na marne. W drodze powrotnej Scott i jego towarzysze zmarli. - Hillman uśmiechnął się do mnie. - Myślę, choć jest to tylko osobista interpretacja, że mój klient chce, żeby pojęła pani, że jest kimś w rodzaju Amundsena. Że sam już dotarł do biegu na południowego, bo nie tylko przeżył, lecz i opowiedział swoją historię. Myślę, że pragnął zaoszczędzić pani bezsensownych wysiłków Scotta, którego w rezultacie spotkała zimna i samotna śmierć.



## 8

Siekący sierpniowy deszcz w Los Angeles. Podobnie jak dwudziesty dziewiąty lutego, zdarza się co jakiś czas, a wtedy dopiero jest heca! Uliczne studzienki odpływowe wariują, woda w nich zaczyna się pienić i przekracza dopuszczalny poziom bardziej niż wydatki w budżecie „Kleopatry”. Połowa urodzonych w Los Angeles kierowców, nigdy wcześniej nie zetknąwszy się z rześistą ulewą, nadal jeździ z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, bez świadomości poślizgu. Druga połowa, nigdy wcześniej nie zetknąwszy się z rześistą ulewą, natychmiast zawraca, jedzie do domów piętnaście kilometrów na godzinę i nie wypuszcza się na miasto przez wiele następnych dni. Ta masowa ucieczka południowych Kalifornijczyków do domów sprawia podobno, że obywatele „czytają dla przyjemności” - ale jak mówię, w Los Angeles rzadko pada.

Mój taryfiarz wpatrywał się z lękiem w widok za przednią szybą, zmienioną przez obfity deszcz w impresjonistyczny pejzaż. Zlewające się na szkle barwy dnia wprowadziły go w stan takiego szoku, że w momencie chwilowej dezorientacji przemówił po angielsku.

- Pierdolona ulewa - mruknął i łypnął na mnie w lusterku wstecznym, jakbym mogła na to coś poradzić, na przykład pójść piechotą. Ale moje torby leżały już w bagażniku, obok płamy oleju samochodowego, która jest obowiązkowym elementem wystroju wszystkich bagażników taksówek w południowej Kalifornii.

Dojechaliśmy do Międzynarodowego Portu Lotniczego Los Angeles, z kosmicznym Theme Building, zaprojektowanym przez Franka Lloyda Jetsona, i dotarliśmy do białej strefy, przeznaczonej dla przylatujących i odlatujących pasażerów linii American Airlines. Moi redaktorzy z Neumana i Newberry'ego uznali, że muszę się z nimi pilnie spotkać w Nowym Jorku, aby przeanalizować umowę, którą wynegocjowałam z Vince'em. Rozmowa telefoniczna, jak ta, którą odbyłam już z działem ekonomicznym,

całkowicie by wystarczyła, lecz ze względu na wielkość sumy, jaką musieli wyłożyć, wydawcy chcieli, żebym jeszcze raz, osobiście przedstawiła im warunki kontraktu. Bezcelowe i nie do uniknięcia.

Taszcząc torbę, którą szorowałam do czysta posadzkę terminalu, zbliżyłam się do długiej kolejki przy stanowisku kontroli biletowej. Z radością spostrzegłam, że pasażerów pierwszej klasy odprawiano osobno, a dzięki łaskawości Neumana i Newberry'ego (a także agenta, który negocjował dla mnie kontrakt) znalazłam się w grupie tych wybrańców.

Mimo że w tamtych czasach obowiązywały tylko dwie klasy podróży, ekonomiczna stanowczo była trzeciorzędna. Pierwsza klasa oznaczała większy fotel ze znacznie lepszym widokiem: przeciskających się między siedzeniami pasażerów klasy ekonomicznej, którzy łypali na nas zazdrośnie, zastanawiając się, kim jesteśmy, żałując, że nie są nami, i zauważając lampki szampana w naszych dłoniach. Wszelkie napoje alkoholowe, serwowane w pierwszej klasie, były najwyższej jakości i nalewano je z butelek normalnych rozmiarów do pełnowymiarowych kieliszków i szklanek. Podczas lotu alejką między siedzeniami przetaczał się wózek z kawiozem, popychany przez stewardesy (same blondynki) imieniem Kim albo samotnego stewarda (blondyna, zawsze geja) imieniem Karl. Do kawioru („Czy życzy pani sobie pokrojone w kosteczkę jajko na twardo? Kapary? Siekaną surową cebulkę? Kapkę świeżo wyciśniętego soku z cytryny? Grzanek?”) serwowano wysmukłe butelki wódki stolicznej, chłodzące się w kruszonym lodzie. Do rybnej przystawki (na przykład owoców morza w sosie jajeczno-śmietanowym albo plasterków irlandzkiego wędzonego łososia) proponowano chablis *premier cru*. Podczas konsumpcji medalionu z polędwiczki wołowej *au poivre vert* (wiem, wiem!) sącyliśmy *gevrey-chambertina*. Na koniec posiłku podjeżdżał wózek z deserami, spośród których można było zamówić puchar lodów polanych gorącym karmelem i półgorzką czekoladą. Następnie materializował się wózek z likierami, dzwoniąc rytmicznie butelkami, a później podawano kawę, lecz nawet wtedy nigdy nie omieszkało zaproponować szklaneczki irlandzkiej whisky albo lampki koniaku czy armaniaku. Szczerze mówiąc, to cud, że samoloty nie latały po prostu na gorzale. W kabinie pierwszej klasy znalazłoby się dość paliwa, by utrzymać lot boeinga (i siebie) w strefie oczekiwania nad krainą Wielkich Jezior przez pół miesiąca.

Za ten poziom niezwykłych (choć, jak czułam, zupełnie zasłużonych) usług moi wydawcy płacili dodatkowe siedemset dolarów. Musicie jednak pamiętać, że moje słuchawki były za darmo.

Podeszłam do kobiety za kontuarem odprawy biletowej.

- O'Connor? - spytałam radośnie. - Lot pięćset siedemdziesiąt na lotnisko JFK.

- Pierwszą klasą? - zapytała, spoglądając w górę na znak z napisem ODPRAWA PASAŻERÓW PIERWSZEJ KLASY.

- Oczywiście - mruknęłam urażona i pragnąc pokazać, że nie zaśląkałam się tu przez przypadek, spytałam: - Lecimy jumbo jetem, zgadza się? Latam tylko jumbo jetami.

Odparła, że oczywiście to jumbo jet, i wydrukowała mi kartę pokładową.

Nie żartowałam, że wolę podróżować jumbo jetami. W przelotach Los Angeles/Nowy Jork pierwszą klasą na pokładzie boeinga 747 najbardziej uwielbiałam komfortowy barek wypoczynkowy na pięterku. Po krętych schodkach wchodziło się na wyższy pokład, a tam znajdował się salon z trzema biegnącymi wzdłuż ścian ławami, obitymi pomarańczowo-czerwoną tapicerką. Był tam też wąski, dobrze zaopatrzony bar i w najwcześniejszym wystroju pianino elektryczne Fender Phodes. Po spożyciu obiadu albo kolacji zwykle w stanie nieważkości odpływałam do tego saloniku, darując sobie oglądanie filmu (w którym, według przepisów Federalnego Zarządu Lotnictwa Cywilnego, koniecznie musiał występować Michael Caine) i wybierając raczej czytanie książki, przerywane wyglądaniem przez okienko na kontynenty chmur pod nami.

Tak się składa, że nie jestem amatorką latania. Beejay, koleżanka, z którą dzieliłam pokój na studiach, powiedziała mi przed moim pierwszym przelotem, że ryzyko śmiertelnego wypadku jest wyższe w naszej łazience niż na pokładzie samolotu... z czego wywnioskowałam, że nigdy, ale to przynigdy, nie wolno korzystać z łazienki w samolocie, ponieważ jest to oczywiście najbardziej niebezpieczne miejsce na świecie. Jednym z powodów, dla których tak lubiłam salon na górnym pokładzie, było przeświadczenie, że gdyby samolot się rozbił, miałabym pod sobą innych pasażerów, którzy zamortyzują mój upadek.

Może Kim i Karl pozwoliliby mi tam usiąść już przy starcie? Weszłam w teleskopowo rozkładający się tunel rękawa, jakich używały teraz wszystkie linie lotnicze, i przekroczywszy próg jumbo jeta, postanowiłam natychmiast wybrać się krętymi schodkami na pięterko na powitalnego drinka w postaci jednej albo dwóch lampek szampana...

Tyle że krętych schodków nie było. Najwyraźniej ktoś musiał je ukraść. Zapytałam o to stewardesę imieniem Kim, nie kryjąc przy tym powagi sytuacji. Jej odpowiedzi bynajmniej nie poprawiły mi nastroju. Tak, samolot jest szerokokadłubowy. Tak, to jumbo jet. Tak jak w modelu 747, kabina pierwszej klasy znajduje się na lewo od drzwi. Nie, to nie jest model

747. Nie wszystkie jumbo jety to siedemsetczterdziestkisiódemki.

Olaboga! To model DC-10.

Kim podała mi kieliszek szampana na ukojenie nerwów, a ja o mało nie zapomniałam jej podziękować, bo tak bardzo się zagubiłam, próbując znaleźć swoje miejsce. Rozmieszczenie foteli w przedniej części kadłuba DC-10 było niezwykle: dwa, dwa i dwa. Okazało się, że mam siedzieć w ostatnim rzędzie po środku. Całe kilometry od okna. Na wprost miałam wprawdzie dobry widok na ekran, gdzie wkrótce pojawi się Michael Caine. Ale nie mogłam zobaczyć pierzastych kontynentów chmur, które tak uwielbiałam.

- Ile macie rezerwacji? - spytałam Kim. - Udałoby się zamienić miejsce na fotel przy oknie?

Kim zwróciła się do starszej stewardesy, która pomagała jakiemuś panu zdjąć sportową marynarkę.

- Helen, mamy wolne miejsce przy oknie?

Helen smutno pokręciła głową.

- Niestety, obawiam się, że pierwsza klasa jest zapełniona, właśnie sprawdzałam to dla Marge przy bramce. - Popatrzyła na mnie przepaszająco. - W klasie ekonomicznej też mamy prawie komplet, więc nie możemy pani zaoferować miejsca nawet tam - dodała i oddaliła się.

- Czy zechciałaby się pani napić jeszcze szampana? - zaproponowała Kim.

Usiadłam i przyjąłam jej propozycję, podczas gdy ona usiłowała mnie przekonać do zalet DC-10.

- Te fotele w środkowym rzędzie są naprawdę wspaniałe. Widzi pani, jeśli naciśnie się tutaj... mogę pokazać? - Stopą przydepnęła guzik u podnóża mojego fotela. - Siedzenie obraca się w prawo i w lewo, czego nie można zrobić z fotelami po bokach. - Przekręciła mnie czterdzieści pięć stopni w jedną, a potem czterdzieści pięć stopni w drugą. Fiuu! To nawet lepsze od mechanicznego kucyka przed Woolworthem i tylko siedemset doliczów za przejazdżkę.

Następnie Kim pokazała na niski okrągły stolik na prawo ode mnie.

- A to się rozkłada, dzięki czemu będzie miała pani pełnowymiarowy stół obiadowy, kiedy podamy nasz Kapitański Poczęstunek na adamaszkowym obrusie i ze sztućcami firmy Fornari, więc nie będzie pani musiała jeść z tacki. To też opcja dostępna wyłącznie dla tych, którzy siedzą w środkowym rzędzie. A dzisiaj serwujemy państwu pieczeń wołową, krojona według państwa uznania przy stolikach.

Wyraźnie przerzuciła się na automatycznego pilota. Wzruszyłam ramionami i zagłębiłam się w fotelu, przyjmując z rezygnacją swój marny los.

Do tego czasu sektor pierwszej klasy zdążył się już prawie zappełnić. W rzędzie po lewej ode mnie siedział dość młody brytyjski menedżer w blezerze od Cardina i jasnoszarych spodniach, które były węższe niż węzeł jego krawata. Towarzyszyła mu porażająco chuda skandynawska modelka w białym topie bez rękawów, ozdobionym prążkami, które ładnie współgrały z błękitnymi żyłkami na lewym ramieniu. W fotelach przed nimi siedzieli dwaj Hindusi, obaj w ubraniach z podwójnie tkanych materiałów, jeden w błękitnym garniturze model LEEsure firmy Lee Jeans, a drugi w brązowej poliestrowej koszuli Trevira o ciepłym odcieniu brązu z jaskrawożółtym octanowym fularem pod brodą. Dwa siedzenia przede mną były jeszcze wolne. Fotel bezpośrednio koło mnie po prawej też nie został zajęty (może nie będę miała sąsiada, co prawie zrekompensowałoby mi brak saloniku wypoczynkowego na piętrze). Na parze siedzeń w rzędzie z prawej usadowili się kobieta i mężczyzna o porównywalnie pękatych brzuchach, które prawdopodobnie wykluczały pozycję misjonarską z listy dostępnych im opcji erotycznych. Fotele przed nimi zajmowali dwaj nie znający się chyba nawzajem biznesmeni, jeden pochłonięty lekturą „Człowieka terminala” Michaela Crichtona, drugi zajęty papierkową robotą.

Chociaż samolot nadal stał podstawiony pod bramę, w pierwszej klasie zapanowało senne odrętwienie, jakby obsługa zrobiła już, co do niej należało, i jakbyśmy teraz wszyscy czekali na... co?

Helen ściszoneym głosem rozmawiała przez zamocowany do ściany telefon samolotowy. Ponieważ stała przy wciąż otwartych drzwiczkach tuż za moim fotelem, słyszałam urywki tego, co mówiła. „Stoimy tu od dziesięciu minut, Marge, kapitan czeka już tylko ze względu na ciebie... Na pewno tylko trzech, tak? Bo został mi już jedynie mój własny fotel... Okej”. Zauważyła, że na nią patrzę, błysnęła profesjonalnym uśmiechem, odwieściła słuchawkę i zawołała do Kim: „Pomóż mi, robimy LMA!”. Nagle wszystkie stewardesy ustawiły się z gracją przy wejściu. Na pokład wkroczył ochroniarz o ostrych rysach twarzy, ubrany w koszulę z krótkim rękawem. „Dobra, wchodzimy” - powiedział przez walkie-talkie. „Tędy, panowie” - dodał do trzech mężczyzn, którzy wsiedli za nim do samolotu.

Helen i dziewczyny imieniem Kim wydały z siebie ściszone powitalne pomruki. Trzej mężczyźni wkroczyli na pokład z poważnymi minami, jakie ludzie zwykle przybierają, kiedy obsługuje się ich poza kolejnością. Dwaj z nich ruszyli w kierunku pustych foteli bezpośrednio przede mną. Trzeci zatrzymał się koło mnie po prawej i z przepraszającym uśmiechem zajął sąsiednie miejsce. Miał ciemną, złocistą cerę, łagodne rysy i piwne oczy. Typ euroazjatycki, może trochę latynoski, pod sześćdziesiątkę. Nosił

nienagannie czysty, lecz nienowyy już czarny garnitur. Kropelki deszczu lśniły mu na włosach, które i tak były pełne blasku. Skrzyżował ręce na piersi, spojrzał prosto przed siebie i uśmiechnął się w pustkę.

Na fotelu przed nim kręcił się nerwowo niski mężczyzna, którego barki ginęły gdzieś w granatowym blezerze. Musiał się ożenić z kobietą, której się bał, ponieważ pod swetrem nosił kwiecistą koszulę, jakiej nigdy by sobie nie kupił. Kiwnięciem palca przywołał Helen.

- Poproszę smirnoffa z lodem. I poduszkę.

Helen uśmiechnęła się tylko półgębkiem.

- Przyniosę panu drinka wkrótce, ale mamy małe opóźnienie, jak zapewne pan rozumie, a obowiązują nas pewne przepisy.

Starszy mężczyzna pokiwał ze zrozumieniem głową, ale dodał:

- Ten smirnoff jest dla niego.

Skinął na mężczyznę siedzącego po lewej, który sprawiał wrażenie o wiele zbyt trzeźwego, by zażądać wódki z lodem. Był wysoki, szczupły i nosił ubranie w kolorach, które byłyby aż nazbyt jaskrawe, gdyby nie jakość tkanin i fasonu. Posłał mi przelotne spojrzenie o takim skupieniu i sile, że zupełnie mnie zaskoczył i zdołał przebić się przez pierwszą obronną zasłonę obojętności, jaką zwykle okazuję nieznanym. Uśmiech, który mi rzucił, sprawił, że wyszczerzyłam głupawo zęby i dopiero po chwili zdobyłam się na skromną minkę. Lecz do tego czasu zdążył już osunąć się na siedzisko fotela.

Wkrótce miałam się dowiedzieć, że Azjata sąsiadujący ze mną po prawej nazywa się Reuben, a starszy mężczyzna przed nim to potężny agent filmowy, Irv Fleischmann.

Natychmiast, gdy tylko go zobaczyłam, zorientowałam się, że mężczyzna siedzący bezpośrednio przede mną to Lanny Morris.

## 9

Choć na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać inaczej, w gruncie rzeczy nie było aż tak niesamowite, że znalazłam się teraz na siedzeniu tuż za plecami człowieka, którego intymne wspomnienia czytałam zaledwie parę dni wcześniej. Prawie nieuzasadniony wydatek na bilet pierwszej klasy (nie oferowano na ten luksus żadnych rabatów ani bonifikat), a także ograniczona liczba dużych odrzutowców w użyciu sprawiały, że te dwaście do dwudziestu miejsc na pokładzie jumbo jeta stanowiło całkiem ekskluzywny klub, gdzie zwykli zamożni śmiertelnicy często znajdowali się wśród bogów.

Zawsze, gdy ktoś leciał pierwszą klasą na drugie wybrzeże, znajomi wypytywali go po powrocie: „I co? Widziałeś jakąś sławną osobę?”. Odpowiedź niezmiennie brzmiała mniej więcej tak: „Właściwie lecieli z nami zarówno Ann Jillian, jak i ten sympatyczny Larry Blyden. Byli bardzo mili. Rozmawialiśmy z nimi, kiedy wychodziliśmy z samolotu”. Jako że między Nowym Jorkiem a Los Angeles kursowały tylko maszyny American, TWA i United (a nie wszystkie miały luksusowo urządzone kabiny), prawdopodobieństwo, że podczas przelotu pierwszą klasą na drugi koniec kraju zetkniesz się z kimś sławnym, było faktycznie dość duże. Tak więc nie było może aż tak niewiarygodne i cudowne, że Lanny, jego menedżer Irv Fleischmann i służący Reuben znaleźli się odpowiednio na godzinie dwunastej, pierwszej i trzeciej ode mnie.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie teraz wywiad, w którym chwalało Lanny'ego za wymaganie, by jego filipiński służący zawsze podróżował tą samą klasą i mieszkał w tych samych hotelach co on. Nawet gdy to czytałam, uświadomiłam sobie, że dzięki temu Reuben był w pobliżu i na każde skinienie Lanny'ego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Stary dobry Reuben nie mógł się skryć gdzieś w dwudziestym trzecim rzędzie klasy ekonomicznej, o nie! Usłużność Filipińczyka szybko się potwierdziła,

gdy zgodnie z polityką większości linii lotniczych mniej więcej dwadzieścia sekund po tym, jak samolot poderwał się z ziemi, kapitan zgasił tablicę ZAKAZ PALENIA. Prawie dokładnie w tym samym momencie Reuben pochylił się, podając papierośnicę i mosiężną zapalniczkę Zippo Lanny'emu, który sięgnął po nie, nawet się nie odwracając. Po prostu wiedział, że tam będą. Przypomniałam sobie również o powodzie, dla którego Lanny często zlecał noszenie papierośnicy i zapalniczki służącemu. Jak wyczytałam, nie mógł znieść w spodniach żadnych wypukłości oprócz własnych - dowcip. Jego szyte na specjalne zamówienie spodnie nawet nie miały kieszeni, w związku z czym ich funkcję przejął Reuben. Uczciwość nakazuje mi jednak przyznać, że w zachowaniu Lanny'ego nie było nic władczego ani aroganckiego. Nie strzelił palcami, a gdy oddawał zapalniczkę i papierośnicę, powiedział grzecznie „dziękuję”. Przypuszczam, że po prostu tak podzielili się rolami, i czytałam, że Reuben jest nadzwyczaj hojnie wynagradzany za poświęcenie w opiece nad panem Morrisem, który siedział teraz zaledwie metr przede mną.

Czy można się wiele dowiedzieć o człowieku, po prostu wpatrując się w tył jego fotela przez czterdzieści pięć minut? Raczej nie. Siedzenia miały wysokie oparcia, więc nie mogłam poddać holmesowskiej obserwacji nawet karku ani uszu Lanny'ego. Zauważyłam za to, że szybko otrzymał zamówionego smirnoffa z lodem, ponieważ Helen (która odważnie wzięła na siebie rolę osobistej stewardesy pana Morrisa) natychmiast po starcie przyniosła szklanke na małej tacy, razem z porcelanową miseczką wypełnioną migdałami. Mogę wizualnie potwierdzić, że jego lewe ramię wyglądało ładnie, gdy brał od niej tackę. Helen pochyliła się nad nim, żeby usłyszeć, co jeszcze ma do powiedzenia albo do zamówienia. Roześmiała się i odeszła, powróciwszy parę chwil później z firmową maseczką do spania American Airlines, mimo że było dopiero około czwartej po południu. Lewe ramię przyjęło ją od niej, oparcie odchyliło się do tyłu i przypuszczam, że Lanny uciął sobie drzemkę.

Zastanawiałam się, czy poprosił o maseczkę, żeby zasłonić oczy przed światłem, czy też raczej żeby samemu osłonić się przed wścibskim wzrokiem sąsiednich pasażerów. Z pewnością miał szczęście, bo jak się zdawało, ci, którzy siedzieli w dwóch rzędach z przodu, w ogóle nie zauważyli jego przybycia. Dwaj hinduscy džentelmeni po lewej nie dali po sobie poznać, że go rozpoznali, być może dlatego, że „Dwóch stójkowych z buszu” nigdy nie puszczano w Raita Rialto w śródmieściu Vindaloo. Brytyjczyk i skandynawska modelka wydawali się zainteresowani znacznie bardziej samymi sobą niż czymkolwiek innym i wyglądało na to, że wspólna wycieczka do toalety w celu dokonania czynu lubieżnego jest w ich wypadku



tylko kwestią czasu. Na razie więc wszyscy w kabinie pierwszej klasy umyślnie albo z niewiedzy zachowywali obojętność wobec obecności Lanny'ego na pokładzie.

Stewardesa Kim obdarowała mnie przysługującymi mi słuchawkami, które były po prostu pustymi plastikowymi rurkami, przekazującymi dźwięk na tej samej zasadzie co stetoskop. Założyłam je, usłyszałam drżące dźwięki „Love Is Blue” w wykonaniu Paula Mauriata i Orkiestry i zaczęłam się zastanawiać, co - jeśli w ogóle cokolwiek - powinnam zrobić w tej niezwyklej sytuacji.

Mogłam się na przykład przedstawić. Ale na podstawie naszej dość jednostronnej korespondencji trudno było odgadnąć, jak wysoko figurowałam u Lanny'ego na liście ludzi do odstrzału. Czy traktował mnie jako wroga, rywalkę, zawadę? Czy rzeczywiście o mnie wiedział, czy też wszystko to była sprawka mecenasa Johna Hillmana? Nigdy nie otrzymałam listu podpisanego „Lanny Morris”, ale na pewno nie pozwolono by mi przeczytać jego wspomnień, gdyby osobiście nie wyraził na to zgody.

Na sekundę dopuściłam do siebie narcystyczną myśl, że Lanny mnie śledzi: że pociągnął za kilka sznurków, co przy jego pozycji nie byłoby trudne, dowiedział się, że lecę do Nowego Jorku, i specjalnie zarezerwował te konkretne miejsca, żeby mnie obserwować. Ale gdyby chciał znać moje poczynania, mógł po prostu wynająć prywatnego detektywa. Nagle zaświtała mi niepokojąca myśl i poczułam zimny dreszcz, który z początku przypisałam działaniu wentylatora nad głową. Już sięgałam, żeby go podregulować, gdy zdałam sobie sprawę, że przyczyna leży we mnie.

Że Lanny Morris mógł mnie śledzić, to małe piwo. Gorzej, jeśli pomyśli, że ja śledzę jego. Jak ogarnięta obsesją wielbicielka albo paparazzi, albo „dziennikarz” Moe Cohn, który w swojej kolumnie od lat pięćdziesiątych zajmował się wygrzebywaniem brudów w życiu ludzi takich jak Lanny, mieszając ich bezceremonialnie z błotem.

A teraz ja, osoba zasypująca jego i reprezentujących go prawników listami, w których wielokrotnie domagałam się pozytywnego rozpatrzenia swojej oferty, śląc fragmenty własnych artykułów do wglądu, negocjująca umowę z jego byłym partnerem, zaznajomiona z częścią jego nieopublikowanych wspomnień, siedzę tuż obok niego podczas lotu do Nowego Jorku. Czy na miejscu Lanny'ego nie byłabym podejrzliwa?

Usiłowałam sobie przypomnieć, czy do jednego z artykułów, które przesałam prawnikom Lanny'ego, redakcja nie dołączyła mojej fotki. Jeżeli mnie pamięć nie myliła, nie. Znalazł się tam opublikowany w „Vivie” tekst, w którym starałam się odkryć tajemniczą tożsamość „J.”

(autorki niedawnego bestsellera pod tytułem „Kobieta zmysłowa”). Pismo zrobiło dużo szumu na temat „O'Connor”, jak się zwykle podpisywałam, szukającej „J.” - ale sfotografowano mnie w zasłaniającej oczy masce arlekińska, podczas gdy rzekomo spisywałam notatki przy łóżu, w którym trzej mężczyźni baraszkowali ze szczupłą, identycznie zamaskowaną kobietą - jakoby wyżej wspomnianą „J.”, a w rzeczywistości modelką imieniem Menorah.

Zmieniłam kanał i natrafiwszy na anemiczną interpretację „Koncertu fortepianowego” Griega, słuchałam go jednym uchem, przesiewając jednocześnie nurtujące mnie problemy przez sito, które ze śmiechem nazywam swoim rozumem.

W połowie adagia stewardesa Helen podeszła do Lanny'ego i szepnęła mu coś na ucho. Po chwili oparcie jego fotela wróciło do pionu i zobaczyłam, jak jego ramię wyciąga się, oddając maseczkę. Helen zapytała go o coś i nie udało jej się do końca ukryć jednoczesnego spojrzenia w moim kierunku. O tak, Helen była profesjonalistką w każdym calu i wcieleniem dyskrecji, ale bez wątplenia sprawiała wrażenie, jakby rozmawiała o mnie. Moje ulubione powiedzenie: „Nawet paranoicy mają wrogów”, miało się wkrótce przynajmniej częściowo potwierdzić.

Wysłuchawszy odpowiedzi Lanny'ego, Helen pokiwała głową i podeszła do mnie, jakby jedno prowadziło do drugiego.

- Czy będzie pani jadła z nami dzisiaj obiad?

Powstrzymałam się od komentarza: „Nie, po prostu wyskoczę do miasta na kanapkę z jajkiem na bekonie”, i odrzekłam, że owszem, będę jadła dzisiaj obiad na pokładzie. Helen wyrecytowała:

- W ramach Kapitańskiego Poczęstunku American Airlines oferujemy dziś nasz wyjątkowy posiłek przy dużym stole dla czterech osób, rozkładanym dla pasażerów w środkowym rzędzie. Czy to pani odpowiada?

Domyśliłam się, że jej krótka rozmowa z Lannym miała na celu rozstrzygnięcie, czy nie przeszkadza mu dzielenie stołu z nieznaną (czyli mną), a ponieważ najwyraźniej nie miał nic przeciwko, to kimże byłam, by odrzucać propozycję spożycia obiadu w towarzystwie Lanny'ego Morrisa (czyli jego)?

- W porządku - odrzekłam z uśmiechem.

Helen skinęła przyzwalająco na stewarda Karla, który stanął za moimi plecami.

- No, no, wygląda na to, że zje pani obiad z Lannym Morrisem! - roztkliwił się, jakby razem z pieczenia wołową wchodziło to w zakres Kapitańskiego Poczęstunku American Airlines. Okręcił mój fotel zgodnie z ruchem wskazówek zegara o dwadzieścia trzy stopnie i unieruchomił go

za pomocą zatrasku. Tymczasem Kim obróciła siedzenie Reubena w moją stronę. Następnie Fleischmann został przez Kim prędko przysunięty z fotelem przodem do mnie. Poczułam się jak na karuzeli w Disneylandzie. Helen oczywiście zachowała dla siebie na koniec zaszczyt obrócenia Lanny'ego twarzą do naszego stolika dla czworga. Po chwili razem z Karlem wniosła duży okrągły blat, mocując go na mniejszym stoliku przede mną, który teraz stał się podstawą dużego stołu. Wprawnym gestem fryzjera Karl rozpostarł łososioworóżowy obrus. Natychmiast pośrodku blatu postawiono ciężki wazon ze sztucznymi kwiatami i rozłożono komplet zastawy... i tak oto z zegarmistrzowską precyzją usadzono nas przy idealnym stole dla czworga.

Lanny po raz pierwszy się do mnie odezwał. Nie uśmiechnął się ani nie zmarszczył brwi.

- Witam.

- Witam - odrzekłam.

Na razie rozmawialiśmy jak równy z równym. Uchwycił oburącz blat i spróbował nim lekko potrząsnąć. Stół zachybotał się.

- Zdaje się, że powinniśmy poprosić kelnera, żeby wsunął zapalkę pod samolot. - Uśmiechnął się. Zajrzał pod stół, pogmerał przy czymś, co wydało cichy trzask, i ponownie się wynurzył. Tym razem blat okazał się stabilny. - To powinno wystarczyć. Wygląda na to, że zjemy wspólnie obiad. Nie ma pani nic przeciwko?

- W porządku. - Jestem po prostu zajebista w takich sytuacjach.

Lanny skinął głową w kierunku służącego.

- To mój przyjaciel, Reuben.

Reuben kiwnął uprzejmie głową.

- A to również mój przyjaciel i, technicznie rzecz biorąc, menedżer, Irv. Ja jestem Lanny.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że Lanny ma bardzo inteligentną twarz. O sporej wrażliwości, mówiąc szczerze. Przynajmniej na razie nie strzelał żadnych małych min, z jakimi przyzwyczailiśmy się go kojarzyć na podstawie plakatów i kreskówek. Wyglądał trochę jak żydowski odpowiednik Danny'ego Kaye'a - tylko że oczywiście Kaye jest Żydem. No i, rzecz jasna, nie miał rudych włosów. Chociaż z drugiej strony, zdaje się, że Danny Kaye też nie jest rudy.

- Jak się pani nazywa? - zapytał.

- Bonnie - zełgałam jak z nut. - Bonnie Trout. - Słuchałam swojego głosu z czujnym, lecz chłodnym zainteresowaniem. Nie podjęłam świadomej decyzji, że skłamię, aż do chwili, gdy to uczyniłam. Pomyślałam, że mam jeszcze czas, żeby się wycofać i obrócić wszystko w żart, chociaż trudno by mi było znaleźć w nim puentę.

Ależ nie, teraz było już za późno. Po upływie czasu, jaki zajęło mi wyjęcie z obrączki lnianej serwetki i rozłożenie jej na kolanach, fałsz zdążył okrzepnąć, stając się oficjalnym kłamstwem. Czułam się, jakbym stała na końcu pociągu, spoglądając w tył na przestawioną zwrotnicę i obserwując, jak dwie nitki torów rozwidlają się coraz bardziej, aż wreszcie jedna znika za drzewami, utracona na zawsze.

- Miło mi panią poznać, Bonnie - powiedział zwyczajnie Lanny.

Pomyślałam o wszystkich dowcipach, które osoba nazywająca się

Bonnie Trout musiała usłyszeć od ludzi, którym się właśnie przedstawiła\*. Uznałam, że Lanny wykazał klasę, powstrzymując się od komentarza. Przypuszczam, że gdy człowiek poświęcił życie na wymyślanie i pisanie żartów, ma dla siebie zbyt wiele szacunku, by rzucać się na łatwą zdobycz.

\* *Trout* oznacza po angielsku pstrąga, a w mowie potocznej i trochę obelżywie starą kobietę, czyli „jędzę” albo „wiedźmę”. Z kolei imię Bonnie przypomina brzmieniowo przymiotnik bony - „kościsty”, „ościsty” (przyp. tłum.).

Pochylając się nade mną, Kim zapytała:

- Życzy pani sobie wino, koktajl, a może zechce pani pozostać przy szampanie?

Ponieważ byłam jedyną kobietą przy stole, obsługiwano mnie pierwszą. Wybrałam Sancerre, podobnie jak Lanny. Irv poprosił o whisky Cutty Sark z wodą; drinka przyrządzono mu natychmiast przy stoliku. Głos Irva był taki jak on sam: niski, szorstki i bardzo nowojorski. Reuben zbył pytanie machnięciem ręki i ciepłym, melodyjnym głosem, z ledwo wyczuwalnym obcym akcentem, odparł:

- Poproszę tylko zimną wodę.

- Czym się pani zajmuje, Bonnie? - zapytał Lanny, gdy nalewano mu wino.

- Uczę w szkole - odparłam.

- Gdzie?

- Na Manhattanie. W szkole publicznej numer 29 przy Orchard Street.

- A czego pani uczy?

- Wszystkiego, co jest w programie drugiej klasy. Zajmuję się nauczaniem początkowym.

- Naprawdę? Ile lat ma teraz taki drugoklasista? - spytał.

Skosztowałam wina i obliczyłam. W zerówce miałam pięć lat, w pierwszej klasie sześć...

- Siedem. Czasami sześć albo osiem w zależności od pory roku i daty urodzin.

- No proszę. Wiele nas łączy. Pani uczy drugą klasę, a ja chodziłem do drugiej klasy. Irv, ty też chodziłeś do drugiej klasy, prawda?

Irv posmarował rogalik masłem.

- Wielokrotnie. Proszę powiedzieć, panno Trout, ile płacą teraz nauczycielce drugich klas?

Boże, skąd mam wiedzieć? Dość, żeby wystarczyło na dwupokojowe mieszkanie na Trzydziestej Trzeciej Ulicy w East Side. Ile by to kosztowało, trzysta siedemdziesiąt pięć miesięcznie? Nigdy nie wolno płacić za wynajem więcej niż równowartość tygodniowego wynagrodzenia. Pięćdziesiąt dwa razy trzysta siedemdziesiąt pięć daje...

- Około dwudziestu tysięcy rocznie. - Łyknęłam wina. - Z napiwkami.

Usłyszawszy to, Lanny zaśmiał się półgłosem. Nie był to jego popisowy rechot. Właściwie, gdyby nie nazwisko, mniej więcej ten sam tembr głosu i rysy twarzy, nie jestem pewna, czy rozpoznałabym w nim Lanny'ego Morrisa.

Irv wzruszył ramionami.

- Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale zastanawia mnie, jak nauczycielkę szkoły podstawowej stać na latanie pierwszą klasą?

Lanny i Reuben popatrzyli na mnie z zainteresowaniem. Użyłam noża, aby nabrać jeden z trzech malutkich medalionów wędzonego łososia, które Kim postawiła przede mną na talerzyku, i przetransportowałam go na okrągłą grzankę z angielskiego pieczywa.

- Cóż, mam prawo do darmowych przejazdów metrem w dni robocze... a gorące posiłki w szkolnej stołówce, choć dość paskudne, kosztują tylko pięćdziesiąt centów... i jestem kochanką bogatego żonatego mężczyzny, który zawsze, gdy wyjeżdża z małżonką na wakacje, funduje mi bilet pierwszą klasą w przeciwnym kierunku. Ale patrzcie no, mówię tylko o sobie, to niewybaczalne. - Zwróciłam się do Lanny'ego. - A czym pan się zajmuje?

Lanny zamarł na moment, po czym pokiwał głową, doceniwszy moją ripostę. Irv i Reuben wyglądali na zagubionych. Lanny odparł lekkim tonem:

- Jestem francuskim malarzem impresjonistą. Głównie na Tahiti. Ale robię to tylko dla chleba. Tak naprawdę marzę o karierze maklera giełdowego w Paryżu.

Irv potrząsnął głową z dezaprobatą.

- Nie kapuję - powiedział.

Uznałam, że będzie rozsądnie, jeśli pokażę, że ja zrozumiałam.

- Paul Gauguin - oświeciłam Irva. - Porzucił karierę maklera giełdowego i przeprowadził się na Tahiti, żeby się poświęcić malarstwu.

Irv zmarszczył brwi i spojrział na Lanny'ego jak na klienta, który popełnił błąd przy wyborze drogi zawodowej.

- Myślisz, że przeciętny człowiek wie takie rzeczy?

Lanny wyglądał na poirytowanego.

- Prowadzę niezobowiązującą rozmowę, Irv. Nie zdawałem sobie sprawy, że licznik tyka. Okej, co powiesz na: „Dobry wieczór, *mesdames, messieurs*, jestem francuskim naśladowcą impresjonistów, a jako pierwszego odmaluję dla państwa Toulouse-Lautreca”. Teraz mógłbym uklęknąć, a gdyby poły marynarki były dość długie, żeby dosięgnąć podłogi, to tym lepiej dla gagu. Potem mówię: „Ach, *l'amour, l'amour*, maluję z Benjaminem La Moore, zwykle w odcieniu *sacré bleu*, a gdy mi się wyczerpie, przerzucam się na bordo, bo to dobre wino”. Proszę, Irv, okej? Wiesz, czasami robię sobie wolne. - Powiedział to bez goryczy czy jadu.

- Przepraszam - odrzekł Irv.

Spróbował grzanki z wędzonym łososem i zapytał Kim, czy nie znalazłoby się trochę serka śmietankowego.

Poszła zobaczyć, co mają w kuchni.

- Pewnie ludzie oczekują, że przez cały czas będzie pan zabawny - powiedziała do Lanny'ego.

- Nie ci, którzy mnie znają. O wiele bardziej wolałbym pracować tak jak pani.

Pokręciłam głową.

- Wszyscy potrzebujemy w życiu śmiechu.

Lanny zrobił kwaśną minę.

- Tak, ciągle powtarzam to swoim tekściarzom, ale oni cały czas piszą mi te same kiepskie dowcipy.

Irv pośpiesznie wyjaśnił:

- Lanny nie ma żadnych tekściarzy. Sam pisze cały swój materiał. Wolałbym, żeby tego nie robił, bo pochłania mu to sporo czasu, ale taki już jest.

Lanny syknął:

- Cicho, Irv. Od lat zwalam winę za złe kawały na nieistniejących tekściarzy. - Przybrał żartobliwie surową minę. - Zabraniam pani powtarzać tego, co właśnie powiedziałem, bo inaczej panią zniszczę.

Kim zebrała ze stołu talerzyki do przystawek i postawiła urocze niebieskie porcelanowe miseczki w kształcie wachlarzowatych muszli, wypełnione małżami w sosie winno-serowym.

Lanny ciągnął dalej nad wyraz uprzejmym i towarzyskim tonem:

- Przez prawie dwieście milionów lat na tej planecie panowały dinozaury. My istniejemy od ilu, pięćdziesięciu tysięcy lat? Tak więc gatunek *Homo sapiens* musiałby przetrwać aż do roku 199950000 naszej ery, zanim będziemy mieli prawo nazwać się równie udanym produktem ewolucji co dinozaur. A mimo to, Bonnie, nie znaleziono do tej pory nawet śladu dowodu na to, by choć jeden dinozaur kiedykolwiek zajął się showbiznesem. I poważnym tonem dodał: - Nic na przykład nie wskazuje na to, by jeden dinozaur sadzał wieczorem inne dinozaury przy ognisku i opowiadał im: „Wicie, myślę, że gdybyście kiedyś natknęli się na stegozaura,

wyglądałby on tak...”. Nie było żadnych błaznów w triasie ani żonglerów w jurze, chociaż *Tyranosaurus rex* miał hollywoodzki uśmiech. - Przypominało to trochę gadkę Vince'a o Euklidesie, która wcześniej bardzo przypominała mi Lanny'ego. - Ale dlaczego akurat druga klasa, Bonnie?

- Cóż, moi uczniowie nie umieją jeszcze posługiwać się bronią i nie biorą narkotyków. Wciąż mogę pokonać w walce każde dziecko, włącznie z najbardziej rozrośniętymi chłopcami. Niektórzy z nich mogą się we mnie podkochać, ale żaden nie chce uprawiać seksu. Rozziew między tymi bystrzymi a tymi głupimi nie jest tak duży, więc wyniki mojej pracy tudzież ich brak nie są jeszcze zbyt przygnębiające. Nie ma prac domowych, które musiałabym sprawdzać wieczorami. Niektórzy z ojców dzieci są tylko trochę starsi ode mnie, ale są już wśród nich rozwodnicy: zebrania z rodzicami mogą stanowić wspaniałą okazję do poznania odpowiednich mężczyzn w sympatycznym otoczeniu bez konieczności przesiadywania całymi nocami w barach. Mam dwa i pół miesiąca płatnego urlopu w roku i doskonale ubezpieczenie emerytalne i zdrowotne. Jeśli przepracuję jeszcze rok, będę miała zagwarantowany etat, i nawet gdybym molestowała zwyciężcę konkursu ortograficznego kijem do hokeja na trawie, i tak nie mogliby mnie wywalić. Dziwne jest nie to, że wybrałam zawód nauczycielki w podstawówce, tylko to, czemu wszyscy inni nie postąpili tak samo.

Przyjęli to całkiem dobrze. Zwłaszcza Lanny, który parsknął śmiechem, a jednocześnie przyglądał mi się z zainteresowaniem. Słyszałam powyższą przemowę powtarzaną prawie słowo w słowo więcej niż raz, dzięki czemu umiałam ją tak dobrze wyrecytować. Wyobraźcie sobie, że wam mówi to dosyć ładna dziewczyna przed trzydziestką, która ma kształtne wargi, naprawdę dobrą fryzurę i filuterne spojrzenie. Wyszło całkiem niezłe.

Alejką między fotelami Helen i Kim pchały teraz wózek z pieczenia. Helen, oczywiście krojca, nosiła teraz fartuch i rękawiczki i wyglądała zupełnie jak Sue Ann Nivens. Stewardesy zadały nam serię wnikliwych pytań, które po prostu musiały zostać zadane: „Krwista, półkrwista czy przypieczona? Sos chrzanowy czy sos własny? Szczypiorek, śmietana, masło, a czy zechciałaby pani...”. Samolot podskoczył gwałtownie, jakbyśmy natrafili na wertepy na drodze. Tylko że oczywiście nie było żadnej drogi.

Potem olbrzymia maszyna wydała z siebie taki hałas, jakby gigantyczna pięść przygrzmociła mocno w dach warsztatu zegarmistrzowskiego. Helen, która kroiliła właśnie pieczeń dla pasażerów przy drugim stole, spojrzała na lewą rękę. W miejscu, gdzie przeszło ostrze, pojawiła się prosta czerwona linia.

- Kurwa - zakłęła Helen, patrząc, jak krew cieknie z rany. - O kurwa. Karl?

Samolot odbił się (odbił? tak) w dół i w górę. Tablica PROSIMY O ZAPIECIE PASÓW zapaliła się z charakterystycznym: bing!

Nagle zarzuciło nami mocno w prawo, a potem w lewo. Gdybyśmy jechali pociągiem, podejrzewam, że poczulibyśmy tylko, że bierzemy dwa ostre zakręty torów wijących się wokół wzgórze. Ale oczywiście nie jechaliśmy pociągiem. Parę drinków spadło cicho z tacek pasażerów przy oknach. Naraz przypomniał mi się, że nie jesteśmy w jakiejś miłej restauracji na La Ciénega, lecz w długiej blaszanej tubie, w ogromnym samonapędzającym się oszczepie, co wzbil się na wysokość, do której osiągnięcia matka natura nigdy nas nie przygotowała. Znowu nami szarpnęło, tym razem zrobiło mi się niedobrze. Helen, Kim i Karl pośpiesznie przetoczyli wózek z pieczystym alejką, po drodze potrącając Reubena, i zabezpieczyli go gdzieś w pobliżu kuchni.

Przymocowany do ściany telefon, z którego Helen powiadomiono o przybyciu Lanny'ego, wydał serię dzwonek. Pamiętam, jak raz ktoś mi mówił, że sześć dzwonek oznacza kapitański rozkaz, że wszystkie stewardesy muszą zająć wyznaczone miejsca, nawet gdyby oznaczało to konieczność pozbawienia fotela któregoś z pasażerów, aby po rozbiciu się maszyny były w stanie jak najsprawniej udzielić pomocy rannym. Czy właśnie usłyszałam dwa razy po trzy dzwonek, czy sześć dzwonek? Helen przyłożyła słuchawkę do ucha i po chwili pokiwała głową. Następnie przemówiła przez głośniki, używając słuchawki jako mikrofonu:

- Panie i panowie, kapitan mówi, że napotkaliśmy niespodziewane turbulencje, dlatego prosimy, aby wszyscy pasażerowie usiedli na swoich miejscach.

Sprawę pogorszył fakt, że natychmiast z przyjemnym bing! zapaliła się tablica ZAKAZ PALENIA. Polecenie niepalenia kojarzyłam tylko z momentami startu i lądowania. To nie mogło wróżyć nic dobrego. Nienawidziłam tego bing. Ludzie, którzy produkowali urządzenie, które robi bing, nie lecieli ze mną w samolocie, niech ich szlag. Gdzie jest teraz mój bar na pięterku? Jeśli ktoś mógłby zamortyzować upadek, to na pewno otyła para po mojej prawej.

Lanny, Irv, Reuben i ja siedzieliśmy przy okrągłym stole, który obracał się i drgał jak podczas seansu spirytystycznego. Zasugerowałabym, żebyśmy wzięli się za ręce i spróbowali nawiązać kontakt z duchami zmarłych, lecz obawiałam się, że lada chwila nawiążemy z nimi znacznie bliższą znajomość. Reuben już się nie uśmiechał, za to starał się jak najmocniej trzymać blatu. Irv po prostu siedział z ponurą miną, jakby zaciskał mocno zęby, co prawdopodobnie rzeczywiście robił. Jego dłoń mocno obejmowała



szklanke. Większość jego whisky z wodą wylała się na obrus.

Czując wzrastającą panikę, spojrzałam na Lanny'ego, który uśmiechnął się pogodnie.

- Nie ma się czego bać - powiedział. - Wiem, że sytuacja może się wydawać poważna, ale proszę zwrócić uwagę, że silniki odrzutowe unoszą i utrzymują w powietrzu dwustutonową maszynę: to jest w tym wszystkim najsmieszniejsze. Wiatr wiejący z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę nie wyrządzi tej dziecinie żadnej szkody.

Zdaje się, że nie wyglądałam na przekonaną. Nakrył ręką moją dłoń.

- Sam jestem pilotem, Bonnie. Uwierz mi, wszystko będzie dobrze.

Mimo że zebrałam sporo informacji o życiu Lanny'ego, nie wiedziałam, że jest pilotem. To dodało mi więcej otuchy niż wykład o dwustu tonach metalu, unoszących się w powietrzu. W końcu na pewno za tę technologiczną pychę i obiad w przestworzach otrzymywaliśmy właśnie boski odpowiednik porządnego lania. Z przerażeniem oczekiwałam na ostatniego klapsa, tego „na szczęście”.

Pomyślałam, żeby przyznać się, kim naprawdę jestem. Byłoby miło podzielić się z Lannym sekretem. Byłby to akt komunii. „Wiesz, nie jestem nauczycielką z podstawówki i nie mam na imię Bonnie. Jestem dziennikarką, która chciała napisać książkę o tobie i Vinsie”. To właśnie bym powiedziała. Ale nie powiedziałam.

W turbulencjach najwspanialsze jest to, że rzadko ustępują płynnie, stając się coraz słabsze i łagodniejsze. Po prostu znikają jak ręką odjął. Wtem zrobiło się spokojnie i przyjemnie. Tablice PROSIMY O ZAPIĘCIE PASÓW i ZAKAZ PALENIA zgasiły się. Reuben natychmiast podetknął mi papierośnicę, ale gestem ręki pokazałam, że mam własną. Następnie zaoferował ją Lanny'emu, który niecierpliwie capnął papierosa. Reuben przysunął mu po stole zapalniczkę i Lanny zapalił roztrzęsiony.

- Jezu - mruknął.

- Co? - zapytałam.

- Nienawidzę latania - odparł.

- To jak został pan pilotem?

Zaciągnął się dymem.

- Kto jest pilotem? Powiedziałem tak tylko, żeby dodać pani otuchy. Przepraszam, nie chciałem skłamać. - Zgasił papierosa, nie wypaliwszy nawet połowy. - Nienawidzę latania.

- Kelnerka? - Irv zawołał do Kim, która robiła obchód.

Widziałam, jak przy kuchni Karl obwiązuje rękę Helen bandażem. Helen wyglądała naprawdę blado. Poczulałam dla niej odrobinę sympatii.

Zbliżyła się Kim. Irv podniósł szklanke.

- Cutty Sark z lodem poproszę. Bez wody.

Kiwnęła głową na znak, że przyjęła zamówienie, po czym zwróciła się półgłosem do Lanny'ego:

- Panie Morris, wiem, że strasznie się narzucam, ale naprawdę przydałaby się nam pańska pomoc w klasie ekonomicznej.

- Pan Morris jest pasażerem - zabrał głos Irv - i jako taki ma prawo do prywatności...

- Rozumiem i jest mi bardzo przykro, ale przepisy Federalnego Zarządu Lotnictwa Cywilnego uprawniają nas w wyjątkowych wypadkach do zwrócenia się o pomoc do pasażera. Chodzi o lekarzy, mechaników, lotników amatorów... - Wyjaśniła Lanny'emu. - Mamy pasażerkę, która histeryzuje.

- Świetnie, może zostać moim głównym tekściarzem - odparł Lanny. Wypiął się z pasów i wstał od stolika. - Kurwa - mruknął. Zachowywał się tak, jakby musiał już to wcześniej robić. Popatrzył na mnie błagalnie i poprosił: - Dotrzyma mi pani towarzystwa?

Kiwnęłam głową i wstałam, trochę chwiejnie ze względu na wino i przeżycia ostatnich kilku minut. Reuben także zaczął się podnosić, ale Lanny powiedział:

- Nie, Reuben, dopilnuj, żeby Irv dostał drinka, i zobacz, czy stewardesa, która się skaleczyła, nie przydałaby się pierwsza pomoc.

(Później Lanny wyjaśnił mi, że podczas drugiej wojny światowej Reuben był sanitariuszem w oddziale Filipińskiej Formacji Zwiadowczej).

Kim poprowadziła nas szybko do zatłoczonego sektora klasy ekonomicznej. Blisko tyłu samolotu, w rzędzie po prawej stronie, stewardesa przytrzymała dużą kobietę w średnim wieku, przygniatając kolanami jej barki. Pasażerka była rozchełstana i wydawała chrapliwe postękiwania, usiłując się wyrwać.

- Musi się pani uspokoić - powiedziała stewardesa z imieniem BARBARA wypisanym na identyfikatorze.

- Nie mogę oddychać, płuca mi się zapadły! - wykrzyknęła pasażerka i zrzuciła z siebie Barbarę. Puszczając się biegiem w stronę dziobu, wrzasnęła: - Muszę wyjść z samolotu! - i zderzyła się z Lannym, który zagroził jej drogę.

Skrzywił się z bólu, ale przytulił ją do siebie.

- Hej, hej, hej, co to za heca, paniusiu? - zapytał, fantastycznie naśladowując samego siebie.

Na ekranie przed nami pojawił się Michael Caine. Obsługa najwyraźniej puściła film, zanim natrafiliśmy na turbulencje. Lanny skinął głową w stronę ekranu i zapiszczał swoim popisowym nosowym głosem:

- Hej, zwykle myślę, że jak robisz tyle hałasu podczas seansu, chcesz, żeby cię wyrzucili z kina, ale normalnie kino nie znajduje się osiem i pół tysiąca metrów nad ziemią, hej?

Kobieta znieruchomiała.

- Lanny Morris - powiedziała. Bałwochwalcze uwielbienie nagle wyparło panikę. - Jesteś prawdziwym Lannym Morrisem. Leci pan z nami samolotem? - zapytała niezbyt mądrze.

- Jeśli nie, paniusiu, to w samolotach wyświetlają teraz filmy w trzech wymiarach. Jak się nazywasz, moja droga?

- Dolores Kreutzer - odparła. - Jest pan moim największym fanem.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Byłabyś zaskoczona, ile miłych osób to mówi, choć myślę, że chodzi im zwykle o coś zupełnie odwrotnego, cooo? - powiedział, podciągając ostatnie wydłużone „o”. Nie był już Lannym Morrisem, z którym jadłam obiad.

Dolores uczepiła się jego ramienia.

- Tak się bałam...

- Wstrząsów i zarzucania, cooo?

- Nie pozwoliłbyś mi umrzeć, prawda, Lanny? - spytała jak dziecko.

Przerzucił się na męski, jajowy głos.

- Nie umarłem z widownią od czasów concord, złotko. Myślisz, że stary dobry Lanny pozwoliłby, żeby ci się coś stało? Jestem twoim największym fanem, pamiętasz? No, chodź tu do mnie i przytul się. - Objął ją. Zadrżała w jego ramionach, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy wstrząsały nią histeryczne drgawki. Poklepał ją kojąco po plecach.

- Dobra, mała, pozwolisz teraz Lanny'emu dowieźć cię bezpiecznie do Nowego Jorku?

Stewardesa Barbara zawtórowała:

- Proszę, Dolores, słyszałaś? Lanny powiedział, że wszystko jest okej, więc teraz wszystko jest okej, racja?

Uznałam, że to cudownie niedorzeczne, że stewardesa wyraziła taką wiarę w słowa Lanny'ego, podczas gdy ten nie dostał wcześniej do wglądu danych na temat ciśnienia powietrza, stanu pogody ani nawet planu lotu, hej?

- Gdybym rozbiła się z tobą, byłoby warto - roztkliwiła się Dolores. - Mogę poprosić o autograf? - Sięgnęła do najbliższej kieszeni w fotelu i wyciągnęła laminowaną kartę, pokazującą, jaką przybrać pozycję podczas awaryjnego lądowania i którędy wydostać się z samolotu po wylądowaniu na wodzie. Widziałam, że Lanny przewiduje problemy. Spojrzał w głąb samolotu i oczywiście wszystkie oczy były zwrócone na niego; pasażerowie szeptali jeden do drugiego: „To Lanny Morris”, co brzmiało bardzo podobnie do „rany julek”.

- Obawiam się, że mój długopis nie będzie pisał na plastiku - po wiedział Lanny.

Sięgnęła do kieszeni fotela po czasopismo linii lotniczych, „Sky Trails”, i podstawiła mu je.

- Dla Dolores - poprosiła.

Lanny wiedział (i widziałam, że wiedział), że gdy tylko wyjmie scripto admirała, będzie po nim. Kiedy się podpisał, zdawało się, jakby połowa pasażerów wstała i ruszyła na nas. Popelniliśmy błąd, że wcześniej wycofaliśmy się do pierwszego rzędu pośrodku, tuż przed ekranem filmowym. Zanim zdążyliśmy przemyśleć strategię, tłum natarł na Lanny'ego i mnie z obu stron, przyciskając nas do wyginającego się teraz ekranu, na którym wyświetlały się postaci Charlesa Bronsona i Michaela Caine'a.

Lanny spojrział na mnie ponuro.

- Poznaj mój najgorszy koszmar.

Stewardesa Barbara, wciąż stojąc w przejściu, bezskutecznie klaskała w dłonie i prosiła, by wszyscy wrócili na miejsca. Burknęłam na nią:

- Powiedz kapitanowi, żeby włączył tablicę z komendą zapięcia pasów.

Barbara kiwnęła głową i wycofała się do ściennego telefonu przy dużych drzwiach awaryjnych. Tymczasem ja zerwałam siedzisko z najbliższego wolnego fotela, chwyciłam kamizelkę ratunkową i znalazłam w kieszeni gwizdek. Dmuchnęłam mocno w ustnik i przenikliwy dźwięk uciszył tłum na moment. Nad moją głową z przyjemnym bing! zaświeciła się tablica PROSIMY O ZAPIĘCIE PASÓW. Barbara przemówiła przez głośnik:

- Panie i panowie, kapitan Anderson znowu zapalił znak zapięcia pasów. Proszę natychmiast wrócić na swoje miejsca albo złamię państwo przepisy federalne, co grozi aresztowaniem i odpowiedzialnością karną.

Barbara użyła odpowiedniego tonu i pasażerowie ruszyli z powrotem na miejsca.

Kiedy zaczęli siadać, zaprzepaściła to, co właśnie działała, oświadczając:

- Jeśli pozostaną państwo na swoich miejscach, jestem pewna, że pan Morris z przyjemnością rozda autografy wszystkim chętnym, kiedy będzie obchodził samolot!

Lanny natychmiast opuścił ramiona i spojrział z niedowierzaniem na stewardesę. Jakaś część mózgu zapaliła płomienie nienawiści w jego oczach. Barbara aż drgnęła, gdy to zobaczyła.

Jak możecie sobie wyobrazić, Lanny spędził większość pozostałej części lotu, krążąc po prawie pełnym samolocie. Wszyscy powyżej dwunastego roku życia mieli mu coś do powiedzenia o tym, co sądzi na jego temat

kuzyn albo że oglądali jego pierwszy zawodowy występ. Lanny był uprzejmy i udawał zainteresowanie każdą opowieścią, lecz zdawało się, że uwielbienie tłumu nie sprawia mu przyjemności. Bieg tą ścieżką zdrowia był dla niego po prostu zawodowym obowiązkiem, który znosił honorowo bez skargi. Dla niego tego typu rzeczy, niestety, wiązały się nierozzerwalnie z pracą.

Jeżeli było dziwne, że zostałam z Lannym przez cały triumfalny pochód po klasie ekonomicznej, to on nie zdawał się tak sądzić. Oczywiście dla mnie jako dziennikarki wspaniałe było obserwować, jak radzi sobie w bezpośrednich kontaktach z publicznością. Ale Lanny nie wiedział, że jestem dziennikarką. Przypuszczałam, że jest przyzwyczajony do obecności kobiet, które chętnie dotrzymują mu towarzystwa, byle znaleźć się z nim na jednym zdjęciu w gazecie z podpisem „aktualna przyjaciółka”.

Irv i Reuben ostatecznie przyszedli do klasy ekonomicznej, żeby zobaczyć, co się z nami dzieje, i każdy na swój sposób starał się wybawić Lanny'ego od konieczności rozdawania autografów wszystkim osobom na pokładzie. Ale Lanny powiedział to, co zwykle mówi się w podobnych sytuacjach: że co się stało, to się nie odstanie i nie ma co rozpaczać nad rozlanym mlekiem. Irv wrócił do pierwszej klasy, żeby porozmawiać z Helen i kapitanem, a także dopilnować, aby biuro prasowe linii lotniczych poinformowało AP i UPI o tym, jak Lanny wspaniałomyślnie pomógł uspokoić rozhisteryzowaną Dolores, a potem rozdawał pasażerom autografy.

W towarzystwie Lanny'ego mogłam być właściwie sobą z wyjątkiem szczegółów związanych z moim prawdziwym życiem. Sam Lanny bardzo mnie zaskoczył. Okazało się, że prywatnie ma dość subtelne poczucie humoru, jeśli nie liczyć rzucanych od czasu do czasu okropnych kalamburów, i może rozmawiać aż przez pięć minut bez dowcipkowania. Cechał go intelektualizm samouka, częsty u gwiazd ekranu i estrady, „trudne słówka”, takie jak „weryzm” i „omnipotencja”, były używane i wypowiedziane z dumą, jakby zostały dopiero niedawno poznane i pojawiały się w jego wypowiedziach na gościnnych występach. Tak więc, nie tylko w ogóle nie przypominał swojego publicznego wizerunku i człowieka, którego spodziewałam się poznać, lecz także w niczym nie był podobny do narratora swoich wspomnień. Dlaczego?

Kiedy Kim mówiła przez głośnik, żebyśmy odłożyli tacki, ustawili oparcia w pozycji pionowej i przygotowali się do lądowania na lotnisku Kennedy'ego, Helen przyklekła przy moim fotelu. Na bandażu wokół jej nadgarstka widniała rdzawoczerwona plama.

- Kochanie, kapitan chce, żeby firma wysłała ci coś w podziękowaniu za pomoc Lanny'emu i American Airlines podczas rejsu. - Zniżywszy głos,

zdradziła: - Prawdopodobnie będzie to wycieczkowy bilet w obie strony w jakieś miłe miejsce, zwykle ludzie są z tego bardzo zadowoleni. - Miała otwarty notes i z pstryknięciem wcisnęła końcówkę długopisu, gotowa do pisania. - Potrzebowałibyśmy tylko pani nazwiska, adresu, numeru telefonu...

Lanny zamienił się wcześniej miejscami z Reubenem, żeby ze mną rozmawiać, i teraz patrzył prosto na mnie. Wzięłam oddech.

- Och, tak, jasne... Bonnie Trout, czyli T-R-O-U-T, Wschodnia Trzydziesta Trzecia dwieście trzydzieści pięć.

- Miła okolica - skomentował Lanny. - Jest tam studio nagrań CBS, a tuż obok stoją budynki mieszkalne. Dlatego nie można nagrywać po dziesiętej wieczorem.

Kiwnęłam potakująco głową. Helen zapytała:

- Czy mieszkanie ma jakiś numer, czy może...

- Mieszkanie numer 4D - odparłam. - Nowy Jork w stanie Nowy Jork, oczywiście. Kod pocztowy, eee... jeden zero zero szesnaście.

- Numer telefonu? - pytała dalej.

Podalam jej numer i zobaczyłam, że Reuben wychyla się z fotela i zapisuje wszystko w notesie. Lanny spytał:

- Nie masz nic przeciwko, żeby Reuben zapisał również twój telefon, prawda? - Odpowiedziałam, że oczywiście nie mam, a on dodał: - Świetnie. Ktoś czeka na ciebie na lotnisku? - Odparłam, że nie, a on zaproponował, że podwiezie mnie do domu.

Nie mogłam wymyślić powodu do odmowy. Powiedział, żebym dała Helen kwit bagażowy, przyczepiony zszywaczem do biletu, ale wyjaśniłam, że mam tylko jedną torbę jako bagaż podręczny.

Na lotnisku pozwolono nam wyjść z samolotu przed innymi. Parokrotnie powołano się na „względy bezpieczeństwa”, aby spacyfikować Brytyjczyka i biznesmenów, których irytowało, że muszą czekać, aż Lanny „opuści strefę”. Pasażerowie klasy ekonomicznej wołali: „Do widzenia, Lanny!” i „Kochamy cię!”, a Lanny pomachał im na pożegnanie.

Najwyraźniej stałam się częścią jego świty. Reuben nalegał, żeby nieść moją torbę, i dał do zrozumienia, że obraziłby się, gdybym na to nie pozwoliła. W połowie drogi po zabudowanym pomoście pracownik American Airlines otworzył drzwiczki w bocznej ścianie i całą czwórką zeszedliśmy po schodkach na płytę lotniska. Niedaleko od DC-10, z którego właśnie wysiedliśmy, czekała na nas długa limuzyna Lincoln Continental.

Barczysty szofer stał ze splecionymi dłońmi.

- Witam, panie Morris i panie Fleischmann. Witam, Reuben.

Fleischmann podał podręczną torbę kierowcy.

- Jesteś, eee, uuu...?

- Michael Dougherty. Z Dav-El. Wozilem pana wielokrotnie. Pracownicy linii lotniczych mówią, że przyniosą bagaże do limuzyny. Prawdopodobnie zechcą państwo zaczekać w aucie. Zostawiłem włączoną klimatyzację. Pamięta mnie pan, panie Morris?

Lanny popatrzył na Michaela.

- Twoja matka jest maszynistką w biurze senatora Javitsa, tak?

Michael kiwnął dumnie głową.

- To naprawdę miło, że pan pamięta, panie Morris. Jest pan moim największym fanem.

Michael otworzył nam drzwiczki i wsiedliśmy do wozu. Dochodziła północ, ale było późne lato i nawet mimo braku słońca wciąż ciepło. W limuzynie było przyjemniej. Chłodno i ciemno. Przez zaciemnioną szybę patrzyłam, jak ubrany w roboczy uniform pracownik American Airlines podjeżdża minikolejką. Wiózł ładunek bagaży i szybko, pod nadzorem Reubena i Michaela Dougherty'ego, część z nich przełożył do bagażnika lincolna.

Irv robił Lanny'emu wyrzuty:

- Powinieneś być pozwolić mi na zorganizowanie konferencji prasowej na lotnisku. To dobra reklama.

Lanny przewrócił oczami.

- Przecież nie zrobiłem nic wielkiego, Irving. Proszę. Po prostu powiadom paru dziennikarzy, żeby napisali notkę, że okazałem się dobrym skautem, okej? Koniec, kropka. Organizacja konferencji prasowej sugerowałaby, że zrobiłem coś bohaterkiego. To by było pretensjonalne. - Ostatnie słowo wymówił z pewną przyjemnością.

Mike siadł za kierownicą i zawołał przez szybę działową:

- Do Plazy?

Lanny popatrzył na mnie.

- Najpierw zawieziemy pannę Trout na...

Powtórzyłam adres, który podyktowałam Helen:

- Na Wschodnią Trzydziestą Trzecią numer dwieście trzydzieści pięć.

- Dzięki, że tak dobrze załatwiłeś transport bagaży, Michael - dorzucił Lanny.

- W zamian poproszę tylko o odpowiedź na jedno pytanie, panie Morris - powiedział Michael.

- Jakie?

Michael wjechał na szosę Van Wyck.

- Kiedy pan i Vince Collins się pogodzicie?

- Pogodzimy się? Ale z czym? - spytał Lanny.

Wszyscy się roześmialiśmy, lecz przez twarz Lanny'ego przebiegł grymas niezadowolenia.

Bez względu na to, jak byłabym podekscytowana, gdy wracam do Nowego Jorku, jazda z lotniska na Manhattan - obok opuszczonych czynszówek, przepelnionych cmentarzy i podniszczonych magazynów o próchniejących drewnianych fasadach, które mogą się podobać tylko podpalaczowi - wystarcza, żebym zatęskniła za autostradą Santa Ana. Jednak o tej porze mrok służył jako kurtyna zasłaniająca to, co najgorsze, pozostawiając uroczy, opatrzony widok rozświetlonych sylwetek wieżowców Manhattanu, który zdawał się obiecywać absolutnie wszystko.

- Nienawidzę Nowego Jorku w czerwcu, a ty? - zapytał Lanny, wyglądając przez okno. Był sierpień, ale uznałam, że parafrazował piosenkę.

- Mnie się podoba - odparłam. - Czego w nim nie lubisz?

Wzruszył ramionami.

- Moje życie jako dzieciaka na Brooklynie było bardzo przyjemne. Wychowywano mnie na miłego żydowskiego chłopca z klasy średniej, co nie było najlepszym pomysłem, bo klepaliśmy biedę i mieszkaliśmy w slumsach z Portorykańczykami. Była też garstka Włochów i kilku twardych Irlandczyków. Mojej ciotki nie było stać na mieszkanie nigdzie indziej. Miałem dwie zawsze czyste białe koszule, dwie pary sztruksów, dwie czarne jarmułki i jedną zieloną sztruksową kurtkę, zapinaną na suwak. Wyobraź sobie, co by było, gdyby w hitlerowskich Niemczech żył tylko jeden Żyd, a zrozumiesz, jak się czułem. Tak wyglądało moje dzieciństwo.

Sięgnął do małego kubelka z lodem obok karafek, wrzucił parę kostek do szklanki z rżniętego kryształu, wziął karafkę wódki i nalał jej do szklanki.

- To nie wódka, tylko woda mineralna - wyjaśnił. - Chcesz?

Byłam odwodniona po podróży i chętnie się przyłączyłam. Kiedy przygotowywał mi wodę z lodem, podjął:

- Słuchaj, poznałem paru Żydów, których nie lubię. Na przykład moja druga żona mogłaby robić za główny dowód obrony podczas procesów norymberskich. Przeszkadzało mi nie tyle to, że wszyscy w sąsiedztwie mnie nienawidzili, ile to, że wszyscy starali się dać te mu wyraz. Zdrówko.

Stuknęliśmy się szklaneczkami.

- Wszystkie etapy mojej kariery były ucieczką z tamtej okolicy, od tamtych gangów... Śni ci się czasem, że jesteś z powrotem w liceum?

- Raz albo dwa razy w roku - przyznałam. - Zwykle jestem goła.

Limuzyna wjechała w tunel Queens Midtown. Oświetlenie było tak silne, że przebiło się przez ciemne szyby, sprawiając, że cera Reubena nabrała niezdrowej barwy, a Lanny zrobił się błydy. Zadumał się.



- Mniej więcej co tydzień śni mi się, że jestem znowu dzieckiem i popełniłem błąd, że wróciłem do Nowego Jorku. Teraz mnie mają. Wszyscy, w uliczce na tyłach restauracji za wysokim murem, zwieńczonym drutem kolczastym. Tym razem użyją noży, nie pięści, a stary Quinn nie zobaczy, co się dzieje, i nie pobiegnie po gliniarza.

Popijaliśmy wodę, aż wyjechaliśmy z tunelu i skręciliśmy w ciemną, wąską uliczkę niepozornych budynków mieszkalnych. Nie było żadnych witryn sklepowych, restauracji ani (w tej chwili) pieszych. Stało tam tylko kilka latarni, a jedna z nich się przepaliła. Wyobraźcie sobie, że całe życie czekaliście, żeby zobaczyć Manhattan, a ktoś mówi wam, że to właśnie on.

Prawie nie widziałam teraz twarzy Lanny'ego. Zdawał się zagubiony w innej dzielnicy, w innym czasie. Wypił resztę wody. Michael Dougherty opuścił dzielącą nas szybę i zapytał:

- Numer dwieście trzydzieści pięć, proszę pani, będzie między Trzecią a Drugą Aleją?

- Mmmm - powiedziałam tonem, który jak miałam nadzieję, można było uznać za potwierdzenie i zaprzeczenie, ponieważ naprawdę nie byłam pewna odpowiedzi.

Lanny podjął cichym głosem:

- Mówię ci to między innymi dlatego, że kiedy się o czymś mówi, czasami przestaje się o tym śnić.

Nie poświęcałam mu teraz całej uwagi. Usiłowałam wypatrzeć, po której stronie ulicy jest numer dwieście trzydzieści pięć. Zobaczyłam dwieście siedemnaście. Była to pralnia samoobsługowa. Następna brama prowadziła do mieszkań nad pralnią.

- Tędy? - spytał Lanny.

Podświetlony szyld nad witryną z matowego szkła głosił: AKSAMITNY DOTYK - MASAŻ JUŻ OD 12 \$, pod spodem widniał napis: *Oddaj się w nasze ręce.* (Nawiasem mówiąc, obecność salonu masażu nie oznaczała, że okolica jest podejrzana; w ciągu ostatnich kilku lat salony pojawiały się wszędzie jak grzyby po deszczu).

- Widzę dwieście trzydzieści siedem, ale nie dwieście trzydzieści pięć - mruknął Lanny.

Obejrzałam się do tyłu i ledwo dostrzegłam nieoświetlone drzwi wejściowe, bardzo staromodne, które wyglądały, jakby należały do salonu masażu.

- Mineliśmy go - oznajmiłam jakby nigdy nic. - Obawiam się, że nie jest zbyt dobrze oświetlony. Ale cóż, to mój dom.

Michael Dougherty cofnął limuzynę o parę metrów, otworzył bagażnik i wyskoczył z wozu, żeby otworzyć mi drzwiczki. Wysiadłam i podeszłam za nim do bagażnika, przy którym stał już Lanny z moją torbą w prawej dłoni.

- Odprowadzę cię - zaproponował.

- Nie trzeba.

- Czułbym się głupio, gdybym tego nie uczynił. - Ruszył w kierunku „mojej” kamienicy, nie dając mi szans na dyskusję. Pchnął zewnętrzne drzwi, które nie były zamknięte, i przystanął przed przeszklonymi metalowymi drzwiami, które wymagały klucza. Skinął na zamek. - Myślę, że teraz twoja kolej.

Zacząłam grzebać w torebce, robiąc wielkie przedstawienie z szukania kluczy. Lanny uśmiechnął się, nigdzie mu się nie śpieszyło.

Po drugiej stronie przeszklonych drzwi z jednego z mieszkań na parterze wyszedł osiemdziesięcioletni staruszek z zadbanym pudlem na smyczy. Miał na sobie szkocki beret z pomponem (staruszek, nie pudel, chociaż na psie wyglądałby o niebo lepiej), a do tego cienki prochowiec przewiązany paskiem, ale niezapięty. Poła płaszcza powiewała mu, kiedy szedł, i widziałam, że pod spód włożył tylko błękitne bokserki i bezrękawnik. Na nogach miał cienkie białe podkolanówki i puszyste niebieskie papucie. Otworzył drzwi, a ja przytrzymałam mu je ostentacyjnie, kiedy wyprowadzał pudła na dwór.

- Witam! - zaświergotałam. - Dzięki Bogu, na dworze jest jeszcze dość ciepło.

Każdy starszy facet, gej czy hetero, porozmawia z jako tako atrakcyjną dziewczyną, która się do niego uśmiecha. Westchnął:

- Dzięki Bogu. Pepé nie zważa na późną porę.

- Przecież wiem! - powiedziałam, jakbym rzeczywiście to wiedziała i jakbym знаła jego i Pepe. Kucnęłam i pogłaskałam go po łebku. Oczywiście pudła, nie właściciela. - Pepe, byłeś dobrym pieskiem, kiedy mnie nie było? Byłeś? Byłeś? - Pepe szczeknął. Potwierdziwszy swą długotrwałą znajomość z Pepe, wyprostowałam się i przestrzegłam staruszka: - Proszę nie przebywać na dworze zbyt długo. Winda działa? - Pytanie dowodziło zżycia się z miejscem i nie mogło sprowokować złej odpowiedzi, chyba że (serce mi zamarło) w kamienicy nie ma windy. Na szczęście, dostrzegłam ją na końcu ponurej klatki schodowej.

- Tak, dzięki Bogu - powiedział, wychodząc z budynku. - Nie śpieszyli się z tym. Dobranoc - dodał, zwracając się do Lanny'ego, który cały czas miał spuszczoną głowę. Przypuszczam, że w celu uniknięcia sceny z cyklu „Czy nie jest pan Lannym Morrisem?”

Lanny stał ze mną na klatce schodowej.

- Założę się, że za tobą przepada.

- Och, znamy się tylko z takich rozmów na korytarzu, nawet nie wiem, jak się nazywa - odparłam absolutnie zgodnie z prawdą. Podniosłam wzrok na Lanny'ego. Był tego samego wzrostu co Vince, co mnie zaskoczyło, bo w filmach wydaje się, jakby Vince zawsze pa-

trzył na Lanny'ego z góry. - Cóż, to był naprawdę wyjątkowy dzień w moim życiu.

- Odprowadzę cię pod same drzwi. - Uśmiechnął się, wciskając guzik windy. Natychmiast usłyszałam, jak zaczyna zjeżdżać. Była hałaśliwa niczym taśmociąg w tartaku, który w niemym melodramacie unosi bohaterkę ku pewnej zgubie.

- Naprawdę nie ma potrzeby.

- Nie bądź śmieszna. Nie będę próbował wepchnąć się do środka, obiecuję. Od jak dawna nie byłaś w mieszkaniu?

- Od wieków - przyznałam ze szczerością, z której jestem znana.

- Dobrze. Więc nie wiesz, czy pod twoją nieobecność ktoś się nie włamał. Pozwól, że po prostu odprowadzę cię do drzwi. Uwierz mi, nie staram się ciebie uwieść. Jutro o siódmej rano muszę wystąpić w programie „Today”, a chcę, żebym przyszedł na charakteryzację piętnaście po szóstej.

Był to z pewnością pierwszy raz, gdy ktoś poczęstował mnie akurat tym tekstem.

Otworzyły się drzwi windy i weszliśmy do środka. Unosił się tam zapach gotowanej kapusty, cebuli i dymu tytoniowego. Dłoń Lanny'ego zawiśla nad guzikami.

- Które piętro?

Przez sekundę nie mogłam sobie przypomnieć.

- Jak to, eee... czwarte. - Trafiłam, bo jak powiedziałam, mieszkanie ma numer 4D, a teraz zauważyłam, że winda nie wjeżdża wyżej niż na czwarte. - Penthouse. - Spróbowałam zatuszować wahanie, udając, że wymyślałam dowcip.

Lanny nacisnął guzik i winda ruszyła powoli w górę, jakby ktoś wciągał ją za pomocą ręcznej korby. Zaprojektowano ją dla maksimum czterech osób. Moja torba gwarantowała nam sporą bliskość.

- Będę w mieście mniej więcej tydzień - odezwał się Lanny. - Chciałbym się z tobą znowu zobaczyć. Ile masz lat?

- Dwadzieścia sześć.

- Cóż, słuchaj, jestem dość stary, by być twoim ojcem, ale tylko ledwo, ledwo. Żeby to było zgodne z prawem, musiałbym wziąć ślub w stanie Georgia i mieć na to zgodę własnych rodziców. Czy różnica wieku bardzo ci przeszkadza? Moglibyśmy się umówić na podwójną randkę z tym starszym gościem z dołu i jego pudlem. W porównaniu z nim będę się wydawał młokosem.

- A ile masz lat? - spytałam, wiedząc z aktualnych materiałów informacyjnych dla prasy, że przyznaje się do czterdziestu.

- Czterdzieści dwa - odparł.

Spodobało mi się to. To, że był ze mną szczery, a nie że miał czterdzieści dwa lata.

- Nie, nie przeszkadza mi to - powiedziałam.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Wyszliśmy na krótki korytarz, który ciągnął się i w prawo, i w lewo.

- W którą stronę? - spytał Lanny. Rozejrzałam się w poszukiwaniu oznaczenia 4D, które bardzo by mi pomogło. Nie było go. Ale oczywiście gdybym rzeczywiście mieszkała pod numerem 4D, nie potrzebowałabym tabliczki, żeby tam trafić, prawda?

- Zgadnij - powiedziałam kokieteryjnie.

- Dlaczego? - zapytał rozsądnie.

Przewiesił sobie moją torbę przez ramię i ruszył w głąb korytarza. Ja zostałam przy windzie, mizdrząc się jak słodka idiotka. Musiałam opóźnić zwycięstwo w walce o prawa kobiet o dobre dwadzieścia lat.

- To tu? - spytał Lanny.

- Sam mi powiedz - zaszcebiotałam.

Popatrzył na drzwi.

- Cztery G. Więc to musi być tędy, tak?

Pokazał palcem w przeciwną stronę. Staralam się grać słodką zagubioną dziewczeczkę, ale czułam się jak skończona kretynka. Wreszcie dotarł do drzwi na samym końcu korytarza.

- Cztery D - oznajmił. - Ostatni etap podróży. Teraz tylko poczekam, aż przejdziesz bezpiecznie przez drzwi i zostawię cię samą do jutra. - Zerknął na zegarek i poprawił się: - A właściwie do dzisiaj.

Zauważyłam, że drzwi mają dwa zamki. Wyjęłam klucze, których rzekomo szukałam od momentu, gdy weszliśmy do budynku.

- To może trochę potrwać. Nigdy nie udaje mi się dopasować klucza do dziurki za pierwszym razem. - Boże, robiłam z siebie totalną głupią lalę. Jeden klucz był mosiężny i nowy i dopasowałam go do górnego zamka, który też wyglądał na nowy i mosiężny. Klucz obrócił się i poczułam, jak zamek ustępuje. Hosanna. Następnie wsunęłam mniej błyszczący klucz w znacznie starszy zamek na dole i po przekręceniu go drzwi się otworzyły. Dobra robota, O'Connor.

- Cóż, dziękuję ci bardzo za wszystko. - Uśmiechnęłam się i przeszłam przez próg. W mieszkaniu było zupełnie ciemno. Sięgnęłam po włącznik światła i go nie znalazłam. Popełniłam błąd, wyciągając rękę, żeby poszukać włącznika po drugiej stronie framugi, gdzie też go nie było. Przestraszyłam się, że zaprzepaciłam zwycięstwo, sprawiając wrażenie, jakbym nie wiedziała, gdzie jest pstryczek w moim własnym mieszkaniu, więc zrobiłam to, co od razu się narzucało, czyli pocałowałam go.

Prawdopodobnie i tak bym go pocałowała. Przyjął mój pocałunek, jakby był czymś zupełnie naturalnym - może był - i bardzo miło go odwzajemnił, muszę przyznać. Był to bardzo udany pocałunek, z czego oboje mogliśmy się czuć zasadnie dumni.

W tej konkretnie epoce rozwoju kultury amerykańskiej byłoby oczywiście, gdybyśmy teraz zaczęli uprawiać seks.

Lanny postawił moją torbę na podłodze wciąż pogrążonego w ciemnościach mieszkania i powiedział takim tonem, jakby sam się upominał:

- Okej, teraz sobie pójdę, bo Reuben i Irv czekają w limuzynie na dole, a poza tym muszę się trochę przespać przed występem w „Today”, bo inaczej będę przed kamerami wyglądał tak staro, jakbym był twoim dziadkiem. Dlatego zachowam się teraz grzecznie. Ale chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie nienawidziłem Barbary Walters aż do tej chwili... i nie, stanowczo nie powinnaś się czuć tak bezpiecznie ze mną następnym razem. - Barbara Walters prowadziła wtedy program „Today” i przyjąłem jego słowa jako komplement.

- Dać ci mój numer? - zapytałam.

- Reuben go ma, pamiętasz? Jest moim żywym notesem telefonicznym. W ogóle nie mam głowy do numerów. Jeśli chcesz zadzwonić do mnie do Plazy... nie dzisiaj w nocy, ale później, bo do piątej rano nie odbieram żadnych telefonów... zadzwoń i poproś z pokojem „Lenny'ego Merwina”, a połączą cię ze mną. Albo odbierze Reuben, ale możesz mu zostawić wiadomość dla mnie. Lubi cię.

Skąd Lanny wiedział, że Reuben mnie lubi, nie miałam pojęcia, ale miło było to usłyszeć. Powtórzyłam imię i nazwisko, które mi podał:

- Lenny Merwin.

- Właśnie. Tak nazywała się postać, którą grałem w pierwszym filmie z Vince'em.

- „W drobny mak” - powiedziałam bezmyślnie.

- Tak. - Popatrzył na mnie. - Widzę, że jesteś większą fanką, niż dajesz po sobie poznać. - Wyglądał na rozczarowanego.

- Obawiam się, że nigdy go nie widziałam - skłamałam. - Jeden z pasażerów samolotu wspomniał, że widział ten film jako dzieciak. Po prostu tytuł utkwił mi w głowie.

Na twarzy Lanny'ego odmalowała się ulga.

- Ach tak. Chyba tego nie załapałem. Po pewnym czasie człowiek wpada w odrętwienie. No dobrze. Zadzwonię do ciebie jut... - Znowu spojrział na zegarek. - Zadzwonię do ciebie później. Cieszę się, że cię poznałem, Bonnie. - Ruszył w głąb korytarza, wsiadł do windy i zniknął.

Obmacałam ścianę i znalazłam zagubiony włącznik po drugiej stronie drzwi prowadzących do pomieszczenia, które kiedyś musiało być dość pojemną spiżarnią, lecz teraz było żenująco małą kuchnię. Większość przestrzeni zajmował wynalazek, który mógł się zrodzić wyłącznie w wyobraźni nowojorskiego właściciela czynszówki, a mianowicie połączenie lodówki z kuchenką. Minęłam kuchnię i weszłam do części mieszkalnej.

Trochę obrazków przedstawiających kwiaty, trochę zdjęć cudzych dzieci i zapach potpourri, który maskował mroczny odór sprayu na karaluchy. W połowie pokoju, w poprzek, na wysokości niecałych dwóch metrów wznosiło się łóżko o pełnowymiarowym materacu, na które można się było dostać po drabinie. Wyglądało na przytulne miejsce do spania, ale zadarcie głowy mogło się skończyć czołowym zderzeniem z sufitem. Pod łóżkiem stało stare biurko, lampka i to, czego szukałam bardziej niż czegokolwiek innego: aparat telefoniczny.

Podniosłam telefon Princess, który natychmiast się zaświecił (jego najlepsza funkcja). Tu, w mroku „pod arkadami” łóżka, jego łagodne światło pomogło mi znaleźć włącznik lampki i wreszcie mogłam trochę lepiej zobaczyć, co mnie otacza.

Usiadłam w fotelu wypełnionym ziarnami grochu, który stał przy ścianie naprzeciwko biurka, wykreśliłam numer operatora, a telefonistka zapytała, z jakim numerem mnie połączyć. Poprosiłam o rozmowę na koszt odbiorcy i podałam własny numer na Zachodnim Wybrzeżu. W jednostajnym szumie transkontynentalnych łączy usłyszałam parę sygnałów. Wiedziałam, że sygnały te wywołują dzwonienie mojego własnego telefonu. Wyobraziłam sobie, jak brzęczy w mojej nieco przesadnie luksusowej sypialni, pełnej secesyjnych grafik i tysięcy drobnych dekadencjnych akcentów, takich jak: wielobarwne flakoniki po perfumach, niezwykle draperie, idealne pawie pióra i paciorki z bursztynowego szkła, wiszące w oknie z nieciekawym widokiem na basen i fontannę bulgoczącą tuż pod kuchennym oknem, a wszędzie unosi się ledwo wyczuwalny zapach Jungle Gardenia. Mimo że tak przyjemnie spędziłam większość dnia, w tej ponurej i ciasnej manhattańskiej mansardzie zazdrościłam osobie, która odbierze telefon w Los Angeles. Mój telefon.

Po piątym sygnale Beejay, przyjaciółka, z którą mieszkalam w college'u, podniosła słuchawkę, oznajmiła telefonistce, że przyjmie rozmowę, i powiedziała „halo”.

- Cześć - powiedziałam. - Przyleciałam.

Pozostałyśmy przyjaciółkami po skończeniu college'u i zawsze starałyśmy się widywać, gdy wracałam do Nowego Jorku. Kiedy dowiedziałam się, że Neuman i Newberry chcą się ze mną spotkać, natychmiast do niej zadzwoniłam, żeby się umówić. Ku naszemu wspólnemu rozgoryczeniu Beejay oznajmiła, że właśnie tego dnia po południu skorzystała z wojny cenowej między American i TWA i wykupiła bilet do Los Angeles i z powrotem, ważny przez następne dwadzieścia jeden dni z wyjątkiem piątków i niedziel. Właśnie wtedy zaproponowałam, że wymienimy się na tydzień mieszkaniem, dzięki czemu mogłaby za darmo zatrzymać się w

moim lokum w Studio City (co i tak właściwie zamierzała zrobić), podczas gdy ja skorzystam z jej kawalerki, co pozwoli mi wydać znaczną, skalkulowaną na warunki Manhattanu dietę na coś innego niż pokój wielkości pudełka zapalek za jakąś bajońską sumę.

Beejay przyleciała do Los Angeles dzień przed moim odlotem. Pokazałam jej, jak otwierać zawór gazu do mojego kominka i jak otwierać otwór do baku w moim kabrioletcie, żeby go zatankować. Wymieniłyśmy się kluczami i zjadłyśmy kolację w Yamashiro, restauracji położonej około dwięćdziesięciu metrów nad Hollywood Boulevard. Była to wierna kopia pałacu Yamashiro w Kioto i służyła nie tylko jako restauracja, ale też *de facto* żywa hollywoodzka scenografia, często wykorzystywana dla potrzeb kina i telewizji, gdy potrzebowano japońskiej twierdzy.

Na kolacji świetnie się bawiłyśmy, a ja zapłaciłam rachunek. Nie zamierzałam pozwolić Beejay płacić za żadną część jej pierwszej nocy w Los Angeles. Wiedziałam, jak dużym wydatkiem był dla niej promocyjny bilet na samolot i jak mało zarabia, prawdopodobnie od szesnastu do dwudziestu tysięcy rocznie. Nazywałam ją „Beejay”, ponieważ jej inicjały to B.J., a nienawidziła pełnego imienia i nazwiska, które brzmiały Bonnie Jean Trout. Była nauczycielką w szkole publicznej numer 29 przy Orchard Street. Uczyła drugie klasy.

## 10

Beejay nie była bynajmniej zachwycona, kiedy wytłumaczyłam, co się stało. Zwróciła uwagę, że gdy proponowała mi zamianę mieszkania na tydzień, nie zamierzała dorzucać w promocji swoich praw do nazwiska.

- Dziewczyno, co ci strzeliło do głowy? - spytała z na trwałe nabytym nowojorskim akcentem, którego w jej wypadku smutno było słuchać, bo wychowała się w Savannah w Georgii, wśród najcudowniejszych mówiących ludzi w kraju. - Czemu, do cholery, po prostu nie wymyśliłaś sobie fikcyjnego nazwiska?

Próbowałam przekonać ją racjonalnymi argumentami.

- Zawsze staram się wpleść w kłamstwo jak najwięcej prawdy. Dziennikarz bardzo wcześnie dowiaduje się, że prawda wiąże się z milionami szczegółów. Powiedzmy, że obrabowano bank, a policja pyta mnie, gdzie byłam, kiedy to się stało. Mówię, że stałam przed sklepem A & P. A teraz, jeśli naprawdę tam stałam, to widziałam mnóstwo głupich, nic nieznaczących rzeczy, których nigdy nie mogłabym zmyślić. Kurczakowi na dachu furgonetki Chicken Delight, zaparkowanej obok, brakowało łebka. Jej kierowca nosił koszulkę z na drukiem kufla piwa i napisem VIRGINIA IS FOR LIVERS. Czwórka dzieciaków w szkolnym autobusie z liceum imienia Alberta Magnusa pokazała gliniarzowi gołe tyłki. To są wszystko rzeczy, które można potwierdzić, a których za Chiny bym nie wymyśliła. Ale jeżeli kłamię, mówiąc, że stałam przed supermarketem A & P, to mam tylko to. Dziś po południu czekał mnie pięciogodzinny lot z Lannym Morrisem. Gdybym zmyśliła, kim jestem, musiałabym wyssać z palca opowieść, która nie byłaby z niczym związana, i nie mogłabym się na niczym oprzeć. Ty z kolei, Beejay, jesteś prawdziwa, twoja historia zawiera te wszystkie szczególiki, a ja wiele z nich znam. Więc mogłam mu powiedzieć, gdzie pracuję, gdzie mieszkam, gdzie się urodziłam, jak ma na imię



mój ojciec... i nie musiałam wymyślać każdego z tych faktów w trakcie rozmowy, a później, co gorsza, wszystkich pamiętać.

Uznałam, że moje wyjaśnienie jest rozsądne i zrozumiałe.

Beejay odparła po prostu:

- W jednej z szafeczek znalazłam torebkę cukierków ślazowych i opiekam je nad palnikiem twojego gazowego kominka. Zdaje się, że strasznie go zapaskudziły, będziesz musiała starannie wyszorować cały kominek po powrocie. A tak w ogóle, jak długo zamierzasz ciągnąć to kłamstwo?

Odpowiedziałam, że w dużym stopniu zależy to od Lanny'ego. Może nigdy więcej się do mnie nie odezwie. Ale gdyby miało się stać inaczej, poprosiłam ją o zgodę na... cóż, miałam zamiar powiedzieć „podtrzymanie iluzji” albo „zachowanie pozorów”, ale przypuszczam, że naprawdę chodziło mi o „dalsze kłamstwo”. Powiedziałam, że obiecuję być „Bonnie Trout” tylko trochę dłużej, i to wyłącznie dla niego i grona jego najbliższych znajomych.

- No, mam nadzieję - odparła. - I co, pocałowałaś go?

Odparłam, że owszem, i jeśli skrzywienie można usłyszeć przez telefon, to usłyszałam, jak Beejay się krzywi.

- Uuu, dziewczyno, fuj! Lanny Morris jest takim obleśnym zgredem.

Zapewniłam, że Lanny jest zupełnie inny.

- Tak, jasne, czyż to nie cudowne, że ze wszystkich facetów świata Amor wybrał dla ciebie akurat znacznie starszego, dzianego, cieszącego się międzynarodową sławą komika, który działa ludziom na nerwy. Zdaje się, że prawdziwa miłość pokonuje wszystkie przeszkody. A, słuchaj, dostałaś paczkę. Nie z poczty. Przez firmę kurierską. Podpisałam się twoim nazwiskiem.

- Aha! Czyli podszyłaś się pode mnie, w moim mieszkaniu.

- Tak, tak, doręczyciel miał formularz z wolnym miejscem nad twoim nazwiskiem, więc wpisałam się tak, bo uznałam, że inaczej nie przekazałby mi paczki.

Ciekawiło mnie, co to za paczka, i zapytałam o adres nadawcy. Powiedziała, że go nie ma. Poprosiłam, żeby ją otworzyła. Tak też zrobiła. Usłyszałam szelest i odgłosy rozdzieranego papieru.

- To maszynopis. Jakieś pięćdziesiąt stron. Pod tytułem „Fragmenty «Wspomnień» Lanny'ego Morrisa”. No proszę, facet już pisze do ciebie listy miłosne.

Przypomniałam Beejay, że gdy wysłano maszynopis, nie poznałam jeszcze Lanny'ego. Na razie nie widziałam powodu, żeby mówić jej o poprzednim maszynopisie, który widziałam w kancelarii Hillmana. Zapytałam, czy do paczki dołączono list od kogokolwiek, na przykład Lanny'ego, Johna Hillmana, Warrena Richtera...

- Nie. Tylko ten tekst, napisany na maszynie IBM, jeśli się na tym znam, a znam się dobrze.

Rozpaczliwie pragnęłam zobaczyć teraz ten maszynopis. Ale nie było sposobu, by przesłać drukowany tekst na drugi koniec kraju w jednej chwili ani nawet w ciągu jednej nocy. Istniały teleksy, ale były dobre tylko do przesyłania wiadomości o długości telegramu. Funkcjonowała ekspresowa poczta lotnicza, ale w najlepszym razie musiałabym poczekać na przesyłkę dwa albo trzy dni, a zależało mi na tym, żeby dowiedzieć się, co jest w tych wspomnieniach, zanim znowu zobaczę się z Lannym (jeśli się z nim zobaczę).

- Beejay. Znienawidzisz mnie. Musisz mi przeczytać ten maszynopis. Teraz. Ja płacę, pamiętasz?

U niej było dopiero wpół do jedenastej. Staralam się użyć najbardziej przekonujących słów, jakie znałam.

- Halo? Oddam ci połowę kanapki.

Po drugiej stronie panowała cisza.

- Nie musisz mi czytać wszystkiego, po prostu przejrzyj tekst i przeczytaj na głos to, co wygląda na ważne - dodałam.

Usłyszałam, jak wzdycha. A potem:

- Muszę nalać sobie wody.

- W kuchni jest automat z czterema galonami chłodzonej wody źródlanej Arrowhead.

- Okej. I muszę zrobić siusiu.

- Dobra, dobra, poczekam.

Usłyszałam, jak odchodzi. Sama też poszłam do kuchni nalać sobie nowojorskiej kranówki. Byłoby doskonale, gdyby, podobnie jak ryż, brązowa woda była zdrowsza od zwyczajnej.

- Okej, gotowa? - zapytałam, gdy usłyszałam, jak z szelestem kładzie się pod kołdrą w pieszczącej zmysły jedwabnej pościeli na moim mięciutkim łóżku.

- Tylko to, co najważniejsze, tak?

- Jasne - zapewniłam, usiłując znaleźć na fotelu miejsce, gdzie nie uwierałyby mnie ziarenka grochu.

Zdawało się, że tekst nie zaczyna się dokładnie tam, gdzie kończyła się część, którą czytałam. Za parę dni sama wezmę do ręki maszynopis i wtedy się nim z wami podzielę. Prawie na pewno byłoby mi łatwiej, gdyby udało mi się przeczytać go od razu w całości, a nie w skrótach i streszczeniach, dokonywanych przez Beejay. Już zawczasu powiem wam jednak, że w obu wersjach pisarski głos Lanny'ego znowu w niczym nie przypominał głosu człowieka, którego poznałam w samolocie, i że znowu nie miałam pojęcia, dlaczego dzielono się ze mną tymi materiałami. Ale to i tak pestka w porównaniu z innymi zagadkami, przed którymi stanęłam.

Pozwólcie, że wyjaśnię, dlaczego dwaj faceci, którym szło tak dobrze jak nam, występowali w New Jersey.

Jestem na tyle stary, że pamiętam tramwaje. Blaszane podłużne pudła na metalowych kółkach, sunące środkiem jezdni, jakby na ulicy miały zawsze pierwszeństwo; prędko przekonalibyście się, że tak rzeczywiście było, gdybyście zatrzymali się przed jednym z nich, żeby zawiązać sznurówki, tak jak biedny Anthony Tedesco. W czasach mojej babki jeździło ich po okolicy tak dużo, że lokalny klub bejsbolowy nazwano Brooklyn Trolley Dodgers - Tramwajowi Gapowicze z Brooklynu, chociaż kiedy byłem dzieciakiem, drużyna pozbyła się już z nazwy odnośnika do tramwajów. Kiedy byłem nastolatkiem, miasto postanowiło pozbyć się również samych tramwajów.

Dowiedziałem się kiedyś - od faceta, który opowiedział mi ze szczegółami, jak zamordował pewne małżeństwo, więc czemu miałby kłamać w sprawie komunikacji miejskiej? - że dawniej, w czasach, gdy firmy tramwajowe rządziły dzielnicą i w całą północną częścią New Jersey, ich właściciele mieli wielki problem. W dni powszednie interes szedł świetnie, tramwaje były zapchane pasażerami jak puszki sardynkami. Ale w weekendy wagony świeciły pustkami. Więc przewoźnicy wzięli na siebie budowę tych wszystkich atrakcji jak najbliżej końców trasy, żeby wszyscy ludzie, którzy się tam wybierali w sobotę czy w niedzielę, mieli powód, żeby wsiąść do tego samego tramwaju, z którym właśnie pożegnali się w piątek po pracy. Właśnie dlatego powstały takie miejsca jak Coney Island. I fajne miejsca na pikniki, gdzie można było popływać łódką albo poplaskać się w wodzie. Ale przede wszystkim wesołe miasteczka.

Moje ulubione wesołe miasteczko znajdowało się wysoko na urwiskach Palisades w hrabstwie Bergen. Odkąd ukończono budowę mostu Jerzego Waszyngtona, nie trzeba było przesiadać się z promu do tramwaju, żeby

tam dotrzeć. Wystarczyło pojechać kolejką elektryczną na starą stację przy Sto Sześćdziesiątej Ósmej, a stamtąd autobusem aż do Fort Lee i miejsca, gdzie można było posiedzieć w ogródkach piwnych, potać się na dancin-gach i odbyć najbardziej niebezpieczną przejażdżkę kolejką górską od czasów Luny. Miejsce to nazywało się Palisades Park.

Był tam basen ze słoną wodą i maszyną do robienia fal, beczka śmiechu, gdzie najfajniej było stać na zewnątrz i patrzeć na mały balkonik, na który musieli wchodzić klienci w drodze do następnej części labiryntu, a strumień powietrza podwiewał dziewczynom sukienki. Widok z dołu był prawdziwie spektakularny.

A skoro mowa o „dole”, to dla mnie najfajniejsza w Palisades Park była duża kolejka górska, wzniesiona na skraju urwiska. Kiedy wjeżdżało się na sam szczyt toru, tuż zanim zjeżdżało się po raz pierwszy stromo w dół, gdy zerknęło się w lewo, widziało się nie parcelę, na której zbudowano kolejkę, tylko brzeg rzeki Hudson jakies sześćdziesiąt pięter niżej. Miasteczko u podnóżu klifu nazywało się Edgewater i mówiono, że lądują tam samobójcy, którzy skaczą z okien domów w Fort Lee. Nieczęsto zdarza się człowiekowi spojrzeć prosto w dół i zobaczyć inne miasto niż to, w którym się akurat znajduje. Za każdym razem, gdy zjeżdżało się po pierwszej stromiznie toru, człowiek czuł się tak, jakby próbował się zabić.

Większość New Jersey wyglądała jak zapadła prowincja, bo do niedawna nie było tu nic poza polami upraw, ale Palisades Park to była zupełnie inna bajka. Spotykało się tam tylu brysiowatych, elegancko ubranych, pozbawionych serc i karków włoskich gangsterów, działających w sąsiednich Leonii i Coyotesville, ilu można ich było zobaczyć w pięciu innych dzielnicach razem wziętych, a spojrzmy prawdzie w oczy: wszędzie, gdzie przesiadują i bawią się gangsterzy, automatycznie robi się całkiem w dechę. No bo na początek będziecie mieli naprawdę dobre włoskie żarcie, przynajmniej to na bazie czerwonego sosu. A ponieważ każdy Włoch jest honorowym pół-Żydem, będziecie mieli także sporo całkiem porządnych lokali z kosztorną kuchnią. Automatycznie macie też dobre smażalnie steków, bo jakość steku zależy głównie od jakości mięsa, a jakość mięsa zależy od tego, co się przywozi ze Środkowego Zachodu ciężarówkami związkowymi, a wiadomo, kto kontroluje związki i transport ciężarowy. A gdzie pojawiają się gangsterzy, ciężarówki i związkowcy, tam pojawiają się takie sklepy z alkoholem jak Porta-Johns gdzieś przy placu budowy, ponieważ jakoś trzeba wyprać brudną forszę. Wyrażenie „sprzedaj za gotówkę bez dostawy” wymyślono dla mafii, nie dla konsumentów.

Przez wiele lat obowiązywał niezwykle przepis, że w Bergen może uprawiać hazard każdy z wyjątkiem mieszkańców hrabstwa. Wydawało mi

się to najbardziej otwartym zaproszeniem, żeby brać kasę i jechać. Ale w latach pięćdziesiątych hazard został ostatecznie zdelegalizowany. Chłopcy z ferajny mieli specjalne słowo na określenie kryminalizacji hazardu w New Jersey. Nazywali to „Renesansem”.

W sercu całej tej prosperity był wielki klub nocny, przylegający do Palisades Park o nazwie Casino del Mar. (Początkowo miał się nazywać Casino del Mare, ale zrezygnowano z ostatniego „e”, żeby nazwa brzmiała bardziej amerykańsko). Prawie rok wcześniej daliśmy jeden z ostatnich występów w starym, przylegającym do kasyna klubie z salą na czterysta osób (pięćset na naszych występach, ale tylko dlatego, że niektórzy nazwaliby „stolikiem” praktycznie cokolwiek), który nosił nazwę Tito's Cliffside Club i został zrównany z ziemią, żeby zrobić miejsce na nowy, lśniący kompleks, łączący w sobie klub, restaurację i hotel. Unikano szumu wokół nowego, nielegalnego kasyna, które budowano w obrębie kompleksu. Hazard przeniesiono z przodu na zaplecze, co oznaczało, że sala widowiskowa miała zapewnić kamuflaż dla tego, co dzieje się na tyłach.

Upłynęło trochę czasu, zanim chłopcy z ferajny w końcu skapowali, że zapewnienie dobrego występu pomaga uzasadnić cały proceder. Czemu wszystkie te samochody przyjeżdżają przez most aż z Nowego Jorku akurat do tego klubu i hotelu w New Jersey? Jeśli występuje tam Penelopa i jej Tresowane Węże, to nie wiadomo czemu, prawda? Oczywiście wszyscy krewni i znajomi królika wiedzą, że powodem jest kasyno, ale nie można aż tak kłuć ludzi w oczy, bo w końcu policja albo politycy będą zmuszeni zareagować.

Ale jeśli zaangażujecie najpopularniejszy duet w show-biznesie jako gwóźdź programu... cóż, to jasne, że ludzie walą drzwiami i oknami, żeby obejrzeć Collinsa i Morrisa, a czasami niektórzy potrafią zgubić się w tłumie albo zabłąkać na tyły...

W pobliżu drzwi oznaczonych PANIE i PANOWIE i KIEROWNIK były jeszcze jedne, z oznaczeniem BASEN DLA DZIECI. Gdybyście przez nie przeszli, znaleźlibyście się w długim korytarzu z lustrami po bokach i bardzo jasnym oświetleniem. Nie zdawalibyście sobie z tego sprawy, ale po prawej były lustra weneckie, a za nimi kilku strażników, którzy przyglądali się wam od stóp do głów, próbując ustalić, czy jesteście w porządku, czy nie.

Na końcu korytarza przechodziło się przez następne drzwi, a tam witał cię szczupły, ubrany w smoking pan, który z miłym uśmiechem na ustach przepuszczał cię przez kolejne drzwi, na wprost ciebie. Potrafił nawet podszeptać hasło, żebyś poczuł, że zaraz znajdziesz się w naprawdę wyjątkowym miejscu, albo powiedzieć strażnikowi przy drzwiach, żeby zajął się jego „osobistym przyjacielem”, jakbyś był jakąś ważną osobistością. Po drugiej stronie tych ostatnich drzwi był krótki korytarzyk, prowadzący do

metalowych schodków, które biegly w dół, na parking dla wozów dostawczych. Wszystko było tam z pustaków, na ziemi betonowa wylewka, a w powietrzu unosił się smród spalin.

Jeśli uznano, że jesteś nieszkodliwy i zabląkałeś się na korytarz przypadkiem albo z głupiej ciekawości, mówiono ci, żebyś okrążył budynek i od frontu znowu wszedł do Casino del Mar.

Ale jeśli byłeś jakimś kapusiem albo szpiclem, z hukiem zapalał się silnik ciężarówka, który zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Dwaj faceci prowadzili cię na pakę, gdzie kazali ci usiąść na długiej metalowej ławie, przyśrubowanej do bocznej ściany, a następnie sami siadali po bokach. Ciężarówka wiozła cię na prywatne, ogrodzone wysypisko śmieci o nazwie LATTANZI I SYNOWIE - SKŁADOWANIE ODPADÓW na obrzeżach wschodniego Rutherford. Nigdy nie spotkałbyś Lattanziego, ale po drodze na wysypisko dostałbyś wycisk, który byłby lekki albo ostry w zależności od tego, co chodziło ci po głowie, kiedy lałeś lustrzanym korytarzem do nieistniejącego kasyna.

Jeżeli nie zamierzano cię zabić, pobicie służyło jako ostrzeżenie, a potem musiałeś sam znaleźć drogę do domu ze wschodniego Rutherford, trzymając się za jakąś część ciała, która teraz była wygięta w złym kierunku.

Jeżeli czekała cię śmierć, prawie wcale cię nie bili. Nie zamierzali dawać ci nauczek, którą zapamiętałbyś do końca życia, ponieważ przewidywali, że koniec nastąpi całkiem szybko. Kiedy los stał się dla ciebie jasny i poznałeś już prawdziwe znaczenie takich słów jak „rozpacz” i „osamotnienie”, pakowali w ciebie kulki i zakopywali cię pod hałdą odpadów. Jeśli nie zostałeś przygnieciony przez śmieci, to wkrótce się to stanie. Jeśli miałeś szczęście, zdążyłeś wykitować, zanim zaczęli przysypywać cię ziemią. Nikt nie sprawdzał przedtem, czy jesteś martwy, czy jeszcze nie. Jeśli nie, to twój pech.

Ale jeśli miałeś prawo i dobry powód, żeby przejść tajemnym zwierciadlanym korytarzem, to po dotarciu do drzwi w głębi ten sam jegomość w smokingu witał cię z tym samym miłym uśmiechem i kierował do nieoznaczonych drzwi po lewej, a tam wkraczałeś do jednego z najwspanialszych, najbardziej luksusowych kasyn, jakie kiedykolwiek znalazły się w odległości półgodzinnej jazdy samochodem od Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Większość ludzi, którzy tłumnie wędrowali do kasyna, była mile widziana. Ci klienci przestrzegali zasad etykiety, której oczekiwała po nich ferajna: nie przeklinali, nie wszczynali awantur, nie oszukiwali i nie wygrywali.

Ze mną i Vince'em sytuacja przypominała trochę tego bukmachera, który dla picu założył piekarnię, lecz niestety, wypiekał najlepsze czekoladowe

ciasteczka w całym Brooklynie, ludzie nie przestawali ich kupować i wkrótce zakłady konne zeszyły na dalszy plan. Byliśmy takim magnesem na publiczność, że chłopcy z ferajny trochę się na nas gniewali. Kiedy dziani goście zdążyli już wynająć limuzynę dla siebie i swoich kochanek, zjeść olbrzymią elegancką kolację w Błękitnej Grocie z homarami *fra diavolo* dla dziesięciu osób i gorzałą dla dwudziestu, dać napiwek każdemu pracownikowi: pomocnikowi kelnera, chłopakowi nalewającemu wodę stołową, służącemu w toalecie z butelkami Pinaud, Vitalis i Aqua Velva, służącej w damskiej toalecie, szatniarce, dziewczynie z papierosami za cygaro albo zrobienie lodu na parkingu, dziewczynie sprzedającej kwiatki do butonierki, dziewczynie z aparatem za cyknięcie zdjęcia (albo zniszczenie negatywu, co kosztowało drożej), barmanowi za polecenie dziewczyny z papierosami, swojemu kelnerowi, drugiemu kelnerowi, bratu kelnera, który przyrządził salatkę cesarską, kelnerowi nalewającemu wino, maître'owi d'hôtel, innemu maître'owi d'hôtel za podanie płonących wiśni, znowu szatniarce, odźwiernemu, parkingowemu i szoferowi limuzyny, by nie wspomnieć (o czym wspominam) o opłacie wstępnej, opłacie za muzykę, opłacie za rezerwację i drinki w czasie minimum czterdziestu minut piosenek i komicznych skeczy Vince'a Collinsa i Lanny'ego Morrisa... który z nich jeszcze, do cholery, miałby forszę na hazard?

A to tylko, kiedy się szło z żoną albo narzeczoną. Koszty znacznie wzrosły, gdy goście przychodzili w ściśle męskim gronie. Wtedy dochodziły dziwki. I pokoje hotelowe dla jednych i drugich. I napiwki dla recepcjonisty na nocnej zmianie i windziarza, i obsługi pokojowej, a potem wszystko zaczynało się od nowa.

W rachubę mógł jeszcze wchodzić koszt narkotyków.

Jeśli chodzi o prochy w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, trzeba zrozumieć jedną rzecz. Istnieli wtedy „nałogowcy”. Byli to albo czarni, albo muzycy jazzowi (którzy, zauważcie, też w większości byli czarni). Oprócz tego zdarzali się ludzie, którzy brali narkotyki od czasu do czasu. Ale ponieważ byli biali, mieli pracę, dom i żaden nie zarabiał na życie jako muzyk, nie byli „nałogowcami”. Byli po prostu bogaci i na luzie. Przynajmniej tak się wtedy myślało. Pepsi miała reklamę radiową, która sugerowała, że ich cola sprawi, że będziecie długo „piękni, młodzi i beztroscy”. Dziani ludzie, zażywający narkotyki, byli po prostu bardzo beztroscy.

W naszym ograniczonym pojęciu problemu wszystko, czego nie brało się w zastrzyku, było okej. Nie było tak naprawdę „poważne”. Nie liczyło się, jak przejście na czerwonym świetle. Wszyscy brali amfę. Vince dodawał ją do porannej kawy jak tabletki sacharyny. Zwyczajnie śpiewać na melodię „Lollipop” Chordettes: „Benzedryna, metedryna, czemu nie amfetamina...”.

Rozumiem, że to szokujące wyznanie, ale... nie sypialiśmy. W ogóle. Doszliśmy do wniosku, że jeżeli sypia się po osiem godzin dziennie (a podobno wielu ludzi tak robi), to jedna trzecia życia umyka człowiekowi na zawsze, zostaje mu sprzątnięta sprzed nosa. Gdy ktoś, kto zawsze sypiał po osiem godzin na dobę, dożyje siedemdziesiątego drugiego roku życia, to tak jakby pozbawił się możliwości aktywnego życia od dwudziestego pierwszego do czterdziestego piątego roku życia. Dajcie spokój! Chcielibyście zaraz po ukończeniu college'u stać się czterdziestopięcioletkami i stracić wszystko, co mogłoby się wydarzyć w tym czasie?

Kiedy wreszcie postanawialiśmy stracić przytomność (utrata przytomności wydawała się znacznie mniejszą porażką niż zaśnięcie), lykaliśmy dwa albo trzy tuinala. Były naprawdę ekstra. Między momentem, kiedy się je wzięło, a momentem, w którym się mdlało, człowiek czuł się naprawdę... sexy, kumacie?

Jedyny problem, jaki Vince i ja kiedykolwiek mieliśmy z prochami, polegał na tym, że czasami wyczerpywały nam się zapasy. Wtedy wykonywaliśmy wypróbowany skecz „Czy na sali jest lekarz?”. Zawsze na widowni znalazł się jakiś bystry młody żydowski doktor Stephen Jakiś Tam ze swoją młodą żonką. Po występie, za kulisami, jeden z nas pytał go: „Słuchaj, skoro daję ci autograf, myślisz, że mógłbyś mi dać swój na pewien lek, którego potrzebuję? Jestem na gościnnych występach i mówią tu, że nie wolno mi realizować recept mojego lekarza poza granicami stanu. Chodzi tylko o te pigułki, te zielono-czarne, jakże się one nazywają? Tak, właśnie. Takie na sen”. Albo innym razem: „Takie, żebym nie utył”. Doktor Steve z radością wypisywał receptę. Dzięki temu czuł się jak nasz kumpel.

W Casino zbudowano zupełnie nową salę do występów, którą nazwano Błękitną Grotą. Była bardzo fajna. Mnóstwo dobrych potraw z owoców morza z sycylijskim akcentem, co znaczy, że homarom strzelano w łeb przed ugotowaniem (dowcip).

Sama sala znajdowała się faktycznie pod ziemią, żeby zostawić więcej miejsca dla holu hotelowego i kasyna ukrytego za zaporą długiego kontuaru recepcji. Ściany lokalu zostały wykonane tak, żeby przypominały ściany jaskini, jak w labiryncie śmiechu albo grocie miłości. Zrobiono je z liquifoamu, czyli mieszanki gipsu i pianki styropianowej, łatwo palnej jak diabli, ale chłopcy z ferajny obliczyli, że będzie znacznie taniej dać inspektorowi pożarowemu dwie stówki i dobry stolik na nasz występ, niż wybulić tysiące dolarów na materiały ogniotrwałe i zabezpieczenia. Poza tym w przedsięwzięciach tego typu zawsze liczyła się możliwość szybkiego puszczenia budy z dymem.

Tak więc ta beczka prochu, jaką była Błękitna Grotą, mieściła tysiąc dwustu klientów w całkowicie komfortowych, a zarazem niebezpiecznych



warunkach. W czterech rogach sali do czterech niedużych basenów spływały cztery małe wodospady - nic nadmiernie wyszukanego, ma się rozumieć, ale fajną rzeczą było to, że niebieskie reflektorki w basenikach podświetlały płynącą wodę, rzucając jej odbłaski na ściany, dzięki czemu cała Błękitna Grota zdawała się mienić akwamarynowym światłem. Z każdego miejsca restauracji słyszało się też szum i plusk wody, co sprawiało, że wszyscy regularnie korzystali z toalet. Pracujący tam służący, którzy utrzymywali się wyłącznie z napiwków, bardzo cenili sobie ten bajer.

Małym japońskim mostkiem przechodziło się nad niedużym zbiornikiem wody, wypełnionym homarami z Maine. Codziennie samolotami transportowano je żywcem z Miami. Nie pytajcie dlaczego.

Dobra, skoro już pytacie, to wyjaśnię. Widzicie, hotel Versailles w Miami Beach (który prowadzili ci sami ludzie, którzy zarządzali Casino del Mar) co dzień albo dwa sprowadzał żywe homary z Maine na Florydę. Dyrekcja Błękitnej Groty także na początku miała zamiar sprowadzać homary z Maine. Ale kiedy zdecydowano się też na kraby z Florydy, umówiono się z Versailles, żeby do codziennego ładunku krabów dołączano część homarów. Dzięki temu nie trzeba było organizować trzeciego przelotu z Maine do New Jersey i dlatego właśnie homary z Maine, w skrzynkach z lodem (i krabami), codziennie przylatywały samolotem z Miami. Żałujecie, że zapytaliście?

Całym Casino del Mar zarządzał jeden z najważniejszych ważniaków w ferajnie, facet, który nazywał się Sally Santoro. Wiem, że teraz za każdym razem, gdy zobaczycie imię „Sally”, w pierwszym odruchu będzie się wam wydawało, że mówię o dziewczynie, więc pamiętajcie, że Sally był facetem. Miał jaja jak struś, lecz w przeciwieństwie do tego drugiego nigdy nie chował głowy w piasek. Naprawdę miał na imię Salvatore, ale jedynymi ludźmi, którzy tak się do niego zwracali, byli jego matka i politycy przyjmujący od niego pieniądze, ale niechący sprawiać wrażenia jego kumpli.

Chciałbym wam powiedzieć, że Sally był szczupłym, liczącym metr dziewięćdziesiąt wzrostu facetem, który wyglądał jak David Niven w okularach i mówił z dystyngowanym brytyjskim akcentem. Wtedy nie moglibyście mnie posądzić o hołdowanie stereotypom. Szkopuł w tym, że Sally był szanującym się włoskim gangsterem, który wyglądał i gadał dokładnie tak, jak moglibyście się spodziewać, znając filmy gangsterskie. Może sam widział te filmy i się na nich wzorował. Był jednym z tych zimnych sukinsynów: metr siedemdziesiąt, smoliście czarne włosy, mocarne łapska, mocarna klata, ciemne brązowe oczy, cienkie wargi, które wiecznie były lekko skrzywione, nawet wtedy gdy śmiał się z moich dowcipów, co się zdarzało. Często się śmiał. Po prostu wiało od niego grozą.

Sally Santoro prowadził hotel Versailles i parę małych klubów w Miami, kilka melin ze striptizem i naprawdę dobry burdel w Baltimore, oraz czekające na rychle otwarcie Casino del Mar w Palisades Park w stanie New Jersey. Przylecieliśmy z Hollywood, żeby wziąć udział w poświęceniu całego kompleksu hotelowo-rozrywkowego Casino del Mar na trzy miesiące przed oficjalnym otwarciem. Sally zaprosił nas, żebyśmy uświetnili uroczystość swoimi nazwiskami. Generalnie należało przyjmować te zaproszenia, chyba że miało się dobre usprawiedliwienie, na przykład, że ojciec i matka zginęli w wypadku samochodowym. Strata jednego z rodziców prawdopodobnie by nie wystarczyła.

Po uroczystości poświęcenia, na której pojawili się również Joni James, mała Brenda Lee, Domenico Modugno i aktorka Mara Corday, Vince'a i mnie poproszono, abyśmy dołączyli do Sally'ego i grupy przyjaciół w jego gabinecie, pierwszej części nowego Casino del Mar, która została ukończona. Jego przyjaciele siedzieli już przy wielkim okrągłym stole, który dobrze pasował do hiszpańsko-śródziemnomorskiego wystroju. W pokoju było dużo czarnego aksamitu. Na kanapach i krzesłach, i w zasłonach. Wiele malowideł na ścianach także wykonano na czarnym aksamicie. Matador. Gustowny kobiecy akt. Błazen. Z tarasu rozciągał się fantastyczny widok na Manhattan: patrząc za rzekę Hudson, widziało się katedrę Świętego Jana Ewangelisty. Założę się, że więcej niż jedna osoba zobaczyła ten widok do góry nogami, zwisając za kostki z krawędzi tarasu.

Wskazano nam siedzenia, a Sally powiedział:

- Vince, Lanny, chciałem, żebyście poznali moich współników. - Skinął na pozostałych mężczyzn i przedstawił każdego tylko z imienia, po czym zwrócił się do wszystkich razem: - Panowie, to moi bardzo dobrzy znajomi, pan Vince Collins i jego partner, niewydarzony żydowski połamaniec Lenny jakiś tam.

Zastanawiałem się, czym mu podpadłem. Potem zobaczyłem, że prawie się uśmiecha, i zdałem sobie sprawę, że to jego typ humoru: komizm dla morderców. Chłopcy wydawali z gardła coś w rodzaju chichotu, więc Vince i ja też się zaśmialiśmy. Hej, Sally, zabawny jesteś. To ty powinieneś być komikiem. Nie, mówi Sally, zostawiam te pierdoły takim lachociągom jak wy. Boki zrywać!

Sztywny dzieciak imieniem Frankie wniósł tacę z sandwiczami. Wszyscy ucieszyli się z widoku kanapek, a potem nikt ich nie tknął. Może mogli

sobie kawy nalać i popijać powoli kawę, ale pytania w rodzaju: „Chcesz z sałatką jajeczną? Dali dresing majonezowy? Czy to szynka, czy ozorek?” były dla gangsterów zagadnieniami tak błahymi, jak istotne były dla Żydów takich jak ja. W całym swoim życiu chyba nigdy nie widziałem, żeby włoski mafioso zjadł zimny posiłek. Ani sałatkę z tuńczyka, ani kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem, ani jajko na twardo. Nie, zaraz, skłamałem: raz widziałem, jak boss mafii jadł koktajl z krewetek, ale trwało to tylko dwie minuty, a potem zabrał się do smażonych kalmarów.

Następnie Sally i jego wspólnicy odbyli jedną z tych zadziwiających mafijnych niby-rozmów. Siedzieli przy stole, jakby znaleźli się w łaźni parowej. Nasiąkali ciszą, czekali, aż poczują ją w kościach.

Wreszcie Sally zaczął:

- No i co z naszymi przyjaciółmi?

Po około czterech taktach komunikacyjnej pustki ktoś inny odrzekł:

- Chodzi ci o Joeya?

Półpauza.

- Taa.

Trzy ćwierćpauzy.

- Joeya z Dallas?

- Joeya od nas.

- Tego z... no tak, Joeya.

- Pasuje mu to? Bo nie chciałbym, żeby zaczął gadać, że... wiecie...

- Nie, pasuje mu. Przerwa.

- A jego kuzyn. Tilio?

- Taa, zajmuję się tym. Mówiąc szczerze, sprawa jest załatwiona.

- Więc jesteście my kwita, mówisz.

- Taa, Sally.

Dokładnie tak przebiegały te niby-rozmowy. Vince i ja słyszeliśmy je wiele razy. Może prowadzili je tylko ze względu na naszą obecność. Może kiedy nie było nas w pokoju, rozmawiali jak członkowie klubu Rotary.

Nastąpiło kolejne czterdzieści pięć sekund ciszy, a potem wszyscy oprócz Sally'ego wstali, jakby na znak niewidocznego suflera. Tilio, wychodząc, po raz pierwszy się do nas odezwał:

- Widziałem was u Eda Sullivana w ostatnią niedzielę - zauważył. - Ed Sullivan to dopiero śnięta ryba, co?

Odrzekłem:

- No, kiedy się poznaliśmy, powiedziałem mu: „Kurczę, Ed, wyglądasz prawie dokładnie tak jak za życia”.

Radosny śmiech. Tilio pokiwał głową.

- Uwielbiam, jak chodzisz na kostkach wygiętych na zewnątrz. Zrób to dla mnie.

Zrobiłem to dla niego. Spodobało mu się.

- To świetne. Hej, słuchaj, jeszcze jedno: zawsze kiedy was widzę, Vince próbuje zaśpiewać piosenkę, właśnie zaczyna, a wtedy ty wychodzisz i mu przerywasz.

Tak, oczywiście, w ten sposób zaczynaliśmy cały występ i roześmiałem się z żartu Tilia. Potem zorientowałem się, że mówił poważnie. To tak jakby narzekać, że w „Błękitnej rapsodii” pianista ciągle się wcina i zagłusza orkiestrę.

- Od tej pory będę na to uważał - zapewniłem z poważną miną.

Tilio pokiwał głową.

- Bo powinienes. Vince jest świetnym piosenkarzem, a do tego przy stojnym facetem. Pewnego dnia może spróbować kariery solowej, a wtedy co z tobą będzie?

Staralem się stłumić uśmiech, ze względu na Vince'a. Już od ponad roku tacy felietoniści, jak Jack O'Brian, Moe Cohn i Earl Willson podnosili dokładnie ten sam problem, tylko że ich argumentacja szła w odwrotnym kierunku: Co by się stało z biednym Vince'em Collinsem, gdyby Lanny Morris zostawił go samego? Była to jedna ze spraw, o których nigdy nie rozmawialiśmy.

- Jeśli następnym razem wtrąci ci się podczas piosenki, Vince - poradził Tilio - po prostu śpiewaj dalej. Publika powie mu, żeby zabrał swoją krzykliwą żydowską dupę ze sceny.

Podobało mi się, że Tilio przerzucił się teraz na show-biznes. Zwłaszcza że, jak słyszałem, jego jedyny kontakt z żywym widzem ograniczył się na razie do zastrzelenia przypadkowego świadka rabunku. Kontakt szybko się urwał.

Vince rozgrywał to bardzo spokojnie: po prostu uśmiechał się w nieokreślonym kierunku. Jego postawa, a nie mogę powiedzieć, żeby się pomylił, wynikała z przeświadczenia, że nie można wygrać dyskusji z facetami tego pokroju, dlatego trzeba się uśmiechać, przytakiwać i mieć nadzieję, że nazajutrz wszystko rozejdzie się po kościach.

Ale ja zacząłem się trochę denerwować.

- Co to jest? Włoska Liga Oszczerców? Pamiętajcie, że Jezus był Żydem.

Gangsterów zamurowało.

Duży John zapytał bardzo powoli:

- Co ty, kurwa, pierdolisz?

To było tak, jakby jedna z ich żon powiedziała, że zrobiła laskę Sidneyowi Poitier. Nie potrafili pojąć tego zdania, nie byli w stanie wyobrazić sobie, co mogłoby znaczyć... może to był jakiś dowcip, którego nie skapowali. Spróbowałem się wycofać:

- Nic nie mówię. Tylko tyle, że Jezus i jego rodzina byli wszyscy Żydami, którzy wrócili do Ziemi Świętej. - Zobaczyłem ich reakcję i dodałem: - Z Neapolu, jak się obecnie sądzi.

Tilio nie wiedział, czy powinien mnie zabić, czy po prostu rozmawia z najdurniejszym dupkiem na ziemi. Wyjaśnił mi, jakbym był dzieckiem:

- Słuchaj, jeśli Jezus nie był chrześcijaninem, to skąd, twoim zdaniem, pochodzi słowo Chrystus? Matka Boska dała mu tak na imię.

- Jasne, chciałem tylko powiedzieć, że zanim powstała religia chrześcijańska, Jezus był Żydem. Maria też była Żydówką. - Aj! Duuuży problem. Zaczęli mruzczyć i stękać, dając do zrozumienia, że posunąłem się za daleko. Czym prędzej zaznaczyłem: - Tylko w tym sensie, że nie było Kościoła chrześcijańskiego, dopóki nie narodził się Jezus. Bo nie mogło być. Więc Maria musiała przyjąć taką religię, jaka akurat była dostępna, no i wiecie, z utęsknieniem czekała, aż będzie mogła przejść na katolicyzm.

Usłyszałem chóralne pomruki, przynajmniej mi rację. Sally wystąpił w roli Daga Hammarskjolda:

- Tilio, daj spokój! Vince i Lanny są komikami, nie? Mówią, co chcą, i ludzie ich za to kochają. Obejrzysz występ, który przygotowali na dzisiejszą uroczystość. Będziesz siedział przy moim stoliku.

Wieczorem mieliśmy dać mały występ w holu hotelowym. Zamierzaliśmy wykonać jedną, dwie piosenki. Byliśmy gośćmi honorowymi, co znaczyło, że pracowaliśmy za darmo.

Sally wyprowadził ferajnę za drzwi, tłumacząc, że ma z nami do omówienia pewną sprawę. Zastanawialiśmy się, co zrobiliśmy nie tak, ale okazało się, że to, co zrobiliśmy, zrobiliśmy dobrze. Usadził nas na krzesłach i powiedział, że zawsze nas lubił i podoba mu się, co robiliśmy w starym klubie nocnym; uważał, że „pasujemy” do jego klienteli, co znaczyło, że przyciągamy publikę, która jest na fali (przynajmniej w swoim mniemaniu), czyli składa się z pijaków, cudzołożników i hazardzistów.

- Dzięki za komplement, Sally - powiedziałem.

Powiedział, że przyciągamy ludzi, którzy lubią się śmiać, a ludzie, którzy lubią się śmiać, są bardziej skłonni śmiać się ze swoich przegranych.

- Dokładnie - zauważyłem. - Dzięki nam śmiali się przez całą drogę do twojego banku.

Sally powiedział, że jestem kurewsko zabawny.

- Więc teraz chcielibyśmy, żebyście przyjechali za trzy miesiące i wystąpili na otwarciu naszego nowego klubu. Potrzebowalibyśmy was na dwa tygodnie na wyłączność i sześć tygodni w ograniczonym wymiarze.

Boże uchowaj, by zbir naprawdę cię polubił. To się musi źle skończyć. Zerknąłem na Vince'a i podrapałem się w nos, co oznaczało naszą najbardziej stanowczą odmowę.

Vince uśmiechnął się ciepło do Sally'ego.

- Sally, to wielki zaszczyt.

- Jasne, kurwa, że tak - zgodził się Sally.

- Tylko że staramy się naprawdę ograniczyć robotę w nocnych klubach. Właśnie odmówiliśmy Sands, żeby móc wystąpić w telewizji. Wciąż pracujemy w Versailles jedynie z przyjaźni do ciebie.

Sally tylko na niego spojrzał. Vince zapytał:

- O jakich terminach tu mówimy?

Sally podał datę.

Uśmiechnąłem się z żalem.

- Sally, w każdy inny dzień bez wahania stawilibyśmy się na zawołanie. Ale to akurat dzień, kiedy kończymy następny dobroczynny Maraton Telewizyjny dla Chorych na Polio, a zawsze potem bierzemy dwa tygodnie wolnego, po prostu, żeby dojść do siebie.

Sally nawet nie mrugnął. Odparł, że o tym wiedział i specjalnie zaplanował nasz pierwszy promocyjny występ nazajutrz po trzecim dorocznym maratonie telewizyjnym, w którym mieliśmy wziąć udział na żywo ze studia w Miami. Po zakończeniu imprezy, gdy będziemy śmiertelnie wykończeni, polecimy jeszcze tego samego dnia do New Jersey i weźmiemy udział w konferencji prasowej, cali wymęczeni i zachrypnięci, żeby ludzie wiedzieli, jacy z nas wspaniali faceci i bohaterowie... a potem po prostu zrobimy sobie trzy dni relaksu i wypoczynku.

- Słuchajcie, chłopaki, wiem, że proszę o wielką przysługę, ale tym razem zróbcie to ze względu na mnie, okej?

Zachodziłem w głowę, która z wielkich przysług, jakie mu wyświadczyliśmy w przeszłości, nie była dla niego. Z gangsterami jest tak: ustąpisz im na milimetr, a chwycą cię za stopę, odrąbią ci ją, wepchną do ust i potem zapytają, czy teraz lepiej rozumiesz, o co chodzi. Motto Sally'ego brzmiało: „Jeśli nie możesz ich pobić, to ich pobij”.

Starał się złagodzić cios.

- Słuchajcie, kiedy tu będziecie, cały hotel będzie do waszej dyspozycji. W jednym z apartamentów na waszym piętrze umieszczę najlepsze dziewczki, jakie mam, wasz osobisty burdel... lubicie młode dziewczyny? Oczywiście nastolatki. Żadnych zboczeń. A może chcecie specjalistkę od tańca brzucha? Prawdziwą, nie striptizerkę.

Powiedziałem:

- Mój partner lubi dziewczyny, które specjalizują się w chwytaniu jabłek zębami. Dziewczyny z naprawdę dużymi uszami. Jak nazywasz ich uszy, Vince?

- Trzymadelka - uśmiechnął się Vince.

Sally zaśmiał się bezdźwięcznie.

- Zabawne, kurwa, naprawdę zabawne.  
- Dzięki za propozycję - powiedział Vince - ale ogólnie mówiąc, wolimy sami podrywać sobie dziewczyny. Rozumiesz. Lubimy dreszczyk polowania.

Sally wzruszył ramionami.

- To wiecie co? Dam wam osobistą masażystkę. I dorzucę po pięć set dolarów w żetonach dla każdego z was co wieczór. Będą na was czekać w... no wiecie..

Oczywiście nie mógł powiedzieć „w kasynie”. W Casino del Mar nie było przecież żadnego kasyna, prawda? Prezent, o którym wspomniał, należał do repertuaru starych trików, wykorzystywanych w Las Vegas i Reno: kasyna proponowały artystom za występ wyższe stawki, jeśli ci zgodzą się je przyjmować co wieczór w postaci żetonów. Artysta zaczynał grać, pierwszego wieczoru wpadał w długi, a potem musiał je odpracowywać, występując w kasynie regularnie w zamian za pokój i wyżywienie. Sammy Davis był raz zabukowany na długi weekend, który w ten sposób zmienił się w trzy lata.

- I każę wam tu sprowadzić osobisty zapas homarów i krabów z Versailles. Lubicie homary?

Powiedzieliśmy, że tak, bo naprawdę lubiliśmy.

- I skrzynkę grejpfrutów, które specjalnie tam kupuję. W życiu takich nie jedliście. Jak zjesz jednego, potrzebny ci jest ręcznik. Lubicie kubańskie cygara?

Powiedzieliśmy, że owszem. Sally spojrzął spode łba na Vince'a.

- Ty, z twoim głosem! Dam wam Cohibas i Saint Louis Reyes, Frank takie pali. Je też tutaj przyślemy. Podziękujecie mi, bo nie wiadomo, co się tam, kurwa, stanie, odkąd pojawił się ten cały Castro. Aha, lubicie gofrownice i aparaty, które robią trójwymiarowe fotki?

Vince i ja popatrzyliśmy po sobie. Byłem ciekawy, więc zapytałem:

- Sally, co one mają wspólnego z Florydą?

- Nic. Po prostu mam od chuja gofrownic i tych aparatów. Zrobicie mi przysługę, jeśli po kilka weźmiecie. Są świetne na prezenty. A, mam jeszcze etole z szynszyli dla waszych matek. - Zgromił nas wzrokiem i chwycił mnie mocno za nadgarstek. - Ale tylko dla nich, rozumiecie, skurwiele? Nie chcę, żeby jakaś dziwka paradowała po hotelu w takich samych szynszylach, jakie dałem własnej matce. Rozumiecie?

Zrozumieliśmy, że wrócimy do Casino del Mar za trzy miesiące, zaraz po zakończeniu Maratonu Telewizyjnego dla Chorych na Polio z okazji Dnia Kombatanta w 1959 roku, naszej największej i ostatniej imprezy dobroczynnej transmitowanej przez telewizję.

Tak naprawdę polio już się wtedy skończyło. Szczepionka działała. Później dowiedzieliśmy się, że zbieraliśmy pieniądze głównie dla tych wszystkich cwaniaków z Amerykańskiej Fundacji do Walki z Polio, którzy stworzyli sobie bardzo prężną organizację z elegancką siedzibą w Stamford i nadzwyczaj hojnymi pensjami dla działaczy. Kiedyś mówili: „Polio jest publicznym wrogiem numer jeden”, ale prawdziwym wrogiem, którego pragnęli teraz zniszczyć, był Jonas Salk i jego cholerna szczepionka, która pozbawiała ich ciepłych posadek.

Trzy miesiące później byliśmy z powrotem w Versailles w Miami i we środę wieczorem zawiesiliśmy występy. Od tamtej pory mieli nas zastąpić Louis Prima i Keely Smith razem z Samem Buterą i Witnesses. Oczywiście nie byli nami, ale dawali dobry show z akcentami komicznymi i przyciągali podobną widownię.

Większość dnia spędziliśmy na prywatnym basenie, należącym do Versailles. Nie nadawał się specjalnie do pływania, ale był ogrodzony, co znaczyło, że mogliśmy się poopalać i nacieszyć odrobiną samotności. Wróciliśmy do apartamentu około siódmej i stwierdziliśmy, że Sally dotrzymał słowa. W salonie leżały skrzynie z wypisanym numerem naszego apartamentu w hotelu Casino del Mar w Palisades Park w stanie New Jersey jako adresem docelowym. Pudło, które zdawało się zawierać piłki plażowe, okazało się zapasem najbardziej ociekających sokiem i obdarzonych najcieńszą skórką grejpfrutów, jakie kiedykolwiek jadłem. Znaleźliśmy też obiecaną długą na dwa metry skrzynię, pełną owoców morza: ponad tuzin homarów, poruszał się powoli po dnie z krabów i lodu. Skrzynkę cygar z Kuby. Ale jakich cygar. I pudło z ośmioma gofrownicami i czterema trzydziestopięciomilimetroowymi aparatami trójwymiarowymi, z podglądem i rzutnikiem slajdów.

Widzieliśmy, jak skrzynie ponownie zamknięto, i po zaprezentowaniu nam ich do akceptacji niby fikuśnego tortu urodzinowego, hotel Versailles miał zadbać o przetransportowanie ich następnego dnia do New Jersey, gdzie zaczekają na nas w nowym Casino del Mar do niedzieli. Obłożona izolacją termiczną metalowa skrzynia, wypełniona lodem i skorupiakami, trafiła na noc do chłodni mięsnej hotelu. Sally dotrzymał słowa i teraz oczekiwał, że i my dotrzemy swojego.

Umyślnie w czwartek wieczorem położyliśmy się wcześniej, bo wiedzieliśmy, że nie będziemy mogli porządnie się wyspać aż do poniedziałkowego popołudnia. Zadzwoniliśmy po Maureen, dziewczynę z obsługi pokojowej o wspaniałych rudych włosach, na które człowiek przestawał się gapić, gdy spojrzał na ciało, tę samą Maureen, która przyniosła mi szampana, kiedy pomagałem Vince'owi, posuwając Denise. Maureen, realizując



swoje ostatnie zamówienie tego dnia, przyniosła nam do apartamentu trzy steki (jeden był dla niej). Bez względu na to, jak bardzo lubię homary, wszystkie te skorupiaki obłożone lodem w skrzyni w salonie sprawiły, że poczuliśmy apetyt na czerwone mięso. Nie miałem zbyt wiele problemów z przekonaniem Maureen do zapewnienia mi troskliwej obsługi pokojowej w sypialni. Obaj z Vince'em łyknęliśmy po parę tuinali, żeby mieć pewność, że będziemy spać jak te lale, a Vince zabezpieczył się dodatkowo, biorąc parę lal do łóżka. Tuinale zmieszane z odpowiednią ilością gorzalki gwarantowały, że będziemy spać jak zabici. Nazajutrz późnym rankiem odesłaliśmy Maureen z bambetlami, a Vince i ja zaczęliśmy się przygotowywać do wieczornej transmisji.

Tego roku celem było zebranie trzech milionów dziewięciuset tysięcy dolarów na „powstrzymanie polio przed powrotem”, cokolwiek to miało, do cholery, znaczyć. A jak doszli do tych trzech milionów dziewięciuset tysięcy, jakby „cztery miliony” brzmiało zbyt pretensjonalnie? Aby przypomnieć widzom o tym celu, zgodziliśmy się, że maraton będzie trwał trzydzieści dziewięć godzin non stop. Program zacznie się o dziewiętej w piątkowy wieczór i skończy w niedzielę o dwunastej w południe.

Podzielił się w ten sposób, żebyśmy obaj z Vince'em byli przed kamerami od początku do pierwszej w nocy, następnie Vince miał zapewniać publiczności rozrywkę sam do godziny trzeciej, a nasz konferansjer, Ed Herlihy, od trzeciej do szóstej, co naprawdę uwielbiał; potem ja występowałem od szóstej do dziewiętej, przechwytyjąc dziecięcą widownię sobotnich kreskówek. Następnie Vince i ja pracowaliśmy razem od dziewiętej do trzeciej po południu, miło i lekko, z wieloma przerwami na złapanie oddechu, po czym obaj ucinaliśmy sobie czterogodzinną drzemkę, zastępowani przez takich ludzi, jak Jack Narz, Art Linkletter i Bill Cullen (bardzo fajny facet). Później obaj wracaliśmy do studia na wielki sobotni show od siódmej wieczorem do pierwszej w nocy. Bert Parks brał na siebie czas od pierwszej do szóstej, kiedy to Vince i ja mogliśmy wpaść w każdej chwili, gdybyśmy poczuli ochotę - Vince nigdy tego nie robił, ale ja byłem zwykle już tak podminowany brakiem snu, że wstępowałem do studia - a potem przejmowaliśmy pałeczkę na wielki finał od szóstej do południa, kiedy to Vince i ja kończyliśmy ckliwie, łzawo i płacliwie, podczas gdy Ameryka przygotowywała się do wyjścia do kościoła. Efekt był taki, że zdawało się, jakbyśmy z Vince'em występowali przed kamerami od piątku do niedzieli non stop, a nawet jeśli nie było to do końca prawdą, to i tak wymagało dosyć heroicznego wysiłku.

Studia telewizyjne w Miami były cudowne. Właśnie ze względu na nie chcieliśmy zorganizować maraton w Miami, a nie w Nowym Jorku. Gorąco

lejące się z górnych reflektorów było w tamtych czasach zabójcze, dosłownie zabójcze. W Miami traktowano problem poważnie. W końcu mieszkańcy przez okrągły rok musieli się borykać z upałami. Póki nie staniesz na trzy minuty na skrzyżowaniu Fonseca i bulwaru Ponce de Leon w sierpniowy dzień, nie dowiesz się, jakie to uczucie, gdy prasują ci portki żelazkiem na parę, kiedy wciąż masz je na tyłku. W Nowym Jorku, jeśli nie podobał ci się żar z górnego oświetlenia, mówili ci, że tak po prostu musi być. W Miami starali się temu zaradzić.

Studio Liftin miało wszędzie chłodne błękitne ściany, a na podłogach szkliste granatowe linoleum, które wyglądało, jakby było mokre niczym płaszcz przeciwdeszczowy. Kiedy przekraczałeś próg studia, klimatyzacja uderzała w ciebie tak, jakbyś wpadł do basenu u sąsiada, który napełnił go właśnie wodą ze szlauchu ogrodowego. Kiedy docierałeś do garderoby, rozcierałeś ramiona, żeby się rozgrzać, rozglądałeś się w poszukiwaniu swetra i prosiłeś o kawę. Gdy wchodziłeś na scenę, gdzie były kamery i publiczność, z radością witałeś ciepło reflektorów nad głową. Ludzie w Miami naprawdę wiedzieli, jak poradzić sobie z gorącem.

Nie chciałem zjawić się w studiu wspólnie z Vince'em, zwłaszcza teraz. Na trybuny do maratonu wpuszczano na zasadzie kto pierwszy, ten lepszy, więc na dobre cztery godziny przed transmisją (za pomocą połączeń z siecią stowarzyszonych telewizji lokalnych w całym kraju) na ulicy przed wejściem ustawiała się zawinięta podwójnie kolejka fanów Collinsa i Morrisa. A wszystko to w trzydziestopięciostopniowym upale.

Ustaliliśmy, że Vince i ja potajemnie wejdziemy do studia, przechodząc z dachu budynku obok, w którym mieścił się magazyn fortepianów. Może to zabrzmieć głupio, ale gdybyście rzeczywiście tam byli, wiedzielibyście, z jakimi tłumami Vince i ja mieliśmy do czynienia. Wszedłem do magazynu z fortepianami od tyłu, a tam czekali już na mnie dwaj policjanci. Na zewnątrz świeciło słońce, a w środku panował kompletny mrok, więc nie zauważyłem ich, póki nie zbliżyli się i nie stanęli w świetle wpadającym przez otwarte drzwi. Zaskoczyli mnie, aż podskoczyłem. Odruchowo krzyknąłem: „Hej, macie nie tego faceta!”. (Dowcip, choć nie najlepszy). Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Wsiadliśmy do windy towarowej z niską otwieraną balustradą zamiast drzwi i wjechaliśmy na najwyższe piętro. Stamtąd schodkami zaprowadzili mnie na dach. Dookoła rozciągał się dywan żwiru, spod którego tu i tam wydobywały się bąble smoły. Między dachami obu budynków przerzucono lekki aluminiowy mostek. Dzielił je najwyżej metr, ale upadek z czwartego piętra i tak mógł być śmiertelny.

Powiedziałem do jednego z gliniarzy:

- W Japonii jest zasada, że mężczyźni chodzą o dziesięć kroków przed kobietami, chyba że idą przez pole minowe. Pan przodem, proszę.

Uśmiechnął się i przeszedł na drugą stronę, a potem przytrzymał mostek. Poprosiłem drugiego policjanta, żeby podtrzymywał drugi koniec mostku, i przebiegłem z jednego budynku na drugi, nie spoglądając w dół. Potem drugi gliniarz podążył moim śladem i wciągnął mostek na dach studia, na wypadek gdyby ktoś inny wpadł na pomysł dostania się tędy do telewizji.

- Chwileczkę - powiedziałem. - A co z Vince'em?

- Już tu jest, panie Morris - odparł glina. - Przeprowadziliśmy go jakiś kwadrans temu.

Rzadko się zdarzało, by Vince przybywał dokądś przede mną. Lubił zjawiać się, kiedy już rozejrzałem się po danym miejscu, czy było to studio telewizyjne, estrada, klub nocny, czy święto państwowe. Ale tamtego dnia to miało sens.

Gliniarze zaprowadzili mnie do nadbudówki na środku dachu, która wyglądała jak wychodek. Jeden wyjął klucz, otworzył drzwi i ruszyliśmy po schodkach w dół. Korytarz prowadził do rzędu wind, z których jedna czekała na mnie. Podpisałem kilka autografów dla gliniarzy i windziarza, gdy zjeżdżaliśmy na pierwsze piętro. Tam zaprowadzili mnie do garderoby, która miała na drzwiach umyślnie anonimowe oznaczenie: GOSPODARZ 1. Spojrzałem na drugą stronę korytarza i zobaczyłem, że Vince ma garderobę GOSPODARZ 2. Policjanci odczekali, aż wszedłem do garderoby, i usiedli za małym biurkiem przy moich drzwiach. Uprzedzili mnie, że będą tam czuwać, aby żadna nieupoważniona osoba nie weszła do którejś z naszych garderób, kiedy będziemy w studiu, a w szczególności, żeby nikt nie przeszkadzał nam podczas snu. Podziękowałem im i zamknąłem za sobą drzwi.

W środku stała toaletka z potrójnym lustrem, okolonym żaróweczkami. Oprócz tego był tam barek, duży kosz z owocami, które nie zostaną nigdy zjedzone, i rozmaite półprodukty do sałatek, rozłożone na tacy niczym w barze sałatkowym. Usłyszałem szelest odwracanych stron gazet i obróciwszy się, zobaczyłem naszego agenta, Billy'ego Bishopa, wyciągniętego na łóżku w małym pokoiku, przylegającym do garderoby. Zdaje się, że powiedział gliniarzom, że jest upoważniony. Był ubrany w szary garnitur z gniesionego lnu i wzorzysty krawat i wyglądał, jak wszyscy młodzi zbuntowani agenci wyglądać powinni. Zmarszczyłem brwi.

- Zabieraj buciory z mojego łóżka, Billy - powiedziałem. - Zamierzam naprawdę tam spać, a nie tylko się pierdolić.

Wstał z odpowiednią szybkością, ani na tyle szybko, by sprawiać wrażenie, jakby zrobił coś złego, ani na tyle powoli, żeby okazać arogancję.

- Przepraszam, Maestro - powiedział, uśmiechając się ładnie mnóstwem drobnych zębów. Nazywał mnie „Maestro”, odkąd się poznaliśmy, a ja nigdy nie oponowałem. - Widziałeś, co się stało z Cornelem Wilde'em? - zapytał, wskazując branżową gazetę na łóżku.

W przeciwieństwie do Billy'ego nigdy nie interesowałem się szczególnie Cornelem Wilde'em.

- Chciałbym porozmawiać z tobą i Vince'em. Pójdiesz po niego?

Billy kiwnął głową.

- Zechcesz mi zdradzić, o czym?

- Tak, właśnie dlatego jesteś zaproszony. Idź po Vince'a. - Wskazałem na drzwi.

Zaczął coś mówić, ale chyba zniechęciła go moja mina, bo bez słowa wyszedł z pokoju.

Lodówka Kelvinator była zaopatrzona jak na pułk wojska. Znalazłem otwieracz, otworzyłem butelkę c&c coli (mojej ulubionej) i usiadłem w fotelu plecami do lustra, tak że żarówki oświetlały mnie od tyłu i sprawiały, że trochę trudniej było patrzeć mi w twarz.

Wszedł Vince, wyglądał na zatroskanego. Potoczył wzrokiem po pokoju.

- Nie ma Reubena? - spytał cicho.

Gdy wyjąłem papierosa, dołączył do nas Billy i zamknął za sobą drzwi. Odpowiedziałem Vince'owi:

- Pakuje w hotelu rzeczy, których tu nie potrzebujemy. Zresztą uznałem, że powinniśmy porozmawiać na osobności. - Vince zerknął na Billy'ego, a ja dodałem: - Co nie dotyczy Billy'ego. Też powinien przy tym być.

Vince usiadł na fotelu obok mnie, naprzeciw drugiego okolonego żarówkami lustra, i popatrzył na mnie jak na kelnera, który właśnie postawił mu przed nosem talerz ciepłych, zielonkawych, dziwnie pachnących surowych małży.

- Jak chcesz - powiedział.

- Mogę sobie wziąć jeden z tych napojów, Lanny? - spytał Billy.

- Tak, za chwilę. Usiądź - poleciłem mu i tak też zrobił. Zaciągnąłem się po raz ostatni papierosem i wrzuciłem niedopałek do butelki po c&c coli. - Wcześniej czy później przez następne trzy dni wszyscy, którzy mają telewizor, zobaczą nas na ekranie. Długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że od początku aż do samego końca maratonu powinniśmy mówić o naszym następnym filmie.

Billy miał odmienne zdanie.

- Niedawno wypuściliście film, który wciąż jest w kinach, Lanny. Nawiążujecie do niego.

- Sam się nawiąż, Billy. Tamten film jest już skończony, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Całkiem nieźle się sprzedał.

- Klapy nie zrobił, ale musimy zmienić parę rzeczy.

Billy spojrział na Vince'a, który zdawał się przyjmować to zupełnie obojętnie.

- Dlatego chciałbym, żebyśmy dziś wieczorem oświadczyli, a potem powtarzali przez cały program, że naszym następnym filmem będzie „Noc w operze” dla MGM. Przyjmiemy propozycję Shelly'ego Deutscha. Billy, zadzwoń do niego i powiesz, że podamy naszą zgodę do wiadomości.

Vince zapalił papierosa i wydmuchnął dym. Robił wrażenie lekko rozbawionego. Billy powiedział:

- Wałkowaliśmy to wte i wewte, Lanny. To nie jest dobry pomysł. W gruncie rzeczy to jeden z naprawdę złych pomysłów. Nie ma mowy, żeby uszedł wam płazem remake braci Marx.

Pokręciłem głową.

- To nie remake. Chodzi o nadanie historii zupełnie innego stylu.

- Więc naprawdę chcesz zagrać Groucha, Chica i Harpa. Jak, za pomocą zdjęć trikowych?

- Tak. Nie tylko poliekranowych. Mają teraz technikę nakładania zdjęć postaci na inne tło klatka po klatce. Jeżeli Alec Guinness mógł to zrobić w filmie „Szlachectwo zobowiązuje”, to ja też na pewno dam radę. Myślę, że zagram Harpa jako klauna, Chica jako amerykańskiego jazzmana z lat czterdziestych, a Groucha jako jajogłowego, moją postać profesora od niemieckiego.

Billy wstał i wyjął z lodówki orange crush. Otworzył butelkę i pociągnął solidny łyk.

- Wziąłeś w ogóle pod uwagę, że jesteś tylko połową duetu, Lanny?

Spojrzałem na Vince'a.

- Vince zagra rolę Allana Jonesa - powiedziałem.

Vince spuścił wzrok, jakby karteczka, gdzie miał zapisane swoje kwestie, upadła na podłogę, i mruknął:

- Lanny, rola Allana Jonesa to żadna rola. Bracia Marx nie daliby jej Zeppowi. Co? Zaśpiewam trzy piosenki i ożenię się... Z kim miałbym się na koniec ożenić?

- Z postacią Kitty Carlisle.

- Więc to ma być coś w rodzaju: „Tak, to Lanny Morris, jakim go nie widzieliście nigdy wcześniej, trzy razy bardziej oszałamiający, trzy razy bardziej szalony, trzy razy bardziej cudowny, a do tego Vince Collins i Giselle McKenzie w duecie, którego nigdy nie zapomnicie!”. Nie przeszkadza

mi granie z tobą drugich skrzypiec, Lanny. Ale to... Byłbym dopiero na czwartym miejscu.

Choć nie byłem im winien żadnych wyjaśnień, powiedziałem Billy'emu:

- Szefowie MGM nie wiedzą już, co robić: latają jak kot z pęcherzem, a ja namówiłem Shelly'ego Deutscha do sfinansowania tego projektu. To klasyczny tytuł, wytwórnia nie jest winna choćby centa Kaufmanowi ani Ryskindowi, bo wykupiła wszystkie prawa. - Zwróciłem się do Vince'a. - Posłuchaj: może to dla ciebie bez znaczenia, ale co, twoim zdaniem, przychodzi ludziom do głowy, gdy słyszą słowo „opera”? Myślą „śpiew”, myślą „Włosi”. A kto jest tutaj śpiewającym Włochem? To idealne rozwiązanie. Mógłbyś zostać nowym Mario Lanza.

Vince podniósł na mnie wzrok.

- Dlaczego miałyby mi zależeć na byciu nowym Mario Lanza?

Billy z hukiem odstawił butelkę Orange Crush na blat bufetu. Po raz pierwszy, odkąd go znałem, popatrzył na mnie z nieskrywaną nienawiścią. Zawsze bardziej kumplował się z Vince'em.

- Słuchaj, Lanny, do kurwy nędzy! W ten sposób dajesz do zrozumienia nie tylko ludziom z branży, ale i wszystkim fanom, że to ty jesteś w tym duecie ważniejszy. To wbrew całemu waszemu wizerunkowi. Ludzie chcą wierzyć, że traktujesz Vince'a jak starszego brata.

- Abel też miał starszego brata - zauważyłem, ale Billy chyba nie zapał, o co mi chodzi.

- Nawet z punktu widzenia twojej własnej kariery, Lanny, ten ruch może się okazać fatalny. Jeżeli film nie stanie się wielkim hitem, ludzie zaczną gadać, że wpadłeś w samozachwyt i masz gdzieś Vince'a. Widzowie przestaną wierzyć w miłość, jaka was łączy.

- Zamknij się, Billy - warknął Vince.

Billy spojrzał na niego zaskoczony.

- Daj spokój, Vince, powinieneś mnie poprzeć.

- Co... Vince miałby kogoś poprzeć? - spytałem. - Żartujesz.

Vince rzucił niedopałek na podłogę i przydepnął go butem, chociaż za plecami na toalecie miał popielniczkę.

- Jak Lanny sobie chce.

Kiwnąłem potakująco głową.

- Chcę się przynajmniej przekonać, że mój partner nigdy nie wbije mi noża w plecy. Wiesz, że w żadnym wypadku nie zależy mi na dźgnięciu ciebie, prawda, Vince? Nigdy. Absolutnie w żadnym wypadku.

Vince wyciągnął rękę.

- Okej.

Pokręciłem głową.

- Nie musimy przybijać rąk. Wystarczy, że powiemy sobie, że się zgadzamy.

Billy zawiązał na nowo krawat, jakby gotował się do wyjścia.

- Mogę być z tobą szczerzy, Lanny? Czasami zachowujesz się jak największy chuj.

Uśmiechnąłem się do Vince'a.

- Co ty na to? - zapytałem. - Myślisz, że kwalifikuję się na największego chuja?

Vince wymamrotał coś o tym, że mamy występ, i wyszedł z pokoju. Billy też wyszedł, ale bez słowa.

- Na żywo, póki nie padną martwi, z pięknego Miami Beach na Florydzie! Przez następne trzydzieści dziewięć godzin będziemy nadawać dla państwa Maraton Telewizyjny dla Chorych na Polio z okazji Dnia Kombatanta! Tu wasz stary dobry Ed Herlihy, który ma zaszczyt przedstawić faceta o głosie anioła i jego kumpla o gębie matola! Tak jest, zgadza się, oto przed wami gospodarze programu, Vince Collins i Lanny Morris!

Konferansjerka w wykonaniu Eda Herlihy'ego była zawsze celna. Idealne połączenie stylu oficjalnego i żartobliwego. Jak zawsze Vince wyszedł pierwszy, gładki, elegancki i uśmiechnięty. Zbliżył się do mikrofonu przed orkiestrą dyrygowaną przez Russa Cummingsa i zaczął śpiewać, czarując publiczność w studiu, a przede wszystkim kamerę. Vince zawsze koncentrował się na największej widowni, którą, jak zorientował się już na początku kariery, reprezentowała w tym wypadku kamera. Wszystkie kamery telewizyjne miały u góry czerwoną lampkę, która zapalała się, ilekroć publiczność patrzyła na ciebie przez ten konkretny obiektyw. Vince naprawdę wiedział, jak poruszać się po dzielnicy czerwonych świateł. Miał to we krwi.

Jego pierwsza piosenka, „Pennies from Heaven”, zebrała duże brawa. Pozwólcie, że coś wam powiem: Vince Collins byłby w stanie poprowadzić każdy z naszych występów samodzielnie. Późniejsze lata tylko to potwierdziły. Wspaniale śpiewał, jasne, ale umiał też doskonale odgrywać ofiarę moich żartów, co znaczy, że miał świetne wyczucie komizmu.

Teraz, witany burzą oklasków, na scenę wkroczyłem ja. Przebrany za sprzedawcę lodów z własnym wózkiem zacząłem wołać do orkiestry: „Lody, lody dla ochłody!”. Potem wyszedłem na widownię i zacząłem witać się z publiką, rozdawać lizaki, cmokać po rękach rozbawione panie, podczas gdy Vince gonił mnie, próbując zawrócić na scenę, a muzycy nie przestawali grać. Jak długo mogłem to ciągnąć? Przy takim występie jak ten zależało to wyłącznie ode mnie. A ponieważ mieliśmy do zapełnienia trzydzieści dziewięć godzin, nie żałowałem sobie.

W końcu, gdy widzowie w studiu i przed telewizorami pokładali się ze śmiechu, uspokoiliśmy się i wróciliśmy na scenę, żeby zaśpiewać naszą popisową wiązanąkę piosenek „Two Lost Souls” i „Side by Side”. Patrząc na nasz występ, nikt na świecie nie zorientowałby się, że z naszym duetem jest coś nie tak.

Dynamika naszego stylu była genialna, jeśli mogę tak nieskromnie powiedzieć, bo sam właściwie ją wymyśliłem. Istotą pomysłu było to, że tak naprawdę Vince i ja odgrywaliśmy chłopaka i dziewczynę. Parę lat później George Burns zwrócił mi na to samo uwagę, gdy jedliśmy obiad w klubie golfowym Hillcrest. Tylko że byliśmy parą heteroseksualnych mężczyzn, z których jeden (ja) ubóstwiał drugiego (Vince'a). Tak więc Vince był w tym związku facetem, a ja odpowiednikiem głupiej zakochanej gąski. W gruncie rzeczy w duecie Collinsa i Morrisa chodziło o jedno: Lanny chce się koniecznie przekonać, że Vince go lubi (kochaj). Na scenie zawsze zadawałem Vince'owi charakterystyczne pytanie: „Dobrze się spisałem, coooo?”. A gdy mnie bił, to tak jak każdy facet chciałby bić swoją kobietę, ilekroć ta go zdenerwuje. Oczywiście nie może jej uderzyć, chyba że jest damskim bokserem. Ale Vince mógł mnie tłuc, ile wlezie, a publika śmiała się do rozpuku. Kiedy gościnnie pojawiała się gwiazda taka jak Rosie Clooney albo Marilyn Maxwell, która flirtowała z Vince'em, ja grałem urażonego, że nie podobam się jej tak bardzo jak on. Ale ukryty komunikat brzmiał: Vince nie zostawiłby mnie dla (innej) kobiety, prawda?

Nie twierdzą, że ktokolwiek zastanawiał się nad tym do tego stopnia: wszyscy po prostu się z nas śmiali. Ale śmiech śmiechowi nierówny. Wprawialiśmy ludzi w dobry nastrój, ponieważ śmiejąc się z nas, czuli, że pomimo tych wszystkich kuksańców i wyzwick nasz związek opiera się na miłości. Na miłości, o której ja, małpison Lanny, marzyłem, a której on, Vince przystojniak, nie mógł odrzucić.

Wszystko to brzmi bardzo przemądrzale i nieprzystępnie, ale oczywiście sprowadzało się do tego, że ja ładowałem na tyłku, a Vince rozbijał mi na głowie atrapę skrzypiec.

Nie będę się tu wdawał w opis naszego telewizyjnego maratonu minuta po minucie. Podarowałem scenariusz katedrze dziennikarstwa uniwersytetu w Syracuse i możecie go tam przejrzeć, jeśli chcecie.

Faktem jest, że ani Vince, ani ja nie schodziliśmy z wizji na dłużej niż sześć godzin. I to należy przede wszystkim zapamiętać. A tak nawiasem, nie ma mowy, aby ktokolwiek w 1959 roku mógł polecieć z Florydy do New Jersey i z powrotem w czasie krótszym niż sześć godzin, chyba że poleciałby samolotem ponaddzwiękowym, wylądował, ustawił maszynę na pasie i od razu wystartował w drogę powrotną.



A to prawdopodobnie zostałyby zauważone, powiedzmy, przez Inspektorat Lotnictwa Cywilnego albo wieżę kontroli lotów, albo kogoś innego. Więc to by było na tyle.

Transmisja w piątkowy wieczór od dziewiątej do pierwszej była dla nas niczym więcej jak tylko trochę dłuższym występem w nocnym klubie. Część od pierwszej do trzeciej w nocy, którą Vince poprowadził sam, też nie należała do trudnych. Po prostu wyczytywał z kartek nazwiska gości. Abbe Lane przedstawiła cały klubowy repertuar bez Xaviera Cugata i już zapełniła czterdzieści minut. Vince zaśpiewał z nią „Two Sleepy People”, a potem przedstawił Richarda Hearne'a jako Pana Ciastusia, który wykonał popisowy taniec zgrzybiałego staruszka do The Rounders. Następnie wystąpił Pinky Lee, który zagrał na ksylofonie, potem brzuchomówca Jimmy Nelson ze swoimi lalkami, Dannym O'Dayem i Farfelem, aż wreszcie Vince'owi, który urwał się z Abbe Lane na drinka do garderoby, pozostało wrócić przed kamery i powiedzieć, że naprawdę musi natychmiast iść się przespać.

Ed Herlihy brał na siebie godziny od trzeciej do szóstej, zapełniając je występami estradowców, którzy od pół roku wyczekiwali z utęsknieniem na swoje pięć minut w telewizji.

Ja wracałem na wizję o szóstej, namawiając dzieciaki, żeby wyszły z domów i urządziły kwestę wśród sąsiadów. Dla mnie była to najbardziej męcząca część programu, ponieważ występowałem bez Vince'a i musiałem mówić powoli i zrozumiale dla młodych widzów. Spróbujcie grać przez trzy godziny Pannę Franię ze Szkółki Bim Bom, a zobaczycie, jak to jest. Bogu niech będą dzięki za Shari Lewis, bo bez niej z miejsca padłbym trupem.

Poczułem wielką ulgę, gdy zobaczyłem o dziewiątej Vince'a. Chyba po raz piąty tego poranka udało nam się niby przypadkiem wspomnieć o naszym następnym przedsięwzięciu.

**LANNY:** Kurczę, zaśpiewałeś tę piosenkę po prostu wystrzałowo, stary!

**VINCE:** Dzięki, Lan.

**LANNY:** Powinieneś śpiewać w jakiejś operze, na przykład w Metropolitan, gdzie mają te wszystkie piękne kostiumy i grube panie, które wyśpiewują „och, oooch, hoo” i takie tam, cooo? Nie uważasz?

**VINCE:** Cóż, zabawne, że to mówisz...

**LANNY:** Dlaczego mówisz, że zabawne, he?

**VINCE:** Oj, Lanny, Lanny, wiesz, że nie powinniśmy zdradzać naszej wielkiej tajemnicy.

**LANNY:** O którą tajemnicę ci chodzi, Vince?

**VINCE:** O nasz następny film pod tytułem „Noc w operze” z tobą, tobą i jeszcze raz tobą, oraz mną w świecie muzyki klasycznej. Nakręcimy go dla MGM.

**LANNY:** MGM?

**VINCE:** Tak, tych, którzy robią filmy, które zawsze zaczynają się od (Vince ryczy jak lew, a ja ze strachu wskakuję mu na plecy).

Jako zawodowiec mogę tylko podziwiać, jakim profesjonalistą okazał się Vince podczas całego występu, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, co się wcześniej stało. Za każdym razem, gdy poruszaliśmy temat „Nocy w operze”, zastanawiałem się, czy Vince nie straci panowania i mnie nie zaatakuje. Występowaliśmy przecież na żywo. Nie można było przewinąć taśmy.

W sobotę późnym wieczorem, kiedy czuliśmy się, jakby wstrzyknięto nam w żyły roztopione żelazo, byłem bliski załamania. Właśnie wtedy Jack Lescoulie, który nam pomagał, wszedł przed kamery, niosąc duży czarny telefon z przyłączonymi kablami, i oznajmił, że mamy bardzo ważny telefon od bardzo ważnej osoby. Zwykle byłby to ktoś taki jak Dwight Eisenhower, Richard Nixon, biskup Fulton J. Sheen albo Eleanor Roosevelt.

- Witam, Lanny, tu Sheldon Deutsch, dyrektor wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer.

Popatrzyłem na Vince'a, jakbym doznał szoku. Zareagował tak samo. Jakąż ekstazę udawaliśmy na wieść, że dzwoni do nas stary, kurduplowaty Żyd, który normalnie ledwo zasłużyłby na pomachanie ręką ze sceny klubu Musso i Franka podczas naszego popołudniowego występu w każdy wtorek.

- Sheldon Deutsch? - zapytałem Vince'a drżącym głosem. - On, on, on, oooo, au, au, au...

Vince plasnął mnie w twarz może trochę mocniej, niż było trzeba.

- On jest szefem wytwórni MGM. Witamy, panie Sheldon.

- Witaj, Lanny, witaj, Vince - przeczytał Sheldon. Jego głos puszczano przez głośniki w studiu. Wlepiliśmy gały w telefon, jakby Bóg właśnie wymyślił jedenaste przykazanie i zadzwonił, żeby nam o tym powiedzieć. - Jako dyrektor wytwórni filmowej Metro-Goldwyn-Mayer, która właśnie obchodzi czterdziestą rocznicę powstania, mam przyjemność rozmawiać z wami za pośrednictwem połączenia transkontynentalnego ze stacji KDRA w Hollywood.

- Ze stacji? O której ma pan pociąg? - zażartowałem.

Vince dzielił mnie po głowie.

- Nie z dworca, tylko ze stacji! Pan Deutsch nie ma żadnego pociągu!

- Nie ma żadnego pociągu? Znaczący impotent? - zaimprovizowałem.

Było to w tamtych czasach dosyć ryzykowne, zwłaszcza w telewizji. Ale graliśmy na żywo, więc nie mogli tego wyciąć, a ponieważ występowaliśmy w imprezie charytatywnej, nikt nie mógł mieć do mnie pretensji. Publikacja szalała przez całą minutę, podczas gdy Vince tłukł mnie na niby po głowie za wulgarność. Kiedy widownia wreszcie się uspokoiła, Vince zabrał mi słuchawkę i powiedział z szacunkiem:

- Panie Deutsch, tu Vince Collins. Bardzo nam miło pana słyszeć.

- Dziękuję, Vince. W MGM mamy długą tradycję pomagania tym, którzy nie zawsze są w stanie sami się utrzymać. Dlatego z wielką przyjemnością pragnę ogłosić, że wytwórnia MGM postanowiła przeznaczyć hojną darowiznę na wasz szczytny cel, a zarazem uczcić premierę naszych najnowszych filmów, na które, mam nadzieję, wszyscy wasi zdrowi widzowie pognają do kin: „Jak zdobyć męża” z Shirley MacLaine i Davidem Nivenem oraz „The Gazebo” z Glennem Fordem i Debbie Reynolds.

- Chorzy na polio zostaną hojnie obdarowani, Vince? - Strzeliłem głupią minę. - Debbie Reynolds i Shirley MacLaine to są dopiero hojnie obdarowane, coo? - Przechadzam się na wykoślawionych nogach, Vince daje mi po głowie i każe słuchać, co mówi pan Deutsch.

- Dlatego z przyjemnością przeznaczam na wasz szczytny cel darowiznę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Wszyscy w studiu oszaleliśmy z zachwytu. Dziesięć tysięcy dolarów? Aż tyle! Tak niespodziewanie!

- Ale, ale! Stawiamy jeden warunek - mówi Shelly Deutsch, przezywając mi zwariowany irlandzki taniec z hołubcami. Naprawdę zabawnie było słuchać, jak próbuje wykrzesać z siebie odrobinę komizmu. To tak, jakbyście oglądali księgowego wykonującego operację na otwartym sercu. - Jeśli chcecie, żeby wasi przyjaciele, chorzy na polio, dostali te pieniądze... my w MGM chcemy, żebyście wy zgodzili się zagrać w naszej największej komedii muzycznej „Noc w operze”, gdzie ty, Lanny, wzięłybyś na siebie rolę trzech braci Marx z naszej klasycznej komedii sprzed lat... a ty, Vince, śpiewem podbiłyś serce panny... Jayne Mansfield!

Publika znowu oszalała. Co za wspaniała propozycja. Ja i Vince popatrzyliśmy na siebie zmieszani... ja zacząłem czubkiem buta rysować na podłodze wyimaginowaną linię, jakbym się wstydził, a Vince spojrzął na widownię, jakby pytał: „Czy powinniśmy... czy możemy?”

Wreszcie Vince i ja znowu popatrzyliśmy sobie w oczy, pokiwaliśmy głowami i z entuzjazmem uścisnęliśmy sobie ręce.

- Panie Deutsch! - wrzasnąłem do telefonu. - Zrobimy to! Umowa stoi!

Orkiestra zagrała „Śmieję się, pajacu” z opery Leoncavalla, ja zacząłem tańczyć z Jackiem Lescouliem, a Vince przyglądał się nam z uśmiechem. Co za cudownie żywiłowa chwila. Jack zawołał do widzów: „Słyszycie to tutaj pierwsi!”. Widziałem, że nasz agent, Billy, który zgodnie z moim poleceniem, zorganizował telefoniczną rozmowę z Deutschem, wycofał się teraz poza zasięg kamer. Nie klaskał i nie wiwatował. Po prostu patrzył na Vince'a.

W niedzielę rano, na dwie godziny przed końcem maratonu, miałem już tak zdarte gardło, że dosłownie krakałem. Program został ułożony w taki sposób, abyśmy z Vince'em mogli zjawiać się przed kamerami między jedną drzemką a drugą, gdy tylko nam się chciało. Zwykle kończyło się na tym, że gdy ja zabawiałem publikę, on spał. Lecz nie w tym roku. Zdawało się, jakby Vince zapomniał, co w ogóle znaczy słowo „sen”, albo też odkrył farmaceutyk lepszy od tego, którego używaliśmy do tej pory. Może nie chciał zostawiać mnie samego przed kamerami na zbyt długo. Z mojej perspektywy było odwrotnie: bardziej przejmowałem się tym, co mogło się zdarzyć, gdy obaj przebywaliśmy na scenie. Dawne poczucie, że jeden zawsze stanie w obronie drugiego, wyparowało.

Przez te wszystkie lata nasza taktyka dobrze się sprawdzała. Był to prawie niezawodny sposób wzburzenia publiczności i sprowokowania jej, żeby nas pokochała. Jeśli Vince opowiedział żart, który nie wypalił, schodziłem ze sceny na widownię i krzyczałem na słuchaczy, tłumacząc logikę dowcipu i wykazując, że po prostu muszą się śmiać. Sztuczka polegała na tym, że nikt nie traktował moich obelg poważnie. Byłem dyżurnym małpizsonem, racja? Byłem brzdącem wrzeszczącym na dorosłych za to, że nie docenili jego starszego brata. Kto mógłby się za to obrazić?

Potem Vince krzyczał na mnie i dając mi po głowie, mówił: „Przestań, Lanny, ci mili państwo mają wszelkie prawo się nie śmiać, zapłacili mnóstwo pieniędzy, żeby tu być, i powinniśmy być wdzięczni, że możemy przed nimi występować”. Wtedy ja udawałem skrucę, a Vince nakłaniał mnie, żebym złożył przeprosiny. Więc poślinionymi czubkami palców przyczesywałem brwi, przybierałem egzaltowany arystokratyczny akcent i rozwodziłem się nad tym, jak mi przykro i w ogóle, aż na koniec odwracałem kota ogonem, sarkając: „Wy szuje” (w telewizji) albo „Wy sukinsyny!” (w night clubie). Vince znowu mnie bił, a publika wyła ze śmiechu. W ten sposób udawało nam się moimi ustami skrytykować widzów za niewłaściwą reakcję, obrazić ich, dać upust naszej nienawiści, zastraszyć ich i zażądać poprawy... a potem ustami czarującego Vince'a przypochlebić się i złożyć im hołd, a wreszcie powiedzieć, że tak naprawdę bardzo ich cenimy, dzięki czemu wszyscy mogli się poczuć jak wielkie szczyhy i bogacze,

choć ja i tak zawsze miałem ostatnie słowo. Szantażowaliśmy publiczność, graliśmy jej na nosie i udawaliśmy, że to śmieszne, a ludzie nas za to uwielbiali.

Formułę można też było odwrócić. Jeżeli zdarzyła się widowia, która nie reagowała na moje błazeństwa, Vince zaczynał mnie traktować jak żalostnego niedorajdę (tak, jasne, niedorajdę w smokingu za sześćset docłców i szytej na miarę jedwabnej koszuli z brylantowymi spinkami przy mankietach). Obejmował mnie ramieniem i mówił: „Mój biedny partner wypruwa sobie żyły, żeby was rozbawić, a wy jesteście zbyt wyrafinowani, zbyt światowi, żeby śmiać się z kogoś, kto gotów jest na to - rzucał mnie na drugi koniec sceny - i na to - kolejny rzut, tym razem kończący się wynięciem przeze mnie popisowego orła - ale nie, wy jesteście zbyt zbłażowani, zbyt cywilizowani na ten rodzaj humoru”. Wtedy publika wyła ze śmiechu, nie tylko dlatego, że moje akrobacje były burleską w najlepszym wydaniu, ale i dlatego, że Vince dał jej do zrozumienia, że nas zawiodła. A ponieważ w rzeczywistości widzowie chcieli, żebyśmy ich polubili, chcieli należeć do naszej paczki, do naszego klubu, zawsze się śmiali, choćby tylko po to, żeby zyskać naszą aprobatę.

A jeśli dziwnym trafem podczas drugiego występu w dzień powszedni publika była sztywna albo rozgadana, a nam nie udawało się jej zdyscyplinować, to po prostu graliśmy dla siebie albo dla orkiestry, omijaliśmy wszystkie improwizowane kawałki i schodziliśmy ze sceny po trzydziestu dwóch minutach, pierdolić sukinsynów, i z powrotem w garderobach, żeby posuwać lale, które wcześniej przyuważaliśmy przy stoliku ósmym i siedemnastym.

Tak dobrze nam razem szło. Żegnajcie tamte czasy.

Obawiałem się o Vince'a. Publicznie przyjął kręcenie „Nocy w operze” całkiem dobrze, ale wszyscy mają ograniczoną cierpliwość, a Vince nigdy do niej cierpliwszy eh nie należał. Jeśli miało dojść między nami do jakiegoś spięcia, to byłoby dobrze, gdyby nie stało się to w telewizji na żywo.

W poprzednich latach okazało się, że największą oglądalność mieliśmy w ciągu ostatnich godzin telemaratonu. Działał tu ten sam mechanizm, który ciągnie ludzi do wyścigów samochodowych. W tym wypadku Vince i ja byliśmy samochodami, a widzowie włączali program, żeby zobaczyć, czy któryś z nas się rozbije. Przez jakieś dwie ostatnie godziny wyglądaliśmy, jakbyśmy to my najbardziej potrzebowali wsparcia darczyńców. Snułem się chwiejnie po scenie i odczytywałem najnowsze wyniki na tablicy, mrużąc zapuchnięte powieki, żeby cokolwiek widzieć. Ed Herlihy, który do-  
brze się wyspał, wskazywał na mnie, jakbym to ja był inwalidą. „Patrzcie na tego biedaka - zaklinał widzów - Bóg jeden raczy wiedzieć, jak jest jeszcze

w stanie ustać. Zabija się dla was, podnieście słuchawkę i zgłoście swoje wpłaty. Numer, pod który powinniście zadzwonić, wyświetla się na ekranie”. Przedstawialiśmy to tak, jakbym wspinał się na Kalwarię, a każdy, kto nie przyłączył się do zrzutki, był Poncjuszem Piłatem.

Właśnie wtedy dochodziliśmy do nadzwyczaj popularnego etapu pod tytułem „Lanny dostanie zawału przed kamerami”. Czekałem, aż Vince udawał się na spoczynek. Potem stepowałem z Braćmi Nicholas, co sprawiło, że lał się ze mnie pot i nie mogłem złapać tchu. Wtedy siadałem na stołku i śpiewałem „Smile”. Ledwo wydobywałem z siebie odpowiednie tony. Głos mi się łamał. Sapałem, stękałem i ocierałem chusteczką czoło. Wręczano mi szklankę wody, a ja brałem ją drżącą dłonią. Czasami po prostu przestawałem śpiewać, lecz orkiestra grała dalej. „Smile...” - próbowałem dołączyć do melodii, ale traciłem dech. „Zrób najazd na orkiestrę” - mówiłem do kamerzysty, gdy wciąż byłem w kadrze, rozumiecie? - i kamera pokazywała Russa Cummingsa z orkiestrą, a muzycy podejmowali linię melodyczną, grając piosenkę w wersji instrumentalnej. Przy gorących brawach Ed Herlihy pomagał mi zejść ze sceny. Potem Ed wracał przed kamery, żeby zapewnić wszystkich, że Lanny'emu nic się nie stało, tylko dopadło go zmęczenie, a ja pojawiałem się znowu po krótkiej chwili, lecz odmawiał wpuszczenia mnie na scenę, dopóki nie zbliżyliśmy się do osiągnięcia wyznaczonego celu. To zwykle wystarczało.

Tego roku, gdy właśnie zamierzałem powiedzieć kamerzyście, żeby zrobił najazd na orkiestrę, zza kurtyny wyszedł Vince. Sprawiał wrażenie równie zmiserniałego jak ja, zwłaszcza że się nie ogolił. Podjął melodię i zaczął śpiewać tym swoim głosem, który jest, co by tu mówić, kurewsko dobry, i publika oszalała. Nie miałem wyboru: musiałem udać, że znalazłem nowe pokłady energii, odetchnąłem i zacząłem mu wtórować. Zbliżaliśmy się do finału i zaśpiewał D, więc ja wspiałem się na F. Uśmiechnął się, objął mnie ramieniem i dołączył do mojego F, po czym podniósł głos do A, czyli nony wielkiej, której nie miałem w swojej skali nawet w dobry dzień. W końcu to on był cholernym piosenkarzem, nie ja.

Więc zrobiłem jedyną rzecz, jaką mogłem zrobić, to znaczy: zemdlałem. Podniosły się krzyki, ale Vince mnie złapał. Ktoś trzasnął zdjęcie i pomyślałem: pierwsza strona jutrzejszego wydania „Miami Herald”. Powiedziałem, że tylko nadmiernie się przewietrzyłem przez to śpiewanie i gorąco i za godzinę wrócę do siebie. Vince zapewnił, że przejmie pałeczkę, i zszedłem ze sceny o własnych siłach, czując się jak główny rozgrywający, który w ostatniej kwarcie przy stanie remisowym opuszcza boisko, bo trochę zakręciło mu się w głowie, podczas gdy trener patrzy na niego, nie kryjąc obrzydzenia.

Wróciłem do garderoby, żeby się na chwilę położyć. Naprawdę tego potrzebowałem, bo sfingowane zemdlenie kosztowało mnie sporo sił. Jako asystentkę, która towarzyszyła mi od samego początku telemaratonu, przydzielono mi słodkie dziewczątka, które studiowało na uniwersytecie w Miami albo odwiedziło sklep, gdzie sprzedają koszulki tej uczelni. Nie możecie oczekiwać, żebym nadal pamiętał, jak dziewczoja miała na imię, ale to, jak jej melony zniekształcały litery M w MIAMI, na zawsze pozostanie w moich wspomnieniach.

Jeden z gliniarzy, którzy przyprowadzili mnie do studia (a teraz na zmianę pilnowali naszych garderób), podniósł na mnie wzrok znad gazety i spytał:

- Dobrze się pan czuje, panie Morris? Widziałem, że miał pan mały wypadek. - Kiwnął głową na monitor telewizyjny obok drzwi do garderoby Vince'a.

Odparłem, że nic mi nie jest.

Dziewczę z obfitym biustem wyraziło troskę:

- Na pewno nie chcesz, żeby ktoś się tobą zaopiekował, Lanny? - powiedziała zaniepokojona. - Może nie powinieneś zostawać sam.

Uśmiechnąłem się i pocałowałem ją w czołko.

- Słuchaj, mała, dwa dni temu, kiedy nie zostawiałaś mnie samego, byłem wniebowzięty. Ale teraz padam z nóg. W każdym razie dzięki, jesteś wspaniała.

Wyglądała na rozczarowaną, że to już koniec.

Zostałem sam i podkręciłem głośność ściennego głośnika, przekazującego to, co transmitowano ze studia. Usłyszałem głos Vince'a, więc przekręciłem gałkę, wyłączając urządzenie. Wstałem i uważnie obejrzałem się w lustrze tak jak zawsze, gdy jestem w garderobie. Nie było tak źle, chyba że porównywało się mnie z takim przystojniakiem jak Vince Collins. Gdybym nie robił głupich min, żeby wyglądać cały czas jak małpa, pewnie wyglądałbym zupełnie okej. Może nawet byłbym przystojny. W końcu zaliczyłem więcej panienek niż Vince, pomimo jego wyglądu. Mógłbym nawet grać w swoich filmach amanta. Czemu nie? Małpizson poznaje dziewczynę, małpizson traci dziewczynę, małpizson zdobywa dziewczynę. Darwin byłby zachwycony.

Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi. Naprawdę podziwiałem tę małą w T-shircie Miami, najwyraźniej zamierzała pobić ze mną jakiś rekord i nie dawała za wygraną.

- Kochanie... - zaprotestowałem.

- Kochanie - odpowiedział aksamitny baryton Vince'a.

- Pomyliłeś pokoje - powiedziałem. Czuliśmy się teraz nieswojo. Trudno było nam ze sobą gadać. Wskazałem głową na głośnik. - Jeśli ty jesteś tutaj, to kto prowadzi autobus?

Przez otwarte drzwi zobaczyłem, jak sięga do lodówki po piwo.

- Stacje lokalne mają swój czas antenowy jeszcze przez jakieś trzy minuty. Myślisz, że mogą zaryzykować wypicie piwa?

- Ty?

- Nie chodzi mi o to, że się upiję. Tylko czy nie zasnę? Nigdy w życiu tak bardzo nie chciało mi się piwa albo porządnej drzemki, a nawet nie lubię piwa. Ani snu. - Otworzył piwo i wszedł do sypialni, po czym usiadł koło mnie i zaproponował papierosa, którego nie przyjąłem. Zapalił swojego. - Z tym zemdleniem to udawałeś, prawda?

- Tak.

- Uhm. Ale i tak padasz na pysk?

Jego oczy wyglądały jak bliźniacze wejścia do pieczary. Obaj byliśmy wycieńczeni. Słyszałem słowa, ale trudno mi było przypomnieć sobie, co znaczą. Wiedziałem, że wszyscy mnie nienawidzą. I że w pokoju, w którym siedzieliśmy, nagle włączono bardzo dziwne oświetlenie, jakby to, co powinno być ciemne, było jasne i na odwrót.

- Nic mi nie jest - zapewniłem go.

Vince coś do mnie mówił, ale bardzo trudno było mi to wszystko zrozumieć. Cały czas zastanawiałem się, czy jego głowa jest rzeczywiście tak duża, jak mi się wydaje: niczym balon meteorologiczny.

- Przemyslałem to sobie, stary - powiedział Vince, kiwając olbrzymią głową. - Uważasz, że masz mnie pod ścianą, ale to nieprawda. Chcesz mnie zastrzelić śrutówką w budce telefonicznej? W porządku. Cokolwiek mi zrobisz, sam się przy tym pobrudzisz. Rykoszet może cię nawet zabić. Tak czy siak nie wyjdiesz z tego czysty.

*In somnia veritas*, pomyślałem. Vince pociągnął solidny łyk piwa pabst.

- Więc grajmy czysto.

- Zagraj sobie na fujarze, cholerny makaroniarzu - powiedziałem stanowczym tonem i spojrzałem na niego wyzywająco. Przez sekundę myślałem, że mnie uderzy i że będzie bolało. Ale tego nie zrobił.

Wstał.

- Kończę ostatnią godzinę. Byłoby super, gdybyś też wpadł.

Wyszedł z pokoju trochę niepewnym krokiem, ale nie dlatego, że się upił. Po prostu był zmęczony. Jeśli chodzi o mnie, to chciałem leżeć w łóżku do końca świata, ale wiedziałem, że gdybym sobie na to pozwolił, Vince z radością dokończy występ beze mnie, a później dziennikarze będą wypytywać o moje zdrowie podczas konferencji prasowej, w której zgodziliśmy się wziąć udział tego samego dnia po południu w New Jersey. Dlaczego w ogóle się na to zgodziliśmy? Wiedziałem dlaczego. Baliśmy się Sally'ego Santoro.

Przynajmniej mogliśmy się zdrzemnąć w samolocie. Tak, mogliśmy pospać w samolocie. Z wysiłkiem podźwignąłem się na nogi i wyszedłem z garderoby. Bezimienna dzierlatka wciąż na mnie czekała.



- Odprowadź mnie na scenę, dobrze? - poprosiłem.

Odpowiedziała mi, ale znowu bardzo trudno mi ją było zrozumieć, ponieważ mówiła po angielsku, a ja słyszałem w brajlu. Poprosiłem, żeby spróbowała mówić szybciej, ale nie pomogło. Mówiła coś o tym, kiedy moglibyśmy się znowu spotkać. Odpowiedziałem, żeby nie była śmieszna, bo naturalnie już nigdy więcej się nie zobaczymy, a ona się rozpląkała. Zapytałem, czy nie położyłaby się na podłodze i nie zagrała dla mnie parodii kanapy z dwiema dużymi poduchami. Zostawiłem ją za kulisami i wyszedłem przed kamerę, podczas gdy publiczność oklaskiwała mój powrót po dramatycznym zasląbnieniu.

Powiedzieliśmy widzom, że po prostu musimy zebrać trzy miliony dziewięćset tysięcy dolarów, tak jak to sobie założyliśmy. W rzeczywistości osiągnęliśmy tę sumę dwie godziny wcześniej, lecz realizatorzy z rozmysłem zachowywali prawdziwe dane w tajemnicy, ponieważ największy zastrzyk pieniędzy docierał zawsze podczas ostatniej godziny, gdy ludzie tłumnie dzwonili z domów, bylebyśmy dobili do magicznej liczby.

Teraz cyfry na tablicy zmieniały się gwałtownie, a gdy ukazało się 3900000 \$, wszystkich ogarnęła histeryczna euforia, w jaką wpada Ben Grauer na Times Square w sylwestra.

Zachrypnięci przypomnieliśmy widzom, żeby nie przegapili „Nocy w operze” wytwórni MGM, a potem Vince i ja zaśpiewaliśmy na koniec „Side by Side”. Mieliśmy zdarte głosy, a gdy zwracaliśmy się w piosence jeden do drugiego, patrzyliśmy na ucho, bark albo grdykę, byle tylko nie w oczy partnera.

Potem szybko poszedłem do garderoby, ale Billy Bishop był już tam z paroma znajomymi Sally'ego Santoro. Billy powiedział, że zabierają nas natychmiast na lotnisko, gdzie poczeka samolot American Airlines, który miał odlecieć o wpół do pierwszej do Nowego Jorku.

W kawalkadzie samochodów policji i współpracowników Sally'ego Vince, ja i Billy Bishop pomknęliśmy z prędkością około stu dwudziestu kilometrów na godzinę na lotnisko. Wsiadliśmy na pokład samolotu lecącego do Atlanty, Waszyngtonu, Filadelfii i Nowego Jorku. Vince i ja popadliśmy w stan zamroczenia bez pomocy gorzały i tuinalu i nie budzono nas, póki nie dotarliśmy do czwartego i ostatniego miasta. Mówiono mi, że podczas rejsu budziłem się na chwilę, prosiłem o wodę, jakbym był czterolatkiem, upijałem łyżek i znowu mdlałem. Billy Bishop i stewardesy dopilnowali, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Kiedy wylądowaliśmy w Nowym Jorku i potrząsano nami tak długo, aż się obudziliśmy, czułem się przymulony, jakby dentysta napakował mi do ust całe pudełko wacików i jeszcze wetknął kilka do zatok. Gdy zeszlismy

po podstawionych schodkach na płytę lotniska, powitała nas salwa fleszy, które rozbłysły nam prosto w oczy. Dziennikarzom oznajmiono, że nie udzielimy żadnej wypowiedzi, póki nie dotrzemy do nowego Casino del Mar, więc pojechaliśmy tam niczym kondukt żałobny, biorący udział w wyścigu Indianapolis 500. Najwyraźniej uznano nas za wybitne osobistości. Limuzynę zapewnioną nam przez Sally'ego Santoro eskortowały dwa policyjne radiowozy, jeden z przodu, a drugi z tyłu. Oprócz tego przydzielono nam kilku ochroniarzy, którzy mieli nas uchronić przed pomysłem ulotnienia się przed konferencją prasową.

Nasz wóz zatrzymał się przed samym hotelem, który wyglądał jak ściana okien zasłoniętych szarymi roletami. Wysiedliśmy i marynarki smokingu załopotwały nam na ostrym, zimnym wietrze, na jaki nigdy nie byliśmy narażeni przed hotelem Versailles w Miami.

Zostaliśmy powitani przez główną specjalistkę od public relations firmy Sally'ego Santoro, chudą, kanciastą i ciemnowłosą trzydziestoparoletnią kobietę.

- Witajcie! Jestem Jackie Biderman, prowadzę dział public relations El Toro Enterprises. Witam w naszym nowym Casino del Mar.

Vince popatrzył na mnie. W dawniejszych czasach, kiedy spotykaliśmy takie piarówki (ta Jackie mogłaby być starszą siostrą Denise, kościstej brunetki z Versailles, ale właściwie one wszystkie wyglądały jak siostry), Vince mruknąłby do mnie pod nosem: „Twoja”. Chyba że ja bym go ubiegł. Teraz nic nie powiedział.

Zwróciłem się do Billy'ego Bishopa, który towarzyszył nam przez całą drogę z Miami:

- Musimy się trochę odświeżyć. Zorientuj się, gdzie jest Reuben.

Vince z nieogolonym zarostem wyglądał jak rzeźmieszek, a ja zaczynałem przypominać karykaturę siebie samego, która zajmowała prawą połowę bębna wielkiego Orkiestry Russa Cummingsa.

Billy przedstawił nasze potrzeby Jackie, która uśmiechnęła się odmownie, wyjaśniając, że pan Santoro pragnie, abyśmy wyglądali jak bohaterowie. Z reklamowego punktu widzenia Santoro okazał się bardzo bystry. Vince i ja właśnie skończyliśmy występ transmitowany w całym kraju. Byliśmy „dobrymi facetami”. Zebraliśmy rekordową ilość pieniędzy na cel walki z chorobą. A teraz, zanim telemaraton zdąży się zatrzeć ludziom w pamięci, pojawialiśmy się, żeby opowiedzieć o następnym wielkim wydarzeniu w naszym życiu: o otwarciu nowego hotelu w hrabstwie Bergen w stanie New Jersey. A wiadomość o tym może trafić już do głównych wydań wieczornych programów informacyjnych w trzech stanach, jeżeli ruszymy tyłki (jak poinstruowała nas Jackie) i wejdziemy do głównej sali recepcyjnej, gdzie zaplanowano konferencję prasową z naszym udziałem.

Gdy wchodziliśmy do recepcji, u naszych boków szła para policjantów stanowych. Zostali z nami do samego końca. Była to wskazówka, ile trudu zadał sobie Sally, żeby przedsięwzięcie wyglądało na legalne, skoro sprowadził lokalną policję do strzeżenia lipnej fasady.

Było widać, że hotel nie jest w pełni ukończony, bo ściana między toaletami a recepcją nie została jeszcze zbudowana. Wspaniałego widoku Manhattanu z hotelowego koktajlbaru nie zasłaniała nawet szyba i wiatr chłostał nas w holu bardziej niemilosiernie niż na podjeździe.

Jackie wprowadziła nas do pomieszczenia oznaczonego jako WIELKA SALA BALOWA. Na długim podium siedzieli już Sally Santoro i kilku mężczyzn, którzy wyglądali na adwokatów. Jackie wskazała nam dwa wolne krzesła pośrodku. Sally uściskał nas obu. To było coś nowego.

Wyglądało na to, że Jackie Biderman ma poprowadzić konferencję, ponieważ właśnie o tym powiadała teraz przedstawiciele prasy.

- B-i-d-e-r-m-a-n, przez jedno „n” - wyjaśniła dziennikarzom, którzy niczego nie zapisali. - No dobrze. Chciałabym powitać wszystkich naszych przyjaciół na tej wyjątkowej konferencji prasowej z trzema bardzo wyjątkowymi osobami. - Miałem nadzieję, że nie bierze w rachubę siebie. - Panem Salvatore Santoro, czyli S... - przeliterowała dla nich jego nazwisko.

Kiedy dziennikarze zauważyli, że chłopcy Sally'ego spisują tych, którzy nie zanotowali sobie jego nazwiska, przedstawiciele czwartej władzy natychmiast dobyli ołówków i jęli skrzętnie pisać.

- I oczywiście dwoma dżentelmenami po mojej prawej, których nie trzeba przedstawiać, a którzy jak państwo widzą, przybyli tu bezpośrednio ze studia telewizyjnego w Miami, gdzie właśnie poprowadzili rekordowy telemaraton charytatywny na rzecz ofiar polio.

Następnie oświadczyła, że pan Santoro w imieniu spółki El Toro przeznaczył dwadzieścia tysięcy dolarów darowizny dla Amerykańskiej Fundacji do Walki z Polio. Odbyła krótką szeptaną rozmowę z jednym z podwładnych Sally'ego, pytając, czy mają powiększoną kopię czeku, żeby można było go nam wręczyć dla potrzeb fotoreporterów. Popatrzyli na siebie niby ministranci. No nie, kurde, nie mamy. Znowu szeptem zapytała, czy mają przynajmniej normalny czek, który pan Salvatore mógłby nam przekazać na oczach dziennikarzy. Rozejrzeli się tępo po sali, jakby uznali, że ktoś mógł przykleić czek do żyrandolu.

Przez cały ten czas Sally wpatrywał się prosto przed siebie.

Jackie oświadczyła do mikrofonu, że niestety, na skutek pomyłki czeku akurat nie ma, za to z przyjemnością może ogłosić wspaniałą deklarację wsparcia finansowego pana Santoro.

- W dodatku z wielką radością informuję, że pan Santoro przekazuje również Amerykańskiej Fundacji do Walki z Polio ponad... - zerknęła na fiszkę w dłoni - ponad dwa tysiące gofrownic Kenmore, tak aby dotknięci tą okropną chorobą mogli cieszyć się smakiem gofrów o każdej porze dnia i nocy... i myślę, że za ten humanitarny gest należą mu się brawa.

Santoro szepnął coś na ucho jednemu ze współpracowników, który szepnął to z kolei na ucho Jackie. Kobieta kiwnęła głową i dodała:

- Oraz ponad pięćset aparatów do robienia zdjęć trójwymiarowych, ponieważ inwalidzi mają prawo do pięknego świata tak samo jak reszta z nas.

Usiadła, a Sally odczekał, aż przestały błyskać flesze. Porozumiał się po cichu z jednym z adwokatów i pochylił się nad mikrofonem. Jak udało mu się powstrzymać od rutynowego: „Odmawiam odpowiedzi, ponieważ cokolwiek powiem, może zostać użyte przeciwko mnie” - nie mam pojęcia. Zamiast tego odczytał z kartki krótkie przemówienie o tym, jaki jest dumny, że Stany Zjednoczone wystrzeliły w kosmos raketę Vanguard, i cieszy się, że stan New Jersey ma wystrzelić własną raketę, a mianowicie nowe Casino del Mar. Potem porzucił przygotowany tekst i jał się rozwodzić nad tym, że nigdy nie zapomni ludzi, którzy mu pomogli, a także wszystkich, którzy tego nie uczynili, bo takim jest człowiekiem.

Jackie spojrzała na zegarek i powiedziała, że skoro zostało trochę czasu, pozwoli prasie zadać kilka pytań przed naszym telewizyjnym wywiadem na żywo dla lokalnej stacji, stowarzyszonej z ABC. Wtedy ci wyrafinowani nowojorscy dziennikarze zaczęli przerzucać się z nami dowcipami. Ludzie, naprawdę ciężko było za nimi nadążyć.

- Ralph Latiff, „Bergen Record”, pytanie dla pana Morrisa: czy jest pan zmęczony?

- Jasne, że jestem. Tak?

- Rose Wanamaker, „Daily Mirror”. Jakie to uczucie... to pytanie dla pana Morrisa... jakie to uczucie zebrać te wszystkie pieniądze dla chorych na polio?

Vince odpowiedział:

- Wspaniałe. Naprawdę wspaniałe.

Facet z jakiejś gazety z Trenton zapytał z głębi sali o film, który jak ogłosiliśmy, zamierzamy nakręcić, „Noc w operze”: Czy będzie kolorowy? A ludzie zastanawiają się, skąd się weźmie nowy Edward R. Murrows.

Vince odpowiedział:

- Nie wiemy. Mamy nadzieję, że tak. Wszyscy powinni zobaczyć, jak przekrwione bywają moje oczy w niektóre poranki.

Dziennikarze roześmiali się i zobaczyłem, że wiele ołówków poszło w ruch. Więc Vince zdobył pierwsze komediowe ostrogi, co? Facet z Trenton miał następne wnikliwe pytanie:

- Czy film będzie w formacie panoramicznym?

Pochyliłem się do mikrofonu.

- Jeżeli wystąpi w nim Jayne Mansfield, będzie musiał być panoramiczny.

Teraz przyszła kolej na Cindy Goldner, redaktorkę działu plotkarskiego w lokalnej gazecie. Mogła sprawić nam więcej trudności.

- Vince, skoro Lanny będzie odtwarzał trzy role, to czy twoje nazwisko nie pojawi się dopiero na czwartym miejscu?

Vince zaczął odpowiadać, ale go zagłuszyłem:

- To film Collinsa i Morrisa. Vince zawsze pojawia się na pierwszym miejscu.

Vince popatrzył na mnie z lekko skrzywionym uśmiechem.

- Myśle, że Lanny chciał powiedzieć, że na szóstym, prawda, stary?

Cindy cisnęła dalej.

- Jak to na szóstym, Vince?

Vince odparł:

- Cóż, z tego, co rozumiem, Lanny zagra trzy cudowne role, a Jayne Mansfield ma talentu za dwie. - Śmiech ze strony prasy. - Więc liczę, że uplasuję się na szóstym miejscu.

Facet z „Daily Mirror” wznosił się na szczyty dziennikarskich możliwości, próbując sprowokować Vince'a pytaniem:

- Więc nie przeszkadzałoby ci, gdyby panna Mansfield znalazła się nad tobą, Vince?

- Lubię, jak kobieta jest na górze. - Vince się uśmiechnął.

Głośny śmiech dziennikarzy. Wiedzieliśmy, że nie będą mogli wydrukować takiego komentarza w żadnej gazecie, i oni też doskonale to rozumieli, więc - według niepisanej umowy - traktowali tego typu żarty jako przeznaczone wyłącznie dla uszu obecnych. Tych, którzy nie zawsze przestrzegali tej dżentelmeńskiej umowy, nie było akurat na sali: Kilgallen, O'Brien i Winchell nie pofatygowali się do New Jersey dla takiej marniej konferencji, Hedda Hopper i Louella Parsons były w Los Angeles, a Moe Cohn pisał tylko dla Miami, więc dzięki Bogu, uciekliśmy przed jego wścibskimi pytaniami i brakiem dyskrecji.

Jackie Biderman pobladła lekko, usłyszawszy tę ostatnią wymianę zdań, i przypomniała, że gdy znajdziemy się na wizji z George'em Gromire'em z lokalnego oddziału ABC, pan Santoro ma nadzieję, że wspomnimy o Casino del Mar, a także o terminach naszych występów w Błękitnej Grocie.

Sześć minut po siódmej lokalny korespondent ABC, George Gromire, na umówiony sygnał podetknął nam pod nosy mikrofon.

- Vince Collins, Lanny Morris, witajcie w New Jersey. Wszyscy oglądaliśmy was w telemaratonie, który skończył się dziś rano. Czy jesteście zmęczeni?

Powiedziałem: „Och, nie, panie Gremire, obaj czujemy się wypoczęci jak...” i udałem, że tracę przytomność, waląc czołem w blat na tyle głośno, by wywołać komiczny efekt, a nawet poczuć lekki ból. Natychmiast zacząłem chrapać. Niech Vince odpowiada na pytania.

Gremire roześmiał się słabowicie i przysunął mikrofon do Vince'a.

- Cóż, skoro, jak się zdaje, twój partner przeniósł się właśnie w krainę snu, Vince, powiedz nam, co tu robicie, dobrze?

Vince mówił to, co trzeba: że te strony zawsze były dla nas szczególnie ważne i czujemy się zaszczytzeni, iż nasz dobry znajomy, pan Santoro, poprosił nas o pierwszy występ w tym wspaniałym centrum rozrywki tak blisko Manhattanu, a zarazem tak wysoko nad rzeką Hudson, i tak dalej. A ja chrapałem donośnie.

- Dowiedzieliśmy się też, że zamierzacie nakręcić remake cudownego filmu braci Marx „Noc w operze” - podrzucił Gremire.

- Rzeczywiście. - Pokiwał głową Vince. - A do tego z wielką przyjemnością chciałbym ogłosić mój filmowy debiut jako aktora dramatycznego w „Linii Maginota”, filmie o amerykańskim żołnierzu drugiej wojny światowej, który próbuje uciec z obozu jenieckiego w okupowanej przez hitlerowców Francji.

Gremire i ja wysłuchaliśmy tego z wielkim zainteresowaniem, ale tylko on dał to po sobie poznać.

- Będzie to występ solowy, bez twojego partnera? - zapytał.

Poczułem się teraz jak skończony dureń, tkwiąc w tym głupim pierdolonym numerze z chrapaniem, w który się władowałem. Vince powiedział:

- Cóż, na pewno z wdzięcznością przyjmę wszelkie sugestie i wskazówki od mojego dobrego kumpla, Lanny'ego, jeśli oczywiście kiedykolwiek się obudzi.

Udałem, że się obudziłem, i wyprostowałem się gwałtownie.

- Od tego piątku w Błękitnej Grocie tu, w Casino del Mar w hrabstwie Bergen przez następne dwa tygodnie! - wykrzyknąłem, włączając się do rozmowy tak, jak powinienem. Efekt diabła z pudełka mógłby być zabawny w innym kontekście. Nagle wydał mi się zupełnie chybiony.

Gremire odwrócił się do kamery.

- Cóż, bardzo napięty harmonogram mają ci dwaj utalentowani i pełni dobrej woli panowie, Vince Collins oraz zwiariowany i zaspany Lanny Morris. - Uśmiechnął się i znieruchomiał na piętnaście sekund, aż ktoś dał znać, że zszedł z wizji. - Dziękuję wam bardzo - powiedział do nas.

Spojrzałem w lewo i zobaczyłem, jak Billy Bishop uśmiecha się do Vince'a. Puścił do niego oko. Najwyraźniej ten solowy występ przygotowywali od dawna.

Jackie Biderman wcale nie była zadowolona. Przez wyszczerzone w uśmiechu zęby wycodziła:

- Byłoby dobrze, gdybyście w przyszłości podczas wywiadu wspomnieli o godzinach otwarcia i powiedzieli, jak dojechać do Casino del Mar z Nowego Jorku i z Connecticut.

Vince pochylił się ku niej i powiedział głosem, który tylko ona i ja mogliśmy usłyszeć:

- Byłoby dobrze, gdybyś nigdy więcej nie mówiła nam, co mamy robić, bo inaczej podpalę te twoje lakierowane kudły i ugaszę ogień, szczając ci na łeb. Wielkie dzięki.

Wyglądała, jakby dostała prosto w swój wyposzczony żołądek.

- O mój Bo... Boże - jęknęła.

Wstałem, podszedłem do Sally'ego i ze względu na wynajętego fotografa przyjąłem pozę, którą przyjmowałem już milion razy, nigdy do końca jej nie rozumiejąc. Ja, sławny człowiek, lewym ramieniem obejmuję nieznaną osobę i wskazuję na nią prawą dłoń. Co takiego wskazuję, kiedy to robię? Co to znaczy? Na całym świecie są miliony fotek, na których wskazuję nieznanymi ludźmi. Jaki komunikat wysyłam tym gestem? „Patrzcie, on też na moment zaistniał dzięki mnie!”.

Nietrudno było wyobrazić sobie komisję Kongresu, przesłuchującą mnie na temat każdego zdjęcia, na którym obejmuję gangstera, seryjnego mordercę, szantażystę, podpalacza albo pedofila. Za każdym razem mam na gębie głupi uśmiech i pokazuję na nich ręką.

Wreszcie Sally z kompanią wyprowadzili nas z Wielkiej Sali Balowej w kierunku windy, którą mieliśmy pojechać do naszego apartamentu, który, jak nas zapewniono, został ukończony już parę tygodni temu. Sen, bezcenny sen był już blisko.

W recepcji asystentka reportera z ABC podbiegła do Vince'a i wręczyła mu złożoną karteczkę. Była bardzo ładna, miała może dwadzieścia trzy lata i słodziutkie drobne cycuszki. Wyglądała jak płaska i blondwłosa Natalie Wood. Usłyszałem, jak niskim głosem mówi do Vince'a:

- Cześć, pracuję z George'em Gromire'em, jestem tylko asystentką i mam na imię Joan. Mam męża i bardzo go kocham, ale kiedy się pobieraliśmy, powiedziałam: „Słuchaj, bez żartów, zawsze będę ci wierna, ale jeśli kiedyś spotkam Vince'a Collinsa, to zrobię skok w bok, przynajmniej raz”. Zgodził się, więc gdybyś chciał spędzić ze mną noc podczas swojego pobytu tutaj, to tu jest mój telefon. Albo możemy to zrobić teraz. - Wyprężyła się, prezentując swoje walory, urocza i pełna nadziei. - Mój mąż nie ma nic przeciwko temu. Naprawdę.

Vince schował karteczkę do kieszeni i powiedział:

- To najwspanialszy komplement, jaki słyszałem, Joan. Zdaje się, że łączy cię z mężem coś naprawdę cudownego. Nielatwo znaleźć na tym świecie taką miłość i wolałbym nie wdzierać się między was, choć to bardzo kusząca propozycja.

Podeszliśmy do rzędu wind, gdzie otworzono dla nas drzwi.

- Mąż naprawdę nie ma nic przeciwko - powtórzyła. Przyłożyła drobną dłoń do jego ucha i powiedziała na tyle głośno, że nadal słyszałem: - Jestem naprawdę dobra w łóżku. Spodobałoby ci się.

Vince uśmiechnął się do niej.

- Nie musisz mi tego mówić. Wiem, że by mi się spodobało. - Spojrzał na nią intensywnie, jakby robił jej w myślach zdjęcie, i wsiadł do windy. - Obiecuję, że nigdy cię nie zapomnę, Joan.

Weszliśmy za nim do windy, ja, Jackie, Sally, dwaj policjanci, którzy towarzyszyli nam od przylotu, i boy hotelowy, który niósł nasze podręczne bagaże.

Dobre apartamenty zawsze były położone jak najdalej od wind, w pobliżu południowego końca korytarza, tak że ich okna wychodziły na Manhattan.

Znajdowały się tam drzwi do przedsionka, z którego wchodziło się do apartamentów oznaczonych numerami 501, 500 i 502. Przed apartamentem 501 stał wózek sprzątaczkowy, a drzwi były uchylone. Boy wskazał głową na wózek.

- Służąca ściele wam łóżka. - Podejrzewaliśmy, że będziecie chcieli się wyspać. Daliśmy wam nasz najlepszy apartament dla nowożeńców - powiedział Sally.

Boy otworzył drzwi do salonu i weszliśmy do środka. Nieźle. Widok mieliśmy fantastyczny. Za szybą można było zobaczyć Empire State Building, wieżowiec RCA i migoczący brąz zanieczyszczonych wód śródmiejskiego portu. Na czworonożnym białym stojaku stał gigantyczny odbiornik telewizyjny RCA i nie byłbym ani odrobinę zaskoczony, gdyby okazał się kolorowy. Na telewizorze stał adapter ze stosem płyt długogrających, prawdopodobnie pełną kolekcją nagrań Vince'a. Ściana po lewej była zakryta lustrem. Po prawej znajdował się dobrze zaopatrzony w trunki barek, a na wszystkich ścianach wisiały obrazy, większość malowanych na czarnym aksamicie: matador, gustowny kobiecy akt, błazen. Jeśli nie zaliczysz kobiety w tym apartamencie, to w ogóle jej nie zaliczysz.

- Zajebicie, co? - zapytał Sally.

Vince i ja przyznaliśmy, że bardzo zajebicie.

- Ludzie gadają o eleganckich pokojach i apartamentach w hotelach na West Side w Manhattanie, a co widzą tam z okien? Gówniane New Jersey. A stąd widać panoramę Nowego Jorku.



Rozległ się krzyk. Nie dla picu, tylko prawdziwy krzyk. Po lewej od nas.

Matka tysiące razy słyszy, jak córka krzyczy, i prawie zawsze chodzi tylko o to, że jakiś dzieciak zabrał jej zabawkę, spadła z rowerka albo przestraszyła się wiedźmy z Królowy Śnieżki. Wtedy matka niespiesznie przerywa rozmowę z koleżanką i wchodzi do dzieciennego pokoju, żeby zobaczyć, co się stało. Ale czasami matka słyszy, jak dziecko krzyczy, bo paluszek utknął mu w młynku do rozdrabniania odpadków, natychmiast orientuje się, że ten krzyk jest inny, i biegnie do swojego dziecka tak szybko, jak tylko potrafi. Vince i ja słyszeliśmy miliony okrzyków w ciągu ostatnich kilku lat i zwykle uśmiechaliśmy się, i mówiliśmy: „Dziękujemy”. Ten okrzyk sprawił, że rzuciliśmy się pędem tam, skąd dobiegł.

W ciągu sekundy zorientowaliśmy się, że dochodził z za drzwi, które prowadziły do jednej z dwóch sypialni, tej od strony zachodniej. Podbiegłem do nich i spróbowałem otworzyć, ale były zamknięte od wewnątrz, tak jak zwykle, gdy po raz pierwszy wchodzisz do nowo wynajętego apartamentu. Dwaj policjanci, którzy razem z nami podziwiali salon, szybko wyszli do holu, gdzie nadal były otwarte drzwi do pokoju 501, a przed nimi wciąż stał wózek sprzątaczkii. Popędziłem za nimi, a Vince za mną.

- O, kurde - usłyszałem jednego z gliniarzy, kiedy wpadłem do sypialni. Była oczywiście bardzo ładna, ale nie miałem czasu, żeby podziwiać wystrój.

Mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w stroju sprzątaczkii o grubo ciosanej twarzy i związanych w warkocz włosach klęczała na podłodze przy nogach łóżka, wymiotując na ładny zielony dywan. Odwróciłem się od niej, czując, że na jej widok też robi mi się niedobrze, i zobaczyłem gliniarza stojącego w łazience i patrzącego na wannę.

W wąskiej wannie leżała młoda kobieta. Wody było akurat tyle, żeby zalać jej twarz i ją utopić. Dwa centymetry mniej i jej nozdrza wystawałyby ponad powierzchnię.

Przypomniała mi się sprzątaczkia z Crown Heights, która uderzyła się głową o rurę pod sufitem i upadła nieprzytomna twarzą w kubel z wodą. Utopiła się w tym małym kubku, w rozległym piwnicznym pomieszczeniu, gdzie oprócz tego było zupełnie sucho.

Młoda kobieta w wannie wydawałaby się bardzo pociągająca, gdyby nie była martwa. Jej rude włosy zachowały intensywność koloru, kontrastującą z szarosiłą twarzą.

Lekarz sądowy, który został natychmiast wezwany przez policjantów, ustalił, że zgon musiał nastąpić od dwóch do czterech godzin wcześniej.

Na szczęście zarówno Vince, jak i ja od piątku do niedzieli byliśmy non stop obserwowani przez wszystkich, od policyjnej obstawy, poprzez stewardesy, aż po milionowe rzesze widzów relacjonowanego na żywo telemaratonu. Nawet kiedy byliśmy sami, byliśmy strzeżeni. I oczywiście w okolicach Nowego Jorku przebywaliśmy dopiero od paru godzin, w ciągu których towarzyszyli nam ciągle policjanci, reporterzy i inni świadkowie.

Było to bardzo ważne, bo zarówno Vince, jak i ja znaleźliśmy martwą dziewczynę w łazience przylegającej do hotelowej sypialni w New Jersey.

Jak mieliśmy się wkrótce dowiedzieć, nazywała się O'Flaherty.

Na imię miała Maureen. Była dziewczyną z obsługi w hotelu Versailles w Miami na Florydzie. Dziewczyną, którą Vince i ja poznaliśmy.

Byłam nieżywa, a przynajmniej śmiertelnie zmęczona, nawet kiedy się obudziłam. Czulałam się jak bateria po spędzeniu nocy w urządzeniu ładującym, którego nikt nie podłączył do prądu. Bogate w tlen powietrze podczas lotu z Lannym pobudziło mnie do wypicia ilości alkoholu znacznie przekraczających zwykle limity i każdy z wczorajszych upojnych zawrotów głowy pozostawił mi w mózgu pamiątkę w postaci pękniętego naczynka.

Gdzieś poniżej dzwonił telefon Princess. Aby uciec od rozpaczliwego brzęczenia, spróbowałam wkomponować je w sen, w którym byłam pilotem pierwszego na świecie komercyjnego szybowca pasażerskiego (dla osiemdziesięciu osób na składanych krzesłach, jakie moja rodzina zawsze wynosiła do ogrodu w Święto Dziękczynienia). Byłam oczywiście goła i siedziałam w kokpicie, a na tablicy rozdzielczej, tuż nad magnetofonem ośmiościeżkowym, leżał telefon. Telefon wciąż dzwonił, więc poprosiłam ojca, który był drugim pilotem, żeby przejął stery, podczas gdy ja obudzę się i sprawdzę, kto dzwoni.

Usiadłam na łóżku i jakbym grała w kiepskim sitcomie, walnęłam czołem w sufit. Uniosłam rękę i wymacałam gładką, twardą powierzchnię, podobną do wieka trumny. Ogarnęła mnie autentyczna panika i przeturlałam się w lewo, żeby sprawdzić, czy jestem zamknięta w pudle ze wszystkich stron. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że nie zostałam pogrzebana za życia, lecz po prostu leżę w tym cholernym łóżku w mieszkaniu Beejay, tuż pod niskim sufitem, i z tą pocieszającą myślą nadeszła świadomość, że przeturlawszy się w lewo, nie leżę już w cholernym łóżku, tylko przemieściłam się poza jego krawędź i właśnie spadam na podłogę, w którą wkrótce wyrznęłam. Dlaczego śmiech z puszkii nie odzywa się nigdy, kiedy naprawdę go potrzeba? Co gorsza, na moim barku wylądował ciężki metalowy drąg; jeszcze jeden komediowy gag. Drąg miał służyć do

barykadowania frontowych drzwi, ale Beejay powiedziała, że woli trzymać go w łóżku, gdzie mogłaby go użyć przeciwko intruzowi, gdyby ten wdarł się już do mieszkania. Taką miała logikę myślenia.

Na szczęście, niczego nie zламаłam, chociaż boleśnie obtłukłam sobie lewą piszczel o metalową drabinę, po której wchodziło się na łóżko. Telefon przestał dzwonić po piątym sygnale, kiedy to włączała się u Beejay usługa automatycznej sekretarki, więc poturbowałam się na marne.

Która była godzina? Nie miałam pojęcia. Znowu odezwało się irytujące brzęczenie, dałam nura pod łóżko i odnalazłam telefon.

- Halo?

- Bonnie? - powiedział głos Lanny'ego.

Zaczęłam wymawiać: „Tak”, ale słowo nie chciało mi przejść przez gardło. Boże, jak nienawidziłam zaczynać dnia od potwierdzenia tego straszego kłamstwa, zwłaszcza przed wypiciem kawy. Do tamtej pory uważałam, że przynajmniej do pewnego stopnia przestrzegam etyki dziennikarskiej, w każdym razie bardziej niż dziennikarze muzyczni epoki, którzy nie odczuwali żadnych skrupułów przed częstowaniem się kokainą należąca do członków zespołu rockowego podczas robienia z nimi wywiadu w męskiej toalecie na imprezie promocyjnej ich nowej płyty.

- Bonnie, jesteś tam? - Przed nadejściem chwili, gdy będę mogła przyznać się Lanny'emu do oszustwa (jakkże tęskniłam do tej szczerzej rozmowy!), może udałoby mi się przynajmniej odpowiedzieć bez otwartego utwierdzenia albo pogarszania oślizgłego fałszu, który tak gładko puściłam w obieg podczas lotu. Od tej pory przysięgłam sobie uczynić, co w mojej mocy, by unikać głębszego zakłamania. Więc zamiast odpowiedzieć „tak” na jego „Bonnie?” po prostu odrzekłam:

- Lanny? To ty?

- Nie, to Frankie Valli i Four Seasons. Jak ci się podobał program? Program.

- Jaki program?

- Program „Today”. Nie oglądałaś, prawda? - Sprawiał wrażenie wstrząśniętego. - Nie oglądałaś. Kurczę, to straszne.

- Przepraszam - wyjąkałam. - Wypiłam wczoraj więcej niż zwykle... nie wiedziałam, że powinnam oglądać. Obraziliś się.

- Nie, nie rozumiesz. Nie obraziłem się, tylko przestraszyłem. Jak jesteś gwiazdą, żyjesz w lęku, zastanawiając się, czy to już koniec. Zaczynasz szukać oznak spadku popularności. Kręcisz do filmu scenę na ulicy Nowego Jorku i nie zbiera się tłum. Zjawiasz się w Lutèce bez rezerwacji, a maître d'hôtel daje najpierw stolik parze, która czekała przed tobą. Poznajesz w samolocie dziewczynę i mówisz jej, że następnego ranka wystąpisz

w „Today”, a potem dowiadujesz się, że nie obudziła się, żeby cię obejrzeć. To straszne. Wiesz, wspomniałem o tobie w telewizji. Podczas programu.

- Naprawdę?

- Tak, oświadczyłem ci się na antenie i w ogóle. Podejrzewam, że twoja kamienica jest teraz otoczona przez tłum fotoreporterów.

- Żartujesz.

- Jasne, że żartuję. Ale słuchaj, popraw mi trochę humor. Po tym, jak cię wczoraj w nocy opuściłem, zadzwoniłaś do kogoś, żeby powiedzieć, że mnie poznałaś, że odwiozłem cię do domu, wjechałem windą na piętro i odprowadziłem do samych drzwi, a potem pocałowaliśmy się i umówiliśmy, że spędzimy razem następny dzień?

- Tak, mojej najlepszej przyjaciółce.

- Okej, więc nie jest aż tak źle - powiedział, jakby kamień spadł mu z serca. - Tak à propos, kiedy zwierzyłaś się, że cię pocałowałem, powiedziała: „Lanny Morris, przecież to zgreď”, prawda?

Zawahałam się.

- Nie.

- Jasne, że tak. To o której chcesz zjeść lunch?

Zgodnie z prawdą powiedziałam, że o wpół do dwunastej mam w centrum spotkanie w sprawie pracy i nie jestem pewna, kiedy się skończy. Zaskoczyło go, że nauczycielka ma jakieś zajęcia w czasie wakacji, ale wyjaśniłam, że noszę się z myślą podjęcia innej pracy, czegoś w wydawnictwie, w charakterze autorki, redaktora albo korektorki, czegoś w tym rodzaju. Staralam się przybliżyć w ten sposób dzień, kiedy będę w stanie powiedzieć mu, że w rzeczywistości już pracuję w wydawnictwie i niedawno miałam okazję przeczytać spore fragmenty jego własnych wspomnień.

Westchnął.

- Okej, w takim razie spróbuję uciąć sobie poranną drzemkę: w nocy udało mi się przespać tylko parę godzin. Może po prostu wstąpisz do Plazy po tym spotkaniu? Apartament 2302. Pan Merwin, pamiętasz? Jeżeli będę jeszcze spał, Reuben ci otworzy. Pamiętasz Reubena. - Powiedziałam, że pamiętam. - Czy oprócz tego masz jeszcze dzisiaj jakieś zobowiązania, czy będę cię mógł wziąć na cały dzień?

Odparłam, że będzie mnie mógł wziąć na cały dzień, choć nie byłam pewna, co dokładnie to może znaczyć. Wmówiłam sobie, że tego oczekivaliby po mnie w Neumanie i Newberrym. Pożegnaliśmy się, jeśli nie zalotnie, to przynajmniej serdecznie, i sięgnęłam po papierosy, na które spoglądałam łączywie przez całą rozmowę.

Zawsze palę, kiedy czuję się zakłopotana, a teraz, obudzona i trzeźwa, bardzo potrzebowałam papierosa. Miałam oczywiście wszelkie powody, żeby się niepokoić, biorąc pod uwagę zasłonę kłamstw, wiszącą między

mną a Lannym niczym ażurowy parawan, który mógł się stać przezroczysty, gdyby tylko zmieniło się oświetlenie. Poza tym denerwowałam się trochę z powodu zbliżającego się spotkania w wydawnictwie. Ale zdawałam sobie sprawę, że niepokojąca rezerwa, którą czuję, promieniowała przede wszystkim z czegoś w rozdziale wspomnień, który Beejay na przemian streszczała mi i czytała zeszłej nocy. I nie wiedziałam, co to takiego.

Nie chodziło o zidentyfikowanie Dziewczyny z New Jersey jako niešťycznej Maureen O'Flaherty, ognisćie rudej dziewczyny z obsługi hotelowej w Miami, która w niewyřlumaczalny sposób znalazła się martwa w wannie dziewiczego apartamentu Vince'a i Lanny'ego w New Jersey. Juź wcześniej całkiem sporo się o niej dowiedziałam, przeprowadziwszy dziennikarskie śledztwo, dzięki któremu prawdopodobnie wiedziałam o Dziewczynie z New Jersey więcej niż ktokolwiek inny z wyjątkiem obu panów albo policjantów, którzy pierwotnie zajęli się sprawą.

Maureen była tak absurdalnie irlandzka, że samo przedstawienie jej pochodzenia musiałyby zabrzmieć jak początek dowcipu. Jej ojciec był irlandzkim barmanem, synem irlandzkiego gliniarza, którego brat był księdzem, natomiast matka była albo bratanicą, albo kuzynką samego wielkiego George'a M. Cohana. Tak jak Yankee Doodle Dandy Maureen mieszkała w New Rochelle (miasteczku w Westchester, które jest tylko „o czterdzieści pięć minut od Broadwayu”, jak mówi tytuł jednej z piosenek Cohana) i - tak, oczywiście, jej matka miała na imię Mary. Podobno Maureen była „dobrą” dziewczyną przez cały okres dorastania i mówiła, że chciałaby zostać nauczycielką angielskiego, może w szkółce parafialnej. Podczas ostatniego roku studiów na Hunter College wybrała się wiosną na tygodniowe wakacje do Miami. Tydzień przedłużył się do miesiąca, który zmienił się w parę lat, które z kolei zmieniły się w wieczność w wannie w Palisades Park w New Jersey.

Wszystko to juź wiedziałam, więc usłyszenie od Beejay relacji o znalezieniu zwłok nie mogło raczej stanowić przyczyny mojego niepokoju. Nie, chodziło o coś, co czaiło się w tekście albo bezpośrednio go dotyczyło, i właśnie to coś przyprawiało mnie o dreszcze, a ja nie miałam pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

W chwilach wewnętrznej paniki kojąco działa na mnie układanie list. Sam bezcelowy akt zapisywania informacji w numerowanych punktach z miejscem na krzyżyk na marginesie każdego wpisu potrafi tchnąć we mnie spokój i poczucie ładu na cały dzień.

Tak więc następną godzinę spędziłam na układaniu listy. W szufladzie biureczka Beejay znalazłam ryżę papieru najwyraźniej podprowadzonego ze szkoły podstawowej numer 29 na Orchard. Minęło wiele lat, odkąd widziałam kartki w niebieską linię z czerwonym marginesem z lewej strony,

takie same, jakie rozdawała nauczycielka od historii, kiedy na klasówce trzeba było odpowiedzieć na pytania problemowe. Niemal słyszałam w głowie jęki starych kolegów z klasy, gdy zapisywałam:

1. Głębokie zdziwienie, jakie pierwszy raz poczułam, gdy czytałam maszynopis Lanny'ego w kancelarii Hillmana, tylko się nasiliło. Dlaczego Lanny Morris przysłała mi fragmenty swoich wspomnień? Wyjaśnienie, którego udzielił jego prawnik, wydało mi się wtedy prawdopodobne: Lanny pragnął mnie zniechęcić do dalszej pracy nad książką, pokazując, że pisze własną, która z łatwością przebiję wszelkie moje wysiłki ze względu na swoją autentyczność. W porządku. Ale skoro już dał mi to jasno do zrozumienia, czemu wysłał kolejny rozdział?
2. Dlaczego Lanny, którego poznałam w samolocie i podczas jazdy do tego mieszkania, tak bardzo różni się od Lanny'ego z kart swoich wspomnień? Wprawdzie od opisywanych wydarzeń minęło prawie piętnaście lat, ale czy rzeczywiście mogę myśleć, że tekst powstał właśnie wtedy, na gorąco? Nie, bo znalazło się w nim kilka porównań do współczesności, które świadczą, że Lanny napisał go dość niedawno. Który Lanny jest tym prawdziwym?
3. Rzecz intrygująca: na podstawie nowego rozdziału wydaje się oczywiste, że coś we współpracy Lanny'ego i Vince'a uległo zmianie. Daje o sobie znać poczucie urazy i braku zaufania, ale trudno stwierdzić, która ze stron jest bardziej urażona.
4. Czy świętej pamięci Maureen O'Flaherty została zaproszona do New Jersey, aby poczekać tam na Vince'a i Lanny'ego, kiedy obaj brali udział w maratonie telewizyjnym na Florydzie, czy pojechała tam, bo zamierzała zrobić im niespodziankę...

Spojrzałam na należący do Beejay budzik w kształcie kota Feliksa i zdałam sobie sprawę, że nie będę miała czasu na wypicie bardzo dobrej kawy w barze Pantheon naprzeciwko siedziby wydawnictwa, jeśli natychmiast nie przygotuję się do wyjścia. Przecież i tak nie czułam się na siłach odpowiadać na pytania, które sobie właśnie postawiłam.

Wybrałam ten sam strój, który nosiłam podczas przechadzki z Vince'em po studiu Burbank. Był bardziej letni niż to, co zwykle wkładałam na spotkania związane z pracą, ale potem miałam się zobaczyć z Lannym.

W tamtych czasach biura wydawnictwa Neuman i Newberry mieściły się na trzech najwyższych piętrach Flatiron Building. Pojechałam tam taksówką, z punktu odrzuciwszy możliwość skorzystania z autobusu kursującego Trzydziestą Trzecią Ulicą: dzięki temu, co zaoszczędziłam,

mieszkając u Beejay zamiast w hotelu, mogłam sobie pozwolić na podobne drobne luksusy bez mrugnienia okiem.

Miałam się spotkać z trójką ludzi bezpośrednio nadzorujących moje przedsięwzięcie: Connie Wechsler, Gregiem Gavinem i główną redaktorką Neumana i Newberry'ego, Lil Walker. Możliwe, że w zebraniu weźmie też udział paru doradców prawnych wydawnictwa.

Connie była moją redaktorką prowadzącą. Była ode mnie o piętnaście lat starsza i piętnaście centymetrów niższa i miała ciemne, sztywne, naturalnie kręcone włosy. Stanowiła kwintesencję czupiradła i dobrze się z tym czuła. Znała moją pracę i rozumiała mnie, a nawet sprawiała wrażenie, że mnie lubi.

Lil Walker była osobą, przed którą Connie odpowiadała. Kiedy Lil rozmawiała o pisarzach, z którymi pracowała jako młoda redaktorka, odnosiło się wrażenie, że znaczną część męskich przedstawicieli straconego pokolenia można było zastać w każdy weekend w jej sypialni. Bez cienia sztucznej pozy mówiła o Hemingwayu per „Ernie”, a raz oświadczyła, że Steinbeck był na każde skinienie Gertrude Stein, takim tonem, że nie miałam wątpliwości, że słyszę informację z pierwszej ręki. Lil najwyraźniej nie znała mojej pracy zbyt dobrze, ale znała Connie i zdawała się od ruchowo stawać w jej obronie, ilekroć ta potrzebowała poparcia, więc czułam, że będę ją mieć po swojej stronie.

Greg Gavin stanowił anomalię, która (paradoksalnie) występuje w większości dużych firm: był tajemniczym człowiekiem, o którym wszyscy sądzili, że został zatrudniony przez kogoś innego. Najwyraźniej jego pojawienie się w Neumanie i Newberrym nie zostało nigdy oficjalnie podane do wiadomości ani wytłumaczone. Pierwszy raz zauważyłam go podczas zaimprovizowanej imprezy z okazji podpisania przeze mnie wstępnej umowy z wydawnictwem, kiedy to w recepcji piliśmy sangrię z papierowych kubeczków. Siedział samotnie na biurku recepcyjnym i zajmował się wachaniem pustej główki swojej fajki. Uśmiechnął się niewyraźnie do stojącej w drugim końcu sali Connie i lewą dłonią wymierzył fajce parę mocnych klapsów. Naturalnie spytałam Connie, kto to taki, bo sprawiał wrażenie, jakby miał całe biuro na własność, a przynajmniej wynajmował je z opcją wykupu.

Connie mruknęła:

- Nazywa się Greg Gavin. Wszyscy trochę się go boją, chociaż nikt nie wie dlaczego. Pewnego dnia pojawił się nagle na zebraniu rady redakcyjnej bardzo elegancko ubrany i z niezapaloną fajką w zębach. Pomyślałam, że pracuje z Harvem Prescottem, bo cały czas uśmiechał się do niego porozumiewawczo. Potem zapytałam o niego Harva, a Harv mi na to, że myślał, że Greg pracuje ze mną, bo cały czas uśmiechał się w moją stronę.



Stopniowo w Neumanie i Newberrym ukształtował się konsensus, że Gavin kieruje marketingiem specjalnym. Choć wciąż nikt nie był za bardzo pewien, co to takiego. Poprosił kierowników wszystkich sekretariatów, aby dostarczali mu kopie wszystkich międzywydziałowych notatek biurowych, i odtąd zdawał się po prostu wybierać zebrania, na których się pojawiał, na podstawie przesłanek, które zachowywał całkowicie dla siebie.

Winda we Flatiron wwozła mnie na odpowiednie piętro w czasie zbliżonym do tego, jaki zajęło wyniesienie Ryszarda III na tron Anglii. Otworzyły się drzwi. Nie było recepcjonistki, a ochrona w ogóle nie istniała. Ostatecznie było to wydawnictwo, a nie bank czy stacja radiowa. Przecież nikt nie włamie się i nie zażąda wydrukowania swojego manifestu w twardej oprawie do jesieni przyszłego roku, grożąc, że inaczej zaczniesz zabijać zakładników.

Ruszyłam w głąb staromodnego korytarza z umieszczonymi blisko siebie drzwiami o półprzezroczystych żółtawych szybach, na których widniały numery biur i nazwiska ich obecnych rezydentów. Prawie bym się nie zdziwiła, gdybym natknęła się wśród nich na napis: SAM SPADE I MILES ARCHER - PRYWATNE BIURO ŚLEDCZE.

Weszłam do gabinetu Connie, która zawsze zdawała się tam nie na miejscu, gdyż nie była ani wydrukowaną książką, ani maszynopisem, czyli jedynymi rzeczami w zasięgu wzroku oprócz niej samej. Biurko, którego blat dawno już zniknął pod zwałami piętrzących się tekstów do przeczytania, służyło teraz wyłącznie jako konstrukcja nośna, pod którą Connie mogła po usadowieniu się na krześle ułożyć nogi, nie zważając o żadną z wypełniających całą klitkę książek. Uśmiechnęła się.

- Hej, więc przyjechałaś. Jak ci leci?

Odpowiedziałam, że dobrze. Rzuciła gruby plik maszynopisu, który akurat czytała, na stertę innych.

- Ufff! Kolejna książka o spisku przeciw Kennedy'emu. Według tej wersji, tajemnicza trzecia kula została wystrzelona z samej limuzyny. Autor twierdzi, że zrobiła to Jackie. Użyła derringera ukrytego w toczku, który służył jako... jako toczek.

Skinęłam głową na stos, na który rzuciła maszynopis.

- Na makulaturę?

- Jaką znowu makulaturę? Posyłam ją od razu piętro niżej do działu publikacji w miękkiej oprawie. Musimy jakoś zarobić na książkę, którą piszesz. - Wstała i poprawiła sweter, aby rozmaite krągłości znalazły się tam, gdzie powinny. - Chodź, musimy wytłumaczyć działowi finansowemu, dlaczego powinniśmy dać Vince'owi Collinsowi, który śpi na forsie, jeszcze więcej forsy.

Najlepsza sala konferencyjna wydawnictwa powstała z połączenia kilku małych gabinetów i kanciapy na szczotki w wąskim dziobie budynku,

wobec czego miała kształt kawałka pizzy i zaokrąglone narożne okno. Ogólny efekt przypominał mostek kapitański statku przycumowanego wysoko nad rzeką Broadwayu i zwróconego na północ, w stronę Herald Square.

Lil się spóźniała, bo uważała, że może sobie na to pozwolić, za to Greg Gavin był już na miejscu, podobnie jak dyrektor działu finansowego, sympatyczny Bernard Besser, i znacznie młodszy prawnik z trądzikiem, Jay Drelitch. Po wymianie uprzejmości i grzecznej rozmowie na temat mojej podróży (przy której nie wspomniałam ani słowem o Lannym) usiedliśmy przy długim trójkątnym stole konferencyjnym, który wyglądałby śmiesznie wszędzie, tylko nie w tym trójkątnym pomieszczeniu. Greg, jakby to on prowadził zebranie, rozdał sześć cienkich broszurek, po jednej dla każdego przy stole. Zduśliłam w sobie chęć powiedzenia: *Suivi*, jak gdyby rozdawał karty do bakarata, i zerknęłam na pierwszą stronę.

Nagłówek głosił: „Sugerowane pytania do Vince'a Collinsa”. Już na pierwszy rzut oka było widać, że pytania pod względem liczebności z łatwością przewyższają te, które zapisałam na swojej liście w mieszkaniu Beejay.

Zamknęłam broszurę, czując wzrastający gniew.

Bernard, dość miły facet pod sześćdziesiątkę, dla którego jasnoszary garnitur i kremowy krawat stanowiły wersję niezobowiązującego ubioru sportowego, poprosił, abym przedstawiła obecnym warunki, które ustnie uzgodniłam z Vince'em. Oczywiście chciał się dowiedzieć, z czym przyjdzie mu się borykać (i co będzie musiał odrzucić), aby przekuć moje propozycje w wiążący prawnie dokument.

Powtórzyłam Bernardowi i Jayowi to, co powiedziałam im już wcześniej przez telefon. Przemilczałam wysoce osobiste porozumienie, które zawarłam z Vince'em Collinsem w Los Angeles, bo uważałam naszą seksualną przygodę raczej za prywatny zakład na boku niż oficjalną deklarację. Z pewną pomocą Connie wyjaśniłam, co zagwarantowałam i czego nie przesądziłam, i spostrzegłam, że Bernard z zaskoczeniem i jednocześnie ulgą stwierdził, że nie postawiłam go w trudniejszej sytuacji. Z całą pewnością włączyłam do oferty rozmaite zabezpieczenia dla Neumana i Newberry'ego na wypadek, gdyby Vince okazał się mniej skłonny do udzielania informacji albo zbyt zajęty, żeby się ze mną spotykać.

Bernard powiedział, że jest wdzięczny, że zadbałam o interesy Neumana i Newberry'ego, ale oczywiście zadbałam także o siebie. Zakończył konkluzją:

- Cóż, myślę, że Jay i ja możemy zrobić z tego coś, co by przypominało umowę, z którą w razie czego można się pokazać w sądzie. Nie rozumiem

tylko, dlaczego pan Collins jest skłonny pozwolić na coś, co może doprowadzić do jego zdemaskowania.

- Długo się nad tym zastanawiałam - przyznałam. - Vince jest realistą. Dni jego filmowej kariery zbliżają się do końca, a jego wytwórnia muzyczna właśnie pozbyła się ze swojej stajni wszystkich powyżej trzydziestego roku życia oprócz niego i Mahalii Jackson, a jej nie zwolnili tylko z obawy, że Bóg sprowadzi szarańczę do ich tłoczni płytowej. Dla Vince'a to łatwy sposób szybkiego zdobycia forsy „na odpierdol”, na której stratę może sobie pozwolić. - Przepraszającym tonem dodałam: - To wyrażenie nie jest moje. Zdaje się, że przypisuje się je Humphreyowi Bogartowi.

Rozbrzmiał niski, spiszowy kobiecy głos:

- Przepraszam za spóźnienie. - Lil weszła do sali o lasce, którą z wyraźną przyjemnością trzasnęła na blat stołu, gdy zajęła miejsce naprzeciwko mnie. - Witam, panno O'Connor. Bernardzie. - Popatrzyła na Grega Gavina i kiwnęła głową, jasno dając mu do zrozumienia, że nie pamięta jego nazwiska.

Greg mylnie wziął ten gest za znak udzielenia głosu.

- Cóż, jako że inwestujemy w pana Collinsa całkiem sporą sumę, a panna O'Connor dała do zrozumienia, że książka będzie miała formę wywiadu-rzeki, sporządziłem listę pytań, które my jako wydawcy z pewnością chcielibyśmy ujrzeć w druku. Zacznijmy od strony numer jeden...

Ręce zadrżały mi z gniewu i wstydu, że muszę utwierdzać swoją pozycję, gdy powiedziałam:

- Hm, wolałabym, żebyśmy nie zaczęli od strony numer jeden, jeśli łaska. Szczerze mówiąc, wolałabym w ogóle tych pytań nie czytać. Gdy tylko je zobaczę, będę unikała ich zadania jak ognia. Boże uchoć, by wśród nich znalazły się pytania, które i tak bym zadała własnymi słowami, we własny sposób i w chwili, jaką uznałabym za stosowną. To część pracy, za którą mi płacicie. - Ostentacyjnie odsunęłam broszurę na bok. - I tak ograniczyłam sobie pole manewru, kiedy zaproponowałam, że wydamy książkę w formie zapisu rozmowy. Mam nadzieję i zakładam, że uda mi się to jakoś obejść, na przykład za pomocą przedmowy do każdego z rozdziałów, gdzie wypowiem się jako biografistka i dziennikarka, czyli jako narrator reportażu. Tak jak „Playboy” opatruje wywiady komentarzem redakcyjnym na prawie całą stronę.

Greg Gavin pociągnął z pustej fajki, wydając głośnie świsty.

- Nie płacimy miliona dolarów za to, co pani ma do powiedzenia o Vinsie Collinsie, tylko za to, co on ma do powiedzenia.

- Mnie. Co ma do powiedzenia mnie. Jeśli zaczniecie mi rozkazywać, o co mam zapytać i kiedy, wytrąćcie mnie z gry. Wkrótce będę miała tyle

wspólnego z pisaniem tej książki, ile francuski tłumacz w ONZ ma z rozwiązywaniem problemu głodu na świecie. - Wzięłam oddech. - A poza tym kim pan w ogóle jest?

- Już dobrze - szepnęła do mnie Connie.

- Nie ma co się poddawać negatywnym wibracjom - powiedział Greg, zdradzając się, że znał ludzi, którzy jarali trawę w latach sześćdziesiątych.

Lil zastukała główką łaski o stół.

- Dość tego. - Wskazała na broszurę przed sobą. - Connie, czy to twoje pytania?

Connie pokręciła głową.

- Po raz pierwszy widzę je na oczy.

Lil posłała Gregowi uśmiech łączący niezwykle rozsądek z głęboką pogardą.

- Cóż, zawsze uważałam, że polityka tej firmy zakłada, że w czasie, gdy książka jest pisana albo poprawiana, relację między autorem i redaktorem traktuje się jako świętość. Panna O'Connor jest cudowną pisarką... - Lil spojrzała na Connie i spytała: - Jest niezła, prawda? - Connie kiwnęła z uśmiechem głową i Lil podjęła: - Tak więc dopóki nie będziemy mieli książki rzeczywiście w rękę, myślę, że powinniśmy pozwoić panie Wechsler, do której mam pełne zaufanie... mam, Connie, prawda? - Connie znowu kiwnęła głową. - Dobrze. Niech więc obie panie robią to, za co im płacimy, jeżeli oczywiście dział finansowy nie ma zastrzeżeń co do konstrukcji umowy z Vince'em Collinsem... Czy mają panowie coś przeciwko tej umowie, Bernardzie i panie...? - Spojrzała na Bernarda Bessera i przyszczonego Jaya Drelitcha.

Bernard pokiwał głową.

- Myślę, że wszystko jest w porządku, Lil.

- Z całym szacunkiem - wtrącił się Greg bez najmniejszego szacunku - to nie jest typowa umowa na książkę. W rzeczywistości dzierżawimy tylko złożę ropy, nazywające się Vince Collins, i dajemy panie O'Connor prawo wykorzystania zasobów, dlatego myślę, że powinniśmy być uprawnieni do monitorowania odwiertu. - Otworzył swoją broszurę z pytaniami.

Nikt inny nie sięgnął po swój egzemplarz.

Najwyraźniej Connie uznała, że będzie lepiej, jeśli zabierze głos, zanim ja to zrobię:

- To nie takie proste, jak się wydaje, Greg. Gdybyś poszedł do Vince'a Collinsa i zadał mu swoje pytania, wróciłbyś ze trzystustronicowym panegirykiem, który nadawałby się tylko do rozdawania dziennikarzom na konferencjach prasowych. Trzeba posiadać sztukę długotrwałego budowania zaufania z rozmówcą, a także wiedzieć, kiedy tę osobę przycisnąć i na

jaki temat. Musisz wiedzieć o tej osobie więcej niż ona sama, musisz być historykiem, psychoterapeutą, kochankiem, księdzem spowiednikiem i matką przelożoną. Kiedy policjanci starają się skłonić kogoś do przyznania się do winy, nie posyłają do pokoju przesłuchań pierwszego gliniarza z brzegu. Ta robota wymaga czegoś więcej niż tylko porządnego warsztatu pisarskiego... Wstałam.

- Oto co zrobię. Możecie to mieć na piśmie. - Spojrzałam na Bernarda. - Właściwie wolałabym to na piśmie, więc jeśli dodacie odpowiednią klauzulę do mojej obecnej umowy, to podpiszę ją, zanim wyjadę z miasta. - Bernard zerknął porozumiewawczo na Jaya Drelitcha i nagle bic Jaya zaczął zapisywać w prawniczym notatniku wszystko, co mówiłam.

- Greg, zapłacę maszynistce na Zachodnim Wybrzeżu, żeby spisała zawartość taśm z moimi rozmowami z Vince'em. Każdą partię przepisanego tekstu wyślę do ciebie po zredagowaniu i skrótach, które uznam za stosowne. Dzięki temu będziesz mógł przeglądać moją pracę na bieżąco. Ale nie będę rozmawiała z tobą na temat maszynopisu, czytała żadnych twoich poleceń ani odbierała telefonów z twoimi radami. Jeśli po przeczytaniu maszynopisu uznasz, że rzeczywiście spartaczyłam robotę, będziesz mógł mnie wywalić. Nie będzie potrzeba żadnych wyjaśnień. Jednak - oprócz prawa do zerwania współpracy - nie będziesz mógł się ze mną w żaden sposób komunikować. Taka będzie umowa. Ale pamiętaj: jeśli mnie zwolnisz, firma będzie musiała znaleźć kogoś, przed kim Vince Collins zechce się otworzyć tak jak przede mną, i życzę wam z tym szczęścia.

Co ja, do licha, wyprawiałam? Brać się za łby z Gregiem Gavinem? Nigdy nawet nie przyśniłoby mi się coś podobnego, gdyby nie radość z mojej kielkującej znajomości (i umowy) z Vince'em oraz pączkującego związku z jego dawnym kumplem. Czułam, że łączę mnie z tymi dwoma coś, czego nikt z obecnych nie mógł znać ani zrozumieć. No, może z wyjątkiem Lil. O tak, Lil i ja mogłybyśmy sobie uciąć niezłą pogawędkę któregoś wieczoru w barze Old Town - ona o Erniem i Gercie, ja o Vinnym i Lannym. Na razie jednak mój triumfalizm (ulotny i złudny) opierał się wyłącznie na chwili spędzonej przed przyczepą Vince'a i umówieniu się na spotkanie z Lannym Morrisem.

Poczułam się niczym erekcja mojego chłopaka z liceum, kiedy to niewinnie zapytałam go: „Nie robi się już większy?”. Zaczęłam się wyraźnie kurczyć z każdym uderzeniem serca, lecz na szczęście mój bluff wcześniej zrobił podobne wrażenie na Gregu.

- Nie ma potrzeby spisywać nowej umowy - mruknął ponuro, zamykając swoją broszurę. - Jestem pewien, że pani słowo w zupełności nam wszystkim wystarczy.

Trzej mężczyźni opuścili nas, jakby szli na brandy i cygara do sali bilardowej, abyśmy my, trzy kobiety, mogły teraz swobodnie porozmawiać o rodzeniu dzieci i szydełkowaniu.

Po stosownej chwili milczenia, aby mieli czas oddalić się w głąb korytarza, Lil zapytała Connie modulowanym tonem:

- Kim on, do diabła, jest?

Connie wzruszyła ramionami i popatrzyła na mnie.

- Zadrżałam w duchu, kiedy wprost go o to zapytałas. Nikt wcześniej tego nie zrobił. - Zrobiła melancholijną minę. - Ale wciąż nie wiemy.

Kiedy z pomocą Connie Lil podniosła się z krzesła i sięgnęła po laskę, poradziła mi:

- Słuchaj, pomijając... jakże on się nazywa, Gavin?... pomijając fakt, że to najwyraźniej skończony idiota, jest coś, co chyba powinnam ci powiedzieć. Istnieją szczególne obawy w wypadku książek, za które płaci się dużą sumę pieniędzy w nadziei na sprzedanie dużej liczby egzemplarzy. Musisz postarać się znaleźć coś, co gazety same z siebie podchwycą jako temat. Nie do rubryki towarzyskiej, działu recenzji czy dodatku kulturalnego. Coś, co będzie można puścić na pierwszą stronę, jako news. Powołując się na książkę. Powołując się na twoje słowa. Taka reklama jest po prostu bezcenna.

Oparła się o laskę i położyła prawą rękę na moim ramieniu.

- Stanowisko, jakie sama w tym wszystkim zajmiesz, wymaga rozwagi i zastanowienia. Zakładam, że Connie ci w tym pomoże. Nie możesz lekceważyć zainteresowania czytelników panem Collinsem ani przeceniać ich zainteresowania tobą. Ale z drugiej strony, reprezentujesz czytelnika, który ma szansę znaleźć się w towarzystwie sławnej osoby właśnie dzięki tobie. Więc chociaż to wbrew wszystkim moim kryteriom dobrego reportażu, mówię ci, że w tym wypadku będzie dopuszczalne, wręcz wskazane, jeśli delikatnie zaznaczysz swoją obecność: choćby tylko jako odrobina gałki muszkatołowej, pływającej w wazie solidnie zaprawionego alkoholem ajerkoniaku. - Spojrzała na Connie. - Tak, myślę, że w tym wypadku będzie w porządku. - Connie kiwnęła głową, a Lil przeniosła wzrok z powrotem na mnie i udzieliła mi ostatecznej dyspensy: - Możesz umieścić w tej historii samą siebie.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością i naprawdę ją szanowałam, ale szczerze mówiąc, nie bardzo słuchałam, co mówiła. Przez ostatnie pięć minut znacznie bardziej przejmowałam się tym, czy pojechać taksówką na Szóstą Aleję, czy na Madison do hotelu Plaza, gdzie miałam spotkanie z byłym partnerem Vince'a Collinsa, Lannym Morrisem, który najwyraźniej zamierzał mnie mieć na cały dzień.

Weszłam po stopniach głównych schodów hotelu Plaza przy Piątej Alei 750. (Tak, Plaza ma numer domu jak każdy inny budynek). Nade mną flagi zagranicznych państw, których dygnitarze akurat mieszkali tego dnia w hotelu, wisiały bez ruchu w skwarnym powietrzu między chorągwiami Starej Chwały (Betsy Ross, 1775) i Starych Pieniędzy (hotel Plaza, 1909).

Nigdy nie myślałam o pomieszczeniu tuż za wejściem od Piątej Alei jako o holu. Nie można było zwyczajnie siedzieć tam i czytać gazety. Był to po prostu największy i najbardziej elegancko wyściełany dywanami westybul w centrum miasta. Dokładnie jedno piętro wyżej, po prawej, mieściły się salony fryzjerskie i kosmetyczne. Raz zrobiono mi tam pedikiur, za co zapłacił w ramach prezentu piosenkarz rockowy, z którym przeprowadziłam wcześniej wywiad. Później poprosił o pozwolenie obejrzenia rezultatów i dopiero gdy poczułam jego język wślizgujący się między palce, zdałam sobie sprawę, że oczekiwał czegoś w zamian.

Po lewej znajdowało się wejście do El Morocco, który niedawno zamknięto na czas, gdy kierownictwo dyskutowało, czy przerobić nocny klub na dyskotekę, czy też wynająć go pod sklep z odzieżą. Pode mną, jak wiedziałam z poprzednich doświadczeń, były tajemnicze, lecz pełne uroku krużganki podziemnej sali balowej z posadzką z różowego marmuru i kremowymi arkadami, niby miniaturowa katedra ku czci bożyszcz śmietanki towarzyskiej.

Przestąpiłam próg i wszłam na Działziniec Palmowy, który uważałam za rzeczywisty hol Plazy, a następnie minęłam szatnię w drodze do Sali Edwardiańskiej, teraz przechrzczonej na Zielony Tulipan. Kierownictwo liczyło, że jakimś sposobem zatrze granicę między wystrojem w stylu art nouveau a nouvelle cuisine za pomocą swego rodzaju hipisowsko ziołowego luzu, jakby Oscar Wilde chodził po Londynie z lilią w dłoni, ponieważ

później zamierzał ją wypalić. Ogólny efekt przypominał Boba Hope'a, który zapuścił długie bokobrody, żeby wzbudzić sympatię ruchu młodzieżowego.

Dotarłam do niedużej recepcji hotelu i rzędu ręcznie obsługiwanych wind, z których jedna otworzyła się właśnie, żeby przyjąć pasażerów. Wsiadłam do środka.

- Na dwudzieste trzecie poproszę - powiedziałam półgłosem.
- Do kogo pani? - mało uprzejmie spytał tępo wyglądający windziarz.
- Do Merwina.

- Moment. - Windziarz matoł wychylił się za drzwi i skinął na faceta w granatowym garniturze stojącego obok kontuaru recepcyjnego. - Bob? Jakaś kobieta chce się zobaczyć z Merwinem.

Bob podszedł do windy. Mógłby być długo urzędującym prezesem jakiejś izby handlowej ze Środkowego Zachodu. Przez okulary w stalowej oprawie zlustrował mnie wzrokiem i kiwnął głową do matoła.

- Jest w porządku.

Zastanawiałam się, czy bycie „w porządku” znaczy, że Lanny opisał mnie pracownikowi recepcji i pasowałam do rysopisu, czy też po prostu Bob znał gust Lanny'ego, jeśli chodzi o kobiety, a ja spełniłam kryteria. A może po prostu chciał się upewnić, że nie wyglądam na zbyt ordynarną prostytutkę, czyli jestem biała, odpowiednio ubrana i krążąc po hotelu, mogłabym uchodzić za nauczycielkę szkolną. Najwyraźniej od wczoraj udawanie nauczycielki szło mi całkiem dobrze.

Szybko wjechaliśmy na dwudzieste trzecie piętro. Matoł zatrzymał windę niefrasobliwym podwójnym ściśnięciem ręcznego hamulca i poczułam mdłości, gdy żołądek podskoczył do góry i po sekundzie zsunął się na swoje miejsce. Było to nieprzyjemne doznanie, osiągalne tylko za pomocą niewprawnych rąk ludzkich, którego nie czułam, odkąd operatorów wind zastąpiła automatyka. Matoł pokazał palcem w głąb korytarza.

- Na końcu korytarza, troje drzwi po, eee...

- Alkowie?

- Tak. Środkowe drzwi prowadzą do salonu. Powiedz mu, że Mickey go pozdrawia.

Ruszyłam w głąb korytarza, czekając, aż usłyszę szcęk zamykanej windy, ale nie czekałam się. Nie chciałam sobie schlebiać, Mickey jednak bez wątplenia postanowił oblukać mnie od tyłu. Staralam się iść krokiem jak najbardziej zbliżonym do marszu wojskowego, żeby zminimalizować ruchy pośladków i dać mu jak najmniej przyjemności.

Wystrój korytarza nie był taki znowu piękny, jeśli wziąć pod uwagę reputację hotelu. Jedna z największych sieci hotelowych, która kupiła Plażę,



z ogromną przyjemnością nazwała ją swoim okrętem flagowym, lecz poza zmianą nagłówków w oficjalnej papeterii nie chciała zrobić w tym kierunku zbyt wiele. Wszędzie ochlapano tylko ściany białą farbą, ale był to rodzaj spartaczonego i niezdarnego malowania, po którym ramy okien przykleiły się do framug, a szafy trudno się otwierały.

Przy głównych drzwiach do apartamentu Lanny'ego był dzwonek. Wyciągnęłam do niego rękę, lecz zawahałam się, uświadamiając sobie, że powinnam zebrać myśli.

Nazywam się Bonnie Trout. Jestem nauczycielką w szkole podstawowej, chociaż postaramy się już o tym nie rozmawiać. Wkrótce zacznie się nowy rok szkolny. Właśnie wracam ze spotkania w sprawie pracy w... cóż, gdybym musiała wymienić jakąś firmę, wystarczy Neuman i Newberry. Nawet gdyby Lanny to sprawdził, rozpytywałby o dziewczynę nazywającą się Bonnie Trout, prawda? Mogłam się była spotkać z jedną z setki pracujących tam osób.

Musiałam także pamiętać, że nie czytałam tego, co przeczytałam w biurze Hillmana. Że nie miałam żadnego szczególnego wglądu w osobowość Lanny'ego, że wszystko, co o nim wiem, ogranicza się do tego, co spotkało mnie w samolocie i w mieszkaniu Beejay - to znaczy: „moim mieszkaniu”. Że Vince Collins jest mi zupełnie obcy. Że nie byłam szczególną fanką duetu. I nie wiedziałam nic o Dziewczynie z New Jersey: ani kim była, ani co łączyło ją z obu mężczyznami, ani nic innego, o czym wspominał drugi rozdział pamiętnika, który Lanny mi wysłał.

Ale dlaczego mi go wysłał?

Z drugiej strony, nie wysłał go mnie. Wysłał go dziennikarce nazwiskiem O'Connor, która mieszka w Los Angeles. Nie miał pojęcia, że jestem...

Czyżby wiedział, kim jestem?

Wcześniej przekonująco tłumaczyłam, dlaczego nie było wcale takie dziwne, że sławny człowiek i zwykła osoba, oboje lecący pierwszą klasą do Nowego Jorku, mogli znaleźć się na miejscach obok siebie.

Ale czy trudno było sobie wyobrazić, żeby ktoś taki jak Lanny Morris wynajął jakiegoś bystrego młodego człowieka z magisterium z kryminologii i bezpieczeństwa osobistego do sprawdzenia, który lot zabukowałam, i wykupił trzy miejsca obok mnie? Czy Lanny podrywacz rzeczywiście interesował się pozornie podatną na jego urok Bonnie Trout, czy też raczej...

Drzwi się otworzyły, mimo że nie nacisnęłam dzwonek.

Po drugiej stronie stał Reuben z koszem na śmieci w ręku. Jego złociста cera zdawała się jeszcze bardziej nasycona kolorem, kontrastując z białą kurtką pokojowca, którą miał na sobie, najwyraźniej nieświadom jej

konotacji typu „przynieś, wynieś, pozamiataj”. Nie wyobrażałam sobie, aby Lanny mógł go zmusić do noszenia czegoś takiego. Był to raczej strój, w którym Reuben czuł się najlepiej i najodpowiedniej. Wyglądał zresztą dosyć szykownie, granica między kurtką młodszego kelnera a koszulą Nehru była w tamtych czasach cieńsza niż Gandhi.

Reuben zdawał się zmieszany.

- Przepraszam, nie słyszałem pani dzwonka - powiedział, natychmiast odstawiając kosz. - Proszę wejść. - Miał naprawdę ciepły głos. Zgnębiony, że zaniedbał swoje obowiązki, gestem ręki zaprosił mnie do środka.

- Nie dzwoniłam - pocieszyłam go. - Akurat komponowałam myśli, jak zwykł mawiać Mozart. - Mój dowcip nie zrobił na nim żadnego wrażenia, jak często na moje dowcipy reagowali Ziemianie. - W końcu nie co dzień człowiek spotyka się ze słynnym Lannym Morrisem. - Wstyd, że wdzięczę się jak licealistka, wkrótce ustąpił znacznie większemu wstydu, gdy zdałam sobie sprawę, że ten komentarz mógł usłyszeć sam Lanny Morris, który siedział na kanapie na prawo i prowadził ożywioną rozmowę telefoniczną.

- Okej, ale jeśli to zrobię, w przyszłym sezonie musicie zorganizować Dzień Klubu Lanny'ego - postawił warunek i zamachał do mnie uroczo. - Dla wszystkich członków mojego klubu. - Klub Lanny'ego był budzącą groźną organizacją dziecięcych ofiar poparzeń, które stały się głównym obiektem charytatywnych akcji Lanny'ego po nieodżałowanym polio. Nazwa „Klub Lanny'ego” wciąż wywołuje u mnie dreszcze. Uwierzcie mi, ostatnią rzeczą, jakiej byście w życiu zapragnęli, jest spotkanie z Klubem Lanny'ego, chyba że gustujecie w usuwaniu martwej skóry z własnego ciała. - I nie chodzi mi bynajmniej o usadzenie członków mojego klubu na głównej trybunie... tylko w łóżko. Tak, nie przesłyszałaś się. W cieniu, pod balkonem dla dziennikarzy. Okej, umowa stoi. Będę przy wejściu dla zawodników o trzeciej. - Odłożył słuchawkę i zlustrował mnie wzrokiem. - Mam nadzieję, że lubisz bejsbol. Mets potrzebują kogoś sławnego, kto zaśpiewa hymn narodowy dziś po południu. Miała to zrobić Vikki Carr, ale spóźniła się na samolot w Denver.

- Więc ty zaśpiewasz?

- Tak, to nic wielkiego. Zgodziłem się w zamian za osiemdziesiąt miejsc siedzących na meczu z nową drużyną. Wskoczmy na chińszczyznę czy może jadłaś już lunch?

Powiedziałam, że nie jadłam. Lanny zwrócił się do Reubena:

- Słuchaj, nie dostaniemy się do Chinatown na czterech kółkach wystarczająco szybko... pojedziemy metrem. Zadzwoń do Dev-El, niech wyśle na miejsce tego Mike'a, jak mu tam. - Lanny odwrócił się przędko do

mnie i zapytał: - Nie masz nic przeciwko niemu, prawda? - Jak gdyby takie sprawy w ogóle zależały od mojej zgody.

Kiedy to wszystko mówił, zrobił coś, z czym nigdy wcześniej osobiście się nie zetknęłam. Włożył maskujące przebranie tak naturalnie, jakby wkładał blezer i krawat. Sięgnął do walizki na kapelusze, leżącej obok kanapy, i włożył blond perukę, podobną do fryzury nieżyjącego Briana Jonesa z Rolling Stonesów. Do tego dodał parę lennonek z przyciemnionymi szklami. Na moich oczach zdjął koszulę (miał znacznie lepszy i mniej owłosiony tors, niż sobie wyobrażałam), wdział jedwabną koszulę z ręcznie malowanym pejzażem z Dzikiego Zachodu, a na nią narzucił jasnoniebieską sportową marynarkę ze złotą lamówką. Naszyjnik z paciorków dopełnił stroju, który był w tamtych latach całkiem na fali, choć w każdej innej epoce zostałyby bezlitośnie wyśmiany.

Winda dla służby zjechaliśmy do pomieszczeń kuchennych, a potem po znanych Lanny'emu schodach doszliśmy do drzwi dla obsługi i wyszliśmy na Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę. Wkrótce starałam się, jak mogłam, żeby nadążyć za Lannym, który pochylił głowę, ale rycersko wziął mnie za rękę, gdy ruszyliśmy w dół po schodach na stację linii Lexington Avenue. O dziwo, miał w kieszeni platynową kasetkę na żetony (prawdopodobnie wartą trzysta albo czterysta razy więcej niż zawartość). Wrzucił żeton do otworu przy bramce i jako džentelmen przepuścił mnie przodem. W tym momencie ze zgrzytem nadjechał pociąg numer 6. Zatrzymał się na peronie, a drzwi rozsunęły się z hydraulicznym prychnięciem.

Nie znaleźliśmy dwóch wolnych miejsc siedzących obok siebie, więc stanęliśmy przy drzwiach, trzymając się drążka. Dłoń moja, ręka Lanny'ego i jakiegoś mężczyzny, który nas nie znał, zdawały się spoczywać jedna na drugiej, jakbyśmy składali jakąś przysięgę. Lanny oczywiście nie chciał się odzywać w obawie, że zostanie rozpoznany, więc zajęłam się czytaniem reklam umieszczonych w wagonie. Kanał 11 powtarzał właśnie Perry'ego Masona w każdy weekendowy wieczór. Kobiety ostrzegano po hiszpańsku, żeby nie robiły pewnych rzeczy, jeśli są w ciąży. Najwyraźniej zakładano, że kobiety, które mówią po angielsku, już wiedzą, że nie powinny tego robić. Anbesol polecano na usmierzenie bólu w postaci tych czerwonych zygakowatych błyskawic, które tak często przecinają powietrze w pobliżu twoich policzków, ilekroć masz zbolałą minę. Obok gorąco namawiano, żebyśmy nie przechodzili z wagonu do wagonu, gdy pociąg jest w ruchu, i żebyśmy nie pluli na perony i w pociągu. Oczywiście właśnie miałam splunąć na podłogę przed okrytym peruką Lannym Morrisem, lecz jakimś sposobem udało mi się stłumić ten impuls.

Do tego czasu stacja Canal Street zdążyła wtoczyć się i zatrzymać przy naszym wagonie. Wysiedliśmy z kolejki i ruszyliśmy po schodach na górę.

Były to jeszcze czasy, zanim Chińska Dzielnica zapelniła się Azjatami. Jasne, nie brakowało grzecznych Chińczyków i Chinek ustawionych za szklanymi kontuarami obok kas chińskich restauracji, oddzielonych od klientów miską z miętówkami albo szklanką z wykałaczkami, lub chińskich sklepików, gdzie sprzedawano tak zabawne rzeczy, jak chińskie gazety albo chińskie pisemka erotyczne z ładniutkimi Chincezkami o płaskich tyłeczkach, ubranych w pastelowe bikini, na okładkach.

Ale było to wciąż w dużej mierze miejsce, gdzie biali chodzili na śmiesznie tanie chińskie jedzenie, serwowane przez uwijających się, nerwowych kelnerów. Oczywiście na ulicy widywało się od czasu do czasu starszego Chińczyka w szarym garniturze i brązowym kapeluszu, idącego do fryzjera, ale przede wszystkim dzielnica, podobnie jak Jamaica, zdawała się istnieć raczej dla uciechy białych. „O, patrz, chińska smażalnia hamburgerów!” - słyszało się. Czyż te budki telefoniczne w kształcie pagody nie były urocze?

Lanny odezwał się do mnie po raz pierwszy, odkąd wsiedliśmy do metra:

- Spróbowałaś kiedyś kuchni seszuańskiej? Myślałam, że kichnął. W każdym razie tak to zabrzmiało.

- Słucham? - spytałam.

- Kuchni seszuańskiej. Jest niesamowita. - Nie miałam bladego pojęcia, o czym mówi, ale sprawiał wrażenie wyraźnie zadowolonego z rozległości swojej wiedzy. - Szesuan to takie miejsce w Chinach.

- Och. Jak w sztuce Brechta. „Dobry człowiek z Seczuanu”. - Wy-mówiłam to słowo z wyraźną głóską „cz”, tak jak uczył profesor literatury, który osobiście zapoznał mnie również ze słowem „frenezja”.

Lanny zmarszczył brwi.

- Myślałem, że Brecht był Niemcem.

- Dobrym Niemcem - zaznaczyłam.

Skręciliśmy za róg w ulicę Doyers, która zakrzywiła się, znikając nam z widoku.

- To moja ulubiona ulica na Manhattanie - zwierzył mi się. - Wiesz dlaczego? Bo wygląda jak dekoracja filmowa.

Rzeczywiście, ale zauważyłam, że jeśli nie liczyć chińskich neonów i witryn sklepowych, w których wystawiano poskręcane korzenie roślin leczniczych i powyginane pieczone prosiaki, trudno mi powiedzieć, skąd się to bierze.

Lanny chętnie mnie oświecił:

- Wszystkie zdjęcia planu ogólnego w filmach hollywoodzkich, które kręci się na tle makiet Nowego Jorku, ukazują albo zbieg ulic w kształcie

literę T, albo ulicę, która biegnie po łuku. Jest tak dlatego, że gdybyś chciała pokazać prawdziwe skrzyżowanie, musiałabyś mieć w tle rzędy kamienic aż po sam horyzont. Więc kiedy dorastałem, mój prawdziwy Manhattan, to znaczy ten z filmów, był pełen skrzyżowań w kształcie litery T, gdzie auta gangsterów nadjeżdżały z piskiem zza rogu... albo zakręcających uliczek, gdzie jakiś facet stał przy latarni, rzucając długi, wygięty cień na mokry asfalt.

Wbiegł po trzech schodkach do mało obiecującej kantyny o nazwie Ogród Seczuański. Jej wystrój był skrzyżowaniem mojej szkolnej stołówki i agencji turystycznej, oferującej rejsy wycieczkowe do Mandalay.

Lanny ściągnął perukę i powitał oczywistego właściciela, który stał przy ladzie w koszuli z krótkim rękawem i długich spodniach i dłużył zębami.

- Och, pał Morris! - wykrzyknął restaurator, przybierając akcent, żargon i radosny wyraz twarzy, które, jak podejrzewałam, wykorzystywał tylko dlatego, że oczekiwali tego biali klienci. - Mię tak radośnie pana widzieć. Zawiesić pański fotka na szciana, pan widzi? To robić „Wspaniała Szczana”! - Z pewnością nie pierwszy raz mówił coś podobnego. Wskazał ręką zdjęcie Lanny'ego zawieszony nad kasą i podpisane: „Dziękuję, Lee, za OSTRĄ wyżerkę w Chińskiej Dzielnicy!”.

Lanny pokiwał głową, przedstawił mnie i półgłosem zamówił jedzenie, po czym pan Lee zaprowadził nas do dużego stołu w głębi sali i oddalił się pośpiesznie do kuchni.

Lanny wyjaśnił, że musi oszczędzać głos na „Gwiazdzisty sztandar” (określił go jako najgorszego walca, którego kiedykolwiek skomponowano), i z góry przeprosił, że obarczy mnie głównym ciężarem prowadzenia rozmowy. Oczywiście z radością mogłam mówić o wszystkim pod słońcem, byle nie o sobie, ponieważ ten temat doszczętnie już zaprzepściłam. Zaowocowało to dziwnie abstrakcyjnym i ezoterycznym monologiem z mojej strony, przerywanym przez Lanny'ego tu i ówdzie pytaniem: „Naprawdę?”. Nowi kochankowie rozmawiają wyłącznie o sobie. (To jeden z największych uroków nowej miłości). Lecz nikt, kto służyłby naszej rozmowy, nie wzięłyby nas za kochanków, zresztą słusznie.

Słyszałam, że u podstaw chińskiego stylu gotowania, czyli szybkiego smażenia drobno posiekanych składników na ostrym ogniu w woku, leżał brak materiałów opałowych w Chinach. Trzeba maksymalnie wykorzystać ogień, kiedy się go ma. Prawdziwość tego przypuszczenia (a także pierwszeństwo, jakim cieszył się Lanny jako klient) potwierdziła się, gdy w ciągu paru minut przyniesiono nam zamówione dania, ułożone nie na srebrnych półmiskach, przykrytych kloszem, lecz na płytkich owalnych talerzach.

A zawierały one coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam w chińskiej restauracji: czerwień. Nie jakąś tam zwykłą bladą paletę barw, złożoną z szarości, zieleni, bieli i brązu, jaką spotyka się w potrawach amerykańsko-kantońskich (gdzie głównymi składnikami są zawsze mąka kukurydziana, pędy bambusa i krojone w paseczki mięso na wierzchu), lecz jaskrawe, niepokojące kolory. Czerwona papryka, dziwne żółto-brunatne łuski, których nie potrafiłam zidentyfikować, pomarańczowe obierki obok kawałka chińskiej kapusty... i nawet orzeszki ziemne!

W otoczeniu tego wszystkiego wymówiłam trzy słowa, do tej pory nigdy niewypowiedziane przeze mnie w chińskiej restauracji:

- Czuję zapach jagnięciny.

Lanny pokiwał głową.

- To jagnięcina w sosie herbacianym, a to dwukrotnie gotowana wieprzowina z siekaną kwaszoną kapustą, a to, moja droga, jest kurczak kung-pao. - Popatrzył na mnie z rozkoszą. - Naprawdę ci zazdroszczę. Za chwilę poznasz całą masę aromatów, z jakimi nigdy wcześniej się nie zetknęłaś.

Następne pół godziny było naprawdę halucynogennym doświadczeniem. Smaki spływały kaskadami i harcowały mi w ustach niczym trupa chińskich akrobatów, a mali cyrkowcy żonglowali płonącymi pochodniami. Słoność i cierpkość, ostrość i gorycz - między jednym kęsem a drugim nabierałam widelcem biały ryż prosto z oddzielnej miseczki, tak jak je się sorbet między daniami w eleganckiej restauracji, żeby przywrócić językowi wrażliwość na smaki, a nie po to, żeby napchać się do syta, jak się to robi z ryżem w kuchni amerykańskiej.

- I co? - zapytał Lanny z szerokim uśmiechem.

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, odkąd podano jedzenie, jeśli nie liczyć moich ochów i achów. Czułam się, jakby przyprowadził mnie na orgię urządzonej wyłącznie dla mojej rozkoszy. Uważnie przyglądał się zachwytowi malującemu się raz po raz na mojej twarzy. Było to seksowne, trochę perwersyjne i bardzo przyjemne.

Ach, ci mężczyźni, pomyślałam. A przez „tych mężczyzn” rozumiałam Lanny'ego i Vince'a. Zastanawiałam się, jak by to było spędzić z każdym z nich trochę czasu w normalnym miejscu. A może normalne miejsce natychmiast zmieniliby się w wyjątkowe po prostu dzięki ich obecności?

Lee zbliżył się do stołu z podłużnym talerzem, na którym spoczywał niemal kilogramowy homar. Spod umiejętnie ponacinanej skorupy wykwiwały pióropusze delikatnego mięsa, tonące w ciemnoczerwonym sosie, który czynił pancerz zwierzęcia zaledwie skromnie różowym. Sam sos był gęsto posypany pokrojoną w kosteczkę młodą cebulką.

Lee oświadczył:

- Ja zrobił mój specjalna homar w sosie chilli ze skórka mandarynki dla pała i pałska urocia psijaciółka, panie Morris.

Ku memu zaskoczeniu Lanny wybuchnął:

- Nie powinienes był tego robić, Lee. Nie jadam homarów. Jestem Żydem.

Lee wyglądał na stropionego.

- Ale... je pan wieprzowinę. - Wskazał na danie z siekaną kapustą, które Lanny nałożył już sobie na talerz.

- Jestem nowojorskim Żydem, mamy dyspensę od Milтона Berle'a. Wolno mi jeść żeberka i klopsiki wieprzowe, ale nie tykam homarów i krewetek. To karaluchy hodowane na plutonie, Lee, są obrzydliwe. Zapłacę za tego homara, ale proszę, zabierz go ode mnie.

Lee wzruszył ramionami.

- Skoro pan go nie chce, to nie dopiszę go do rachunku - oznajmił nie-naganną angielszczyzną, po czym odniósł danie, urażony.

Lanny popatrzył na mnie ze skruszoną miną.

- Przepraszam. Zapomniałem zapytać... może ty uwielbiasz homary?

- Cóż, nie po porównaniu z karaluchami - odrzekłam z, jak miałam nadzieję, kpiarskim uśmiechem.

- Przepraszam - powtórzył.

Tego dnia czekałam na choćby najmniejszą oznakę słabości u Lanny'ego i teraz, być może, odsłonił mi swój czuły punkt.

- Właściwie żal mi ciebie. Jeżeli skarżysz się kierownikowi restauracji, to nie jesteś tylko jakimś dupkiem od stolika numer pięć. Jesteś Lannym Morrisem. Nie chroni cię anonimowość. Jeśli kupisz gumki w aptece, facet za kontuarem przez resztę życia będzie opowiadał o tym, jak raz sprzedał Lanny'emu Morrisowi prezerwatywy. Czytałam dużo książek o życiu sławnych ludzi, ale naprawdę interesująca byłaby książka o tym, jak to jest, kiedy człowiek na zawsze pozbył się anonimowości. Tak jak ty. - Wzięłam kęs jedzenia i z rozmysłem zapytałam z pełnymi ustami, żeby zabrzmiało to jeszcze bardziej niezobowiązująco: - Zastanawiałeś się kiedyś nad napisaniem książki?

Lanny napił się herbaty.

- Kiedy umrę.

Zauważyłam, że mogłoby się to okazać trochę trudne, więc wyjaśnił:

- Nie, chodzi mi o to, że gdybym napisał książkę, którą rzeczywiście chciałbym napisać, musiałaby się ukazać po mojej śmierci. Kiedy nie zależałoby mi na tym, co ktoś sobie o mnie pomyśli. Kurczę, to byłoby coś. Napisać książkę, w której... po prostu powiedziałbym prawdę. Bez owijania w bawełnę. - Dał panu Lee znak, żeby przyniósł dzbanek świeżej herbaty. - Wyobrażasz to sobie? O tym, że poznałem czterech prezydentów,

a prawda jest taka, że wszyscy wydali mi się totalnie oderwani od rzeczywistości. Jakby ledwo kumali, co się dzieje. To tak, jakbyś spotkała dyrektora liceum, gdzie dzieciaki jarają hasz i pieprzą się jak króliki, a on w granatowym garniturku gędzi o młodych umysłach i nadziei kraju. Nawet Kennedy mi nie zaimponował. Miałem wrażenie, jakbym rozmawiał z synalkiem szefa.

- Ale myślisz, że nie mógłbyś tego powiedzieć.

- Nie, gdybym zamierzał dalej żyć w tym kraju. Nie uważam, żeby Edith Piaf była taką wspaniałą piosenkarką. Zabiliby mnie za powiedzenie czegoś takiego. Albo że, moim zdaniem, Marilyn Monroe nie grała ani odrobinę lepiej po naukach u Lee Strasberga niż wcześniej. Boże, po prostu opisać, co rzeczywiście odczuwałem. To byłoby coś. Udawanie miłego faceta to najtrudniejsza robota na świecie, gdy się jest kimś innym.

- Nie uważasz się za miłego faceta?

- A ty uważasz się za miłą dziewczynę? - odparował tonem żydowskiej matrony.

Rozgryzłam coś, co wydawało mi się chrupiącym kawałkiem jagięciny, i natychmiast poczułam gorące igły bólu w ustach, które aż nadto przypominały rozchodzące się promieniście czerwone błyskawice z reklamy anbesolu w metrze. Wzięłam gwałtowny wdech i sięgnęłam po szklankę wody.

- O, nie, tego się nie je, skarbie - upomniał mnie Lanny. - To suszone papryczki chilli.

Oczy zaszczyły mi łzami, a z nosa zaczęło cieknąć, jakbym dogadzała proporcjonalnie zbudowanemu gwiazdorowi koszykówki.

- Proszę, zjedz trochę ryżu i... - Gestem ręki przywołał pana Lee. - Wody sodowej, szybko. - (Niedawno odkryto, że wszystkim można zaradzić za pomocą wody sodowej. Plamy, uszkodzony jedwab, guzy... wystarczy poprosić o wodę sodową).

Lee wrócił ze szklanką wody gazowanej, którą wychyliłam do dna. Zimne bąbelki dwutlenku węgla kojąco poszczypały oparzenie.

- Powiniennem był cię ostrzec - przeprosił Lanny, nalewając dla nas dwojga herbaty zupełnie tak, jak zrobiły to miły facet. - Wiesz, dlaczego chińskie filiżanki nie mają uszu? Bo Chińczycy są mądrzejsi od nas. Jeśli filiżanka jest za gorąca, żeby wziąć ją w palce, to herbata jest za gorąca do picia. A my co robimy? Dolepiamy do filiżanki ucho, przez co nie czujemy, jak gorąca jest herbata. Potem wlewamy sobie do ust wrzątek i parzymy się w język.

Usta wciąż paliły mnie od papryczki chilli, której smak tak uprzejmie dał mi poznać, i zastanawiałam się, czy przypadkiem faceci tacy jak Lanny i Vince nie są właśnie jak filiżanki z uszkami: oprowadzą cię miło po nierzeczywistych uliczkach i nakarmią do syta fantastycznym jedzeniem, aż



pozwolisz im się zbliżyć i nagle poczujesz kipiący wrzątek na wargach. Ale miałam zasadę, żeby nie drążyć metafor zbyt głęboko, więc prędko porzuciłam tę myśl, gdy przyniesiono nam na deser cząstki pomarańczy zamiast standardowej, roztopiającej się gałki lodów w srebrnym pucharku. Między kawałkami pomarańczy leżały dwa ciasteczka szczęścia. Lanny zachęcił mnie, żebym wybrała jedno, a następnie wziął drugie i rozłamał je na pół. Spytałam, jaką znalazł wróżbę.

- Cóż, to miało być zabawne, ale...

Przesunął karteczkę po obrusie w moją stronę. Bez wątpienia czerwony napis miał mówić: „Dziś się śmiejesz i opychasz, jutro wzdychasz i nic nie jesz”. Ale w druku wypadła litera „w” we „wzdychasz”.

Uśmiechnął się.

- A twoja wróżba?

Rozłupałam ciasteczko i zaczęłam szukać karteczki, która wyjawiałaby mój los, lecz ciasteczko okazało się puste.

Niczym myszki laboratoryjne ganiałiśmy przez labirynt korytarzy zaprojektowanych przez kogoś zafascynowanego łodziami podwodnymi. Skręciliśmy w lewo i popędziłiśmy po betonowej pochyłości, na której końcu majaczyła obietnica czystego błękitnego nieba, aż nagle, niczym w najgorszym koszmarze chorego na agorafobie, wybiegliśmy z kwadratowego tunelu na olbrzymi, płaski trawnik, ogrodzony dwoma murami ludzkości, każdy mur złożony z dwudziestu pięciu tysięcy twarzy. Pracownik stadionu, ubrany w pomarańczową sportową marynarkę, białą koszulkę i błękitne spodnie, wskazał nam miejsca na ławeczce po prawej, gdzie siedzieli zawodnicy Metsów. Tymczasowo znaleźliśmy tam schronienie.

- Hej, Lanny! - zawołał wąsaty facet, którego rozpoznałam z reklamy pianki do golania.

Ze strony innych Metsów posypała się kaskada pozdrowień i powitań. Z ich przyjacielskiego tonu można by pomyśleć, że Lanny był tu regularnym gościem, lecz później się dowiedziałam, że nigdy wcześniej nie spotkał żadnego członka drużyny.

Stentorowy głos rozbrzmiał ze wszystkich stron świata, czytając tekst, który bez wątpienia został dostarczony przez agenta odpowiedzialnego za publiczny wizerunek Lanny'ego:

- Panie i panowie... jeśli zechcecie łaskawie skierować uwagę na płytę boiska... aby odśpiewać hymn narodowy... proszę, powitajcie jednego z najbardziej lubianych komików, aktorów filmowych i artystów estrady na świecie... występującego na rzecz własnej organizacji charytatywnej, Klubu Lanny'ego... Zgotujcie wspaniałe nowojorskie powitanie ukochanemu rodowitemu synowi Nowego Jorku... panu Lanny'emu Morrisowi!

Lanny puścił do mnie oko i żwawym krokiem ruszył do mikrofonu, który ustawiono w połowie drogi między bazą-metą a stanowiskiem

miotacza. Pomachał do tłumów gestem bardziej przypominającym pozdrowienie pewnego siebie sportowca niż nerwowe powitanie polityka. Stanął przy mikrofonie i z ufnością czekał na ciszę. Tłum przycichł o tyle, o ile było to możliwe przy takiej masie ludzi. Znajdowałam się wystarczająco blisko, by słyszeć nienagłośniony śpiew Lanny'ego: *Oh, say can you see...*

Z niepokojem usłyszałam, a raczej nie usłyszałam, że system nagłaśniający nie działa. Może chodziło tylko o taki drobiazg jak włączenie mikrofonu. Ciekawiło mnie, w jaki sposób taki weteran jak Lanny poradzi sobie w tej niezręcznej sytuacji. Czy przerwie i poczeka, aż naprawią mikrofon? Zaśpiewa całą pieśń bez nagłośnienia z patriotycznego szacunku do hymnu narodowego? Ale po pół sekundy, którą zajęły mi powyższe wątpliwości, wzmocniony elektronicznie głos Lanny'ego buchnął z głośników wokół stadionu: *Oh, say can you see*. Do tamtej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak długie było opóźnienie w przesyłaniu dźwięku za pomocą wielkich systemów nagłośnienia, i nagle zaczęłam lepiej rozumieć wokalistów na imprezach sportowych, których śpiew radykalnie rozłąził się z muzyką graną przez maszerującą orkiestrę, tak że kapela grała *And the rockets' red glare* mniej więcej wtedy, gdy piosenkarz dochodził do *And the home of the brave!*

Dziwnie było tam stać i patrzeć, jak wargi Lanny'ego układają się w słowa, wyprzedzając jego własny dudniący z głośników głos, jakby był głównym bohaterem któregoś z filmów o Godzilli. Gdy dotarł do ostatniej zwrotki, w tłumie zaczął narastać rumor, nie tyle w reakcji na interpretację Lanny'ego (która była zaskakująco gładka, ani operowa, ani kliwa), ile dlatego, że nasz hymn narodowy prawie się skończył, a miała się zacząć nasza ulubiona narodowa rozrywka.

Lecz w tym momencie włączyła się dodatkowa katalityczna siła. Mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna o lśniących kasztanowych włosach, w lśniącym brązowym płaszczu przeciwdeszczowym, przeskoczył przez parkan na prawe pole boiska. Prędko zrzucił płaszcz, pod którym okazał się kompletnie goły. Lanny był ostatnią osobą na stadionie, która mogła zobaczyć, co się dzieje, i gdy hałas widzów wzrósł, wyciągnął ramiona, dziękując za to, co mylnie wziął za pochwały. Golas wepchnął się przed mikrofon i zawołał: „Nixon podżega do wojny! Kissinger jest wykorzystywany jako...”. Lanny złapał mikrofon, odsuwając go od nagiego intruza, i przez stadion buchnął potężnie nagłośniony dźwięk tego ruchu, prawdziwa kanonada, wyłapująca częstotliwości poniżej stu pięćdziesięciu herców. Ktoś w łożu komentatorskiej miał dość rozumu, by wyłączyć mikrofon, gdy Lanny zaczął się o niego szarpać. Nagle się zorientował, że siłuje się z nim

facetem, którego cherlawy wygląd i mało imponujące genitalia nie miały nic wspólnego z duchem grecko-rzymskim. Lanny mądrze się oddalił, śmiejąc się i kręcąc głową, jakby w ten sposób starał się wznieść ponad to żenujące widowisko, podczas gdy zawodnicy Metsów poderwali się z ławki, podbiegli do golasa i zaczęli okładać go pięściami i kopać. Służby porządkowe stadionu Shea uspokoiły ostatecznie zawodników; z prawego pola zabrano płaszcz mężczyzny, którego odprowadzono do szatni wśród przerażających okrzyków, łączących jego osobę z komunizmem, pacyfizmem, ruchem na rzecz praw obywatelskich i ludźmi, którzy kopulują z własnymi matkami.

- A to sukinsyn! - powiedział do mnie Lanny po meczu, kiedy mógł rozmawiać bez obaw, że zostanie podsłuchany. Szliśmy z powrotem do limuzyny, która stała na ogrodzonym parkingu przeznaczonym dla zawodników. - Wystarczy, żeby jedna osoba z tłumu zrobiła mi jakieś zdjęcie, gdy szarpie się z tym facetem, a przedrukowano by je we wszystkich brukowcach. „Paskudna plotka, że Lanny Morris wziął się za łby z gołym facetem, jest prawdziwa: mamy dowód!”.

- Nikt na świecie nie uwierzyłby w coś takiego - zapewniłam go, zauważając Michaela Dougherty'ego stojącego przy limuzynie - szofer poprosił o autograf Tuga McGrawa, który nie wyglądał na zbyt zadowolonego.

- Och, nie martwię się, że ludzie w to uwierzą. Ale w przemyśle rozrywkowym obowiązuje zasada, że możesz się publicznie pokazać trzy razy w głupiej sytuacji, bo przy czwartym po prostu uznają cię za głupca.

Spodziewałam się, że wyjedziemy na tę samą brzydką autostradę, którą wczoraj wieczorem pokonaliśmy w drodze z lotniska na Manhattan. Lecz zaledwie parę minut po opuszczeniu stadionu Shea limuzyna zaczęła kluczyć ładnymi uliczkami domków z trawnikami i drzewami od frontu. Potem Michael Dougherty wykonał ostry zakręt i znaleźliśmy się na innej drodze dojazdowej, z dużymi pęknięciami w bladym, brudnym asfalcobetonie. Skręciliśmy w ulicę, która wyglądała na zaniedbany, opuszczony bulwar, i teraz mijaliśmy Unisphere, kulę o stalowych żebrach, która była symbolem Targów Światowych w latach 1964-65. Stadion Shea znalazł się za naszymi plecami, z przodu zaś wyrosła budowla, która wyglądała jak parterowy domek, uniesiony z ziemi i bezsensownie postawiony na czterech wieżycach, wysokich na co najmniej dziesięć kondygnacji. Na budowli widniał napis: TOP OF THE FAIR, Wierzchołek Targów.

Michael Dougherty zatrzymał wóz i obiegł maskę, żeby otworzyć mi drzwi. Spojrzałam na Lanny'ego zdziwiona.

- Idziemy na kolację?

- Raczej się ulatniamy.

Poprowadził mnie betonową esplanadą, która była całkowicie opustoszała, aż do drzwi oznaczonych tabliczką: NOWOJORSKI URZĄD TRANSPORTU MIEJSKIEGO. Po drugiej stronie znajdował się mały pulpit, za którym stał facet w średnim wieku ubrany w garnitur. Zerknął na rozpiskę.

- Witam, panie Morris. Wszystko przygotowane. Zechce pan podpisać?

Lanny złożył podpis we wskazanym miejscu.

- Kto za drążkiem?

- Cubby.

Lanny z aprobatą pokiwał głową i wsiadł do wąskiej windy, gestem ręki zapraszając mnie do środka. Następnie wcisnął jedyny guzik oprócz oznaczonego literą P jako parter. Widniało na nim dyskretne H.

- Co znaczy H? - spytałam, gdy szybko jechaliśmy w górę.

- Hogród na dachu. - Winda zatrzymała się, otworzyły się drzwi i uderzył nas potężny podmuch wiatru. Poprawka. Wiele potężnych, miarowych podmuchów wiatru. - I lądowisko helikopterów - dodał niby to nonszalancko.

Staliśmy na dachu budynku, a przed nami pięcioma płatami śmigła ciał powietrze helikopter pasażerski. Lanny kiwnął w jego stronę.

- Lecimy do domu.

Tak się składa, że wiedziałam, że śmigłowiec to Sikorsky S-61L. Wiedziałam, że jego stała prędkość lotu wynosi 115 mil morskich na godzinę. Wiedziałam też, że powinnam być pod wrażeniem. Jestem, ale dość tego, pomyślałam. Lanny odgrywał podziwu godne przedstawienie bez wątplenia obliczone na zwalenie mnie z nóg i skłonienie do małego bara-bara, ale zakładał, że jestem oszołomioną dziumdzią, nauczycielką z podstawówki, nazwiskiem Bonnie Trout. Spotkanie z gwiazdorem w apartamencie hotelu Plaza, przepyszny obiad w anonimowej restauracyjce na Doyers, gdzie brukowa prasa nie odkryje i nie nagłośni pojawienia się „nowej przyjaciółki Lanny'ego”. Potem dalej w miasto, na stadion Shea, żeby obejrzyć Lanny'ego w roli ulubieńca pięćdziesięcioletniej publiczności. W końcu przynajmniej szczerze: ilu ludzi może z dwugodzinnym wyprzedzeniem załatwić sobie wystąpienie przed tłumem widzów i zebrać oklaski pomimo wykonania zaledwie jednej piosenki, na dodatek a cappella? A teraz przelot prywatnym śmigłowcem, gdzie Lanny zabiera nowe panienki, żeby znalazły się jeszcze bliżej gwiazd. Jak na to wszystko zareagować?

Kurczę. Przecież jestem Bonnie Trout.

- Ojej - powiedziałam.

- Podoba ci się? - odparł Lanny, jakby ledwo zauważył hałasujący helikopter, przy którym musiał podnieść głos o mniej więcej dwadzieścia decybeli. - Jest cały nasz. Cześć, Cubby!

Podprowadził mnie do maszyny, zapobiegliwie kładąc dłoń na tyle mojej głowy i popychając ją łagodnie w dół, żebym na pewno nie zawadziła o wirujące śmigło. Był to pierwszy wypadek, gdy mężczyzna przycisnął mi głowę do dołu i nie warknęłam: „Nie waż się tego zrobić nigdy więcej!” takim tonem, że natychmiast miękkła mu rura.

- Leciałaś kiedyś helikopterem? - zapytał mnie, gdy Cubby, sympatycznie wyglądający dwudziestoparolatek, pomagał mi wejść po schodkach.

Wnętrze sprawiało wrażenie, jakby z łatwością mogło pomieścić co najmniej dwanaście osób (zdarzało mi się latać komercyjnymi samolotami, których kabiny były mniejsze niż ta), ale byliśmy jedynymi pasażerami.

- Nie, nigdy - odparłam zgodnie z prawdą. Nie, żebym nie miała raz czy dwa takiej okazji, ale zawsze udawało mi się wymyślić wykręt, żeby odmówić. A teraz znalazłam się na pokładzie S-61L. No, ładnie.

Nie jestem bynajmniej ekspertem w dziedzinie awiacji, ale moja praca zaliczeniowa na dziennikarstwie (którą potem opublikowano w „Christian Science Monitor”) dotyczyła cenionego helikoptera Sikorsky S-61L i jego dwóch wypadków w Kalifornii, które spowodowały śmierć wszystkich na pokładzie. Pasażerów i załogi. Żadnych ocalałych. W 1968 roku S-61L wykorzystywano do komercyjnych lotów z LAX do Anaheim. Nazwałam to Disneyowskim Pociągiem Śmierci. W ciągu sześciu miesięcy S-61L dwukrotnie postanowił spaść po drodze na ziemię. Jako możliwą przyczynę wymieniano zmęczenie materiału. Kurczę, to dopiero pech, kiedy materiał się zmęczy.

- To dokąd lecimy?

- Z powrotem na Manhattan. Powinnaś usiąść z lewej strony. - Wskazał fotel przy oknie.

Cubby zajął miejsce w czymś w rodzaju kabiny pilota.

- Nie ma drugiego pilota? - spytałam.

Lanny się roześmiał.

- Cały lot potrwa mniej niż dziesięć minut.

Miałam zamiar zauważyć, że w wypadku zmęczenia materiału albo zawału pilota prawdopodobnie również nie zajęłoby nam dziesięciu minut runięcie na ziemię, gdzie zatrzymalibyśmy się na zawsze. Ale jakby dla zilustrowania krótkotrwałości naszej wycieczki śmigłowiec natychmiast wzbił się w powietrze. Zlecieliśmy z dachu beztrąsko niczym Piotruś Pan i już mijaliśmy stadion Shea na pułapie znacznie wyższym niż najtańsze

miejsca na trybunach. Ach, ta nieprawdopodobnie wysmukła wysepka na zachodzie, ta z tymi idiotycznie wysokimi budynkami - czyżby to był ów legendarny Manhattan? Gorące pomarańczowe słońce bawiło się z nami obecnie w kotka i myszkę, wyskakując zza gmachu Chryslera i Empire State Building.

Przypuszczałam, że wylądujemy na lądowisku nad East River, dokąd właśnie się zbliżaliśmy. Pokazałam palcem mniej więcej w jego kierunku, pod falangą pomalowanych w kropki ciężarówek z betoniarkami, które zgromadziły się trochę na północ od Dziewięćdziesiątej Szóstej.

- Lądujemy tam na dole? - spytałam. Lanny pokręcił głową.

- Nie. Na górze.

Jakby na komendę, niezawodny S-61L wzbił się znowu wyżej i wleciał w gąszcz najwyższych nowojorskich iglic. Byliśmy nad nimi, lecz tylko trochę, i miało się wrażenie, jakbyśmy lecieli slalomem między budynkami, a nie nad nimi. Następnie zdawało się, jakbyśmy się zatrzymali (rzeczywiście tak było, w pewnym sensie), i zobaczyłam ku swemu przerażeniu, że wisimy nad centrum Manhattanu na wysokości odpowiadającej, powiedzmy, dziewięćdziesiątemu dziewiętemu piętrem budynku, tylko że rzeczony budynek przestał istnieć i znaleźliśmy się teraz w jego jedynym zachowanym biurze, pozbawionym oparcia.

Kiedy spoglądałam w dół z tarasu na wysokim piętrze, widzę działanie praw perspektywy, a boczna ściana budynku ześlizguje się pode mną i moimi stopami... cierpię właśnie na ten rodzaj lęku wysokości. A nagle znaleźć się dwadzieścia metrów nad szczytem budynku Pan Am, który teraz rozrastał się wszcz, jego fasada niczym dziewięćdziesięciostopniowy szklany stok narciarski kończący się u zbiegu Lexington i Vanderbilt...

- Dobrze się czujesz? - spytał Lanny.

Na sekundę zamknęłam oczy, przełknęłam ślinę. Nastąpiło silne szarpnięcie, gdy opadliśmy na maleńki skrawek dachu, i słusznie uznałam, że wylądowaliśmy. Natychmiast ucichły silniki. Znowu pewna siebie i rozmowna, zauważyłam:

- Myślałam, że lądowisko Pan Am zostało zamknięte.

- Zamknęli je w sześćdziesiątym ósmym, bo po prostu zainteresowanie było za małe. Ale jest teraz nowa grupa kapitałowa, która chce je znowu otworzyć. Za rok albo dwa. Jestem udziałowcem. A tymczasem można uzyskać zgodę na wylądowanie zaledwie cztery godziny wcześniej, jeżeli wie się, kogo poprosić, i człowiekowi nie przeszkadza, że zapłaci za ten przywilej.

Cubby zdążył już otworzyć drzwiczki i podstawić schodki, więc Lanny wyprowadził mnie na zewnątrz. Znowu położył mi rękę na głowie i delikatnie mnie przyginał aż do momentu, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem śmigła. Było to coś w rodzaju błogosławieństwa, jakiego kapłan udziela dziecku zamiast komunii. Zawsze działało to na mnie kojąco.

W tamtej chwili czułam się słaba, wdzięczna, że jeszcze żyję, i mniej więcej tak twarda jak dojrzwały camembert. Prywatna winda zwoziła nas na ziemię, tego samego upadku bałam się w helikopterze. Wszystko zależy od kontekstu. Szybko opuściliśmy brzydkie hol wieżowca Pan Am i Lanny złapał taryfę na Vanderbilt.

- Róg Pięćdziesiątej Dziewiątej i Piątej - powiedział kierowcy, spuściw-  
szy głowę, żeby uniknąć rozpoznania.

Adres Plazy. Gdzie zjemy tam kolację? Czy w ogóle ją zjemy?

Wysiedliśmy jednak przy drapaczu chmur General Motors, po przeciwnej stronie Grand Army Plaza. Lanny wręczył taksówkarzowi sowity napiwek, taksiarz powiedział „hej...”, wreszcie go rozpoznając, lecz Lanny uśmiechnął się i odszedł.

Wziął mnie za rękę i poprowadził w dół długimi białymi schodami, które kończyły się przy kawiarni na otwartym powietrzu, o jedno piętro pod poziomem ulicy. Już tutaj było ciszej niż kondygnację wyżej, a zrobiło się jeszcze spokojniej, gdy Lanny przeprowadził mnie przez obrotowe drzwi dokładnie pod salonem General Motors i znaleźliśmy się w Autopubie.

Na Manhattanie jak plastikowe kwiaty w zimie kwitły restauracje tematyczne. Przyznaję, że lubię takie lokale: Trader Vic's, gdzie czułam się jak w Zaczarowanym Pokoju Tiki w Disneylandzie; Chateau Henri IV, gdzie nad płynącym przez salę strumykiem przechodziło się przez mostek, żeby dotrzeć do stolika pod witrażowym oknem; Monk's Inn na Sześćdziesiątej Czwartej, gdzie kelnerzy byli ubrani w habity z kapturami, a fondue z ementalera i zakurzoną butelkę czerwonego wina konsumowało się przy śpiewach gregoriańskich; albo A Quiet Little Table in the Corner, gdzie każdy boks był oddzielony zasłoną z paciorków, a kelnerkę przyzywało się pociągnięciem sznurka, który zapalał czerwoną żaróweczkę. Modę na te zabawne restauracje zainaugurował lokal The Cattleman, rzekomo wystylizowany na gospodę poganiaczy bydła w Kansas City. Wszędobylska sieć Steak and Brew, która z przymrużeniem oka odtwarzała atmosferę brytyjskiego pubu, oferowała tyle piwa, ile możesz wypić, i tyle sałaty, ile będziesz w stanie zjeść. Enrico E Paglieri wystąpił z podobną ofertą, tyle że dotyczącą sangrii („czerwonego wina z 7 Up”, jak wyjaśniała kelnerka) i włoskich przystawek (plasterków wędliny i surówek). Jakis szaleniec otworzył podobną restaurację o nazwie Chicago z porażającą



ofertą promocyjną: „Tyle gorzały, ile zdołasz wychłać”, lecz trzy miesiące później impreza bractwa z Princeton doprowadziła lokal do ostatecznego bankructwa.

Tematem restauracji Autopub były samochody. Rozumiecie? W budynku General Motors? Przy wejściu młode zwiewne dziewczę (Boże, skąd się takie biorą?) kierowało gości do jednej z kilku wydzielonych stref w podłużnej, pozbawionej okien sali z niskim sufitem. Znajdował się tam Przydrożny Przystanek, jasno oświetlona przestrzeń ze stolikami z białego laminatu, pomarańczowymi siedzeniami i lampami w kształcie białych kul. Bardzo europejsko. Za szerokim barem, ozdobionym kaskami motocyklowymi, były cieszące się większym powodzeniem boksy, gdzie czworo ludzi mogło zasiąść przy stole w replice modelu T albo starego oldsmobile'a. Niektóre samochody miały dachy i siedziąco się w nich przy zamkniętych oknach, dzięki czemu były najbardziej przytulnymi i klaustrofobicznymi boksami restauracyjnymi na całym Manhattanie.

- Merwin - szepnął Lanny do hostessy, która wyraźnie się go spoziewała.

- Ach tak, pan Merwin - wydekłamaowała swoją kwestię z wdziękiem striptizerki, która załapała się do teatrzyku rewiewego. - Stolik już czeka.

Wzięła dwie karty dań i podreptała truchcikiem w głąb niekończącego się korytarza restauracji. Podążyliśmy za nią. Wyglądający na członka klubu Kiwanis mężczyzna wyszedł zza baru i uściśnął Lanny'emu rękę.

- Panie Morris, jestem Jim Mackendorf, kierownik restauracji. Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo cieszymy się z pańskiej wizyty. Gdyby pan czegoś potrzebował... - Wmusił Lanny'emu wizytówkę, którą ten łaskawie schował do kieszeni. - Może później moglibyśmy zrobić zdjęcie na naszą Ścianę Sław...?

Lanny powiedział, że owszem, przy wyjściu, ale nie, kiedy będziemy jedli.

Jeszcze przez jakiś czas szliśmy za zwiewnym dziewczęciem. Kiedy dotarła do miejsca, gdzie - jak zakładałam - znajdowały się toalety, zatrzymała się przed drzwiami z napisem KINO SAMOCHODOWE. Na małej sztaludze obok stała tabliczka z informacją: „Przepraszamy. Kino jest zarezerwowane na imprezę prywatną”. Hostessa otworzyła drzwi i gestem ręki zaprosiła nas do środka.

- Proszę siadać, gdzie państwo sobie życzą, oczywiście. Państwa kelnerką będzie Tracy. Zaraz ją tu przyślę.

Impreza prywatna była najwyraźniej imprezą dla dwojga. Słyszałam już wcześniej o Kinie Samochodowym. Była to podobna do tunelu sala, ciemna i chłodna niczym wrześnieowy wieczór. Ultrafioletowe światło

sprawiało, że biała koszula Lanny'ego jarzyła się w mroku. Zamiast stolików w sali stał rząd pozbawionych kół atrap samochodów, ustawionych na trzech długich platformach. Przednie fotele służyły jako siedziska, płaskie tablice rozdzielcze zaś jako stoliki. Atrapy aut (same „stoliki dla dwojga”, z siedzeniem w formie kanapy jak w chevrolecie nova) były skierowane przodem do ekranu kinowego w głębi. Tylne światła wszystkich „samochodów” były zapalone, więc gdy prowadzono cię do wyznaczonego kabrioletu, miałeś złudzenie, że kino jest pełne, a ty tylko wracasz z budki sprzedającej popcorn. Wsiedliśmy do wozu pięć samochodów od ekranu.

- Witam, jestem Tracy - powiedziała radośnie nasza kelnerka. Ostatnimi czasy wszystkie dziewczyny miały na imię Tracy. Nawet te, które miały na imię Jutrzenka, w tajemnicy nazywały się Tracy. - Zobaczyliście już państwo lokal, więc może pokażę menu...?

- A co ludzie zwykle zamawiają, kiedy tu przychodzą? - zapytał Lanny.

- Specjalny zestaw kinowy. Czyli duży cheeseburger, który jest naprawdę duży i naprawdę smaczny, długie, chrupiące frytki oraz martini. Martini też jest naprawdę duże. - Uśmiechnęła się.

Lanny popatrzył na mnie. Zauważyłam, że ma naprawdę ładne oczy i rzęsy.

- Może być?

Odpowiedziałam, że tak. Miałam przeczucie, że duży hamburger jest jednym z tych dań, z którymi obsługa kuchenna Autopubu radzi sobie najlepiej. A w tej chwili bardzo przydałoby mi się duże martini. Naprawdę duże. Oczywiście mogłabym zamówić martini do czegokolwiek innego, ale fakt, że serwowano je z hamburgerem, przesądził sprawę.

- Martini z wódką - powiedziałam. - I z lodem.

- Oliwka czy cebulka?

Pomyślałam o swoim oddechu i zdecydowałam się na oliwkę. (Wybrałam hamburgera, a martwiłam się o zapach cebulki koktajlowej!). Lanny zamówił martini z dżinem Beefeater's, odrobiną wermutu i czterema oliwkami. Podobnie jak ja poprosił o hamburgera średnio przysmażonego i bez sera. Może oboje uważaliśmy na oddech.

Tracy oddaliła się, żeby przynieść nam drinki, a ekran kinowy obudził się do życia. I tak oto parkowaliśmy w piątym samochodzie od ekranu, otoczeni przez inne auta, których tablice rozdzielcze jarzyły się ciepłym światłem, w rzešką granatową noc, lecz byliśmy zupełnie sami. Gdybyśmy postanowili zrobić to od razu na przednim siedzeniu (a wątpliwe, by kierownictwo próbowało nas powstrzymać), tylko Tracy i może kinooperator by o tym wiedzieli.

Lanny sprawiał wrażenie bardziej rozluźnionego niż wcześniej. Praca (czyli program „Today” i hymn) już się skończyła, wyjaśnił.

- Poza tym uwielbiam kina samochodowe. Kiedy dopiero zaczynaliśmy robić filmy, Vince i ja często wypożyczaliśmy kabriolet thunderbird albo cadillaca i zabieraliśmy okoliczne dziewczyny na nasz film. Czasami nawet nie wiedziały, kim jesteśmy, dopóki nie zaczęły oglądać. Patrzyły to na ekran, to na nas... Boże, gdybyś widziała ich miny!

- Podejrzewam, że ty i Vince całkiem niezłe radziliście sobie z tymi okrągłookimi dziewczynami w przestronnych wozach - zauważyłam, gdy dzieciół Woody wystukał dziobem tytuł kreskówki.

Lanny wzruszył przepaszająco ramionami.

- Co ja poradzę? Byliśmy młodymi facetami z normalnym poziomem hormonów, którzy odkryli, że tylko jedenaście kobiet na ziemi nie prześpałoby się z nimi na pierwszej randce.

Uśmiechnęłam się.

- Które to były?

- Jedna to Eleanor Roosevelt. Księżniczka Małgorzata zgodziła się na pieszczoty, ale tylko powyżej pasa. Naprawdę chcesz, żebym wymieniał dalej?

Tracy wróciła z moim martini, które wiano do czegoś w rodzaju kryształowego końskiego korytka. Pojedyncza oliwka koktajlowa wyglądała jak zielono-czerwona piłka plażowa, dryfująca samotnie po powierzchni pełnego lodu srebrzystego oceanu, z dala od cywilizacji.

- Boże - mruknęłam zdumiona.

- Mówiłam, że są duże - zaszczebiotała Tracy. - Zdarzali się klienci, którzy zamawiali drugą kolejkę, ale chyba jeszcze nikt nie wypił trzech. - Postawiła przed Lannym martini z dżinem, które zachlupotało w pucharze wielkością i kształtem czaszy przypominającym ustawioną pionowo trąbkę. - Za chwileczkę przyniosę państwa jedzenie.

Jakby w jakiejś szekspirowskiej inscenizacji, odeszła z fanfarami, które faktycznie rozbrzmiały z ekranu, gdy pojawił się czarno-biały napis „Film wieczoru”.

Teraz rozbłysło logo Republic Pictures, a następnie wiadomość, że Harold Stolman i George Piselli prezentują: *Film Republic Pictures pod kierownictwem E. Bennetta Lodge'a*. A później (pojedyncza karta tytułowa, z motywem girlandy): W DROBNY MAK! Nowa karta: *Występują John Derek, Vera-Ellen... a także po raz pierwszy na ekranie Vince Collins i Lanny Morris jako Vince i Lanny*.

Spojrzałam z udawaną pretensją na Lanny'ego, który pośpieszył z zapewnieniem:

- I tak mieli to puszczać, przysięgam. Pomyślałem, że mogłoby ci się spodobać obejrzenie go z autorskim komentarzem. Hej, staram ci się

zaimponować, okej? - Posłał mi uśmiech zakłopotania, który był albo uroczo wystudiowany, albo wystudiowanie uroczy. - A teraz pozwól, że opowiem ci, jak kręciliśmy otwierając scenę.

I tak zrobił. Gdy siedzieliśmy ramię przy ramieniu na dwuosobowej kanapie, a przed nami mieniły się refleksami dżin i wódka, Lanny przeżywał dla mnie ponownie kręcenie filmu.

Okazało się to trochę niesamowite, jak możecie sobie wyobrazić. Lanny był na ekranie i sprzedawał dzieciom lody w hollywoodzkiej scenografii, przedstawiającej Central Park. A po chwili czułam jego ciepły oddech o przyjemnym zapachu jałowca i oliwki, gdy szeptał mi do prawego ucha jakąś uwagę. Odwracałam się i widziałam prawy profil Lanny'ego, prawie tak samo monochromatyczny w niebieskim świetle kina, jak lekko zazieloniony obraz na ekranie, i słyszałam, jak półgłosem opowiada, kto z ekipy był złośliwy, kto miał problem z alkoholem i kto z kim sypiał podczas dni zdjęciowych.

Mój hamburger okazał się wielki jak płyta na czterdzieści pięć obrotów - a raczej jak piętnaście takich płyt jedna na drugiej - i był naprawdę dobry: smakował niczym na pikniku w Święto Pamięci. Jadłam go drobnymi kęsami i w połączeniu z bezpretensjonalnymi urokami filmu, historyjkami Lanny'ego, niezwykle długimi frytkami i moim drugim martini wieczór upływał mi niby wymarzony rejs łódką po Tamizie. Kiedy Lanny nie opowiadał akurat żadnej anegdotki, przyglądał się moim reakcjom, tak jak początkujący pisarz obserwuje wyraz twarzy swojej dziewczyny, gdy ta czyta jego najnowszy utwór. Co jakiś czas trącał mnie lekko łokciem albo szeptał „teraz”, żeby zwrócić uwagę na dobry gag albo celną ripostę. Mogłoby to być irytujące, lecz jego chłopięcy entuzjazm dla własnej wczesnej pracy był tak szczerzy i tkliwy, że prawie mu zazdrościłam.

Przy ostatniej rolce popijaliśmy likiery, jak to oczywiście ludzie często czynią w kinach samochodowych. Zamówiłam crème de menthe wyłącznie po to, by odświeżyć sobie oddech. Film zakończył się zdumiewającym zwrotem akcji: na Vinsie śpiewającym ostatni refren „Mojego kumpla i mojej dziewczyny” pojawia się napis *Koniec*, do którego Lanny dolepia znak zapytania i mruga do kamery. Zaciemnienie, lista płac, logo producenta.

Z końcem filmu zapalono światła, co na chwilę zbiło mnie z tropu i zaskoczyło. Ostatecznie, gdy w kinie samochodowym zapalają się górne światła, może to oznaczać zorzę polarną, Armagedon albo finał trwającego do świtu maratonu horrorów. W gruncie rzeczy zapomniałam, gdzie rzeczywiście jestem. Dwa duże martini wymościły mi posłanie w najprzyjemniejszym kokonie. Wpatrywałam się teraz z wywołaną wódką tklivością w męczycznę, z którym spędziłam nieomal halucynacyjne dwadzieścia cztery

godziny mojego i tak surrealistycznego życia. Vince Collins zabrał mnie na przechadzkę wśród tonących w chmurach wieżyc i baśniowych zamków studia Burbank i wydobył ode mnie gwarancję słodkiego i łatwego seksu na koniec naszej zamierzonej współpracy. Potem, ledwo zdążyłam wrócić do tego, co w Los Angeles uchodzi za normalność, a niczym z katapulty zostałam posłana dziwnym długim łukiem na pierwszą randkę z eks-partnerem Vince'a, Lannym.

Naprawdę był w filmie zabawny. Sam scenariusz był zawstydzająco niezdatny nawet na tamte czasy, ale Vince i Lanny potrafili się przebić z własną grą: minami i gestami braterskiej miłości, a zwłaszcza szalonymi gagami Lanny'ego, które wyglądały, jakby zostały sfilmowane w innym tempie niż reszta scen i obsady. Potrafił zrobić pięciosylabowe słowo z „Cześć”, dowcipną puentę z „Czemu?” i zdawał się niezdolny do przejścia trzech kroków bez przewrócenia czegoś, co potem łapał, a następnie puszczał, żeby chwycić coś innego. Na ekranie znacznie bardziej przypominał też człowieka, który napisał owe dwa rozdziały wspomnień, niż ten czasem zamyślony facet na siedzeniu obok mnie.

Popatrzyłam na niego. Bez strzelania głupich min jego twarz była naprawdę urocza. Ktoś całuje klauna, gdy ten zmyja charakteryzację, pomyślałam. Emmett Kelly musiał uwieść jakąś kobietę, bo inaczej nie byłoby Emmetta Kelly'ego juniora. Może Lanny był bardzo dobry w łóżku. Czemu by nie? Bycie błaznem wymaga powołania, prawda? Jak bycie chirurgiem albo psychoterapeutą. Tacy ludzie potrafią być wrażliwi, ekspresyjni... a to zalety, których oczekuje się od partnera w łóżku.

Co ja wyprawiałam? Byłam na najlepszej drodze do dołączenia do kobiet z jego pamiętnika, i prawie mi to nie przeszkadzało.

Opuszczaniu Autopubu, gdy wspięliśmy się po schodach i wyszliśmy na Piątą Aleję, noc była ciepła i uległa jak ja. Co znajduje się w połowie drogi między lekkim rauszem a pijaństwem? Byłam właśnie tam. Lanny nie powiedział, dokąd się wybieramy, ale jego hotel był tuż-tuż, po drugiej stronie ulicy. Objął mnie w talii i wolnym krokiem ruszyliśmy przez Piątą Aleję w kierunku południowego skraju Central Parku. Jako że było stosunkowo wcześnie, przy Pięćdziesiątej Dziewiątej wciąż stały w rzędzie dorożki. Wiejski zapach koni i siana wytworzył w moich zmysłach mętlik: oko widziało wielkowiejskie fasady gmachów przy Central Park South, podczas gdy powonienie podpowiadało, że jestem w stodole.

Lanny zwrócił się do dorożkarza, brodatego młodego mężczyzny w surducie, którego długie hipisowskie włosy wystawały spod jasnoszarego cylindra.

- Do Iglicy Kleopatry i z powrotem? - spytał woźnicę.

- Pięćdziesiąt - usłyszał w odpowiedzi.
- Trzydzieści - zaczął się targować Lanny.
- Czterdzieści - rzucił dorożkarz.
- Sześćdziesiąt - odparł z uśmiechem Lanny, zupełnie zbijając tamtego z tropu.

Dał woźnicy pieniądze i pomógł mi wsiąść do dorożki, która była prawdziwą jednokonną bryczką (podczas gdy inne były w większości zwykłymi karetami). Drzwiczki zatrzasnęły się przed nami i musieliśmy ścisnąć się bardziej niż w „kinowej” atrapie kabrioletu. Wtuliłam się w jego pierś, a on objął mnie ramieniem.

Myliło mi się, w którym Central Parku jestem: w tym, który widziałam na filmie, gdzie Lanny sprzedawał lody, czy w tym, po którym spacerowałam z Vince'em w studiu Burbank. Istniała nawet śmiechu warta możliwość, że to prawdziwy Central Park.

- Wiesz, Bonnie, prawie nie rozmawialiśmy o tobie – wyszeptał Lanny. Prawdopodobnie przez wzgląd na grzeczność nauczył się kończyć randki tym zdaniem, bo oczywiście musiał być głównym tematem większości rozmów z kobietami, które znały go jako sławnego aktora.

Jak możecie sobie wyobrazić, Bonnie Trout była ostatnią osobą, o której chciałam z nim rozmawiać.

- Och, czy musimy rozmawiać? - spytałam i pocałowałam go. Często słyszałam, że dobrze się całują, ale Lanny bynajmniej mi nie ustępował i całowaliśmy się przez całą drogę, aż do chwili, gdy bryczka zatrzymała się przed głównym wejściem do Plazy.

- Mogę cię teraz odwiedzić do domu - zaproponował Lanny. - Chyba że chcesz wstąpić do mojego apartamentu.

Pokiwałam głową.

- Och... oczywiście, tak, weź mnie - powiedziałam bez krztyny sarkazmu. - Jak najbardziej - dodałam.

Po drodze do apartamentu nie odezwaliśmy się ani słowem. Lanny wszedł jako pierwszy. Reubena nie było nigdzie w zasięgu wzroku. (Odniosłam wrażenie, że miał własny, oddzielny pokój). Pozwoliłam Lanny'emu zaprowadzić się do sypialni, gdzie Reuben wyłożył dla niego starannie złożony jedwabny szlafrok. Nie pytając o zgodę, zagarnęłam go i znikłam w przyległej łazience, obiecując, że za moment będę z powrotem.

Po dłuższej chwili wróciłam do sypialni, upewniwszy się, że zgasilałam za sobą lampę, żeby nie oświetlała mnie od tyłu i nie zrujnowała zamierzonego efektu. Lanny zapobiegliwie wyłączył już wszystkie światła z wyjątkiem lampki przy łóżku. Zdjął też buty i leżał teraz w pościeli, a zrzucona kapa w odległym kącie pokoju. Jego niewiarygodnie kosztowny zegarek spoczywał na nocnej szafeczce.

Widział, że mam na sobie jego szlafrok. Stałam przy nim, spojrzałam na niego z góry i pozwoliłam szlafrokowi zsunąć się na dywan. Stanik i majteczki zostawiłam w łazience, więc w tej chwili Lanny poznał mnie o wiele lepiej.

Klimatyzacja w pokoju chłodziła powietrze i w połączeniu z wewnętrznym dreszczem, wywołanym śmiałością tego, co robiłam, sprawiała, że moja skóra nabrała ponętnej, jak miałam nadzieję, faktury gęsiej skórki. Moje sutki były twarde, ale to akurat nie zmieniłoby się nawet bez klimatyzacji. Podniecała mnie moja własna odwaga, a widok wypukłości pod jego spodniami świadczył, że i on nie pozostał obojętny. Pociągnął mnie do siebie na łóżko... i wkrótce moje piersi, moje ramiona, mój brzuch, moja pleć (jak zwykłam ją nazywać), moja szyja, mój tyłek, mój grzbiet i wargi ocierały się o jego koszulę, jego skórę, jego kuśkę (jak zwykłam ją nazywać), gdy pośpiesznie się pode mną rozbierał. Nasze ciekawskie, wprawne, śliskie języki wdzierały się wszędzie, przynosząc rozkosz jednego cudownego odkrycia za drugim. Albo oboje byliśmy razem bardzo dobrzy, albo on był tak niewiarygodny, że był dostatecznie dobry za nas dwoje. Gdy wreszcie wszedł we mnie - i Boże, mój Boże, poczułam się tak wypełniona - a jego rytmiczne, stanowcze sztosy, które nie zdradzały najmniejszych oznak wyczerpania i wywoływały ekstatyczny ucisk, odczuwalny aż w szyjce macicy, o tak, poddałam się temu nieustająco pracującemu silnikowi, który skonstruowaliśmy razem w tym łóżku, w tym hotelowym pokoju, tej turbinie z nim i mną jako nieprzytomnymi tłokami, i pomyślałam, pomyślałam, gdy oddałam się mu bez reszty: „Czy teraz jestem częścią historii? Czy tego właśnie chciałam?“, i gdy zaczęłam krzyczeć bezgłośnie w cudownej rozpaczy „hosanna“, nie wiedziałam już, do kogo tę myśl skierowałam.

Lanny (który wstał wcześniej poprzedniego ranka, żeby wystąpić w „Today”) znowu wstał wcześniej - wywnioskowałam, gdy obudziłam się w łóżku sama. Najwyraźniej okazał się na tyle wyrozumiały, żeby mnie nie budzić, i byłam wdzięczna za tę dodatkową dawkę snu. Po pierwszym miłosnym szale zaczęliśmy rozmawiać - dość nieśmiało i o niczym specjalnym, zwłaszcza gdy temat schodził na mnie. Staralam się utrzymać swoje zdawkowe uwagi w tonie filozoficznym i niebiograficznym. Podczas pogawędki oboje radośnie i niezobowiązująco eksplorowaliśmy nasze ciała. W pewnym momencie Lanny postanowił poświęcić skupioną uwagę jedynej stałej gwiazdzie w konstelacji mego tak gruntownie zbadanego ciała. Zaczęło się prawie od niechcenia, lecz późniejsza kontynuacja nabrała przyjemnie zapamiętałej stanowczości i nieustępliwości. Byłam w tym miejscu nadwrażliwa dopiero trzydzieści minut wcześniej, lecz teraz znów mogłam mu pozwolić na zrobienie tego, na co należał. Wkrótce trudno było odróżnić jego ruchliwy język od palców. Doznania mieszały się, jakby kilku mężczyzn o odmiennych temperamentach poczynało sobie ze mną równocześnie, dzieląc się zadaniami, porównując uwagi i sondując moje reakcje, a zarazem będąc całkowicie oddanymi wytworzeniu tej złowrogiej, wzbierającej we mnie głęboko fali.

Powiem wam, bo należy to do moich pisarskich obowiązków, że drugi orgazm z Lannym był prawie na pewno najdłuższy ze wszystkich, jakich zaznałam, nawet z własnej ręki. Przez pełen udręki, niemiłosiernie długi czas nie dochodziłam do szczytu. Myślałam już, że stracę przytomność i z braku powietrza przestanie mi bić serce. Na pewno teraz już koniec. Nie? Jeszcze nie. Teraz powolny oddech. Nadal nie.

- Przestań - jęknęłam błagalnie.
- Nie - zabrzmiała dowcipna riposta.



- Umrę - wyznałam.
- Jeszcze nie teraz - zdołał odpowiedzieć.

To było tak okrutne z jego strony. Dałam mu tylko to, czego chciał, a teraz proszę, przez niego jestem bliska śmierci, lecz wciąż nie umieram.

- Teraz możesz umrzeć - mruknął.

Moje krzyki stały się tak głośne, jakby rzeczywiście mnie zabijano. Lanny nie miał wyboru i musiał zatkać mi ręką usta. Rozumiałam go, nawet gdy mnie prawie udusił. Ja też się bałam, że ochrona hotelowa może za chwilę wedrzeć się do pokoju.

Później się odwdzięczyłam. Nie mogę oceniać własnego dzieła, ale doprowadziłam go do tak nabrzmiałej erekcji i utrzymywałam na skraju spełnienia tak długo, że muszę przepuścić, iż spisałam się dobrze. Z początku byłam niczym koliber, potem niby ciepłe ruchome piaski, aż wreszcie stałam się egzotyczną tancerką, biodrami kreślącą nad nim ozdobne spirale. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że znowu szczytuję, gdy on chrapliwie wykrzyczał pode mną własne, pozbawione słów epitafium.

Po kilku długich minutach milczenia poszliśmy razem do łazienki i puściwszy z kranu zimną wodę, pochyliliśmy się nad umywalką, spijając ją łączywie, aż ugasiliśmy pragnienie. Potem wróciliśmy do łóżka, ułożyliśmy się wygodnie i natychmiast zasnęliśmy.

Kiedy się obudziłam, zerknęłam na radio-budzik General Electric, należący do wyposażenia hotelu, lecz widocznie został wyłączony z kontaktu o 2.26 w nocy, najprawdopodobniej wskutek naszych harców. Miałam zegarek, ale zostawiłam go w łazience razem z ubraniem, a po prostu nie byłam jeszcze gotowa do wstania. Od przyjazdu na Manhattan dwa razy z rzędu budziłam się rano w obcym łóżku, a zmęczenie po podróży samolotem zawsze najmocniej daje mi się we znaki na drugi dzień. Biorąc pod uwagę stan, w jakim byłam, gdy kładłam się spać, uznałam, że wciąż potrzebuję jeszcze jednej lub dwóch godzin porządnego snu. Wyciągnęłam rękę do nowego kochanka, ale stwierdziłam, że go nie ma. Zastanawiałam się, czy nie wstać i go nie odszukać, lecz pomyślałam, że mogę się najpierw trochę zdrzemnąć. Może był w łazience albo, co bardziej prawdopodobne, przygotowywał jakieś nieprawdopodobne śniadanie - wynajmował łódź Circle Line i catering z Regency albo Ratner's... a może po prostu zjemy w łóżku jajka sadzone na bekonie i grzankach. Wyobraziłam sobie czarne oliwki na białku i jaskrawożółte żółtko na ołtarzu ze szkarłatnego plastra bekonu i chrupiącej bułeczki. Wtuliłam głowę w poduszkę.

Ze snu wyrwał mnie irytujący szum odkurzacza za drzwiami sypialni, w salonie. Ten Reuben to dopiero pedantyczny facet, słowo daję.

Nie uśmiechał mi się pomysł powitania Reubena, który uznałby mnie po prostu za dziewczynę poderwaną przez Lanny'ego w samolocie. Którą oczywiście byłam. Ale denerwowało mnie, że może mnie brać za lecącą na sławnych facetów *groupie*. Byłam modną pisarką z osiągnięciami, przeprowadzałam już wywiady z ludźmi równie znanymi jak Lanny Morris i zdążyłam zakolegować się z Vince'em Collinsem. Posiadałam dokumentację z najważniejszych firm wydawniczych na rynku, która potwierdzała mój zawodowy status.

Odkurzacze Reubena obił się o drzwi sypialni. Uznałam, że zrobił to specjalnie, żeby pozbyć się mnie z łóżka. Rozejrzałam się w poszukiwaniu szlafroka, ale go nie było. Moją torebkę i ubranie przyniesiono z łazienki i ułożono starannie w rzędku na komodzie. Nie wyobrażałam sobie, żeby mógł to zrobić Lanny; wszystko wskazywało, że to sprawka porządnickiego Reubena. Nie podobało mi się, że pozwolił sobie na to, kiedy spałam. Czy naprawdę musiał sprzątać pokój, zanim się obudziłam?

Pozbierałam rzeczy z komody i podreptałam do łazienki, gdzie ubrałam się i zrobiłam, co mogłam, żeby doprowadzić twarz i włosy do jakiegoś takiego porządku. Potem wyszłam z sypialni do salonu.

Ale to nie Reuben odkurzał dywan.

Zamiast niego zastałam sprzątaczkę w biało-niebieskim fartuchu obsługi hotelu Plaza. Popatrzyła na mnie, jakbym była jedną z toalet do wyczyszczenia.

- Dzisiaj się wymeldować? - spytała z południowoamerykańskim akcentem.

Zapytałam najpierw po angielsku, a potem kalecząc hiszpański, czy mogłaby wrócić za pół godziny. Zrobiła poirytowaną minę, pokazała na zegarek i wyszła.

Pokój został оголоzony ze wszystkiego, co nie należało do hotelowego wyposażenia. Znając już odpowiedź, rozejrzałam się po apartamencie w poszukiwaniu Lanny'ego, Reubena albo chociaż liściku. Nic. W drugiej sypialni wyraźnie nikt nie nocował. Zgadywałam, że Lanny używał jej po prostu jako garderoby.

Podeszłam do telefonu, wcisnęłam dziewiątkę, uzyskałam sygnał i wykręciłam numer hotelu, wypisany na aparacie, jakbym dzwoniła z zewnątrz. Poprosiłam telefonistkę o połączenie mnie z panem Merwinem. Po chwili oznajmiła mi, że się wymeldował.

Kto by pomyślał? Kutas puścił mnie w trąbę.

Technicznie rzecz biorąc, przebywałam w hotelu Plaza nielegalnie. I rzeczywiście czułam się jak przybłąda. Albo jak kompletne zero. Jak nazywał się ten włoski film? „Uwiedziona i porzucona”. Gdy moje inne romantyczne związki kończyły się odejściem jednej ze stron, zanim druga się obudziła, niezmiennie byłam to ja i zawsze zostawiałam przynajmniej

wiadomość na poduszce, na lustrze w łazience albo na drzwiach łodówki.  
Sukinsyn.

W pierwszym odruchu pomyślałam o zamówieniu paru butelek szampana Dom Pérignon i obciążeniu rachunkiem Lanny'ego, ale i tak czułam się już jak tania dziwka, która rozłożyła nogi w zamian za przejażdżkę limuzyną, hamburgera i parę drinków.

Nagle zapragnęłam wziąć prysznic. Hydraulika łazienek w Plazie była staroświecka, z osobnymi kranami na ciepłą i zimną wodę, przytwierdzonymi do wanny, może za pomocą rdzy. Przekreśliłam umieszczoną nieco wyżej gałkę od natrysku, odczekałam minutkę i odkryłam, że gorąca woda jest dla kierownictwa najwyraźniej trudna do zdobycia. Pewnie inny gość hotelu brał akurat prysznic. Może i dobrze, pomyślałam, przypominając sobie los wcześniejszych kobiet, które zajmowały wanny w pokojach hotelowych, zarezerwowanych dla Lanny'ego Morrisa. Poza tym po kąpie-li zapragnęłabym zmienić bieliznę, którą uważałam teraz za zbrukaną samym faktem, że zdjęłam ją dla jego przyjemności.

Opuściłam apartament prawie tak pośpiesznie jak Lanny. Windę obsługiwał Mateo Mickey, który zaledwie wczoraj otaksował mnie lubieżnie wzrokiem, gdy wjeżdżałam na piętro. Zobaczyłam lekki zarys uśmiechu na jego wargach, gdy zauważył, że jestem ubrana w to, co poprzednio.

- Zamknij się - warknęłam.

W recepcji podeszłam do kontuaru i zapytałam, czy pan Merwin albo pan Lanny Morris zostawił wiadomość dla panny Bonnie Trout. Recepcjonista odpowiedział bez wahania:

- Nie. Czy zamówić dla pani taksówkę? - Dał mi w ten sposób do zrozumienia, żebym sphywała.

Wyszłam na Pięćdziesiątą Dziewiątą ulicę. Południowy wiatr zawiął mi prosto w twarz, przynosząc smród końskiego łajna z bryczek i karet po drugiej stronie jezdnii. Odwróciłam się plecami do Plazy i Autopubu i ruszyłam na zachód.

Dlaczego w ogóle przespałam się z Lannym? Nie mogłam zrzucić winy wyłącznie na dwa duże martini, które wypiałam, bo nawet nie zbliżyły się do mojego limitu. A z pewnością przeprowadziłam wywiady z tyloma sławnymi ludźmi, że mało prawdopodobne, by nagle zafascynował mnie urok gwiazdora ekranu.

Rozważałam możliwość, że podświadomie przespałam się z nim na skutek opóźnionej reakcji na zaloty Vince'a: że dałam się poderwać Lanny'emu w zastępstwie Vince'a. Nie mogłam kopulować z Vince'em, ponieważ mieliśmy wcześniej mnóstwo roboty do wykonania, ale mogłam wskoczyć do łóżka Lanny'emu, ponieważ jego umowa nie dotyczyła.

Spodobało mi się to wyjaśnienie, nawet bardzo, więc postanowiłam uznać je na razie za obowiązujące.

Tymczasem: ten sukinsyn.

Przez niego wyglądałam gorzej niż na dziwkę. Zrobił ze mnie idiotkę. Gdyby tylko zachowywał się jak odrażający Lanny Morris ze wspomnień, które czytałam, nigdy nie wpakowałabym się w tę sytuację. A przynajmniej nie oczekiwałabym niczego więcej oprócz wyróżnienia ciupcianka numer 331 i faworytki do tytułu Miss Ciupcialińska. Na pewno wykazałabym większy umiar i rozsądek w dzieleniu się z nim swoimi krągłościami i zagłębieniami.

No cóż. W życiu najważniejsze jest, żeby wyciągać wnioski z błędów, identyfikować powody, dla których inni mogli cię do nich doprowadzić, i ich zabić. Jestem osobą, która gdy ktoś nadeptnie mi na stopę, odruchowo mówi: „Przepraszam!”. Strzeżcie się takich ludzi, przyjaciele. Jesteśmy, jak napisał kiedyś Dickens, „skryci i mściwi”.

Nagle znalazłam dodatkową motywację do napisania książki o Vinsie. Mogłoby to być nie tylko fascynujące studium największego duetu komediowego lat pięćdziesiątych, ale także wspaniała okazja, żeby zniszczyć reputację Lanny'ego, zwłaszcza jeśli dałoby się to zrobić z nienaganą ścisłością, dokładnością i poprzez dokumentację.

Po raz pierwszy, odkąd zabrałam się do tego projektu, wiedziałam, jak poradzić sobie z dylematem wyważonego przeciwstawienia historii Vinc'e'a (którą usłyszę od niego na własne uszy) historii Lanny'ego (której wcale nie spodziewałam się usłyszeć).

Po prostu nie będę niczego wyważać i przeciwstawiać.

Dotarłam do ronda Kolumba ożywiona. To byłaby najlepsza zemsta, na jaką mnie stać. Wszelkie brudy, które wykopię, oczywiście musiałyby być prawdziwe. Ale szukałabym akurat tej jednej „prawdy” i - wzorem bulwarówek - przyjmowałabym wyłącznie te dane, które potwierdzałyby moją roboczą hipotezę. Tak jak wykres na dorocznym zebraniu akcjonariuszy, prawda może być prawie wszystkim, czym zechcesz.

Stałam przy schodach do stacji metra, gdzie mogłam wsiąść do kolejek IRT albo IND, jadących w rozmaitych kierunkach. Poinstruowałam się w duchu: „Powinnaś wsiąść do kolejki do Sugar Hill na Sto Czterdziestej Piątej w Harlem, a potem pojechać na Sto Siedemdziesiątą Piątą”. Z ostatniej stacji można się było udać w dwa ważne miejsca. Pierwszym był zbór wielebnego Ike'a, gdzie przedtem mieścił się jeden z wielkich pałaców kinowych Loewego. Drugim - przystanek autobusowy przy moście Waszyngtona.

Przeszłam zawilgoconym betonowym korytarzem z peronu, stromo pod górę, na samą stację, która była stanowczo uboższą siostrą olbrzymiego dworca autobusowego przy Times Square. Wiedziałam, że

prawie każdy autobus, wyjeżdżający z Manhattanu przez most Waszyngtona, zatrzymuje się przy Bridge Plaza w Fort Lee, w New Jersey, podobnie jak każda jadąca na północ kolejka z Grand Central zatrzymuje się przy Sto Dwudziestej Piątej. Pośpiesznie wypilałam w barze kubeczek kawy (co przypomniało mi, że kawa w większości barów nie jest zbyt smaczna) i ruchomymi schodami wjechałam pod wiatę, skąd wszystkie autobusy wyjeżdżały bezpośrednio na most.

Pięć minut później zeszałam po trzydziestu betonowych schodkach z Bridge Plaza na aleję Lemoine w Fort Lee, gdzie przy krawężniku ciągnęła się kolejka około czterdziestu żółtych taksówek, stojących beczynnym we wczesnopopołudniowym słońcu. Pierwszy taksowiarz na postoju, krzepki facet z baczkami, machnięciem ręki zaprosił mnie na przestronne tylne siedzenie.

- Dokąd?

- Do Palisades Park.

Odwrócił się i popatrzył na mnie.

- Do miasta, czy do parku rozrywki? Niektórzy wysiadają z autobusu i chcą pojechać do parku rozrywki, ale zamknięto go parę lat temu.

- Szkoda.

- Cholerna szkoda. - Skrzywił się i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik taksówki brzmiał jak traktor. - Nie było żadnego powodu, żeby go zamykać. Oprócz ludzkiej pazerności.

- Może mnie pan zawieźć na tamtejszy posterunek policji? - spytałam.

- Jasne, ale złożenie skargi niewiele teraz pomoże - powiedział, wyjeżdżając z postoju.

Zawsze myślę o posterunku policji jako o budynku z dwiema okrągłymi latarniami przed wejściem i palącym cygarem sierżantem w dyżurce. Ten posterunek mógłby być równie dobrze lokalną biblioteką (z całą dla tych, którzy nie oddają książek w terminie).

Zapytałam umundurowanego funkcjonariusza za biurkiem dyżurki, czy pracuje tu jeszcze ktoś, kto mógł być zaangażowany w śledztwo dotyczące śmierci Maurena O'Flaherty. Pokazałam mu list, który zawsze trzymam w notesie, napisany przez Connie Wechsler na firmowym papierze Neumana i Newberry'ego i potwierdzający, że pracuję nad zamówioną przez wydawnictwo książką o Lannym Morrisie i Vinsie Collinsie. Gdybym była dziennikarzem z gazety i mężczyzną, prawdopodobnie zbyłyby mnie wzruszeniem ramion, lecz ponieważ byłam ładną młodą kobietą, piszącą, kto by pomyślał, książkę, „Dobra robota, skarbie”, powiedział i nie zdziwiłabym się, gdyby pogłaskał mnie na dodatek po głowie - starał się pomóc „małej dziewczynce”, jak umiał najlepiej. Po skonsultowaniu się z kolegami powiedział, że jedyną osobą z

okolicy, która przychodzi mu na myśl, jest Jack Scaglia (wymówił „g” w nazwisku), jeden z dwóch policjantów, którzy zobaczyli ciało Maureen pierwsi. Scaglia przeszedł na wcześniejszą emeryturę i teraz kierował działem ochrony w firmie Lipton w Englewood Cliffs, tylko kilka kilometrów dalej przy alei Lemoine. Policjant podał mi numer telefonu centrali biurowej Liptona i udało mi się połączyć z Jackiem Scaglia. Nie wymówiłam „g” w jego nazwisku, co w połączeniu z moją słynną umiejętnością podrabiania przez telefon tembru głosu Ann-Margret wystarczyło do uzyskania zgody na natychmiastową audiencję.

Scaglia miał trzydzieści parę lat, gdy eskortował Lanny'ego i Vince'a na konferencję prasową w Casino del Mar, a potem do ich hotelowego apartamentu. Teraz miał przyjemny gabinet, a na biurku plastikową kostkę ze zdjęciami żony i dwóch córek oraz małą plastikową statuetkę Oscara z plakietską NAJLEPSZY TATA NA ŚWIECIE.

Wy tłumaczyłam, że nie dysponuję żadnymi urzędowymi uprawnieniami i że jeśli zechce udzielić mi informacji, dziękuję mu za to w książce. Zapytał, czy mogłabym zaznaczyć, że jego nazwisko wymawia się z „g”, na co odrzekłam, że jeśli zacytuję go w książce, na pewno tak zrobię. Uspokojony powiedział:

- Sally Santoro i jego ludzie... - Urwał i zapytał: - Czy ta część rozmowy może pozostać między nami?

Pokiwałam poważnie głową i zapewniłam, że zawsze zachowuję całkowitą dyskrecję w wypadku takiej prośby, co lekkomyślnie potraktował jako „tak”. Uspokojony wyjaśnił:

- Sally utrzymywał dosyć ściśle stosunki z policją stanową, wciąż je zresztą utrzymuje, więc gdy potrzebował paru gliniarzy do ochrony, zawsze chętnie pomagaliśmy. Tak długo, jak nie popełniał żadnego poważnego przestępstwa, staraliśmy się go szanować i współpracować z jego ludźmi. Bardzo wspierali policję, oczywiście z wyjątkiem wypadków, gdy chodziło o przestępczość. Ale dzięki nim do regionu napływał ogromny kapitał, jak może sobie pani wyobrazić.

Mogłam. Okazało się, że to właśnie Jack znalazł sprzątaczkę (która pierwsza zobaczyła zwłoki), a potem samą Maureen O'Flaherty.

- Nigdy wcześniej nie widziałem tak pięknej martwej kobiety - wyznał, gdy odmówiwszy drinka, patrzyłam, jak o godzinie trzeciej po południu nalewa sobie whisky Four Roses. - Woda sięgała nieco ponad nos. - Rozstawił palec wskazujący i kiuk, żeby mi pokazać.

- O tyle. Proszę sobie wyobrazić, że od takiej ilości wody może zależeć czyjeś życie i śmierć.

Zapytałam, czy koroner w ogóle określił przyczynę zgonu. Większość tych informacji znalazłam już z archiwów prasowych, ale miałam nadzieję, że powie na ten temat coś nowego, zwłaszcza jeśli dzięki temu Lanny zacząłby wyglądać bardziej podejrzanie. Uśmiechnął się cierpliwie, gdy dolewał

do swojej whisky trochę wody z niedużego dzbanka, stojącego na biurku.

- Proszę spróbować poleżeć pod wodą bez rurki do oddychania przez parę godzin. Jak pani myśli, od czego umarła?

- Więc utopiła się.

- Jasne, że się utopiła.

- Dlaczego? - spytałam. Popatrzył na zegarek.

- Proszę posłuchać, myślałem... Jak to „dlaczego”?

Pokazałam na paczkę papierosów Benson & Hedges, która leżała na biurku.

- Mogę się poczęstować? - zapytałam.

Wyglądał na poirytowanego, ale pokiwał głową. Niespiesznie wyciągnęłam jednego z paczki.

- Chodzi mi o to, że pan i ja codziennie kąpiemy się w wannach. Ale się w nich nie topimy.

Sięgnął do szuflady, wydobyl kartonik zapalek z jakiegoś Bicycle Club i podał mi ogień.

- Mówiło się, że wymieszała jakieś pigułki z alkoholem... nie dlatego, że chciała się zabić, rozumie pani. Po prostu straciła przytomność.

- Żadnych śladów przemocy?

Zabawne. Czulałam się, jakbym wiedziała o tym więcej od niego, a on przez cały czas był na miejscu. Usiadł na fotelu obok mnie i poskubał dolną wargę.

- Nadal rozmawiamy nieoficjalnie?

Ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć. Powiedziałam:

- Nikt nie usłyszy niczego, jeśli się na to nie zgodzę, a pewnie obraża pan sobie, jak bym się z tym czuła. Przecież nawet nic nie notuję, prawda? Po prostu szukam kontekstu. - Powiedziałam to szybko i gładko i, technicznie rzecz biorąc, wcale nie skłamałam.

Jack zapalił jednego ze swoich długich na sto milimetrów papierosów.

- Okej. Dobra, proszę posłuchać. Casino del Mar to była duża sprawa dla Sally'ego Santoro, zresztą dla nas wszystkich. To była szansa, żeby zmienić to miasto i stworzyć tu coś na kształt Atlantic City. Tylko że my byliśmy blisko Manhattanu, więc biznes kręciłby się jeszcze lepiej. Otwarcie towarzyszyła wielka kampania reklamowa z Vince'em i Lannym... a tu ta głupia dziewczyna pojawia się martwa w wannie. Nic nie mogło jej już wskrzesić. Było w interesie wszystkich - zniżył trochę głos - zwłaszcza w interesie Sally'ego, żeby nie robić z tego skandalu. Więc całe dochodzenie szybko zamknięto, jej ciało poddano kremacji i tyle.

Pokiwałam głową.

- Pytałam, czy na ciele były ślady przemocy?
- Koroner powiedział...
- Jack, pytam ciebie. Widziałeś ciało na długo przed koronerem. Po prostu pytam cię, co widziałeś, na litość boską.

Więc mi powiedział. Ciało było sine. Na tułowiu widniały zadrapania, ale wyglądały trochę niezwykle, bo tak naprawdę nie były to nacięcia, tylko raczej drobne obrzęki. Lekarz sądowy nie zwracał sobie nimi głowy, ale Jack Scaglia niedwuznacznie dał mi też do zrozumienia, że rzadko spotykało się wtedy porządnym lekarzy sądowych poza wielkimi aglomeracjami. W tamtych czasach patologa sądowego powszechnie uważano za lekarza alkoholika z rozbudzonym sumieniem, co to woli wykonywać operacje na ludziach, którym nie może już zaszkodzić.

Patolog uznał, że ślady mogły powstać przed zgonem Maureen, może w trakcie uprawiania seksu. Scaglia powiedział mi, że gdy tylko coś wymagało wyjaśnienia, urząd koronera dawał zwykle do zrozumienia, że w grę wchodzi szeroka gama perwersyjnych praktyk seksualnych, jakim oddają się tacy bezwstydni ludzie, którzy pozwalają się znaleźć martwi.

Szukając jakiegokolwiek słabego punktu w alibi Lanny'ego, spytałam Scaglie o ustalenia w sprawie czasu zgonu. Powiedział, że koroner oparł się na zaawansowaniu stężenia pośmiertnego, czyli usztywniającego ciała napięcia mięśni, które następuje po zgonie. Stężenie zwykle zaczyna się od około sześciu do dziewięciu godzin od chwili śmierci, a w każdym razie takie przekonanie panowało w latach pięćdziesiątych. Jednak w wypadku Maureen O'Flaherty oszacowano, że zgon musiał nastąpić znacznie później niż przed sześcioma godzinami, ze względu na to, że dziewczyna zmarła podczas kąpieli. Im wyższa temperatura, tym szybciej ciało tężeje. W gorącej albo nawet letniej kąpieli ciało Maureen zareagowałoby tak, jakby żyła (a raczej zmarła) w klimacie tropikalnym, gdzie stężenie następuje prawie natychmiast. Kiedy zwłoki zostały znalezione przez Scaglię i zbadane przez koronera, efekt stężenia dopiero zaczynał dawać o sobie znać. Lekarz ustalił czas zgonu na dwie, góra trzy godziny wcześniej.

Obliczenia dokonane przez koronera całkowicie oczyściły obu artystów z zarzutów. Nawet gdyby przyjąć, że stężenie nastąpiło aż dwanaście godzin po śmierci, Vince i Lanny wciąż mieli najlepsze alibi, dostępne w dwudziestym wieku: występowali przed kamerami, na żywo, na oczach milionów świadków. Przerwy na „drzemki” spędzali w garderobach, w których nie było okien; na korytarzu przed ich drzwiami siedział policjant, który pilnował, żeby nikt przypadkowo albo rozmyślnie nie zakłócał im snu. A co najważniejsze, drzemki nigdy nie trwały dłużej niż kilka godzin,



a nawet najszybszy prywatny samolot nie mógłby przelecieć z Florydy do New Jersey i z powrotem w tak krótkim czasie, nie wspominając już o podróży z i na lotnisko i tych kilku dodatkowych minutach, potrzebnych do popełnienia morderstwa.

Koroner zbadał ślady obecności nasienia - Scaglia czuł się dosyć niezręcznie, gdy mi to opowiadał, i nawet trochę się zarumienił - i odpowiedź okazała się klinicznie pozytywna, ale nie udało mu się natrafić na obecność samego wytrysku (jak określił to Scaglia). Tak więc wszystko wskazywało na to, że ofiara uprawiała seks nie dalej niż tydzień przed śmiercią, lecz ograniczenia nauki późnych lat pięćdziesiątych nie pozwalały wynioskować nic więcej.

- Więc odkąd ty i twój partner zjawiliście się w Casino, nie zdarzyło się ani razu, by Lanny albo Vince nie byli całkowicie widoczni dla co najmniej dwóch osób? - spytałam, znając odpowiedź.

Scaglia odparł, że niemożliwe, aby udało im się wymknąć, i że nie tylko on i jego partner, który nazywał się Ted Dolinger, byli przy nich aż do znalezienia Maureen, ale też obserwowali ich licznie reprezentowana prasa. Udzielili nawet wywiadu telewizyjnego na żywo.

Zatem moja wycieczka do Palisades Park potwierdziła jedynie to, co dziennikarze rubryk towarzyskich musieli niechętnie przyznać piętnaście lat temu: że Vince'a i Lanny'ego nie można obciążać winą za śmierć dziewczyny, mimo że znaleziono ją w ich apartamencie i że ona (jak się później okazało) obu ich znała. Co robiła w ich hotelu (i w ich wannie, skoro już o tym mowa), jak dostała się tam z Miami i czy jej śmierć była wypadkiem, czy skutkiem przestępstwa - wszystkie te tajemnice pozostały bez rozwiązania i z biegiem lat szanse na znalezienie odpowiedzi coraz bardziej malały. Przez rzekomą urzędniczą pomyłkę ciało Maureen spalono na popiół wkrótce po niechlujnie wykonanej autopsji, która niczego nie wyjaśniła. Płomienie pieca kremacyjnego zagwarantowały, że główny trop dla ewentualnego przyszłego śledztwa bezpowrotnie zniknął.

Kiedy stało się jasne, że nasi chłopcy nie mogą zostać bezpośrednio powiązani ze śmiercią Maureen, potężni felietoniści tamtego okresu potraktowali historię na rozmaite sposoby. Najsprytniejsza okazała się Kilgallen: natychmiast stała się ich orędowniczką, odpierając wszystkie niegodziwe plotki i fałsze, które krążyły po kraju, a tym samym wspaniale przyczyniła się do ich rozpowszechniania. W podobnym stylu Jack O'Brien spekulował, że panna O'Flaherty wpadła w oko Sally'emu Santoro na Florydzie i gdy mafioso dowiedział się, że dziewczyna ma chętkę na jednego z artystów, zostawił ją martwą w wannie jako wielką mokrą niespodziankę dla obu chłopców. W swym żmijowym legowisku w Miami Moe Cohn uznał, że alibi zepsuło całą zabawę, i postanowił, że skoro nie może

napisać o Vinsie i Lannym nic złego, to w ogóle nic nie napisze. Już nigdy więcej nie wspomniał ich w swojej kolumnie, lecz zamiast tego obsypywał szczodrymi, mdłymi pochwałami ich konkurencję. Nie stanowiło to interesującej lektury i pod koniec roku jego dział zlikwidowano, a „Miami Sentinel” wypełnił wolne miejsce krótszymi, bardziej lekkostrawnymi tekstami z dodatkiem atrakcyjnych fotek.

Lecz chociaż śmierci Maureen nie można było przypisać Vince'owi ani Lanny'emu, prasa brukowa bez żenady zastanawiała się na głos, co dziewczyna robiła w przeznaczonym dla nich apartamencie. Może brała kąpiel z zamiarem wśliznięcia się w chłodną pościel i poczekania na jednego z dwóch chłopców. Jeśli tak, to czy miała to być niespodzianka dla jednego albo obu aktorów (być może zorganizowana przez wdzięcznego Sally'ego Santoro)... czy też Maureen znalazła się tam na prośbę Lanny'ego lub Vince'a? We wspomnieniach Lanny'ego nie było nic, co wskazywałoby, że któryś z nich autentycznie zadurzył się w pannie O'Flaherty. Czemu ściągnano by ją aż z Miami, skoro bez wątplenia w okolicach Nowego Jorku nie brakowało biegłych kurtyzan?

Scaglia przekazał mi większość tego, co miał do powiedzenia, w Bicycle Club, ekskluzywnym barze dla samotnych w pobliżu wjazdu na Palisades Parkway. Wyjaśnił, że po prostu będzie mógł tam rozmawiać swobodniej. Z pewnością musiał mówić głośnie. Mimo że był głową rodziny, zauważyłam, że nasza kelnerka jest ze Scaglią po imieniu i przekazała mu pilną wiadomość od niejakiej Cheryl, która zastanawiała się, dlaczego nie ma od niego wieści.

Zapytałam go, z wyrazem namiętnego zainteresowania, obliczonego na nadinterpretację z jego strony:

- Ale czy nie pamiętasz nic innego, Jack? Nic, co tylko ty mogłeś wtedy zauważyć albo usłyszeć, a czego inni nie zauważyli?

Rozejrzał się ukradkiem po tłumie gości, a potem popatrzył z powrotem na mnie.

- Słuchaj, tak się składa, że jest coś takiego. Ale to nie miejsce na tego typu rozmowę. Musielibyśmy... pójść gdzieś, gdzie mielibyśmy zapewnioną prywatność.

- Gdzie by to mogło być? - zapytałam.

Zasugerował motel oddalony o jakieś cztery minuty jazdy samochodem. *Quelle surprise!* Więc wsiedliśmy do jego pomarańczowego datsuna combi i pojechaliśmy do Cresskill Inn, całkiem miłego jak na hotelik na godziny, ale trochę tandetnego jak na wioskę w stylu Normana Rockwella. Scaglia załatwił wynajęcie pokoju z kierownikiem, który z mojego punktu obserwacyjnego, czyli samochodu zaparkowanego przy oknie, zdawał się znać Jacka prawie tak dobrze, jak kelnerka z Bicycle Club.

Pokój w motelu miał wszelkie wygody: łóżko. Stało tam też krzesło i skrzyżowanie biurka i toaletki. Usiadłam na zapadającym się łóżku, a Jack rozejrzał się po pokoju, uradowany obecnością kubelka na lód. Zasugerował, że weźmie trochę lodu z maszyny na zewnątrz. Miał butelkę Four Roses w schowku na rękawiczki...

- Jack. - Uśmiechnęłam się. - Przyjechaliśmy tu, żebyśmy mogli rozmawiać w bardziej prywatnej atmosferze. Więc najpierw załatwmy sprawy zawodowe, a potem... cóż, noc jest młoda. - W rzeczywistości było kilka minut po piątej po południu, a słońce wciąż jasno świeciło na niebie, więc noc była zaledwie w stanie embrionalnym.

Scaglia westchnął ciężko.

- Tylko nie możesz mówić, gdzie to usłyszałaś - przestrzegł.

Roześmiałam się.

- Czy wydaje się prawdopodobne, że napiszę w książce, że zameldowałam się z tobą w Cresskill Inn?

Zmarszczył brwi.

- Że usłyszałaś to ode mnie.

- Aha, napiszę po prostu, że informacja pochodzi z wiarygodnego źródła.

Jack Scaglia sprawiał wrażenie, jakby kamień spadł mu z serca. Wiarygodne Źródło zaciągnęło się znowu papierosem Benson & Hedges i zaczęło:

- Policja nie lubi zdradzać pewnych informacji o okolicznościach przestępstwa mediom i opinii publicznej. Dzięki temu łatwiej się zorientować, kto może coś wiedzieć albo kto kłamie. Więc z ciałem tej dziewczyny było coś dziwnego, o czym nigdy nie wspomniano w prasie.

- Masz na myśli ślady na tułowiu i nogach?

Pokręcił głową.

- Nie. Chodziło o coś trochę bardziej niezwykłego. Chyba nikt nie zauważył tego od razu. Miała obcięte dwa palce u nog.

Okej.

- Dwa palce jednej stopy czy po jednym na obu? - spytałam.

- Dwa na jednej. Najmniejszy palec i ten obok. Jakby odcięto je za jednym razem, może tym samym ostrzem.

- Czy w wannie była krew?

- Woda nie była krwawa ani nic, nie. Było nieco „wydaliny”... ciała mogą trochę, eee, przeciekać po śmierci.

- Czy cięcie było równe?

- Cóż, słyszałem, że tak. Koroner zwrócił na to uwagę detektywom zaangażowanym w śledztwo. Sam nie zauważyłem obciętych palców, kiedy znalazłem ciało. To znaczy, nie patrzyłem na jej palce u nog.

Słyszałam, że mafia obcina palce u rąk, zwłaszcza zawodowym szulerom i oszustom przyłapanym na manipulowaniu kartami. Ale nigdy u nóg.

Człowiek chory na cukrzycę mógłby mieć amputowany palec u nogi, gdyby rozwinęła się tam gangrena, ale Maureen nie chorowała na cukrzycę. Gdyby było inaczej, spekulowano by, czy nie doznała szoku insulinowego albo czy nie zapadła w śpiączkę cukrzycową.

Jedna z przyrodnych sióstr Kopciuszka odcięła sobie palce, żeby stopa zmieściła się w szklanym pantofelku (oczywiście nie w wersji disneyowskiej). Mężczyźni odstrzelili sobie kiedyś palce u stóp, żeby nie iść do wojska. Mogłabym spuentować to jakimś dowcipem, ale rozmawialiśmy o niezjącej młodej kobiecie, która, o ile zdołałam się zorientować na podstawie wspomnień pana Morrisa, nie dopuściła się niczego gorszego niż przespanie się z Lannym wkrótce po tym, jak go poznała. Mogłaby tak postąpić każda.

- Czy sądzili, że utraciła palce przed śmiercią?

- Właściwie to myśleli, że mogło do tego dojść później, bo na ranach prawie nie było zakrzepłej krwi.

I to był cały jego sekret. Nie miał absolutnie żadnego sensu ani dla mnie, ani dla niego. Zupełnie nie wiedziałam, jak za jego pomocą mogłabym splamić reputację Lanny'ego.

- To co powiesz teraz na drinka? - zapytał.

Pokiwałam głową.

- Przynieś z samochodu butelkę, a ja pójdę po lód - zaproponowałam, biorąc z biurka kwadratowy kubełek. - I może zapytam kierownika, czy w okolicy mają pizzerię z dostawą. Możemy zgłodzić, wcześniej czy później.

O tak, spodobało mu się to, co powiedziałam. W rozmaitych gierkach kobiety mają tę przewagę nad mężczyznami, że ci zawsze gotowi są uwierzyć, że są atrakcyjni dla każdej kobiety, która coś podobnego zasugeruje. Z dobrego serca Christie Brinkley mogłaby powiedzieć siedemdziesięcioletniemu listonoszowi imieniem Murray, z włosami wyrastającymi z uszu i pieprzykiem na prawym policzku: „Jesteś taki uroczy!”. Murray nie miałby problemu z przyjęciem tego do wiadomości. „Chyba rzeczywiście jestem niczego sobie”, przyznaje Murray. „Może kiedyś umówię się z Christie na randkę”. Żonaty i dzieciaty Jack Scaglia naprawdę myśli, że wybrałam szklankę gorzały, parę kawalców pizzy i szybki numerek w Cresskill Inn. Wychodzi do samochodu, całkowicie przekonany, że tak się stanie.

Przy maszynie z lodem skorzystałam z zawieszzonego na ścianie telefonu, zamówiłam taksówkę i zapytałam, ile wynosi ich taryfa na Manhattan na Wschodnią Trzydziątą. Z dwudziestoma sześcioma dolarami nie musiałam się niczym przejmować. Dwie minuty później taksówka zatrzymała

się przy pralni chemicznej Rite-Way Dry Cleaners naprzeciwko motelu, tak jak poprosiłam. Jazda zajęła tylko około czterdziestu minut. Na szczęście jechałam w odwrotnym kierunku niż samochody wyjeżdżające w godzinach szczytu z Manhattanu do New Jersey.

W mieszkaniu Beejay zdjęłam wreszcie ubranie, które wcześniej tak ochoczo zrzuciłam dla Lanny'ego w łazience hotelu Plaza, aby wdziać jedwabny szlafrok.

Popatrzyłam na swoje nagie ciało w lustrze i zadzwoniłam do serwisu automatycznej sekretarki Beejay, na wypadek gdyby Lanny zostawił jakieś wyjaśnienie, dzięki któremu wszystko znowu byłoby cudowne. W końcu zadzwonił tu do mnie wczoraj rano, więc na pewno miał numer.

Na pannę Trout nie czekały żadne wiadomości.

Odkręciłam wodę pod natryskiem. Była bardzo gorąca, znacznie cieplejsza i silniejsza niż letnie ciurkanie w Plazie. Weszłam pod strumień. Stałam bliżej główki prysznica i ustawiłam ją tak, żeby zamiast rozpryskującego się deszczu struga wody biła mnie niczym płaty śmigła helikoptera albo zasłużone różgi wychowawczynie. Ostatecznie zmieniłam ustawienie z masażowego z powrotem na zwykłe. To pozwoliło mi uzyskać jeszcze gorętszą wodę i gęste kłęby pary wypełniły łazienkę. Miałam jednak kłopot z namydleniem się i umyciem. Nie chodziło o to, że Beejay nie miała tyłu kostek mydła w mieszkaniu. Po prostu nie było ich dość na całym świecie.

Dom był uroczy. Naprawdę uroczy, pełen wdzięku dom. Ktoś bardzo o niego dbał, dzień za dniem. Dbał o rabatki i klomby przy ścieżce. Dbał o przycinanie żywopłotu z ligustru. Był to ten rodzaj domu, gdzie ktoś wychodzi co rano z miotłą i zamiata ganek, a potem powtarza tę czynność w południe. Z pewnością nie należał do nikogo z wyższej klasy średniej, lecz sam miał więcej klasy niż wiele olbrzymich, przypominających mauzolea rezydencji milionerów.

Obracając małe metalowe kółeczko w drzwiach, uruchomiłam dzwonek.

Drzwi otworzyły się i uroczy zapach słodkich kwiatów i kwitnących pnaczy z frontowego ogrodu spotkał się z aromatem dobrze zamkniętego drewna i wiśniowego potpourri z wnętrza. Czułam się, jakbym weszła z dzikiego ogrodu do ciepłej leguminy ze śliwkami, rodzynkami i przyprawami korzennymi.

Kobieta, która otworzyła drzwi, wyglądała na miłą, lecz przestraszoną, jakby zastanawiała się, jakie złe wieści mogą przynosić i czy można mnie jakoś powstrzymać przed ich przekazaniem.

- Tak? - Zdała sobie sprawę, że zapomniała się uśmiechnąć, i zrobiła to teraz. - Witam.

- Pani O'Flaherty?

- Tak.

- Nazywam się O'Connor, piszę książkę...

Kiwnęła głową i powiedziała, żebym weszła. Podróż tutaj okazała się stosunkowo łatwa: wsiadłam w kolejkę do New Rochelle (przejazd zajął dokładnie czterdzieści pięć minut, jak gwarantowała piosenka napisana przez wuja pani O'Flaherty), a potem zamówiłam taksówkę Bluebird pod same drzwi.

Pani O'Flaherty zaproponowała mi herbatę albo kawę. Na zewnątrz było bardzo ciepło i wybrałam herbatę, licząc, że będzie mrożona. Przyniosła

mi filizankę gorącej Constant Comment. Mimo to w domu panował znośny chłód pomimo braku klimatyzacji. Zauważyłam to na głos.

- Wysokie stropy, kamienna posadzka, przewiewne pokoje - wyjaśniła matka Maureen. - Oczywiście w zimie za to płacę. Ale po prostu wkładam więcej warstw ubrania. Kardiganów. Zawsze można włożyć na siebie jeszcze jeden, mawiał mój ojciec, ale nie wszystkie zdążysz zdjąć, zanim wkroczy policja. - Zaczęła się śmiać, lecz wspomnienie policji dodało smutną appoggiature do jej linii melodycznej i uciekła ode mnie wzrokiem. - Więc pisze pani książkę o tych ludziach? - zapytała. Położyła za duży nacisk na ostatnie dwa słowa, lecz jej mina świadczyła, że żałuje użycia tak brudnego wyrażenia.

- Przede wszystkim i głównie o Vinsie Collinsie - odpowiedziałam zgodnie z aktualnym stanem rzeczy. - Będę mu zadawała mnóstwo pytań i chciałabym wiedzieć, czy pani ma do niego jakieś pytania.

Uznałam, że będzie to najlepszy (i najbardziej szczerzy) sposób skłonięcia jej do rozmowy o córce. Uważałam, że wykazałam się taktem. Wbiła we mnie wzrok.

- Nie chciałabym być niegrzeczna, panno O'Connor, ale dlaczego to pani będzie zadawać te pytania?

Wytłumaczyłam to już wcześniej przez telefon, ale chyba nie wszystko do niej dotarło.

- To nie będzie czynność prawna, pani O'Flaherty. Nie chodzi o składanie zeznań pod przysięgą.

Sprawiła wrażenie trochę poirytowanej.

- Przecież wiem. Pytam, dlaczego pani wydawca uznał, że właśnie pani przeprowadzi wywiad?

- Właściwie to książka była moim własnym pomysłem. Zabiegałam o to.

- Ma pani jakieś osobiste motywy? Znała pani któregoś z nich, zanim zaproponowała pani napisanie książki?

Miałam nadzieję, że odpowiadając na drugie pytanie, wywołam wrażenie, jakbym odpowiedziała na oba.

- Nie spotkałam się nigdy z żadnym z nich, zanim wydawca nie dał mi zielonego światła. A jeśli chodzi o to, dlaczego akurat ja... Mój wydawca wie, że nie zadaję sławnym ludziom łatwych pytań. Umowa, którą wynegocjowałam z Vince'em Collinsem... Cóż, dałam mu jasno do zrozumienia, że zadam sporo bardzo bezpośrednich pytań, a jeśli dobrze wykonam swoją robotę, może nawet uzyskam trochę bezpośrednich odpowiedzi. Pomyślałam, że w imieniu pani i pani córki mogłabym przemyścić parę pytań, które mogłaby pani do niego mieć. - Pochyliłam się ku niej. - Staram się być po pani stronie, pani O'Flaherty.

Wstała i spytała, czy nie wyszłabym z nią na moment na zewnątrz. Położyłam za gospodynię przez kuchnię, gdzie wszystko leżało na swoim

miejscu, na równie uporządkowane podwórze. Rosło tam cztery lub pięć drzew, może trochę za dużo jak na mały kwadratowy trawnik, lecz wszystko zdawało się współistnieć bardzo dobrze. Ciepła popołudniowa bryza owiewała nakładające się na siebie warstwy listowia szeleszczącego niby krynolina.

Zaprowadziła mnie pod dość rosłe drzewo z małymi, żółtawymi brzoškwiniami. Najwyraźniej żadna nie spadła jeszcze na ziemię. Pani O'Flaherty poklepała czule pień.

- Maureen i ja zasadziłyśmy to drzewko na jej piątę urodziny. Jej ojciec wykonał większą część kopania. Teraz miałaby trzydzieści osiem lat. Ja mam sześćdziesiąt trzy. Gdyby żyła, mogłybyśmy rozmawiać o wszystkich sprawach jak dwie dorosłe kobiety, tak jak my teraz, tylko że ona byłaby od pani oczywiście starsza. Po Maureen powiedzieli mi, że nie będę mogła mieć więcej dzieci, ale jedno to może być aż nadto, proszę mi wierzyć. Zwłaszcza jeśli się je utrzymuje.

Wprowadziła mnie z powrotem do domu po wąskich schodkach, które pięły się w górę, przylegając do ścian oklejonych ciemną tapetą z brązowym wzorem kwiatowym. Na piętrze, zaraz przy klatce schodowej, była łazienka, a po bokach dwie równej wielkości sypialnie.

- To był pokój mojej córki - powiedziała, skinąwszy głową na lewo.

Zbliżyłam się do framugi, ale pokręciła głową.

- Wszystkie jej rzeczy zostały już dawno opakowane. Teraz to pokój gościnny, ale musiało minąć, mój Boże, sześć lat, odkąd miałam gościa, a i wtedy chodziło tylko o pogrzeb Franka.

Zapytałam, jak zmarł jej mąż. Uśmiechnęła się leciutko.

- Bardzo zapobiegliwie, muszę przyznać. Powiedział, żebym pojechała z wizytą do kuzynki w Chicago. Jest samotna, teraz dobiega setki i oprócz faktu, że dzięki niej wciąż trwa nasze słynne nazwisko, nie wiem, co ją trzyma przy życiu. Kiedy wyjechałam, Frank jeździł dookoła po hrabstwie, aż w baku naszego starego desoto została tylko jedna czwarta paliwa. Wtedy wprowadził wóz do garażu, zamknął bramę i zostawił włączony silnik. Nastawił radio na stację z muzyką klasyczną, QXR, i podkręcił głośność na tyle, żeby zagłuszyć warkot silnika. Potem rozłożył jeden z naszych płóciennych leżaków, z którymi jeździliśmy na pikniki, i usadowił się wygodnie tuż obok rury wydechowej. Do czasu, gdy w baku skończyła się benzyna, już nie żył. Było to w niedzielę. Na poniedziałek umówił się z firmą Con Edison na sprawdzenie gazomierza, który, jak im powiedział, jest zepsuty. Kiedy otworzyli garaż, znaleźli jego ciało z butelką Johna Jamesona na kolanach. Nie chciał, żeby znalazł go któryś z sąsiadów. Wykazał dużą przezorność i zapobiegliwość. Pod tym względem był taki jak przed odejściem Maureen.

Wyraziłam swoje współczucie, ale pokręciła głową.



- Och, nie szkodzi. Po jej śmierci dostał lekkiego bzika. Doszło do tego, że straciłam poczucie, że w ogóle go znam. Często sypiał w jej pokoju, na niezaścielonym łóżku. W czasie własnej żałoby odkryłam, że żyje tu ze mną obcy człowiek, który snuje się po domu, upada, przypadkowo strąca i niszczy sprzęty. Czułam się, jakbym wynajęła pokój lokatorowi. Lokatorowi, który ma wstęp do mojej sypialni.

Sypialnia pachniała czystością, chyba jakimś środkiem do czyszczenia drewna. Panowała w niej atmosfera surowości, lecz bez ostentacyjnego ubóstwa. Tak mogłaby wyglądać cela zakonnicy.

Pani O'Flaherty poprowadziła mnie do drzwi z oknem, które wychodziły na mały balkonik, ocieniony gałęziami drzewa brzoskwińskiego. Pokazywała mi je przed chwilą na dole.

- Jest teraz wyższe niż dom, a jednak zasadziłam je własnymi rękami. - Uśmiechnęła się. Wyciągnęła rękę i z łatwością zerwała z pobliskiej gałęzi żółtą brzoskwinkę.

- Frank na najgorszym etapie swojej depresji, jeśli można tak to nazwać, zrobił pewnej nocy okropną rzecz, kiedy spałam. Wykopał rów dookoła pnia brzoskwini, oczywiście tak, żeby nie uszkodzić korzeni. Potem wziął urnę z prochami Maureen, którą trzymaliśmy na parterze, i rozsypał prochy wokół korzeni. Potem zakopał rów i nawodnił ziemię naszym zraszaczem ogrodowym, przenosząc go z miejsca na miejsce przez następne dwa dni.

Podeszła do biurka, gdzie w ramach stała kolekcja fotografii Maureen: zdjęcie z okresu niemowlęstwa, z przedszkola, na przedstawieniu baletowym, w kostiumie wodzirejki z czasów gimnazjalnych, jako poważnej maturzystki o zastygłej, woskowej twarzy. Na blacie leżały porozkładane świadectwa szkolne, honorowe wstążki, przyznane za napisanie najlepszej rozprawki i za osiągnięcia organizacyjne, list z wiadomością o przyjęciu w poczet studentów Hunter College, pocztówka, którą Maureen wysłała rodzicom z Florydy z zabawnym adresem zwrotnym, który zanotowałam, zdjęcie przedstawiające ją w mundurku obsługi hotelowej na tle fasady hotelu Versailles... Była to miniaturowa kapliczka Mary O'Flaherty na cześć córki. Wzruszyła ramionami i spojrzała z powrotem na drzewo.

- Frank wbił sobie do głowy, że prochy Maureen są teraz częścią tego drzewa, a drzewo rodzi owoce... Kiedy był naprawdę pijany, jadł jedną brzoskwinię za drugą w nadziei, że jeśli zje ich dostatecznie dużo, jakimś sposobem Maureen znajdzie się w nim, w jego duszy, i będzie wtedy żyła poprzez niego. Wtedy uznałam, że zaakceptuję, jeśli zechce odebrać sobie życie.

Położyła brzoskwinię na biurku obok fotografii.

- Więc... to moja córka - powiedziała, wskazując żółty owoc, jakby nas sobie przedstawiała. - Tyle mi po niej zostało, panno O'Connor.

Pokiwałam głową.

- Jest pani katoliczką? - spytała.

- Przyjęłam chrzest i bierzmowanie w kościele katolickim - przyznałam.

- W takim razie może zrozumie pani mój dylemat. Chciałabym zobaczyć znowu swoją córkę. Może sobie pani wyobrazić, że matka pragnie zobaczyć się znowu z córką?

Odpowiedziałam, że tak.

- Żeby to było możliwe, muszę wierzyć w życie po śmierci, prawda? Na szczęście moje wyznanie mi na to pozwala. Lecz jak pani wie, samobójstwo skazałoby mnie na piekło. W związku z tym nie mogę się zabić, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęłam piętnaście i pół roku temu. Córka potrzebuje matki. Tak więc muszę przeżyć to ziemskie życie, które przeznaczył mi nasz Pan, o tyle wolna od grzechu, o ile zdołam, chociaż oczywiście wszyscy grzeszymy w ten czy inny sposób. Mam nadzieję, że kiedy umrę, będę znowu z córką, chociaż według zasad mojej wiary będzie to oznaczać, że już nigdy nie ujrzę męża, który sam skazał się na piekło, niechaj Bóg ma nad nim zmiłowanie.

Poprowadziła mnie z powrotem tymi samymi wąskimi schodkami, niosąc ze sobą brzoskwinie. Jej zachowanie nie było w żadnym stopniu dziwaczne. Po prostu wyjaśniała mi swoją postawę, mówiąc, co musi zrobić w ramach pewnej logiki i jej etycznych założeń. Znowu wyszła przez kuchnię na podwórze.

Tuż za tylnymi drzwiami w pustej donicy leżała łopatką i para rękawic ogrodniczych. Pani O'Flaherty włożyła rękawice i zbliżyła się do pnia drzewa brzoskwiнового, przez cały ten czas kontynuując wyjaśnienia:

- Mój dodatkowy dylemat jest taki, że niektórzy ludzie myślą, że moja córka mogła popełnić samobójstwo. Nie uwierzyłam w to ani na moment, ale co, jeśli mają rację? Wtedy jest w piekle, z moim mężem, a życie, które staram się prowadzić, zawiedzie mnie do nieba, gdzie będę słyszeć ich udęczone krzyki, lecz nie będę w stanie im pomóc. Z pewnością to zmieniłoby w piekło nawet najwspanialsze niebo. Rozumie mnie pani.

Kłęcząca teraz u stóp drzewa i wykopywała łopatką mały dołek. Wrzuciła tam brzoskwinie i uśmiechnęła się do mnie.

- Odkąd Frank wbił mi do głowy, że Maureen jest teraz częścią drzewa, nie mogę pozwolić, aby owoce gniły na ziemi, rozdziobywane i porywane przez ptaki jak padlina przez sępy. Więc muszę zakopać każdą brzoskwinie, która spadnie. Co pomaga odżywić drzewo.

Patrzyłam, jak przysypuje owoc ziemią.

- Musi pani mieć z tym bardzo dużo pracy - zauważyłam współczująco.

- Za miesiąc będzie mi to zajmować całe dni - powiedziała, uklepując ziemię. - Dzięki temu mam zajęcie. Jestem za to wdzięczna.

Podniosła się, odłożyła łopatkę z powrotem do donicy, wytarła ręce kuchenną ściereczką i zaprowadziła mnie do frontowych drzwi. Podziękowałam jej za poświęcenie mi swojego cennego czasu. Pokiwała powoli głową.

- Córka studiowała, żeby zostać nauczycielką angielskiego. Pojechała do Miami Beach na wiosenne wakacje. Potem otrzymywaliśmy od niej tylko pocztówki i telefony. Kiedy umarła, dostałam wraz z napisanym na maszynie listem czek, określony jako „anonimowy dar żałobny”.

- Mogę zapytać, na jaką sumę opiewał ten czek?

- Na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. - Roześmiała się z goryczą. - Gdyby było to sto razy więcej, cóż mi po tym? Umieściłam pieniądze na koncie oszczędnościowym i po mojej śmierci wszystkie trafią do kościoła.

- Pamięta pani numer konta wystawcy?

- To był tak zwany czek banku. Sam liścik napisano na maszynie, na zwykłej kartce. Frank go zatrzymał. Później powiedział, że go wyrzucił. - Otworzyła drzwi i skinęła na dróżkę. - Tak więc, panno O'Connor, mogę pani powiedzieć, jakie pytanie najbardziej chciałabym zadać panu Vince'owi Collinsowi albo komukolwiek, kto mógłby znać odpowiedź. Jest to pytanie, którego, mam nadzieję, pani sama nigdy nie będzie musiała zadawać. Dlaczego moja córka umarła?

Zapewniłam, że zadam to pytanie, i powiedziałam, jak może się ze mną skontaktować, gdyby chciała. Podziękowałam za poświęcony czas i przeprosiłam, jeśli moja wizyta poruszyła w niej bolesne uczucia. Odparła, że nic takiego się nie stało.

Ruszyłam dróżką przed siebie i jeszcze długo po tym, jak zostawiłam za plecami domek pani O'Flaherty, szłam na piechotę. Mogłam była zamówić taksówkę korporacji Bluebird z telefonu mojej gospodyni, ale postanowiłam tego nie robić. Po prostu zesłam z boczem wzgórza do miasta.

Powolnym spacerkiem dotarłam wreszcie do ulicy Hugenockiej, gdzie zobaczyłam drogowskaz kierujący mnie na stację kolejową. Kiedy szłam przez dzielnicę, która była w New Rochelle odpowiednikiem miejskiego getta, zdałam sobie sprawę, że wbrew temu, co mówi stare powiedzenie, nie ma czegoś takiego jak mieszkanie po dobrej lub złej stronie torów. Szanowani obywatele mieszkają zawsze z dala od torów.

Nie pytałam o przyjazd następnego pociągu, lecz po prostu stanęłam na peronie i poczekałam, aż przyjedzie. Czekałam może dwadzieścia, trzydzieści minut. Była dodatkowa opłata za zakup biletu w pociągu.

Wyrzałam przez okno. Kiedy Maureen O'Flaherty się urodziła, większość New Rochelle była jeszcze ziemią rolniczą. Czasy te dawno minęły, lecz ktoś wciąż własnymi rękoma uprawiał tu skrawek ziemi.

Umyślnie zsynchronizowałyśmy nasze podróże tak, żebym odleciała do Los Angeles dopiero po powrocie Beejaya do Nowego Jorku. Jej poranny samolot miał wylądować późnym popołudniem, mój wylatywał o dziewiątej wieczorem. Zaplanowałyśmy, że jeśli nie nastąpi opóźnienie, zjemy wspólnie kolację, zanim pojedę taksówką na lotnisko.

Otworzyłam drzwi mieszkania i wydałam głośny, piskliwy okrzyk radości, który zagłuszyłby nawet alarm samochodowy.

- O Boże, to takie dziwne, że ty jesteś po tamtej stronie drzwi, a ja po tej! - Beejay roześmiała się. Weszła do środka, potrąciła walizką stolik, którego umiejscowienie powinna była pamiętać, i strąciła na podłogę duże pudełko kredek.

- Beejay, tak bardzo cię potrzebowałam. - Rzuciłam jej się w ramiona, oczekując współczucia, lecz wcale nie zamierzała się nade mną roztkliwiać. Przez ostatni tydzień kilkakrotnie już przegadałyśmy przez telefon problem Lanny'ego Morrisa.

Przytuliła mnie, a potem mną potrząsnęła.

- Tak, tak, przez wszystkie te lata trwałaś w czystości dla tego jedyne-  
go wyjątkowego faceta, a potem wielki gwiazdor filmowy przyjechał na chwilę do miasta i pozbawił cię wianka. - Wepchnęła walizkę na łóżko. - Nie pozwolę, żebyś odgrywała przede mną biedną ofiarę. Co sobie wyobrażałaś? Że zostaniesz trzecią panią Morris?

Usiadłam w jej niewygodnym fotelu.

- Gdybym wiedziała, że zostanę wyrzucona razem z pustymi butelkami darmowego szamponu, to przynajmniej bardziej podpytałabym go o jego karierę, o Vince'a, a zwłaszcza o Dziewczynę z New Jersey. Ale nie, musiałam oczywiście robić maślane oczy i rozmawiać o dyrdymałach. Wykazałam zupełny brak profesjonalizmu.

- Tak, tak. Dobry był, co?

- Tak.
- Jak duży?
- Nie narzekałam.
- No dalej, to przecież ja. Długość i obwód poproszę: pięć, dziesięć, szesnaście, dwadzieścia, kogo tu oceniamy...?

Podawałam szczegóły, których się domagała, krok po kroku opisałam jej, co robiliśmy, i zaspokoiliam na razie jej ciekawość. Fakt, że seks był naprawdę dobry, sprawił, że zaczęła mi współczuć trochę bardziej. O dziwo, mimo upływu kilku dni wciąż czułam się tak samo zraniona, zagniewana i odrzucona. Miałam nadzieję, że gdy znajdę się pięć tysięcy kilometrów od Nowego Jorku, nabiorę też właściwego dystansu do Lanny'ego. Zaczęłam pakować ostatnie ubrania.

Beejay rzuciła mi maszynopis obok spodniumu, który właśnie składałam. Był to rozdział autobiografii Lanny'ego, który przysłano do mojego mieszkania w tak niezwykłych okolicznościach. Uznałam, że jakiś młodszy asystent albo stażysta z kancelarii Weisnera, Hillmana i Dumonta przekazał mi go bez żadnego listu wyjaśniającego, czemu i skąd się wziął. Włożyłam plik kartek do torby. Znałam treść maszynopisu tylko ze streszczenia Beejay, zamierzałam przeczytać go dokładnie podczas lotu.

Beejay zapaliła papierosa.

- Kiedy zaczniesz wywiad z Vince'em Collinsem?
- Chcę zadzwonić do niego jutro i umówić się na pojutrze.
- Powiesz mu o swojej przygodzie z Lannym?

Rozmyślałam nad tym przez cały dzień.

- Nie widzę potrzeby, nie czuję się zobowiązana do przekazywania mu tej informacji. Nasz kontrakt pozwala mi na zbieranie materiałów o jego życiu, wywiady z ludźmi, z którymi pracował...

Uśmiechnęła się.

- „Wywiad”. Czy tak będziemy teraz nazywać to, co robiłaś z Lannym Morrisem?

- Nie. Gdyby to był wywiad, uzyskałabym od niego coś przydatnego. Ale tak szczerze, czy jestem moralnie zobligowana do informowania Vince'a o tym, z kim w przeszłości sypiałam?

- No cóż, ukrycie tego przed nim byłoby trochę nie w porządku, ale z drugiej strony, wyznanie prawdy mogłoby zupełnie spieprzyć twoją pracę z Vincenzo. - Używała przewiska, którego nie używał absolutnie żaden z przyjaciół Vince'a.

Byłam tak zajęta obliczaniem zysków i strat po stronie mojej i Lanny'ego, że zupełnie nie zastanawiałam się, jak na tę rewelację mógłby zareagować Vince. Jego i Lanny'ego łączyło coś na kształt małżeństwa, a w każdym razie ich zerwanie bardzo przypominało rozwód. „Przepraszam bardzo, pani Elizabeth Taylor, chciałabym napisać wywiad-rzekę, w którym

wyjawiłaby mi Pani swe najskrytsze myśli, lęki i pragnienia - i aha, tak przy okazji, niechaj wolno będzie mi nadmienić, jak fantastycznym kochankiem jest Pani były małżonek, Richard Burton! Tak, właśnie wczoraj uprawialiśmy seks. Ale dość już o tym, Liz. Pamiętaj, możesz się przede mną naprawdę otworzyć”.

Boże, okazałam się rzeczywiście straszną idiotką. Beejay zgasła pośpiesznie papierosa.

- Możemy już iść coś zjeść? Umieram z głodu.

- Nie jadłaś w samolocie?

Wyglądała na urażoną.

- Ja nie latam tak jak ty pierwszą klasą, tylko na szarym końcu. Do wyboru miałam dwie przekąski, „mięsną” i „bezmięsną”. Powiedziałam stewardesie, że zjadłabym konia z kopytami, a ona mi na to, że w takim razie stanowczo powinnam wziąć przekąskę mięsną. Od ponad tygodnia nie zjadłam żadnego porządnego posiłku. - Zapytałam dlaczego, a Beejay zrobiła zbolalą minę. - Kotku drogi, czy mogę być z tobą zupełnie szczerą na temat tej malowanej pustyni z systemem zraszania ogródków, którą nazywasz Los Angeles? Twoje mieszkanie jest urocze, faceci są ładniejsi ode mnie, ale na litość boską, co wy, ludzie, tam jecie? Zero kuchni etnicznej, same restauracje Roberta Redforda, gdzie podają tylko mdłe żarcie! Kuchnia włoska oznacza „pizzaburdera”, japońska „burgera teriyaki”, a francuska frytki. Meksyk jest niecałe trzysta kilometrów dalej, ale mimo to założyli u was jakieś Taco Bell, a kiedy zjadłam tam burrito, mogłam powiedzieć tylko jedno: „Kurna, Toto, myślę, że nadal jesteśmy w Kansas!”.

Śluchałam jej tylko jednym uchem, jednocześnie zbierając do pudełka rozsypane kredki.

- No dobra... to co byś zjadła, Beejay? - spytałam.

Chwyciła mnie za ramię.

- Coś z przyprawami. Ze smakiem. Żadnego żółtego sera. Zero mielonej wołowiny. Chcę pójść do restauracji, gdzie żaden kelner imieniem Brad nie pyta, czy już się tu stołowałyśmy, a potem wyjaśnia, jak to wszystko „działa”. Właściwie wolałabym, żeby kelner w ogóle słabo mówił po angielsku. Chcę odjechanego, egzotycznego, wyrazistego nowojorskiego żarcia.

Natychmiast wpadła mi do głowy oczywista odpowiedź.

- Śluchaj, Beejay, wiem, że to ty jesteś tu nowojorską dziewczyną, ale czy próbowałaś kiedyś kuchni seczuańskiej?

Pierdolić Lanny'ego Morrisa, pomyślałam (zauważając jednocześnie, że niedawno osobiście poznałam znaczenie tej konkretnej obelgi). Uznałam, że fajnie będzie odwiedzić Ogród Seczuański na Doyers Street z Beejay, odebrać sekret restauracyjki Lanny'emu i zagarnąć go dla siebie.

Poza tym zabawnie będzie obserwować, jak Beejay poznaje te szokująco nowe smaki, tak jak przyjemnie jest zabrać przyjaciółkę na dobry kryminał, który samemu się już widziało, żeby zobaczyć jej reakcję na zaskakujący finał, który już znasz.

Weszliśmy po schodkach do restauracji. Zastanawiałam się, czy Lee mnie rozpozna.

- Och, znam panią! - zawołał Lee, wytykając mnie palcami obu dłoni. - Pani tu być z pał Lanny Morris! - oświadczył tak, żeby wszyscy w restauracji go usłyszeli, i przybrał akcent, który uważałam teraz za prawie na pewno fałszywy. Pokazał mi zdjęcie z autografem, które pokazywał mi już poprzednio. - Pani przyprowadzić koleżanka – uściśnięła Beejay rękę - do najlepsza restauracja w Nowy Jork! Ach, panie przynieść szampana, dobrze, my dla pań otworzyć. Gdzie chcecie usiąść, tu?

Postarał się wywołać wrażenie, jakby wybór należał do nas, lecz równocześnie stanowczym gestem skierował nas do małego stolika przy ścianie; wszystkie pozostałe i tak były zajęte. Po chwili na stole postawiono metalowy kubek i butelka zimnego szampana Mumm's, którą kupiliśmy w pobliżu domu Beejay, wylądowała z chlupotem w wodno-lodowej brei. Przed nami stanęły dwa staromodne pucharki do szampana. Kelner zręcznie otworzył butelkę i napełnił kieliszki.

Lee znów był przy naszym boku.

- Panie chcą, żebym zamówił dania, które lubi pan Lanny Morris? On częsty gość - dodał na tyle głośno, że usłyszeli go klienci przy sąsiednich stołach.

Bardzo pragnęłam, żeby Beejay skosztowała feerii smaków i aromatów, którymi niedawno się rozkoszowałam. Doceniłaby każdy kęs, byłam tego pewna. Ale ubodło mnie, że Lee tak pieje z zachwyty za każdym razem, gdy wspomina Lanny'ego. Przyszliśmy tu same, przyniosłyśmy własny alkohol i same zapłacimy rachunek. Mimo to Lee traktował nas, jakbyśmy korzystały z gościny Lanny'ego.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że mogę zamówić coś, dzięki czemu na moment poczuję się, jakbym przelicytowała nienawistnego Lanny'ego.

- Panie Lee - powiedziałam - z rozkoszą zjadłybyśmy kurczaka, tego, no, kung-fu-pao, i jagnięcinę w sosie herbacianym, ale wie pan, czego jeszcze chciałbyśmy spróbować? Tego dania, które Lanny odesłał, homara w sosie chilli z, z...?

- Homar! Wiedziałem, że pani nie jest Żydówka! - powiedział prawdopodobnie głośniejszy, niż zamierzał. Na moment w restauracji zaległa zupełna cisza. Najwyraźniej azjatycka w większości klientela rozumiała angielski doskonale. Gdy goście podjęli przerwane rozmowy, Lee zapytał: - Chcą panie wybrać swojego homara?

Beejay, przy drugim kieliszku szampana, energicznie pokiwała głową.

- Tak, tak! W smaźalni steków zawsze lubię wybrać wołu do zaslachtowania. - Wstała z hałasem od stołu, a ja za nią, i obie ruszyliśmy za panem Lee.

Homary dzieliły akwarium bulgoczącej wody ze zrozumiale ponurymi krabami. Trzeba panu Lee przyznać, że woda była czysta jak w górskim strumyku. Czarne gumowe opaski zaciskały skorupiakom szczypce, aby powstrzymać je od atakowania się nawzajem.

- Panie widzieć homara, który wygląda szczególnie apetycznie? - spytał Lee.

Poczułam chęć, żeby poinformować go, że termin „apetyczny” z trudem można odnieść do niebieskozielonego opancerzonego stworzenia z czulkami.

Beejay najwyraźniej nie miała żadnych zahamowań przy wyborze stawonoga, którego spotka zagłada.

- Spójrz na tego zawodnika! - Uśmiechnęła się. - Jaki zadziorny.

- Homar Beejay zerwał gumową opaskę, która miała go unieszkodliwić. - Właśnie tego chcę - oświadczyła i śmiało sięgnęła do akwarium, żeby go wyciągnąć. - Jak go chwycić?

Lee z zaskakującą gwałtownością złapał ją za nadgarstek i odciągnął od akwarium.

- Pani tego nie robi! Te szczypce z łatwością mogą odciąć człowiekowi palec! - wykrzyknął, równocześnie zdradzając fikcyjność swojego akcentu.

Lee miał specjalną siatkę, której użyto do wyłowienia skazanego na śmierć homara, a my wróciliśmy do stolika, gdzie kelner dolewał nam właśnie szampana, lecz od tego momentu...

...dalsza część posiłku, reakcja Beejay na seczuańską kuchnię, jazda taksówką z powrotem do mieszkania Beejay, zabranie moich toreb, limuzyna, którą zamówiłam na lotnisko Kennedy'ego, wejście na pokład boeinga 747, zajęcie mojego ulubionego miejsca, więcej szampana, start, uspokajająca prognoza ładnej pogody podczas lotu do Los Angeles, posiłek, którego odmówiłam...

nic z tego nie przedostało się do kory mózgowej, gdzie przechowywane są wspomnienia. Wydarzenia wokół po prostu przepływały przez mój uroczy hipokampik jak klienci przez drzwi obrotowe sklepu Macy's na dzień przed Gwiazdką.

Dręczyło mnie coś ogromnego: problem tak olbrzymi, że nie byłam w stanie cofnąć się na tyle, by objąć go wzrokiem i zidentyfikować.

Światła w kabinie były przyciemnione. Niektórzy pasażerowie oglądali film (wydaje mi się, że grał w nim Michael Caine); inni drzemali. Wyjęłam z torby maszynopis Lanny'ego i po krętych schodkach weszłam do saloniku pierwszej klasy.



Był pusty. Usiadłam na obitej pomarańczową tapicerką ławie, która biegła wzdłuż trzech ścian, i zapaliłam papierosa. Za oknem surowy biały księżyc panował niepodzielnie nad nieruchomym morzem skłębionych chmur. Ja i księżyc. Wszystko inne było pod nami.

Zaczęłam czytać maszynopis.

POZWÓLCIE, ŻE WYJAŚNIĘ, DLACZEGO DWAJ FACECI, KTÓRYM SZŁO TAK DOBRZE JAK NAM, WYSTĘPOWALI W NEW JERSEY.

Znów rozbawił mnie ich przyjaciel gangster, Sally Santoro. Naprawdę istnieli tacy ludzie. Spotkałam takich nie raz i zawsze było łatwo, a może powinnam powiedzieć „wygodnie”, zapomnieć, że jedną z rzeczy, którą się ci ludzie zajmują, jest zabijanie innych.

I jak wielu tych gangsterów miało skłonność...

O Boże.

Samolot się zatrzymał. Przynajmniej tak to odczułam. Zatrzymał się samolot, zatrzymało się moje serce, zatrzymał się księżyc.

W rzeczywistości nic się nie zatrzymało poza obrębem mojego mózgu. Ale drzwi zamykające dostęp do straszliwej ciemności uchyliły się ze zgrzytem w mojej głowie, a gryząca czarna mgła, która zza nich wypełzła, wdzierала się do moich myśli niczym zaraza.

Przez to, co przeczytałam. Olbrzymi niepokojący problem był wciąż zbyt duży, bym mogła ogarnąć go wzrokiem, lecz teraz mogłam mu się przyjrzeć pod różnymi kątami i zaczął nabierać kształtu. Jeszcze raz przeczytałam fragment, w którym Sally próbował przekupić Lanny'ego i Vince'a prezentami.

- I KAŻĘ WAM TU SPROWADZIĆ OSOBISTY ZAPAS HOMARÓW I KRABÓW Z VERSAILLES. LUBICIE HOMARY?

POWIEDZIELIŚMY, ŻE TAK, BO NAPRAWDĘ LUBILIŚMY.

- I SKRZYNKĘ GREJPFROTÓW, KTÓRE SPECJALNIE TAM KUPUJĘ. W ŻYCIU TAKICH NIE JEDLIŚCIE.

Lanny powiedział, że lubią homary.

Może mówił tak tylko z uprzejmości. Przerzuciłam kartki, szukając odpowiedniego fragmentu. O, jest. Lanny i Vince są w hotelu Versailles w Miami, w wieczór przed rozpoczęciem telemaratonu.

WRÓCILIŚMY DO APARTAMENTU OKOŁO SIÓDMEJ I STWIERDZILIŚMY, ŻE SALLY DOTRZYMAŁ SŁOWA. W SALONIE LEŻAŁY SKRZYNIĘ Z WYPISANYM NUMEREM NASZEGO APARTAMENTU W HOTELU CASINO DEL MAR W PALISADES PARK

W STANIE NEW JERSEY JAKO ADRESEM DOCELOWYM. PUDŁO, KTÓRE ZDAWAŁO SIĘ ZAWIERAĆ PIŁKI PLAŻOWE, OKAZAŁO SIĘ ZAPASEM NAJBARDZIEJ OCIEKAJĄCYCH SOKIEM I OBDARZONYCH NAJCIEŃSZĄ SKÓRKĄ GREJPFROTÓW, JAKIE KIEDYKOLWIEK JADŁEM. ZNALEŻLIŚMY TEŻ OBIECANĄ, DŁUGĄ NA DWA METRY SKRZYNIĘ, PEŁNĄ OWOCÓW MORZA: PONAD TUZIN HOMARÓW PORUSZAŁ SIĘ POWOLI PO DNIE Z KRABÓW I LODU.

Czytałam dalej.

WIDZIELIŚMY, JAK SKRZYNIĘ PONOWNIE ZAMKNIĘTO, I PO ZAPREZENTOWANIU NAM ICH DO AKCEPTACJI NIBY FIKUŚNEGO TORTU URODZINOWEGO, HOTEL VERSAILLES MIAŁ ZADBAĆ O PRZETRANSPORTOWANIE ICH NASTĘPNEGO DNIA DO NEW JERSEY, GDZIE ZACZEKAJĄ NA NAS W NOWYM CASINO DEL MAR DO NIEDZIELI...

I trochę dalej na tej samej stronie:

ZADZWONILIŚMY PO MAUREEN, DZIEWCZYNĘ Z OBSŁUGI POKOJOWEJ O WSPANIAŁYCH RUDYCH WŁOSACH, NA KTÓRE CZŁOWIEK PRZESTAWAŁ SIĘ GAPIĆ, GDY SPOJRZAŁ NA CIAŁO, TĘ SAMĄ MAUREEN, KTÓRA PRZYNIOSŁA MI SZAMPANA, KIEDY POMAGAŁEM VINCE'OWI, POSUWAJĄC DENISE. MAUREEN, REALIZUJĄC SWOJE OSTATNIE ZAMÓWIENIE TEGO DNIA, PRZYNIOSŁA NAM DO APARTAMENTU TRZY STEKI (JEDEN BYŁ DLA NIEJ). BEZ WZGLĘDU NA TO, JAK BARDZO LUBIĘ HOMARY, WSZYSTKIE TE SKORUPIAKI OBŁOŻONE LODEM W SKRZYNI W SALONIE SPRAWIŁY, ŻE POCZULIŚMY APETYT NA CZERWONE MIĘSO.

„Bez względu na to, jak bardzo lubię homary”.

Wszystko tam było. Nieświadomie zdradził prawdę.

Według autobiografii, lubił homary, przynajmniej do wieczora poprzedzającego maraton telewizyjny. Tego samego wieczoru (i po raz ostatni) on i Vince widzieli Maureen O'Flaherty żywą.

W hotelowym apartamencie, gdzie leżała skrzynia wielkości trumny, pełna homarów i krabów, obłożonych lodem.

Do czasu, gdy jadłam z nim obiad w Ogrodzie Seczuańskim, Lanny zdążył zniechęcić homary. Nazwał je karaluchami. Te stworzenia, jak niedawno ostrzegł Beejay pan Lee, mogły z łatwością obciąć człowiekowi palec. Zdarzało się, że obcinały je ludziom brodzącym w morzu, którzy przez pomyłkę na nie nastąpili. Tak, kończyło się to utratą palców u nóg.

Maureen O'Flaherty miała obcięte palce.

Ale nie pływała w morzu ani nie chodziła wzdłuż brzegu. Jeżeli się kąpała, to w wannie.

Ponieważ gdy znaleziono zwłoki, proces stężenia pośmiertnego dopiero się rozpoczął, coroner uznał, że mogła umrzeć nie więcej niż sześć godzin wcześniej. A ponieważ ciało leżało w gorącej wodzie, stężenie mogło zostać przyspieszone, zacząć się zaledwie dwie godziny po zgonie.

I wtedy ujrzałam potworną prawdę.

Jedynym czynnikiem, który mógł wpłynąć na zmianę orzeczenia o czasie zgonu, była temperatura wody. Gdyby woda była lodowata, to opóźniłaby moment stężenia pośmiertnego.

Ale kto kąpie się w lodowatej wodzie?

Tylko trup.

Trup w apartamencie hotelu w Miami, skąd trzeba się go pozbyć.

Tak więc wkłada się trupa do długiej na dwa metry metalowej skrzyni, wypełnionej lodem, krabami i homarami, którą transportuje się następnie do innego hotelowego apartamentu w New Jersey. A po drodze jeden z homarów zrzuca gumową opaskę, która nie pozwala na rozwieranie i zwieranie potężnych szczypiec, gdy zaś zasypia z zimna, szczypie to, co mu się akurat nawinie, i ucina trupowi dwa palce. Ten sam albo inny skorupiak odpowiada także za podobne do zadrapań ślady na tułowiu Maureen, z których nie wypływa krew, bo krew już nie krąży.

A kiedy skrzynia przybyła do New Jersey, może jeden z podwładnych Sally'ego Santoro - z niewiadomych powodów - przeniósł ciało do wanny i obłożył lodem, który powstrzymał stężenie mięśni. Homary (stworzenia, których Lanny Morris już nigdy więcej nie tknie) zostały wyniesione z pokoju. A lód powoli zmienił się w zimną wodę, zimna woda w chłodną wodę, a chłodna woda w wodę o temperaturze pokojowej. I wtedy wreszcie nastąpiło stężenie pośmiertne.

Cała prawda była zawarta w złowieszczym, napisanym od niechcienia zdaniu, odnoszącym się do dnia po tym, jak ostatni raz widzieli dziewczynę przy życiu: „Nazajutrz późnym rankiem odesłaliśmy Maureen z bambetlami”. Czy zdawał sobie sprawę, co pisze? Czy był to okrutny dowcip, czy po prostu rodzaj freudowskiej pomyłki, która ujawnia prawdę pomimo kłamstwa?

Alibi Vince'a i Lanny'ego nic nie znaczyło. Wszystko podpowiadało mi, że Maureen O'Flaherty zmarła, zanim telemaraton w ogóle się zaczął.

Mogła zostać zamordowana przez Lanny'ego. Albo przez Vince'a. Mógł to zrobić jeden lub drugi... albo nawet obaj.

Miałam teraz sekret, o tak. I jak idiotka zamierzałam zachować go tylko dla siebie.

Mogłam oczywiście pójść ze swoją błyskotliwą dedukcją na policję, chociaż nie miałam pojęcia, jak przyjęto by tam ten wspaniałomyślny podarunek detektywa amatora. Zresztą gdzie miałabym się zgłosić: w Miami, Palisades Park, Bel Air? Czyja to była jurysdykcja?

Jakie to miało znaczenie i kogo chciałam oszukać? Nie zamierzałam o niczym nikomu mówić. Nienaumyślnie dokopałam się właśnie do takiej skandalizującej rewelacji, jaka - według Lil Walker - najbardziej by się przydała do promocji książki. Cokolwiek ludzie usłyszą o tajemnicach, które odgrzebałam, usłyszą to od dziennikarzy cytujących (a zatem promujących) moją książkę... nie od policji. Nie zamierzałam nikomu o niczym mówić.

Oczywiście byłoby o niebo lepiej, gdybym wiedziała więcej. Na przykład, kto zamordował Maureen O'Flaherty. Ale już udało mi się coś niecoś rozwikłać i dało mi to pokrzepienie, które czuje zwykle kogoś, kto rozwiązał pierwszy supeł na dziecinnej sznurówce i teraz wie, że rozsypywanie reszty jest wykonalne.

Rzecz jasna, zawsze przypuszczano, że Vince i Lanny wiedzieli więcej o śmierci Dziewczyny z New Jersey (albo byli z nią bardziej bezpośrednio powiązani), niż kiedykolwiek wyjawiono opinii publicznej, i opinia publiczna zdawała się nie mieć o to większych pretensji. Collins i Morris byli ukochanym narodowym rarytasem, jak *fritos* i masło orzechowe Skippy, i nikt nie zamierzał pozbawiać się przyjemności oglądania ich występów tylko dlatego, że w ich pokoju hotelowym znaleziono jakąś martwą przybłądę.

Lecz bez względu na to, jak bardzo publika pragnęła im wybaczyć, sami chłopcy nie byli gotowi do przejścia nad wszystkim do porządku.

W okolicach owego ostatniego telewizyjnego maratonu stało się coś, co naprawdę rozbiło zgrany duet. Teraz już nie zachowywali się na scenie jak bracia. Zachowywali się jak bracia przyrodni. Złośliwe przytyki, zawsze główny filar ich występów, zawisały w powietrzu o pół sekundy dłużej niż przedtem. Kiedy Vince wypowiadał swoje popisowe: „Zabiłbym cię, gdyby twój mózg nie był już martwy!” - widzowie śmiali się o pół decybelą ciszej i może w umysłach niektórych z nich na ułamek sekundy pojawiał się obraz martwej dziewczyny w wannie.

Termin rozpoczęcia zdjęć do „Nocy w operze” przesunięto o sześć miesięcy z powodu „problemów z obsadą”. Kiedy rozpoczęła się produkcja „Linii Maginota” (z Vince'em Collinsem, lecz bez Lanny'ego Morrisa), nikt nie był specjalnie zaskoczony, gdy Lanny oświadczył, że zagra swoją pierwszą rolę dramatyczną w filmie wytwórni Warner-Seven Arts pod tytułem „Królewski poker”, gdzie wcieli się w pełnokrwistą postać emerytowanego kasiarza, zmuszonego do powrotu na drogę przestępstwa, żeby ratować byłą żonę. Chłopcy okazali brak wzajemnych urazów, wystąpiwszy wspólnie na ceremonii rozdawania Oscarów, gdzie wręczyli statuetkę za najlepszą męską rolę drugoplanową, i był to ostatni raz, gdy pojawili się razem publicznie, a także, o ile mogłam się zorientować, ostatni raz, gdy w ogóle osobiście się spotkali.

Są rzeczy, które wszyscy wiedzą. Nie ma znaczenia, czy są prawdziwe. Po prostu wszyscy o nich wiedzą, więc takie już „są”. Udokumentowane spotkania jednostek Amerykańskich Sił Powietrznych ze statkami kosmicznymi, ślub Rocka Hudsona i Jima Naborsa, sok z suszonych śliwek w napoju Dr Pepper, szampanki robione w kształcie piersi cesarzowej Józefiny (oczywiście bez stopek - to dopiero widowiskowy pomysł), zaangażowanie Fidela Castro w zamach na prezydenta Kennedy'ego. Nie mamy dowodów na poparcie żadnego z tych przekonań, a mimo to wszyscy wiemy, że są prawdziwe, bo tak dużo na ich temat rozmawiamy. Przypuszczaliśmy, że Peter Lawford i Robert Kennedy byli zamieszani w śmierć Marilyn Monroe, ale to czyniło ich tylko w naszych oczach bardziej interesującymi, bardziej obytymi w świecie. Wiedzieliśmy, że których nie mieliśmy pojęcia, i podświadomie podziwialiśmy ich za to.

I podobnie traktowaliśmy Vince'a Collinsa i Lanny'ego Morrisa, bo wiedzieliśmy, że mieli coś wspólnego ze śmiercią Maureen O'Flaherty. Odkąd gazety doniosły, że między nią a jednym albo obu komikami coś zaszło, parę dni później zaś znaleziono ją martwą w ich apartamencie, wiedzieliśmy, że obaj tkwią w tym po kolana... ponieważ czytaliśmy, mówiliśmy i myśleliśmy o tym, nawet jeśli ich alibi niezłomie dowodziło, że nie mogli być bezpośrednio zamieszani w jej zabicie.

I teraz ja, i tylko ja - hurra! - wiedziałam, że alibi nic nie znaczy.

Tak więc znowu miałam się spotkać na lunchu z Vince'em, człowiekiem, który mógł się dopuścić Rzeczy Potwornej. Tylko że teraz wiedziałam, że miał możliwość popełnienia przestępstwa, nawet jeśli nie znałam jeszcze motywu. No i z wrodzoną bystrością umysłu umówiłam się z nim na obiad we dwoje. U niego w domu.

Co niby miałam zrobić? Czy gdy zasugerował, żeby nasza pierwsza rozmowa do książki odbyła się u niego, byłoby dyplomatyczne z mojej strony, gdybym spytała: „Czy przeszkadzałoby ci, gdybym przyszła z koleżanką? Bo obawiam się, że w trakcie rozmowy mógłbyś mnie zamordować”.

Oczywiście nie sądziłam, by rzeczywiście groziło mi coś strasznego. Ostatecznie historia dalszych losów Vince'a i Lanny'ego nie obfitowała w stosy trupów innych kobiet. A ja nie byłam jakąś tam służącą z hotelu. Miałam swojego redaktora, wydawcę; mężczyznę, do którego wybierałam się na lunch, obowiązywały pewne umowy prawne; ludzie wiedzieli, dokąd jadę, i zorientowaliby się, gdybym nie wróciła, więc gdyby coś mi się stało, policja natychmiast zwałiłaby się Vince'owi Collinsowi na łeb. Przestępca może ująć na sucho jedno morderstwo, ale zwykle przy drugim wpada.

Mimo to postanowiłam wysłać do siebie pocztą uaktualniane opisy tego, co tu opowiadałam. Dzisiaj znowu wysłałam sobie wszystko oprócz tych dwóch ostatnich stron, a na odwrocie koperty dyskretnie (żeby nie alarmować listonosza) wykaligrafowałam drukowanymi literkami melodramatyczną frazę OTWORZYĆ TYLKO W WYPADKU MOJEJ ŚMIERCI - i będę powtarzała tę procedurę co parę dni.

Byłam tak szczęśliwa, że wróciłam do domu. Wspaniały dzień z Lannym, zakończony moim całkowitym zauroczeniem, okazał się jednym wielkim kłamstwem, które wciąż zatrzymywało mi humor. Ale miałam na to radę. Najlepszym lekarstwem nie jest śmiech, tylko oczywiście zemsta. Byłoby cudownie, gdybym pisząc o Vinsie, znalazła dowód, że Lanny był bezpośrednio zamieszany w śmierć Maureen. Tym w rzeczy samej po królewsku odplaciłabym się Lanny'emu za swoje krzywdy.

A w o wiele mniej prawdopodobnym wypadku, gdyby okazało się, że winowajcą jest Vince, po prostu będę musiała się pocieszyć monstualnym bestsellerem. Na razie jednak wierzyłam niezachwianie, że choć może wiedzieć więcej, niż kiedykolwiek powiedział, o śmierci Maureen O'Flaherty, to nie jest mordercą.

Boże, jak się cieszyłam, że nie przespałam się z Vince'em. Wyobraźcie sobie, co by było, gdybym tak haniebnie skompromitowała się z oboma! Przynajmniej wciąż mogłam zacząć pracę, czując się w połowie czysta. Zawarłam, rzecz jasna, umowę, że prześpię się z nim, kiedy skończymy

pisać. Czulałam się wtedy, jakbym była całkiem ponętą liberynką. Teraz zmieniłam zdanie.

Vince miał willę w Bel Air, zbudowaną pod koniec lat czterdziestych przez Johna Lautnera. Przekazał mi przez telefon szczegółowe wskazówki, jak tam dotrzeć. Więc teraz sunęłam swoim paskudnym kanarkowożółtym kabrioletem (bez automatycznego wspomaganie kierownicy) po drogach Bel Air, ślizgając się po jezdni i o mało nie powodując karamboli przy braniu powyginanych zakrętów, niczym zmatowiała kulka flipera, pozołkła ze starości. Ameryka mogła być w teorii demokracją, ale naprawdę rozszerzałam pole obowiązywania ideału Jeffersona, mając czelność jechać tym straszliwym, rozpadającym się gruchotem przez sektor, który był *de facto* prywatny.

Od ostatnich czterdziestu pięciu minut na przemian to zaglądałam do wskazówek Vince'a, to je przeklinałam. Minęłam Anzio, wjechałam na Roberto, wykręciłam na pleonastycznie nazwaną ulicę Via Verone, woczyłam się na Portofina Place i skręciłam z powrotem na Stradella, teraz niezbitcie przekonana, że Vince mieszka w Toskanii.

Powiedział: „Będziesz musiała skrócić w prawo na Tortuoso, a gdy miniesz dom w stylu Cape Cod z niebieskimi okiennicami, zobaczysz nieoznaczony podjazd po lewej. Po obu jego stronach leży po kilka pomalowanych na biało głazów. Wjedziesz tam i dotrzesz do wysokiej białej bramy z kutego żelaza. Po lewej jest interkom na nazwisko Otto Bloodwort”.

- A kto to? - zapytałam.

- Nikt. Po prostu uznałem, że nikt na świecie nie chce rozmawiać z kimś, kto nazywa się Otto Bloodwort. Naciśnij guzik, podaj dzisiejsze hasło, czyli: „Cześć, to ja, już jestem”, a ja ci otworzę.

Trasa objaśniona mi przez Vince'a była jak jeden z tych planów labiryntu w dziecięcych rysowankach, które przypominają jelito cienkie. Teraz mój „samochód” wreszcie wjeżdżał pod górę po wijącej się Tortuoso i instynkt podpowiadał mi, że Vince bynajmniej nie wskazał najprostszej drogi. Znacznie później dowiedziałam się (nie od Vince'a), że wiele lat wcześniej wyznaczył dla własnego użytku najbardziej okężne trasy do swojego domu ze wszystkich stron świata i udzielał odpowiednich wskazówek nowym gościom w nadziei, że nie uda im się odtworzyć przebytej drogi bez pisemnych instrukcji albo mapki, co obniżało prawdopodobieństwo nieproszonego wizyt ludzi, którzy zamierzaliby wpaść z wizytą bez ostrzeżenia.

- Tak? - zapytał głos, który wydobył się zza kratki głośnika pod nazwiskiem Otto Bloodwort na interkomie.

- Cześć, to ja, już jestem - powiedziałam. Stałam przy domofonie, gdyż nie udało mi się osiągnąć guzika z miejsca, gdzie zatrzymałam swój ohydny samochód.

Nie było odpowiedzi, tylko niskie brzęczenie, podobne do tego, które zawsze wyobrażałam sobie jako buczenie krzesła elektrycznego, i po dramatycznej pauzie metalowa brama powoli się otworzyła. Pobiegłam z powrotem do swojego potwornego pojazdu, bojąc się, że istnieje limit czasowy, po którym brama automatycznie się zamknie. „Dziennikarka zmiażdżona w szkaradnym kabrioletcie”.

Za bramą miałam do pokonania jeszcze długi podjazd. W końcu zaparkowałam swój niewybaczalny środek transportu na parkingu wielkości boiska. Vince stał we framudze drzwi na końcu ogrodzonego murem dziedzińca. Miał na sobie rybacki sweter, czarne gabardynowe spodnie, skarpetki, które wyglądały na kaszmirowe, oraz buty Bass Weejuns.

- Jakieś kłopoty ze wskazówkami, które ci dałem? - zapytał.

- Tylko wtedy, gdy musiałam skrócić. Zwykle przebycie trasy trzydziestu kilometrów w linii prostej nie zajmuje mi półtorej godziny. - Rany, jaka byłam wtedy wkurzona.

Vince wzruszył ramionami.

- Cena odosobnienia.

- Zastanawiałeś się kiedyś nad Yucca Flats? - odparłam, przeciągając strunę. - Właściwie to moja wina, a nie twoja. Mój samochód wariuje na zakrętach.

Weszliśmy do domu przez przedsionek, który mógłby być galerią sztuki, i po pięciu okrytych miękkim dywanem schodkach do salonu. Był tak ładny, jak się spodziewałam, i równie męski jak sam Vince. Barwy we wszystkich odcieniach kawy: od czarnego, poprzez kawę z różną ilością śmietanki, aż po samą śmietankę. Zaskoczył mnie widok tak wielu książek, z których żadna nie dotyczyła show-biznesu.

Na ścianie po lewej wisiał obraz De Chirico, nie jeden z tych, który znałam, ale z charakterystyczną scenerią: słoneczny, upiornie opustoszały miejski rynek we Włoszech, rzeźba, długie cienie pary ludzi rozmawiających na loggii pałacu. Przygaszone odcienie oranżu i żółci dobrze pasowały do wnętrza, którego główną ozdobą był cudowny widok rozciągającego się w oddali Los Angeles.

- Ładnie się urządziłeś - mruknęłam do siebie.

Vince zapytał, czy mnie oprowadzić, ale mieliśmy pracę, która mogła ucierpieć, gdybym za bardzo się z nim zakumplowała. Z moralnego punktu widzenia byłam dla niego w najlepszym razie kimś pomiędzy chirurgiem a toreadorem.

- Wiesz - powiedziałam, rzucając torebkę, która zawierała magnetofon kasetowy i moje przybory do pisania, na skórzaną kanapę nabijaną matowymi mosiężnymi ćwiekami - będziemy tu pracować codziennie i jestem pewna, że znajdzie się okazja, żebyśmy się rozejrzała. Mamy tyle rzeczy do przegadania...



Pokiwał głową i wyszedł do kuchni po kawę. Pochwaliłam jego gust do współczesnej sztuki włoskiej. Roześmiał się.

- A czego się spodziewałaś, różowiutkich aniołków? Czy matadorów, kobiecych aktów i błaznów na czarnym aksamicie?

Znowu odruchowo potraktowałam go z góry. Kiedy ustawiałam magnetofon, zapytałam, czy zawsze radzi sobie w domu sam.

Pomysł, że jakiś służący miałby mieszkać z nim pod jednym dachem, uważał za odpychający.

- Musiałbym z nim rozmawiać, wypytywać go o rodzinę, wysłuchiwać jego uwag o tym czy tamtym, przedstawiać swoim gościom, a potem opowiadać im o jego rodzinie, żeby sprawiać wrażenie fajnego faceta... To mnóstwo roboty, jeśli wziąć pod uwagę, że ostatnimi czasy najbardziej cenię w życiu chwile, gdy nie muszę być „Vince'em Collinsem”. - Właśnie dlatego Reuben był (i pozostał) wyłącznie służącym Lanny'ego, który płacił mu zawsze bezpośrednio z własnej kieszeni. - Lubię czytać, rozmyślać i mieć poczucie, że mogę wstać i wyjść o każdej porze dnia bez konieczności opowiadania się komukolwiek albo choćby mówienia „do widzenia”.

Owego pierwszego dnia zaczęliśmy od jego rodziców i dzieciństwa. Wiedziałałam, że gdzieś w głębi spodziewał się, że od razu wyjadę z tematem Maureen. Ale chciałam dać mu na razie trochę luzu.

Nie tyle dlatego, że pragnęłam zyskać jego zaufanie. Chciałam raczej, żeby sam sobie zaufał: żeby poczuł się jak świadek sądowy, traktowany ulgowo w ciągu pierwszej godziny przesłuchania przez adwokata strony przeciwnej. Po jakimś czasie zaczyna myśleć: „Hej, to nic takiego”. Zaczyna być bardziej rozmowny. Dopowiada i uściśla własne odpowiedzi. Wie, że go zrozumiesz, bo już ci wyjaśnił, jak sprawy stoją. W końcu powie ci wszystko. Prawda jest taka, że każdy chce się wypowiedzieć.

Oczywiście nie mogłam zwlekać zbyt długo z Tematem Numer Jeden. Wiedziałałam, że Greg Gavin drży już w Nowym Jorku z oczekiwania na gorącą porcję wywiadu, a nowe pismo Neumana i Newberry'ego, „Master”, jest gotowe do opublikowania szokujących fragmentów z naszej książki w premierowym numerze. Ale mogłam z tym poczekać trzy, cztery dni. Przydzieliłam sobie tyle czasu na przyjemne rozmowy z Vince'em Collinsem.

Wywiad szedł jak z płatka. Vince był skromny i zabawny, miła mieszanka ciepła i cierpkości, niby idealny krążek cytryny, pływający w manhattanie. A gdy mówił o swoim dzieciństwie, wyobrażałam sobie, jak ciężko pracował, aby poprawić swój los. W wieku kilkunastu lat oglądał się w lustrze, wypróbowując brylantynę Wildroot Cream Oil, i widząc swoją twarz, pomyślał: „Mogę nad tym popracować. Z taką twarzą powinienem do czegoś dojść”.

W Ameryce jego ojciec nazywał się Domenico Collins. Vince'owi opowiadano, że „Collins” to przekreślona przez urzędnika celnego wersja Colline Metallifere, czyli nazwy łańcucha górskiego w południowej Toskanii, skąd pochodziła rodzina jego ojca. We Włoszech ojciec nazywał się Domenico Vincenzo d'Ambrosio. Vince zawsze zastanawiał się, czemu celnik nie przechrzcił ojca na Domenica Ambrose'a.

- Co czyniłoby cię Vince'em Ambrose'em? - spytałam.

- Brzmi dość cukierkowo, prawda? - przyznał.

Jego ojciec przyplął do Nowego Świata jako nastolatek albo dlatego, że słyszał, że w tym kraju jest mnóstwo dobrych posad dla szefów kuchni z północnych Włoch, albo dlatego, że zamordował byłego narzeczonego swojej żony. „Och, Madon', jaką boginią była moja matka!” - wspomniał Vince. Powiedział, że w jej twarzy widział całą historię Włoch od renesansu aż do starożytnego Rzymu. To ona zachęciła go do śpiewania, chociaż głos odziedziczył po ojcu, który był znany z tego, że śpiewał (nie tylko głośno, ale i dobrze) podczas gotowania.

Za kwadrans szósta usłyszałam w tym głosie lekką chrypkę i zasugerowałam, żebyśmy skończyli.

- Chciałabyś zjeść ze mną kolację? - spytał. Zawahałam się, więc dodał: - Nie musielibyśmy rozmawiać o mnie.

Niedawne doświadczenia z pewnością powinny były sprawić, żebym odmówiła, ale wiedziałam, że jeśli się zastanowię, znajdę usprawiedliwienie, żeby się zgodzić.

Rzeczywisty powód mojej zgody powinien być dość oczywisty dla każdego. Gdyby George Harrison z Beatlesów spotkał cię w barze, zabrał w krótką magiczną podróż, sprawił, że poczułabyś, że przytrafiło ci się coś szczególnego i wyjątkowego, a potem bezceremonialnie cię porzucił, co takiego mogłoby ci poprawić humor?

Zgadza się, bardzo dobrze: oczywiście John Lennon. Jeśli ja byłam Dorothy Lamour, to Lanny był stanowczo Bobem Hope'em, a Vince Bingiem Crosbym.

Nie chodzi o to, że Lanny był nieatrakcyjny. Lecz chociaż jego twarz mogła wyglądać fascynująco i czule w świetle nocnej lampki w hotelu Plaza i chociaż miał jeden z trzech najbardziej uroczych tyłków, za jakie miałam przyjemność złapać, i okazał się (niech to wszyscy diabli) najlepszym kochankiem na jedną noc, jaki mi się kiedykolwiek trafił, to każdy powie wam, że to Vince uchodził w tym duecie za przystojniaka.

Aha. Wymyśliłam racjonalny powód. Bomba. Nie trwało to nawet zbyt długo. Towarzyskie i koleżeńskie kontakty z Vince'em sprawia, że jeszcze niżej opuści gardę. Tylko żeby jeszcze z nim nie spać, oczywiście (oczywiście),

bo z reguły, gdy mężczyzna prześpi się z kobietą, to potem gardę podnosi.

Zabrał mnie do jednej z ulubionych restauracji, naprzeciwko hotelu Hałas (jak nazywaliśmy w branży Continental Hyatt House, ponieważ tam, a także w Sunset Marquis, znajdowały zakwaterowanie drugorzędne zespoły rockowe i ekipy techniczne zespołów pierwszorzędnych).

Restauracja mieściła się na bulwarze Zachodzącego Słońca 8426, ale na pewno nie znaleźlibyście jej, gdybyście stanęli na chodniku przy tym adresie. W tym miejscu ulica opada stromo w dół aż do bulwaru Santa Monica, zupełnie jak w San Francisco. Pod numerem 8426 była po prostu metalowa furtka i kamienne schody, które zdawały się schodzić na pusty parking obok salonu tatuażu. Vince otworzył furtkę i skinął ręką, żebym za nim podążyła.

Po raz drugi prowadził mnie w dół po długich schodach ku nieznanemu celowi. Tym razem nad balustradami z kutego żelaza wisiały japońskie lampiony, oświetlające gęste listowie po bokach. Powietrze było cudownie słodkie. Po pokonaniu około czterdziestu stopni znaleźliśmy się na patio otoczonym krzewami i drzewami, znacznie poniżej poziomu bulwaru, gdzie bardzo elegancyjny ludzie jedli kolację, jakby siedzieli u kogoś w przydomowym ogródku, co w gruncie rzeczy było prawdą. Gazowe kinkiety przeciwstawiały się naturze, eliminując wieczorny chłód. Daleko za i ponad nami słyszałam cichy szum samochodów sunących bulwarem Zachodzącego Słońca niby odległe komety, zamiatające ogonami nocne niebo.

Młody jasnowłosy maître d'hôtel natychmiast spostrzegł Vince'a i zaprowadził nas do stolika w rogu patio. Był to uroczy zakątek.

Dowiedziałam się, że restauracja, która nosiła nazwę U Butterfielda, służyła kiedyś jako domek gościnniego Johna Barrymore'a, i że budynek zachował ten charakter. Najznamienitszym gościem był tu kumpel do kieliszka Barrymore'a, Errol Flynn.

Bez jednego choćby słowa ze strony Vince'a młody jasnowłosy kelner postawił przed nami smażoną pietruszkę na srebrnej tacce. Pogryzaliśmy ją po trochu podczas rozmowy. Była gorąca, nietłusta i wyszukana niby frytki ziemniaczane, udoskonalone przez Co-le'a Portera.

Zamówiłam zupę-krem z rzeżuchy, która okazała się przyjemnie chuda i miała tajemniczy aromat podobny do wędzonych szparagów. Vince zaczął od płastug, które były dla mnie nowością: płaskie rybki, podobne do halibuta wielkości kciuka. Zostały obtoczone w mące, potem usmażone na oliwie z oliwek i podane z zielonym sosem tatarskim, który, jak podejrzewałam, zawierał chrzan japoński. Vince dał mi jedną płastugę na spróbowanie, ostrożnie przełożywszy ją na mój talerzyk. Była cudowna. On był

cudowny. Tak dobrze się bawiliśmy: ani przez chwilę nie rozmawialiśmy o show-biznesie ani jego karierze, lecz po prostu o tym, co oboje sądzimy o różnych sprawach.

Może to nie był aż tak zły pomysł, pomyślałam, że zgodziłam się z nim przespać po zakończeniu pracy nad książką. Miałam wrażenie, jakby po dojściu do tej zgody sprawa seksu zeszała z porządku dnia. Flirt był niepotrzebny. Lubieżne insynuacje nie musiały czaić się na końcu każdego zdania. Niektórzy znani mi faceci bez końca odnosiliby się do tej obietnicy, upewniając się, że to nie był dowcip z mojej strony, przypominając, że zamierzają zrealizować promesę, którą wydałam, i sprawdzając, czy terminu spłaty nie dałoby się przyspieszyć. Ale nie Vince. Widocznie po zakończeniu wspólnej pracy zamierzał po prostu upomnieć się o to, i tyle. Więc nie było potrzeby, żebyśmy uprawiali miłosne gierki. Mogliśmy normalnie porozmawiać, jak ludzie.

I właśnie tak, bez dramaturgii, minął nam cały wieczór. Żadnego pocałunku, nawet „buzi-buzi”, żadnych błagalnych jęków w stylu: „O Boże, gdybyśmy tylko ze sobą nie pracowali!”. Jedyne zdrowe, racjonalne, bardzo nietypowe w tamtych czasach: „Do zobaczenia jutro”.

Przez kilka dni wszystko toczyło się w ten sposób. Posuwaliśmy się naprzód w omawianiu życia Vince'a (trzeciego dnia byliśmy dopiero przy początku służby wojskowej i chciałam jeszcze wrócić do kilku spraw z okresu, gdy był nastolatkiem), a potem w luźnej atmosferze jedliśmy kolację, przy której z wdziękiem przemienialiśmy się z odpowiadającego i pytającego w dwoje dorosłych ludzi, prowadzących autentyczną rozmowę. Chodziliśmy do stosunkowo cichych i spokojnych lokali, gdzie Vince mógł zjeść posiłek jak najbardziej anonimowo. Przez „anonimowość” mam na myśli po prostu tyle, że ludzie, których nie znał, nie podchodzili do naszego stolika i nie przedstawiali się, prosząc o wspólne zdjęcie albo autograf na karcie dań. Vince cenił sobie restauracje, gdzie większość klientów rozumiała ten kodeks zachowania. Nie myślcie sobie, że twierdzę, iż Vince mógł się udać dokądkolwiek, gdzie by go nie rozpoznano.

Wypracował sobie jednak minę, która utrudniała rozpoznanie, i przybierał ją w tych rzadkich wypadkach, gdy na chwilę czuł się wśród ludzi bezbronny. Przepraszał mnie wtedy, mówiąc: „Przepraszam, zaraz wracam”, po czym lekko pochylał głowę, podnosił wzrok i wykrzywił niedomknięte wargi w głupkowatym uśmiechu. Podnosił również ton głosu o kwintę i zaczynał mówić ze środkowozachodnim akcentem. „Tego, przepraszam bardzo, proszę pana - potrafił powiedzieć parkingowemu - po prostu chcemy dostać wóz z powrotem w jednym kawałku”; i nagle w

miejsu, gdzie przed dwiema sekundami stał Vince, widziało się nieśmiałego, lecz dobrodusznego prostaka. Gdy poznaliśmy się lepiej, przestał mnie przepraszać i po prostu wydobywał tę minę, gdy było trzeba, tak jak wydobywa się z kieszeni chusteczkę przed kichnięciem.

W czwartek zaproponował knajpę w Malibu, zwaną Sandpiper, której kierownictwo gwarantowało co wieczór zachód słońca nad Pacyfikiem. Jako że Vince był Vince'em, dostaliśmy najlepszy stolik z widokiem na lśniącą, wydrążoną skałę, która wystawała daleko nad wodą, a podmywające ją morskie fale tryskały przez porowatą powierzchnię niby spienione gejzery.

W charakterze swego rodzaju testu jakby nigdy nic zapytałam Vince'a, czy lubi homary. Odpowiedź zabrzmiała zupełnie normalnie. Powiedział, że uwielbia homary na zimno, serwowane w sałatce, uwielbia widok i czerwonego pancierza, i czerwonych rzodkiewek na podściółce zielonych liści. Lubił *bisque*, zwłaszcza U Weelera w Londynie, gdzie podpalali koniak i dosłownie wlewali tajemnicze błękitne płomienie do zupy, gdy ta przed tobą stała. Nie przepadał specjalnie za gotowanymi homarami, bo mięso czasami robiło się zbyt papkowate albo lykowate, ale homar rozłupany i upieczony na węglu drzewnym był boski. Nie lubił jednak maczać go w maśle. „Wtedy smakuje po prostu jak dobry popcorn w kinie, więc czemu po prostu nie pójść na film z popcornem?”. Z przyjemnością rozłupywał skorupę, żeby dostać się do miąższu, lecz później zaczynało go to męczyć, zwłaszcza że płacił przede wszystkim za mięso.

Odpowiedział mi w sposób szczerzy i zrównoważony, a ja z wdzięcznością przyjąłem to jako dowód, że jeśli homary stanowiły część mrocznego epizodu w jego życiu, to Vince prawdopodobnie o tym nie wiedział.

Zaczęliśmy naszą pracę we wtorek. Pod koniec sesji piątkowej, gdy oderwaliśmy się od odtwarzania pierwszego roku jego służby wojskowej (o mało nie stanął przed sądem wojskowym za zwrócenie się do pułkownika per „ty”), zapytał, czy chciałyby kontynuować w weekend. Dla własnego dobra odmówiłam. Uważałam, że to ważne, żebym miała weekend dla siebie i nie straciła kontaktu ze światem, gdzie ludzie robią pranie, chodzą do sklepu po chleb i sami parkują swoje samochody. Aż nazbyt łatwo byłoby stracić cały kontekst, a to wytrąciłoby mnie z mojej roli jako dziennikarki.

Zdawało się, że zrozumiał, ale zaznaczył, że wycofał się z innych zajęć, żeby wygospodarować czas na naszą książkę, więc gdybym postanowiła pracować cały tydzień, nie tylko by mu to nie przeszkadzało, ale wręcz byłby zadowolony. Zasugerowałam niedzielę jako potencjalny termin, ale poprosiłam, aby dał mi czas do soboty po południu na potwierdzenie,

ponieważ wymagałoby to poprzysuwania innych obowiązków. W rzeczywistości nie zaplanowałam nic na niedzielę, ale po prostu pragnęłam zachować swobodę ruchu.

Tamtego wieczoru zostawiłam cztery kasety w biurze usług stenograficznych Cynthii R. Lehman, które mieściło się w jadalni, a czasami też kuchni otynkowanego domku Cynthii na ulicy Formosa w zachodnim Hollywood. Kiedy wróciłam do domu, nalałam sobie białego gravesa i rozsiadłam się na łóżku z przepisany przez Cynthię tekstem rozmowy z poprzedniego dnia. Otoczona reprodukcjami Klimta i zabytkowymi flakonikami po perfumach przeczytałam go ze sporą satysfakcją. Wciągnęłam Vince'a w rozmowę całkiem nieźle, pomyślałam, tu powstrzymując, a tam zachęcając go do opowieści, niczym owczarek umiejętnie zapędzający trzodę do zagrody. Nic z tego, co do tej pory uzyskałam, nie sprawi, że Greg Gavin wpadnie w zachwyty i uzna, że to materiał na bestseller. Ale sprawy nabiorą rumieńców w przyszłym tygodniu, gdy zapytam Vince'a o Maureen O'Flaherty. Na początku, gdy wkroczymy w następny tydzień pracy, dam mu dużo luzu. Ale potem, może w środę, zapytam. Wtedy, jak się spodziewałam, będę wiedziała znacznie więcej. O tak.

Sobota zaczęła się spokojnie, co bardzo mi odpowiadało. Fajnie było trochę odpocząć od myślenia. Podrzuciłam Cynthii Lehman mój przere-dagowany tekst, by dała go do przepisania i wysłała na Wschodnie Wy-brzeże. Zaniośłam brudne ciuchy do pralni o nazwie Soapermarket na Ventura Boulevard. Po włączeniu pralki nawet nie wyszłam. Zająłam się oglądaniem „American Bandstand”, programu Dicka Clarka, w czarno-białym telewizorze, ustawionym na półce nad automatem z colą. Marno-wałam czas i dobrze, chciałam, by tak upłynęło całe popołudnie. Kiedyś, robiąc wywiad z Dickiem do artykułu o scenie muzycznej Filadelfii, spyta-łam o sekret jego młodego wyglądu. Powiedział, że dzień w dzień łyka aspirynę. Mówiąc to, siedział w fotelu fryzjerskim, gdy charakteryzatorka ABC przez półtorej godziny pracowała nad jego twarzą.

Skończywszy pranie, poszłam kupić coś do jedzenia. Nigdy nie robię li-sty zakupów. Czekam, aż zacznie mnie skrecać z głodu, idę do Safewaya i obchodzę cały sklep, nie pomijając ani jednej półki. Dzięki temu mój pu-ssty żołądek może zasygnalizować mi, czy widzę coś, co warto by zjeść, jeśli nie dziś, to któregoś dnia.

Popchnęłam wózek w głąb drugiej alejki, zaintrygowana serkami zio-łowymi o brzmiących z francuska nazwach. Kiedy nachyliłam się nad re-gałem chłodniczym, by lepiej się przyjrzeć czosnkowo-szczypiorkowemu i miodowemu z papryczką jalapeño, przez parę buchającą mi z ust zobaczy-łam dostojną postać Reubena, służącego Lanny'ego Morrisa.

Nie zauważył mnie. Był w dziale owocowo-warzywnym i w skupieniu, okiem znawcy, oglądał pomidory. Odłożył trzy na bok, nim wreszcie zna-lazł taki, który spełniał jego wymagania. Przeszedł dalej i podobnie fa-chowej ocenie poddał czerwoną i zieloną paprykę. W odróżnieniu ode mnie, miał ze sobą listę zakupów i od czasu do czasu spoglądał na nią z

uwaga, jak szanowany adwokat, przywołujący precedensy sądowe.

Odruchowo pchnęłam wózek w przeciwną stronę, na końcu alejki odbiłam w bok i znalazłam się w dziale papierniczym i zoologicznym.

Zebrałam myśli. W zasadzie nie powinnam się dziwić, że natknęłam się na Reubena. Kto jak kto, ale ja doskonale wiedziałam, że wyjechał ze swoim chlebodawcą ze Wschodniego Wybrzeża. Lanny mieszkał w Beverly Glen, miał więc do mojego ulubionego Safewaya prawie tak blisko, jak ja ze Studio City. No i, rzecz jasna, nie mógł pokazać się w żadnym z amerykańskich supermarketów, bo nie opędziłby się od ludzi, dlatego to do Reubena należało robienie niezbędnych zakupów.

Co by się stało, gdyby mnie zauważył? Czy w ogóle poznałby mnie - czy wywarłam na nim wystarczająco duże wrażenie? Czy też przez łóżko Lanny'ego przewijało się tyle panienek, że byłam dla Reubena tylko jedną z wielu? Może spojrzalby na mnie jak na zupełnie obcą osobę. Na tę myśl postanowiłam stanąć z nim twarzą w twarz. Jego reakcja na mój widok mogła powiedzieć mi, jak zostałam oceniona (i jak byłam postrzegana) przez słuźącego i jego chlebodawcę. Obowiązki, logika, dyplomacja, wszystko to poszło w diabły. Wściekłam się; kiedy znów przypomniałam sobie, jak dałam się wykorzystać, dosłownie krew mnie zalała. Aż mi się zrobiło czerwono przed oczami.

Chodziłam za nim po całym sklepie. Nie tracić z oczu jego wózka - tylko to się dla mnie liczyło. Zachowywałam się jak idiotka, najpierw skradałam się wzdłuż półek z dżemami i zupami w puszcze, by potem dać nura w alejkę z sosami do sałatek i schować się za ekspozycją płatków Kellogg's Sugar Smacks. Kiedy w pewnym momencie Reuben odwrócił się i ruszył w moim kierunku, sprytnie nachyliłam się nad mrożonkami i złapałam gotowe danie, składające się ze schabowego, makaronu z serem, marchewki i małej porcji musu jabłkowego. Wrzuciwszy je do szybko zapełniającego się wózka, ostrożnie wysunęłam się z alejki. Reuben właśnie stawał w kolejce do piątej kasy. Zwinnie wśliznęłam się za niego, zastępując drogę drobnej staruszce. Zaczęła protestować, ale spojrzalam na nią tak, że potulnie przeszła do sąsiedniej kasy.

Reuben skończył wykladać zakupy na taśmę i postawił za nimi drewnianą przegródkę. Jakby nigdy nic, zaczęłam wyjmować z wózka swoje produkty i położyłam mrożone danie po jego stronie przegródki. Potem oparłam się tyłkiem o barierkę i czekałam, aż mój manewr przyniesie pożądany skutek. Na widok opakowania w rękach kasjerki Reuben podskoczył prawie jak bohater kreskówki. Domyślałam się, że Lanny Morris nieczęsto jada gotowe mrożone dania, a jeśli nawet, to zapewne nie były to schabowe z makaronem oblanym roztopionym serem.



- Przepraszam - odezwał się Reuben - to chyba nie moje.

Ja w tym czasie pracowicie układałam na czarnej taśmie pudełka podłomyków, tak by były w równym rzędku.

- Proszę pani? - zwróciła się kasjerka do mnie.

Udając, że wokół mnie jest wiele innych pań, do których mogły być skierowane te słowa, dalej zastawiałam swoją część taśmy serkami ziołowymi.

- Proszę pani? - powtórzyła.

Podniosłam głowę.

- To pani? - spytała, wskazując na mrożone danie. Z plakietki, którą nosiła na piersi, wynikało, że na imię ma Lois.

- Ano tak, dziękuję - powiedziałam i odwróciłam się na chwilę, tak by Reuben mógł zobaczyć moją twarz, po czym znów zajęłam się rozładunkiem wózka. Miałam dość czasu, by go „zauważyć”, gdyby to okazało się konieczne. Najpierw chciałam sprawdzić, czy on rozpozna mnie.

Reuben był pochłonięty szukaniem w portfelu karty BankAmericard. Podał ją Lois, która westchnęła ciężko na jej widok. Niewielu klientów wybierało tę formę płatności.

- To konieczne? - spytała. - Nie starczy panu gotówki?

- Przykro mi, ale robię zakupy dla kogoś - wyjaśnił Reuben. - Jeśli trzeba okazać dokument, proszę bardzo. - Podał jej prawo jazdy.

Lois wyszła zza kasy.

- Nie mam tego, jak to się nazywa... moment. - Poszła do stanowiska obsługi klientów po czytnik i trzy egzemplarze formularza. Po drodze łąpnęła na Reubena spode łba.

Reuben uciekł oczami od jej chmurnego wzroku i znów spojrzął na mnie. Uśmiechnął się przepaszająco i dopiero wtedy olśniło go, że mnie zna.

- Przepraszam... - powiedział nieśmiało - ...panna Trout? Poznaliśmy się w samolocie do Nowego Jorku.

Udałam zaskoczoną, ale pilnowałam się, by nie przeszarżować.

- Reuben! - powiedziałam. - Cześć. O rany, co za niespodzianka. Kto by pomyślał, że zobaczę cię tak szybko po tym, co się stało w Plaza...

Urwałam i spojrzałam mu w oczy. Miałam kamienną twarz. Byłam ciekawa, co wie o tym, co mnie spotkało. Złoty człowiek. Zaczerwienił się, jego skóra przybrała jesienny, pomarańczowy odcień.

- Och, tak mi przykro, panno Trout. To, jak panią potraktowano... - Nie mogłam dokończyć zdania, ale jego wstyd był aż nadto wymowny. Niczym wierny służący z innej epoki, zdawał się czuć współodpowiedzialny za zachowanie swojego chlebobdawcy.

Zniżyłam głos i przybrałam urażony ton, który dobrze oddawał moje prawdziwe uczucia.

- No cóż, rzeczywiście trzeba było coś powiedzieć. A przynajmniej zostawić wiadomość czy zadzwonić.

Reuben pokiwał głową ze zbolaną miną.

- Oczywiście.

- Wiem, że jest wielką gwiazdą, a wielkie gwiazdy mogą do woli zmieniać prawa natury...

- Nie, źle mnie pani zrozumiała - przerwał jej. - Jest takie powiedzenie: „Nikt nie jest bohaterem w oczach swojego służącego”. Ja jestem służącym Lanny'ego Morrisa.

Lois wróciła z czytnikiem kart kredytowych i ze złością wcisnęła do niego kartę Reubena i formularz z kalką. Podała mu długopis, ale on podpisał się swoim, po czym zaczekał obok kasy, aż zapłacę za zakupy. Zaofiarował się, że pomoże mi schować je do bagażnika. Wyszliśmy z wózkami na ponure popołudniowe słońce i stanęliśmy przy moim żalonym gruchocie. Przywiązane do latarni pomarańczowe i żółte proporce, niesymbolizujące niczego, zwisały nieruchomo w upale. Kiedy otworzyłam ohydny bagażnik mojego parszywego kabrioletu, Reuben spytał, co robię w Los Angeles. Powiedziałam, że od jakiegoś czasu rozglądam się za nową pracą, może przy redagowaniu tekstów, i że jedna z tutejszych firm zasygnalizowała, że jest mną zainteresowana. Zatrzymałam się u znajomej. Byłam ciekawa, czy spyta, gdzie dokładnie. Wskazywałoby to, że przynajmniej udało mi się zasłużyć sobie na pochlebną wzmiankę w Księdze Lanny'ego Morrisa. (Jezu, co ja wygaduję!)

Rzeczywiście spytał o mój adres i z przerażeniem wyznaję, że mi ulżyło, choć nie miałam zamiaru mu go podawać. Powiedziałam, że w świetle tego, co zaszło, nie chcę, by Lanny się ze mną kontaktował.

Lekko poruszył wózkiem, jakby kołysał dziecko do snu. Widać było, że jest mu niezręcznie mówić tak otwarcie o Lannym, ale, co mu się chwali, honor był dla niego ważniejszy niż poczucie zawodowego obowiązku.

- Panno Trout, to, co powiem... człowiek na tak odpowiedzialnym stanowisku, jak moje, nie powinien mówić takich rzeczy, ale chcę, by pani wszystko dobrze zrozumiała. Starzeję się i wkrótce przejdę na emeryturę, jeśli pan Morris na to pozwoli. Już nie mogę się doczekać. Z jednej strony, jestem bezgranicznie lojalny wobec mojego pracodawcy. Był nadzwyczaj hojny wobec mnie i mojej rodziny, ilekroć potrzebowaliśmy jego pomocy. Jestem mu za to ogromnie wdzięczny. Zrobił dużo dobrego dla całej masy ludzi, choćby przez to, że ich rozśmieszał. To niby nic takiego, ale zarazem wielka rzecz. Bardzo go lubię. Praca u niego to dla mnie zaszczyt.

Powiedziałam, że rozumiem. Niełatwo mu było zdobyć się na taką szczerość, to oczywiste.

- Mam jednak pewne zasady - ciągnął. - Wielu Filipińczyków, ze mną łącznie, wywodzi się od hiszpańskiej szlachty i choć nasze rody podupały, wciąż pozostajemy wierni przekonaniu, że kobiety powinno się traktować z należyty szacunkiem. W mojej pracy najtrudniejsze było właśnie to, że musiałem przymykać oko na pewne sprawy.

Ochroniarz w typie buraka ze wsi podjechał do nas nieoznakowanym samochodem.

- Wszystko w porządku, psze pani? - spytał.

Oczywiście zainteresował się mną tylko dlatego, że zobaczył we mnie młodą białą dziewczynę, nagabywaną przez ciemnoskórego mężczyznę.

- Jak najbardziej. Dzięki - odparłam.

Skinął głową z powątpiewaniem i zwrócił się do Reubena.

- A u pana? - powiedział, przybierając protekcyjny ton.

Reuben odparł, że u niego też wszystko w porządku, i podziękował za troskę. Ochroniarz zerknął na mnie raz jeszcze, by sprawdzić, czy aby nie zamrugam oczami SOS, i ruszył w dalszą drogę, jak zawsze gotów bronić łądzwi kalifornijskich dziewcząt przed zakusami wszelkiej maści mieszkańców.

Reuben wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Oto, z czym mam do czynienia na co dzień”. Obrócił wózek, by pokazać tępemu ochroniarzowi, że naprawdę zamierza już odejść.

- Chciałbym wierzyć, że nasze drogi zeszły się w tym sklepie nie bez udziału jakiejś wyższej siły - powiedział.

Szkoda mi było czasu na wyjaśnianie, że nasze drogi zeszły się głównie dlatego, że przez ostatni kwadrans chodziłam za nim wśród płatków owsianych i napojów.

- Proszę nie winić się za to, co panią spotkało ze strony pana Morrisa. Nie było to spowodowane tym, kim pani jest ani co pani robiła czy mówiła. Jeśli mam być szczery, on jest taki wobec wszystkich kobiet. Tak je traktuje. Potrafi być niezwykle troskliwy i szarmancki, ale kiedy już zdobędzie kobietę... to prawie jak choroba. - Dotknął mojej ręki. - Kiedy zostawił panią tamtego ranka, może przez chwilę czuła się pani podle. Może nawet dręczyła się pani przez wiele dni. Zapewniam panią jednak, panno Trout, że jego odejście... to najlepsze, co mogło panią spotkać. Być może w tam tym momencie miała pani wrażenie, że doznała pani krzywdy. Nie słusznie. Została pani ocalona.

Odszedł, pchając przed sobą wózek. Patrzyłam, jak wsiada do dziesięcioletniego forda falcona, który lśnił czystością jak nowy. Odjechał. Odwróciłam się, by włożyć zakupy do samochodu, i zobaczyłam mrożone danie na wierzchu torby. Wrzuciłam je z powrotem do wózka i odepchnęłam go od mojego beznadziejnego rzęcha.

Słowa, które usłyszałam od Reubena, ostatecznie zgasiły iszkierkę nadziei na to, że Lanny mimo wszystko coś do mnie czuł. Nie, byłam tylko kolejnym honorowym członkiem Klubu Lanny'ego, wylądowałam na końcu długiej listy kobiet, które sparzyły się na wierze w dobre intencje założyciela i zostały na lodzie. Dość tego. Napisanie bestsellera o Vinsie Collinsie, ujawniającego kompromitujące fakty z życia Lanny'ego Morrisa, będzie musiało mi wystarczyć za nagrodę pocieszenia.

Miałam okazję, by zastanowić się, jak to, co zdarzyło się w Nowym Jorku, wpłynie na moje najbliższe plany. Wieczorem pojadę do Cynthii po poprawiony tekst, w poniedziałek z samego rana wyślę go pocztą lotniczą do N&N. Przy odrobinie szczęścia będzie na miejscu w czwartek. Wtedy na pewno zadzwoni do mnie Gavin i napuszczonym tonem oznajmi, że to, co mu przysłałam, jest zbyt niewinne i że z tego powodu całe przedsięwzięcie stoi pod znakiem zapytania. (Ludzie jego pokroju nie mogli żyć bez przedsięwzięć stojących pod znakiem zapytania, dzięki nim mogli bowiem wkraczać do akcji, z zasępionym czołem i fajką w ustach, i powtarzać wszem i wobec, by zachowali spokój, bo już oni wszystkim się zajmą; cóż, że całe zamieszanie rozpętało się za ich przyczyną). Byłoby dobrze, gdybym w trakcie tej rozmowy mogła podrzucić mu jakiś pikantny szczegół, który uciszyłby go do czasu, aż skończę robotę.

Dlatego też zadzwoniłam do Vince'a i powiedziałam, że chcę skorzystać z jego propozycji, byśmy pracowali w niedzielę. Wyraźnie żałując, że ją złożył, spytał, czy nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy rozmawiali przy partyjce golfa, w którego starał się grywać przynajmniej co dwa dni. Ostrzegłam go, że nie mam zielonego pojęcia o golfie. Odparł, że to bez znaczenia, mogę pochodzić z nim po polu golfowym, on pogra sobie sam.

Doszedłam do wniosku, że może to być dla mnie jedyna okazja, by zobaczyć od środka klub Bel Air - no, chyba że zostanę nosicielem kijów - więc zgodziłam się.

Pola golfowe zawsze wydawały mi się piękne i przerażające zarazem, trochę za bardzo przypominały cmentarze bez nagrobków. Budziły we mnie taki sam niepokój, jaki czułam, patrząc na należącego do Vince'a obraz De Chirico, przedstawiający rynek i targowisko, z niewiadomych przyczyn opuszczone w samo południe przez wszystkich ludzi prócz dwóch mężczyzn, którzy rzucają długie cienie, mimo że słońce wisi wysoko nad ich głowami, i rozmawiają szeptem o sobie tylko znanych sprawach. W takie właśnie, przesyczone niesamowitą atmosferą słoneczne południe powiedziałam Vince'owi, że do jutra powinniśmy uwinąć się z historią jego występów w big-bandzie, a we wtorek przeskoczmy kilkanaście lat naprzód, do sprawy Dziewczyny z New Jersey.

Odrzucił się i ruszył szybkim krokiem w stronę miejsca, gdzie wylądowała piłka po ostatnim uderzeniu.

- Po co ten przeskok? - spytał.

Moja odpowiedź była po części zgodna z prawdą: jako że w pierwszym numerze przygotowywanego przez Neuman and Newberry pisma „Master” opublikowany miał zostać fragment naszej książki, redakcja musiała dostać materiał o wiele wcześniej niż N&N.

- Muszą ustalić, jak będzie wyglądała okładka, i co na niej napisać - tłumaczyłam, uważnie mu się przypatrując. - No wiesz, „Vince Collins zdradza mroczną tajemnicę” czy „Zadajemy Vince'owi Collinsowi trudne pytanie”. Chcą czegoś, co przykuje uwagę...

Szedł dalej, ale łypnął na mnie gniewnym wzrokiem.

- Nie owijasz w bawełnę, co?

Musiałam podbiec o krok, by go dogonić.

- Vince, od początku byłam z tobą szczerą. Nie zamierzam tracić czasu na jakieś gierki. Myślisz, że za co płacimy ci tyle pieniędzy?

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

- Milion dolarów to ogromna suma, Vince - warknęłam. - To więcej niż wyniósł budżet twojego pierwszego filmu o Colcie Carrerze i niewiele mniej niż zarobił czwarty. - To było złośliwe i nie do końca zgodne z prawdą. - Przepraszam, głupoty gadam.

Nie zatrzymał się. Tym razem musiałam przebiec dwa kroki.

- Seria o Carrerze jest już wyeksploatowana, wiem.

- Od paru dni opowiadasz, jak dorastałeś w biedzie w Pittsburghu, więc wkurza mnie, że nie traktujesz poważnie sumy, jaką dla ciebie wywalczyłam. Musiałbyś zrobić dwa filmy, żeby dostać takie pieniądze. - To było za mało powiedziane, ale chciałam mu jakoś wynagrodzić doznany afront. Wiedziałam, na jakie stawki Vince mógł liczyć, i choć były one godne hollywoodzkiej gwiazdy, to nie dorównywały gażom aktorów z First

Artists, takich jak McQueen, Newman, Streisand czy Poitier. Vince musiałby zrobić więcej niż dwa filmy, by zgarnąć milion.

Vince spokojnie uderzył piłkę, która poturlała się prosto do odległego dołka. Wpadła do środka z miłym dla ucha hazardzisty dźwiękiem kuli do ruletki, zatrzymującej się na wygrywającym numerze. Vince nawet na nią nie spojrział.

- Ty tu rządysz - powiedział bezbarwnym tonem. - Myślałem, że całe moje życie może być w jakimś stopniu ciekawe, ale skoro dla ciebie najważniejsze jest to jedno krótkie spotkanie z dziewczyną nazwiskiem Maureen O'Flaherty, pokojówką z Miami, której ciało znaleziono w nigdy przedtem przeze mnie nie odwiedzanym hotelu w New Jersey, to niech ci będzie, porozmawiamy o tym we wtorek. A teraz chcesz, żebym opowiedział ci parę nudnych historii... na przykład o tym, jak big-band Elgarta grał na balu z okazji inauguracji Harry'ego Trumana i co zrobiłem na prośbę córki prezydenta, Margaret, podczas gdy dwaj agenci Secret Service stali na straży pod drzwiami salonu dla pań, i dlaczego od tej pory mówiłem jej Peg? A może uważasz, że czytelników to nie zainteresuje?

Przeszedł do czwartego dołka. Nie odnosił się do mnie szorstko, był raczej lekko urażony. A może zdenerwowany? Jeśli to pierwsze, będzie mnie gryzło sumienie, jeśli to drugie... na samą myśl serce zabiło mi mocniej. Tak czy inaczej, wiedziałam, że nadal go lubię, podobało mi się to, że nawet w gniewie nie traci rozsądku. Byłam pewna (a znam się na takich sprawach), że czegokolwiek się dowiem o interesujących mnie wydarzeniach, nie umniejszy go to w moich oczach.

Vince pośpiesznie uwinął się z pozostałymi dołkami, jakby w golfie przyznawano punkty za ukończenie gry w najkrótszym czasie. Teraz nie sprawiało mu to już frajdy, niczym mistrz bilardu wprawnie przymierzał się do każdego uderzenia i nie namyślając się wiele, posyłał piłkę w stronę dołka. Choć przez cały czas mówił tylko on, to mnie brakowało tchu, wolałam jednak nie prosić, by trochę przystopował, może dlatego, że czułam, iż zepsułam mu dzień. Szeptem spytałam nosiciela kijów, czy to normalny styl gry Vince'a, a on odparł, że odkąd go zna, nigdy tak się nie zachowywał. Na koniec nawet nie podliczył punktów, jakby po trafieniu piłką do każdego kolejnego dołka zapominał o jego istnieniu.

Tego wieczoru nie zjedliśmy razem kolacji. Po południu odwaliliśmy kawał roboty i kiedy opowiadał zabawne historie - a takich była większość - oboje wybuchaliśmy śmiechem. Panowała już jednak inna atmosfera. Było trochę tak, jak w pokoju badań, w którym lekarz (ja) dowcipkuje z pacjentem (Vince'em), wiedząc, że zaraz będzie musiał wziąć do ręki ostre narzędzia, by wykonać wielce bolesny zabieg.

Na kolację poszłam do knajpy U Barneya. Kelnerka, ubrana jak naćpana *groupie*, która zaliczyła Sly'a i cały Family Stone, przyjęła zamówienie, siedząc naprzeciwko mnie w boksie. Poprosiłam coorsa z beczki i talerz chili, które - według menu - było prawie najlepsze na świecie.

- A gdzie można dostać najlepsze? - spytałam.

Kelnerka spochmurniała i na odchodnym wskazała ulotkę leżącą na stoliku. Wzięłam ją do ręki. Jej treść brzmiała: „Prosimy nie pytać kelnerek, kto robi najlepsze chili na świecie. Nie wiedzą”.

Następnego ranka zbierałam notatki w kuchni, przygotowując się do pracy, która czekała nas tego dnia, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. To był Vince, wystrojony w jedwabną koszulę koloru sorbetu cytrynowego i eleganckie czarne dżinsy z szerokim czarnym paskiem ze skóry. Nie przepadałam za dzwonami (choć w tych czasach faceci paradowali w nich, jakby Ameryka stała się jedną wielką akademią marynarki wojennej), ale te miały tak nieznacznie rozszerzone nogawki, że prawie nie było tego widać. Vince wyglądał świetnie i z ulgą zauważyłam, że chyba się na mnie nie gniewa.

- Cześć - powiedziałam. - Nie sądziłam, że wiesz, gdzie mieszkam. - Prawdopodobnie nie było to najcieplejsze powitanie, ale cóż począć, gdy ta właśnie myśl pierwsza przyszła mi do głowy.

Przypomniał mi, że na listach, w których namawiałam go do wspólnego napisania książki, umieściłam swój adres domowy. Zaproponowałam mu kawę, ale zbył mnie machnięciem ręki.

- Powiem wprost: jutro przechodzimy do przykrych spraw, więc dziś będziesz musiała mi pofolgować. Możesz pytać, o co chcesz, w drodze do Anaheim i z powrotem, ale kiedy będziemy na miejscu, musisz pozwolić mi na odbycie czterogodzinnej terapii relaksacyjnej. Staram się znajdować na nią czas raz w miesiącu, by nie zwariować.

Spytałam, na czym owa terapia polega. Z zawstydzoną miną usiadł na małej kanapie w kwiaty przy oknie wychodzącym na fontannę na dziedzińcu.

- No dobrze, już wyjaśniam. Mniej więcej co miesiąc czuję potrzebę, by całkowicie oczyścić mózg ze skutków zabójczej presji, jakiej doświadcza się w tym okropnym mieście. Wiem, że to głupie, ale mi pomaga, więc czemu miałbym się tego wstydzić? Niektórzy słuchają Bacha. Inni powtarzają mantry. Carol Lynley haftuje podczas występów w talk-showach. Wielu ludzi łowi ryby. Niektórzy odwiedzają hipnotyzerów. Ja jeżdżę do Disneylandu. Proszę, nie śmieć się.

Spojrzałam na niego z obawą, że się ze mnie nabija. Wiedziałam z zebranych materiałów, że lubi co jakiś czas płać przemyślnie zaplanowane figle. Miał jednak poważną minę, co więcej, wydawał się mocno speszony.

- Nie mówię tego, bo chcę być rozbrajający, słodki czy coś takiego. Słowo daję, po prostu lubię Disneyland. Jest taki cukierkowy, a zarazem tak nowoczesny. Dla mnie pięćset refrenów „It's a Small World” w wykonaniu dziewięciu tysięcy uśmiechających się do siebie figurek, wysłuchanych podczas przejażdżki barką w towarzystwie jakiejś rodziny z Kansas, jest o niebo lepsze od miliona transcendentálnych mantr. To Disneyland. Walt mówi: „Jestem, który jestem”. - Uśmiechnął się. - Podoba mi się tam i tyle.

Zdjęłam torebkę ze stołu kuchennego.

- Mnie też - powiedziałam i ruszyłam do drzwi. - Ale skoro zamierzamy strwnić w Magicznym Królestwie część czasu przeznaczonego na pracę, muszę postawić parę warunków: pójdziemy na lunch do Blue Bayou albo zjemy kanapki StarKist z tuńczykiem przy statku kapitana Haka pod wodospadem na Skale Czaszki. Odwiedzimy Zaczarowany Pokój Tiki i po każdej piosence, kiedy animatroniczne papugi będą krzyczeć: „Aplauz, aplauz!”, a widownia będzie siedziała cicho, bo wszyscy uznają, że papugi i tak nie usłyszą braw, to my pierwsi zaczniemy klaskać. Podczas przejażdżki „Łodzią przez Dżunglę” będziemy śmiać się ze wszystkich dowcipów, aż do samego końca, kiedy Kapitan powie: „A teraz przechodzimy do najtrudniejszego etapu naszej podróży. Tak jest, proszę państwa, przed nami powrót do cywilizacji, na kalifornijskie autostrady!”.

Spojrzał na mnie tak, jakby nagle dowiedział się, że wierna sekretarka, którą pokochał i która pomogła mu przetrwać długie lata amnezji, tak naprawdę była jego żoną. Sprawdziłam makijaż w wiszącym obok drzwi starym lustrze w stylu Muchy.

- A w Nawiedzonym Dworze, jak już wyjdziemy z windy do rozciągliwej sali, zostaniemy w tyle za wszystkimi, żebyśmy mogli być w galerii sami.

Powoli skinął głową.

- Chodzi ci o salę z trójwymiarowymi popiersiami, które zdają się wodzić za tobą wzrokiem?

Przed wyjściem wyregulowałam klimatyzację.

- Tylko w Nawiedzonym Dworze można siedzieć tak długo, jak się chce. Jeśli puścimy resztę grupy przodem, będziemy mieć całą galerię dla siebie przez co najmniej minutę, może dwie, zanim przyjedzie następna winda.

Na twarzy Vince'a odmalowała się niewysłowiona radość i głęboka wdzięczność, jakbym właśnie pierwszy raz zwałała mu konia.

- Och, to cudownie.

Przed domem stał ford skyliner rocznik 1957, wyglądający jak krzyżówka thunderbirda i chevroleta bel air rocznik 1955. Prząd, przywodzący na myśl dziób łodzi, emanował nieskrępowanym optymizmem, niby- skrzydła z tyłu



z wdziękiem wysuwały się z karoserii niby odwrócone pojedyncze cudzoślowsy. Ten samochód był jak chętna dziewczyna z jędrnym biustem i zgrabną pupą. Pomalowano go w dwóch odcieniach, nazywały się Gwiazdna Mgła i Kolonialna Biel, jak później wyjaśnił Vince. Po opuszczeniu sztywnego dachu Hideaway Hardtop ford przeobraził się w kabriolet, jak się patrzy. Coś mi mówiło, że o takim właśnie wozie Vince marzył, będąc nastolatkiem. Aż się rozczuliłam.

- Nie jeżdżę nim za często - powiedział.

Użyło mi, że nie mówił o samochodzie w rodzaju żeńskim.

W drodze niewiele rozmawialiśmy, co mi nie przeszkadzało, bo już dowiedziałam się o „egłartowskim” okresie Vince’a wszystkiego, co mogłoby zainteresować czytelnika. Jego wczorajszy kiepski nastrój, dzięki któremu pracowało nam się wydajniej, ulotnił się bez śladu.

Słońce świeciło nad Los Angeles, wiał przyjemny wiatr. Czułam się jak bohaterka piosenki „Peggy Sue” Buddy’ego Holly’ego.

Vince nie zjechał na główną drogę prowadzącą na parking Disneylandu.

(Jak się zapewne domyśliliście, byłam tam już nieraz. Zaraz po przyjeździe na Zachodnie Wybrzeże dostałam zlecenie od „L.A. Free Press” - wtedy jeszcze nie był to pornograficzny szmatławiec - by zmieszać Disneyland z błotem. Krążyły wówczas plotki - nieprawdziwe - że firma Disney zamierza przywrócić obowiązujący w latach sześćdziesiątych zakaz wstępu dla długowłosych mężczyzn. Rzekomo nie tylko nie mogliby tam pracować, ale i nie wolno byłoby im korzystać z dostępnych atrakcji czy w ogóle spacerować po wesołym miasteczku. Miało to podobno zapobiec kolejnej inwazji hipisów, takiej jak ta, z powodu której w roku 1970 zamknięto Disneyland na jeden dzień. Moim zadaniem było schlastać disneyowską uproszczoną, ugrzecznioną wizję przeszłości i przyszłości Ameryki, a przy okazji poszukać w bajkach ukrytych motywów homoseksualnych i dowodów analnej fiksacji autorów. Spędziłam tydzień w tanim motelu, oddalonym o kilkaset metrów od głównej bramy, i patrolowałam Disneyland uzbrojona w wyostrzone jak strzały ołówki... by w końcu kompletnie ulec jego urokowi).

Vince skręcił wcześniej niż wszyscy, na lokalną drogę, odbił w lewo i zatrzymał się przed bramą z napisem WED ENTERPRISES - PROSIMY OKAZAĆ PRZEPUSTKĘ. Stał przy niej strażnik i nie był to jakiś tam starszek, wyglądem przypominał raczej byłego marine. Vince zwrócił się do niego po imieniu i powiedział nieśmiało, że powinna tu czekać na niego przepustka z biura pana Byrama. Strażnik przejrzał pudło z dokumentami, znalazł właściwe pismo i otworzył szufladę, z której wyjął dwa niebieskie plastikowe prostokąty wielkości karty MasterCard. Widniał na nich

napis GOŚĆ WED i dzisiejsza data. Na odwrocie był trzycyfrowy numer i litera - Vince później wyjaśnił, że to kod, który zmieniany jest codziennie, by zapobiec fałszowaniu kart.

Po drodze mijaliśmy niskie budynki, okolone wąskimi trawnikami, głównie magazyny, ale i kilka piętrowych biurowców. Vince podjechał do gmachu z cegły, przed którym trawnik był szerszy. Nad wejściem wisiała tabliczka z napisem ADMINISTRACJA I OBSŁUGA GOŚCI. W oddali dostrzegłam wieże zamku Śpiącej Królowy i szczyt Matterhorn. Zobaczyłam też tylne ściany wiktoriańskich domów, stojących przy wejściu do parku rozrywki; Walt Disney, z właściwą sobie godną pochwałą dbałością o szczegóły, dopilnował, by ukryte przed oczami gości tylne elewacje wykończono tak samo starannie jak fasady.

Zaparkowaliśmy wóz i powitała nas urocza disneyowska brunetka w typie stewardesy, o promiennym uśmiechu, który obiecywał herbatę, kawę, ale nic ponadto. Na owalnej plakietce, którą nosiła jak wszyscy pracownicy Disneylandu, widniało imię Pam. Przeprosiła Vince'a, że niestety, nie udało jej się załatwić miejsc w Royal Street (cokolwiek to znaczyło), jako że właśnie trwa tam montaż nowego systemu wentylacyjnego. Jednak, zapewniła, jeśli chcemy, może nam zamówić stolik w Blue Bayou, w półprywatnej części tarasu.

- Ale najmocniejszym składnikiem mint julep będzie mięta, zgadza się? - powiedział Vince z uśmiechem.

Pam przytaknęła i dodała, że upajająca jest tu tylko atmosfera. Byłam ciekawa, jak wygląda podręcznik, z którego nauczyła się tych wszystkich odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania.

Poprowadziła nas długim korytarzem, wyłożonym niebieskim dywanem. Wokół, jak w każdym biurze, ludzie pisali na maszynach i studiowali dokumenty. Na drugim końcu znajdowały się wąskie drzwi, przy których stał strażnik w stroju policjanta z opowiadania O. Henry'ego. Miał krótkie, podkreślone wąsy, bez wątpienia prawdziwe.

- Cześć, Ken - powiedziała Pam. - Wpuścisz naszych gości?

No proszę, a myślałam, że już jesteśmy w środku.

Ken zapukał dwa razy do drzwi. Po chwili odpowiedziały mu dwa stuknięcia.

- Tędy proszę - powiedział.

Uchylił drzwi i skinął głową mężczyźnie w słomkowym kapeluszu, koszuli w niebieskie pionowe paski, białym fartuchu i szarych spodniach w prążki. Wyglądał jak żywcem wyjęty z męskiego kwartetu wokalnego. Kiedy tamten odpowiedział tym samym porozumiewawczym skinieniem, Ken otworzył drzwi szerzej i dał znak, że możemy wyjść. Znaleźliśmy się na powietrzu. Drzwi zamknęły się za nami. Mężczyzna uśmiechnął się do nas szeroko. Stał za wysokim wózkiem z plastikowymi kwiatami, które zasłaniały cały widok.

- Życzę państwu miłego pobytu w Magicznym Królestwie - powiedział.

Vince wyprowadził mnie z kramu z kwiatami i zauważyłam, że jesteśmy na końcu wąskiego dziedzińca. Usłyszałam stukot końskich kopyt, dzwonek tramwaju i poszum tysiąca głosów. Przeszliśmy przez wyłożony cegłą plac, mijając siedzącą przy stoliku artystkę w stroju z epoki, zajęta wycinaniem z czarnego papieru sylwetki dziewczynki ubranej w koszulkę Partridge Family i dziecięce džinsy Ditto. Ulicą przejechał pyrkoczący autobus piętrowy i uświadomiłam sobie, że znaleźliśmy się na Main Street USA, w połowie jej długości, między stacją kolejową przy głównej bramie a okrągłym parkiem, z którego promieniście rozchodziły się wszystkie „krajiny” Disneya. Dla mnie była to najbardziej zaskakująca zmiana scenarii od czasu, kiedy Blanche Sewell, montażystka „Czarnoksiężnika z krainy Oz”, połączyła ostatnie monochromatyczne ujęcie domu Doroty z ukazanymi w technikolorze drzwiami do Krainy Manczkinów. Vince uśmiechnął się do mnie i ruszyliśmy Main Street, mijając po lewej stronie Dom Cytrusów Sunkist, z którego dobywał się cierpki zapach setek świeżo wyciśniętych pomarańczy, jakże stosowny w kalifornijskim słońcu. Vince włożył ciemne okulary i sfatygowany kowbojski kapelusz z szerokim rondem, który przywiózł ze sobą. Ktoś, kto nie spodziewał się go zobaczyć (a komu przyszłoby do głowy, że taki hulaka może zawitać do Disneylandu?), za nic w świecie by go nie rozpoznał.

Zatrzymaliśmy się przed zaprojektowanymi w stylu Crystal Palace Ogrodami Carnation Plaza. Proszę bardzo. Lanny zabrał mnie do Syczuńskiego Ogrodu, skarbnicy smaków, które były dziwne, erotyczne i pikantne, tak pikantne, że w pewnym momencie dosłownie sprawiły mi ból. Z Vince'em zaś przyszłam w bezpieczne, słoneczne miejsce, przynoszące taką ulgę, jak płatki kukurydziane, zalane skondensowanym mlekiem Carnation od zadowolonych krów. I tu mi się zdecydowanie bardziej podobało.

Poszliśmy do Plaza Park, centrum wszystkich disneyowskich „świątów”. Vince uśmiechnął się do mnie.

- No to jak? Dokąd najpierw?

- Hmm... Do Świata Jutra?

Vince skrzywił się tak mocno, że nie zamaskowały tego nawet jego ciemne okulary i rondo kapelusza.

- Nie, jutro nam nie odpowiada - mruknął. Mimo woli przypomniałam mu, o czym mieliśmy rozmawiać następnego dnia.

Postanowiliśmy pójść prosto do Świata Przygód, który, jak się miałam wkrótce przekonać, był tak odpowiedni dla mnie, jak Świat Jutra dla niego.

Dzięki plastikowym przepustkom mogliśmy dostać się, gdzie tylko chcieliśmy, bez konieczności kupowania pomalowanych w pastelowe barwy kuponów, oznakowanych literami od A do E; kupon A, kosztujący dziesięć centów, wystarczał jedynie na przejazdzkę Main Street tramwajem konnym, autobusem piętrowym, wozem strażackim lub mechanicznym powozem, kupon E zaś, za który trzeba było zapłacić osiemdziesiąt pięć centów, pozwalał korzystać z najdroższych atrakcji, jak Nawiedzony Dwór czy Piraci Morza Karaibskiego. Co ważniejsze, wszędzie mogliśmy wchodzić bez kolejki. Czasem dawało się to załatwić dyskretnie: na przykład przy statku Piratów przebrany za korsarza pracownik obsługi zaprowadził nas w miejsce, gdzie wysiadali pasażerowie, i wpuścił do świeżo zwolnionej łodzi. Kiedy podpłynęła do doku, my już siedzieliśmy na dziobie i zwykli śmiertelnicy, którzy od godziny czekali w kolejce, zastanawiali się z zawiścią, co to za jedni, że traktuje się ich niczym pasażerów pierwszej klasy, gdy oni muszą swoje odstać.

Vince bawił się jak dziecko, ja zresztą też. Z czasem zaczęłam czuć się tak, jakby była to nasza prywatna studniówka. On był kapitanem szkolnej drużyny futbolowej i buntownikiem, a ja - przynajmniej tak sobie ubzduralam - zadurzoną w nim nastolatką. Jeszcze mu się nie oddałam, a on, jako wrażliwy twardziel, nie naciskał. Wiedziałam jednak, że pewnego dnia, we właściwym momencie, to się stanie. I że nam obojgu będzie cudownie.

Na strzelnicy w Świecie Pogranicza, dzięki ćwiczeniom strzeleckim przed filmami typu „Powrót do Alamo”, Vince wygrał dla mnie czapkę z szopa à la Davy Crockett. Na Matterhornie objął mnie ramieniem tuż przed tym, jak całym impetem wpadliśmy do ukrytego basenu, i osłonił od bryzgającej wody. Na Herbatce u Szalonego Kapelusznika mój wybranek kręcił kierownicą jasnoniebieskiej filizanki tak energicznie, że obracaliśmy

się w tempie, jakie wydawało się nieosiągalne dla tak niewinnie wyglądającego pojazdu. Tyłu zakrętów, ile zaliczyliśmy, nie ma nawet na bulwarze Bel Air. Zanośliam się od śmiechu jeszcze długo po tym, jak się zatrzymaliśmy.

W Blue Bayou, restauracji umieszczonej w „prologu” Piratów Morza Karaibskiego, zawsze, nawet w samo południe, jest idealny, romantyczny wieczór. Goście siedzą „pod gołym niebem” na tarasie pięknej posiadłości w stylu Ashleya Wilkesa. Mech oplata kremowe kratownice i pień ogromnego drzewa, którego gałęzie nurzają się w wodzie jak słomki w drinku. Wieczorne niebo upstrzone jest niezliczonymi gwiazdami, wśród których od czasu do czasu przemyka kometa. Księżyc z uspokajającą regularnością chowa się za chmurą, by po chwili ukazać się ponownie. Ropucha recytuje swój cichy, smętny poemat. Zsuwający się do wody aligator burzy lustrzaną powierzchnię luizjańskiego bayou. Z drugiego brzegu płynie melodia „O Susanna”, grana na bandžo przez starca siedzącego w chacie dokładnie naprzeciwko naszego stolika, przy którym jemy nienadzwyczajne dania w nadzwyczajnej scenerii. Zostaliśmy usadowieni na samym brzegu, gdzie mogliśmy liczyć na największą prywatność. Vince, odwrócony plecami do reszty gości, mógł wreszcie zdjąć ciemne okulary i kapelusz. Patrzyliśmy na bezszelestnie sunące obok nas łodzie, pełne pasażerów. Niektórzy z nich dali się zwieść senniejszej atmosferze sztucznego wieczoru i spokojnej przejażdżki. Błąd. Jeśli byli tu po raz pierwszy, zapewne pozostawali w błogiej nieświadomości faktu, że za kilka sekund znajdą się w ciemnym tunelu i runą w głąb wodospadu. W pewnej chwili Vince nakrył ręką moją dłoń, a ja obróciłam ją, by odwzajemnić uścisk. Para nastolatków, normalnie.

To wszystko było jak sen. Czulałam się z Vince'em zupełnie inaczej niż z Lannym i bardzo mi to odpowiadało. Dla Lanny'ego główną atrakcją był on sam. Chciał, żebym jadła to, co on. Słuchała jego śpiewu. Latała jego helikopterem. Obejrzała jego film. Dosiadła go. Vince zaś zdawał się robić wszystko, by nie znaleźć się w centrum uwagi. Ile razy spotykaliśmy się towarzysko, właściwie nie wspominaliśmy o jego karierze.

A problem seksu nie istniał, bo do czasu zakończenia pracy definitywnie nie pójdziemy do łóżka, za to potem zrobimy to na pewno. Ależ to był genialny pomysł. Dzięki temu mogłam zachowywać wobec Vince'a (i, jak sądzę, on wobec mnie) bezpieczny dystans.

W dzieciństwie wołałam Wigilię od Bożego Narodzenia. Uwielbiałam możliwie najdłużej odwlekać rozpakowywanie prezentów i siedziałam wśród nich cała szczęśliwa, dygocząc z emocji. Teraz, z Vince'em, byłam cudownie zrelaksowana i patrząc na niego, widziałam górę zapakowanych

w lśniący papier niespodzianek, czekających pod choinką na nadejście świtu 25 grudnia.

Odkąd go znalazłam, nie widziałam go w tak doskonałym humorze. Najlepiej bawił się w miejscach, gdzie było ciemno, bo mógł zdjąć okulary przeciwsłoneczne i poczuć się zwyczajnym człowiekiem. Przez trzy do siedmiu minut nie musiał być Vince'em Collinsem.

Tylko raz otwarcie przyznał, kim jest, i zrobił to z dobroci serca, jak wkrótce zobaczycie.

Obojgu nam podobało się w Krainie Czarów, która jednak była tu traktowana trochę po macoszemu. Sam Disney nigdy nie potrafił w pełni przekonać się do historii o Alicji (co nie przeszkodziło mu zastąpić w czołówce filmu nazwiska Lewisa Carrolla swoim własnym). W tej zwiariowanej, surrealistycznej opowieści, zaludnionej przez neurotyczne postaci, główną rolę odgrywała dziewczynka, która bez recepty łykała nieznane leki, jakby nigdy nie przechodziła przez lustra, jadła grzyby, pod wpływem których zmieniała kształt... słowem, nie była to typowa disneyowska bohaterka. Disneyowskie bohaterki nie zjadały czegoś bez wahania tylko dlatego, że zostało to opatrzone napisem ZJEDZ MNIE, nie piły też nieznanych płynów, na których przeczytały WYPIJ MNIE.

Może z tego właśnie powodu kolejka ta wyglądała inaczej od tych, które poprzedzały ją w Świecie Fantazji: Królowy Śnieżki, Ropucha, Piotrusia Pana. Wnętrza wymalowane niezliczonymi pastelowymi odcieniami, połyskującymi w ciemnym świetle, zdawały się zwiastować nadejście psychodelicznych lat sześćdziesiątych, choć budowę ukończono pod koniec poprzedzającej je dekady. Była to najpowolniejsza, najbardziej senna przejażdżka ze wszystkich. Goście wsiadali do - jakżeby inaczej? - Gąsienicy, która, co wszyscy zauważyliśmy, gratulując sobie spostrzegawczości, paliła fajkę wodną. Nieprzypadkowo płynęliśmy przez cudowny świat Alicji jak na lekkim haju, sunąc do góry nogami pod sufitem i unosząc się wśród łąk porośniętych fluorescencyjnymi kwiatami, szemrzącymi niespokojnie w to złote popołudnie.

Najbardziej dobitną oznaką tego, że Kraina Czarów jest niechcianym dzieckiem Disneylandu, była wartość, jaką przypisał jej zarząd firmy. Według niego, zasłużyła tylko na kupon B. Dwadzieścia pięć centów, ledwie jeden szczebel wyżej od biletu autobusowego. Na żadną z innych przejażdżek nie weszłoby się z kuponem B.

Wysiadając, usłyszeliśmy płynący z głośników kobiecy śpiew.

- Kto to? - spytałam Vince'a. Nieznana wokalistka śpiewała to jak Astrud Gilberto, to jak Ella Fitzgerald, to znowu jak Marianne Faithfull.

- Nie wiem - powiedział. - Ale jest dobra.

Przeszliśmy kilka kroków, dzielących nas od ogródka herbaciarni Salada. Według napisów na tablicach ustawionych na chodniku, trwał właśnie podwieczorek. Codziennie o czwartej po południu można było tu usiąść przy stoliku (jeśli znalazł się jakiś wolny), napić się mrożonej herbaty i posłuchać muzyki na żywo.

Głos, który słyszeliśmy, należał do Alicji we własnej osobie. Trzeba wam wiedzieć, że w świecie parków rozrywki Disneya istnieją „postacie tworzące klimat” (osoby przebrane za Miki, Goofy'ego czy kapitana Hoka) i „postacie z twarzą” (w kostiumach, ale bez masek, jak Królowna Śnieżka, Piotruś Pan i właśnie Alicja). Najwięcej kłopotów zawsze było ze znalezieniem Królowny Śnieżki i Alicji, ich animowane odpowiedniki miały bowiem niezwykle charakterystyczną urodę. Makijaż nie wystarczał, by odtworzyć ją w świecie rzeczywistym, jako że aktorki musiały stawać twarzą w twarz z ludźmi w prażącym słońcu. W gruncie rzeczy każda z nich musiała po prostu naprawdę być Królowną Śnieżką czy Alicją.

Ta Alicja była niezwykle piękna. Stała między Tweedledee a Tweedledumem, którzy zachęcali widzów do zabawy i tańczyli za jej plecami, podczas gdy ona śpiewała piosenki z filmu, którego była tytułową bohaterką.

Właśnie wykonywała mój ulubiony numer z tego niedocenianego musicalu, „I Give Myself Very Good Advice”; Alicja żali się w nim, że choć potrafi odróżnić dobro od zła i zawsze udziela sobie mądrych rad, zwykle z nich nie korzysta i czeka, aż zacznie się dziać coś „dziwnego”. Od razu mówię, że lubiłam tę piosenkę bynajmniej nie dlatego, że się z nią choćby w najmniejszym stopniu utożsamiałam. Boże uchowaj.

Tej niezemskiej Alicji, obdarzonej tak niesamowitym głosem, przygrywali czterej muzycy w kostiumach waletów karcianych. Ona sama brzmiała trochę jak śpiewaczka folk, Joni Mitchell czy Joni Collins, choć jej melodyjny, czysty głos wymykał się wszelkim próbom szufladkowania. Spojrzałam na Vince'a i tłumek widzów. Wszyscy słuchali w skupieniu.

I patrzyli. Alicja była tak szalenie piękna, że nawet nie mogłam być zazdrosna; to tak, jakby być zazdrosną o Brigitte Bardot z czasów, gdy w wieku siedemnastu lat została odkryta przez Rogera Vadima, czy o małowidło naskalne z Krety, przedstawiające ideał młodości. Jej włosy były cienkie, ale bujne, ułożone w sprężyste fale, twarz zaś była twarzą Alicji (tej z wersji Disneya), niewyobrażalnie śliczną, z małymi, wygiętymi w łuk ustami i zgrabnym noskiem. Kiedy dziewczyna śpiewała, jej dolna warga lekko wysuwała się do przodu, a szczęka zaczynała drżeć, nie ze strachu, lecz od niebiańskiego vibrato. Oczy dziewczyny wypełniała biel, a jej duże

niebieskie źrenice emanowały ciepłem. Stojąc przed nią, aż chciało się wziąć jej twarz w dłonie i dokładnie ją obejrzeć, by sprawdzić, z czego bierze się jej piękno.

Miała na sobie nieodłączny niebiesko-biały fartuszek Alicji, na pierśsiach sztywny od krochmalu. Białe pończochy, wdzięcznie opinające kształtne łydki, ginęły pod rąbkiem sukienki, tonąc w kłębach halek. To właśnie odróżniało ją nieco od Alicji z filmu Disneya, której - moim skromnym zdaniem - rysownicy dali nogi jak u krowy; nogi tej dziewczyny były bowiem cudownie zgrabne i smukłe. Choć jej pończochy wyglądały najzupełniej niewinnie, jestem pewna, że wśród widzów byli faceci, którzy patrząc na nie, wyobrażali sobie, dokąd dochodzą i z czym się tam stykają.

Śpiew dziewczyny na chwilę zmienił ten zakątek zalanego słońcem parku w kameralny kabaret. W jej interpretacji piosenka Alicji zmieniła się w pieśń o nieszczęśliwej miłości, a może raczej o tęsknocie, w stylu „Over the Rainbow”. Kiedy skończyła, widzowie zgotowali jej tak głośną owację, że przypadkowi przechodnie, zaciekawieni, co też mogło wzbudzić taki entuzjazm, podeszli, by sprawdzić, co ich ominęło.

- Co o niej sądzisz? - spytał mnie Vince, klaszcząc z ożywieniem.

- Jak może być tak piękna i tak cudownie śpiewać? - odparłam, przekrzykując brawa.

Pokiwał głową.

- Wiesz, pewnie nie płacą jej ani centa więcej niż Tweedledumowi i Tweedledee. I założę się, że nie należy do związku. Czyli nie masz wątpliwości, że jest dobra?

- Żadnych! - odkrzyknęłam.

Alicja podeszła do ludzi stojących wokół estrady; dygała przed tymi, którzy mieli jej coś do powiedzenia, delikatnie ścisnęła dłonie dzieci i przedstawiała im swoich przyjaciół, Tweedle'a A i Tweedle'a B, którzy z wyćwiczoną wprawą wpadali na siebie i kokieteryjnie machali do widowni. Kiedy ktoś wyciągnął rękę do włosów Alicji, jeden z Tweedle'ów zagroził mu drogę wydatnym brzuchem i pogroził palcem. Jak widać, pełnili też funkcję „przewodników”, czyli ochroniarzy postaci z filmów Disneya.

Na twarzy Vince'a wrył się wyraz determinacji, którego nie skrywały nawet ciemne okulary i szerokie rondo kapelusza.

- Posłuchaj, chcę jej pomóc. Ma za duży talent, by tkwić tu przez następne dziesięć lat. Rzecz w tym, że jeśli każę menedżerowi skontaktować się z ludźmi z Disney, zaczną grać na zwłokę i nim dowiemy się, kim ta dziewczyna jest, zorientują się, jaki skarb mają w rękach, i namówią ją do podpisania pięcioletniego kontraktu. A wtedy już nikt nigdy o niej nie usłyszy. Muszę zdradzić jej, kim jestem. Nie masz nic przeciwko temu? -



Jak niebo i ziemia. Oto prosił o moją zgodę, moje zezwolenie na to, by mógł być Vince'em Collinsem. - To znaczy, zdajesz sobie sprawę, że jeśli ludzie mnie poznają, może być nieciekawie - ostrzegł. - Nie przeszkadza ci to?

- Porozmawiaj z nią. Oslonię cię na tyle, na ile się da.

Alicja podchodziła po kolei do wszystkich osób stojących w kręgu. Uścisnęła dłoń dziewczynki stojącej obok nas.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawisz - powiedziała, umiejętnie naśladowując głos Kathryn Beaumont z filmu Disneya. Wskazała swoich przebranych towarzyszy, którzy za jej plecami bawili się w „koci-koci łapci”. Nagle jeden z rozmachem zamierzył się na drugiego, ten jednak w porę zrobił unik. Alicja zaśmiała się. - Obawiam się, że moi przyjaciele Tweedledee i Tweedledum robią z siebie nie lada widowisko. Ależ z nich głuptaski! - Jeden z „głuptasków” uściskał drugiego i znów zapanowała między nimi przyjaźń. Alicja uśmiechnęła się. - I im częściej się biją, tym są sobie bliżsi!

Kiedy przechodziła koło nas, Vince zawołał „Panno Alicjo!” i poprosił o autograf. Na widok karty „Gość WED”, którą dał jej do podpisania, podniosła głowę, zdając sobie sprawę, że ma do czynienia z kimś, kogo dyrekcja uznała za ważną osobistość.

Vince zerwał z oczu ciemne okulary, a ja zasłoniłam go z boku.

- Mała, słuchaj, nazywam się Vince Collins. Też trochę śpiewam. Poznajesz mnie?

Dziewczyna położyła rękę na piersi w nietypowym dla Alicji geście.

- Och, pan Collins - powiedziała, gubiąc gdzieś brytyjski akcent. - Wychowywałam się na pańskich płytach.

Vince uśmiechnął się do mnie, rozbawiony tym, jak bardzo jej odpowiedź go postarzała.

- To doskonale. Wiesz, masz świetny głos. Jak Peggy Lee na początku kariery, z domieszką Blossom Dearie. Obiecuj mi, że będziesz nad nim pracować. W tej branży ciężko o sukces. Bardzo ciężko. Tobie może się udać. - Vince wyjął z portfela wizytówkę. Wyszczерzył radośnie zęby, by postronni obserwatorzy pomyśleli, że właśnie opowiada o tym, jak świetnie bawi się z żoneczką w Disneylandzie.

- Słuchaj, wiem, że nie możesz teraz rozmawiać - powiedział z promiennym uśmiechem. - Masz tu wizytówkę mojego menedżera, nazywa się Billy Bishop. Zadzwon jutro do niego. Kiedy sekretarka powie, że go nie ma, powołaj się na „sir Rona Lymana”. Zapamiętasz to nazwisko? Sir Ron Lyman.

- Sir Ron Lyman - powtórzyła Alicja.

- No właśnie. Kiedy usłyszysz je Billy, na pewno zgodzi się z tobą porozmawiać. Postaramy się zorganizować ci jakieś przesłuchania, w telewizji,

firmach płytowych. Być może już nigdy mnie nie zobaczysz, ale ciebie świat zobaczy na pewno. Daję ci słowo.

Alice wzięła wizytówkę i pośpiesznie wsunęła ją do kieszeni fartuszka.

- Och, czyżbym widziała Białego Królika? Muszę go dogonić! - krzyknęła do widzów, ponownie przybierając brytyjski akcent.

- Pomachała do Tweedledee i Tweedleduma. - Chodźmy już, bo Królowa Kier zetnie mi głowę! Do widzenia wszystkim! Życzę wam złotego popołudnia w Magicznym Królestwie!

Pod eskortą dwu Tweedle'ów Alicja odwróciła się i skrzyła za róg. Jej partnerzy radzili sobie z kontrolą tłumu równie dobrze, jak z jego rozba-wianiem. Zagrozdzi drogę osobom, które ruszyły za śliczną blondynką, i znów zaczęły bić się na niby, dając Alicji dość czasu, by doszła do nieozna-kowanych drzwi w bocznej ścianie kramu z kapeluszami Szalonego Kape-luszniaka, lekko uchylonych przez Strażnika Świata Fantazji (w fioletowym surducie i zielonym cylindrze). Dziewczyna wskoczyła do środka i zeszła do podziemi parku - nazywanych przez pracowników Disneylandu „zaple-czem” - gdzie mieściły się szatnie obsługi i pokój wypoczynkowy, w któ-rym można było czegoś się napić, zjeść kanapkę czy zapalić papierosa.

- Myślisz, że zadzwoni? - spytałam Vince'a, kiedy Dee i Dum zniknęły w drzwiach w ślad za Alicją i tłum zaczął się rozchodzić.

Ruszyliśmy z powrotem w stronę Main Street, by opuścić Disneyland tym samym sekretnym przejściem, którym dostaliśmy się do środka. Vince zdjął na chwilę kapelusz kowbojski i przecesał palcami włosy.

- Trudno powiedzieć. Jeśli to zrobi, narazi się na utratę pracy. Z dru-giej strony, nie może do końca życia grać Alicji w Krainie Czarów. - Spoj-rzał na mnie, jakby było mu głupio. - Nie zrobiłem tego, by się popisać.

- Wiem. - Nie musiał mi tego mówić.

- Rzadko słyszy się kogoś obdarzonego świeżo brzmiącym głosem. Ja na początku bezwstydnie naśladowałem Como, nie było we mnie krzty oryginalności. To niesamowite, gdy pojawia się ktoś, kto wzbogaca nasze instrumentarium.

No proszę. Vince znalazł czas dla tej dziewczyny, ryzykując, że zostanie zauważony i obstępiony przez tłum, a bał się, że pomyśle, iż się popisywał. Może i kiedyś tworzyli z Lannym duet, ale na pewno nie byli dobraną parą.

Powrót do Los Angeles przebiegał w lekko przygnębiającej atmosferze. Oboje wiedzieliśmy, że nazajutrz czeka nas rozmowa o przykrych sprac-wach. Nie wspominaliśmy o tym ani słowem. Wieczór był dość chłodny, więc Vince rozłożył dach skylinera, wysuwający się automatycznie z

bagażnika. Nastawił radio na stację Piękna Muzyka (co zwykle oznaczało dużą dawkę Mantovaniego i Tony'ego Bennetta) i rozmawialiśmy o widowiskach za szybko do chwili, kiedy z głośników popłynął głos Vince'a śpiewającego „Non Dimenticar”. Wyłączył radio i długo jechaliśmy w milczeniu.

Na kolację zabrał mnie do restauracji w hotelu Bel-Air. Uznał, że jest tam spokojnie i wygodnie i że nikt nam nie będzie przeszkadzał. Zaparkowaliśmy wóz przy recepcji mieszczącej się w odrębnym budynku. Do restauracji prowadziła śliczna kładka nad urokliwym stawem. Na jej środku przystanęliśmy, by popatrzeć na łabędzia pływającego leniwie przy wierzbie, której witki muskały powierzchnię wody. Miałam wrażenie, że oglądam disneyowską rekonstrukcję brzegu rzeki, na którym rozpoczęły się przygody Alicji.

Łabędź był maskotką hotelu Bel-Air. Widziałam jego wizerunek przy bramie wjazdowej.

Wskazałam go Vince'owi, który patrzył zmrużonymi oczami na zachodzące słońce. Bez kapelusza kowbojskiego i ciemnych okularów wydawał się bezbronny.

- Spójrz na niego - powiedziałam. - Nawet nie wie, że jest znakiem firmowym.

Vince skrzywił się.

- Nie wie też wielu innych rzeczy. Widzisz, w tych wzgórzach żyją kojoty. - Machnął ręką w stronę porośniętych krzakami zboczy górujących nad niskimi, zgrabnymi domkami należącymi do hotelu. - Co jakiś czas przychodzi tu nocą. Nie ma skutecznego sposobu na to, by je powstrzymać, łatwiej jest po prostu dać im zabić łabędzia i sprowadzić na jego miejsce nowego.

Spojrzałam na niego, myśląc, że nabija mnie w butelkę, ale miał śmiertelnie poważną minę.

- Okropność! - odparłam. - Zaraz, zaraz... to kojoty umieją pływać?

Pokręcił głową.

- Przychodzą parami. Pierwszy kojot biegnie na wschodni brzeg stawu, warcząc jak opętany. Wystraszony łabędź ucieka na drugi brzeg i wychodzi z wody. Tam czyha już drugi kojot. Zabija go, a wtedy jego wspólnik okrąża staw lub przechodzi po kładce i dzieli się łupem.

Mogłam sobie wyobrazić, jak to się odbywa. I kiedy cała ta scena stała mi przed oczami, nie wiedzieć czemu w duchu nadałam kojotom imiona Tweedledee i Tweedledum.

Następnego popołudnia przyjechałam do Vince'a koło trzeciej. Prosił, żebyśmy zaczęli później niż zwykle, a ja skwapliwie na to przystałam. Chciałam pójść mu na rękę, zanim zacznę go maglować.

Zostawiłam wóz na placyku przed jego domem.

Miałam jeden atut. Vince nie podejrzewał, że wiem o nim (i Lannym) coś, co starali się ukryć. Musiałam użyć tego jednego jedyne go asa w rękawie tak, by się wydawało, że mam pokera. Najpierw poruszę temat ostatniego spotkania Vince'a i Lanny'ego z Maureen, nie dając po sobie poznać, że wiem, iż zginęła na Florydzie, w hotelu Versailles, prawie na pewno w ich apartamencie. Jeśli będę go uważnie obserwowała i zadawała pozornie niewinne pytania, dotyczące tamtego okresu, może coś mu się wymknie.

Kiedy uznam, że drażylam temat tak długo, jak nakazuje przyzwoitość, przejdę do innych związanych z nim kwestii, by Vince pomyślał, że najgorsze ma już za sobą. Spytam, jakie uczucia wzbudziła w nim jej śmierć, jak cała ta historia wpłynęła na jego współpracę z Lannym, czy sądził, że od tamtej pory publiczność patrzyła już na nich inaczej, i tak dalej. Nadam naszej rozmowie charakter ogólnej, filozoficznej dyskusji.

I wtedy będę musiała zdobyć się na odwagę, by wyłożyć na stół asa. Będę miała jeden jedyny moment na to, by spokojnie powiedzieć coś w rodzaju: „No dobrze, ale jak już schowaliście jej ciało do skrzyni z homarami i krabami, czy uprzedziliście o tym ludzi Sally'ego Santoro z New Jersey, czy też zamierzaliście sami ją stamtąd wyjąć po przyjeździe do hotelu?”. Może niedokładnie tak to ujmę (będzie to zależało od atmosfery i kontekstu), ale na pewno tylko wtedy zdołam znokautować go jednym ciosem w spłot słoneczny. Potem będę musiała przekonująco zablefować, że to zaledwie jedna z wielu informacji o śmierci Maureen, jakie udało mi się zdobyć.

Najpiękniejsze w całej tej sytuacji było to, że nie byłam z policji. Nie musiałam odczytać Vince'owi przysługujących mu praw. Inna sprawa, że i tak nie mógł zachować milczenia. Wręcz przeciwnie. Zgodnie z umową, którą podpisał z N&N, musiał wyśpiewać wszystko. Innemu rozmówcy mógł powiedzieć po prostu: „Bez komentarza”. Mówiąc to mnie, straciłby milion dolarów.

Przeszłam przez otoczony murem dziedziniec do drzwi Vince'a. Lubiłam go. Zabujałam się w nim. Prześlę się z nim, cokolwiek się stanie. No, chyba żebym dowiedziała się, że jest mordercą, i oddała go w ręce policji; wtedy raczej nie miałby co liczyć, że odwiedzę go w więzieniu. Na tę myśl przypomniałam sobie, że pieszczotliwie nazywane Starym Sparkym krzesło elektryczne wciąż skwierczy wesoło na Florydzie, mozolnie i nieskutecznie smażąc wnętrzości swoich ofiar.

Vince podchodzi do drzwi. Słyszę jego kroki. A oto i on we własnej osobie, w lekkim oliwkowym golfie, czarno-szarych spodniach, czarnych skarpetach i czarnych pantoflach. Pewnego dnia pomogę mu to wszystko zdjąć. Na razie zobaczymy, czy da się zwabić w potrzask tak gorliwej i ambitnej młodej osóbcie, jak ja.

- Cześć. - Uśmiechnął się zaciśniętymi ustami, co wskazywało, że nie będzie to jego ulubione popołudnie. - Dzięki, że zgodziłaś się zacząć później. Możemy pracować tak długo, jak zechcesz.

Zamierzałam dopilnować, by dochował każdej złożonej nieopatrnie propozycji.

- To dobrze - mruknęłam. - Rzeczywiście, być może do wieczora nie skończymy.

Zamknął drzwi i wszedł za mną do domu. Wskazał jadalnię.

- Tak też przypuszczałem - powiedział. - Dlatego zamówiłem w Scandia's szwedzki stół z ciepłymi i zimnymi przekąskami. Wszystko gotowe. Jeśli chcesz, możemy pracować przy kolacji.

Zajrzałam do jadalni i zobaczyłam nakrycia z serwetkami, wodę, kiełiszki do wina, pełny komplet sztućców, z widelcami do ryb i sałatek włącznie, talerzyki i filiżanki do kawy.

Stół był nakryty dla trzech osób.

- Będziemy mieli towarzystwo? - spytałam z lekką irytacją. Jeśli myślał, że zaszachuje mnie, ściągając kogoś z zewnątrz, to srodze się mylił. Patrzyłam z jadalni, jak podchodzi do kanapy w salonie, siada i zapala papierosa.

- Tak, mam dla ciebie sporą niespodziankę. - Zaciągnął się i wypuścił dym. - Prawdę mówiąc, dla mnie to też duża sprawa. Poprosiłem Lanny'ego, żeby do nas dołączył.

Poczułam się, jakbym dostała kroplówkę z lodowatej wody, i jednocześnie zaschło mi w ustach.

- Lanny'ego?

Vince skinął głową, przygryzając dolną wargę.

- Uhm. Wiesz, spotkamy się twarzą w twarz pierwszy raz od przeszło trzynastu lat. Spójrz tylko. - Wyciągnął rękę przed siebie. Zauważyłam, że drżała mu lekko, choć jako aktor mógł bez trudu symulować. - Mam cholerną tremę.

Usiadłam naprzeciw niego.

- A to dopiero - powiedziałam, usiłując mruczeć jak kot. - Jak widać, pieniądze firmy Neuman i Newberry nie pójdą na marne.

Vince pokręcił głową.

- Pomyślałam sobie, że skoro mam mówić otwarcie o czymś, co wywarło tak wielki wpływ na nasze życie osobiste i zawodowe, a czego do tej pory nie skomentowaliśmy ani słowem, uczciwość nakazuje, by Lanny mógł wysłuchać, co mam do powiedzenia, i ustosunkować się do tego. Może chciałby coś dodać albo czemuś zaprzeczyć. Z moją pamięcią różnie bywa. - Ruchem głowy wskazał barek. - Przez te wszystkie lata skróciłem cierpienia wielu moich szarych komórek.

Zacząłam wyjmować magnetofon. Zastanawiałam się gorączkowo, co mam, do cholery, zrobić, ale nie chciałam, by Vince pomyślał, że jestem niezadowolona z takiego obrotu wypadków.

- Och, to cudownie, że będę mogła poznać Lanny'ego - zaszczębiotałam, sięgając po mikrofon. - To znaczy, zbierając materiały na twój temat, o nim też wiele czytałam. - O Boże, mózg mi odmawiał posłuszeństwa. Wyobrażałam sobie, co będzie, jak Lanny wejdzie i mnie zobaczy. Po raz pierwszy od chwili, kiedy Bonnie Trout zasnęła w jego ramionach w hotelu Plaza. - Będę miała do niego masę pytań. Kiedy przyjedzie?

- Mówił, że najwcześniej o wpół do czwartej, zwykle jest punktualny. Nie miałem jego numeru, musiałem poprosić menedżera, żeby wziął go od Irva Fleischmanna. - Zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa. - Nawet sobie nie wyobrażasz, co czułem, dzwoniąc do niego.

Uśmiechnęłam się, by ukryć wzbierającą we mnie histerię.

- Och, opowiedz mi o tym. To ważne wydarzenie dla was obu i ogromnie się cieszę, że będę jego świadkiem. - Taa, cieszyłam się jak cholera. Cały mój świat rozbiegany był kawałek po kawałku jak sterta rozsypanych bierek.

Co powiem na powitanie Lanny'ego? Kotłowały się we mnie całkowicie sprzeczne, skrajne uczucia, grożące wybuchem, jak nitro w połączeniu z gliceryną. Owszem, byłam zła na Lanny'ego. Tak, zranił mnie. Wszystko to jednak tylko „miłosne” bzdety. Lanny powie: „Bonnie?”. Na co Vince spyta: „Jak to Bonnie?”. Wówczas Lanny wyjaśni, że załatwiłam sobie miejsce obok niego w samolocie do Nowego Jorku, okłamałam go co do tego, kim

jestem i co robię, i flirtowałam z nim dotąd, aż dopięłam swego. Vince spojrzy na mnie, pomyśli o naszej umowie i przypomni sobie, że jemu też składałam niestosowne propozycje - Boże jedyny, ale się wkopałam. W najlepszym razie zgodzi się dalej ze mną współpracować, ale uzna mnie za pozbawioną skrupułów dziwkę, której pod żadnym pozorem nie można ufać. Co bardziej prawdopodobne, zadzwoni do Neumana i Newberry'ego, poskarży się na moje nieetyczne i obłudne postępowanie wobec jego byłego partnera, stwierdzi, że nie życzy sobie, bym dalej pracowała nad książką, i zabroni publikacji wszelkich zebranych przeze mnie materiałów. Greg Gavin, ze swoją nieodłączną fajką, będzie miał pole do popisu. Gdyby w branży rozeszła się wieść (a rozeszłaby się na pewno, nie ma obaw), że wydawnictwo straciło wynoszącą milion dolarów zaliczkę, bo wdałam się w romans z jednym z bohaterów mojej książki, podając przy tym fałszywe nazwisko, adres, zawód, życiorys - że w gruncie rzeczy tylko moje orgazmy były prawdziwe...

W pierwszym odruchu chciałam powiedzieć prawdę. (Wiem. „Kto by pomyślał”.) Jak dotąd jednak moje postępowanie było tak kompromitujące, że nawet gdybym przedstawiła je w najkorzystniejszym świetle, mogłam liczyć co najwyżej na to, że dane mi będzie strzelić sobie w łeb, zamiast stawać przed plutonem egzekucyjnym.

Została mi jeszcze iskierka nadziei, ale musiałam działać szybko, zanim Lanny przyjdzie i ją zgasi.

- To naprawdę niesamowite - powiedziałam z promiennym uśmiechem. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym przypudrować sobie nos przed przyjściem Lanny'ego.

Vince zrobił urażoną minę.

- Twój makijaż był w porządku jak dla mnie, ale dla Lanny'ego musisz go poprawić?

- Nie, nie, to babska sprawa - powiedziałam, przeprosiłam go i wyszłam. O ile wiedziałam, nie znalazł się jeszcze mężczyzna, który podałby w wątpliwość takie wytłumaczenie czy spytał o szczegóły.

Na szczęście toaleta dla gości znajdowała się nie przy wejściu, lecz w głębi wyłożonego ciemną boazerią korytarza, na prawo od przedpokoju. Otworzyłam drzwi i sprawdziłam, czy Vince może mnie zobaczyć. Chwała Bogu, pozostawałam poza linią jego wzroku, przynajmniej dopóki nie ruszał się z miejsca. Weszłam do łazienki, nie zamykając drzwi. Ściany pokrywała warstwa czarnego lakieru, na jednej z nich wisiała rycina, w której rozpoznałam dzieło Piranesiego z serii „Więzienia z wyobraźni”: przedstawiała wielkie łuki, na których wspierały się wąskie galerie, porzecinane schodami prowadzącymi setki metrów w dół, do pogrążonych

w mroku posępnych lochów. Odkręciłam zimną wodę i wyszłam z łazienki, trzaskając drzwiami, tak jakbym zamknęła się w środku. Ruszyłam korytarzem w stronę, gdzie, jak kiedyś powiedział mi Vince, znajdowała się jego sypialnia. Jeszcze jej nie widziałam. Teraz będzie po temu okazja.

Otworzyłam drzwi najciszej, jak się dało. Nie miałam czasu, by zwracać uwagę na szczegóły, ale zauważyłam, że sypialnia jest w odcieniach rdzy i granatu i wygląda bardzo elegancko. Łóżko było niskie, wielkości parkietu tanecznego w małym nocnym klubie; wciąż miałam nadzieję, że pewnego dnia zatańczę na nim z Vince'em.

Modliłam się, by miał przy łóżku telefon, i Bóg mnie wysłuchał. Był to ekskluzywny model, dzieło włoskiego projektanta, tak nowoczesny i stylowy, że nie mogłam dojść, do czego mam mówić i jak wykręcić numer. Szlag by to! Uznanemu projektantowi zachciało się dokonać reinterpretacji tradycyjnego telefonu, a ja przez to miałam zagwozdkę. Znalazłam guzik obok słuchawki, wcisnęłam go i usłyszałam sygnał. Wcisnęłam zero i wybrałam kierunkowy do Nowego Jorku. Zgłosiła się telefonistka z centrali.

- Na koszt rozmówcy poproszę - szepnęłam.

Telefonistka poprosiła o moje nazwisko, więc się przedstawiłam. Przez jakieś dziesięć sekund wsłuchiwałam się w ciszę. Nie wiedziałam, jak wytłumaczyłabym się Vince'owi, gdyby zobaczył, że ukradkiem korzystam z jego telefonu, ale nie było to istotne. Nie miałam czasu na rozterki, byłam jak koszykarz, który w ostatniej sekundzie meczu bez wahania rzuca do kosza z drugiego końca boiska, usiłując doprowadzić do remisu. W pewnych sytuacjach człowiek po prostu nie ma wyboru.

Coś trzasnęło w słuchawce i uzyskałam połączenie. W Nowym Jorku było dwadzieścia po szóstej. Teraz wszystko zależało od tego, czy Beejay wróciła do domu o zwykłej porze i czy gdzieś jej nie poniosło. Po czwartym sygnale poczułam, że w kącikach oczu wzbierają mi łzy żalu, i nagle rozległ się kolejny głośny trzask. Od razu odżyłam. Otarłam łzy palcem wskazującym lewej dłoni i usłyszałam, jak Beejay wyraża zgodę, by rozmowa odbyła się na jej koszt. Nareszcie.

- Beejay, muszę się streszczać.

- I dobrze, mała, bo jeśli dzwonisz z Los Angeles, nie stać mnie na to, żeby płacić za rozmowy.

- Beejay, musisz zrobić dokładnie to, o co cię poproszę, i nie mam czasu wyjaśniać, dlaczego, jasne?

- Dobra, dobra, dobra. Wal.

Minutę później wyszłam z sypialni Vince'a, który, sądząc z dolatujących odgłosów, robił coś w kuchni. Wśliznęłam się do łazienki, cicho otwierając i zamykając drzwi. Zakręciłam kurek i aby uwiarygodnić swoje alibi, spuściłam wodę.



Była trzecia dwadzieścia cztery i gdyby Lanny przyjechał choćby minutę za wcześniej, mój plan spaliłby na panewce. Niespiesznie wróciłam z łazienki i zastałam Vince'a wpatzonego w rozciągający się za szerokimi oknami widok, na którego podstawie można by sporządzić dokładny plan centrum Los Angeles. Jego zamysłony wzrok błąkał się gdzieś w dali. Zachowywałam się z całą nonszalancją i swobodą, na jaką mogłam się zdobyć, zważywszy na to, że na usta cisnęły mi się błagalne słowa Petera Lore'a z „Casablanki”: „Rick, ukryj mnie!”.

- Przepraszam, jeśli trwało to za długo - rzuciłam niedbałym tonem.

Vince uśmiechnął się półgębkiem.

- Mężczyźni nigdy nie przepraszają za takie rzeczy. - Odsunął się od okna i wtedy zobaczyłam, że za nim, na stoliku przy niskiej kanapie, stoi obsługująca kilka linii centralka z pięcioma przezroczystymi, kwadratowymi guzikami i umieszczonym z boku obudowy czerwonym przyciskiem, zawieszającym połączenie. Uświadomiłam sobie, że jeśli, co bardzo prawdopodobne, na drugim końcu jednej z linii był telefon w sypialni, to w chwili, gdy podniosłam słuchawkę, zaświecić się musiał jeden z guzików. Oczywiście, jeżeli Vince w tym czasie wyglądał przez okno, krztał się w kuchni czy w ogóle robił cokolwiek, co nie wymagało patrzenia na centralkę, wszystko było w porządku. W przeciwnym razie automatycznie stałabym się główną podejrzaną, bo oprócz nas w domu nie było nikogo. I tym razem jednak z dziwnym spokojem uprzytomniłam sobie, że nie mam innego wyjścia, jak tylko dalej udawać, że nic się nie stało, dopóty, dopóki nie zdołam uciec albo wszystkiego diabli nie wezmą. Jak saper rozbijający bombę atomową, której zegar odlicza sześćdziesiąt sekund pozostałych do wybuchu, mogłam tylko postarać się przeciąć właściwy drucik. Było za późno, by szukać schronienia.

Zwalila się na kanapę, jakbym miała już nigdy z niej nie wstać.

- Aż ciarki mnie przechodzą z emocji, Vince - palnęłam, podłączając mikrofon do magnetofonu. - Ciekawe, czy Lanny zgodzi się, żebym go nagrała. Cóż, trzeba będzie go o to spytać, kiedy przy...

Zadzwonił telefon. Środkowy guzik mrugał powoli.

Dzwonek zabrzączał po raz drugi. Czekałam, aż Vince odbierze, ale on patrzył na mnie, wyraźnie zainteresowany tym, co chciałam powiedzieć. Telefon nie przestawał dzwonić. Uśmiechnęłam się jakby nigdy nic.

- W porządku, możesz odebrać.

Vince machnął niedbale ręką.

- Nie, ten numer podają tylko dziennikarzom i ludziom od robót zleconych, no wiesz, projektantom ogrodów i innym takim. - Podał go też mnie, rzecz jasna, a ja Beejay. - Jeśli nie jestem umówiony na telefon z

którąś z tych osób, nie odbieram. Wtedy połączenie zostaje przekierowane do mojego biura.

Dzwonienie ucichło.

W tej chwili mój los spoczywał w rękach Beejay. Ja mogłam tylko zachowywać się, jakby wszystko było cacy.

- No to powiedz, rozmawiałeś z Lannym osobiście? - spytałam, usilnie starając się przybrać ton profesjonalnej reporterki.

Vince skinął głową z ponurą miną, a ja dalej drażyłam temat.

- Jakie to było uczucie? Wiem, że nie widzieliście się z górą dziesięć lat, ale może w tym czasie rozmawialiście przez...

Telefon zadzwonił głośniejsze niż poprzednio i zauważyłam, że tym razem błyska pierwszy guzik z prawej.

- Przepraszam, ale to może być Lanny - mruknął Vince i podniósł słuchawkę. Przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym spojrzał na mnie z troską. - Dzwonią z biura, szuka cię jakaś kobieta... twoja przyjaciółka lub krewna, nie są pewni... w każdym razie twierdzi, że próbowała złapać cię pod numerem, który jej podałaś, moim numerem, i że coś się stało, chodzi o kogoś z twojej rodziny...

Szybko podeszłam do telefonu i Vince podał mi słuchawkę, bacznie mnie obserwując.

- Tak? - spytałam.

Usłyszałam głos sekretarki Vince'a, którą poznałam w Burbank Studios. Powiedziała mi mniej więcej to samo, co on, i dodała, że moja przyjaciółka lub krewna zadzwoni jeszcze raz na ten numer co poprzednio, tyle że tym razem Vince odbierze.

Niemal w tej samej chwili zadzwonił telefon na trzeciej linii. Vince wziął ode mnie słuchawkę, wcisnął właściwy guzik i oddał mi ją z powrotem.

- Słucham? - powiedziałam z niepokojem.

- Cześć, mała - odparła Beejay. - Właśnie zabrali do szpitala twojego brata, Clifforda. Pracował na budowie i takie ustrojstwo...

- Stalowy dźwigar? - spytałam z przejęciem.

- Otóż to. Dlatego wracaj raz-dwa do miasta i pojednaj się z nim, bo zdaniem lekarzy, może nie dożyć do rana. Zarezerwowałam ci bilet na następny rejs American Airlines, czekam na ciebie przed terminalem. Odstawię twój samochód pod dom.

- Dziękuję, Sharon - powiedziałam do Beejay i odłożyłam słuchawkę. Czując na sobie wzrok Vince'a, starałam się zachowywać, jakbym była na skraju hysterii. Zaczęłam pakować magnetofon, ale rozmyśliłam się. Była trzecia dwadzieścia siedem. - Mogę zostawić sprzęt, Vince? Muszę jechać na lotnisko. Chodzi o mojego brata. Mówią, że zostało mu już bardzo niewiele czasu.

- Mogę jakoś pomóc? - spytał z troską.

Pokręciłam głową.

- Zarezerwowali mi bilet na następny samolot American do Nowego Jorku. Muszę jechać na lotnisko. - Złapałam torebkę i ruszyłam do drzwi. Miałam nadzieję, że uzna moją nieuprzejmość za przejaw wzruszającej siostrzanej troski.

Vince poszedł ze mną.

- Poproszę kogoś, żeby cię zawiózł.

Za moimi plecami rozbrzmiał głośny dzwonek telefonu, obwieszający połączenie na „gorącej linii”, ale Vince nie podniósł słuchawki. Zbyłam go machnięciem ręki.

- Nie, Sharon już czeka na lotnisku. Zostawię jej mój samochód przed terminalem, tak będzie szybciej, niż gdybym miała czekać, aż mnie ktoś stąd zabierze. - Szłam już przez dziedziniec.

- Sam cię zawiozę - zaproponował.

- Tylko tego brakowało, żebyś wystawił do wiatru Lanny'ego Morrisa. Znów nie odzywalibyście się do siebie przez kilkanaście lat. Pojadę sama, tak będzie łatwiej i szybciej. - Doszłam do mojego caprice'a. Jeszcze kilka kroków i Lanny nie zobaczy mojej twarzy. - Przekaż panu Morrisowi, że przepraszam go z całego serca. Ciebie też przepraszam.

Siedziałam już za kierownicą. Przekręciłam kluczyk. Nawet gdyby teraz zjawił się Lanny, mijając go, pewnie mogłabym odwrócić twarz, tak by nie poznał mnie przez szybę. Gdyby to był film, samochód nie zapaliłby, a ja zaczęłabym się szarpać ze stacyjką, no ale silnik zaskoczył (a jednak mój wóz nie był aż tak nędzny), żwir bryzgnął spod kół i Vince został z tyłu.

Jadąc Tortuoso w dół, wypatrywałam nadciągającej z naprzeciwka limuzyny lub samochodu Lanny'ego. Pośpiesznie włożyłam ciemne okulary i obwiązałam głowę szalem. Uznałam, że w tych okolicznościach trudno byłoby mu rozpoznać „Bonnie Trout” siedzącą za kierownicą, tym bardziej że pochyliłam się najniżej, jak mogłam, nie tracąc przy tym jezdni z oczu. Wykrzywiłam usta à la postać z „Dicka Tracy'ego”, by jeszcze bardziej zniekształcić swoje rysy. Żałowałam, że nie mogę jechać z góry szybciej niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, ale przy tak ostrych zakrętach i braku bariery ochronnej nie wchodziło to w grę. Wreszcie dotarłam do Bulwaru Zachodzącego Słońca, nie mijając po drodze ani jednej limuzyny czy kierowcy, który w najmniejszym stopniu przypominałby Lanny'ego.

Poziom adrenaliny w moim organizmie powoli wrócił do normy. Zimny strach, który do tej pory odpierałam, topniał, wnikał w głąb mojej duszy. To przerażające, jak niewiele brakowało, żebym została zdemaskowana w paskudnych okolicznościach. Nie mogłam złapać tchu i nawet przejechałam przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, usiłując uciec

przed myślami, ale nic to nie dało. Kiedy lęk zapuści korzenie, ciężko się go pozbyć, a ja miałam takie samo prawo się bać, jak prostytutki przechadzające się zaułkami Whitechapel około roku 1888.

Wiedziałałam na pewno, że nie pojedę do domu. Vince mógł zauważyć, że telefon w jego sypialni był w użyciu dwie minuty przedtem, nim dostałam przykrą wiadomość. Przypomniało mi się, że w słuchawce usłyszałam trzask; wtedy pomyślałam, że to coś na łączach, ale może to Vince podniósł słuchawkę głównego aparatu. Wiedział, gdzie mieszkam, i jeśli żywił jakieś wątpliwości co do wypadku mojego nieszczęsnego brata czy po prostu chciał z dobrego serca zostawić mi liścik, wołałam, by nie zobaczył mnie w drzwiach mojego mieszkania, gdy rzekomo miałam być na pokładzie samolotu do Nowego Jorku.

Na Bulwarze Zachodzącego Słońca skręciłam w prawo, oddalając się od mojego domu i domu Vince'a. Wkrótce zobaczyłam znak wskazujący zjazd na San Diego Freeway w kierunku południowym. Przyszło mi do głowy, że jeśli chcę nadać swojemu kłamstwu jak najwięcej pozorów prawdy - a tak zwykle starałam się postępować - to powinnam pojechać Freeway na lotnisko LAX, jakbym rzeczywiście zamierzała złapać najbliższy samolot American Airlines do Nowego Jorku. Mogłabym sprawdzić, ile zajęłoby mi to czasu, zobaczyć, na który rejs „Sharon” mogłaby zarezerwować mi bilet i kiedy miałabym wylądować na JFK albo La Guardia. Kto wie, może Vince, jak zawsze troskliwy, zadzwoni do American Airlines, by dowiedzieć się, o której będę na miejscu, na wypadek gdyby lot miał być opóźniony. Łatwiej mi będzie potem zdawać relację, jeśli oprę ją na jak największej liczbie faktów. Tak czy inaczej, nie miałam tego popołudnia nic lepszego do roboty.

Zostawiłam wóz na parkingu przy terminalu American Airlines i poszłam rzucić okiem na tablicę przylotów i odlotów. Samolot do Nowego Jorku odlatywał o wpół do piątej. Rejs numer 49. Następny był dopiero o dziesiątej wieczorem, na miejsce docierał o świcie. Gdybym rzeczywiście wybierała się do Nowego Jorku, poleciałabym tym o wpół do piątej i zdążyłabym na niego w ostatniej chwili... tyle że na tablicy pojawił się komunikat, że samolot wystartuje z półgodzinnym opóźnieniem. Dobrze wiedzieć. Będę musiała zaczekać, aż odleci, bo a nuż zostanie odwołany. Nie chcąc dać się złapać na kłamstwie, zbierałam dane, jakbym przygotowywała szczegółowe alibi na czas planowanego morderstwa.

Pomyślałam sobie, że może mi się przydać jeszcze jedna informacja. Podeszłam do kasy, w której siedziała kobieta o sympatycznej twarzy.

- Przepraszam, ile zapłaciłabym za bilet do Nowego Jorku w jedną stronę, miejsce w klasie turystycznej, gdybym miała go teraz kupić?

Pokiwała z entuzjazmem głową.

- Doskonale panią rozumiem - powiedziała, jakby się ze mną zgadzała. - Wszyscy mówią, że to nie do wiary. Do następnego czwartku włącznie dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów w każdą stronę. W razie zmiany rezerwacji trzeba wnieść pełną opłatę, powrót musi nastąpić w ciągu czternastu dni. - Wręcz pokraśniała z zadowolenia. - Ludzie pytają mnie, jaki jest haczyk, a ja mówię im, że TWA obniżyła stawki, więc nasz szef obniżył je jeszcze bardziej. Możemy sobie na to pozwolić, bo nasza firma jest większa. I, mamy nadzieję, lepsza. Kiedy chce pani wyjechać?

W tej chwili przyszło mi do głowy, że warto wydać dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, by mieć potwierdzenie, że rzeczywiście polecałam do Nowego Jorku. Bilety składały się z trzech części. Mogłabym któregoś dnia „przypadkiem” zostawić pokwitowanie zakupu na stoliku u Vince'a, a później zadzwonić i spytać, czy aby go nie znalazł, bo będzie mi potrzebne przy wypełnianiu zeznania podatkowego. Niezbity dowód wyjazdu wart był każdej ceny. Ciekawe tylko, czy nie będzie afery, jeśli nie wsiądę do samolotu. Ostatnimi czasy linie lotnicze niechętnie pozwalały na start maszyn, na których pokład przyjęto bagaż nieobecnych pasażerów. Tyle że ja nie miałam bagażu. Poza tym każdy mógł się spóźnić na samolot. Zdarzyło mi się to już nieraz i nigdy nie czekano na mnie ze startem. Wszystko będzie dobrze. Wynajmę pokój w najtańszym lotniskowym hotelu i „wrócę” do Los Angeles jutro późnym wieczorem. Zamiast uśmiercać mojego nieistniejącego brata Clifforda (wówczas musiałabym zostać w Nowym Jorku na pogrzebie itd.), każę mu zapaść w głęboką śpiączkę. Zrobię z niego warzywo do czasu, aż wyjdzie książka, którą napiszę z Vince'em.

Dałam pracownicy American Airlines kartę MasterCard i powiedziałam znacząco, że nie mam bagażu. Spojrzała na tablicę odlotów; według najświeższych informacji, samolot miał odlecieć o piątej piętnaście spod wyjścia 4A.

Poszłam na górę, do baru Kokpit, zamierzając spokojnie wysączyć upragnioną szkocką z wodą sodową i zobaczyć, o której w końcu odleci mój niedoszły samolot. Usiadłam na obitej skórą ławie i niecierpliwie pochwyciłam spojrzenie kelnerki w minispódniczce i czarnych siatkowych pończochach, które wydano jej chyba w połowie lat sześćdziesiątych, choć już wtedy musiała być trochę za stara na taki strój. Na imię miała Teena albo z czystej zawiści ukradła Teenie plaketkę z imieniem. Rozejrzałam się i zauważyłam, że w barze nie ma whisky Ballantine ani Chivas.

- Dewar's z wodą sodową poproszę.

Siedziałam sobie, wpatrując się w tablicę odlotów, by sprawdzić, czy lot 49 opóźnia się jeszcze bardziej (choć właściwie jakie to miało znaczenie?), i słuchałam płynącego z głośników American Airlines głosu Toma Jonesa śpiewającego „Delilah”, gdy nagle Tom wypowiedział moje nazwisko, i to dwa razy, a potem poprosił, bym podeszła do najbliższego telefonu i skontaktowałam się z Biurem Obsługi Klientów. Dopiero po chwili zorientowałam się, że muzyka ucichła i że był to komunikat American Airlines. Spytałam Teenę, czy w barze jest telefon. Okazało się, że tak.

Kobieta z Biura Obsługi Klientów powiedziała, że jest do mnie pilny telefon. Dzwonił Vince.

- A jednak cię złapałem. Nie do wiary - powiedział. - O której masz samolot?

To prawdziwy cud, że byłam tu akurat wtedy, gdy zadzwonił. Teraz moje alibi było niepodważalne.

- Powinien był odlecieć dwadzieścia minut temu. Na razie przełożyli start na piątą piętnaście, ale kto wie, czy na tym się skończy. - Spojrzałam na bilet i pewnym głosem wyrecytowałam szczegółowe informacje. - Lot 49 American Airlines, start z lotniska LAX o wpół do piątej, lądowanie na JFK za piętnaście pierwsza.

- Lot 49, tak też myślałam. Wspominałaś, że lecisz American, a to ostatni ich samolot za dnia. Sam parę razy nim leciałem. Wiatr wieje z tyłu, co skraca podróż o piętnaście-dwadzieścia minut. Zamówiłem limuzynę, która odbierze cię z JFK. Szofer będzie trzymał tabliczkę z nazwiskiem „O'Connor”. Dzięki temu nawet jeśli start się opóźni, będziesz miała kogoś, kto prosto z lotniska zawiezie cię do brata.

O Boże.

- Och nie, Vince, nie. Rodzina po mnie wyjdzie.

Nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Na pewno woleliby nie zostawić twojego brata nawet na chwilę. Poza tym musieliby pojechać na JFK po północy i zostawić wóz na parking. Limuzyna jest już zamówiona w Fugazy. Szofer ma na imię Adolfo, znam go. Straż lotniskowa pozwala mu parkować przy punkcie odbioru bagażu, więc będzie mógł cię zabrać spod samego terminalu. Zna wszystkie skróty w mieście. Chcesz, żebym zadzwonił do twoich bliskich? Uprzedzę ich, że nie muszą po ciebie wychodzić. Jaki mają numer?

- Nie, nie, sama do nich zadzwonię - powiedziałam. - To bardzo miło z twojej strony, Vince. Bardzo jesteś troskliwy. Tyle że wiesz, wolałabym...

- Masz jakieś nowe wiadomości o bracie? W którym szpitalu leży?

W którym szpitalu. Gdybym jakiś wymieniła, zaraz wysłałby tam kwiaty albo chirurgów. Gdybym nic nie powiedziała, kazałby sekretarce obdzwonić wszystkie szpitale na Manhattanie i pytać o pacjenta nazwiskiem O'Connor, przyjętego w ciągu ostatnich sześciu godzin. Przynajmniej temu musiałam zapobiec.

- Vince, nie ma go w Manhattanie, leży w... czekaj, chyba zapowiadają mój samolot... i nie nazywa się O'Connor, jest moim przyrodnim bratem... Vince, przepraszam cię, ale wpuszczają już na pokład, wielkie dzięki, zadzwonię, jak będę wiedziała, gdzie się zatrzymam, wtedy dam ci znać, jak wygląda sytuacja. - Proszę bardzo, niech ta jego cholerna sekretarka zrobi listę wszystkich pacjentów spoza Manhattanu, którzy nie nazywają się O'Connor.

- Poczekaj, jeszcze nie... - zaczął Vince.

- Muszę zadzwonić do rodziny i powiedzieć, żeby po mnie nie wychodzili. Wielkie dzięki za limuzynę, Vince. - Odłożyłam słuchawkę. Kurwa mać. - Kurwa-kurwa-kurwa-kurwa-kurwa! - zakląłam, co sprawiło, że Teena pośpiesznie przyniosła mi drinka i lękliwie postawiła go na kontuarze.

Musiałam polecieć najbliższym samolotem do pieprzonego Nowego Jorku. Tylko po to, by Adolfo mógł zameldować, że odebrał mnie z lotniska.

Nie widziałam innego wyjścia. Gdybym nie zjawiała się w Nowym Jorku, Adolfo zadzwoniłby do dyspozytora Fugazy, a Vince, zaniepokojony, zacząłby jeszcze bardziej energicznie szukać mnie i mojego brata Clifforda. Mogłam tylko mieć nadzieję, że lot 49 zostanie odwołany. Gdyby tak się stało, uśmierciłabym Clifforda jeszcze tego wieczoru i powiedziała, że w testamencie zażyczył sobie, by nie urządzać pogrzebu.

Pociągnęłam potężny łyk dużej Dewar's z sodą, który przyniosła Teena. Moje usta drgnęły, wargi skurczyły się odruchowo, obnażając zęby. Szkocka miała bardzo dziwny smak, ale pomyślałam, że przecież nie mogła się zepsuć. Skosztowałam jej raz jeszcze i wyczułam charakterystyczną słodko-cierpką nutę. Chinina.

- To szkocka z tonikiem! - ryknęłam na barmana.

Dureń wcisnął w tym pieprzonym szprycerze guzik Q zamiast S.

Właśnie przeglądał rachunki z Teeną.

- Ojej, a to ze mnie niezgrabiasz! - powiedział ze śmiechem. Jak widać, był wobec siebie bardzo wyrozumiały. - Zaraz zrobię nowego drinka - dodał pojednawczym tonem. - Gratis.

*Pasażerowie samolotu numer 49 do Nowego Jorku proszeni są o stawienie się przy wyjściu numer 4A. Wzywamy pasażerów klasy turystycznej i biznesowej do odprawy przed wejściem na pokład. Pasażerowie samolotu numer 49...*

Barmanowi zostało jeszcze dużo liczenia. Złapałam szkocką z tonikiem, zacisnęłam zęby i wychyliłam ją w dwóch długich łykach. Z rozmachem położyłam na barze banknot pięciodolarowy i klnąc pod nosem, pobiegłam do wyjścia 4A. Wiedziałam, że nie będzie do niego tak blisko, jak wskazywałby na to numer, i nie pomyliłam się. Dobry Boże, leciałam bez powodu na drugi koniec kraju, miałam zostać zawieziona limuzyną do szpitala, w którym nie miałam czego szukać - i na domiar złego przypomniałam sobie, że kupiłam bilet do klasy turystycznej na ostatni samolot tego popołudnia. Wszystkie miejsca - w każdym rzędzie trzy po bokach i pięć w środku - na pewno będą zajęte. Będę musiała wybłagać u stewardesy miniaturową butelkę whisky Dewar's za dwa dolary, a kiedy poproszę o trzecią, powie mi, że barek jest już zamknięty, bo na miejscu będziemy o tak późnej porze - jakby to cokolwiek tłumaczyło. Posiłek składać się będzie z mięsa à la coś, małej bułki i sałatki z trzech liści sałaty, oblanych naparstkiem sosu winegret. Nie miałam książki do czytania, notesu ani zestawu długopisów, żeby coś napisać. A podczas lotu na pewno pokażą „Czarny wiatrak”. Prawdopodobnie najgorszy film z Michael'em Caine'em.



Oczywiście, potem było jeszcze gorzej. Dostałam miejsce w środku, między operatorem dziurkarki kart imieniem Rory, który nosił naszyjnik z ręcznie rzeźbionych afrykańskich symboli płodności (choć sam był biały) i poczuł się w obowiązku szczegółowo objaśnić mi ich znaczenie, a tęgim jegomościem, który nie przedstawił się, bo zajęty był chrapaniem.

Postanowiłam znaleźć jakieś dobre strony tej kompletnie bezsensownej wyprawy, poza okazją do spotkania z Beejay, która o drugiej w nocy pewnie nieszczęśliwie ucieszy się na mój widok.

Wiedziałam, że pozwoliłam sobie z Lannym i Vince'em na zbyt wiele. Jak przez mgłę przypominałam sobie aforyzm zasłyszany z ust matki, coś o tym, że tarzając się w błocie ze świniami, nie można pozostać czystym. Inna sprawa, że można go było odnieść tylko do Lanny'ego. Vince nie był świnią, lecz dżentelmenem w każdym calu. Za to ja zachowywałam się jak oblesna maciora. Kiedyś, w wieku dziewiętnastu lat, po wyjątkowo nieprzyjemnym doświadczeniu seksualnym, przez chwilę marzyłam o tym, by przenieść się do innego miasta i na nowo stać się dziewicą. Teraz czułam to samo, chciałam znów być czysta.

W innym mieście.

Jak dotąd, w tej sprawie czułam się tylko wtedy, gdy myślałam o Maureen O'Flaherty. Nie miałam pojęcia, jak duże niebezpieczeństwo groziło mi ze strony chłopaków ani jak mroczna była tamta straszna noc w Miami, i nie mogłam tego wiedzieć, nie znając odpowiedzi na pytanie, które miałam im zadać na prośbę matki Maureen. Od tej pory także dla mnie będzie ono najważniejsze.

Dlaczego Maureen musiała umrzeć?

Mniej istotne było to, kto ją zabił, Vince, Lanny, czy obaj do spółki, który z oprychów Sally'ego Santoro przeniósł jej ciało do wanny i czego

mafijny boss żądał od chłopaków w zamian za milczenie. Powód, dla którego zginęła, liczył się najbardziej. Podejrzewałam, że kiedy go poznam, odpowiedzi na wszystkie pozostałe pytania przyjdą same, ba, zlecą się do mnie niczym rekiny do pływaka z krwawiącym nosem.

W Los Angeles i Nowym Jorku nie znalazłam nic, co przybliżyłoby mnie do prawdy. W Palisades Park i domu rodziny O'Flaherty w New Rochelle też niewiele się dowiedziałam. Teraz jednak, wciśnięta w fotel w klasie turystycznej, przypominałam sobie ołtarzyk na toalecie w skromnej sypialni pani O'Flaherty. Pamiętałam, jak rozbawił mnie adres zwrotny na pocztówce, którą Maureen przysłała rodzicom z Florydy. Nic prostszego, jak zadzwonić do pani O'Flaherty i poprosić, by podyktowała mi go przez telefon.

Wyjechałam na Wschodnie Wybrzeże bez konkretnego celu. Nie mogłam na to nic poradzić. Gdybym jednak jutro poleciała z JFK do Miami, lot trwałby dwie i pół godziny krócej, niż gdybym wybrała się tam z Los Angeles. Nie był to może mocny argument na uzasadnienie mojego dziśszego wypadu, ale przynajmniej nie czułam się już tak głupio.

Przylecieliśmy niemal dokładnie o czasie, o tej porze nie było bowiem kłopotu z uzyskaniem zezwolenia na lądowanie. Uroczy Adolfo rzeczywiście czekał przy wyjściu z punktu odbioru bagażu z tabliczką z napisem O. CONNER; domyśliłam się, że chodzi o mnie. Poprosiłam, by zaczekał, i zadzwoniłam z automatu na informację. Z udawanym przez wzgląd na Adolfa przejęciem powiedziałam telefonistce, że potrzebny mi jest numer do szpitala, do którego zabrano mojego rannego brata. Wyjaśniłam, że wiem tylko, iż znajduje się on gdzieś w pobliżu lotniska.

- Nie zna pani jego nazwy? - spytała telefonistka.

Powiedziałam, że chyba jest pod wezwaniem któregoś świętego. Odparła, że takich to w okolicy jest sporo, ot, na przykład szpital Najświętszej Marii Panny w Far Rockaway. Uznałam, że Far Rockaway jest w sam raz, w miarę blisko, ale dość daleko, by Adolfo mógł się wykazać. Podyktowała mi adres i numer telefonu, i życzyła bratu szybkiego powrotu do zdrowia.

Podałam facetowi adres, powiedział, że wie, gdzie to jest. Rozsiadłam się wygodnie w limuzynie i zauważyłam trzy karafki z rżniętego szkła, wiaderko lodu i kilka lśniących czystością szklanek, osadzonych w mahoniowym blacie, który tkwił między tylnym siedzeniem a dwoma składanymi fotelami, odwróconymi tyłem do kierunku jazdy. Wzięłam sobie trochę lodu i sięgnęłam po karafkę z brązowym płynem. Pewnie był to johnnie walker red, za którym nie przepadałam, ale gdzieżbym śmiała narzekać. Poprosiłabym Adolfa, żeby puścił jakąś muzykę, ale pomyślałam,

że mógłby się zdziwić. Kobieta przyjeżdżająca w odwiedziny do umierającego brata może strzelić sobie mocnego drinka dla uspokojenia nerwów, niekoniecznie jednak chce słuchać Steely Dan.

Podjechaliśmy do rampy pod salą nagłych przypadków, jedyne wejście otwarte o tej porze. Adolfo zamierzał mi towarzyszyć, ale powiedziałam, że nie ma sensu, by siedział w poczekalni pełnej chorych i ludzi z ranami od noża czy pistoletu. Ta wizja nieco ostudziła jego zapał. Powiedział, że zaczeka tu, aż czegoś się dowiem.

Za małym biurkiem służącym jako stanowisko wartownicze przed salą nagłych wypadków straż pełniła pogrążona w lekturze romansu Rosjanka, która wyglądała tak, jakby nie jej nie było w stanie zdziwić. Spytałam ją, czy w ciągu ostatnich dwunastu godzin przywieziono kogoś z urazem głowy. Poprosiła o nazwisko pacjenta. Powiedziałam: „Cledrow Gommelfarver”. Przeliterowałam je i kazałam dwa razy sprawdzić. Pomyślałam, że gdyby ktoś (jak choćby mityczny i prawdopodobnie nieistniejący prywatny detektyw, którego, jak sobie roiłam, wynajął Vince) zaczął dociekać, o kogo pytałam, to nawet jeśli kobieta przypomniaby sobie to nazwisko, w jej ustach zabrzmiałoby ono tak, jakby coś pokręciła. „Cledrow Gommelfarver czy jakoś tak” - powiedziałyby z silnym rosyjskim akcentem, a detektyw tylko przewróciłby oczami. Jeżeli w ogóle zdołałaby je zapamiętać. Najprawdopodobniej po prostu stwierdziłaby, że było to dziwne nazwisko, które słyszała pierwszy raz w życiu.

Tak naprawdę nie sądziłam, że Vince zamierzał wynająć prywatnego detektywa czy choćby powątpiewał w prawdziwość mojej historyjki. Po prostu wolałam dmuchać na zimne.

Wróciłam do samochodu z ponurą, przygnębiającą miną. Adolfo patrzył na mnie z troską.

- Spóźniłam się - powiedziałam z goryczą.

Żegnaj, Cliffy. Nawet nie zdążyliśmy cię dobrze poznać.

Adolfo przeżegnał się i przeprosił, że nie jechał szybciej.

- Nie, nie, odszedł, zanim mój samolot wylądował – pocieszyłam go. - Jego ostatnie słowa brzmiały: „Żadnych łez”. - Powiedziałam to głównie dlatego, że nie byłam dostatecznie dobrą aktorką, by przekonująco płakać na zawołanie. Lepiej wcielić się w rolę stoika. - Nawet nie ma tu już jego ciała, zabrali je do zakładu pogrzebowego w Rego Park.

Adolfo zaoferował się, że mnie tam zawiezie, choć było już dobrze po północy. Pokręciłam głową.

- Nie, jutro przewiozą go samolotem na południową Florydę, w jego rodzinne strony. Tam odbędzie się ceremonia, a potem prochy zostaną rozrzucone nad Everglades, które tak kochał.

Adolfo pokiwał głową ze współczuciem.

Spytałam go, czy byłby tak dobry i odwiózł mnie z powrotem na lotnisko. Tam zatrzymam się w hotelu Hilton („Pewnie i tak oka nie zmrużę”, westchnęłam), a z samego rana polecę do Miami.

Adolfo zawiózł mnie do Hiltona, dał mi służbową wizytówkę i powiedział, że jeśli będę czegoś potrzebowała, mogę śmiało do niego dzwonić. Zwróciłam mu uwagę, że autobus lotniskowy może mnie dowieźć na stanowisko Air Florida w niecałe dziesięć minut. Próbowałam dać mu napiwek, ale odmówił, twierdząc, że jest on wliczony w cenę usługi.

W Hiltonie nikogo nie dziwił widok osób wtaczających się bez bagażu o trzeciej w nocy. Byli to na ogół pasażerowie, którzy na wieść o odwołaniu lotu woleli wynająć pokój na kilka godzin niż spędzić noc na plastikowym krześle w terminalu. Recepcjonista spytał, czy chcę zamówić budzenie. Poprosiłam, by zadzwoniono o siódmej.

Poszłam do pokoju, rozebrałam się i rozwiesiłam ciuchy w łazience. Rano, kiedy będę brała prysznic, para powinna wygładzić choć część zagniecień. Włączyłam telewizor na kanał drugi, gdzie trwało Kino Nocne, i ściągnęłam z łóżka narzutę i cienki koc. Kiedy położyłam się na chłodnej pościeli, reklama społeczna dobiegła końca i zaczął się dalszy ciąg filmu. Doskonale by się składało, gdyby grali w nim Vince i Lanny, czy chociaż Michael Caine, ale był to „Spokojny człowiek” z Johnem Wayne'em i olśniewająco piękną Maureen O'Hara. W tej scenie Barry Fitzgerald wiózł ich na pierwszą randkę; John był przystojny, ale ja nie mogłam oderwać oczu od Maureen, ślicznej Maureen, której bujne, rude włosy stanowiły nie lada wyzwanie dla możliwości kolorowego telewizora. Zasypiając, widziałam na ekranie smutno uśmiechniętą Maureen, w której oczach czało się nieme pytanie, skierowane tylko do mnie.

Maureen O'Flaherty przed śmiercią mieszkała w Hollywood na Florydzie, jeśli wierzyć adresowi zwrotnemu na pocztówce, którą wysłała do matki. Następnego ranka zadzwoniłam z pokoju hotelowego do pani O'Flaherty i poprosiłam, by podała mi pierwszą część adresu - „7GW, u p. Ludlowa” - i numer ulicy; nazwę zapamiętałam, bo wydała mi się zabawna: „North Dixie” - „Północne Południe”. Oksymoron prawie tak dobry, jak „muzyka country”. Mieszkając dwadzieścia kilometrów na północ od Miami Beach, Maureen musiała mieć łatwy dojazd do hoteli i klubów nocnych, w których pracowała jako kelnerka.

Widziałam już Manhattan na Zachodnim Wybrzeżu - na przedstawiającym nowojorską ulicę planie filmowym, na który zabrał mnie Vince - a teraz w Hollywood na Wschodnim Wybrzeżu szukałam śladów po Maureen O'Flaherty.

Znalazłam 1350 North Dixie na rogu McKinley Street (boczne ulice dochodzące do przecinającej Hollywood Dixie Highway zostały nazwane ku czci prezydentów od Waszyngtona do Coolidge'a, w porządku chronologicznym, patrząc od południa). Stał tam jeden z wielu porcelanowo białych, niewysokich bloków mieszkalnych o łączonych szarą zaprawą ścianach, jakie budowano przed dwudziestoma pięcioma laty. Okładzina była popękana i poplamiona; wpływ czasu, gorąco i intensywnie bombardujące budynki tropikalne ulewy zrobiły swoje. Przy wejściu, na aluminiowym składanym krześle z pasami parcianymi, w których splatały się białe i zielononiebieskie plastikowe włókna, siedział sześćdziesięcioletni mężczyzna. Jego strój pozwalał z niejakim trudem poznać w nim dozorcę: miał na sobie ciemnobrązowe spodnie od uniformu ze złotymi paskami na nogawkach i żółty T-shirt z napisem NIE DO WIARY, ŻE TO WSZYSTKO ZJADŁEM! Włosy, zaczesane na łysinę od jednego ucha w stronę drugiego,

tworzyły na jego głowie lśniący kask; co gorsza, zrobił sobie w nich blond pasemka. Ledwie weszłam na ścieżkę prowadzącą do bloku, poczułam zapach jego wody po goleniu, Hai Karate.

Po przyjeździe do Miami wynajęłam odlotowe niebieskie camaro i pojechałam do Burn, Baby, Burn, modnego butiku, oferującego cudne, eleganckie ciuchy, które nosząc, miało się wrażenie, że lada chwila same zsuną się z ciała. Ja wybrałam klasyczną sukienkę, w której jednak wyglądałam, jakbym włożyła ją tylko po to, by móc jak najszybciej z niej wyskoczyć. Dozorca wyraźnie się ożywił, kiedy podeszłam do niego, kołysząc biodrami.

- Gorąco dziś - powiedziałam z uśmiechem.

- Mam zimnego budweisera w lodówce - poinformował. Jezu. Było wópól do dwunastej, był co najmniej trzydzieści lat starszy ode mnie, powiedziałam ledwie dwa słowa, a mimo to liczył, że może coś z tego będzie.

- Tony jestem - dodał.

- Napilabym się, pewnie, ale... - westchnęłam - ...moglibyśmy zaczekać z tym do popołudnia? Teraz pracuję. - Wysunęłam biodro do przodu, jakby na podkreślenie swoich słów. - Jestem Jill. Ty tu wszystkiego pilnujesz, zgadza się?

Skinął głową.

- Można tak powiedzieć.

Zniżyłam głos.

- Pamiętasz Ludlowa z mieszkania 7GW? Mieszkał tu pod koniec lat pięćdziesiątych.

- I to dobrze. Rozmawiałem z nim jakąś godzinę temu.

Jak to się mówi na liturgii w kościele katolickim: bingo. Czterdzieści dolarów wystarczyło, by rozwiązać język Tony'emu Gebbii.

Ludlow z mieszkania 7G West miał na imię Kef i na podstawie jego wyglądu i luźnych rozmów, prowadzonych z nim przez ostatnie piętnaście lat, Tony przypuszczał, że są mniej więcej w tym samym wieku. Zagadką pozostawało, czym Kef się zajmował. Tony wiedział tylko, że jest fanatykiem wyścigów psów, chodził na nie pięć razy w tygodniu. Chodziłby siedem razy, ale w niedziele i poniedziałki tor był nieczynny, by dać odpocząć... nie, nie psom, obsłudze.

Tony odnosił czasem wrażenie, że Ludlow ma coś wspólnego z zakładami przyjmowanymi na wyścigach chartów. Możliwe, że był bukmacherem. W świecie przestępczości zorganizowanej gra na wyścigach psów jest jednym z najniższych szczebli, do prawdziwego hazardu ma się tak, jak podiatria do medycyny. Na Florydzie przyjmowano zakłady wzajemne, co oznaczało, że część wygranej trafiała do kieszeni kierownika toru i władz stanu, i trudno było wyobrazić sobie, by któregośkolwiek z wielkich graczy poruszyła wieść, że Burek ma niskie notowania w piątej gonitwie czy że właśnie wysterlizowano Ciapka.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Ludlowowi zaczęło się jakby lepiej powodzić, co zawdzięczał albo swojej dobrej passie na wyścigach, albo (jeśli rzeczywiście był bukmacherem) złej passie swoich klientów. Przestał korzystać z komunikacji miejskiej i kupił używanego buicka leSabre wielkości małego jachtu. Przynosił do domu mniej zakupów i częściej jadał na mieście. Później wracał z niedojedzonymi resztkami posiłku, zapakowanymi do toreb z nazwami takich lokali jak Embers czy Lobster Trap, najlepszych restauracji w mieście. W któreś Boże Narodzenie dał Tony'emu dwudziestodolarowy napiwek.

W tamtym okresie codziennie, od niedzieli do czwartku, wychodził z domu o ósmej rano, w słomianej panamie, lekkiej białej marynarce w pionowe niebieskie paski (Tony powiedział, że była z jakiegoś cienkiego, pomarszczonego materiału, uznałam, że chodzi o korę), niebieskiej, niewymagającej prasowania koszuli z krótkim rękawem, białych spodniach i białym pasku. Czasem miał też krawat. W poranki te zawsze nosił ciemne, lecznicze okulary (na wyścigi chodził w zwykłych, uważał bowiem, że w ciemnych mniej widzi). Zwykle pogwizdywał jakąś melodię, najczęściej „Lemon Tree”. W rękę trzymał szarą kopertę. Po półgodzinie wracał, wciąż pogwizdując. We wtorki, środy i czwartki wychodził ponownie po dziesięciu minutach, już swobodniej ubrany, w koszulkę polo i granatowe spodnie z poliestru, i szedł na wyścigi. W niedziele i poniedziałki, gdy tor był zamknięty, zostawał w mieszkaniu. Przez drzwi słychać było grający u niego telewizor; najczęściej oglądał wrestling, jai alai i baseball.

W piątki i soboty rano nie ruszał się z domu, dopiero koło jedenastej szedł prosto na tor wyścigowy, w swoim bardziej luzackim stroju.

Dobra passa nie mogła trwać bez końca. W roku 1960 Ludlow nie miał już buicka - sprzedał go, skarżąc się, że za dużo pali, by jeździć nim po mieście - i co dzień czekał na oddalonym o dwie przecznice przystanku przy Taft na autobus linii 24, który zawoził go na wyścigi. Nie wychodził już o ósmej, tylko o jedenastej, z kanapką w brązowej papierowej torbie. Rzadko pogwizdywał, praktycznie przestał jadać na mieście. Na wierzchu jego toreb z zakupami zaczęły się pojawiać gotowe dania Hamburger Helper. Mówił, że do ich przyrządzenia mięso tak naprawdę wcale nie jest potrzebne, a już na pewno nie w takiej ilości, jaką podawali na opakowaniu; wystarczy trochę oleju Mazola i margaryny.

Tony nic nie wiedział o rodzinie Ludlowa. Przychodzące do niego listy - przynajmniej te, które Tony widział - wyglądały zwyczajnie i na ogół zaadresowane były do „lokatora”. W swoich najlepszych latach Ludlow prenumerował „TV Guide”, później jednak uznał, że program drukowany

w gazetach codziennych mu wystarczy. Przesyłki, które nie mieściły się w skrzynce, zostawiane były u Tony'ego, on jednak nie przypominał sobie, by Ludlow kiedykolwiek dostał coś niezwykłego. Co najwyżej nowe czeki z Florida First National Bank, przychodzące raz na pięć lat. Kiedyś listonosz przyniósł paczkę z Marboro Books, która była na wpół otwarta, dzięki czemu Tony mógł zobaczyć jej zawartość. Jedna książka nosiła tytuł „Jak wygrać w zakładach wzajemnych”, drugą był album fotograficzny „Sztuka aktu” z dużą liczbą kolorowych zdjęć.

Wyciągając z Tony'ego Gebbii informacje o Kefie Ludlowie - człowieku, który nigdy nie brał urlopu, nie przyjmował gości i był w gruncie rzeczy obcy nawet dla najbliższych sąsiadów - czułam się jak Dracula wysysający krew z hemofilika. Wreszcie uznałam, że temat został wyczerpany, wyjęłam dwie następne dwudziestki i wyjaśniłam Tony'emu, że o wiele bardziej interesuje mnie współlokatorka Ludlowa z końca lat pięćdziesiątych.

Tony lekko zmrzął oczy.

- Ta ruda? - Kiedy skinęłam głową, wyraźnie się rozochocił. - Ależ z niej była dupa. Cały dzień mogłaby mi siedzieć na twarzy i słowem bym nie pisnął. Kiedy przeczytałam w gazecie, że umarła w New Jersey, powiedziałam: „Jeśli nikt nie zgłosi się po ciało, dajcie je mnie”. - Uśmiechnął się łobuzersko, zachwycony swoim błyskotliwym poczuciem humoru.

Miałam ochotę napluć mu w twarz, ale musiałam wydobyć z niego wszystko, co wiedział. Spytałam, jak długo mieszkała z Ludlowem.

- Niedługo i niezbyt często. To chyba nie był stały układ. Nie wiedziałam, co ich łączy. On był... sam nie wiem, że dwadzieścia lat starszy od niej. I nawet wtedy nie latał za spódniczkami. Ma nos jak ten komik, Durante. Zdaje się, że pozwalał jej mieszkać u siebie i nic sobie nie używał, choć chciał, żebyśmy myśleli, że jest inaczej. Musiała wracać do domu o drugiej, trzeciej w nocy, bo choć raz czy dwa razy w tygodniu widziałem, jak wychodziła, zwykle późnym popołudniem, to prawie nigdy nie spotykałem jej, kiedy wracała. Tylko czasem, kiedy przychodziła później niż zwykle, wynosząc rano śmieci, mijałem się z nią w drzwiach. Wtedy żartowała, że oboje jesteśmy umundurowani. - Wskazał na swoje spodnie. - W tamtych czasach nosiłem pełny komplet, koszulę, przypinaną muszkę, nawet marynarkę, jeśli nie było za gorąco. Ona zawsze wracała do domu w hotelowym uniformie, bo pracowała w kilku hotelach i łatwiej jej było trzymać wszystkie ubrania robocze w jednym miejscu. Dała spodnie do przeróbki, tak by ciasno opinały jej tyłek, potem, żeby go odsłonić, poskracała żakiety, a na koniec poprzesztywała guziki żakiету i koszuli, tak żeby pokazać trochę cycków.



Domyśliłam się, że Maureen była świadoma swojej urody, a jej uniformy robocze były standardowe, projektowane z myślą o mężczyznach. Doświadczenie z pewnością nauczyło ją, że faceci dają atrakcyjnym kobietom wyższe napiwki niż tłustym kluchom. Prawdopodobnie opłaciło jej się w siebie zainwestować, by potem zgarniać pokaźne sumki od grubych ryb i gwiazd z Miami Beach, które obsługiwała.

Tony Kanalia paplał dalej.

- Bardzo mnie lubiła. Mogłoby między nami coś być, ale nasze rozkłady dnia za bardzo się różniły.

O tak, oczywiście. Wszystko przez te rozkłady dnia. Gdyby nie one, Tony raz-dwa dobrałby się do przerobionych przez krawca gaci Maureen. Ten sam problem miał z Kim Novak. Ech, gdyby tylko nie mieszkali na przeciwległych krańcach kraju!

Do Maureen przyszło parę listów na adres Ludlowa; Tony zapamiętał to, bo zdezorientowany listonosz spytał go, czy pod 7GW mieszka jakaś O'Flaherty. Przyznał, że w odpowiedzi burknął: „Tak, ale to nie znaczy, że Ludlow ją wali”, która to informacja prawdopodobnie nie była niezbędna pracownikowi poczty. Maureen nie dostawała jednak wielu listów; te, które Tony widział, wysłane zostały z New Rochelle w stanie Nowy Jork.

Bywało, że przez tydzień czy dwa w ogóle jej nie widywał. Wtedy pytał o nią Ludlowa, a ten zawsze udzielał mu podobnych odpowiedzi. Mówił coś w stylu „Szczęściarz ze mnie, Tony”, albo „Piękna jest, co?”. Tony'emu niewiele to wyjaśniało, ale Ludlow miał dzięki temu swoją chwilę chwały.

Kiedy umarła, w „Miami Herald” opublikowano jej fotografię w uniformie z Versailles, z podpisem „Maureen O'Flaherty”. Tony wyznał, że kiedy ją zobaczył, pomyślał: „No, teraz to już jej nie przelecę” i, choć zabrzmiało to makabrycznie, był to najzabawniejszy komentarz do śmierci tej biedaczki, jaki słyszałam.

Ludlow najwyraźniej bardzo to przeżył. Przez prawie miesiąc niemal nie wychodził z mieszkania. W końcu jednak zew chartów okazał się silniejszy. Od tamtej pory nieustannie kursował między McKinley Street a Hallandale Beach, gdzie znajdował się tor wyścigowy. W lecie, kiedy nie organizowano wyścigów, można było grać tam w pokera czy domino, ale Ludlowowi szczególnie to odpowiadało, wolał kręcić się koło Gulfstream Park, pobliskiego toru wyścigów konnych, gdzie co roku organizowano Puchar Założyciela. Obstawiał tylko zwycięzców dwóch gonitw i prawie nigdy nie wygrywał.

To, jak zarabiał na zaspokojenie swoich skromnych potrzeb, piętnaście lat po śmierci Maureen wciąż pozostawało tajemnicą. Może na wyścigach psów szło mu dość dobrze, by do końca życia stać go było na Hamburger Helpery.

Spytałam Tony'ego, czy na torze wyścigów jest jakieś miejsce, gdzie mogłabym znaleźć Ludlowa. Odparł, że z rozmów z nim wie, że tak jak na wyścigach konnych, przed rozpoczęciem gonitw, o drugiej, wyprowadza się charty na padok. Ludlow stara się zawsze przy tym być. Uważa, że na podstawie tych krótkich oględzin potrafi odgadnąć, które psy są w najlepszej formie.

- Jak mówiłem, nie można pomylić go z nikim innym. Ma nos jak Durante. I gęste czarne włosy, nietypowe u gościa w jego wieku, to pewnie tupecik. Wystarczy, że spytasz o niego kogokolwiek z obsługi. Wszyscy go znają.

Podziękowałam mu za to, że poświęcił mi czas, i dałam jeszcze jedną dwudziestkę. Uśmiechnął się uwodzicielsko.

- Co z tym budweiserem? - spytał.

Pokiwałam głową z entuzjazmem.

- Dobry jest, nie?

Jak dla mnie, był to niby-tor wyścigowy, coś jak zabawkowa kuchenka z miniaturowymi pojemnikami ciasta w proszku, z którego można zrobić babeczkę w piecyku podgrzewanym żarówką. Dwie toalety - męska i damska - jeden bar i trzy kasy biletowe, jak na dworcu kolejowym w Utica. Bieda z nędzą. Jeszcze nędzniej prezentowały się nieszczęsne psy.

Charty chowano tak, by były szybkie, zdesperowane, chude i, co najważniejsze, wygłodzone. Głód w pewnym stopniu gwarantował uzyskanie pozostałych pożądanых cech. Był tylko jeden kłopot: niedożywione psy miały mniej sił. Ich niedobór nadrabiała desperacją, rozpaczliwym dążeniem do zdobycia nagrody, jaką był pokarm.

Znalazłam Ludlowa w padoku, obserwującego uczestników dzisiejszego i jutrzejszego wyścigu. Wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Tony, a jego tożsamość potwierdził senny ochroniarz.

Ludlow pracowicie notował coś na programie wyścigów, od czasu do czasu zaglądając na poprzednie strony, by sprawdzić rodowód takiej czy innej suki. Wyobraźcie sobie Waltera Matthau bez krzty uroku osobistego, a zobaczycie Kefa Ludlowa: posępnego mężczyznę z gęstwą czarnych włosów, których nie był pierwotnym właścicielem, wydatnym nosem à la Durante dla ubogich i świdrującymi oczkami, tak zaropiałymi, że zdawało się, iż wzbierają w nich łzy. A może wcale nie były zaropiałe.

Wysoki, miał chyba ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale zgarbione ramiona i cofnięta pierś ściągały go do ziemi. Nie był gruby, lecz jego brzuch i uda zdawały się pochodzić od innej, nieco cięższej osoby.

Krążył wśród chartów, jakby był jurorem na pokazie psów w Madison Square Garden. Parę razy miałam wrażenie, że wacha, czym im pachnie z

pysków, jak matka, która sprawdza, czy jej nastoletni syn aby nie pił alkoholu. Głaskał je z serdecznością handlarza niewolników, szczypiącego piersi ponętnej Nubijki. Niektórzy właściciele psów patrzyli z dezaprobatą na to, jak traktuje ich podopiecznych, ale stali bywalcy pokroju Ludlowa najwyraźniej cieszyli się tu specjalnymi przywilejami.

Poszłam za nim na zadaszoną trybunę główną, która, chwała Bogu, była klimatyzowana. Tylną ścianę pomalowano na okropny jasny róż, przecięty niebieskimi i zielonymi pionowymi pasami, które z biegiem lat wyblakły na słońcu. Wszyscy znali Kefa i być może dlatego trzymali się od niego z daleka. Ja, na szczęście, nie znałam go wcale, więc bezceremonialnie klapnęłam obok niego. Wciąż niezłe wyglądałam w swojej nowo zakupionej kreacji, on jednak był wyraźnie niezadowolony, że mu przeszkadzam.

- Pan Ludlow? - spytałam.

Utkwił wzrok w programie wyścigów.

- Nie mam dla pani żadnych pewniaków. Jeśli szuka pani porady, proszę kupić „Miami Racing Gazette”, to ośmiostronicowy dziennik, dostępny w kiosku z papierosami na prawo od wejścia. Kosztuje dolara. - Spojrzał na mnie i jego wykrzywione złością rysy nieco złagodniały, zapewne na widok moich zeszywniałych z zimna sutków, odcinających się na cienkim materiale sukienki. - Przepraszam - dodał.

- Panie Ludlow, jestem dziennikarką. - Wyjęłam z torebki małą plastikową koszulkę wielkości jednej czwartej strony „Cosmopolitana”. W zbieraniu materiałów dotyczących Vince'a i Lanny'ego pomagać mi miał złożony we czworo list, z którym się nie rozstawałam, napisany przez Connie Wechsler na papierze firmowym Neumana i Newberry'ego i stanowiący potwierdzenie, że piszę o duecie komików książkę na zamówienie poważnego wydawnictwa. Jednak przy wszystkich innych wywiadach to zawartość plastikowej koszulki służyła mi jako „listy przewozowe”, tymczasową wiązę, dzięki której mogłam nieprzygotowana dostać się na nieznaną terytorium. Wyjęłam z niej pięć błyszczących, złożonych kartek, były to pierwsze strony wywiadów, które przeprowadziłam, i artykułów, które napisałam - ich bohaterami były znane osobistości, dobrane ze względu na różnorodność: Edgar Winter, Viveca Lindfors, Cesar Chavez, Buckminster Fuller, Judy Carne. Chyba każdy znał przynajmniej jedno z tych nazwisk.

Kef przejrzał moją kolekcję.

- Panno O'Connor, skoro zna pani wszystkich tych sławnych ludzi, to czemu rozmawia pani ze mną? - spytał podejrzliwie. - Ja nie znam nikogo. Schowałam wyćinki.

- Piszę serię artykułów do pisma, które wkrótce zacznie się tu ukazywać, „Hooray for Hollywood”. Każdy z nich ma przedstawiać ciekawostki związane z tą okolicą, jej wczoraj i dziś. Wyścigi chartów, polityków, którzy tu zaczynali kariery, sławne osobistości, co się tu przeniosły na emeryturę... rozumie pan, o co chodzi. Jest pan lokalną legendą, panie Ludlow. Podobno wie pan o tym torze więcej niż osoby, które nim zarządzają.

Wiedziała, że mówiąc to, niewiele ryzykuje. Trudno znaleźć kibica, który uważałby, że władze jego klubu znają się na sporcie i kochają drużynę tak jak on.

Ludlow pociągnął nosem.

- Właściciele doprowadzają ten tor do ruiny. Proszę się rozejrzeć. - Na trybunie głównej siedziało może ze trzydziestu ludzi, w większości po sześćdziesiątce. - Pierwsza gonitwa zaczyna się za piętnaście minut. Pewnie, przyjdzie jeszcze trochę osób, ale tłoku nie będzie. - Odłożył program wyścigu. - No to jaka będzie teza pani artykułu? Że wyścigi psów są okrutne? Stara śpiewka. Nic na ten temat pani ze mnie nie wyciągnie.

- Nie, panie Ludlow, wręcz przeciwnie, myślę, że wyścigi psów są piękne.

Uniósł brwi.

- Tak? Jak to?

W klubie dyskusyjnym, do którego zapisałam się na studiach, najlepsze było to, że człowiek musiał umieć na gorąco wypowiedzieć się za jakąś kwestią i przeciw niej, z równą swadą i przekonaniem. Prawdziwe poglądy nie były istotne. Liczyła się tylko argumentacja.

- Panie Ludlow - powiedziała, że zapalem z punktu wyjścia mojego artykułu jest taki, że wyścigi psów pod każdym względem przewyższają wyścigi konne. Konie są pięknymi zwierzętami, co do tego nie ma wątpliwości. Niestety, do najmądrzejszych nie należą. W końcu nie uważamy, że krowy są mądre, prawda? A koń to w gruncie rzeczy krowa, która szybko biega i ładnie wygląda. - Przed oczami stanął mi obraz pojemników z homogenizowanym końskim mlekiem i na chwilę mnie zemdlilo. - A pies? Pies jest mądrym zwierzęciem. Wie, że uczestniczy w wyścigu. Ma swoją dumę, chce być lubiany, pragnie wygrać. Widział pan konie po zakończonym wyścigu? Czy ten, który zajął piąte miejsce, wygląda, jakby okrył się hańbą? Nie. Ale pies... pies wiedziałby, co go spotkało, panie Ludlow. Pies zwiesiłby łeb ze wstydem. - Rozsiałałam się wygodnie, zadowolona ze swojej zaimprovizowanej przemowy.

Ludlow spojrział na mnie z niedowierzaniem.

- Psy... psy to głupie, żalosne zwierzęta, panno O'Connor. Hitler miał psa. To pokazuje, jakimi te stworzenia są znawcami ludzkich charakterów.

Dając bezpiecznemu psu stek, zyskuje się jego dozgonną przyjaźń do chwili, kiedy steki się skończą, a na horyzoncie pojawi się nowy żywiciel. Te zwierzęta za kawałek mięsa zrobiłyby wszystko. A co się tyczy ich głupoty... charty gotowe są przez większość życia pięć, sześć razy dziennie uganiać się po tym samym torze za metalowym, pozbawionym zapachu królikiem. Robią to nie dlatego, że są głodne sławy, pochwał, czy czułości. Nie, są po prostu głodne. - Uśmiechnął się cierpko. - Ale jeśli sądzi pani, że wypisując romantyczne bzdety, które mi tu pani wciska, można przedłużyć o kilka lat żywot tej nędznej budy, to proszę bardzo. Może pani włożyć swoje słowa w moje usta i powołać się na mnie. Proszę tylko nie przekreślić mojego nazwiska.

Zapewniłam, że to wykluczone, i przeliterowałam je. Wyglądał na zadowolonego. Staralam się sprawić, by poczuł się jak lokalna legenda, miejscowy Jack Dempsey czy inny gwiazdor. Śmiałam się z tego, co mówił, choć nie próbował żartować, a kiedy skomplementowałam jego poczucie humoru, stwierdził: „Cóż, nie można traktować życia zbyt poważnie, no nie?”. Charles Dickens podobno nie pozwalał nikomu być nudziarzem; ja nie zamierzałam pozwolić Kefowi Ludlowowi być zrzędą. Możliwe, że już dawno żadna dwudziestokilkuletnia dziewczyna nie była dla niego miła.

Treser, przezornie włożywszy skórzane rękawice, wprowadził psy do boksów na linii startu. Dzielące je ścianki były na tyle wysokie, że charty nie mogły się widzieć, ale skowyczały przez ohydne kagańce, jakby prowokowały się nawzajem, a może wołały: „A gdyby tak tym razem po prostu olać tego królika? Co wy na to, chłopaki?”.

Zakładano im kagańce po to tylko, by chronić ich nosy i pomóc sędziom wskazać zwycięzcę w razie, gdyby finisz był wyrównany, twierdziła dyrekcja. Jasne.

Padł strzał, boksy otworzyły się i psy wystrzeliły naprzód. Chart wyraźnie widzi na odległość kilkuset metrów, uczestnikom tego wyścigu nigdy jednak nie dane było sięgnąć wzrokiem tak daleko. Nie wolno im było nawet uganiać się za samochodami, z których wiele pewnie by dopadły.

Kiedy na prowadzenie wysunął się pies w czerwonej koszulce z numerem pięć, Ludlow nachylił się do mnie.

- To faworyt - powiedział - ale zaraz osłabnie; proszę patrzeć na trójkę.

Numer trzy miał szafirową koszulkę i w tej chwili był na czwartym miejscu. Wabił się Proud Fella. Kiedy psy wyszły na ostatnią prostą, trzydziestooosobowa widownia ożywiła się, przynajmniej na tyle, na ile ożywić się może widownia, której przytłaczająca większość skorzystała ze zniżki dla emerytów. Charty pędziły z prędkością pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu

kilometrów na godzinę. Jeden z nich warknął, jakby chciał ostrzec pozostałe, że zbliżają się do mety. Proud Fella zgodnie z zapowiedzią wyrwał do przodu, ale kilku jego rywali przyspieszyło jeszcze bardziej. Ludlow postawił na kolejność Bobby's Baby, Proud Fella, ale ponieważ Proud Fella zajął dopiero piąte miejsce, fakt, iż Bobby's Baby wygrał, był bez znaczenia.

Ludlow zdawał się nie mieć nic przeciwko temu, by rozmawiać ze mną w trakcie gonitw. Odniosłam wrażenie, że wszystko, co najważniejsze, działo się przed ich rozpoczęciem, kiedy szacowano szanse na wygraną, i po zakończeniu, przy podliczaniu wygranych. Sama gonitwa była tylko czymś w rodzaju ruchomej dekoracji.

Po trzecim wyścigu kupiłam kielbaski i frytki dla nas obojga i spytałam go, co sprawiło, że w ogóle zainteresował się tym sportem.

- Nie interesuję się ani tym, ani jakimkolwiek innym sportem - odparł, nie odrywając oczu od tablicy wyników. - Nie lubię sportu. Lubię hazard. To mnie właśnie pociąga, hazard. Tyle że kości, ruletka, karty, automaty nie mają świadomości, nie wiedzą, co robią, opierają się na czystym rachunku prawdopodobieństwa. Dlatego nie można ich za nic winić. Winić można tylko siebie. Inaczej jest w futbolu. Tam za porażkę odpowiada rozgrywający albo trener, ludzie z krwi i kości, i kiedy tracę przez nich pieniądze, krew mnie zalewa. To samo jest z baseballlem, hokejem, koszykówką: ktoś robi mnie w konia, a tego nie znoszę, bo i tak mam z tym do czynienia na co dzień. Nawet kiedy gram na wyścigach, mój los jest w rękach dżokeja. Jakiś kurdupel z Dominikany daje plamę, a ja jestem do tyłu. Kto by się nie wkurzył? Kiedy jednak traci się pieniądze tutaj, na chartach... to wszystko wina jednego wynędzniałego kundla. - Zaśmiałam się z jego żartobliwego wywodu i on też parsknął śmiechem. - To właśnie jest najlepsze w wyścigach chartów. Nie ma dżokejów ani trenerów... Jeśli przegrywasz, to tylko przez jednego durnego psa.

Uśmiechnęłam się ciepło i zapisałam sobie jego słowa, jakby były jedynym przykazaniem.

- Doskonale pan to ujął - zagruchałam, a jego twarz rozjaśniła się o tyle, o ile rozjaśnić się może zepsuta żarówka.

Tego dnia poszło mu całkiem nieźle. Trafił trójkę, a potem dwójkę w dwunastej, ostatniej gonitwie „popołudniówki”, jak się to nazywa, a także zwyciężając czwartej. Choć stawiął niewielkie sumy, wygrał kilkaset dolarów. Coś mi mówiło, że nieczęsto mu się to zdarza.

Upojeni sukcesem, poszliśmy do Schroniska, ciemnego baru przy torze wyścigów. To niesamowite, jak można oświetlić całą salę przy użyciu szafy grającej, reklam piwa i lampki ustawionej przy kasie. Gdyby było tu choć trochę jaśniej, trzeba by powycierać stoły i odkurzyć wykładzinę.

Przez jakiś czas rozmawialiśmy o świątku miłośników wyścigów psów na Florydzie. Ludlow ze szczególnym oburzeniem wyrażał się o torze w Flagler. Temat był pasjonujący, jak się zapewne domyślacie, ale mimo to, w świetle zapalanej przeze mnie świecy, osłoniętej abażurem, sumiennie zapisywałam to i owo w jednym z notesów w oprawie ze spiralą, które zawsze noszę w torebce. Najbardziej lubię takie, w których spirala jest u góry, bo wtedy dłoń nie ociera mi się o metal przy lewym marginesie. Jak dotąd, przy pracy nad tą książką zapisałam ich ze trzydzieści.

Skończyłam robić notatki po jego trzecim drinku; sama po wypiciu jednej szkockiej przerzuciłam się na 7 Up. Ku wielkiemu zadowoleniu Ludlowa zapłaciłam rachunek, by, jak wyjaśniłam, choć w ten sposób odwdziżyć się za wszystkie cenne przemyślenia, którymi był łaskaw się ze mną podzielić. Wreszcie nadeszła najważniejsza chwila. Poprosiłam, by podał adres, to wyślę mu gotowy artykuł. 1350 North Dixie Highway, mieszkania 7GW, odparł.

Przybrałam twarz w wyraz kompletnego osłupienia, z nadzieją, że wypadnie to dostatecznie przekonująco.

- A to dopiero - wyjąkałam ze zdumieniem.

- O co chodzi? - spytał ze zdziwioną miną.

Powoli pokręciłam głową.

- Jeśli się nie mylę... - Wygrzebałam z torebki drugi notes, przygotowany specjalnie na tę okazję. Miał jaskraworóżową okładkę. Otworzyłam go na stronie z adresem, który przez telefon podała mi matka Maureen, i pokazałam mu. - Proszę zobaczyć. Pan ma dokładnie taki sam adres. - Schowałam notes. - W jednym z następnych artykułów z tej serii zamierzam napisać o Maureen O'Flaherty, wie pan, tej dziewczynie, której ciało znaleziono w pokoju hotelowym tych komików, jak im tam...

- Collins i Morris - powiedział.

- O właśnie. Przypadkiem dowiedziałam się, że mieszkała tu rok czy dwa przed śmiercią, a adres, który dostałam od jej matki, jest dokładnie taki sam jak pański. To chyba największy zbieg okoliczności, jaki... to się nazywa upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu! To znaczy... skoro już tu pan jest, moglibyśmy...? Mówił pan, że od prawie dwudziestu lat mieszka pod tym samym adresem, więc musiał ją pan znać.

Wlał w siebie już trzy wódki z sokiem z limy, zaproponowałam, że postawię mu czwartą. Zgodził się, ale ledwie złożyłam zamówienie, oznajmił:

- Z nikim o niej nie rozmawiam.

Powiedziałam, że nie powołam się na niego w artykule dla „Hooray for Hollywood” (co było łatwo obiecać, bo takie pismo nie istniało) i że jeśli

nie chce, nie musi mówić mi wszystkiego (miałam nadzieję, że nie pamiętał, iż prawo to przysługuje każdemu amerykańskiemu obywatelowi). Zapewniłam, że chodzi mi tylko o to, by lepiej poznać przeszłość Maureen - jakby cała ta sprawa jego nie dotyczyła - i że pewnie mogłabym uzyskać te informacje od innych lokatorów... Na te słowa zmienił się na twarzy; być może uznał, że lepiej będzie, jeśli przedstawi mi swoją wersję wydarzeń, zanim zrobi to dozorca Tony.

(Zdawałam sobie sprawę, że jeśli Kef Ludlow i Tony kiedyś zaczną o mnie rozmawiać, zrozumieją, że obu ich wodziłam za nos, ale nie przejmowałam się tym, bo nie zamierzałam więcej mieć z nimi do czynienia).

Ludlow dostał czwartego drinka, upił łyk i przekazał mi drobną część tego, co wiedział o Maureen.

Poznał ją tu, dosłownie, w barze Schronisko. Pracowała jako barmanka, dwa popołudnia w tygodniu. Rozmawiali ze sobą. Była w mieście od niedawna, dopiero co skończyła studia, nie miała pieniędzy, pracowała w kilku hotelach w Miami Beach. Ciężko było dostać robotę w hotelu, szczególnie kobiecie, ale Maureen z góry zapewniała przyszłych szefów, że nie ma nic przeciwko pracy na nocnej zmianie, od jedenastej w nocy do rana. Czasami, w poniedziałki i wtorki, całymi godzinami nikt niczego nie zamawiał, a obsługując gości, można było przyzwoicie zarobić tylko na napiwkach; ona jednak traktowała stracony czas jako inwestycję. Dyrekcja doceniała nowych pracowników, którzy nie uskarżali się na swój los; ktoś musiał pracować na najmniej dochodowych zmianach, a że starsi stażem pracownicy mieli na utrzymaniu rodziny, ciężar ten spadał na barki nowicjuszy. Z czasem i oni mogli osiągnąć status weteranów. Musieli tylko zachować cierpliwość.

Maureen była słodka, ale i bystra; nie trzeba jej było dwa razy powtarzać zamówienia, wszystko dostarczała, jak należy. Poza tym była ładna, odznaczała się ciepłą, naturalną urodą, co odróżniało ją od tabunów tlenionych blondynek, które na ogół starały się o tego rodzaju posady. Miała melodyjny głos, nie mówiła jak niedouczona prostaczka. Skończyła studia. Nie żuła gumy w pracy. Krótko mówiąc, miała klasę, i dyrekcja zdawała sobie sprawę, że taki pracownik to skarb. Hojnie szastający pieniędzmi goście często przywiązywali się do hotelu tylko dlatego, że spodobał im się taki czy inny kelner lub recepcjonista.

Wkrótce dyrektorzy hoteli zaczęli wyznaczać ją do obsługi gości, z którymi należało się obchodzić w rękawiczkach: gwiazd, rekinów giełdy (floydzkie Hollywood nazywano „Wall Street Południa”), developerów... Wymarzona sytuacja, by znaleźć sobie nadzianego męża.



- Ale jej nie o to chodziło - zapewnił Ludlow. - Była niezależna, chciała tylko się dorobić, póki miała okazję. Mówiła, że jak odłoży trochę pieniędzy, zajmie się pisaniem i nie będzie robić nic innego. Praca na etacie to nie dla niej. Największy kłopot miała ze znalezieniem dachu nad głową. Widzi pani, kiedy pracowała na nocnej zmianie, mogła się przespać w hotelu. Nikt nie robił z tego problemu. W każdym z ekskluzywnych hoteli w Miami są dwa czy trzy pokoje, których dyrekcja woli nie wynajmować: to te z widokiem na kontener ze śmieciami lub wywietrznik, znajdujące się na wprost windy czy nad salą balową. Po co narażać się na skargi niezadowolonych gości? Szkoda zachodu. Dlatego kiedy jakaś pokojówka, jak Maureen, czy inni pracownicy mieli dyżur o niehumanitarnej porze, jeden z tych niechcianych pokoi był do ich dyspozycji. Jeśli między północą a piątą rano był mały ruch, Maureen mogła tam pójść i zdrzemnąć się, dać nogom odpocząć, pooglądać telewizję. Jeśli ktoś zamawiał coś w środku nocy, wystarczyło, by recepcjonista zadzwonił do jej pokoju, i zanim stek i jajka wylądowały na grillu, ona już czekała w kuchni z nakrytym wózkiem. Dyrekcja hotelu wymagała od niej tylko, by posłała łóżko i zostawiła pokój w takim stanie, w jakim go zastała, żeby rano oszczędzić sprzątaczkom roboty.

Ludlow przesunął palcem po krawędzi szklanki.

- Dlatego potrzebowała mieszkania tylko na trzy, może cztery dni w tygodniu, kiedy albo wszystkie pokoje w hotelu były zajęte, albo pracowała popołudniami w takich miejscach, jak to, albo, Boże ucho, chciała wziąć sobie wolne. Oczywiście, jak każda kobieta, musiała mieć gdzie trzymać swoje, wie pani...

- Ubrania - odpowiedziałam.

- No właśnie. Zaproponowałem jej więc, żeby wynajęła część mieszkania ode mnie. To tylko kawalerka, ale małżeństwo, które mieszkało tam przede mną, po narodzinach dziecka przedzieliło ją na pół plastikowym parawanem. Urządzili za nim pokój dziecięcy. Powiedziałem Maureen: „Położysz sobie tam materac, będziesz miała swój kąpiel, prywatność i adres do korespondencji”. Nie jestem jakimś tam strojnisiem, więc zajęła też większość garderoby.

Wzięłam rachunek od tlenionej blondynki, żującej gumę, i obrzuciłam go wzrokiem.

- I co pan z tego miał?

- Trzydzieści dolarów tygodniowo. To dla mnie wiele znaczyło. Mogłem sobie pozwolić na parę luksusów.

- I nic poza tym?

Jego reakcja na widok moich sugestywnie uniesionych brwi była bardzo ciekawa: początkowe oburzenie powoli przeszło w zuchwałą dumę.

- Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby łączyło nas z Maureen coś więcej niż tylko umowa najmu. Miałem wtedy czterdzieści parę lat i wyglądałem młodo. Może nie byłem zbudowany jak ratownik, ale byłem dość szczupły i wysportowany.

Zabarwiłam swój głos nutą podziwu.

- I do dziś to panu zostało. Szczerze mówiąc, gdybym świeżo po studiach znalazła się w obcym mieście i pierwszy raz w życiu musiała radzić sobie sama, byłabym wdzięczna losowi za pomoc kogoś mądrzejszego, lepiej poinformowanego, kogoś, kto posłużyłby mi radą, znałby to miasto, wiedział, co w nim należy zobaczyć i gdzie można zabalować. - Chyba pierwszy raz w życiu użyłam słowa „zabalować” i nie miałam zielonego pojęcia, z jakiego zakamarka pamięci je wygrzebałam. - Jestem pewna, że każda kobieta w moim wieku cieszyłaby się z towarzystwa kogoś, z kim można odbyć inteligentną rozmowę.

Skinął głową.

- O tak, rozmawialiśmy. W niektóre wieczory przed jej wyjściem do pracy oglądaliśmy razem telewizję. „Make Room for Daddy” z Dannym Thomasem. Bardzo nam się to podobało. Jednak tak, jak pani mówi, najczęściej po prostu rozmawialiśmy.

Kelnerka przyniosła resztę i odsunęła się od stolika.

- Nie, nie - powiedział Ludlow, kiedy zaczęłam grzebać w portfelu. - Ja zostawię napiwek. - Położył na stoliku banknot pięciodolarowy i strzelił palcami na kelnerkę. - Napiwek! - krzyknął. - Ode mnie.

Wstałam od stolika.

- Maureen na pewno wiele się od pana nauczyła.

- Na przykład pisania - powiedział z nieskrywaną dumą. - Jasne, chodziła do tego tam Hunter College na kursy, na których uczyli ją, jak zostać nowym Szekspirem czy Silasem Marnerem. - Nie chciało mi się zwracać mu uwagi, że Silas Marner nie był pisarzem. - Nie miała jednak zielonego pojęcia, jak to wygląda w praktyce. I tu ja mogłem jej pomóc. - Uśmiechnął się. - Robię w tej branży, wie pani. Proszę, zaraz pani pokażę.

Wychylił resztę wódki o cukierkowym smaku, wstał i oparł się dłonią o stół, by nie stracić równowagi. Chwiał się lekko, jakby cztery drinki odłożyły się tylko po jednej stronie jego ciała. Zjechaliśmy schodami ruchomymi na dół. Trwała przerwa przed wieczornymi wyścigami, właśnie wychodzili ostatni widzowie popołudniowych gonitw. Podeszliśmy do kiosku z papierosami.

- Tak, panie Ludlow, czym mogę służyć? - spytał krępy facet o błyszczących od potu wargach.

Ludlow wskazał szereg gazetek z typami na wyścigi, przyczepionych klamerkami do sznurka.

- Daj „Gazette”, Lester.

- Nie, to wczorajszy numer, panie Ludlow. Typy na wczorajszy wieczór i dzisiejsze popołudnie.

Ludlow pokręcił głową nad tym niewiernym Tomaszem.

- Daj ją, Lester.

Lester zrobił urażoną minę.

- Jeśli tak panu na niej zależy, sprzedam ją za siedemdziesiąt centów. Tyle oddaję dystrybutorowi za każdy nieodesłany numer.

Ludlow cisnął mu dolara, odebrał resztę i zaprowadził mnie do pucybuta urzędującego po drugiej stronie dwojga drzwi do ubikacji, na których wisiały tabliczki BURKI i SUKI. Na jednym z dwóch krzesełek drzemał Latynos w rozpiętej kolorowej koszuli, spod której wylał się podkoszułek i okrągły brzuch. Na czole miał ukośną bliznę, która przecinała dwie poziome zmarszczki, nadając mu wygląd ofiary Zorro.

Ludlow lekko klepnął go w kolano.

- Buty czyścić, Pancho - powiedział.

Miałam szczerą nadzieję, że to prawdziwe imię, ale jakoś w to wątpiłam. Pancho zwlókł się z krzesła i Ludlow zajął jego miejsce. Dał mi znak, żebym usiadła obok niego. Wgramoliłam się na sąsiednie krzesło. Rąbek sukienki podjechał mi do połowy uda, co musiało sprawić czyścibutowi nie lada frajdę. Jeśli w peep-show za taki pokaz płaci się dwadzieścia pięć centów, to miałam u niego gratis pucowanie sześciu butów i jeszcze trochę, a będę mogła zażądać zaimpregnowania tych zamszowych.

Pancho podwinął mankiety u spodni Ludlowa.

- Zawiań za kolana, dobrze? - powiedział mój towarzysz.

Pancho uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową, ale nie wykonał polecenia.

- Aha, i wysmaruj mi buty masłem orzechowym, co? - dodał Ludlow.

Pancho skwapliwie przytaknął z tym samym szerokim uśmiechem.

Ludlow odwrócił się do mnie.

- Nie zna angielskiego. A zatem jest pani dziennikarką, przestrzega kodeksu etyki dziennikarskiej. Jeśli ktoś mówi pani coś nieoficjalnie, nie może pani tego upublicznić, zgadza się?

Spojrzałam prosto w jego załzawione oczy.

- Jeszcze nigdy nie ujawniłam anonimowego źródła, panie Ludlow. Nigdy, przynigdy. - Mówiąc ściśle, żadne z moich źródeł nie było anonimowe; wszystkich informatorów znałam osobiście, z niektórymi byłam nawet po imieniu. - Jeśli mi pan nie wierzy, proszę przejrzeć artykuły, które panu pokazałam.

W jego pustym spojrzeniu błysnęły jasne ogniki.

- Potrafi pani dochować tajemnicy?

- Nie puszczę pary z ust - powiedziałam śmiertelnie poważnym tonem. Na szczęście nie piszę ustami.

Otworzył „Gazette” składającą się z dwóch złożonych na pół i zszytych arkuszy różowego papieru. Na jednej ze środkowych stron wskazał rubrykę, nad którą widniała karykatura Hindusa w turbanie. TAKO RZECZE SWAMI!, głosił imponujący nagłówek.

Kiedy Pancho zajął się drugim butem, Ludlow pokazał mi tekst pod nagłówkiem i wyjaśnił:

- Swami jest najlepszym znawcą wyścigów psów na Florydzie. Jak dotąd, jego typy sprawdzały się w czterdziestu siedmiu procentach.

- To dobrze?

- Najlepsi baseballiści nie mają takiej średniej. Proszę zobaczyć, jakie były typy Swamiego na to popołudnie.

Rzuciwszy na nie okiem, zauważyłam, że Ludlow obstawiał wyścigi zgodnie z zaleceniami Swamiego, zarówno trafnymi - tak było w wypadku Bobby's Baby - jak i chybionymi; tu przykładem był Proud Fella.

- Konsekwentnie stosuje się pan do jego wskazówek - powiedziałam, starając się doszukać jakichś plusów jego braku samodzielności.

- Obstawiam tak, jak każe Swami. Nigdy inaczej.

- Nie psuje to panu trochę zabawy?

Nachylił się ku mnie.

- Bynajmniej. Widzi pani, Swami... to ja.

Zaczekał na moją reakcję i postarał się go nie zawieść. Z wrażenia zapomniałam języka w gębie. Pokiwał głową, zadowolony, że sprzedał mi taką bombę.

- Uhm. Mówiłem, że robię w tej branży.

Pancho skończył czyścić buty Ludlowa i zaczął wiązać sznurowadła.

- Teraz rozumie pani, dlaczego prosiłem, by zachowała to pani dla siebie. Gdyby wyszło na jaw, kim jest Swami, wywierano by na mnie ciągłe naciski, żebym zmieniał swoje typy w zależności od oczekiwanych notowań. Bukmacherzy i dyrekcja nie znoszą sytuacji, kiedy notowania prawdopodobnych zwycięzców zaczynają spadać, ale wystarczyłoby kilka słów Swamiego, by znów wzrosły i właściciele toru i księgowi mogli odetchnąć z ulgą.

Przypomniałam sobie widok nielicznych widzów, ustawiających się przed okienkami, w których przyjmowano jedno- i dwudolarowe zakłady, i doszłam do wniosku, że Ludlow ma przesadzone wyobrażenie o sumach, jakie tu wchodzi w grę.

- To musi być bardzo kuszące - powiedziałam. - Jestem pewna, że wielu kombinatorów zapłaciłoby duże pieniądze, by mieć pana w kieszeni.

Wbił we mnie wzrok i zbliżył twarz do mojej twarzy, chuchając na mnie wódką z sokiem z limy.

- Jestem uczciwym człowiekiem, panno O'Connor. Od przeszło dwudziestu lat prowadzę stałą rubrykę w „Gazette”. Nigdy dużo nie zarabiałem, ot, tyle, by pokryć część kosztów, które ponoszę, kiedy popieram słowa czynami, że pomieszam dwie metafory. - Nie byłam pewna, jakie metafory pomieszał. Nieważne. - Mimo wszystko, to dobra praca. „Gazette” i inne biuletyny rozprowadzane na wyścigach może i wyglądają nędznie, ale o to właśnie chodzi. Tak naprawdę wszystkie są własnością Tate-Donner Syndicate, tego samego, który wydaje „Miami Sentinel” i „Hollywood Financial Weekly”. „Gazette” ma wyglądać, jakby pochodziła „spod lady”. Na tym polega jej urok. - Zawiesił dramatycznie głos. - Panno O'Connor, czy byłaby pani tak dobra i po mojej śmierci ogłosiła światu, kim był Swami?

Prawdziwa tożsamość specja od wyścigów psów organizowanych na podupadłym torze na przedmieściu Miami zapewne interesowała świat w mniejszym stopniu niż choćby nazwisko Głębokiego Gardła, informatora Woodwarda i Bernsteina, ale uroczyście skinęłam głową, by pokazać, że jestem świadoma wielkiej odpowiedzialności, którą biorę na swoje barki.

Ludlow zszedł z krzesła, zapłacił Pancho obowiązującą stawkę - pięćdziesiąt centów - i dorzucił jeszcze dwudziestopięciocentówkę.

- To dla ciebie - powiedział z naciskiem. Otworzył drzwi przede mną i fala gorąca uderzyła nas w twarz.

- Podwieźć pana do domu? - spytałam.

- Och, pomyślałam sobie, że zjem dziś kolację w Embers, to kilka przecznic stąd, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu... - powiedział od niechcienia. Odparłam, że nie, nie mam. - Zaprosiłbym panią - dodał z ociąganiem - ale spotkam się tam ze znajomymi, stałymi bywalcami, których dawno nie widziałem. - Poklepał kieszeń na piersi, w której trzymał portfel. - To był wyjątkowo dobry dzień.

Poszliśmy na parking po drugiej stronie ulicy. Parkingowy podstawił mój odlotowy samochód. Ludlow zajął miejsce pasażera i rozejrzał się z miną człowieka, który chce być widziany w sportowym wozie, prowadzonym przez młodą, wyzywająco ubraną kobietę. Jechałam powoli i to mu odpowiadało.

- Panie Ludlow, jeszcze tylko jedno pytanie, dotyczące Maureen O'Flaherty. Dlaczego, pańskim zdaniem, umarła?

Ludlow spojrzął na mnie z niechęcią. Chciał się nacieszyć swoją dzisiejszą dobrą passą, a ten temat psuł mu nastrój.

- Umarła, bo, jeśli wierzyć gazetom, przestała oddychać. Zakładam, że się utopiła.

Skrećiliśmy na 1-95 i przez pół minuty jechaliśmy w milczeniu.

- Wkurza mnie to, że umarła. - Nie wiem, czy słyszał sam siebie.  
- Brakuje jej panu - podsunęłam mu dyplomatycznie.  
- Jestem zły, bo to było takie głupie z jej strony. Jeśli nie ma się kłopotów ze zdrowiem, głupotą jest umierać młodo. My, którzy żyjemy dalej, musimy potem radzić sobie z tym sami.

Położyłam prawą rękę na jego lewej dłoni. Była zimna, mała i sztywna jak szpon. Od dotyku drugiego człowieka przeszedł go dreszcz.

- Była panu bliska, prawda? - spytałam i cofnął rękę. - Przepraszam, jeśli to zbyt osobiste pytanie, ale chcę tylko wiedzieć, czy przed śmiercią znalazła tu przyjaciela, kogoś, kto się o nią troszczył. Miałabym gotowe zakończenie artykułu, gdybym mogła napisać, że w Hollywood wciąż jest ktoś, kto za nią tęskni.

Sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął długą paczkę papierosów More. Zawinięte w brązową bibułkę, wyglądały na droższe, niż były.

- Kochała się pani kiedyś w kimś bez wzajemności? - spytał ponuro.  
- Tak - odparłam zgodnie z prawdą.  
- Nie żeby ten ktoś pani nie cierpiał czy nawet nie lubił. Po prostu nie kochał i wiedział, że nigdy nie pokocha.

Powiedziałam, że wiem, jak to jest, z punktu widzenia jednej i drugiej strony.

- Ładna pani jest - orzekł z wymuszonym śmiechem. - Pewnie to pani częściej dawała kosza niż vice versa.

Nie mógł zapalić papierosa, który uporczywie odsuwał się od płomyka z zapalniczki, jak w starannie przeciwnym skeczu z burleski. Wreszcie Ludlow przestał dbać o pozory, przytrzymał go lewą ręką i przypalił prawą.

- Kiedy przychodzi co do czego, dla większości jedynym lekarstwem na odtrącenie, związany z nim ból i poczucie beznadziejności, jest nienawiść do osoby, którą się kochało. Czysta nienawiść. Jeśli nie ma do niej powodów, trzeba je wymyślić. To taka sama nienawiść, jaką czuje się do członków elitarnych klubów, do których nie jest się zapraszany. Człowiek nie cierpi tych nadętych snobów, dopóki nie przyjmą go do swojego grona. Pewnie dlatego tak wiele rozwiedzionych małżeństw nie może na siebie patrzeć. To nie jest tak, że nagle przestaje się lubić kogoś, z kim zamierzało się spędzić resztę życia. Nienawiść bierze się ze świadomości, że tej osobie już na tobie nie zależy. Ani trochę. Tu trzeba wjechać na rondo.

Wjechałam na Young Circle, wielkie rondo nazwane na cześć człowieka, który wpadł na pomysł, by zbudować Hollywood nad Atlantykiem. Zwolniłam, bo silnik zagłuszał Ludlowa, który mówił coraz ciszej.

- Zanim ją poznałem, nie żyło mi się najlepiej, ale dopiero kiedy znalazłem odrobiny szczęścia, zrozumiałem, jak bardzo do tej pory byłem nieszczęśliwy. Dlatego muszę jej nienawidzić, za to, że pokazała mi, że moje życie mogło wyglądać inaczej. Za to, że nie potrafiła mnie pokochać i że umarła. To było głupie, jakkolwiek się to stało.

- A jakkolwiek się to stało.... gdzie pan wtedy był? - spytałam wprost.

Łzy w jego oczach zmieniły się w łód.

- W gazetach nie napisali, kiedy dokładnie umarła, ale to i tak bez znaczenia. Byłem tu, w Hollywood, na wyścigach, w domu, jednego wieczoru w Embers, poprzedniego w knajpie, gdzie dają homary. Ona umarła w New Jersey, panno O'Connor. Ja nigdy w życiu nie ruszałem się z Florydy. To nieistotne, gdzie byłem akurat tamtego dnia.

Okrzyśliśmy trzy czwarte runda i Ludlow kazał mi skrócić w prawo, na Hollywood Boulevard. Zgodnie z jego poleceniem zatrzymałam się przed Embers. Nad szyldem restauracji tańczyły neonowe płomienie.

Skinął głową na budynek.

- Jeśli karmić człowieka przez całe życie fasolą z ryżem, narzekać będzie tylko na pogodę. Broń Boże jednak choć raz zafundować mu... - przeczytał napis w oknie - *..nasz słynny befsztyk z połędwicy, pieczony na węglu drzewnym, przyrządzony wedle życzenia, w zestawie z krewetkami, pieczonym ziemniakiem i szpinakiem w śmietanie, zupą lub sałatką, kawą oraz naszą specjalnością, plackiem z limetkami*, a potem powiedział, że do końca życia znów będzie musiał jechać na fasoli z ryżem. To byłaby okrutna, nieludzka kara. - Otworzył drzwi i przygotował się do wyjścia. - Ciekawe, czy jest ktoś z paczki? - powiedział z lekkim niepokojem.

Coś mi mówiło, że Ludlow nigdy nie należał do „paczki”. Podał mi rękę.

- Dziękuję za drinki i towarzystwo. Bardzo ciekawie się z panią rozmawiało. - Zawahał się. - Jak sądzę, nie będzie żadnego artykułu o wyścigach psów, mam rację, panno O'Connor?

Uśmiechnął się blade. Odprowadzany przeze mnie wzrokiem, poprawił pasek spodni i ramiona koszulki, po czym wszedł do restauracji.

Skreśliłam w prawo na Dwudziestej (skąd oni biorą te nazwy!), potem jeszcze raz w prawo na Tyler. Zobaczyłam drogowskaz do lotnisk w Miami i Fort Lauderdale i już miałam odbić w lewo, gdy nagle pod wpływem impulsu ruszyłam w przeciwnym kierunku. Jeszcze jeden skręt w prawo i znalazłam się przed Embers. Zaparkowałam na drugiego przy krawężniku, wyskoczyłam z wozu i weszłam do restauracji.

W gruncie rzeczy była to zwykła kawiarnia. Jakiś staruszek obsługiwał grilla wielkości układanki dla początkujących, klientela także była mocno posunięta w latach. Ludlow siedział sam w boksie i bezskutecznie usiłował zwrócić na siebie uwagę kelnerki po pięćdziesiątce.

Podeszłam do niego, starając się robić możliwie najwięcej hałasu, i zaczęłam, aż wszystkie spojrzenia zwrócić się na mnie. Byłam tu najmłodsza i zdecydowanie najlepiej ubrana (czy może raczej należałoby powiedzieć: rozebrana), choć w dyskretnym, naturalnym makijażu Moon Drops i sztucznych rzęsach Geminesse z pewnością nie wyglądałam jak prostytutka.

- Chciałam tylko podziękować ci za te cudowne chwile - powiedziałam najbardziej seksownym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć. Nachyliłam się i pocałowałam go, nie w usta (nie jestem aż tak dobrą Samarytanką), ale ponieważ wzięłam jego wystraszoną twarz w dłonie, z zewnątrz nie widać było, że dostał tylko buziaka w policzek. Potem jeszcze raz cmoknęłam głośno, by nikogo nie zdziwił ślad szminki na jego policzku, i odsunęłam się. Był czerwieńszy od mojego ulubionego odcienia szminki od Heleny Rubinstein. - Kef, jesteś prawdziwym mężczyzną - powiedziałam tak, by wszyscy usłyszeli, i dodałam szeptem: - Zobaczmy, co stara paczka na to. - Obróciłam się na wysokich obcasach i wymaszerowałam z Embers, znacząco kołysząc biodrami. Kto nie patrzył, niech żałuje.

Jak widać, nie jestem zepsuta do szpiku kości. To głupie, ale Ludlow mnie ujął.

Kiedy na lotnisku chciałam zapłacić za wynajem samochodu, sięgnęłam do torebki po portfel i zauważyłam, że nie mam notesu z jaskraworóżową okładką. Nie była to wielka strata; zapisałam tam tylko adres Maureen przy 1350 North Dixie, by pokazać go Ludlowowi. Tak czy siak, notes zniknął.

Mógł wypaść mi z torebki w barze, u pucybuta albo w Embers, kiedy odstawiałam czułą kochankę.

Albo podwędził mi go Ludlow, ciekaw, co jeszcze zapisałam w różowej książeczce.

Nie mogłam cofnąć całusa, którego mu dałam. Od razu jednak poszłam do apteki Rexall, kupiłam chusteczki higieniczne i krem Albolene, po czym dokładnie starłam szminkę z ust i posmarowałam je blisteksem, żeby nie spaliły się w prażącym słońcu Florydy.



W głębi jednego z barów na lotnisku w Miami stał niezwykle automat do gry o nazwie Pong. Na jego czarnym ekranie widniał biały prostokąt, przedstawiający stół do ping-ponga, dwie pionowe kreski - rakiety i biała kropka - piłeczka. Pomyślałam, że absurdem jest wstawiać do baru grę dla dzieci, ale dorośli nie mogli się od niej oderwać. Można było grać we dwójkę lub przeciwko komputerowi, wówczas jednak nie miało się najmniejszych szans.

Obok wstawiono drugi automat, którego jedyną funkcją było rozminianie banknotów na dwudziestopięciocentówki. Zamówiłam wódkę z sokiem grejpfrutowym (jak widać, kobieta zmienną jest) i poprosiłam barmana, żeby wydał mi resztę w banknotach dolarowych. Zaniósłam je do automatu rozminiającego pieniądze, który połknął pierwszy banknot i wypuł cztery dwudziestopięciocentówki, jak należy. Przy szesnastym dolarze ogarnęła mnie złudna euforia. Czułam się, jakbym grała na jednokrójkim bandycie i wygrywała za każdym pociągnięciem dźwigni.

Wypiłam pół drinka dla kurażu, zabrałam sześćdziesiąt cztery dwudziestopięciocentówki i poszłam do automatu telefonicznego w najbardziej hałaśliwej części terminalu, przy głośniku.

Najpierw zadzwoniłam do Connie Wechsler, mojej redaktor od Neumana i Newberry'ego. Musiałam wytłumaczyć, dlaczego ni stąd, ni zowąd zostawiłam Vince'a i poleciałam na Florydę; zadaniem Connie będzie przekazać moje wyjaśnienia Gregowi Gavinowi.

Najbliższym prawdy usprawiedliwieniem, jakie mogłam podać, było to, że dokonałam przełomu w sprawie dziewczyny, której ciało znaleziono w hotelowym apartamencie Lanny'ego i Vince'a, i że musiałam obejrzeć miejsce zamieszkania Maureen O'Flaherty na Florydzie, by zdobyć więcej informacji, zanim znów zacznę ciągnąć Vince'a za język. Zresztą w gruncie rzeczy tak właśnie było. Nie powiedziałam tylko, że wyjechałam przede

wszystkim dlatego, iż nie mogłam pozwolić, by Lanny Morris zobaczył we mnie kogoś innego niż Bonnie Trout, nauczycielkę z Nowego Jorku, za którą podałam się, nim uprawiałam z nim niesamowity seks. O nie, gdybym o tym wspomniała, Connie mogłaby zważyć w mój profesjonalizm i uczciwość. Wyjaśniłam, że ponieważ nie chciałam tracić więcej czasu, niż to konieczne, nie zarezerwowałam biletu za pośrednictwem N&N, tylko od razu pojechałam na LAX i wsiałam do pierwszego samolotu, i że nawet przez myśl mi nie przeszło, by prosić o zwrot kosztów (głównie dlatego, że zaczęliby dociekać - i słusznie - dlaczego, na litość boską, poleciałam z Los Angeles do Miami przez Nowy Jork). Dodałam, że ponieważ nie chciałam wzbudzić podejrzeń Vince'a, opowiedziałam mu zmyśloną historyjkę.

- Jaką? - spytała Connie, jak dotąd zadziwiająco wyrozumiała.

- Że mój przyrodni brat zginął w wypadku w Nowym Jorku i w związku z tym musiałam pojechać na pogrzeb na Florydę. Jego prochy zostały rozrzucone nad Everglades. Rozumiesz.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

Automat zażądał trzech dolarów i siedemdziesięciu pięciu centów. Wrzuciłam stosowną liczbę monet i stawiałam czoła drwinom Connie.

- o rany, ale lipa - powiedziała. - Przypomnij mi, żebyś nigdy nie zleciła ci pisania powieści. Vince Collins to kupił?

- Niedługo się przekonam. Zadzwoń do niego, jak tylko skończę rozmawiać z tobą.

- Zakładam, że wróciłeś już do Los Angeles?

Uniosłam słuchawkę, by mogła usłyszeć zapowiedź lotu Air Florida numer 586 do Pensacola i Memphis i wezwanie pasażerów do wyjścia numer cztery.

- Nie, jestem na lotnisku w Miami.

- Cholera jasna - syknęła Connie. - A ja tu właśnie zgodziłam się, żebyś jutro po południu poszła na rozdanie nagród! Kiedy będziesz w Los Angeles?

Powiedziałam, że jeszcze tego wieczoru będę w domu, i usłyszałam ciche westchnienie ulgi. Connie wyjaśniła, że specjalistka od PR odpowiedzialna za Zachodnie Wybrzeże zadzwoniła z pytaniem, czy nie zgodziłabym się wręczyć jednej z nagród Scotty, nazwanych tak od drugiego imienia F. Scotta Fitzgeralda ku pamięci niezliczonych dobrych pisarzy, których Hollywood uwiódł i wdeptał w błoto. Wśród nominowanych znajdowali się głównie autorzy książek o filmach. Przez pierwsze trzy lata organizatorzy musieli z wyprzedzeniem informować laureatów o wygranej, by skłonić ich do przyjęcia, i choć przez to pozostali kandydaci bojkotowali uroczystość, to przynajmniej niektórzy zdobywcy Scottych, czy raczej ich

wydawcy, wynajmowali całe stoliki. W kilku skandalicznych wypadkach, kiedy laureat z góry zapowiedział, że nie da rady odebrać nagrody osobiście, przyznano ją komuś innemu.

- Nie cierpię Scottych - powiedziałam Connie.

- Jak my wszyscy. Zmienisz zdanie, kiedy jeden z nich przypadnie tobie - zawyrokowała. - To świetna okazja, by powiedzieć ludziom o książce, którą piszesz z Vince'em. Obiecali, że zapowiadając cię, wspomną o niej, a właśnie wśród takich osób, które tam będą, musimy promować ją przede wszystkim. Początkowo to Rona Barrett miała ogłosić zwycięzcę w kategorii „Najlepsza książka krytyczna o kinie”, ale uznali, że jest trochę zbyt pospolita, by puścić ją samą, więc nagrodę wręczą dwie osoby. Rona jako przedstawicielka rubryk towarzyskich i ktoś, kto para się poważnym dziennikarstwem. Ona będzie Starą Plotkarą, a ty Woodwardem i Bernsteinem w jednym. Zgódź się, masz dług wobec mnie i N&N.

To była prawda, zwłaszcza wzięszy pod uwagę moje ostatnie wysoki, które mogły się źle skończyć nie tylko dla mnie, ale i dla nich.

- Dobrze - powiedziałam. - Ale w przyszłości pamiętaj, jak bardzo się dla was poświęciłam. Kto dostanie tę nagrodę?

- Nie wiadomo. W tym roku nagrody mają być „czyste”. W związku z tym są pewne obawy, że nikt nie przyjdzie, ale organizatorzy doszli do wniosku, że kiedyś muszą zacząć przestrzegać reguł, bo inaczej nigdy nie zyskają wiarygodności.

Westchnęłam.

- Dobra, będę tam.

Powiedziała mi, że „tam” w tym wypadku oznacza uroczysty lunch w Hollywood Roosevelt. W głębi ducha byłam zadowolona, że uznano, iż nadaję się do wręczenia nagrody. Nie byłam szeroko znana pod żadnym względem. Cóż, widać jeśli człowiek dostatecznie długo obcuje z gwiazdami, to zaczyna świecić odbitym blaskiem, przynajmniej w tej branży.

Teraz czekała mnie rozmowa, której bałam się najbardziej; tym razem nie wystarczy tak, jak to było z Connie, po prostu przemilczeć pewnych spraw - będę musiała opowiedzieć zawiłą bajeczkę i uważać, by się nie zaplątać. Ponieważ jednak wyznaję zasadę, że co masz zrobić jutro, zrób pojutrze, najpierw zadzwoniłam do Beejay. Musiałam usłyszeć przyjazny głos. Co ważniejsze, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin okłamywałam wszystkich, jak leci: Vince'a, Adolf a, Tony'ego - dozorcę, Kefa Ludlowa, Connie... Byłam ciekawa, jakie to uczucie mówić prawdę.

Beejay w gruncie rzeczy nie dała mi okazji, by się o tym przekonać. Właśnie wpłatała się w trójkąt miłosny, który funkcjonował o wiele prężniej niż mój nieistniejący związek z Lannym i Vince'em.

Spotykała się z żonatym wicedyrektorem swojej szkoły i nowojorskim aktorem, który świata nie widział poza swoim lustrem. W zeszły piątek, jak to rozkosznie ujęła, zgrzeszyła z „wicusiem” w jego gabinecie, po czym poszła do domu i splukała z siebie zapach seksu, by już dziewiczo czysta przyjąć Wielkiego Artystę. Następnego popołudnia dostała ogromny bukiet kwiatów, tyle że bez liściku. Blondwłosy posłaniec, hipis obcięty na pazia à la Ilia Kuriakin z serialu „The Man from U.N.C.L.E.”, nie miał zielonego pojęcia, kto złożył zamówienie, i w ogóle ciężko się było z nim dogadać.

- Co mam zrobić? - zamartwiała się. - Chcę na jakiś czas zatrzymać ich obu, ale są strasznie zazdrośni. Podziękować jednemu i drugiemu za kwiaty i zobaczyć, który będzie wiedział, o co chodzi?

Odparłam, że jeśli to robi i obaj powiedzą: „Cieszę się, że ci się podobają”, będzie miała pewność, że jeden z nich jest gnidą. Jak na urodzonego detektywa przystało, zasugerowałam, żeby do obu zadzwoniła i każdą z rozmów zaczęła od udawanego kichnięcia.

- Wytlumaczysz, że jesteś silnie uczulona na kwiaty. Facet, który ci je przysłał, od razu przeprosi.

Powiedziała, że nie jest pewna, czy potrafi przekonująco udać kichnięcie. Odparłam, że kiedy mieszkaliśmy razem na studiach, nieraz słyszałam zza drzwi sypialni, jak nie takie rzeczy udawała.

Wreszcie zdołałyśmy przejść do problemów z moim „trójkątem”. Wyjaśniłam, czemu kazałam jej zadzwonić do mnie pod numer Vince'a i co zrobiłam od tego czasu.

Zapas ćwierćdolarówek stopniał o połowę, a nie miałam pojęcia, ile potrwa moja następna rozmowa, najbardziej zamiejskowa ze wszystkich. Niechętnie pożegnałam się z Beejay, wzięłam kilka głębokich oddechów, wzniosłam oczy ku niebu, usiłując wprowadzić się w stan głębokiego relaksu alfa, i wybrałam numer Vince'a.

Był w domu i powiedział, że odebrał telefon z nadzieją, że to ja. Dobrze, że nie połączyłam się z jego automatyczną sekretarką czy biurem. Zależało mi na tym, by usłyszał odgłosy lotniska. Air Florida ogromnie poszła mi na rękę, ogłaszając: *Pasażerowie samolotu numer 586 proszeni są o stawienie się przy wyjściu numer 4* zaraz po tym, jak powiedziałam, gdzie jestem.

- W Miami? Myślałem, że twój brat jest w Nowym Jorku.

- Był, ale uroczystości pogrzebowe odbyły się tutaj.

W słuchawce zapadła cisza; w tym czasie Eastern Airlines wydały komunikat, że lot o siódmej do Waszyngtonu i Filadelfii opóźni się o pół godziny.

- Bardzo mi przykro - powiedział Vince wreszcie.

- Nie ma sprawy. Nie byliśmy sobie aż tak bliscy. Był moim przyrodnim bratem.

- Starszym czy młodszym?
- Starszym.
- Czyli twoja matka drugi raz wyszła za mąż?

Nie spodobała mi się ta myśl. Moja matka była bezgranicznie oddana ojcu.

- Nie, Clifford był synem mojego ojca z poprzedniego małżeństwa. - Już lepiej. - A właściwie pasierbem.

- Czyli tak naprawdę nie był nawet twoim przyrodnim bratem - zauważył Vince.

- Mmm, skoro tak mówisz. Ale mimo wszystko czułam, że... Na przykład, kiedy miałam kilkanaście lat, podkochał się we mnie i choć z genetycznego punktu widzenia nic nie stało na przeszkodzie, żebyśmy byli razem, powiedziałam mu, że tak nie można. - Ta historia stawała się niebezpiecznie barwna. Chciałam tylko zdystansować się od „Clifforda”, wyjaśnić, czemu już jutro nie znać po mnie będzie żaloby, a zamiast tego zaczynałam tworzyć scenariusz filmu Bergmana.

- Pogrzeb odbył się tak szybko - zauważył Vince.

- To nie był pogrzeb, tylko prywatna ceremonia. Zażyczył sobie, by jak najszybciej poddać go kremacji i rozrzucić prochy nad Everglades. Kochał Everglades. Tam spędził dzieciństwo.

- Ale kiedy się w tobie podkochał, był na północy? A może to ty...

- Przyjechał na wakacje do mojej rodziny, mojego taty, który był jego...

- Kim, do cholery? - ...jego ojczymem. Dziś rano został poddany kremacji, a ja przywiozłam tu jego prochy. Jutro zostaną wysypane z prywatnego samolotu. - Miałam już dość słowa „rozrzucone”.

- Dziś odbyła się ceremonia zorganizowana specjalnie dla jego matki i mojego ojca. Jego biologiczny ojciec nie żyje.

- Jak umarł? - spytał Vince.

- Nie mam pojęcia, nie było mnie wtedy na świecie.

- Nie, nie... chodziło mi o Clifforda, nie jego biologicznego ojca.

Miałam gotową odpowiedź na to pytanie.

- Pracował dla rządu. Projekt, w którym uczestniczył, został utajniony. Poznałam tylko kilka szczegółów, wiem, że to był bez wątpienia wypadek i że, chwała Bogu, Cliff nie cierpiał. - Przybrałam przepraszający ton. - Vince, potrzebuję czasu, by dojść do ładu z tym wszystkim, i chyba dobrze mi zrobi, jeśli na razie nie będę więcej o tym mówiła. W porządku?

- Oczywiście, rozumiem - powiedział Vince uspokajającym tonem.

- Najlepszym lekarstwem dla mnie będzie dalsza praca nad naszą książką. Pomożesz mi?

Powiedział, że jak najbardziej, i umówiliśmy się na następne popołudnie po uroczystości rozdania Scottych. Teraz musiałam przedstawić

mu moją wielką prośbę: by Lanny nie uczestniczył w żadnym z naszych spotkań.

- À propos - zaczęłam, powoli zmierzając do sedna - zanim się pożegnamy, chciałam spytać cię o coś, co bardzo mnie intryguje: co czułeś, widząc Lanny'ego po tak wielu latach? Jak było?

- Nie przyjechał. Nie widziałem się z nim. - Wydawał się zawiedziony, może nawet urażony. - A tak się szykowałam na to spotkanie. Szkoda.

Wyjaśnił, że Lanny zadzwonił jakieś pięć minut po moim wyjściu, by uprzedzić, że kręci reklamę pokarmu dla kotów w studio Sunset-Gower, zdjęcia strasznie się przeciągają i pewnie potrważą do wieczora. Vince powiedział mu o moim bracie i zgodzili się przełożyć spotkanie na inny termin.

Odparłam, że zgodnie z naszym kontraktem, korzystając z praw przysługujących mi z racji tego, że sprawuję kontrolę redakcyjną nad projektem, muszę zażądać, by Lanny nie był więcej zapraszany na nasze spotkania. Vince zaczął coś bąkać zdumiony, a ja wyjaśniłam:

- Słuchaj, przemyślałam to. To jest tak: ile razy opowiadałam o czymś zabawnym, co spotkało mnie i moją koleżankę, w jej obecności wychodzi to zupełnie inaczej. Ona przerywa mi, mówiąc: „Nie, to ten drugi prosił cię do tańca” albo „Nie powiedziałaś, po co tam w ogóle poszłyśmy”. Czasem ma rację, więc muszę wrócić do poprzedniego wątku, albo nie zgadzam się z nią i wywiązuje się mini-klótnia, bądź też trzymam się faktów tak wernie, że cała historia jest do niczego. Powstaje suchy, nudny, kompromisowy, zagmatwany opis wydarzenia, o którym każda z nas oddzielnie potrafiłaby bardzo zabawnie opowiedzieć. Boję się, że to samo się stanie, jeśli będziecie razem z Lannym odpowiadać na moje pytania. Nawet jeśli on nie odezwie się ani słowem, sama jego obecność będzie miała wpływ na to, co powiesz. Chcę tego uniknąć. Ty, zgodnie z umową, musisz odpowiadać na moje pytania, on nie. Może powiedziec „bez komentarza” i wyjawiać tylko to, co zechce. Ty nie. On może zastrzec, że coś jest nie do publikacji, a dla nas od samego początku wszystko, co mówimy, stanowi materiał do książki. To byłoby jak mecz tenisowy, w którym jeden z graczy przestrzega reguł...

Przerwał mi i powiedział, że rozumie. Przeprosił, że w ogóle zaprosił Lanny'ego, i zapewnił, że już nie może się doczekać spotkania ze mną po uroczystości rozdania Scottych.

Odłożyłam słuchawkę, zabrałam resztę monet i wróciłam do baru, gdzie zamówiłam następnego drinka. Musiałam zająć się czymś przez godzinę, która została do startu samolotu do Los Angeles. Zapłaciłam,

dałam barmanowi suty napiwek w postaci ośmiu dwudziestopięciocentówek i z pozostałymi drobniakami poszłam do automatu Pong. Bar świecił pustkami, nic dziwnego, zostało już tylko kilka wieczornych lotów. Nikt nie grał. Gra wyglądała na prostą i łatwą do rozgryzienia. Włożyłam monetę do otworu i zmierzyłam się z komputerem, który znał wszystkie reguły. Pożarł moje dwudziestopięciocentówki jak wygłodniały jednoręki bandyta i zlał mnie niemiłosiernie. Pikając wesoło, raz po raz łoił mi tyłek.

Kiedyś zrobiłam wywiad z Richardem Harrisem. Było to kilka lat po sukcesie jego płyty „MacArthur Park”, której tytuł pochodził od rzeczywistie istniejącego parku w centrum Los Angeles, uporczywie i błędnie nazywanego przez Harrisa „MacArthur's Park”. W trakcie wywiadu powiedział mi, że przyjeżdżając do Hollywood, najchętniej zatrzymuje się w hotelu Roosevelt, co dziwiło mnie do chwili, kiedy wyjaśnił, że może tam kraść ręczniki z gotowym monogramem. I choć z tego samego powodu Roosevelta uwielbiać mogli Rita Hayworth i Rex Harrison, to hotel wyraźnie pamiętał lepsze czasy, a i to nie najlepiej. Jak w wypadku MacArthur Park (którego okolice przyciągały imigrantów z Ameryki Środkowej, nie firmy deweloperskie), nie chodziło o to, że ktoś umyślnie niszczył Roosevelta. Po prostu, kiedy coś się psuło, nikt tego nie naprawiał.

Hotel Roosevelt - przy 7000 Hollywood Boulevard - został zbudowany w 1927 roku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Joe Young założył swoje nadmorskie Hollywood na Florydzie. Pod wieloma względami było to odpowiednie miejsce na organizację czwartej dorocznej uroczystości wręczenia Scottych. F. Scott Fitzgerald był częstym gościem mieszczącego się tu, modnego niegdyś baru hotelowego Cinegrill, gdzie nigdy nie brakowało mu towarzystwa; kiedyś stoczył dziesięciorundową walkę z Ernestem Hemingwayem (bynajmniej nie bokserską) i wygrał przez techniczne zamroczenie. Byłam ciekawa, czy Lil Walker opowie mi jakieś anegdoty o Cinegrillu.

Weszłam do wciąż robiącego wrażenie piętrowego holu o wystroju w stylu hiszpańskim. Odgłos moich kroków na wyłożonej płytkami posadzce niósł się do ręcznie wymalowanego sufitu i odbijał miłym dla ucha, regularnym echem. Przeszłam obok schodów, na których Bojangles Robinson podobno pokazał Shirley Tempie układ taneczny, który mieliby wykonać razem w „Małym pułkowniku”.



W Sali Stokrotkowej znalazłam Nitę Cowan, która zajmowała się PR w wydawnictwie Neumana i Newberry'ego. Powiedziano mi, że łatwo ją poznam po tym, że ma najciemniejszą opaleniznę ze wszystkich, z Murzynami włącznie, od razu podeszłam więc do kobiety o europejskich rysach i skórze tego samego koloru co balustrada, którą przed chwilą trzymałam, i przedstawiłam się. Nita wyraziła ogromną radość z tego, że mogę uczestniczyć w tej uroczystości. Gdyby stała na szafocie, pewnie to samo powiedziałaby zakapturzonemu typowi z toporem.

Sala prezentowała się elegancko, stoliki były nakryte obrusami łososiowego koloru, na każdym ustawiono białe kwiaty. Na środku sceny znajdowało się podium, a za nim przezroczysty trójkąt z akrylu z trzema półkami zajętyymi przez dwadzieścia trzy nagrody Scotty w kształcie profilu Fitzgeralda. Zainteresowałam się, czy są na nich nazwiska laureatów, i dowiedziałam się, że nie, ale jeśli któryś z nich sobie tego zażyczy, mogą zostać wygrawerowane po uroczystości za nader symboliczną opłatą. Spytałam, czy jest już Rona Barrett (nie znałam jej osobiście, choć jak każdy, kto kiedykolwiek oglądał telewizję, wiedziałam, jak wygląda). Nita wyjaśniła, że termin ceremonii pokrywa się z nagraniem jej programu, więc Rona przyjdzie na samo wręczenie nagrody. Powiedziałam, że jedyne, co mnie martwi, to to, że po południu umówiłam się z Vince'em Collinsem, ona jednak zapewniła mnie, że uroczystość nie potrwa dłużej niż dwie godziny.

Zasugerowała, żebym weszła na podium i zaznajomiła się ze sceną. Dała mi fiszkę z żartobliwymi uwagami, które miałam wymienić z Roną.

- No coś ty? - powiedziałam, kiedy to usłyszałam. - Jestem pisarką... nie mogę po prostu mówić swoimi słowami?

Wyjaśniła z pewnym zniecierpliwieniem, że Rona dostała ten sam scenariusz i że postąpiłabym nieprofesjonalnie, gdybym od niego odeszła, nie wspominając o tym, że wprawiłabym Ronę w zakłopotanie. Weszłam na podium. Mikrofon był trochę za wysoko i kiedy sobie go obniżyłam, wywołałam takie samo sprzężenie, jakie uczyniło z Jimiego Hendriksa gwiazdę Woodstock. Wszyscy pracownicy obsługi technicznej łypnęli na mnie ze złością. Wyrecytowałam jedno zdanie i zeszedłam ze sceny.

Nita nie miała zadowolonej miny.

- Na uroczystości mów głośniej. Nie słyszałam ani jednego słowa.

Spojrzałam na kartkę, którą trzymałam w ręku.

- Nita, widzę, że Rona ma powiedzieć do mnie: *Muszę przyznać, że twoja książka natychmiast zapewniła ci awans do ekstraklasy pisarzy. Nieczęsto zdarza się wygrać dzięki spalonemu.* Co to znaczy?

Nita obejrzała kartkę z lekkim zaciekawieniem.

- Widzisz, jak dotąd pisałam dla prasy. Moja pierwsza książka jeszcze nie wyszła - dodałam wyjaśniająco.

Nita ponownie obrzuciła notatki wzrokiem i oddała mi kartkę.

- Nie wiem, to pewnie jakiś żart. Nawet trochę śmieszny. Jakoś się dostosujesz.

Spojrzałam na nią z wyrzutem.

- Ktoś inny miał wręczać nagrodę z Roną, zgadza się? Nie żebym miała pretensje, w końcu nie jestem gwiazdą czy znaną osobistością, zdaję sobie z tego sprawę... ale czy Rona nie mogłaby rozmawiać ze mną tak, żebym nie musiała udawać kogoś, kim nie jestem? Nie wiem, jak odpowiedzieć na to, co kazaliście jej mówić.

Nita obdarzyła mnie lodowatym uśmiechem.

- Pewnie, że wiesz. Wystarczy, że przeczytasz to, co masz na kartce. Rona swoją już dostała, obiecała, że przejrzy tekst w drodze.

- Jeszcze raz spojrzała na fiszkę. - Mnie to nie przeszkadza. W końcu nie pokażą tego w telewizji ani nic takiego. Poza tym na pewno zrobiłaś choć jeden wywiad z kimś związanym ze sportem.

Zorientowałam się, że czeka na moją odpowiedź.

- Z Paulem Newmanem, jak grał w filmie o hokeju. Pasuje?

Nita uśmiechnęła się.

- No widzisz. Zobacz, czy da się coś z tym zrobić. Bądź miła, dobrze? Wydawnictwo Neuman i Newberry wyłożyło tysiąc dolarów za stolik, przy którym siedzimy.

I miałyśmy go tylko dla siebie. Siedziałyśmy i oglądałyśmy uroczystość z boku prowizorycznej sceny, przy prowadzących na nią trzech stopniach. Wiedziałam, że to głupie, ale byłam stremowana, jak zawsze, kiedy muszę przemawiać do więcej niż pięciu osób. Lunch nie miał może gwiazdorskiej obsady, lecz występujący w roli prowadzących Richard Benjamin i Paula Prentiss byli czarujący i tryskali szelmowskim humorem. Shari Lewis wręczyła nagrodę za najlepszą książkę dla dzieci za piękne disneyowskie wydanie „Zakochanego kundla”; odebrał ją Dean Jones. Roger Vadim, zanim podał nazwisko laureata w kategorii „Najlepsza książka o filmie zagranicznym”, wyznał, że do niedawna sądził, że kalifornijski szampan pochodzi z importu, a jego była żona Jane Fonda jest zagraniczną gwiazdą filmową. Dodał, że po tym, jak się rozwiedli - stało się to raptem przed kilkoma miesiącami - znów tak ją postrzega.

Zaczynałam się obawiać, że Rona Barrett nie przyjdzie. Jeszcze tylko jedna kategoria i kolej na nas. Gdy jednak rozległy się oklaski dla laureata nagrody za najlepszą książkę z partyturą ścieżki dźwiękowej filmu, Rona wsunęła się na krzesło obok Nity. Widać było, że przyszła prosto z nagrania, bo miała mocny makijaż, nieodzowny w telewizji. A może wyglądała

tak zawsze. Kiedy zaczęła rozglądać się za znanymi osobistościami, nachyliłam się ku niej i podałam jej rękę.

- Cześć - szepnęłam. - Wręczam z tobą następną nagrodę.

Rona spojrzała na mnie.

- Nie jesteś Jimem Boutonem.

Pokiwałam głową z posępną miną.

- Wiem, całe życie się staram, ale jak widzisz... nic z tego nie wychodzi.

- Aha. A zatem byłam zmienniczką sportowca i autora „Spalonego”.

Reakcja Rony dowiodła jej inteligencji i rozsądku i przekonała mnie, że nie zwariowałam. Moja współprezenterka wskazała gestem fiszkę, którą miała w ręku.

- Skoro tak, to to, co kazali nam mówić, jest bez sensu.

- Wiem.

- Kompletnie bez sensu. Typowe. Richard Benjamin zapowiedział nas.

- Następną nagrodę wręczą dwie kobiety, prezentujące różne oblicza reportażu. Z jednej strony, mamy pierwszą damę plotkarskich programów telewizyjnych i redaktor naczelną trzech, tak, proszę państwa, trzech czasopism, które pozwalają nam poznać świat show-biznesu od brudnej podszewki. - Richard spojrział na kartkę z lekkim niesmakiem. - Twoja kolej, kochanie... - powiedział do żony, Pauli, i mruknął pod nosem: - ...i czas najwyższy.

Paula przejęła pałeczkę.

- A towarzyszyć jej będzie młoda dama, której pytania adresowane do znanych osobistości nieraz spotykały się z odpowiedziami, których nie spodziewaliśmy się kiedykolwiek usłyszeć. Wiele pisze też o sporcie. - To było dla mnie coś nowego. Spojrzałam na Nitę, która mrugnęła porozumiewawczo, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam, że coś z tym zrobię?”. Wielkie dzięki. Paula mówiła dalej. - Jej pierwsza książka, której bohaterem i współautorem jest Vince Collins, ukaże się na wiosnę nakładem wydawnictwa Neuman i Newberry.

Podawała nasze nazwiska. Wstałyśmy i ruszyłyśmy w stronę podium. Rona po drodze zatrzymywała się, by porozmawiać z paroma osobami, więc przez jakieś dziesięć sekund stałam sama na scenie i nie miałam nic innego do roboty, jak tylko myśleć, co zaraz powiem. Rona podeszła do mikrofonu. Ja miałam zabrać głos pierwsza; postanowiłam nie czytać przygotowanego tekstu.

- Panie i panowie - wyrecytowałam poważnym tonem - jak zawsze czarująca pani Barrett pierwotnie miała wręczyć nagrodę w tej kategorii w towarzystwie Jima Boutona, byłego pierwszoligowego zawodnika i autora bestsellera pod tytułem „Spalony”. Nic więc dziwnego, że z zaskoczeniem

przyjęła wiadomość, iż to ja wyjdę z nią na scenę. - Zrobiłam lekko przerażoną minę. - Chciałabym jednak państwu powiedzieć... - tu dramatycznie zawiesiłam głos i zebrałam całą swoją odwagę - ...że tak naprawdę to ja jestem Jimem Boutonem. - Mówiłam to z kamienną twarzą. Zaczęłam się zastanawiać, czemu właściwie pomyślałam, że to może być zabawne, i wtedy sala rozbrzmiała śmiechem. - Mam nadzieję, że docenicie państwo to, jak trudno było mi stanąć przed wami i pokazać swoje prawdziwe oblicze i ile wysiłku kosztowało mnie ukrywanie moich skłonności przed kolegami z drużyny, no, może z wyjątkiem tych najbliższych...

- Śmiech stał się głośniejszy, Rona prawie że dostała spazmów, co jeszcze bardziej dodało mi otuchy. - A jeśli uważacie, że moja poprzednia książka zawierała szokujące rewelacje, poczekajcie, aż przeczytacie następną. - Spojrzałam sobie na biust i podniosłam głowę. - Jej tytuł brzmieć będzie „Balony”.

Zapanowała ogólna wesołość. Najlepsze w moim wstępie było to - i Rona od razu to zauważyła - że teraz mogliśmy prowadzić rozmowę Bouton-Barrett według scenariusza, ja grubszym głosem, ona w roli samej siebie, i w tym kontekście wypadło to bardzo zabawnie. O tak, teraz już byłam profesjonalistką pełną gębą. A jak. Niedługo Carson zaproponuje, żebym zastępowała go w „The Tonight Show”, zwłaszcza jeśli potwierdzą się plotki, że chce się ograniczyć do prowadzenia czterech programów w tygodniu.

Jak każda aktorka dramatyczna, która kiedykolwiek znalazła się w bezpretensjonalnej farsie, natychmiast stałam się bezwstydnie żądna śmiechu widzów, gotowa oddać się za jeden radosny rechot. Tak, właśnie tego zawsze chciałam. Jakże byłam samotna, nie mogąc słyszeć śmiechu moich czytelników. Dokończę tylko tę głupawą książkę o Vinsie i zostanę komikiem. Będę występować raczej na uczelniach niż w klubach nocnych, pomyślałam.

Na razie został do załatwienia jeszcze jeden drobiazg: musiałam ogłosić, kto zdobył nagrodę. Hm, hm. Raz-dwa się z tym uwinieśmy. Ja miałam kopertę z nominacjami, Rona - z nazwiskiem laureata.

- Oto nominacje do nagrody w kategorii „Najlepsza książka krytyczna o kinie” - powiedziałam i zaczęłam czytać. - „Howard Hawks: gatunek ginący” Karla Thompsona, „Hitchcock i studio Gaumont” Robina Wooda, „Lelouch o Lelouchu” Claude’a Leloucha, „Harry Langdon: nieśmiały geniusz” świętej pamięci Arthura Conklina oraz „Val Lewton w RKO” Daniela Gersteina i Michaela Crofta.

Cofnęłam się o krok i oddałam mikrofon Ronie. Mojej kumpeli. Może będzie chciała, żebym poprowadziła jej program razem z nią. Poszłam wziąć Scotty’ego od długonogiej lolitki, której zadaniem było zdejmowanie nagród z półki i podawanie ich prezenterom.

- A Scotty'ego otrzymuje... - Rona rozerwała kopertę i ogłosiła: - ...”Harry Langdon: nieśmiały geniusz” świętej pamięci Arthura Conklina!

Rozległy się oklaski, które Arthur - miejmy nadzieję - gdzieś tam słyszał. Paula Prentiss podeszła do Rony i coś jej szepnęła na ucho. Rona energicznie pokiwała głową.

- Panie i panowie - powiedziała do mikrofonu - nagrodę odbierze Lanny Morris!

Usłyszałam to, kiedy brałam Scotty'ego od modelki, potem doszły mnie najgłośniejsze brawa tego wieczoru i huk - to nagroda wysliznęła mi się z rąk i spadła na akrylową podstawę gabloty.

Modelka podniosła ją i podała mi po raz drugi.

Musiałam uciec, zanim on mnie zobaczy - no, ale przecież już mnie widział, w końcu stoję na cholernym scenie, dopiero co paplałam jak najęta, myśląc, jaka to jestem zabawna. Zabawna!!! O Boże, niech to szlag trafi! Niech mnie szlag!

Brawa dla Lanny'ego nie milkły.

Mamo, ratuj. Zobaczyłam go wchodzącego szybko po stopniach na scenę. Świetnie wyglądał w smokingu.

Mama mi nie pomoże. A Rona była zbyt zajęta oklaskiwaniem Lanny'ego, by uratować mnie przed człowiekiem, który wziął mnie na stadion Shea, do chińskiej restauracji, Drive-In, hotelu Plaza i, na koniec, do łóżka. Lanny był już na scenie. Z szerokim uśmiechem na twarzy wymierzył palec wskazujący w Ronę, a ona uściskała go.

Nawet na chwilę nie oderwał ode mnie wzroku. I cały czas się uśmiechał. Był to szeroki, sztuczny uśmiech, jak z plakatu zapowiadającego występy cyrku. Przydały się umiejętności nabyte w telewizji. Lanny zawsze potrafił tak się ustawić do kamery, żeby wydawało się, iż rozmawia z Vince'em czy innym partnerem, gdy tak naprawdę patrzył na umieszczony za ich plecami teleprompter. Choć to z niego odczytywał swoje kwestie, miliony widzów miały wrażenie, że patrzy prosto na Vince'a. Teraz to Rona była Vince'em, a ja teleprompterem. Czytał we mnie jak w otwartej książeczce dla dzieci.

Pomyśleć, że nie tak dawno kochałam się z tym obcym mężczyzną o twarzy wykrzywionej groteskowym, nieruchomym uśmiechem. Że wtuliłam się w niego, otoczyłam go ustami i ochoczo wpuściłam w siebie, pomagając mu wejść głębiej, zachęcając, by napierał na mnie, pchał mocniej. A on teraz patrzył na mnie z uśmiechem pełnym nienawiści. Bałam się go jak diabli.

Podeszłam do Rony, by podać jej Scotty'ego, ale Lanny puścił ją i wyjął nagrodę bezpośrednio z moich drżących rąk. Byłam zawstydzona jak pięciolatka, która posikała się w majtki na przyjęciu wydanym przez rodziców

i boi się, że wszyscy zaraz wstaną od stołu i zobaczą mokrą plamę na jej jasnożółtej sukience.

Pomyślałam, że może nastąpi trzęsienie ziemi. O Boże, jeśli naprawdę chciałbyś coś dla mnie zrobić, trzęsienie ziemi byłoby w sam raz. Najlepiej takie bez ofiar, wystarczą uszkodzenia budynków. No dobrze, jeśli już muszą być ofiary, mówi się trudno, byle nie było wśród nich dzieci. Może wystarczy, że krzyknę: „Trzęsienie ziemi!”. Tylko że widownia nie uwierzyłaby mi; musieliby poczuć, jak podłoga rusza się pod ich nogami, tak jak pod moimi w tej chwili.

Może on ma jakieś wątpliwości. Może uśmiecha się, bo nie jest pewien, czy to ja. Przecież na dwóch końcach kraju mogą żyć dwie podobne do siebie osoby.

Wyrwał mi nagrodę, prawą ręką chwycił mnie za lewą dłoń i nachylił się do mojego lewego ucha.

- Cześć, Bonnie Trout, śliczna, zakłamana szmato - szepnął, uniósł brwi i uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby oczekiwał, że uznam to za świetny żart. - Śmieję się z tego, co mówię, zasrana oszustko - powiedział, odwrócony plecami do widowni.

Zaśmiałam się ze strachu, jednocześnie usiłując się nie porzygać.

Lanny podszedł do mikrofonu, ciągnąc mnie za rękę. Musiałam pójść za nim. Widownia na pewno uznała, że po prostu zapomniał mnie puścić.

Przybrał zarezerwowany dla publiczności ton, jaki rzadko słyszałam, przebywając w jego towarzystwie, ten sam, którym uspokoił pasażerkę samolotu.

- Hm, tak se pomyślałem, co wam powiem, zem zgodził się odebrać tego Scotty'ego w imieniu kogoś tam, bo dekoracje macie ładne, no i kobitki też niczego... - Widownia zaśmiała się, przypominając sobie starego dobrego Lanny'ego, i jego głos przybrał nieco mniej nosowe brzmienie. - I chciałyby tylko powiedzieć panu Jimowi Boutonowi... - Skinął na mnie głową pośród serdecznych śmiechów. - Kurczę, prawie że dałem się nabrać, no. Wziąłem go za kogoś zupełnie innego.

Ścisnął moją dłoń. Zaboląło. Pamiętałam z Plaza, jak silny potrafi być.

- A co do panny Rhondy-Rhody-Riny-Rony Barrett z Wimpole Street... - Obdarzył ją promiennym uśmiechem i zaśmiała się serdecznie. - Wiesz, że cię Kocham, skarbie, i nie mów o Lannym bardzo źle, doooooobra? - Rona skinęła głową.

Nachylił się nad podium.

- Proszę państwa - wyrecytował - Harry Langdon był jednym z najwspanialszych komików w dziejach kina. Łączył w sobie wdzięk Laurela i Hardy'ego, stoicki spokój Bustera Keatona oraz wyczucie czasu Chaplina

i Lloyd. Niezmiernie się cieszę, że świetna książka Artiego Conklina nagrodzona została Scottym, i mam nadzieję, że w najbliższych latach dzięki niej powszechnie docenione zostaną wielkie zasługi Harry'ego Langdona dla amerykańskiej komedii filmowej. To dla mnie zaszczyt, że mogę przyjąć tę nagrodę w imieniu zarówno Arthura, jak i Harry'ego. Bardzo państwu dziękuję.

Jeszcze raz uściskał Ronę, co nie przyszło mu łatwo, bo wciąż mnie nie puszczał, a ja pomachałam jej na pożegnanie tak, jak moja babcia, kiedy wzięli ją na operację, której nie przeżyła. Sprowadził mnie ze sceny, pod którą czyhało już sześciu kamerzystów, nasłanych przez Nitę. Ze wszystkich stron błyskały flesze. (*Lanny, spójrz tutaj! – Jak się pani nazywa? – Lanny, jesteś w kontakcie z Vĩnce'em? Lanny, tutaj, proszę – Mogłaby pani przeliterować to nazwisko?*). Ich lampy błyskowe naprawdę mnie oślepiły. Nic dziwnego, że gwiazdy na premierach wyglądają na zaszcute i przerażone. Kiedy Lanny powiedział „Starczy, chłopaki” i zaprowadził mnie przez drzwi dla personelu do kuchni, odczułam ulgę – ale tylko do czasu, kiedy zorientowałam się, że zostałam z nim sam na sam.

- Zamienimy parę słów na osobności, podstępna suko – powiedział. - Masz coś przeciw? Bo jeśli tak, wrócę na salę i powiem tej twojej agentce z twojego ukochanego wydawnictwa Neuman i Newberry o numerze, jaki mi wykręciłaś. No to jak, pogadamy?

Nie czekając na odpowiedź, ścisnął moje ramię i pociągnął mnie za sobą w głąb korytarza, a potem schodami na górę.

- Znasz ten hotel, Bonnie? Bo ja bardzo dobrze.

- Posłuchaj, nie możesz mnie ot, tak, porwać... – zaprotestowałam mimo ogarniającego mnie przerażenia.

- Nie marudź, Bonnie. Nie zdecydowałem jeszcze, czy cię wsypać. Zachowuj się.

Wyszliśmy na mały zamknięty dziedziniec z kabinami plażowymi.

- Podoba się? Coś takiego w samym środku Hollywood Boulevard, kto by pomyślał. Dwie kondygnacje pokoiów wokół basenu. Dyskrecja gwarantowana. - Nie zwalniam kroku, zaprowadził mnie schodami na górę i otworzył niebieskie drzwi na drugiej kondygnacji. - Mój pokój. Marilyn lubiła ten hotel. - Zaprosił mnie gestem do środka. - Mówiła mi, że pierwszym zleceniem, jakie dostała jako modelka, było pozowanie na tamtej trampolinie w kostiumie kąpielowym frotte. Po latach przyjemnie jej się tu wracało ze świadomością, że jeśli nie ma ochoty, nie musi rozbiierać się do żadnej fotki, że może siedzieć w pokoju i rznąć się, z kim chce, albo, jeszcze lepiej, nie rznąć się z nikim. Tym właśnie był dla niej sukces. Po-  
czuciem, że z nikim nie musi się pieprzyć. - Zaciągnął zasłony.

Usiadłam na łóżku, pocierając ramię.

- To bolało. Nie myśl, że ci wszystko wolno.

- Przykro mi, ale sławnym ludziom wolno więcej. I mogą liczyć na bardziej sprawiedliwe traktowanie. Na przykład, za zabójstwo nie dostają kary śmierci, tylko dożywocie. Stowarzyszenie Aktorów uzgodniło to z sądami. - Odsunął krzesło od biurka i usiadł naprzeciwko mnie. Za jego plecami wisiały kolorowe zdjęcia bazyliki Sacré-Coeur i Montparnasse. - I pozwól, że przypomnę ci, że z nas dwojga to ty złamałaś prawo, Bonnie Trout. Podałaś fałszywe nazwisko i fałszywy adres, a wszystko po to, by wyciągnąć poufne informacje od konkurencji. O to właśnie chodziło, zgadza się?

Zerwał się, podszedł do małej lodówki i wyjął puszkę piwa Pabst Blue Ribbon.

- Zaszło ci trochę w ustach, Bonnie? - spytał.

- Tak.

- Nic dziwnego. - Zamknął lodówkę, otworzył puszkę i zaczął pić.

- Chwila, moment - powiedziałam z całą mocą, jaką byłam w sta nie z siebie wykrzesać. - Owszem, podałam fałszywe nazwisko. Przepraszam. Okłamałam cię. Nie zrobiłam tego z premedytacją, byłam kompletnie zaskoczona, kiedy nagle się okazało, że lecimy jednym samolotem, tym bardziej że wcześniej czytałam twoje pamiętniki i bezskutecznie próbowałam namówić cię do współpracy. Jedno kłamstwo pociągnęło za sobą następne i nie mogłam z tego wybrnąć. W końcu powiedziałabym prawdę.

Prychnął pogardliwym śmiechem.

- Kiedy? Po tym, jak usłyszałyśmy od jakiegoś reportera: „Hej, Lanny, ta laska, którą trzymasz za rękę, to nie nauczycielka nazwiskiem Trout, jak wszystkim opowiadasz, tylko dziennikarka, nazywa się O'Connor, wypilem z nią niejednego drinka w Old Town Bar, nawiasem mówiąc, pisze o tobie demaskatorski artykuł, nie wiedziałaś?”. Wtedy powiedziałabyś prawdę, tak? - Rzucił we mnie puszką, ale trafił w ścianę. Chyba celowo.

- A ty co, święty jesteś? - odparowałam. - Zerznąłeś mnie i zostawiłeś jak trupa!

- Wal się. Nie rób szopki w stylu „najlepszą obroną jest atak”. Nie masz nic na swoją obronę. Idź, rozbierz się. - Wskazał ruchem głowy łazienkę.

Pewnie nie byłam pierwszą młodą kretynką, której w takiej sytuacji przez głowę przemknęła myśl: „Jeśli mnie zgwałci, udam, że oddałam mu się z własnej woli, i jakoś go uspokoję”. Takie kobiety zwykle giną.

Miałam wyrzuty sumienia, nie chciałam, żeby mnie nienawidził... ale z drugiej strony, w Nowym Jorku okropnie się ze mną obszedł, a teraz obrzucał mnie obelgami. Wezwałam na pomoc ducha Marilyn. Nie musiałam się pieprzyć, jeśli nie miałam ochoty.



- Nie - powiedziałam. - Jeśli mnie dotkniesz, zacznę krzyczeć tak głośno, że chłopaki z obsługi wedrą się tu przez okno, a wtedy, czy nazywam się Trout, O'Connor czy Bouton, ty będziesz Lannym Morrisem, Ulubionym Gwałcicielem Ameryki.

Myślałam, że mnie uderzy, i doszłam do wniosku, że mój pierwszy krzyk będzie musiał być jak najgłośniejszy, bo drugiego już pewnie nie zdołam z siebie wydobyć. On jednak przeszedł obok mnie i rozsunął lustrzane drzwi garderoby.

- Nie pochlebiaj sobie. Włóż to. Wychodzimy, już.

Na wieszaku wisiała luźna, szarobrązowa sukienka w moim rozmiarze. Z górnej półki Lanny ściągnął ciemne okulary i blond perukę. Odwróciłam się do niego.

- Zawsze trzymasz babskie ciuchy w pokoju hotelowym?

Skrzywił pogardliwie usta. Wyglądał jak Elvis-intelektualista.

- Myślisz, że byłem tu przypadkiem? I że ty byłaś tu przypadkiem? Wczoraj rano poprosiłem Jima Boutona, żeby poszedł mi na rękę i odwołał udział w uroczystości. Zgodził się bardzo chętnie. Powiedziałem organizatorom, że jeśli namówią cię, byś wręczyła nagrodę zmarłemu Arthurovi Conklinowi, który z oczywistych przyczyn nie mógł przyjść po nią osobiście, to odbiorę ją w jego imieniu, pod warunkiem, że zachowają to w tajemnicy przed tobą, twoim wydawcą i twoją agentką. Nie wahali się ani chwili.

Zakłęłam w duchu. A jednak moja gwiazda nie świeciła jaśniejszym blaskiem. To Lanny dla własnych celów załatwił mi zaproszenie.

- Jak dowiedziałeś się, kim jestem? - Byłam ciekawa, czy to Reuben się wygadał, ale przypomniałam sobie, że znał mnie tylko jako Bonnie Trout. Poza tym nie był typem człowieka, który poleciałby do Lanny'ego z sensacyjną nowiną, że jestem w mieście. Już prędzej próbowałby mi oszczędzić dalszych kontaktów ze swoim chlebodawcą.

- Od twojej koleżanki - odparł obojętnie, oglądając blond perukę. Najwyraźniej nie zamierzał podać więcej szczegółów. - Przebierz się.

Z narastającym niepokojem zastanawiałam się, co robi Lanny, kiedy już włożę przygotowany przez niego strój.

- Nie rozumiem. Po co to przebranie? - spytałam.

- Po to, żeby nikt cię ze mną nie zobaczył - powiedział niedbałym tonem. - Dopiero co wystąpiłaś na rozdaniu nagród, dziennikarze wiedzą już, kim jesteś i nad czym pracujesz, odstawiłaś swój zabawny numer, część fotoreporterów pewnie zaczęła się przy mojej limuzynie. Jeśli się na nich natkniemy, wołę, żeby zobaczyli mnie z tajemniczą blondynką, a nie z dziennikarką, która pisze książkę o mnie z moim byłym partnerem. Wyglądałoby to tak, jakbym polecał twoją książkę, a nawet ci pomagał, i bynajmniej nie starał się odwieść cię od jej napisania, choć tak naprawdę z

prawnikami do tego właśnie dążymy! - Przeszył mnie wściekłym wzrokiem i uśmiechnął się dziwnie. - Dlatego idź się przebrać.

Po kilku minutach prowadził mnie już wewnętrznym korytarzem na parterze. Goście mieszkający na tej kondygnacji na ogół wychodzili z pokoi przez rozsuwane szklane drzwi, prowadzące na porośnięty bujną roślinnością taras z basenem, skąd mogli przejść do samego hotelu. Przyjemna, słoneczna trasa. Inna możliwość była taka, by wyjść z pokoju głównymi drzwiami; trafiało się wówczas na korytarz, z którego korzystały przede wszystkim pokojówki i obsługa. Tędy właśnie Lanny zaciągnął mnie do wejścia służbowego, którym dostarczano pranie. Zeszliśmy po kilku stopniach na dół i znaleźliśmy się na parkingu na tyłach Roosevelta. W górze zobaczyłam wielkie litery, zamontowane na kracie na dachu hotelu, dumnie, choć na wspak prezentujące jego nazwę. Za pojemnikiem na śmieci przyciała się limuzyna. Oparty o nią stał szofer o surowej twarzy i szerokich barach, ubrany w za ciasny uniform. Na widok Lanny'ego otworzył tylne drzwi i rozejrzał się za fotoreporterami. Nigdzie nie było przedstawicieli mediów. Wyglądało na to, że Lanny niepotrzebnie kazał mi się przebrać.

- Wszystko gra, panie Morris? - spytał szofer. - Teraz do domu? - Wyglądał o wiele groźniej niż Michael Dougherty.

- Zawieziemy tę panią na jej następne spotkanie, Dominic. Do Bel Air. - Spojrzał na mnie. - Umówiłaś się z Vince'em, zgadza się? Nita Cowan mówiła, że tak jej powiedziałaś. Siedziałem z nią przy waszym stoliku, kiedy ty na scenie odstawiałaś komika.

To był koniec. Dominic zasunął dzielącą nas od niego szybkę i ruszyliśmy Highland w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca.

Lanny wyjrzał przez przyciemnianą szybę. Taką samą minę miał wtedy, kiedy opowiadał, jak został pobity przez gang na Brooklynie.

- Jak ci się udało dostać w samolocie miejsce za mną? - spytał wreszcie. - To musiało cię kosztować sporo zachodu.

- To był czysty zbieg okoliczności - powiedziałam ponuro. Nie miałam wątpliwości, że wszystko, co robiłam czy mówiłam, od tej pory interpretowane będzie z dużą dozą cynizmu. - Teraz moja kolej. Jak mogłeś tamtego ranka zostawić mnie samą w Plaza?

- Nawet nie próbuj dramatyzować. Spałaś, byłaś nieprzytomna po naszej gimnastyce. Ja zresztą też, ale Reuben obudził mnie i powiedział, że wieczorem mam być w Hollywood Bowl, by zastąpić dyrygenta orkiestry Filharmonii Los Angeles. To był koncert charytatywny na rzecz Klubu Lanny'ego. Miał go poprowadzić Sid Caesar, ale Sid, sama rozumiesz... Musiałem się śpieszyć, żeby zdążyć na najbliższy samolot. Wiedziałem, że znów się spotkamy. I, jak widać, miałem rację.

Uśmiechnął się do mnie zimno i w tej samej chwili za szybą przemknął przypominający igloo gmach Cinerama Pacific Dome.

- Mogłeś zostawić kartkę czy zadzwonić.

- Nie chciałem cię budzić, w samolotach nie ma telefonów, kiedy dotarłem do Los Angeles, ciebie nie było już w hotelu, a poza tym zostawiłem ci kartkę z numerami, pod którymi można mnie było złapać - powiedział, nie patrząc na mnie.

- Gdzie ją zostawiłeś?

- Nie wiem, chyba obok ciebie, na poduszce. Jeśli nie tam, to w salonie. Może pokojówka ją wyrzuciła.

Cóż za mało pomysłowe kłamstwo.

- A kiedy się do ciebie nie odzywałam, nie przyszło ci do głowy, żeby spróbować do mnie zadzwonić?

- Dzwoniłem. Twój telefon... to znaczy telefon Bonnie Trout był wyłączony.

- Co ty powiesz.

- Tak, nie było sygnału. Próbowałem kilka razy.

Nic mnie nie irytuje bardziej niż mężczyźni, którzy uważają kobiety za tak głupie (lub tak w nich zadurzone), że da się im wcisnąć najgorszy kit. A że nie zawsze wyprowadzamy ich z błędu... cóż, nie mamy takiego obowiązku. Ja sama od wyjazdu z Nowego Jorku dzwoniłam do Bonnie prawie codziennie i ani razu nie miałam kłopotu z uzyskaniem połączenia, podobnie jak ona, kiedy telefonowała do mnie z mojego mieszkania w Los Angeles. Niedługo dostanę rachunek, tam będzie to widać czarno na białym. W najgorszym razie Lanny połączyłby się z biurem odbierania połączeń. Telefon ani przez chwilę nie był wyłączony.

- I nie próbowałaś szukać mnie, to znaczy Bonnie, w mojej szkole?

- Słuchaj no, o czym my w ogóle rozmawiamy? - wydarł się na mnie, najwyraźniej chcąc uniknąć wchodzenia w szczegóły. - Nie zrozumiałaś, co do ciebie mówiłem? Nie podobasz mi się. Żałuję, że cię poznałem. Zrobiłaś mnie w konia, pewnie nieźle się przy tym uśmiełaś... Jestem jednym z największych komików ostatnich lat i ludziom wolno śmiać się ze mnie tylko wtedy, kiedy ich rozśmieszam!

- Wychylił się do przodu i warknął na Dominica: - Jedź Stone Canyon Road.

Zjechaliśmy z Bulwaru Zachodzącego Słońca, kierując się do domu Vince'a „rozsądną” trasą, którą sama odkryłam po pierwszej wizycie u niego.

- Nie wykręcisz się - mruknął Lanny drwiącym tonem. - Podałaś cudze nazwisko. Zabrałaś mnie do swojego mieszkania... przepraszam, do mieszkania Bonnie, i powiedziałaś, że tam mieszkasz. Kilka dni wcześniej przeczytałaś mój rękopis, którego nie widział prawie nikt na świecie. Nie

pomyślałaś, że przydałoby się o tym wspomnieć, kiedy się poznaliśmy? Albo chociaż zanim poszliśmy do łóżka?

- Chciałam ci to powiedzieć.

- Kiedy?

Limuzyna zaczęła piąć się Tortuoso Way pod górę.

- Nie wiem - przyznałam.

Najgorsze, że ta przeprawa z Lannym to jeszcze nie koniec. Teraz będę świadkiem *son et lumière* szoku, zaskoczenia, gniewu, gorczy i pogardy Vince'a. Zakosztowałam seksu z jego byłym partnerem i zapomniałam mu o tym powiedzieć. Pozwoliłam, by myślał, że książka powstaje bez udziału Lanny'ego, gdy tak naprawdę nie dość że czytałam fragmenty jego wspomnień, to jeszcze wyciągałam je z niego osobiście. Wymyśliłam sobie przyrodniego brata i rozrzuciłam jego prochy po Everglades. Obludo, imię twe O'Connor.

- Jak mnie zdemaskowałeś? - spytałam, nie mogąc się powstrzymać. Lanny wychylił się do przodu.

- Stań tu, Dom - powiedział do szofera.

Zjechaliśmy na pobocze, żwir zachrzęścił pod kołami i powoli zatrzymaliśmy się przy niskim domu z kominem i niebieskimi okiennicami. Po lewej stronie biegł ten sam nieoznakowany podjazd z pomalowanymi na biało kamieniami po bokach, który prowadził do rezydencji Vince'a. Lanny miał zadowoloną minę detektywa ujawniającego tożsamość mordercy zebranych w gabinecie podejrzanych.

- W ostatni piątek musiałem być w Waszyngtonie, żeby podliznąć się paru kongresmanom. Klub Lanny'ego potrzebuje funduszy federalnych. W sobotę przemawiałem na uroczystym śniadaniu, zorganizowanym dla moich dzieciaków, resztę dnia miałem dla siebie. Niedawno uruchomiono nowe połączenie kolejowe z Nowym Jorkiem, nazywa się Metroliner. Stacja jest niedaleko twojego domu... bardzo dobrze go zapamiętałem. Pomyślałem, że zamiast lecieć z Dulles do Los Angeles, zarezerwuję bilet na lot z JFK. Myślałem o tobie. Chciałem zrobić ci niespodziankę.

W wolnym tłumaczeniu: byłem sam w Waszyngtonie i miałem ochotę na seks.

- Po przyjeździe kupiłem więc kwiaty, jak zwykle założyłem blond perukę, żeby nikt mnie nie poznał...

- Ilia Kuriakin - powiedziałam głośno.

- Co znowu?

Przypomniało mi się, jak Beejay opowiadała o blondwłosym, ostrzyżonym na pazia posłańcu.

- Wyglądałeś jak Ilia Kuriakin. Postać, którą David McCallum grał w „The Man from U.N.C.L.E.”.

Lanny zastanowił się.

- Fakt, w tej peruce jestem trochę do niego podobny. W każdym razie dzwonię do ciebie przez domofon. Pod guzikiem jest nazwisko „B. Trout”. Pytasz „Kto tam?”. Ja mówię: „Kwiaty dla Bonnie Trout”. Wpuszczasz mnie do środka. Wjeżdżam na górę windą. Otwierasz drzwi. I okazuje się, że ty to nie ty.

Biedna Beejay. Kwiatów nie wysłał jej ani wicedyrektor, ani zakochany w sobie aktor. Co gorsza, spotkała Lanny'ego Morrisa i nawet o tym nie wiedziała.

- Kobieta, która nie jest tobą, mówi: „Tak?”. Ja na to: „Kwiaty dla Bonnie Trout”. Ona odpowiada: „To ja”. Poczulem się jak dureń. Miałem ochotę spytać: „No to kim jest ta dziewczyna, która mówi, że jest tobą?”, ale myślę sobie, lepiej nie, jeszcze ci narobię kłopotów. Nie wiedziałem, co jest grane. Jedno było pewne: nie mogłem pozwolić, by ta panienka mnie rozpoznała. Lanny Morris nie może nachodzić nieznanym kobietom z East Thirties. Dlatego wróciłem pociągiem do Waszyngtonu, kompletnie zбитy z tropu. W niedzielę odwołałem odwołanie przemówienia na Lunchu Eklezjastycznym. Wieczorem poleciałem z Dulles do Los Angeles.

Zapukał w szybę dzielącą nas od szofera i Dominic opuścił ją. Lanny poprosił go o coś do pisania i kawałek kartki. Dominic wyjął z kieszeni koszuły długopis i podał mu go wraz z dzisiejszym numerem „Hollywood Reporter”. Lanny napisał coś na ostatniej stronie, zasłaniając ją ramieniem przede mną. Po chwili oddał czasopismo i długopis szoferowi.

- Dom, kiedy wysiądziemy, zamówisz połączenie z tym numerem przez telefon samochodowy - poinstruował go. - Tylko nie mów głośno, jest zastrzeżony.

Cóż, skoro Lanny znał już ten numer i podał go szoferowi, osobą, wobec której miał być zastrzeżony, musiałam być ja. Lanny otworzył drzwi, wysiadł i dał mi znak, żebym zrobiła to samo. Telefon samochodowy nie miał tarczy, rozmowę zamawiało się u telefonistów z centrali. Tyle zachodu, żebym nie poznała jakiegoś numeru. Z drugiej strony, w tej chwili czułam się bezpieczniej na powietrzu niż na tylnym siedzeniu limuzyny prowadzonej przez oprycha imieniem Dominic.

Obok nas przejechał samochód, którego kierowca bynajmniej nie zdziwił się na widok mężczyzny w szytym na miarę smokingu, stojącego na słońcu obok limuzyny w Bel Air. Dla zabicia czasu Lanny podjął przerwana opowieść, przybierając tak swobodny ton, jakby zachwalał film grupie znajomych przy drinkach w Polo Lounge.

- Jest tu w Los Angeles firma, która dba o moje bezpieczeństwo. Wiedziałaś, że jeśli zatrudnisz odpowiednich ludzi, możesz uzyskać dostęp do billingu każdego abonenta? W poniedziałek podałem im nazwisko i

adres Bonnie Trout. We wtorek po południu byłem umówiony z Vince'em i dziennikarką nazwiskiem O'Connor, ale tak się akurat złożyło, że rano miałem ważne zdjęcia z kotem imieniem Morris. Mieliliśmy robić za nowy duet komików, Morris i Morris. Pomysł był taki: stoimy w studiu przerebionym na wewnątrz klubu nocnego, Morris rzuca znane teksty Vince'a, ja mówię „Z takimi żartami przyda nam się dziewięć żyć”, bo widzisz, „Dziewięć Żyć” to nazwa reklamowanego przez nas pokarmu, bardzo to głębokie jak na czterdziestodwuletniego mężczyznę. Tyle że przyszedł człowiek z Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt i okazało się, że Morris nie może przebywać w świetle reflektorów dłużej niż pięć minut w ciągu każdej półgodziny, w dodatku reżyser uważał się za Ottona Premingera, tyle że do n-tej potęgi. Charakteryzacja skończyła się cztery godziny później, niż planowano, i dowiedziałem się od Vince'a, że już wyjechałaś do Nowego Jorku. A propos, co tam u brata? Nie odpowiedziałam.

- Tego wieczoru miałem już przed sobą billingi Bonnie Trout. Najbardziej interesowała mnie ta noc, kiedy zostawiłem cię w jej mieszkaniu po tym, jak przylecieliśmy razem z Los Angeles. W końcu spędziłaś dzień z Lannym Morrisem we własnej osobie. Komu chciałabyś się pochwalić najpierw? - Uśmiechnął się, świadom, jak te słowa brzmią w jego ustach. - Cóż, tej nocy odbyłaś tylko jedną rozmowę międzymiastową, ale za to trwała ona ni mniej, ni więcej, tylko trzy godziny! Zadzwońska na koszt rozmówcy na numer w Los Angeles, obsługiwany przez centralę w Radio City. Wykręcąc go więc, łączę się z biurem odbierania połączeń. Podają twoje nazwisko. To samo nazwisko nosi dziennikarka, którą miałem spotkać u Vince'a! Każę więc moim ludziom zdobyć twoje zdjęcie, ale w twoich artykułach znajdują tylko jedno, i, co gorsza, jesteś na nim w masce. Wtedy skontaktowałem się z organizatorami rozdania Scotty'ch i zawarłem z nimi układ, by wyciągnąć cię na scenę w Roosevelcie. Chciałem ci się dobrze przyjrzeć. Wyglądałaś świetnie, Bonnie.

Szyba po prawej stronie opuściła się.

- Już łączą, panie Morris - powiedział Dominic.

Lanny włożył rękę do samochodu i wyciągnął telefon za okno na taką odległość, na jaką pozwalała się rozciągnąć skręcony kabel.

- Halo, Vince? To ja - powiedział.

- Nie musisz mu o tym mówić - szepnęłam. - To dotyczy tylko nas, to sprawa osobista.

Spojrzał na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

- Nie gadaj głupot. - Odwrócił się z powrotem do telefonu. - Hej, monsieur Collins, wizytę ci chciałem złożyć. Taką osobistą. Czy ja wiem... może być za trzy minuty? - Przez chwilę słuchał Vince'a.

- Poważnie? To było tak dawno temu? O rany, ależ ten czas leci, kiedy czas leci. No, wiem. Uhm. - Vince powiedział coś, co wywołało żywą reakcję Lanny'ego. - Ona też przyjdzie? Ta, co pisze twoją książkę? Jak ona się nazywa, Bonnie jakaś tam? Aha. Nie, nie wiedzieć czemu wydawało mi się, że ma na imię Bonnie. Nie mam pojęcia, skąd mi to przyszło do głowy. - Spojrzał na mnie z wyższością. Widać było, że świetnie się bawi. - Nie, nie, nie zostanę długo. Chciałem ci tylko coś podrzucić. No jasne, lubię być tajemniczy.

Oddał telefon szoferowi i gestem zaprosił mnie do limuzyny. Czy miałam jakieś wyjście z tej sytuacji? Co by się stało, gdybym uciekła? Lanny i tak powiedziałby o wszystkim Vince'owi. Lepiej, żebym przedstawiła mu swoją wersję wydarzeń, zanim były partner do reszty nastawi go przeciwko mnie. Powoli minął nas następny samochód, kabriolet. Za kierownicą siedziała starsza kobieta o brzydkiej, wychudłej twarzy; widać było, że ma za sobą nieudaną operację plastyczną okolicy ust. Ależ by była zadowolona, pomyślałam, gdyby wiedziała, jak bardzo chciałam w tej chwili zamienić się z nią miejscami. Wolałabym być kimkolwiek, byle nie sobą.

Kiedy ruszyliśmy pod górę między białymi kamieniami, Lanny wyglądał, jakby o czymś intensywnie rozmyślał. Wreszcie zaczął mówić, zupełnie innym tonem niż do tej pory.

- Posłuchaj, wiem, że myślisz, że jesteś cwana, i masz rację, choć nie jesteś tak cwana, jak ci się wydaje. To nic. Gdybyś jednak jakimś cudem miała nadal widywać się z Vince'em, chcę, żebyś nie próbowała być przy nim zbyt cwana. Widzisz, Vince nie jest przesadnie lotny. To prawda, jest inteligentny, wrażliwy... słyszałem nawet, że ostatnio dużo czyta, ale będę z tobą szczerzy, nie zawsze robi to, co dla niego najlepsze. Szuka najprostszycch rozwiązań bez myślenia o konsekwencjach. I podobnie jak ty, uważa się za o wiele mądrzejszego, niż jest.

To były brednie wygłaszane przez zawistnego człowieka. Limuzyna podjechała do bramy. Dominic wcisnął guzik interkomu i podał nazwisko Lanny'ego. Brama otworzyła się i oto, po krótkim antrakcie i lapidarnym wykładzie, byliśmy zwarci i gotowi na drugi akt „Najgorszego dnia w moim życiu”.

Za przednią szybą zobaczyłam Vince'a wychodzącego z zadaszonego dziedzińca. Miał na sobie ładny granatowy garnitur i klubowy krawat; pierwszy raz widziałam go w takim stroju. Pomyślałam, że dziwnie się ubrał na wznowienie naszych rozmów.

- O rany, Vince Collins. Nieźle wyglądasz, stary - mruknął Lanny bez krzty sarkazmu. Odwrócił się do mnie. - Zaczekaj tu chwilę. Kilkanaście lat go nie widziałem i nie wiem, czy jeszcze kiedyś zobaczę, więc nie chcę, żeby nasza rozmowa od samego początku obracała się wokół ciebie. - Nie czekając na moją odpowiedź, wysiadł z limuzyny.

- Pilnuj jej - rzucił do szofera, zamknął drzwi i usłyszałam trzask zamków.

Nacisnęłam klamkę, ale Dominic musiał włączyć blokadę. Mogłam tylko obserwować to historyczne spotkanie przez przyciemniane szyby i próbować czytać z ruchu ust uczestników.

Stali i patrzyli na siebie. Lanny powiedział bezgłośnie: „Cześć, Vince”. Vince chyba odparł: „Cześć, Lanny”. Jeden był w smokingu, drugi w ciemnym garniturze z krawatem; kiedy występowali w nocnych klubach albo wykonywali swoje skecze w telewizji, ubierali się w identyczne smokingi lub garnitury. Dziwnie to wyglądało, kiedy tak długo stali razem, nie robiąc nic śmiesznego.

Jak dotąd to spotkanie na szczycie nie przypominało rozmowy Stalina i Roosevelta w Jałcie. Wyglądało na to, że Lanny powiedział: „Cieszę się, że tak dobrze ci się powodzi”. Vince zrewanżował mu się jakąś równie uprzejmą uwagą. Obaj zaśmiali się. Potem rozmowa stała się poważniejsza. Lanny spytał o coś. Vince utkwiał wzrok w czubkach butów i odpowiedział, kręcąc głową.

Zastukałam w szybę dzielącą mnie od szofera i Dom odwrócił się.

- Nie macie tu wody? - Zakaszłałam głośno.

Pokręcił głową i odwrócił się z powrotem. Jakież on kochany.

Zakaszłałam jeszcze trzy razy i przy ostatnim długim kaszlnięciu wcisnęłam guzik obok okna. Szyba opuściła się o jedną trzecią. Wyglądało na to, że Dom niczego nie zauważył. Wytężyłam słuch, by usłyszeć chłopaków.

- Wiem, ale mam to pod kontrolą. (To mówił Vince).

- Nadal pijesz?

- Nie zawsze, czasem bywam trzeźwy. Nie, nie, żartuję. Panuję nad sytuacją. Dzięki, czasem bywasz. Ale żebyś ty wiedział, jakie cuda można sobie załatwić...

- Tylko z tym nie przeszarżuj - poradził Lanny. - Wiesz, przez tę twoją książkę...

- Wiem.

Stali w milczeniu. Słońce postanowiło oświetlić to ujęcie przez zielony filtr, więc schowało się za wielką brudną chmurą. Vince wskazał ruchem głowy smoking Lanny'ego.

- Ładny ciuch.

- Projektował go Paolo. Musiałem odebrać nagrodę. W zastępstwie.

Vince parsknął śmiechem.

- Nagrody. Nie dostałem żadnej od... ty masz to swoje humanitarne stowarzyszenie czy jak to tam zwał.

- I chwała Bogu. Wiesz, za film nie mogą cię aresztować. Słyszałeś, że proponowali mi tytułową rolę w „Portrecie Doriana Graya”?



- Ty miałbyś grać Dorianą Grayą?  
- Nie, portret - powiedział Lanny swoim „oficjalnym” głosem. - Uderzenie w bęben. Człap-człap na kostkach.  
- Bym ci łeb rozwalil, gdybyś go miał na karku, małpo - wyrecytował monotonna Vince.

Przeszli do swojej rytualnej wymiany złośliwości niejako z rozpędu, ale dociągnęli ją do końca, jakby bali się, że nie odmawiając całej litanii, ściągną na siebie wielkie nieszczęście.

W tle do tej pory rozbrzmiewał szum samochodów jadących drogą daleko w dole. Teraz jednak na chwilę zrobiło się cicho, jak to bywa w restauracji, gdy dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie rozmowy milkną jednocześnie. Usłyszałam już wyraźniej:

- Ty wiesz - powiedział Vince. - Prawda?

Lanny poruszył dłońmi, jakby porównywał ciężar dwóch worków złota.

- Vince, doszedłem do tego drogą eliminacji. Rozumiesz? To czysta matematyka. Stąd wiem.

Vince spojrział na Lanny'ego tak, jakby z jego ust padło podchwytliwe pytanie.

- Ale wystarczyłoby, żebyś kłamał, i cała matematyka przestaje cokolwiek znaczyć. A przecież przyszłoby ci to łatwo. - Jego twarz zmartwiała. - Wiesz co, Lanny? Cieszę się, że się rozstaaliśmy.

- Nie bardziej niż ja, stary. - Spojrzeli na siebie, jakby doszli do nowego porozumienia. Lanny klasnął w dłonie. - A teraz będziesz z tego jeszcze bardziej zadowolony. Otóż, *frère* Collins, przynoszę ci złe wieści.

Podszedł do limuzyny. Dominic wcisnął guzik zwalniający blokadę i kiedy rozległ się kwadrofoniczny trzask zamków, Lanny otworzył drzwi po mojej stronie.

- Wsiądź i poznaj Vince'a, skarbie - powiedział.

Nigdy jeszcze nie znalazłam się w takiej sytuacji. Choćby nie wiadomo co, nie zamierzałam wsiąść ze spuszczoną głową, gryząc paznokiec ze wstydu. Z drugiej strony, w tych okolicznościach nie miałam co udawać, że nic się nie stało, i zgrzywać dumnej bezwstydnicy. Dałam się złapać, bez wątplenia postąpiłam niewłaściwie. W tej chwili jednak postanowiłam, że nie pozwolę, by taki kutas jak Lanny Morris dostał to, czego oczekuje.

Wsiadłam z limuzyny, biorąc ze sobą torbę na pranie, zawierającą suknię, którą miałam na uroczystym lunchu. Vince przeżył autentyczny szok, kiedy mnie zobaczył, w to byłam w stanie uwierzyć. (Z drugiej strony, wierzyłam, że w „Linii Maginota” naprawdę płakał, kiedy Elke Sommer umarła w jego ramionach, a, o ile wiem, Elke żyje i ma się dobrze). Vince spojrział na mnie, na Lanny'ego, potem znów na mnie.

- Nie rozumiem.

Przybrałam rzeczowy ton niezależnego audytora, przemawiającego na zebraniu udziałowców.

- Vince, kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu polecałam do Nowego Jorku i, ku mojemu zaskoczeniu, w samolocie przypadło mi miejsce za Lannym. Bilet zarezerwowany był przez biuro podróży współpracujące z Neumanem i Newberrym, ja nie miałam z tym nic wspólnego. Jeśli chcesz, możesz to sprawdzić. Czy Lanny tylko przypadkiem usiadł przede mną, to sprawa dyskusyjna.

- Proszę cię... - jęknął Lanny.

- Ponieważ w pierwszej klasie stoliki nakrywane są dla czterech osób, chcąc nie chcąc, musiałam zjeść obiad z Lannym, jego menedżerem i służącym. Spytałi, jak się nazywam. Vince, niewiele wcześniej przeczytałam pierwszy rozdział autobiografii Lanny'ego, w oczywisty sposób konkurencyjnej dla naszego przedsięwzięcia. Jego prawnicy udostępnili mi go w nadziei, że w ten sposób zniechęcą nas do kontynuowania pracy. Ponieważ uznałam, że Lanny najprawdopodobniej widzi we mnie wroga, odruchowo przedstawiłam mu się nazwiskiem przyjaciółki, w której mieszkaniu na Manhattanie zamierzałam się zatrzymać. Innymi słowy, okłamałam go i jestem odpowiedzialna za wszystkie konsekwencje tego kłamstwa. Myślałam wtedy, że muszę tylko jakoś dotrzeć do końca lotu i niezręczna sytuacja sama się rozwiąże, kłopot polega jednak na tym, że pan Morris, jak zapewne wiesz, potrafi się doskonale zareklamować. Następnego dnia poszliśmy na mecz, podczas którego śpiewał przy pełnych trybunach stadionu Shea. Potem zawiózł mnie śmigłowcem na dach drapacza chmur na Manhattanie, wynajął salę w restauracji, żebyśmy mogli w spokoju sączyć ogromne martini, zabrał mnie na obowiązkową przejażdżkę jednokonką po Central Parku i, Vince, muszę przyznać, że kiedy wróciliśmy do jego hotelu, byłam kompletnie zaślepią, zamotana i zalana.

Vince skinął głową.

- Spałaś z nim.

- Z tego, co pamiętam, powiedziała, cytując: „Och, weź mnie, proszę!” - wtrącił Lanny.

Pokręciłam głową.

- Przysięgam, że nic takiego nie mówiłam.

I mogłam to przysiąc z czystym sumieniem, bo tak naprawdę powiedziałam: „Och... oczywiście, tak, weź mnie. Jak najbardziej”, a to zupełnie co innego, przynajmniej według standardów poprawności politycznej.

- Tak naprawdę niewiele pamiętam z tego, co działo się potem. - Kolałsalne kłamstwo. Pamiętałam wszystko, i to doskonale. Dopóki Lanny nie okazał się największym łajdakiem na świecie, miałam nadzieję, ba, byłam

przekonana, że „to, co działo się potem”, zdarzy się jeszcze nieraz. Nie potrafił jednak czytać mi w myślach, nie miał pojęcia, jak wiele ta noc dla mnie znaczyła, jak gorąco wierzyłam przed zaśnięciem, że po przebudzeniu rozpocznę nowy etap mojego życia, nie mógł więc wiedzieć, jak bezczelnie teraz skłamałam. - Mogę tylko powiedzieć, że następnego ranka Lanny wyjechał bez słowa. Potem nie kontaktował się ze mną. Dziś zobaczyłam go po raz pierwszy od tamtego wieczoru. Vince, taka jest prawda. Lanny obrócił się wkoło.

- Vince, wciska ci taki kit, że aż słów brakuje.

Vince skinął głową.

- No dobrze. Co z tego, co powiedziała, jest kłamstwem?

- Chodzi o to, jak to opowiedziała - wyrzucił z siebie Lanny. - To podstępna suka, Vince. Nie możesz jej ufać. Rozumiesz? Tylko po to ją tu przywiozłem. Żeby cię ostrzec.

Vince wyjął z kieszeni paczkę papierosów Viceroy i zapalił jednego małą złotą zapalniczką. Wypuścił dym z ust i spojrzał na mnie.

- A zatem spałeś z moim byłym partnerem.

O Boże. Co mogłam powiedzieć?

- W zasadzie tak.

- Z zasadami chyba nie miało to wiele wspólnego - powiedział z półuśmiechem. - Jak sądzę, do niczego cię nie zmuszał? To znaczy, zrobiłaś to z własnej woli.

Cała ta sytuacja z jakiegoś powodu wydała mi się znajoma. Moją uwagę zwróciła mina Vince'a, niby uprzejma, ale przy tym urażona, jak u człowieka, który kolejny raz zawiódł się na ludziach i nie jest tym zdziwiony. Gdzie ja to już widziałam?

I wtedy sobie przypomniałam.

Widziałam to oczami wyobraźni, kiedy czytałam początek pierwszego rozdziału Lanny'ego z opisem sceny, jak to Vince „nakrył” go z Denise, specjalistką od PR z Florydy, której chciał się pozbyć. Czyżbym była świadkiem wyreżyserowanego spektaklu, wielkiego powrotu Collinsa i Morrisa? Czy wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia, czy tylko tak mi się zdawało? Na scenie klubu nocnego potrafili czytać sobie w myślach.

Nie zamierzałam poddać się jak Denise i uciec z podkulonym ogonem, by chłopcy mogli sobie poszukać następnej ofiary.

Zwróciłam się do Vince'a, jakby Lanny wyparował bez śladu.

- Po powrocie miałam wątpliwości, czy powinniśmy dalej pracować. W Nowym Jorku popełniłam potworny błąd. Nie wiem, jak cię za to przeprosić. Jeśli przez swój brak rozsądku i głupotę zniszczyłam naszą cudowną, ciepłą przyjaźń lub zraziłam cię do tego, jak zamierzaliśmy... - szukałam właściwego słowa - ...zakończyć naszą współpracę, jest mi z tego powodu

niewymownie przykro. Jednak powstanie twojej biografii nie powinno stać pod znakiem zapytania tylko dlatego, że mam wady, dwa wielkie martini to dla mnie za dużo, a twój były partner potrafi świetnie grać przed jednoosobową widownią. Proszę, pozwól mi dalej z tobą pracować, Vince. Pomogę ci opowiedzieć twoją historię, jak należy. Daj mi szansę, bym znów zasłużyła na twoje zaufanie, wiarę i przyjaźń.

Vince rzucił papierosa na ziemię i przydeptał go. Spojrzał na Lanny'ego.

- Miło było cię widzieć, koleżko. Za trzynaście lat trzeba się będzie znów spotkać.

Lanny ruszył w stronę limuzyny, ale zrobiwszy jeden krok, zatrzymał się i odwrócił do swojego byłego partnera.

- Tylko bądź ostrożny, Vince. - Powoli skierował wzrok na mnie. - Aha, i świetnie z tego wybrnęłaś, Bonnie. Jesteś jeszcze bardziej giętka, niż przypuszczałem. - Lanny poszedł do samochodu i tym razem się nie zatrzymał.

Kiedy limuzyna odjechała, słońce postanowiło wyłonić się zza chmur. Stałam i patrzyłam na garnitur Vince'a. Nigdy jeszcze nie widziałam tak jasno rozświetlonego granatowego materiału.

- Ładny garnitur - powiedziałam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Popatrzył po sobie, wyraźnie speszony.

- Pomyślałem, że pójdziemy na kolację. Zarezerwowałem już stół w takim dość niezwykłym lokalu, wymagającym tam eleganckiego stroju. Wczoraj uprzedzałaś przez telefon, że przyjedziesz w sukni z rozdania Scottych, więc uznałem, że to dobrze się składa.

Spojrzał na burą, rozszerzającą się ku dołowi sukienkę, w którą kazał mi się przebrać Lanny. Pokazałam mu torbę z motelu.

- Tu jest moja kreacja. W każdej chwili mogę się przebrać.

Odrócił się w stronę domu i podniósł oczy ku niebu.

- Och, na litość boską, przecież nie hodziłem się, że jesteś dziewicą. To nie szkoła średnia, my z Lannym nie jesteśmy rywalami w drużynie lekkoatletycznej. W porównaniu z ludźmi z show-biznesu jesteś święta. Kto wie, może Lanny zrobił wszystko, by cię uwieść, bo chciał mi wykręcić numer. Chodźmy do środka.

Weszliśmy do jego domu. Magnetofon stał na stoliku, prawie dokładnie tam, gdzie zostawiłam go przed trzema dniami. Kolejny dowód dobrych intencji Vince'a. Podniosłam oczy na tego człowieka, który właśnie zdejmował marynarkę i poluzowywał krawat. On był lekarstwem i rozwiązaniem wszelkich problemów.

Wzięliśmy się do pracy. W pewnym sensie. Zadawałam mu same niekłopotliwe pytania. Ani słowa o dziewczynie z New Jersey, której nazwisko

jakoś wyleciało mi z głowy. Vince, co mu się chwali, sam poruszył ten temat. Powiedziałam, że zważywszy na okoliczności, nie jest to najlepszy dzień na tak poważne rozmowy. Zrozumiał. W moim obecnym stanie nie zamierzałam cisnąć Vince'a Collinsa, który, miałam nadzieję, nadal mnie lubił i pragnął.

Jego odpowiedzi na moje delikatniutkie pytania były urocze, jak zawsze. Śmiałyśmy się. Ależ się cieszyłam, że mogę się z nim śmiać. Nagle Vince wstał. Wyglądało na to, że na dziś skończyliśmy.

- No, przebieraj się w tę swoją galową kieckę. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jedziemy się upić w Disneylandzie.

Myślałam, że żartuje. Ale, o rany, mówił serio. I to jak.

Projektanci Placu Nowoorleańskiego uczynili zeń prawdziwe чудо; był to istny labirynt, poprzecinany wylaniającymi się zniecacka małymi dziedzińcami, wijącymi się galeriami i zadziwiającymi arkadami, które przydawały uliczkom tej samej aury tajemniczości i obcowania z nieznanym, jakiej można doświadczyć na spacerze wokół Saint-Germain-des-Prés w szary poranek.

Podczas takiej właśnie przechadzki po tym Nowym Orleanie, zbudowanym w miejscu, gdzie niegdyś rozciągały się pomarańczowe gaje pod Anaheim, można nie zauważyć schowanych we wnęce niepozornych drzwi w kolorze morskim, z urokliwymi, zdobionymi ciepłą pozłotą kolumnami po bokach i dyskretnym okienkiem witrażowym na górze. Jedynym, co je w jakikolwiek sposób wyróżnia, jest adres na Royal Street: numer 33, misternie wygrawerowany na owalnej tabliczce po prawej stronie. Na lewo od drzwi (gdybyście nacisnęli klamkę, okazałyby się zamknięte) znajduje się mała mosiężna skrzynka z klapką, pod którą skrywa się guzik dzwonka. Jeśli go wciśnięcie, usłyszymy głos z głośnika w skrzynce spyta, w czym może pomóc. Jeśli nie udzielicie właściwej odpowiedzi, zostaniecie taktownie i grzecznie zachęeni do dalszego zwiedzania Disneylandu. Miłego dnia, usłyszycie na pożegnanie. I nigdy się nie dowiecie, jak niewiele brakowało, byście dostali się do najbardziej sekretnej zakątki Magicznego Królestwa: Klubu 33. To tam, zgodnie z obietnicą Vince'a, mogliśmy upić się w Disneylandzie.

Chciał mnie zabrać do klubu podczas naszej pierwszej wizyty, ale powiedziano mu, że klub jest zamknięty z uwagi na montaż nowego systemu wentylacji. Dzisiejszy dzień był pierwszym terminem, na który udało mu się załatwić rezerwację. Tylko członkowie klubu mogli tam jeść (i pić), a przywileju tego dostępowało się po uiszczeniu pokażnej składki; nie zaszkodziło też być, powiedzmy, ambasadorem Luksemburga, prezesem

General Motors czy Vince'em Collinsem.

Byliśmy ubrani nadzwyczaj stosownie do zapowiedzianej na siódmą kolacji. Tak jak poprzednio, weszliśmy do parku przez budynek administracji. Nasze eleganckie kreacje rzucały się w oczy w morzu T-shirtów, szortów z madrasu i czapek z Goofym; na szczęście ludzie akurat ustawiali się na trasie mającej wkrótce się rozpocząć parady na Main Street i większość wołała zająć się szukaniem miejsca, z którego mały Tommy mógłby zobaczyć Miki, niż obserwacją mnie i schowanego za ciemnymi okularami Vince'a, gdy przekradaliśmy się najkrótszą trasą na Royal Street.

Zabrzącał elektroniczny zamek i drzwi pod numerem 33 otworzył ubrany w uniform steward, który wyglądał, jakby przeniesiono go tu prosto z jadalni w pierwszej klasie liniowca Queen Elizabeth u. Światło elektrycznych świec i żyrandola uwydatniało róż dominujący w wyłożonym boazerią holu. Siedząca w recepcji atrakcyjna młoda kobieta podniosła słuchawkę staroświeckiego telefonu i, jak mieliśmy się potem dowiedzieć, poinformowała szefa sali o naszym przybyciu.

Powitała nas i spytała, czy na górę wolimy wejść schodami, czy wjechać windą (a ściśnię, klatką z kutego żelaza w stylu wiktoriańskim, ciasno okoloną krętymi schodami). Byłam ciekawa, czy ktoś kiedykolwiek wybrał schody.

Chłopak, który nas wpuścił, zajmował się też obsługą windy, która zawiozła nas do Lounge Alley. Tam przy małym biurku siedział szef sali, na imię miał William. To pomieszczenie także wyłożone było ładną boazerią, a na ścianach wisiały oryginalne obrazy ze studia Disney, głównie pejzaże. Nigdzie ani śladu Donalda, Goofy'ego czy Miki. Równie dobrze mogliśmy znajdować się w recepcji eleganckiego hotelu w Oslo. Przechodząc obok budki telefonicznej w stylu wiktoriańskim, dowiedzieliśmy się od Williama, że wykorzystano ją w filmie „Najszczęśliwszy milioner”. Vince nachylił się ku mnie.

- Kiedy skończymy naszą książkę, to ja będę najszczęśliwszym milionerem - szepnął.

To był tylko ot, taki żarcik, ale w tej chwili znaczyl dla mnie więcej niż cokolwiek innego, co Vince mógł powiedzieć. „Nasza” książka. Skończymy ją. Razem. Będziemy nadal współpracować. Wszystko wracało do normy.

Jako że była to moja pierwsza wizyta, William zaproponował, żebyśmy przed zachodem słońca obejrzel wszystkie sale. Wcześniej o tym nie wiedziałam, ale restauracja była przerzucona nad Royal Street, tak że można było patrzeć z góry (dosłownie) na gości Disneylandu, idących do Piratów lub Nawiedzzonego Dworu, bądź cierpliwie czekających w kolejce na stolik

w Blue Bayou, gdzie podawano krwawą mary bez alkoholu, którą ja nazywałam krewa mary.

Z innych okien można było zobaczyć Rzeki Ameryki i Wyspę Tomka Sawyera, wylaniające się znad dachów zabudowań Świata Pogranicza. Najlepsze było to, że siedząc przy stoliku, w ogóle nie widziało się tłumów. Ograniczona perspektywa na rzekę i oblewaną przez nią wyspę sprawiała, że czuliśmy się jak w pięciogwiazdkowym hotelu Michelina, nieoczekiwanie napotkanym w sercu rozległej dziczy nad potężną Missisipi.

Zostaliśmy zaprowadzeni do głównej sali o skostniałym wdzięku Grill Roomu w Connaught. Ze wszystkich stron znajdowały się pary drzwi balkonowych, każda złożona z dwunastu kwadratowych szyb i przecięta eliptyczną poprzecznicą w edwardiańskim stylu. Wszystkie zdawały się prowadzić na mały taras z widokiem na park. Dostaliśmy chyba najlepszy dwuosobowy stolik w całej sali. Ze swojego miejsca widziałam tylko co bardziej rustykalne części Disneylandu, z czego byłam zadowolona. Nie chciałam w tym wytwornym otoczeniu oglądać rakiet czy latających słoń Dumbo. Na latające słońce przyjdzie czas później.

- No cóż: twój pierwszy drink w sercu Disneylandu! – powiedział Vince z uśmiechem. - Zamów lepiej coś wyjątkowego. W Domu Cytrusów Sunkist czegoś takiego nie dostaniesz.

Jego uwaga, choć sama w sobie słodka, popsowała nieco nastrój chwili. Moim strasznym przekleństwem była nieodstępująca mnie świadomość, że nic nie trwa wiecznie. Kiedy byłam mała, więcej czasu strawiłam na myśleniu o tym, jak to kiedyś będę tęskniła za utraconym dzieciństwem, niż na korzystaniu z jego uroków. Słowa Vince'a przypomniały mi, że pewnego dnia Klub 33 może stać się dla mnie niedostępny (podobnie jak Vince). Musiałam odpędzić tę myśl. Ciesz się chwilą. Liczy się tylko tu i teraz.

- Co polecasz? - spytałam Vince'a. Dziś byłam całkowicie do jego dyspozycji. Zostałam samozwańczą protokolantką Klubu Vince'a. Przebojowa, nowoczesna babka? To nie o mnie. Byłam na randce i już ja się postaram, żeby mój towarzysz był zadowolony. Gdyby nie wykluczała tego umowa, którą zawarliśmy, podałabym mu się dziś na srebrnej tacy i nie usłyszelibyście ode mnie słowa skargi.

Zamówił mi vespera, drink wymyślony przez Iana Fleminga, nazwany tak dla upamiętnienia jednego z pierwszych udokumentowanych romanśów Jamesa Bonda. Vince wprowadził jednak jedną modyfikację: poprosił, by do jego przygotowania użyto dżinu Malacca Tanqueray, który miał bardziej jedwabisty smak i zawierał domieszkę owoców cytrusowych. Kazał też przybrać go skórką cytryny, nie plasterkiem pomarańczy. Dla siebie zamówił to, co zwykle, jacka danielsa z lodem, i kelner bez pytania



wiedział, że oprócz tego ma przynieść wodę sodową i słomkę.

Mój vesper stanął przede mną być może w tej samej chwili, gdy w okolicznych kościołach zaczynało się nabożeństwo wieczorne, a na niebie koloru fuksji rozbłysła gwiazda wieczorna, Wenus. Był łagodny i ciepły, jak martini bez mocnego posmaku. Vince uśmiechnął się, kiedy wyraziłam aprobatę. Zamówiliśmy coś z - chwała Bogu - krótkiej karty dań i wypiliśmy jeszcze jedną kolejkę. Wenus świeciła coraz jaśniej.

Właściwie było mi wszystko jedno, czy jedzenie będzie dobre, czy nie. W każdym razie były to tradycyjne francuskie dania, ale perfekcyjnie przyrządzone. I jeszcze te wina. Do *potage Saint-Germain* Vince zamówił Puligny-Montrachet rocznik 1969, które było absolutnie rześkie, i, jak każde naprawdę dobre wino, uderzyło mi do głowy o wiele szybciej, niż się spodziewałam.

Przy łopacie jagnięcej, którą jedliśmy do spółki, Vince poprosił kelnera, by resztę Montrachet - została jedna trzecia butelki - zaniósł szefowi kuchni z wyrazami uznania, i zamówił butelkę Chateau Haut-Brion rocznik 1959. Spytał, czy nie można by go przelać do karafki, kelner zaś odparł, że sam by to zaproponował, gdyby Vince go nie uprzedził.

Kelner odkorkował butelkę, dał ją Vince'owi do powąchania i postawił na stoliku świecę, jakieś pół metra od uprzednio przygotowanej stylowej kryształowej karafki. Zapaliwszy knot, powoli przelał wino do karafki, trzymając szyjkę butelki na wysokości płomyka. Przez cały czas uważnie przyglądał się rubinowej cieczy, jak diagnosta zdjęciom rentgenowskim, i kiedy w szyjce pojawiły się pierwsze męty, przestał nalewać, tak że w karafce zostało tylko dobrze utlenione, wolne od osadu wino.

Vince gestem nakazał mu, by nalał mi odrobinę do skosztowania. To było mistrzostwo wszechświata. W siedemnastym wieku wino to zyskało aprobatę Samuela Pepysa, teraz przyszła kolej na mnie. Jeszcze żadne wino nie przyprawiło mnie o tak bogate doznania smakowe i zdaje się, że jęknęłam z zachwytem.

- Coś nie tak? - spytał kelner z niepokojem.

- Nie, nie... nic. Niebo w ustach. - Spojrzałam na Vince'a. - Dziękuję, jest doskonałe.

Kelner skinął głową.

- Jak sądzę, w tym stuleciu nie będzie drugiego tak dobrego roku, jak 1959. Zgodzi się pan ze mną, panie Collins?

Vince zmarszczył brwi.

- Tak, 1959 był doskonałym rokiem dla francuskich win - powiedział.

Byłam ciekawa, czy przeszło mu przez myśl, że ten sam rok nie był zbyt udany dla Maureen O'Flaherty i jej matki.

Wino jednak podsycalo i pogłębiało mój dobry humor, który przeszedł w błogość, a przy trzeciej lampce stał się rozkoszą graniczącą z ekstazą. Jedzenie było zmysłowe i pokrzepiające, jak nasza rozmowa. Wybrnęłam z kłopotów, byłam zakochana. Dopiero kiedy o mało nie straciłam Vince'a, zrozumiałam, jak głęboko zapadł mi w serce.

Na deser dostałam zamówiony godzinę wcześniej suflet czekoladowo-malinowy, a Vince prosty krem ze śmietanką. Do tego (tak, karafka Haut-Brion była już pusta i wino z radosnym śpiewem krążyło w moich żyłach) wziął pół butelki wina deserowego, Chateau d'Yquem, prawdopodobnie najszynniejszego wina deserowego na świecie. Wystarczyła mi jedna lampka.

Podczas gdy obsługa robiła nam *café diable* (ostrożnie lejąc płonący koniak po skróconej w długą spiralę skórce pomarańczy, z której niebieskie płomyki powoli kapały do filiżanki francuskiego espresso), Vince powiedział kelnerowi, że chcielibyśmy wyjść na kilka minut na taras, i spytał, czy nie miałby nic przeciwko temu, żebyśmy wzięli ze sobą kieliszki. Kelner odparł, że bynajmniej i że doskonale rozumie, dlaczego chcemy obejrzeć widok.

Vince wziął mnie pod ramię i wyszliśmy z głównej sali. W holu objął mnie w tali. Poczułam wtedy głęboką ulgę, jak mała dziewczynka, która słyszy od gniewającego się na nią cały dzień ojca, że ten mimo wszystko kocha ją najbardziej na świecie. Freud nie miałby tu nic do gadania.

Vince wyprowadził mnie na mały balkon. Nawiedzony Dwór świecił wesoło w ciemnościach, pewnie tak jak moje oczy. Westchnęłam.

- Jak widać, dotrzymujesz obietnic. Jestem pijana w Disneylandzie. Tyle że wolałabym określić to jakoś inaczej. Nie kręci mi się w głowie, panuję nad sobą. Nie bełkoczę i chyba nie gadam głupot, co?

Zapewnił mnie, że nie.

- Nie jestem zalana ani urżnięta. Nie zataczam się. Jak to nazwać? Upojeniem?

- Stanem wskazującym? - podsunął mi.

Pokręciłam głową.

- To się źle kojarzy. Będziemy musieli nad tym pomyśleć, Vince. Załapiemy się jeszcze dziś na jakieś przejażdżki?

Vince skinął głową.

- Inaczej po co byłoby wprawiać się w ten boski stan?

Nagle ogarnął mnie niepokój.

- Jak myślisz, kiedy on minie? - Cholera jasna, znowu to samo. Myślałam o tym, co będzie, gdy chwila się skończy, zamiast nią żyć. - To znaczy, kiedy wyjdziemy z klubu, nie będziemy już mogli wrócić, zgadza się?

- Tak, nie można wpaść tu tylko na drinka. Chyba jednak wiem, jak sprawić, żeby humor nie opuścił nas do czasu zamknięcia parku. Zobacz. - Rozłożył swoją piękną dłoń. Leżały na niej dwie małe, żółto-czarne kapsułki, które wyglądały jak trzmielce. Wrzucił jedną do ust, zasłaniając twarz, by nikt nie zobaczył, co robi, i popił łykiem mocnego, ale wyśmieni tego Château d'Yquem.

- Poczęstujesz się? - spytał pogodnym tonem. Została mu jeszcze jedna kapsułka.

Dokądkolwiek się przeniósł, chciałam być tam razem z nim.

- Co to?

Wzruszył ramionami.

- Coś jakby bardzo, bardzo łagodne quaalude'y. Pewnie miałaś już z nimi do czynienia?

Jasne. W tych czasach nieużywanie narkotyków było przestępstwem. Odwiedź fanatyka zdrowego stylu życia z San Francisco, a pokaże ci swoje urządzenie do dejonizacji powietrza, napoi wodą z jaskiń lodowych, poczęstuje posiłkiem składającym się wyłącznie z gotowanego na parze jaruznu, a na deser poda najwyższej jakości kokainę, upstrzoną żółtymi kropkami. Podstawę aktywnego, zdrowego trybu życia stanowiła intensywna gimnastyka, regularne medytacje i amfetamina. Heroina była prostacka, o alkoholu w ogóle szkoda gadać, ale coś, co pochodziło z laboratorium farmaceutycznego, musiało być w porządku - w końcu po to mamy Urząd do spraw Żywności i Leków, czyż nie? Dwudziestoparoletnie dziewczęta, ważące czterdzieści kilo, bez trudu przekonywały lekarzy, by przepisali im amfę na odchudzenie. A quaalude to nic innego jak butelka syropu z kodeiną w postaci poręcznej tabletki.

Najfajniejsze było to, jak te prochy wpływały na poczucie czasu. Gdy człowiek był w dobrym humorze, dzięki nim stan ten zdawał się trwać o wiele dłużej. Jeśli komuś podoba się płyta odtwarzana z prędkością czterdziestu pięciu obrotów na minutę, pomyślcie tylko, jak bardzo podobałaby mu się przy trzydziestu trzech obrotach! O proszę, jak to się dobrze składa, akurat jesteśmy w Klubie 33. To znak. Kiedy chodziło o Vince'a, jeden znak mi wystarczył.

- Jesteś pewien, że można je łączyć z alkoholem? - spytałam.

- Wtedy jeszcze lepiej działają. Znam się na tym, wierz mi. - Jego twarz zmarszczyła się w nadzwyczaj kuszącym uśmiechu. - No, wskakuj, skarbie, woda jest ciepła.

Gdyby zasugerował, żebyśmy zrobili sobie tatuaże, bez wahania zakałabym wypisać „Seksbomba” na swoim lewym pośladku. Łyknąć jednego małego quaalude'a w wieczór, który chciałam, by trwał wiecznie... nie był to wielki dylemat. Uśmiechnęłam się, wrzuciłam tabletkę do ust, popiłam winem z kieliszka Vince'a, jak na ceremonii ślubnej, i spojrzałam na niego, szukając aprobaty.

Ledwie połknęłam tabletkę, w niebo strzeliły fajerwerki, rozbłyskujące czystym, fosforescencyjnym złotem, czerwienią i błękitem. I nie było to złudzenie. Rozpoczął się wieczorny pokaz sztucznych ogni nad Rzekami Ameryki. Stojąc na małym tarasie, wznieśliśmy toast za Chińczyków, którzy byli na tyle cywilizowani, że wynaleźli fajerwerki, i do głowy im nie przyszło, że materiały wybuchowe można wykorzystać jako broń.

Vince nie dostał rachunku (należną kwotę dopisano do jego rachunku klubowego; biorąc pod uwagę wina, które zamówił, musiała być czterocyfrowa), za to dyskretnie porozdawał bez wątpienia sute napiwki. Och, ależ nie chciało mi się stąd wychodzić. Dobrze choć, że na zewnątrz było już ciemno i nikt nie widział, że moim towarzyszem jest Vince Collins. Korzystając z okazji, wzięłam go pod rękę i oparłam głowę na jego ramieniu. Nie byłam tak nieprzytomnie zadurzona w żadnym facecie od czasu, gdy oddałam się Toddowi, swojemu chłopakowi ze szkoły średniej. A jedną z nastrojowych, romantycznych płyt, które wówczas nastawiliśmy (by ukryć głęboki wstyd), był klasyczny album, zatytułowany „Smutne piosenki wieczorową porą... w wykonaniu Vince'a Collinsa”, w soczystej aranżacji Nelsona Riddle'a.

- Hej, mała - mruknął. (Podobało mi się, jak mnie tak nazywał). - Idziemy na Przygody w Mikroświecie?

Przeszedł mnie dreszcz. Czy on zdawał sobie sprawę, że Przygody w Mikroświecie to disneylandzki odpowiednik Tunelu Miłości?

- Jeśli chcesz - odparłam chrapliwym głosem.

Ruszyliśmy ścieżką prowadzącą do Świata Jutra. Wyglądało na to, że Vince nie bał się już jutra, a ja nagle zachłysnęłam się chwilą obecną.

Przy wejściu, nad którym wisiał transparent „Monsanto zaprasza na Przygody w Mikroświecie”, nigdy nie było tłumów, i dobrze, bo bardzo lubiłam tu przychodzić. Główny problem tej kolejki stanowiło to, że można z niej było korzystać za darmo; nie wymagano nawet kuponu A. Jak przypuszczam, ludzie bali się, że coś, za co nie trzeba płacić, okaże się tylko reklamą Monsanto, tak naprawdę jednak było tu super. To w tej kolejce po raz pierwszy wykorzystano Omnimovers, niekończący się taśmociąg z dwuosobowymi wagonikami, których ścianki otaczały pasażerów z trzech stron, tworząc zgrabną skorupkę, która ograniczała pole widzenia i - co ważniejsze - nie pozwalała zajrzeć do wnętrza wagonika z zewnątrz. W Mikroświecie nazwano je Atomobilami. W Nawiedzonym Dworze te same wagoniki znane były jako Karawagoniki.

Pomysł był taki, że „sznur” Atomobilów wjeżdżał do Potężnego Mikroskopu. Disney zaprojektował kolejkę tak, że z zewnątrz widać było, jak

z jednej strony do „prawdziwego” gigantycznego mikroskopu wjeżdżają prawdziwe wagoniki z prawdziwymi pasażerami, a z drugiej wynurzają się miniaturowe Automobile z miniaturowymi ludzikami. (Tak naprawdę, gdy tylko wagonik wjeżdżał do Potężnego Mikroskopu, taśmociąg odbijał w lewo i dalej biegł ciemnymi tunelami).

Po wejściu do wagonika człowiek rozsiadał się wygodnie w zamkniętej kabinie, otoczony stereofonicznym dźwiękiem, i zmniejszał się, najpierw do rozmiarów kryształu, potem cząsteczki i na końcu atomu. Na zaokrąglonych ścianach ze wszystkich stron wyświetlane były obrazy, co przy ograniczonym polu widzenia dawało przestrzenny, hipnotyczny efekt: pasażer miał wrażenie, że unosi się w kropli wody, leci przez galaktykę bezładnie krążących elektronów bądź, z sercem łomoczącym w uszach jak w chwili narodzin, wnika do jądra atomu. Była to niezwykła podróż. Jednak patrząc bardziej pragmatycznie, z punktu widzenia napalonych nastolatków największą jej zaletą było to, że w przytulnej małej kopule dwoje ludzi mogło robić praktycznie wszystko, czego dusza zapagnie, od chwili kiedy wjeżdżali do wnętrza Potężnego Mikroskopu aż po moment wyjścia z jądra atomu.

Większość kolejek w Disneylandzie kończyła się „żartem”, chyba po to, by przypomnieć, że wszystko tu jest na niby. W Mikroświecie polegał on na pokazaniu oka naukowca obserwującego pasażerów przez Potężny Mikroskop. Był to zarazem sygnał ostrzegawczy dla zakochanych par, by ogarnęły się przed wyjściem na światło dzienne.

I to była pierwsza przejażdżka, na jaką chciał mnie zabrać Vince, mój Vince? W to mi graj. Weszliśmy do pawilonu (nieco chwiejnie, bo byliśmy rozkosznie wstawieni) i kilku znudzonych disneylandowskich stażystów wręcz wpadło w euforię na nasz widok.

Chichocząc, wsiedliśmy do przypominającego kokon wagonika. Paul Frees - narrator połowy disneylandowskich atrakcji, od Nawiedzonego Dworu po Piratów Morza Karaibskiego - zaczął swoim grubym, drżącym z emocji głosem à la Orson Welles opisywać cud zmniejszenia się do rozmiarów płatka śniegu.

Vince objął mnie ramieniem, jakbyśmy siedzieli w ostatnim rzędzie kina Bijou w Pittsburghu, i w towarzystwie dwudziestu pustych wagoników z przodu i tyłuż z tyłu wjechaliśmy do Potężnego Mikroskopu.

A wtedy tabletki zaczęła działać.

O rany. Domyśliłam się, że poczułam jej skutki wcześniej niż Vince, bo byłam lżejsza i drobniejsza od mojego dorodnego przystojniaka. Pewnie przyczyniła się też do tego lekko psychodeliczna atmosfera Mikroświata, tak jak hipnotyczna muzyka może wzmocnić i przedłużyć działanie jointa.

Wjeżdżaliśmy do tunelu na gigantycznej, niekończącej się gąsienicy, czując się jak u Monsanto za piecem, i gdy tylko spowiała nas ciemność, poczułam to. Pulsowanie zaczęło się w kroczu, nie w głowie, i rozlało się po moim ciele ciepłą falą wstydliwych doznań, które objęły piersi, ramiona, szyję, a potem powoli zawładnęły mózgiem i jasne stało się dla mnie to, czego do tej pory nie potrafiłam zrozumieć. Kiedyś bałam się tych uczuć; teraz, gdy znalazłam się w mocy boskiego wina, byłam na nie gotowa. Poza tym Vince był przy mnie, więc nie miałam się czego bać.

- Czujesz to? - spytałam go cicho.

Powiedział, że to dopiero początek.

W głębi tunelu majaczyło ciepło, jasne światło. To tu właśnie był prawdziwy świat Alicji w Krainie Czarów. O tak. Najpierw czołgałam się w ciemnej norze królika, a teraz spadałam z Vince'em w bezkresną, rozszerzającą się przestrzeń. Nawet bez prochów, alkoholu czy trawy byłoby to oniryczne przeżycie, a co dopiero w moim obecnym stanie. Płynęliśmy z Vince'em w morzu światła, oddaleni o lata świetlne od wszystkiego.

- Czujesz to? - spytałam go.

Pocałował mnie. Pocałował mnie, wziął moją twarz w dłonie i pocałował mnie znowu. Nasze twarze zalał blask miliarda wodnych kryształów, wirujących w lirycznym tańcu wokół nas. Byłam szczęśliwa. Proszę, czy mogłabym już zawsze być tak szczęśliwa?

Jego dłonie szukały mnie po omacku. Były duże i silne. Chciałam, by miał mnie całą. Chciałam, by moje piersi syciły jego głód, pragnęłam ciasno objąć go nogami i przyciągnąć do siebie, jakbym była ponętym morskim drapieżnikiem, wabiącym ofiarę, by zadać jej rozkoszną śmierć w swoim uścisku i w ten sposób połączyć się z nią w jedno. Chciałam, by miał więcej rąk, by mógł dotykać mnie w wielu miejscach naraz.

- Och, Vince - powiedziała inteligentnie, dało o sobie znać wyższe wykształcenie. - Vince. - To było takie piękne słowo, wirujące cząsteczki zgodziły się ze mną. My, to znaczy jai cząsteczki, zwróciłyśmy uwagę na pierwsze litery jego imienia, V, jak victoria, symbol zwycięstwa, i skromne i, a kiedy doszliśmy do nnnnnnnnnnnnnnn, ten dźwięk wyszedł mi z ust, wtedy bowiem Vince zaczął pocierać dłonią moją c tak cudownie, że myślałam...

Ale zaraz zapomniałam, co myślałam. Długi taśmociąg z wagonikami (teraz staliśmy się całą ludzkością, a to były ruchome schody do nieba, którymi udawaliśmy się na spotkanie ze Stwórcą) łagodnie przeniknęła przez ścianę tunelu i wjechaliśmy do większego wszechświata, leżącego poza Disneylandem, gdzie zalał nas niegasnący, radosny blask gwiazd. I nagle ukazało się wielkie oko dobrego naukowca, który pomógł nam odnaleźć ten świat, a Vince, jak zawsze mądrzejszy i silniejszy ode mnie,

doprowadził moje ciuchy do jakiego takiego porządku i jakimś cudem znów znaleźliśmy się w pawilonie w Disneylandzie. Silna ręka Vince'a dźwignęła mnie z wagonika.

- Muszę już iść? - spytałam lekko rozszalona.

- Dobrze się pani czuje? - spytał stażysta, kiedy na lekko trzęsących się nogach przeszłam na ruchomy chodnik. Wspaniały chłopak, no, ale nie tak wspaniały jak Vince.

- A ty jak zawsze troskliwy - powiedziałam uprzejmie.

Uśmiechnął się głupkowato.

- Miły jest, co, Vince? - spytałam, a on zapewnił mnie, że tak, rzeczywiście, chłopak jest bardzo sympatyczny.

Zaczęliśmy iść i poprosiłam Vince'a, żebyśmy przejechali się jeszcze jakąś kolejką. Powiedział, że chce na chwilę usiąść, ale ja zauważyłam, że przez Nawiedzony Dwór jedzie się powoli i wygodnie, i że siedzieć można w wagoniku. Chciałam jeszcze trochę pobyc z nim w ciemnościach, pragnęłam znów poczuć na sobie jego dłonie; nawet nie dotknął moich sutków, a przecież były takie twarde.

- Nawiedzony Dwór, Vince - powiedziałam. Z tak sformułowaną prośbą nie mogło być dyskusji. - Nawiedzony Dwór.

Właśnie przechodziliśmy obok kasy i Vince położył na ladzie dziesięć dolarów. Był taki mądry. Umiał obchodzić się z pieniędzmi i rozmawiać z ludźmi. Mogłam tylko patrzeć z podziwem.

- E - powiedziałam. Bilet tej kategorii dawał wstęp do Nawiedzonego Dworu, a zarazem była to ostatnia litera imienia „Vince”, do której wcześniej nie doszłam. To dobrze, wreszcie skończyłam jego imię. Teraz on będzie mógł napocząć mnie. - Nawiedzony Dwór, Vince - powtórzyłam, pragnąc go.

Tego wieczoru spędziliśmy w Nawiedzonym Dworze kilka pięknych lat. Wsiadliśmy do Karawagoników i jechaliśmy przez pogrążoną w mroku wiktoriańską posiadłość. W czasie poprzednich wizyt intrygowało mnie, co kryje się w głębi złowieszczych korytarzy, które mijał wagonik, ale nigdy tam nie zajrzałam. Zrobiliśmy to teraz z Vince'em. Wsiadliśmy z wagonika (byłam o tym przekonana) i spacerowaliśmy korytarzami. Nie bałam się. Ja? Jeszcze czego. Zawsze byłam częścią tego domu, wyczułam to, kiedy byłam tu po raz pierwszy. Udręczony Pan na Włościach nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo byłam mu potrzebna. Inni może i bali się upiornych widm, ale ja wiedziałam, że one, jak Vince, chciały tylko zaznać spoczynku i ukojenia. Byłam tu po to, by pomóc i jemu, i im. Vince znowu mnie dotykał i nie było to czymś, co sobie ślubowaliśmy, Kościół uznałby to za grzech, ale... Jakoś wróciliśmy do wagonika i znaleźliśmy się na zewnątrz, na cmentarzu, gdzie znów zaczęły wirować wokół nas miliony duchów (albo protonów i neutronów). W Nawiedzonym Dworze nie

miało się takiej prywatności, jak w Mikroświecie; mogli nas widzieć inni, mieszczanie, którzy patrzyli na nas z dezaprobatą, zawsze to wiedziałam. Vince wziął mnie w ramiona przed swoją posiadłością. Teraz już cały ten majątek był nasz. Znów poczułam uderzenie ciepła i iskra w moim mózgu rozbłysła jasnym światłem.

- Vince, pragnę cię - powiedziałam.

Czy mnie zrozumiał? Będzie musiał.

- Ja ciebie też - odparł.

- Och, Vince, ty jak coś powiesz... - błysnęłam dowcipem.

Poprowadził mnie (oczywiście nie musieliśmy iść pieszo, bo nasze stopy zmieniły się w Omnimovers) w stronę kolejki Monsanto, ale kiedy zaczęłam się z tego powodu rozczulać, powiedział mi, że nie, idziemy na inną, lepszą przejażdżkę.

- Jak długo tu jesteśmy? - spytałam. - To nasza... to ciągle ten sam wieczór?

Zapewnił mnie, że tak, ten sam. Wiedział wszystko. Zaczęliśmy iść chodnikiem pod górę i zasyczał na nas ogromny wąż. To była kolejka jednotorowa.

- Och, Vince, wszyscy nas zobaczą - poskarżyłam się. Wiedziałam, że wagony kolejki są oświetlone i że nie ma w nich przedziałów. Nie będziemy mogli się obściskować. Obiecał mi, że niedługo czeka nas lepsza jazda.

Kolejka zatrzymała się przy hotelu Disneyland i wysiedliśmy. Przecho- dząc obok baru Monorail, powiedziałam, że chcę drinka, może być vesper albo piwo imbirowe. Nagle nabrałam strasznej ochoty na piwo imbirowe. Powiedział, że każe je przynieść.

Potem przeszliśmy z Krainy Baru do Krainy Windy. Nareszcie zo- staliśmy sami.

- Vince, zatrzymaj windę - poprosiłam.

Powiedział, że zatrzymamy się w ciekawszym miejscu. Teraz byliśmy już w Krainie Korytarza. Przyglądała nam się z zaciekawieniem para star- szych ludzi. Kiedyś to my będziemy taką parą.

- Zdaje się, że dopiero co byliśmy w Disneylandzie? - spytałam. - A może to było parę dni temu?

Vince zapewnił mnie, że byliśmy tam przed pięcioma minutami. Teraz znaleźliśmy się w Krainie Drzwi. Vince otworzył je kluczem. I oto przed nami rozciągała się Kraina Pokoju.

- To nasz? - spytałam.

Przytaknął. Zaczęłam śpiewać w upojeniu:

- *Ten pokój jest ziemią twoją, ten pokój jest ziemią moją, od lasów Nowego Jorku po czerwień wód.....* i rzuciłam się na niego.

Vince był taki cudowny. Pocałowaliśmy się. Posadził mnie na łóżku.



- Muszę ci zamówić to piwo imbirowe - powiedział, podnosząc słuchawkę.

Ja byłam pochłonięta zdejmowaniem ciuchów, które nosiłam, hm, już chyba jakieś kilka lat. Miałam je na sobie, jeszcze zanim wyszłam za Vince'a i przeprowadziliśmy się do Anglii. Kiedy tam pojechaliśmy... chciałam, żeby zobaczył moje piersi. Były nieduże, ale za to kształtne, a moje sutki... Uszczypnęłam je, żeby ładnie sterczały.

- Pięć minut? - powiedział Vince, pewnie do kogoś z obsługi. Odwrócił się i widząc, że jestem rozebrana do pasa, zaśmiał się uroczo. Jego dłonie powędrowały do moich piersi.

- Wszędzie - powiedziałam. - Dotykaj wszędzie.

Odgarnął narzutę i pościel z łóżka. Patrzyłam, jak zdejmuje marynarkę. (Już dużo wcześniej schował krawat do jej kieszeni). Ściągnął koszulę. Wyglądał tak, jak to sobie wyobrażałam. Kochałam go. Nie chciałam go stracić.

Wyjął paczkę papierosów i wygrzebał z niej jointa. Pierwszy raz widziałam go z trawą. Przypalił ją lśniąca złotą zapalniczką i zaciągnął się głęboko. Krzywiąc się, zatrzymał dym w płucach i podał mi skręta. Dawno już nie paliłam trawy, ale chciałam robić to, co on. Była rozgrzewająca i mocna. Vince był gwiazdą. Jego towar musiał być pierwsza klasa, no nie?

Pod wpływem jointa narkotyk, który wzięłam wcześniej, odpalił kilka ładunków z opóźnionym zapłonem. Znowu poczułam przyływ doznań, tym razem jednak zrodzonych z czystego popędu, szybko uderzających do głowy. Aż mi w niej huczało. *Lup-lup-lup*. Pragnęłam, by Vince natychmiast się mną zajął. Potem przypomniały mi się wszystkie błędy, które ostatnio popełniłam, i dobre rady, których nie słuchałam.

- Vince, co z naszą umową?

Jego dłonie zsunęły suknię z moich krągłości. Po co wkładałam majtki na ten uroczysty lunch? Ależ ze mnie idiotka, teraz tylko przeszkadzały.

- Ustaliliśmy, że prześpiemy się ze sobą po napisaniu książki, nie wcześniej. I chyba oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że „spanie ze sobą” oznacza „stosunek”. Jest jednak wiele innych rzeczy, które możemy zrobić - wyjaśnił.

Znowu poddałam się narkotykowi, pozwoliłam, by przejął kontrolę nad czasem tak, że Einstein byłby zachwycony. W moim mózgu było więcej elektronów niż gwiazd w planetarium, i każdy z nich pulsował, nadając ekstatyczne sygnały niczym semafor. Nie byłam pewna, co Vince zamierzał ani jak daleko chciał się posunąć i czy starczy mu siły woli, by nie wejść we mnie, kiedy zacznę go do siebie przyciągać. Trudno było myśleć o szczegółach, gdy narkotyk znowu uderzał do głowy. Pocałunki, pieszczoty

nie mogły mi wystarczyć - byłam zdecydowanie zbyt podniecona, to byłoby straszne, gdybyśmy mieli tylko na tym poprzestać.

Znaleźliśmy się na łóżku. Wciągnęłam go na siebie i powoli zaczęłam kręcić biodrami, ocierając się o jego krocze jak wyjątkowo wulgarna strip-tizerka. Chciałam napierać na niego i żeby on napierał na mnie, i trwało to chyba całymi miesiącami, a Vince nawet jeszcze spodni nie zdjął. Miałam zacząć błagać, by chociaż z litości przełożył mnie przez krawędź łóżka i wszedł głęboko, wypełnił mnie całą, gdy nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Nie mogłam sobie przypomnieć, w którym domu jesteśmy. Pamiętałam, że mam w mieszkaniu wibrator. Chciałam po niego pójść, bo czułam, że jeśli zaraz nie zaznam ulgi, to chyba umrę. Vince potrafił być taki podły. O, a oto i on, właśnie wstawał z naszego łóżka. Przypomniało mi się, że wciąż jesteśmy w hotelu Disneyland. Przyszliśmy tu po wizycie w tym wielkim angielskim dworze w górach Missisipi.

- Przynieśli piwo imbirowe? - spytałam. Właściwie byłam gotowa dać się przelecieć pracownikowi obsługi, byle tylko Vince trzymał mnie w trakcie.

Leżałam nago w poprzek łóżka z rozrzuconymi włosami, moja twarz, piersi i brzuch były mokre od potu. Musiałam pogodzić się z tym, że obsługa zobaczy mnie w tym stanie, bo nie potrafiłam się ruszyć. Vince delikatnie przykrył mnie prześcieradłem po ramiona, pocałował czule i poglądził po twarzy. Czasem potrafił być taki troskliwy; żeby tak jeszcze zechciał mi wreszcie wsadzić kutasa.

Vince otworzył drzwi. Weszła młoda kobieta. Z obsługi? Dziwne jakies mieli tu uniformy. Była w białym, lśniącym plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym po kolana. Podeszła do łóżka.

- Och, pamiętam cię - powiedziała. - Spotkałyśmy się w Disneylandzie.

Wszystko, co robię, dzieje się w Disneylandzie. Była śliczna. Miała długie, cienkie blond włosy.

- Masz to na sobie? - spytał Vince.

Dziewczyna skinęła głową, rozpięła płaszcz i rzuciła go na krzesło. Dopiero teraz ją poznałam. To była Alicja w Krainie Czarów, w niebieskiej sukience, białym fartuszkowi i białych pończochach.

- Podoba się? - spytała Vince'a. - Nie miałam kłopotu, żeby to wynieść, bo nie wiedzieli, że już tam nie wrócę.

- Połóż się - powiedział Vince do niej.

Położyła się przy mnie. Miała przepiękną twarz.

Vince zapalił następnego skręta i podał jej. Parsknęła śmiechem.

- Sama nie wiem. Jestem już trochę upalona. To dobry towar? - Zaciągnęła się. - O Jezu, super. - Podała mi jointa, ale nie byłam pewna, czy go

utrzymam, a nie chciałam podpalić łóżka. - Jesteś bardzo ładna - powiedziała do mnie. Przesunęła palcem po mojej twarzy. - Podobają mi się wyraziste twarze. - Zaciągnęła się raz jeszcze i zachichotała. - Trawa pierwsza klasa, Vince, zawsze dostajesz taką? Vince tylko się uśmiechnął. Potrafił być bardzo skromny. *Bing-bing-bing*, brzęczało mi w głowie od narkotyku. Chciałam, żeby Vince powiedział coś więcej, ale na razie pozwoliłam, by popołudnie upływało mi w miłym towarzystwie. Wiedziałam, że jest popołudnie, bo włosy dziewczyny były takie złociste.

- Jesteś Alicją - powiedziałam.

Skinęła głową i spojrzała chytrze na Vince'a.

- Pokazać ci to, co wszyscy faceci chcą zobaczyć w Świecie Fantazji? Widok wart kuponu F.

Powoli podciągnęła rąbek niebieskiej sukienki po smukłych, opiętych białymi pończochami nogach. Odsłoniła białe uda, które jeszcze rok czy dwa mogły pozostać tak szczupłe, a potem złocisty wzgórek, zaokrąglony niby łagodnie opadający brzeg rzeki, obsypany drobnym, złotym puchem, który aż chciało się pogłaskać, jak futerko białego królika. Jasne, bladoróżowe wargi były słodko stulone, jak do pocałunku. Zrzuciła z siebie resztę kostiumu i zaczęła ściągać pończochy.

- Jaka ona piękna, Vince - powiedziałam.

- Jest nasza, skarbie - odparł. - Prawda, Alicjo?

Alicja powoli pokiwała głową, jej szeroko otwarte oczy patrzyły z nieudawaną szczerością.

- Jestem twoja - zapewniła mnie. Spojrzała na Vince'a, szukając aprobaty, a on skinął głową. - Wiesz, w zasadzie jestem hetero, ale lubię takie numery.

Vince powoli ściągnął ze mnie prześcieradło. Poczułam się, jakby gładziła mnie wielka, chłodna dłoń. Byłam skrępowana swoją nagością.

- Vince, nie, jestem goła.

- W porządku, jestem dziewczynką - uspokoiła mnie Alicja.

Jej słowa obudziły moją czujność.

- Wszystko gra, skarbie, ma ponad osiemnaście lat, prawda, Alicjo? - upewnił się Vince.

Skinęła głową.

- W zeszłym miesiącu skończyłam dwadzieścia. Och, ładne masz ciało - zauważyła.

Byłam już całkowicie odkryta.

- Dziękuję - powiedziałam. W głowie rozbłysły mi świetliste punkciki.

Vince powoli potarł moje uda i brzuch i pieścił mnie grzbietem dłoni, drażniąc się ze mną. Pomyślałam, że skoro czuję na sobie jego rękę, nie jestem zupełnie naga.

- Masz ładne piersi - powiedziała Alicja z podziwem. Spojrzała na Vince'a. - Zabawmy się.

Vince wziął mnie w ramiona.

- Och, Vince - jęknęłam, po czym jego wargi i język spotkały się z moimi ustami i tam już zostały, zaś w epicentrum mojego kroczka wreszcie eksplodowała wiosna. Vince żarłocznie wpijał się w moje wargi, podczas gdy drugi, swawolny i wprawny język wywijał radosne piruety na mojej łechtaczce, a dziewczęce palce wchodziły we mnie, wirując w obłądnym tempie. Zaraz, przecież Vince miał tylko jeden język i jedne usta, ich ciepły dotyk czułam na swoich wargach. On sam patrzył mi głęboko w oczy, obserwując moją reakcję. Najwyraźniej świetnie się bawił, największą frajdę zaś sprawił mu widok mojej miny, gdy zorientowałam się, że to usta i język Alicji rządzą sobie we mnie podwieczorek u Szalonego Kapelusznika... ale on nie miał nic przeciwko temu, to wszystko robiliśmy dla niego, czyż nie tak? Mogłam dać mu to, czego chciał, niech to będzie dowód mojej miłości. Bylebym tylko cały czas patrzyła mu w twarz. To, co czułam, czułam dzięki niemu i dla niego. Tylko dla niego.

Dochodziłam do niesamowicie dziwnego orgazmu. Biegłam korytarzami naszego Nawiedzonego Dworu, uciekając przed nadciągającą ścianą wody. Gdybym dotarła do tunelu, gdybym mogła się zmniejszyć, gdybym... Tunel był zablokowany. Odwróciłam się i zobaczyłam pędzącą ku mnie wysoką falę, niebieską jak sukienka Alicji, z grzywą białą jak jej fartuszek, był to ten sam błękit i ta sama biel, co w jej oczach, nagle jednak ujrzałam brązowe, ciemne i ogromne oczy Vince'a. Nadciągał tak niesamowity orgazm, że śmiać mi się chciało na myśl o narkotyku, który wzięłam, i wywołanej nim euforii, żalostnej w porównaniu ze zbliżającym się kataklizmem.

I nagle uczucie przysło. Vince odciągnął Alicję ode mnie. Krzyknęłam z udreki.

- Jeszcze nie, skarbie - powiedział.

Moje rozżalenie nie miało granic.

Alicja położyła głowę na poduszce obok mnie. Miała błyszczącą twarz, ale wciąż wyglądała jak anioł.

- Cześć - powiedziała. - Podobasz mi się.

- Dajmy jej buzi, skarbie - powiedział Vince do mnie i czule pocałował Alicję w policzek.

Alicja złożyła usta w ciup.

- Jesteś taka ładna.

- Nie, to ty jesteś pięknością - odrzekłam.

- Pokaż mi, jak go kochasz - powiedziała Alicja. - Pokaż, co mogłabyś zrobić jemu.

Vince cofnął się w cień, z dala od łóżka.

- Pokaż jej - poprosił. - Pokaż, co mi zrobisz.

W życiu nie robiłam tego z dziewczyną, nie licząc głupich zabaw erotycznych na pizamowych imprezach i w college'u.

Ale to wcale nie było trudne. Była okryta jasnym meshkiem, różowa i śliczna.

- Nie krępuj się - powiedział Vince, który znalazł się za mną. Je go dłonie spoczywały na moich ramionach, masując mnie przyjemnie, a zarazem popychając na nią. - Pokaż mi - nalegał.

Musnęłam Alicję językiem w miejsce, w które sama lubiałam być dotykana. Z jej ust wyrwało się ciche, dziewczęce westchnienie.

- Otóż to - powiedział Vince i poczułam, jak zabiera dłonie.

Chciałam, by zobaczył, jak byłoby mu ze mną, więc dalej robiłam to samo, czule, miarowo. Myślałam, że jeśli dobrze się sprawię, może Vince znów weźmie mnie w objęcia i da mi tę samą rozkosz.

Usłyszałam, że Alicja zaczęła oddychać głębiej, jak robię to ja, kiedy wszystko się zmienia i osiągam etap, na którym wiem, że nic już nie może powstrzymać orgazmu.

Zza moich pleców dobiegł głos Vince'a:

- Dobrze. O to chodzi.

Słyszałam za sobą jakieś trzaski i szumy, i widziałam jasne błyski, które nie były wytworami mojego umysłu, ale koncentrowałam się na tym, co robiłam.

Alicja w Krainie Czarów teraz już mówiła tylko do mnie, zachęcającym tonem.

- Wyliz mnie - prosiła szeptem, który brzmiał ni to jak szloch, ni to westchnienie. - Do dna.

Kiedy następnego ranka obudziłam się w pokoju w hotelu Disneyland, stwierdziłam z żalem, że w odróżnieniu od Lanny'ego, Vince mnie nie zostawił.

Dziewczyna zniknęła. Vince za to siedział wygodnie w kącie pokoju, przy tacy z termosem kawy, niedojedzoną jajecznicą na bekonie, kilkoma cynamonowymi tostami i różowym sokiem grejpfrutowym. Palił papierosa i ze smakiem pił kawę.

- Dzień dobry - powiedział wesoło.

Spojrzałam na niego z nienawiścią.

- To, co mi dałeś, to nie był quaalude. Brałam quaalude'y, wiem, o czym mówię.

Uśmiechnął się.

- Powiedziałem, że to coś jakby quaalude.

- Sam tego nie wziąłeś. Schowałeś tę zasraną pigułkę w dłoni.

Wzruszył ramionami.

- Ktoś musiał usiąść za kierownicą. Co to, poranne wyrzuty sumienia? Nie bój się, nie zajdziesz w ciążę. Przynajmniej nie z Alicją, a już na pewno nie ze mną. Nie wiem, czy pamiętasz, ale nawet nie zdjąłem spodni.

Głowa bolała mnie jak diabli. Przy najmniejszym ruchu czułam się, jakbym miała dwa rozmiary za ciasną stalową jarmułkę. Wstałam z łóżka i zorientowałam się, że jestem naga.

- Odwróć się - warknęłam.

Spełnił moją prośbę.

- Nie masz się co krępować - powiedział. - Od tej pory, jeśli będę chciał zobaczyć cię nagą, mogę to zrobić w każdej chwili.

Włożyłam moją idiotyczną suknię z rozdania Scottych. Pomyślałam, że kupię w holu hotelowym bluzę z kaczka Daisy i dres z Goofym, a tę pieprzoną szmatę spalę na parkingu.

- Prawo zabrania podawania ludziom narkotyków wbrew ich woli.  
- Proszę cię. Wzięłaś tabletkę dobrowolnie. Nie wrzuciłem ci jej do drinka. Popiłaś ją najdroższym winem deserowym na świecie. Jesteś cała w nerwach, bo przekonałaś się, że możesz grać na dwa fronty.

Nie przeszkadzały mi niczyje preferencje seksualne, włącznie z moimi.

- Vince, do tej pory byłem hetero, ale jeśli poznam jeszcze paru takich facetów, jak ty i Lanny, być może definitywnie zmienię front. Wkurza mnie to, że... - Urwałam. Głowa tak mnie rozboleła, że myślałam, że się porzygam, ale jakoś się powstrzymałam.

Zauważyłam stojącą na toalecie drugą tacę. Vince troskliwie zamówił mi śniadanie, ale nie miałam ochoty nic jeść. Nalałam sobie kawy.

- Nie jestem zła na tę dziewczynę, tylko na ciebie. Przerażasz mnie. Zaplanowałeś to wszystko. Wcześniej wynająłeś pokój, umówiłeś się z dziewczyną, że do nas dołączy, upiłeś mnie, żebym była chętna, i podstępem wcisnąłeś mi tę pigułkę, czymkolwiek była. Jesteś małym, perfidnym kutasem.

Uśmiechnął się.

- Tylko nie małym. Nie widziałaś mnie bez spodni. Cynamonowego tosta? - Podsunął mi talerz z mojej tacy.

Odpędziłam go machnięciem ręki.

- O co w tym wszystkim chodzi, Vince? - spytałam. - To, co stało się w nocy, na pewno nie było celem samym w sobie. Nie jestem ci do tego potrzebna. Na pewno są tysiące spragnionych sławy gwiazdek, które bez wahania zrobiłyby to z tobą, lamą i atakiem Oakland Raiders. Miałeś w ogóle orgazm?

- Ta dziewczyna... tak w ogóle, na imię ma Jennifer... - powiedział nieśmiało - ...była na tyle miła, że mi obciągnęła. Tobie urwał się film, więc uznałem, że nie będziesz miała nic przeciwko. Lubię, jak robią mi to młode dziewczyny, zwłaszcza takie stosunkowo niedoświadczone. Jennifer jak na mój gust trochę za bardzo zna się na rzeczy, ale patrząc na was, strasznie się podnieciłem.

Chciałam rzucić się na niego z pięściami i zamierzałam to zrobić, ale najpierw musiałam pociągnąć go za język.

- Vince, zwariowałeś? Mieliśmy ze sobą współpracować.

- Cóż, tak się składa, że to, co stało się zeszłej nocy, ściśle wiąże się z naszą pracą. Usiądź, wszystko ci wyjaśnię.

Usiadłam.

- Posłuchaj, przyznaję, że podobał mi się ten „numer”, jak ujęłaby to Jennifer - zaczął wylewnie tłumaczyć. - Najlepsze, że czy byłaś naćpana, czy nie, posłaś na to nie dlatego, że lubisz takie rzeczy czy dla kariery, tylko dlatego, że zależało ci na mnie. To było naprawdę wzruszające. Jak

dla mnie, pozostałaś urocza, nawet kiedy robiłaś te wszystkie świństwa i pozwalałaś, by Jennifer robiła je tobie. I wszystko to przez wzgląd na mnie. Czuję się, jakbym był jeńcem starożytnej dalekowschodniej armii, a ty moją kochającą narzeczoną, która wiedząc, że tylko w ten sposób może mi ocalić życie, oddaje się pięknej córce wrogiego wodza, a ja, skuty łańcuchami, muszę oglądać to na własne oczy. Podniecające.

Podeszłam do okna i rozsunałam zasłony. Chciałam wpuścić do pokoju słońce i rzeczywistość. Właściwie czego mogłam się spodziewać po zadufanym w sobie artyście, który przywykł do faktu, że wszyscy spełniają jego zachcianki, i nie widzi w tym nic dziwnego?

- Był jednak jeszcze jeden powód - ciągnął. - Chciałem mieć coś na ciebie. Oczywiście, kiedy przygotowywałem cały ten numer, nie wiedziałem o tobie i Lannym. Tamta historia jest jeszcze lepsza. Ale skoro zadałem sobie tyle trudu, by uzgodnić wszystko z Jennifer i obsługą restauracji... pomyślałem, a co tam, przyda się dodatkowa amunicja. No i bardzo chciałem zobaczyć was razem w akcji.

Wyjął papierosa i zapalił go z namaszczeniem.

- Odkąd rozpoczęliśmy współpracę, pani postępowanie było doprawdy szokujące, panno O'Connor. Proponuje mi pani, że prześpi się ze mną, jeśli ukończymy książkę. Mój były partner nie zgadza się nam pomóc, przedstawia mu się więc pani fałszywym nazwiskiem i idzie z nim do łóżka. - Mówił z coraz większym ożywieniem. - I jakby tego wszystkiego było mało, oto spędzając miły wieczór ze mną w tak niewinnym miejscu, jak Disneyland, łyka pani prochy w damskiej ubikacji, doprowadzając się niemal do utraty przytomności. Jest pani w tak fatalnym stanie, że postanawiam położyć panią do łóżka w pokoju nowo odkrytej przeze mnie piosenkarki, Jennifer Howell, którą ulokowałem w tym właśnie hotelu. Pokój wynajęty jest na jej nazwisko. Ponieważ są w nim dwa łóżka, dziewczyna zgadza się oddać pani jedno. Zostawiam was, a pani częstuje Jenn łagodnym środkiem nasennym, bo jak się okazuje, ona ma lekki sen, a pani chrapie. Tabletki ta jednak tak naprawdę jest silnie działającą pochodną MDMA, o właściwościach halucynogennych. Wykorzystuje pani Jennifer i uprawia z nią seks, bo taka już pani jest. Ściąga pani przyjaciela, który robi wam zdjęcia. Następnego dnia dostaję list z groźbą, że jeśli nie pójdę na współpracę, kariera młodej piosenkarki, której menedżerem zamierzam zostać, zostanie zrujnowana... krótko mówiąc, to szantaż. W kopercie jest bowiem kilka polaroidów, pokazujących panią z biedną, niewinną Jenn.

Uniósł srebrną pokrywkę tacy, ukazując dwa polaroidy. Rzucił mi je. Zobaczyłam to, co spodziewałam się zobaczyć.

- Nie masz jakiegoś, na którym nie wyglądałabym tak grubo?



Vince skinął głową i cisnął mi drugie zdjęcie. Do „Penthouse'a” może się nie nadawało, ale mój tyłek prezentował się dość ładnie, a piersi uchwycone pod tym kątem wyglądały lepiej niż w rzeczywistości.

- To najlepsze z odrzutów - powiedział. - Resztę zabrała Jenn, razem z aparatem. Mam się z nią niedługo spotkać. Muszę przyznać, że niektóre fotki wyszły całkiem niezłe.

Podarłam zdjęcie, na którym wyglądałam grubo, i podeszłam do drzwi.

- Jeśli wyjdę na korytarz i zawołam ludzi, to zobaczą Vince'a Collinsa we własnej osobie, siedzącego w tym pokoju. Zgodnie z twoim planem, co miałbyś tu robić?

Zebrał kawałki podartego zdjęcia, włożył je do popielniczki ozdobionej konturem zamku Śpiącej Królowy i podpalił swoją ładną zapalniczką.

- Dziś rano zadzwoniła do mnie przerażona Jenn i powiedziała, że podała jej jakieś prochy, a potem ją zgwałciła. Kazałem jej jak najszybciej stąd uciekać. Przyszedłem, żeby się z tobą rozmówić.

Zawahałam się, nie zdejmując ręki z klamki.

- No dobrze, ale masz na sobie ten sam garnitur, co zeszłej nocy. Kelnerzy z restauracji mogą to potwierdzić.

- To oczywiste, że wychodziłem w pośpiechu, by być tu jak najszybciej, i włożyłem ubranie, które przed snem zostawiłem na krześle w sypialni.

Wskazałam na puste tace.

- Aha. I w złości zamówiłeś śniadanie?

- Nie, tak naprawdę zrobiła to Jenn, zanim wyszła. Powiedziała, że nazywa się O'Connor i że nocowała u panny Howell. Poprosiła, by obsługa zostawiła tace pod drzwiami o dziewiątej. Będzie to wyglądało tak, jakbyś zamówiła smaczne śniadanko dla was obu, nieświadoma tego, jak zszokowana Jenn będzie po przebudzeniu.

Puściłam klamkę i podeszłam do niego.

- Jenn będzie się musiała niezłe nakłamać.

Wstał z krzesła.

- Jeśli rozegra wszystko, jak należy, moi menedżerowie dopilnują, by zrobiła błyskotliwą karierę w świecie muzyki. A jak wiesz, jej talent nie ogranicza się do tego, co tak efektownie zademonstrowała ostatniej nocy. Spędziłem z nią bardzo przyjemny dzień, kiedy ty byłaś na Florydzie. Powie to, co konieczne. Poza wszystkim, jest całkiem niezłą aktoreczką.

- Tak, ale ta brudna sprawa zaszkodzi jej reputacji.

- Nie, jedyną skompromitowaną osobą będziesz ty. Jesteś dorosłą dziennikarką, naginającą reguły. Ona jest młodą, bezbronną piosenkarką, którą naszpikowałaś narkotykami i molestowałaś. To nawet przydałoby

jej rozgłosu. Piękne, udrećzone blondynki są ostatnio w modzie, nie zauważyłaś? Pewnie za mało słuchasz popu. Co, myślałaś, że będzie śpiewać piosenki dla dzieci?

Usiadłam na łóżku. Jak dotąd, wszystko wskazywało na to, że Lanny się mylił. Vince nie był głupszy, niż mu się wydawało. Ja jednak uważałam, że jestem od niego sprytniejsza. Wkrótce mieliśmy się przekonać, czy tak było naprawdę.

Poprosiłam go o papierosa. Nie wzięłam swoich na rozdanie Scottych i poprzedniego dnia dębiłam od niego fajki przez całą kolację. Włożył papierosa do ust i zapalił, po czym podał mi.

Pokręciłam głową.

- Nie. Z twoich ust nie chcę.

Wzruszył ramionami i podał mi drugiego wprost z paczki.

- Powiedz mi, według tego twojego kłamliwego scenariusza, czemu niby miałabym cię szantażować? - powiedziałam.

- Jeszcze nie zdecydowałem. Może dlatego, że chcesz zatrzymać całe honorarium za książkę. Albo połowę mojego miliona dolarów. Tak naprawdę to nie ma znaczenia, skarbie, bo nikt się o niczym nie dowie. Będziemy nadal współpracować, i to w doskonałej komitywie. Kiedy skończymy książkę, nawet prześpię się z tobą, jeśli będziesz chciała. Tym razem będziemy tylko we dwoje.

Powiedział to bardzo przyjaźnie, jakby uważał, że nie ma o co kruszyć kopii.

Założyłam ręce na piersi.

- Czego ode mnie chcesz?

- Będziemy kontynuować prace nad książką. Odwalisz kawał dobrej roboty. Nadal będę ci opowiadał najprzeróżniejsze pikantne, śmieszne, wzruszające anegdoty. Nie zadasz mi już jednak ani jednego pytania o to, co stało się z tą twoją Dziewczyną z New Jersey. Pisała o tym Dorothy Kilgallen, pisał Jack O'Brien, a Moe Cohn do reszty wyczerpał temat. Podam ci moją wersję wydarzeń i koniec, sprawa zamknięta. Możesz powiedzieć wydawcy, że próbowałaś podejść mnie na różne sposoby, ale nie powiedziałam nic, co wydałoby ci się dziwne czy podejrzane. Postaram się nawet, by moja opowieść była ciekawsza od oficjalnych relacji, więc nikt nie będzie mógł ci zarzucić, że nawaliłaś. Na okrasę dorzucisz parę pikantnych szczegółów, na przykład ten, jak to w noc przed finałem akcji charytatywnej chciałem się wyspać, więc na wszelki wypadek miałem pod ręką kilka lasek. - Jego oczy nabrały lekko lubieżnego spojrzenia. - No, może nie pod ręką. Jak pewnie zauważyłaś, mam trochę inne preferencje.

Z każdą chwilą coraz bardziej upodabniał się do swojego byłego partnera.

- No i? - spytałam.

- I to wszystko. - Klasnął w dłonie jak krupier odchodzący od stołu do blackjacka. - Widzisz? To nic straszego. Będziesz miała swój bestseller, ja dostanę swój milion, Jenn nagra przebojową płytę i wszyscy będą zadowoleni.

- A jeśli na to nie pójde?

Zmarszczył brwi.

- Wówczas będę zmuszony pójść do wydawnictwa Neuman i Newberry i uświadomić im, jak obłudne, niemoralne i wręcz kryminalne było twoje postępowanie względem tego projektu, mnie, a nawet Lanny'ego. Zażądaj, by pozbawili cię możliwości dalszej pracy nad książką i zastąpili kimś, z kim łatwiej byłoby mi się dogadać i komu mógłbym zaufać.

- Innymi słowy, kimś, kto napisze twoją laurkę.

- Otóż to.

Pokręciłam głową.

- Nie rozumiem, Vince. Od samego początku bałeś się rozmowy o Maureen O'Flaherty. Skoro zależało ci na tym, by jej uniknąć... czemu, czemu, czemu w ogóle zgodziłeś się, by powstała ta książka?

Zrobił smutną minę, a jego odpowiedź była jeszcze bardziej żalсна.

- Bo potrzebuję pieniędzy.

Postawił kołnierz koszuli, owinął krawat wokół szyi i skupił się na wiązaniu węzła windsorskiego. Miałam ochotę kopnąć go w jaja, ale był ode mnie o głowę wyższy i dobre trzydzieści kilo cięższy.

Dlatego załatwiłam go najlepiej, jak mogłam.

- Słuchaj, Vince, pewnie się nie ucieszysz, ale muszę cię powiadomić, że, choć moje postępowanie w ostatnim miesiącu na to nie wskazuje, mam pewne zasady. Na przykład uważam, że solennym obowiązkiem pisarza jest nie zważać na to, czy coś, co ujawni w swojej książce, może być dla niego osobiście wstydlіwe czy upokarzające.

Długi krawat wyraźnie działał mu na nerwy. Musiał zacząć wiązać go od nowa.

- No i?

- Zajrzyj do umowy, Vince.

Moje słowa zawisły w powietrzu. Teraz, kiedy powołałam się na legalny dokument, słuchał mnie już bardziej uważnie. Na chwilę puścił oba końce krawata.

- Co w związku z nią?

- Mam prawo wykorzystać wszystko, co powiesz w mojej obecności. Na przykład, przez ostatnie piętnaście minut zadawałam ci pytania, a ty odpowiadałeś. A ponieważ wolno mi też uwzględnić „kontekst”, to znaczy gdzie byliśmy, kiedy mówiłeś to czy tamto, jak się tam znaleźliśmy, co robiłeś, kto był z nami... mogę opisać ostatnią noc i dzisiejszy poranek z

wszystkimi, dosłownie wszystkimi szczegółami. Jak mnie wrobiłeś. Jak wciągnąłeś w to Jenn. Jak próbowałeś zmusić mnie szantażem, żebym nie pytała cię o Dziewczynę z New Jersey. Co tam, dołączę nawet polaroidy. - Poklepałam ocalale zdjęcie. - Wszystkie fotografie, zrobione podczas wywiadu, są własnością wydawcy.

Tym razem nienagannie zawiązał krawat i włożył marynarkę.

- Neuman i Newberry to szanowana firma. Nie będą chcieli uwalniać sobie rąk czymś takim. Wyśmieją cię tylko i wylecisz. I już nikt nigdy nie potraktuje cię poważnie.

- A ja myślę, że potraktowaliby mnie poważnie, gdybym się do wszystkiego przyznała. Nie to, że próbowałabym się tłumaczyć, powiedziałabym po prostu: tak, popełniłam masę ogromnych błędów, z czego część, nawiasem mówiąc, z twoją wydatną pomocą. Wyznałabym, jaka głupia byłam, że myślałam, że mogę wdawać się w jakieś gierki z takimi dwoma cwaniakami jak wy. Powiem wszystko, choćby miało mnie to ukazać w złym świetle, jak te polaroidy. - Złapałam go za ramię. - Słuchaj, to mógłby być mój najbardziej heroiczny wyczyn. Dziennikarka, która łamie własną karierę, by powiedzieć czytelnikom prawdę, przynajmniej wie, że służy prawdzie. Nawet gdyby mnie wyśmiali, nie mogliby mi tego odebrać. Niszcząc samą siebie, mogłabym coś zyskać. Ty nie będziesz miał z tego nic.

Ruszył do drzwi, gotów zakończyć rozmowę.

- Pytanie, komu uwierzyliby, tobie czy mnie - powiedział i lekceważąco machnął ręką.

- Ten, kto otwarcie przyznaje się do przestępstwa, a potem podaje nazwisko współnika, jest o wiele bardziej wiarygodny od kogoś, kto mówi: „Jestem niewinny, ona to zrobiła”.

Jakoś nie był już tak pewny siebie.

Ciągnęłam swój wywód.

- Z prawdziwym życiem nieodłącznie wiążą się drobne detale, Vince. Kłamstwo pociąga za sobą tylko następne kłamstwa. Jeśli zejdziesz schodami pożarowymi do holu, gdzieś po drodze pewnie będzie stało wiadro z piachem. Jakiego koloru? Na którym piętrze? Jeśli skłamiesz i powiesz, że zszedłeś na dół schodami pożarowymi, nie będziesz miał tych informacji. Zostanie ci tylko kłamstwo. Ja znam szczegóły, Vince. Ty nie.

Vince wszedł do łazienki, wyciągnął z pudełka kilka chusteczek i wytarł zroszoną potem szyję. Spojrzał w lustro, by sprawdzić, czy może się pokazać publicznie. Uśmiechnął się.

- Nie powiedziałem ci niczego, co można by wykorzystać przeciwko mnie.

Potrząsnęłam głową z żalem.

- To kwestia dyskusyjna. Są jednak ludzie, którzy wiedzą to i owo, Vince, i potrafią być bardzo rozmowni, zwłaszcza jeśli mogą na tym zarobić. I pamiętaj: w kontrakcie, który podpisałeś, nie ma mowy o tym, że nie wolno mi zadawać pytań z podtekstem czy wyciągać asów z rękawa.

Stanął przy drzwiach ze zdziwioną miną.

- Co przez to rozumiesz?

- To, że zgodnie z umową, nic nie stoi na przeszkodzie, bym w zadawanych ci pytaniach zawarła wszelkie informacje, jakie zechcę... te, które chciałabym ujawnić lub które powinna zbadać policja. Muszę tylko zrobić to w formie pytania. Jak w tym teleturnieju, „Jeopardy!”. Chcesz, żebym wyciągnęła jeden z asów z rękawa... ot, taką darmową próbkę?

- Jasne - powiedział Vince.

Tak naprawdę miałam tylko jednego asa, ale zamierzałam wyłożyć go na stół teraz, kiedy był mi najbardziej potrzebny. Cel, pał, ognia.

- Vince, kiedy byliście w hotelu Versailles w Miami, czy to był twój pomysł, czy Lanny'ego, by schować ciało Maureen O'Flaherty do metalowej skrzyni z małżami i lodem, a potem wysłać ją do New Jersey... czy też wymyśliliście to razem?

Och, jakże lekko zrobiło mi się na sercu na widok jego śmiertelnie pobladłej twarzy. Jaka szkoda, że Jenn zabrała aparat. Miałabym zdjęcie, które mogłabym z rozkoszą pokazać matce Maureen. Uniosłam brwi.

- Nie odpowiada pan, panie Collins? Rozumiem. Chcę tylko zauważyć, że nie udzielając odpowiedzi, narusza pan umowę. Jaka szkoda. Miałam wrażenie, że potrzebuje pan pieniędzy.

Lanny miał rację co do jednego: ani ja, ani Vince nie byliśmy tak cwani, jak nam się wydawało. Błąd Vince'a polegał na tym, że usiłując zepchnąć mnie w przepaść, nie zauważył, że sam już znalazł się poza jej krawędzią. Ja zaś w swojej głupocie nie przewidziałam, że kiedy powiem mu to wszystko, będzie chciał mnie zabić.

Rzucił się przez pokój i pchnął mnie na łóżko. Kiedy w filmie mężczyzna dusi kobietę, zawsze myślę: „Skoro walczy o życie, chyba powinna być w stanie wykrzesać z siebie dość siły, by stawić opór?”. Odpowiedź na to pytanie brzmi: nie, jeśli mężczyzna jest silniejszy. Vince dusił mnie i dobrze mu szło. Nie mogłam nabrać powietrza do płuc. Gdyby to był film, w zasięgu ręki miałabym lampę czy wazon, którym zdzieliłabym napastnika. Tu nie było ani jednego, ani drugiego. Sięgnęłam po nieodzowne w tego typu scenach nożyczki, ale ich też nie znalazłam. Miałam umrzeć i tyle. Spodziewałam się, że lada chwila zobaczę Wielkie Jasne Światło i

Przyjazne Głosy spytają mnie, czy jestem gotowa, na razie jednak słyszałam tylko rozpaczliwe rżenie, towarzyszące moim próbom złapania tchu, i stękanie Vince'a, który w tych próbach starał mi się przeszkodzić.

I nagle dał za wygraną. Najwyraźniej nie mógł się zmusić, by mnie zabić.

Twarz miałam całą w pianie i śluzie. Wciągnęłam powietrze do obolałych płuc, wydając dźwięki, jakie nigdy dotąd nie wyszły z moich ust.

- To tak zabiłeś Maureen O'Flaherty? - spytałam, dysząc ciężko (bo płacili mi za to, żebym zadawała mu pytania).

Spojrzał na mnie z miną człowieka, który uświadomił sobie, że jest w sytuacji bez wyjścia. Po twarzy ciekła mu krew z zadrapań zrobionych moimi paznokciami.

- Spytaj Lanny'ego - wychrypiał. - Podobno on to wie.

Coś metalowego zastukało w drewniane drzwi pokoju. Może to Alicja pragnąca pozować jeszcze do kilku zdjęć albo Lanny, który postanowił przyjść byłemu partnerowi z pomocą, albo...

- Obsługa? - powiedział kobiecy głos. Metalowy klucz zastukał głośniejsze w drzwi. - Obsługa?

Drzwi otworzyły się i weszła święta Rina z Anaheim, ze swoją towarzyszką, odbywającą nowicjat siostrą Esmeralda.

- *Usted conoce a Vince Collins, la estrella famosa del cantante y de cine?* - wykrztusiłam moim kiepskim hiszpańskim i wskazałam na Vince'a, gwiazdę piosenki i kina.

Pokrzykując z ożywieniem, podeszły do niego.

Ominęłam je i slaniając się na nogach, poszłam na schody pożarowe. Musiałam znaleźć się jak najdalej od tego pokoju, nie chciałam czekać na windę. Na drugim piętrze zobaczyłam metalowe wiadro z piachem. Było czerwone. W środku leżały dwa niedopałki. I paperek po gumie do żucia. Zauważyłam te szczegóły, kiedy klęczałam z głową w wiadrze i raz po raz wstrząsały mną torsje.

Bez kłopotu dostał apartament, na którym mu zależało. Versailles wciąż pozostawał jednym z najlepszych nadmorskich hoteli, ale teraz, w latach siedemdziesiątych, okres świetności miał już za sobą. Plaża stała się „górami Catskills z Kubańczykami i czerniakami”. Jak mawiano żartem, gdyby pozbawić Bermudy całego ich piękna, otrzymałoby się Miami. Len-ny Bruce orzekł, że Miami to hospicjum dla neonów.

Zdziwili się, że chce wynająć apartament z dwiema sypialniami, choć przyjechał sam. Może spodziewał się, że później będzie miał towarzystwo. W przeszłości nigdy mu go nie brakowało.

Początkowo nie wszedł do żadnej z sypialni. Po wyjściu boya hotelowego stanął na środku salonu. Telewizor był inny, kolorowy. Wymieniono wszystkie meble. Cóż, w końcu minęło prawie piętnaście lat. Za to rozkład pomieszczeń się nie zmienił. To było dokładnie tu, w tym miejscu. Tutaj prawda wyszła na jaw. I wtedy wszystko się skończyło.

Dlatego właśnie ta dziewczyna musiała umrzeć.

Została na noc - która miała dla niej nigdy się nie skończyć - tu, w salonie, na rozkładanej kanapie Castro. Nie do pomyślenia: Castro w Miami. (Taki żart).

Chłopcy udali się do swoich sypialni, do których można się było dostać drzwiami po obu stronach salonu albo bezpośrednio z przedpokoju. Mieli co odsypiać. Nie był to dobry wieczór.

Jak zaczął się koniec?

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do obsługi.

- Halo, obsługa? Chcę w pokoju odprawić ceremonię i brakuje mi ludzi do minianu. Słucham? Mi-nia-nu. Tak, to będzie żydowskie nabożeństwo, chcemy zmówić kadisz. Jestem w szulu dwa-pięć-zero-je-den, zero-dwa, zero-trzy, à propos, jak się nazywasz, skarbie? Robertson, aha,

to już wiem, czemu mnie nie rozumiesz. Słuchaj, potrzeba mi trzech krzepkich mężczyzn do minianu, ale jeśli znajdziesz trzy krzepkie kobitki, chrzanić minian, zrobimy sobie imprezkę. To żart. Zapomnij. Słuchaj, mówi Lanny Morris z pokoju 2501. Tak, ten Lanny Morris. A ja jestem twoim wielkim fanem. Nie, mówię serio. Pan Collins? Tak się składa, że niedawno go widziałem. Wyglądał świetnie, no, ale kiedyż on tak nie wygląda, hmmmm? Słuchaj, mogłabyś tu podesłać trzy filety mignon, krwisty, krwisty i krwisty, z sosem béarnaise, dodatki te co zwykle? Super, i słuchaj, nie zrozum tego jakoś na opak, ale macie tam taką milutką pokojówkę, przeuroczą młodą damę, wiesz, o kogo chodzi? Tak, to ona... mogłabyś wyświadczyć przysługę zmęczonemu artyście i dopilnować, żeby to ona przyniosła zamówienie? Nawet gdybyś musiała zabrać ją z innego pokoju. Zrób to dla Lanny-mana, co? Nie, gorzały nam starczy, ale, hm, niech dziewczyna weźmie trzy butelki schłodzonego moëta, dobra? Może przynieść to wszystko do pokoju 2502, tam jest salon. Dzięki, słonko.

Odłożył słuchawkę. Tak to się zaczęło. Vince'a już z nim nie było, i chwała Bogu. Z drugiej strony, dziwnie się czuł w trzech pustych pokojach. Pomyślał, że mógłby pogadać z Reubenem, który zajął mniejszy pokój w głębi korytarza, ale przypomniał sobie, że jego też nie zabrał w tę podróż. Siedział więc sam w ciemności.

Jak się okazało, Versailles cierpiał na poważny niedobór personelu. Minęła prawie godzina, nim rozległo się pukanie do drzwi salonu.

- Kto tam? - spytał, wyrwany ze snu.

- Obsługa - powiedział melodyjny kobiecy głos.

Wciąż rozespany, otworzył drzwi.

Kobieta zauważyła, że jest ciemno.

- Och, mógłby pan zapalić światło?

Poszukał po omacku włącznika. Wcisnąwszy go, usiadł z powrotem na kanapie.

Dziewczyna miała góra metr pięćdziesiąt wzrostu, była bardzo szczupła. W służbowym stroju wyglądała jak Lucille Ball przebrana dla żartu w uniform boya hotelowego. Miała zawinięte rękawy i mankiety, wyglądała prześlicznie. Jej włosy były długie, lśniące i czarne, oczy migdałowe. Nie była to Maureen O'Flaherty.

- Trzy steki z dodatkami. Mam nakryć stół?

Gestem dał znać, że byłby jej za to wdzięczny, choć nie miał zamiaru wziąć do ust nawet kęsa. Robił to wszystko, by przypomnieć sobie stare dobre czasy.

Zajęła się nakrywaniem okrągłego stołu, stojącego przy oknach wychodzących na ocean, choć, rzecz jasna, w nocy oceanu nie było widać. Wyjęła złożony obrus i zasała nim stół, po czym zaczęła ustawiać na nim



nakryte półmiski, wyjmowane z podgrzewanego paliwkiem pojemnika, schowanego wewnątrz wózka.

- Jesteś Chinką czy Japonką? - spytał.

- Koreanką - powiedziała z uśmiechem. - W kuchni mówili, że jest pan sławny. Co takiego pan zrobił?

- A żebym to ja wiedział - odparł. - Jak się nazywasz?

- Mei Ling. To chińskie nazwisko, ale jestem Koreanką. A pan jak się nazywa?

- Lanny Morris. To żydowskie nazwisko, ale jestem niegroźny. To żart. Jak długo jesteś w tym kraju, Mei Ling?

- Rok i dziesięć miesięcy. Zamówił pan trzy butelki szampana, wzięłam trzy wiaderka z lodem, bo nie wiedzieliśmy, czy ma być jedna butelka na pokój, czy... Mam otworzyć pierwszą czy chce pan zaczekać na gości?

Uśmiechnął się.

- Możesz otworzyć wszystkie trzy, Mei Ling. Mam się podpisać na jakimś rachunku?

Podawała mu go.

- Tak. Może przy okazji powinnam wziąć od pana autograf, w kuchni mówili, że może być sporo wart. Znaczy się, po pańskiej śmierci.

Wybuchnął śmiechem.

- Proszę nie zapomnieć o napiwku dla Mei Ling - poinstruowała go.

Dopisując do rachunku pokażną sumę, zerkał na jej twarz.

- Wiesz co, Mei Ling? Nie wyglądasz na Koreankę.

Kiedy zobaczyła, jaki zostawił napiwek, była bardzo zadowolona.

- Jestem Wietnamką z Północy, ale kto chciałby w to wnikać? Nie goście, a już na pewno nie ja. Madame Butterfly może liczyć na większe napiwki niż Trinh Le Truong. Nalać szampana?

Skinął głową przyzwalająco. Wzięła kieliszek z wózka i napełniła go po brzegi. Mężczyzna spytał, czy nie napiłaby się z nim, ale wytłumaczyła, że jest w pracy. Z uśmiechem wziął od niej kieliszek. Zdecydowanie nie była to Maureen O'Flaherty.

- To jak, mogłabym prosić o ten autograf? - spytała na odchodnym. - Tego na rachunku nie pozwolą mi zatrzymać.

Skinął głową i podszedł do stolika. Leżał na nim notes i długopis z logo hotelu. Napisał: „Dziękuję za full service (ŻART)... Lanny Morris”. Spojrzała na kartkę z zaciekawieniem i schowała ją do kieszeni.

- Naprawdę jest pan sławny, panie Morris?

- Byłem, swego czasu. Jeszcze cię pewnie na świecie nie było.

Wyjaśniła, że nie miała w domu telewizora, a w jej rodzinnych stronach amerykańskie filmy były zakazane.

- Czym pan się zajmował, panie Morris?

Zastanowił się.

- Utrudniałem życie Vince'owi Collinsowi.

Nie zrozumiała, ale trzymała się zasady, że w pokoju samotnego dżentelmena nie należy przebywać ani sekundy dłużej, niż to konieczne. Życzyła mu miłego wieczoru.

Podszedł do półki przy barku, wziął szklankę i przelał do niej zawartość kieliszka. Wyjął pierwszą butelkę szampana spomiędzy kostek lodu i napełnił szklankę po brzegi. Wychylił ją jednym haustem.

Poszedł ze szklanką do pokoju, w którym spał tamtej nocy, i skierował się do łazienki. Przekręcił jedyny kurek w wannie połączonej z prysznicem. Z sitka trysnęła woda. Przełączył ją do wanny i wyregulował tak, by była gorąca.

W czasie, kiedy wanna napełniała się, poszedł do sypialni, usiadł przy biurku i wyjął hotelową papeterię. Popijając szampana ze szklanki, napisał kilka zdań, by nie zostać źle zrozumianym. Pragnąc dodać sobie otuchy, postawił przed sobą buteleczkę tabletek.

Kiedy skończył, wziął z salonu trzy wiaderka z butelkami szampana, zaniósł je do łazienki i starannie ustawił obok wanny.

Zrzucił z siebie ubranie, zakręcił kran i sprawdził temperaturę wody. Cholera. To był wrzątek, a on nie chciał czekać. Wtedy wpadł na genialny pomysł. Wyjął butelki szampana z wiaderek i wsypał lód do wanny. Zanurzył się w koktajlu z gorącej wody i lodu. Czysta poezja. Leżał w wannie pełnej wody i lodu.

Nie wydawało mu się, by miał dość odwagi, aby się zabić, przynajmniej na razie. Jednak jego plan, przebiegły plan, polegał na tym, by wypić dość szampana, może całe trzy butelki, i łyknąć dostatecznie dużo proszków, aby „skończenie z tym wszystkim” zaczęło mu się wydawać rozsądnym, a nawet doskonałym pomysłem. Miał wrażenie, że to mu się powiedzie. Wiedział na pewno, że na nic poza tym nie może już liczyć. Nie miał więc w zasadzie wyboru.

Otworzył buteleczkę i połknął pierwszą tabletkę, popijając ją szampantem ze szklanki. Świat od razu zaczął lepiej wyglądać.

Z tego, co udało mi się odtworzyć na podstawie jego listu, relacji pani Truong i rozmów z detektywami z Miami, tak właśnie wyglądał jego ostatni wieczór.

Wczesnym popołudniem do znajdującego się w Beverly Hills biura Irva Fleischmanna, agenta Lanny'ego Morrisa, zadzwonił dyrektor hotelu Versailles.

Fleischmann wysłuchał wiadomości. Pokojówka przysłała posprzątać pokój. O mało nie zemdląca na widok ciała unoszącego się w chłodnej wodzie.

Fleischmann odwrócił się do mężczyzny w szortach tenisowych, który siedział wygodnie po drugiej stronie biurka. Powiedział mu najdelikatniej, jak potrafił, że Vince Collins nie żyje. Przedawkował narkotyki, biorąc kąpiel w ich starym apartamencie w Versailles. Znalaziono list napisany ręką Vince'a. Nie było wątpliwości, że popełnił samobójstwo.

Lanny ukrył twarz w dłoniach i szlochał przez prawie pięć minut. Irv Fleischmann nie był typem człowieka, który chętnie brał w ramiona innych, zresztą przypuszczał, że Lanny by sobie tego nie życzył. Zamiast tego starał się więc zrobić coś pożytecznego. Poszedł do sekretarki, przekazał jej złą wiadomość, uspokoił ją i powiedział, że od tej chwili ma nie tłumaczyć żadnych telefonów. Pan Morris wyda po południu komunikat, ale nie będzie udzielał wywiadów, przynajmniej na razie.

Następnie zadzwonił do Reubena, który był w domu Lanny'ego, i kazał mu przywieźć ubranie na zmianę, w tym ciemny garnitur i krawat. Lanny był w stroju do gry w tenisa. Reuben, wstrząśnięty prawie tak mocno, jak jego chlebodawca, zapewnił jednak, że przyjedzie z Dominikiem limuzyną, na wypadek gdyby miała okazać się potrzebna. Irv podziękował mu, wziął z biurka sekretarki pudełko chusteczek, wrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Lanny był już spokojniejszy. Potrząsnął głową.

- Boże, Irving. Dlaczego teraz? Dlaczego nie piętnaście lat temu?

Irving nie miał pojęcia, co powiedzieć na te zdumiewające słowa. Wiedział, że w takich okolicznościach ludzie często mówią dziwne rzeczy.

- Może w głowie mu się pomieszało. Człowiek z hotelu powiedział, że przedstawił się obsłudze jako Lanny Morris. Nawet podpisał się tak, dając autograf. Może zwariował i tyle.

Lanny pokręcił głową.

- Nie, to nie tak, Irv. - Wziął papierosa z okrągłej papierośnicy na biurku Irva i zapalił go. - Po prostu nie chciał być Vince'em Morrisem.

Po śmierci Vince'a przez tydzień nie robiłam prawie nic. Chciałam napisać książkę o śmierci Maureen, Vince tak naprawdę wcale sobie tego nie życzył, ale skusiły go pieniądze. Milion dolarów za to tylko, że miał mówić o sobie, to niezła kasa, nie zarobiłby tyle, nawet gdyby zagrał w paru filmach.

Nie widziałam nic niestosownego w tym, że chciałam tę książkę napisać. Vince wiedział, że za oferowaną mu kwotę wyretuszowany portret nie wystarczy. Od samego początku uprzedzałam go, że będziemy musieli zmierzyć się ze sprawą Dziewczyny z New Jersey.

Connie zadzwoniła, kiedy tylko radio podało wiadomość o śmierci Vince'a. Zachowywała się jak to Connie. Nie traciła czasu na sentymenty czy rozważania typu „co by było, gdyby”. Spytała, czy zebrane przeze mnie materiały wystarczą do napisania książki. Powiedziałam, że książkę można napisać z niczego; udowodnił to Rod McKuen. Jeśli jednak ograniczymy się do tego, czego dowiedziałam się z wywiadów, trzeba będzie dorzucić kupę zdjęć, a cała historia skończy się, zanim Vince poznał Lanny'ego. Jęknęła i powiedziała, że Bernard Besser i Jay Drelitch studiują umowy, by zorientować się, jakie w tej sytuacji mają zobowiązania. Byli wdzięczni opatrności, powiedziała bez cienia wstydu, że Vince popełnił samobójstwo, a nie, dajmy na to, wpadł pod ciężarówkę. Przez to, że dobrowolnie „wycofał się” z umowy, prawdopodobnie zrzekł się należnego honorarium.

Podsunęła mi wtedy inny pomysł: a gdyby tak książka była o mnie, o tym, jak spotkałam Vince'a i badałam jego przeszłość? Co z tym przełomem, o którym wspominałam, dzwoniąc z Miami? Czy to, plus wywiady, wystarczy, by napisać prawdziwą, pikantną książkę? Powiedziałam, że będę musiała przejrzeć to, co mam, i że się odezwę.

Connie nie zdawała sobie sprawy, że mam tylko garść informacji, nie-przyzwoitą historyjkę o mnie i Lannym, śmiałą teorię co do tego, gdzie zginęła Maureen - której Vince już nigdy nie skomentuje - i opowieść o tym, jak zadurzyłam się w Vinsie, omal mu się nie oddałam, przy jego udziale zostałam wprowadzona w tajniki miłości lesbijskiej, a potem się z nim pobiliśmy. Gdyby książka miała być o mnie, pewnie tego by wystarczyło. Ale czy naprawdę chciałam o tym pisać?

To właśnie wytknął mi Vince, kiedy go poznałam. „W tych wywiadach za dużo jest ciebie. Widać cię wszędzie, prawie w każdym zdaniu. Jesteś ich bohaterką w takim samym stopniu, jak osoby, z którymi rozmawiasz”. Wyjaśniłam mu wtedy, że mam taki styl, no, ale to samo mogliby powiedzieć o sobie faceci w dzwonach.

Było wczesne popołudnie i między moje drzwi a butlę dostarczanej mi co dwa tygodnie wody mineralnej Arrowhead wsunięta była duża, szara, nieoznakowana koperta.

Podniosłam ją i przy okazji zabrałam pocztę. W oczy rzucił mi się list wysłany ekspresem z poczty w Anaheim. Na stemplu widniała data mego ostatniego spotkania z Vince'em. Koperta zaklejona była taśmą.

Musiałam uciec się do pomocy nożyczek. Rozciąłam ją z boku, nie na górze, i wysypało się z niej kilkanaście wykonanych polaroidem fotografii, przedstawiających mnie z Jenn. Na odwrocie najbardziej seksownej z nich (Boże, ta Jenn to naprawdę piękność) napisane było niewyraźnym charakterem pisma: „Wybacz. Vince”.

Zanim zdążyłam się rozmyślić, podkręciłam gaz pod ceramicznymi polanami w moim małym kominku i spaliłam zdjęcia.

Potem usiadłam na kanapie z większą przesyłką. Założyłam, że na kopczie nie ma odcisków palców - może przeceniałam moich przeciwników, ale byłam zbyt zaintrygowana, by zwlekać - i rozerwałam ją.

W środku znalazłam plik kartek, niewątpliwie kserokopii. Dołączono do nich list od Lanny'ego. Nie napisał go jednak do mnie.

JOHN HILLMAN, ESQUIRE  
WELSNER, HILLMAN AND DUMONT, P.C.  
7760 SUNSET BOULEVARD  
15 PIĘTRO

UWAGA: NINIEJSZE PISMO, WRAZ Z ZAŁĄCZNIKIEM, JEST PRYWATNYM LISTEM KLIENTA, LANNY'EGO MORRISA DO JEGO ADWOKATA, JOHNA HILLMANA, ESQUIRE. NAKAZUJE SIĘ ŚCIŚLE PRZESTRZEGAĆ TAJEMNICY ADWOKACKIEJ.

ZAŁĄCZONY DOKUMENT OTWORZYĆ MOŻE WYŁĄCZNIE JOHN HILLMAN, ESQ. BĄDŹ JEGO PEŁNOMOCNIK (KTÓREGO OBOWIĄZUJĄ WSZELKIE PRZEPISY, REGULUJĄCE POUFNY I UPRZYWILEJOWANY CHARAKTER KONTAKTÓW KLIENTA Z ADWOKATEM), A NASTĄPIĆ TO MOŻE TYLKO PO ŚMIERCI LANNY'EGO MORRISA.

## DO WYŁĄCZNEJ WIADOMOŚCI JOHNA HILLMANA. ESQ.

DROGI JOHNIE,

PIERWSZA SPRAWA: JEŚLI CZYTASZ TEN LIST, OZNACZA TO, ŻE NIE MA MNIE WŚRÓD ŻYWYCH. DLATEGO, PRZYJACIELU, WOLAŁBYM, ABYŚ GO NIE CZYTAŁ. JEŚLI JEDNAK MASZ GO W RĘKACH, DZIĘKUJĘ CI ZA POMOC, KTÓRĄ SŁUŻYŁEŚ MI PRZEZ OSTATNIE DZIESIĘCIOLECIA.

JOHN, JAK WIESZ, Z ROZMAITYCH POWODÓW O CHARAKTERZE OSOBISTYM, POWODÓW, KTÓRE, JAK SĄDŻĘ, UZASADNIAJĄ PODJĘCIE TAKIEGO WYZWANIA, W CIĄGU OSTATNIEGO ROKU NAPISAŁEM KILKA ROZDZIAŁÓW: BYĆ MOŻE PEWNEGO DNIA ZNAJDĄ SIĘ ONE W MOICH WSPOMNIENIACH Z OKRESU WSPÓŁPRACY Z VINCE'EM COLLINSEM. PISZĄC JE, ROZMYŚLNIE POSŁUGIWAŁEM SIĘ JĘZYKIEM, Z KTÓREGO PUBLICZNOŚĆ ZNAŁA MNIE W LATACH PIĘCDZIESIĄTYCH, BYŁY TO BOWIEM CZASY ZDOMINOWANE PRZEZ AROGANCJĘ I WULGARNOŚĆ, MY BYLIŚMY AROGANCY I WULGARNI I TAKIEGO WŁAŚNIE JĘZYKA UŻYWALIŚMY W PRYWATNYCH ROZMOWACH I (W NIECO OCENZUROWANEJ WERSJI) NA SCENIE. CHCIAŁEM, BY CZYTELNIK POCZUŁ SMAK TAMTEJ EPOKI, JAKKOLWIEK SUROWY I CIERPKI MÓGŁBY SIĘ DZIŚ WYDAWAĆ.

CHOĆ PISAŁEM KONKRETNE ROZDZIAŁY Z MYŚLĄ O KONKRETNÝCH CELACH, PRZYSTĘPUJĄC DO PRACY, WIEDZIAŁEM, ŻE JEST MAŁO PRAWDOPODOBNE, BYM JĄ UKOŃCZYŁ. JEŚLI WPROWADZIŁEM CIĘ W BŁĄD W TEJ KWESTII, PRZEPRAZSAM. CZASEM LUDZIE KŁAMIĄ W NAJLEPSZEJ WIERZE. MOIM ZDANIEM, TO MIĘDZY INNYMI DZIĘKI NIEWINNYM KŁAMSTEWKOM SPOŁECZEŃSTWO NIE PO PADA W ANARCHIĘ.

JOHN, JEDEN Z NAPISANYCH PRZEZE MNIE ROZDZIAŁÓW TRAFIŁ JUŻ DO AKT W TWOIM GABINECIE I, MIEJMY NADZIEJĘ, POZWOLI OSIĄGNĄĆ JEDEN Z CELÓW, JAKIM MIAŁ SŁUŻYĆ. DO NINIEJSZEGO LISTU DOŁĄCZYŁEM JEGO KOPIĘ, A TAKŻE DWA INNE ROZDZIAŁY. MOGĄ ONE BYĆ W PEWNYM STOPNIU INTERESUJĄCE DLA OSÓB PISZĄCYCH O SHOW-BIZNESIE KOŃCA LAT PIĘCDZIESIĄTYCH. PIERWSZY ROZDZIAŁ PRZEDSTAWIA W DOŚĆ NIEKORZYSTNYM ŚWIETLE DWÓCH ROZPUSTNIKÓW

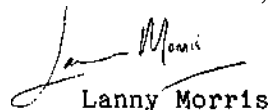
UŻYWAJĄCYCH ŻYCIA I KOBIET. NIE WYPIERAM SIĘ TEGO. ROZDZIAŁ DRUGI, OBEJMUJĄCY PÓŹNIEJSZY OKRES TEGO SAMEGO ROKU, STANOWI KONTYNUACJĘ WYŻEJ WSPOMNIANEGO OPISU, A PONADTO WYKAZUJE PONAD WSZELKĄ WĄTPLIWOŚĆ, ŻE NIE MOGLIŚMY MIEĆ NIC WSPÓLNEGO ZE ŚMIERCIĄ MAUREEN O'FLAHERTY. WYSTARCZY SPRAWDZIĆ CZAS POSZCZEGÓLNYCH WYDARZEŃ.

JOHN, TRZECI ROZDZIAŁ DOŁĄCZONY DO TEGO LISTU ZOSTAŁ ZAPIECZĘTOWANY I ZAWIERA ZWIĘZŁY, SZCZERY I RZETELNY OPIS WYDARZEŃ, DO KTÓRYCH DOSZŁO PEWNEGO WIECZORU W MIAMI, A KTÓRYCH KONSEKWENCJĄ BYŁO ZAKOŃCZENIE MOJEJ WSPÓŁPRACY Z VINCE'EM COLLINSEM. ON TAKŻE NAPISANY JEST JĘZYKIEM, KTÓREGO UŻYWAŁEM W TAMTYCH CZASACH, JEGO TON ZAŚ CELOWO DOSTOSOWAŁEM DO TONU POPRZEDNICH DWÓCH ROZDZIAŁÓW, TAK BY KTOŚ, KTO PRZECZYTA WSZYSTKIE TRZY (BOŻE UCHOWAJ), SŁYCHAŁ GŁOS TEGO SAMEGO „LANNY'EGO”. NAWET AUTORZY SKECZY DLA PARY PRYMITYWNYCH KOMIKÓW MAJĄ AMBICJE ARTYSTYCZNE.

JOHN, NIEPOKOJĘ SIĘ, ŻE PO MOJEJ ŚMIERCI PEWNEGO DNIA KTOŚ (MOŻE NAWET VINCE) POWIE COŚ, CZEMU NIE BĘDĘ W STANIE ZAPRZECZYĆ, I OGROMNIE CIĄŻY MI ŚWIADOMOŚĆ FAKTU, ŻE TYLKO DWA ŻYJĄCE DZIŚ OSOBY ZNAJĄ PRAWDĘ. DLATEGO TEŻ, NIE STARAJĄC SIĘ PRZYPISAĆ CAŁEJ SPRAWIE WIĘKSZEGO ZNACZENIA, NIŻ NA TO ZASŁUGUJE, CIEBIE TEŻ CHCĘ OBARCZYĆ TĄ WIEDZĄ. MAM NADZIEJĘ, BA, JESTEM PRZEKONANY, ŻE NIGDY NIE BĘDZIESZ MUSIAŁ POWOŁAĆ SIĘ NA SPISANĄ PRZEZE MNIE RELACJĘ. DECYZJĘ, CZY TAK ZROBIĆ, PODEJMIESZ WEDLE WŁASNEGO UZNANIA, PROSZĘ TYLKO, ABYŚ W RAZIE CZEGO ZACHOWAŁ MOŻLIWIE NAJWIĘKSZĄ DYSKRECJĘ.

DZIĘKUJĘ, JOHN, ZA TWOJĄ POMOC I PRZYJAŹŃ.

POZDRAWIAM SERDECZNIE,



Lanny Morris

Opuściłam drugi rozdział, na pierwszy rzut oka niczym nieróżniący się od tego, który Bonnie przywozła mi z Los Angeles, i spojrzałam na trzeci. Napisany był na tym samym selectricu, co poprzednie dwa, wchodzące w skład autobiografii Lanny'ego (która najwyraźniej nie była tak bliska ukończenia, jak mi się wydawało). A oto i ten rękopis.

Wiedzieliśmy, że trzeba wcześniej się położyć, bo czekał nas finał akcji charytatywnej, Vince zaproponował więc, żebyśmy zjedli kolację w pokoju i zaprosili do towarzystwa Maureen, a potem, jak to ujął, wzięli ją na deser. Powiedziałem, że Maureen uważa, że skoro tak posuwamy te same dziewczyny, to może jesteśmy jedną osobą w dwóch postaciach, a Vince na to, że będzie miała okazję, by się przekonać, że to nieprawda. Odpartem, że to ją weźmie. (Żart).

Podniosłem słuchawkę. Vince, jak zawsze mój najwierniejszy widz, przysłuchiwał się, jak składam zamówienie. Powiedziałem:

- Halo, obsługa? Chcę tu w pokoju odprawić ceremonię i brakuje mi ludzi do minianu. Tak, chcemy zmówić kadisz. Jestem w szulu dwa-pięć-zero-jeden, zero-dwa, zero-trzy, taa, tu Lanny-man, któż by inny? Słuchaj, mogłabyś mnie i mojemu koleżce podesać trzy filety mignon, krwisty, krwisty i krwisty, z sosem béarnaise, dodatki te co zwykle? Super, i wiesz, nie zrozum tego jakoś na opak, ale macie tam taką milutką dziewczynę, przeuroczą młodą damę, na imię jej Maureen, jest po prostu wspaniała. Mogłabyś wyświadczyć przysługę zmęczonemu artyście i dopilnować, żeby to ona przyniosła zamówienie? Nawet gdybyś musiała zabrać ją z innego pokoju. Zrób to dla Lanny-mana, co? Nie, gorzały nam starczy, ale, hm, niech dziewczyna weźmie trzy butelki schłodzonego moëta, dobra? Może przynieść to wszystko do pokoju 2502, tam jest salon. Dzięki, słonko.

Wiedziałem, że to będzie ostatnie zlecenie Maureen tego wieczoru. Przyniosła kolację dość szybko. Boże, ależ była piękna. Siedliśmy do stołu, ona zajęła miejsce między nami. Wiedziała, co się szykuje. Żeby wprawić się w odpowiedni nastrój, łyknąłem tuinal, Maureen też, a Vince wziął dwa, bo na jednym to był o każdej porze dnia i nocy. (To nie żart). Otworzyliśmy drugą z trzech zamówionych butelek moëta, Vince przerzucił się na jacka danielsa, a Maureen zaczęła rozkładać kanapę w salonie (uznaliśmy, że najsprawiedliwiej będzie, jeśli pozostaniemy na neutralnym terytorium). Zamknęła też drzwi wejściowe na łańcuch, żeby jakaś pokojówka, której zachciałoby się pościć łóżka, nie nakryła pracownicy Versailles na *menage à trois* z najważniejszymi gośćmi hotelu.

Wychodząc spod prysznic, pomyślałem, że wezmę dla dziewczyny szlafrok, na wypadek gdyby była trochę skrępowana, w końcu na razie sypiała tylko ze mną, nie z Vince'em. Wyglądam jednak z sypialni i co widzę? Maureen, naga jak ją Pan Bóg stworzył, siedzi na Vinsie. Skrępowana, też coś! Rzuciłem szlafrok na łóżko i w te pędy pobiegłem do salonu, nie chciałem bowiem, żeby skończyli beze mnie. Maureen uspokoiła mnie jednak, że mamy dużo czasu, i dla pewności wszyscy wzięliśmy jeszcze po tuinalu.

Od razu mówię: była piękną, piękną gojką. Jak to Irlandka, miała taki milutki kasztanowy puszek. Gdyby można mieć na łonie piegi, na pewno by je miała.



Jej wargi nie były wydatne, a pochwa, jak u wielu Irlandek, była mała, bardzo wysoko umieszczona. Wyglądała jak sekretna kieszonka. Wejść w nią oznaczało dostąpić wtajemniczenia.

Vince przypomniał sobie, że nie jest sam, i ustąpił mi miejsca. Od razu na nią wskoczyłem. Wiem, że różni ludzie mają różne gusta, ja jednak zawsze preferowałem pozycję klasyczną. Lubiłem, może nawet musiałem patrzeć na twarz dziewczyny, obserwować, jak zmienia się niczym doktor Jekyll w pana Hyde'a. Na ten widok robię się twardy jak ołowiana rura, mówię wam. Muszę widzieć twarz, patrzeć w oczy. Jeśli dziewczyna nie udaje (a uważam, może niestuszenie, że jestem w stanie to poznać), przychodzi taki moment, kiedy całkowicie godzi się z tym, że zostanie zerżnięta, i że dzieje się to tu i teraz, a jeśli wtedy na nią spojrzeć, można zobaczyć jej prawdziwe oblicze. Bywa, że posuwam wyrafinowaną, przemądrzałą babkę z garderobą pełną sukni od Diora, a ta myśli sobie, że ma wszystko pod kontrolą. Po jakimś czasie jednak, wchodząc w nią powoli i głęboko, spoglądam w dół i zamiast niej widzę dziewczynkę, która zgubiła mamusię w supermarkecie, smarkułę złaknioną karzącą męskiej ręki, świętoszkę, narkomankę z wyższych sfer, która uśmiecha się do lekarza z Park Avenue, wstrzykującego jej działkę czystego narkotyku, bądź dziką bestię, która chce tylko gryźć i drapać.

Maureen była po prostu piękna. Zlewaliśmy się w jedno, byliśmy gorący, ale nie spoceni... to było gorąco jak z parownika stojącego w kącie pokoju, dające ukojenie. Nasze ruchy były spokojne, pewne. Przez lata nauczyliśmy się z Vince'em czytać sobie w myślach i teraz bardzo się to przydawało. Na razie głównie toja na tym korzystałem. Wcześniej tylko raz czy dwa uczestniczyliśmy w trójkątach, z różnym skutkiem. Teraz jednak Vince delikatnie drażnił sztywniejące sutki Maureen i pocierał jej piersi o mój tors, jakby zaczęły żyć własnym życiem. Sądząc z jej westchnień, musiało to być dla niej przyjemne.

Jezu, ale mi było dobrze. Może po części sprawiły to prochy, ale jak to mi się czasem zdarzało, poczułem się jak w haremie. Leżałem na wielkim, nakrytym atłasem łożu, wokół wisały woale przydające wszystkim aury tajemniczości, otaczające mnie dziewczęta spowite w przezroczyste, jasnyniebieskie i różowe szaty miały zakryte twarze, ale widziałem ich uśmiechy, słodkie, wesołe uśmiechy irlandzkich warg, i czułem dotyk pieszczących mnie dłoni. Było aż za przyjemnie, dłońmi były wszędzie, na moich plecach, tyłku, udach, jajach...

Nie mogłem nadążyć za rękami Maureen. Za sprawą jakiejś niepojętej magii zdawały się być wszędzie, jakby była jedną z tych hinduskich bogini. Kiedyś, w „Z Brooklynu na Bali”, odstawiliśmy z Vince'em układ taneczny, w którym cztery tancerki kucnęły jedna za drugą i w ujęciu kamery zmieniły się w jedną dziewczynę z ośmioma rękami. Miałem wrażenie, że kocham się z tą właśnie boginią.

Dłonie Maureen poruszały się niespiesznie, z wprawą. Pieściła mnie w miejscach, które wydawały się dla niej zupełnie nieosiągalne. Obejrzałem się przez ramię i zauważyłem, że dwie z czterech wędrujących po moim ciele dłoni należą do Vince'a.

- Hej, *compadre*, uważaj trochę, co? - powiedziałem.

Vince uśmiechnął się niewyraźnie, jak to on.

- Oj. Trochę trudno się zorientować, kto jest kim.

- Ja jestem ten opalony, ośle obleśny - palnąłem, nawet na chwilę nie wstrzymując ruchu bioder.

Skinął głową.

- Jasne, kolego. A ja jestem ten z napletkiem.

Parsknąłem śmiechem.

- Zamknijcie się, jestem już blisko - szepnęła Maureen niecierpliwie. - No, dawaj, rznij mocniej.

Wtedy Vince zrobił coś, co było super. Wsunął ręce po moich biodrach pod tyłek Maureen, uniósł go tak, jakby ktoś podłożył jej poduszkę, i wciągnął ją na mnie. Doprowadziło ją to wręcz do szaleństwa, o tak, mnie zresztą też. Na jej twarzy odbiła się głęboka ulga, jakby w tej chwili zrozumiała, że stała się częścią większej, potężniejszej całości, i nie miała innego wyjścia, jak tylko pozwolić duetowi Collins-Morris dokończyć występ. Kto mógł nam przeszkodzić? Byliśmy naprawdę wielcy, potężni. Szybko się uczyliśmy. Mieliśmy najlepszy apartament w hotelu. Zarabialiśmy największe pieniądze. Miałem wrażenie, że osiągamy w łóżku z Maureen to samo, co osiągaliliśmy co wieczór na estradzie.

Oddałem się we władanie chwili. Ręce Vince'a raz po raz wciągały Maureen na mnie, ścięgnięta w jego nadgarstkach naprężyły się jak u kapitana załogi wioślarki. Był silny. Nasze oddechy, mój i jego, zgrane ze sobą, zsynchronizowane, zagłuszały jęki Maureen. Nie była w stanie dotrzymać nam kroku. Nie mogła się z nami równać.

Poczułem, że Vince zmienia pozycję, jakby chciał jeszcze mocniej chwycić Maureen, i nagle między nami znalazło się coś twardego. Pomyślałem, zdumiony i uradowany jednocześnie: „Chce pieprzyć ją razem ze mną”, a że czułem narastające ciśnienie w łędźwiach, uznałem, że będzie super. Przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy zmieścimy się we dwóch, ale stwierdziłem, że skoro Maureen powinna sobie poradzić z urodzeniem trzykilogramowego dzieciaka, to i my z Vince'em jakoś się tam wciśniemy. Nie byłem pewien, czy to dobrze, że będę się ocierał o Vince'owego...

Nagle coś zaczęło wpijać mi się w tyłek, jakby niezdarne lekarz przymierzał się do badania mojej prostaty.

- Uważaj - upomniałem go. - Jesteś w polu bramkowym, Vince.

Muskularna pierś przygniotła mi plecy, gorący oddech zwilżył moje prawe ucho.

- Zobaczysz, spodoba ci się, koleżko - zapewnił mnie. - Jeszcze nigdy nie przeżyłeś czegoś takiego.

Poczułem, że próbuje wcisnąć się we mnie. Usiłowałem się wywinąć, ale byłem uwięziony między jego rękami a ciałem Maureen jak w klatce, z obu stron omiały mnie gorące oddechy. Maureen nie zamierzała przestać, teraz najważniejszy dla niej był jej własny nadciągający orgazm.

- Uwierz mi, słonko, to coś nie z tej ziemi. Nigdy w życiu nie zrobiłbym ci krzywdy - powiedział Vince.

Obejrzałem się przez ramię, kiedy szeptał mi na ucho te bynajmniej nie słodkie słówka, i nagle zrozumiałem, co do mnie czuje.

- Złaż ze mnie, do kurwy nędzy! - zakląłem, ale przygwoździł mnie do łóżka.

Maureen stękała pod nami, zapadając się pod naszym ciężarem coraz głębiej w materac.

- Nie, nie, nie, zaufaj mi, słonko, to jak seks do kwadratu - wyszeptał łagodnie. - Jeśli ci się nie spodoba, nie będziesz musiał nigdy więcej tego robić, nie mów, że nigdy o tym nie myślałeś. - Otumaniony tuinałami i jackiem danielsem, wciskał się coraz głębiej, nie przestając mnie uspokajać, tłumaczyć, jaki to doskonały pomysł. - Za pierwszym razem też myślałem, że mi się to nie spodoba, ale zaczekaj tylko, aż to poczujesz, koleżko, dopiero teraz przekonasz się, co to prawdziwy orgazm.

Usiłując zepchnąć go z siebie, uderzyłem Maureen łokciem w twarz. Magiczny nastrój prysnął. Zerwałem się z łóżka, jakbym znalazł w pościeli żywego węgorza.

- Nie PIERDOLIMY SIĘ, Vince! - wrzasnąłem głosem przepelnionym najgłębszą pogardą, przerażeniem i wściekłością.

Vince potężnie pomylił się w swoich rachubach i widok mojej wykrzywionej furią twarzy musiał go przerazić.

- Jesteśmy kolegami, kumplami, partnerami, duetem, parą komików. Uwielbiamy się, ja cię ubóstwiam, jesteś moim starszym bratem, ściskamy się, całujemy, kochamy, ale pierdolić się nie będziemy!!!

Wpatrywał się we mnie w osłupieniu.

- Vince... - krzyknąłem na niego - ..stary, kiedy mówisz, że mnie kochasz... chyba nie chodzi ci o taką miłość? - Wzniosłem ręce ku niebu. - O Boże, nie mów mi, że to, że to... Nie będziemy się pierdolić, Vince. Cholera! Nie wyskakuj z czymś takim, nie teraz, kiedy świat należy do nas! Nie jesteśmy Anglikami, nie tańczymy w balecie. Nie jesteśmy tancerzami flamenco, łyżwiarzami figurowymi ani chórzystami, Vince. Jesteśmy gwiazdami! Mieszkamy razem, razem podróżujemy i się bawimy... jesteśmy jak strażacy, nie możemy być ciotami! Ludzie śmiałyby się z nas, i to nie byłoby śmieszne!

Spojrzałem na Maureen. Ocierała rąbkim prześcieradła krew leącą z nosa.

Vince poszedł do łazienki, wziął ręcznik i opasany nim wrócił do pokoju. Usiadł w ozdobnym złotym fotelu w kącie i skupił się na zapalaniu papierosa.

Odwrociłem się z powrotem do Maureen. Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo jeszcze nigdy nie byłem w takiej sytuacji.

- Przepraszam.

- Za co? - spytała.

- Za rozbity nos. Mam nadzieję, że nie jest złamany?

- Nie, chyba nie. - Wsunęła róg prześcieradła do prawej dziurki w nosie i wepchnęła go głębiej. Wyglądała idiotycznie z prześcieradłem spływającym z nozdrza jak tren sukni, ale jak przypuszczam, nie zależało jej już na tym, by być dla nas pociągającą.

Strzeliła palcami na Vince'a.

- Masz peta? - spytała. Spojrzała na mnie bez wyrazu.

Vince rzucił jej swoją paczkę. Jeśli czuł się jakoś inaczej niż zwykle, nie okazywał tego. Złapała papierosy, wyjęła jednego i zapaliła go w zamyśleniu. Zaciągnęła się lekko.

- Cóż, jak sądzę, pytanie brzmi - powiedziała niskim głosem, wypływającym z jej ust wraz z powolnie snującym się dymem - który z was mi zapłaci.

A zatem była prostytutką.

Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale teraz wydało mi się to tak logiczne, że wręcz poczułem podziw. Przecież miała tu doskonałe warunki. Praca w obsłudze hotelu, setki napalonych facetów, od czasu do czasu nawet jakieś napalone pary. Wszyscy są na urlopie, bawią się w słońcu, ona przynosi do pokoju gorzałę albo szampana, w obcisłym uniformie wygląda świetnie, łóżko jest tu, pod ręką, a obok łazienka, w której potem można się obmyć i wypłukać usta. Pełny zestaw. A jeśli trafi się żonaty facet, hotel udostępnia jej pokój na kilka godzin, mężuło mówi, że idzie strzelić parę drinków z kumplami, i wymyka się na szybki numerek do pokoju 308 z widokiem na szyb wentylatora nad Salą Balową.

Trzeba tylko odpalić działkę szefowi obsługi i detektywowi hotelowemu i wszystko gra. Zero kłopotów z policją. Ja *tylko przyniosłam temu panu jajka sadzone, panie władzo*. Czysta pościel, tysiąc czterysta sypialni do wyboru... to rozumiem.

Musieliśmy z Vince'em poważnie porozmawiać, poważnie jak nigdy, ale nie przy jakiejś irlandzkiej kurwie. Czułem się niezręcznie, stojąc przed nim nago, wobec niej nie miałem takich skrupułów. Skierowałem się do drzwi mojej sypialni i powiedziałem: „Tutaj”. Wzięła torbę, z którą przyszła, i ruszyła za mną. Zamknąłem za nami drzwi. Mój portfel leżał na komodzie, na jedwabnym szlafroku. Wyjąłem trzy studolarowe banknoty i rzuciłem je na łóżko, tak jak to się robi, płacąc dziwkom.

Spojrzała na mnie z rozbawieniem. Nagle poczułem się tak skrępowany moją nagością przy niej, jak przy Vinsie. Rozłożyłem szlafrok i owinałem się nim pośpiesznie, nerwowo zawiązując pasek. Maureen śmiała się ze mnie.

- Co w tym śmiesznego? - spytałem.

- Miotasz się - powiedziała, sepleniaćco wymawiając „sz”. - Widzę cię w zupełnie nowym świetle.

- I vice versa - warknąłem. - Bierz forsę.

- Nie, dzięki - odparła z uśmiechem.

- To przyzwoite pieniądze, zwłaszcza że nikomu nie dogodziłaś - przypomniałem.

- Nie jestem prostytutką - powiedziała. - Wykorzystuję seks w pracy tylko o tyle, o ile to konieczne. Dla rozrywki uprawiam go w czasie wolnym, i to na maksa. Dziś miałam okazję połączyć przyjemne z pożytecznym. I wygląda na to, że znalazłam trupa, którego, chłopcy, pewnie wolelibyście nadal trzymać w szafie. Bo chyba nie chcecie, żeby się ujawnił, co?

Była gorsza od dziwki.

- Lanny, studiowałam w Hunter College...

- To żadna wymówka - przerwałem drwiąco.

- I chcę coś zrobić ze swoim życiem. Zajść tak wysoko jak wy. Dlatego przyda mi się sporo pieniędzy, a dostanę je dzięki informacji, którą dziś zdobyłam. Liczy się tylko to, kto zapłaci i ile. Jeśli to ty będziesz, zabulisz słono, ale tylko raz. Jeśli informację kupi kto inny... będziesz płacił do końca życia.

Wróciła do salonu. Vince stal przy barku i złopał jacka danielsa. Bóg raczy wiedzieć, ile wychłał podczas naszej nieobecności. Miał urażoną, rozgorzconą minę.

Maureen wyjęła z wiaderka butelkę szampana i napełniła kieliszek.

- Prześpijcie się z tym. Pomyślcie, ile to dla was warte. Jestem taka padnięta, że nie dam rady się stąd ruszyć. To przez te tuinala. - Rzuciła torbę obok kanapy i zagrzebała się w pościeli, tej samej, w której jeszcze niedawno się tarzaliśmy.

Obdarzyła mnie słodkim, sennym uśmiechem.

- Hej, Lanny, nie bierz tego do siebie. Przy poprzednich okazjach byłeś świetnym kochankiem i masz śliczniutki tyłeczek. - Uśmiechnęła się do Vince'a. - Ty też to pewnie zauważyłeś, Vince.

Vince zgasił światło przy barku, wziął butelkę jacka danielsa i spojrzał na Maureen z drzwi sypialni. W salonie było ciemno.

- Każdy może o każdym mówić, co chce - warknąłem.

- Wiesz, że nie jestem głupia, Lanny. Mogę wszystko udowodnić. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, cały świat usłyszy aksamitny głos Vince'a Collinsa śpiewającego łabędział pieśń. - Ziewnęła. - Omówimy to przy śniadaniu. Zamów

mi grzanekę francuską, co? I zawieście sobie poprzeczkę wysoko, chłopaki. Bardzo wysoko.

Suka naciągnęła kołdrę na głowę. Spojrzałem na Vince'a. Przez niego wszystko diabli wzięli. Był zbyt urżnięty, by z nim gadać. Spróbował się uśmiechnąć, ale musiał się oprzeć o framugę, by ustać na nogach.

Wiedziałem, że już nigdy nie będę kochał go tak, jak do tej pory.

Zamknąłem drzwi łączące moją sypialnię z salonem. Umieściłem na klamce wywieszkę NIE PRZESZKADZAĆ i założyłem łańcuch na wypadek, gdyby pokojówka nie uznawała wywieszek. Zamówiłem budzenie na ósmą i położyłem się spać ze świadomością, że występ w finale akcji charytatywnej to najmniejsze ze zmartwień, jakim będę musiał rano stawić czoła.

Po tuinalach zapadłem w kamienny sen i przespałem budzenie. Telefonistka zadzwoniła do Reubena, który miał pokój w głębi korytarza, i poprosiła, żeby spróbował mnie obudzić, on jednak, choć miał klucz, nie mógł dostać się do środka, bo drzwi były zamknięte na łańcuch. Dobijał się dobre dwie minuty, zanim się ocknąłem z zamroczenia. Poszedłem chwiejnym krokiem do drzwi, zdjąłem łańcuch i wpuściłem go.

Wszedłem do salonu i zobaczyłem Maureen w łóżku. Już z drugiego końca pokoju widać było, że nie żyje. Na twarzy miała zmiętą poduszkę, jej ciało leżało pod nienaturalnym kątem. Mimo to potrząsnąłem nią i usiłowałem wyczuć tętno. Zastanawiałem się, czy ktoś mógł się włamać, ale nie, drzwi salonu były zamknięte na łańcuch. Krzyknąłem do Reubena, żeby poszedł po Vince'a, ja zajmę się Maureen. Reuben wypadł z mojego pokoju, na widok Maureen o mało nie zemdlał i pobiegł do Vince'a. Zanim się obejrzałem, zaczął mnie wołać, krzyczeć, że Vince chyba też nie żyje; on jednak był tylko nieprzytomny, nieraz już widziałem go w takim stanie. Jeden tuinal i osiem whisky za dużo. Spojrzałem na drzwi sypialni Vince'a. Też były zamknięte na łańcuch.

John, przyjacielu, nie mam pojęcia, kiedy to przeczytasz, w każdym razie ja w tej chwili nie rozpamiętuję tej nocy z 1959 roku. Przez wszystkie lata, które minęły od opisanych przeze mnie wydarzeń, jedno nie dawało mi spokoju: przeprowadzona w New Jersey sekcja zwłok Maureen nie wykazała objawów zatrucia. Dziewczyna żyła, kiedy kładłem się spać. Było troje drzwi wejściowych; wszystkie były zamknięte na łańcuch od wewnątrz. Zabójca musiał więc być w środku. Na tej podstawie wywnioskować mogłem, co następuje:

Maureen nie popełniła samobójstwa.

Ja wiem, że jej nie zabiłem.

Vince nie pamiętał nic z tego, co działo się po tym, kiedy zostawiłem ich samych, ją w łóżku w salonie, jego w drzwiach swojego pokoju.

I stąd właśnie, John, od wielu już lat wiem, że mój były partner i przyjaciel, Vince Collins, zamordował Maureen O'Flaherty. Doszedłem do tego drogą eliminacji. To czysta matematyka. Dwóch podejrzanych minus ja równa się on. Nie jestem z tego powodu szczęśliwy, ale wszystko się zgadza.

Jedyna inna możliwość, jaka przez lata przychodziła mi do głowy, John, jest taka, że jakimś cudem zrobiłem to ja, że to właśnie mnie urwał się film, a Vince, przez wzgląd na naszą przyjaźń czy poczucie lojalności, wziął tę zbrodnię na siebie. Byłoby to szlachetne poświęcenie z jego strony, ale po naszym rozstaniu, które nastąpiło wkrótce po tym tragicznym wydarzeniu, wymieniliśmy tyle gorzkich słów, że chyba coś wymknęłoby mu się w złości.

Myślę, że można mu wybaczyć z dwóch powodów. Po pierwsze, jestem głęboko przekonany, że nie wiedział, co robi. Nie sądzę, by udawał, że nic nie pamięta. Moim zdaniem, tamtej nocy był tak zamroczony, że naprawdę nie ma pojęcia, co się stało. Musi to być dla niego źródłem naprawdę wielkiej udręki.

Drugim powodem, dla którego Vince zasługuje na wybaczenie, jest jego uzasadniona obawa przed ujawnieniem incydentu z moim udziałem (i wszelkich uczuć, które mogły doń doprowadzić). W świecie show-biznesu przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych cień podejrzenia o homoseksualizm wystarczał, by w gniewu oka złamać karierę. W owym czasie wiele gwiazd obciążonych „skłonnościami” zawierało zaaranżowane małżeństwa. Pewien znany aktor telewizyjny, grający rolę człowieka pracującego w Twoim zawodzie, John, wymyślił nawet historijkę o żonie zabitej w katastrofie samolotu, choć żona nigdy nie istniała, a katastrofa się nie wydarzyła. Biorąc pod uwagę atmosferę tamtych czasów, rozumiem całkowicie słuszne obawy Vince'a.

Oczywiście, nie jestem niewiniątkiem. Pewnie zdążyłeś się już domyślić, że zatuszowaliśmy z Vince'em zbrodnię i znaleźliśmy sposób, by przewieźć ciało Maureen do hotelu w New Jersey. Nie mogę ujawnić szczegółów z powodów, które wolałbym zachować dla siebie. Jest to jedyne przestępstwo, którego dopuściliśmy się wspólnie, ale jeśli czytasz te słowa, to znajduję się już poza zasięgiem amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, a za swoje czyny odpowiem przed wyższym trybunałem.

Jeśli chodzi o Maureen, to chyba nie ma drugiej ofiary zabójstwa, dla której żywiłbym tak mało współczucia. Nigdy nie udało mi się do końca pojąć gry, jaką chciała z nami prowadzić. Bez wątplenia jednak zamierzała wyciągnąć maksymalne korzyści z faktu, że była świadkiem nieroztropnego zachowania Vince'a, i możliwie najbardziej nam zaszkodzić. Jestem przekonany, że od samego początku spotykała się ze mną wyłącznie po to, by znaleźć na nas coś, na czym mogłaby zarobić.

Ogromnie żał mi jej rodziców i cieszę się, że chroniąc Vince'a przez te wszystkie lata, przy okazji uchroniłem ich od poznania całej, bolesnej prawdy o córce.

Na koniec muszę odnieść się do oczywistego faktu, że wiedziałem o winie Vince'a i nie zgłosiłem tego na policji. Jednym z powodów jest to, że niczego nie mogę udowodnić. Ani policji, ani Tobie, ani nikomu prócz siebie. Wiem, że Vince zabił tę dziewczynę, tylko dlatego, że wiem, iż ja tego nie zrobiłem. On nie może tego samego powiedzieć o sobie. Wiele razy mówił mi: „A jeśli kłamiesz, Lanny?”. Dobre pytanie.

Gdyby policja poznała treść powyższej relacji, pozbawiającej nas naszego, wydawało się, niepodważalnego alibi, obaj z Vince'em prawdopodobnie zostalibyśmy oskarżeni o morderstwo, bo mieliśmy tak wiele do stracenia i w noc śmierci Maureen byliśmy z nią zamknięci w jednym apartamencie. Na Florydzie krzesło elektryczne pozbawiło życia już niejednego niewinnego człowieka. Gdyby policja dowiedziała się o wszystkim, co Ci tu opisałem, mógłbym zostać jego następną ofiarą, a już z całą pewnością byłby to koniec mojej kariery. Nigdy więcej nie mógłbym bawić bliźnich. Wierzę, że potrafisz zrozumieć, dlaczego utrzymywałem tę sprawę w tajemnicy aż po grób.

John, tak właśnie wygląda prawda, przynajmniej z tego, co mi wiadomo, i o ile jestem ją w stanie oddać słowami.

Siedziałam w moim małym, słonecznym mieszkaniu, w którym swąd świeżo spalonych polaroidów przenikał się z zapachem Jungle Gardenia, zwykle wypełniającym wnętrze.

Ten dokument bardzo wiele wyjaśniał.

Albo był dziełem bardzo wyrachowanego człowieka.

W gruncie rzeczy, choć pełen rewelacji, przedstawiał „prawdę” w wersji Lanny'ego. I, jakże dogodnie, całą winą obarczał Vince'a.

Cały ten tekst tak naprawdę nic nie znaczył. Nie został potwierdzony notarialnie, nie sporządzono go w obecności świadków. Fakt, że jego rzekomym adresatem był John Hillman, w żaden sposób go nie uwiarygadniał. Sama mogłabym napisać ten list i go wysłać. Każdy by mógł.

Poza tym nic nie wskazywało na to, że list został wysłany do Hillmana czy w ogóle do kogokolwiek oprócz mnie. A gdyby spytać Johna Hillmana, czy go dostał, cóż miałby powiedzieć? W końcu nie wolno mu go było przeczytać przed śmiercią Lanny'ego Morrisa. Nawet gdyby to zrobił, mógłby co najwyżej stwierdzić (choćby pytała o to policja czy sędzia na sali sądowej), że tajemnica adwokacka nie pozwala mu bez zgody klienta ujawniać treści listu bądź w jakikolwiek sposób go komentować.

Choć wiedziałam, że to absurd, włączyłam telewizor, by sprawdzić, czy aby Lanny Morris nie umarł w nocy. Za kilka minut w lokalnej stacji



współpracującej z ABC zaczynały się popołudniowe wiadomości. Jeśli Lanny umarł, na pewno o tym wspomną. Ach, a oto i moja dobra znajoma, Rona Barrett, przedstawiająca pięciominutowy skrót najświeższych informacji z Hollywood. Dobrze zorientowana widownia to największy skarb państwa. Dziwne, Rona nie zaproponowała mi jeszcze wspólnego prowadzenia programu. Jak to w show-biznesie wszystko szybko się zmienia. Jednego dnia ktoś jest twoim najlepszym przyjacielem...

A jeśli ten dokument był prawdziwy? Co mogłam wywnioskować na jego podstawie, a tak w ogóle, to czemu, na litość boską, Lanny mi go przysłał?

Skoro to była prawda, o tyle, o ile ją znałam... przynajmniej stało się dla mnie jasne, dlaczego zginęła Maureen O'Flaherty. Za dużo wiedziała i zamierzała to wykorzystać.

ABC puściła zapowiedź specjalnego programu, poświęconego aferze Watergate, który miał zostać nadany tego wieczoru. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Haldemana i Ehrlichmana, a potem urywek przesłuchania Johna Deana, za którym, jak co dzień, siedziała jego żona, Maureen, z okalającą głowę aureolą ciasno upiętych jasnych włosów. Wedle słów Deana, kiedy ją poznał, była stewardesą, z tych, co to do herbaty czy kawy gratis dorzucają sobie. Gotowa byłam się założyć, że jak Maureen O'Flaherty, nie była takim aniołem, jakiego odstawiała przed Kongresem. Pewnie...

Coś mi przyszło do głowy. Poszłam do sypialni, gdzie w dużej aktówce trzymałam kserokopie wycinków i artykułów, napisanych o Collinsie i Morrisie w latach pięćdziesiątych. Kilgallen, O'Brien, Earl Wilson... Moe Cohn. Oto i on.

Skandalizujący felietonista z Miami, który, o dziwo, nie zainteresował się bliżej sprawą Dziewczyny z New Jersey. Cohn dość szybko zniknął z pola widzenia, ale u szczytu swojej krótkotrwałej kariery wywłóknął na światło dzienne sporo lokalnych brudów. Na zdjęciu nad felietonem widać było łysego mężczyznę w dużych ciemnych okularach, z zimnym uśmiechem, ginącym w cieniu ogromnego nosa...

Złapałam ołówek i zamalowałam łysinę. Nie szczędziłam grafitu. Usiłowałam wyobrazić sobie schowane za tymi ciemnymi okularami zaropiałe, wilgotne oczy.

Przypomniało mi się, że matka Maureen spokrewniona była z innym, słynniejszym mieszkańcem New Rochelle: wielkim George'em M., którego nazwisko było jej nazwiskiem panińskim. Cohan. A najczęściej używanym zdrobnieniem od Maureen (potwierdziłby to John Dean) jest... Mo.

Tak. Oczywiście.

Maureen O'Flaherty była Moe Cohnem.

A podstawionym człowiekiem, przekazującym prasie brudy zbierane przez nią w pracy i łóżku, był Kef Ludlow, który co rano wychodził z domu o ósmej, w ciemnych okularach i kapeluszu z szerokim rondem, skrywającym nieosłoniętą tupecikiem łysinę. Swoje poranne wyprawy odbywał od niedzieli do czwartku, bo felietony Moego Cohna ukazywały się od poniedziałku do piątku. Nic dziwnego, że wychodząc, pogwizdywał. Jako Swami może i tylko przedstawiał swoje typy w gazetce rozprowadzanej na wyścigach, tę jednak, jak mi się pochwalił, wydawał potężny koncern; miał zatem dojścia do „Miami Sentinel”, których Maureen brakowało. Kiedy pokazał szefom spisane zjadliwym, ironicznym językiem rewelacje (autorstwa uzdolnionej Maureen, która zwierzała się Lanny'emu, że chce zejść wysoko), postanowili zaryzykować i je opublikować... nie wiedząc, że ten czterdziestosześcioletni pismak to tylko figurant występujący w imieniu Moego Cohna, pod którym to pseudonimem ukrywała się utalentowana, choć puszczalska młoda kobieta. Miała dostęp do gwiazd, finansistów i wszelkiej maści grubych ryb, zaskarbiała sobie ich zaufanie, rozmawiała z nimi przy stoliku albo w pościeli, a to, czego jej nie mówili, mogła podsłuchać albo zobaczyć, dostarczając im do pokoju zamówione jedzenie i picie. W końcu nikt nie wie lepiej, kto z kim sypia w hotelu, od osoby, która przynosi śniadanie do łóżka.

Jednak po śmierci Maureen Kef Ludlow nie miał już żadnych nowych informacji. Miejsce sensacji zajęły odgrzewane newsy z materiałów rozdawanych lokalnej prasie. Pod koniec roku jego rubryka zniknęła z łamów. Po utracie swojej działki z dochodów Moego Cohna Kef nie miał innego wyjścia, jak tylko z bólem serca zrezygnować z używanego buicka leSabre i kolacji w Embers. Z żalem musiał wrócić do oszczędnego stylu życia, na jaki mógł sobie pozwolić Swam, utrzymujący się ze skromnej pensji felietonisty piszącego o wyścigach psów i nieczęstych wygranych na tychże wyścigach. No i stracił Maureen. Łatwo było sobie wyobrazić, jak na samym początku musiała go zwodzić... i co naprawdę o nim myślała.

W świetle mojego odkrycia dokument, który przysłał mi Lanny, nabierał wiarygodności. Jeszcze raz przeczytałam go uważnie, jakbym miała przed sobą słowo objawione, jakby relacja Lanny'ego była tak wierna, jak twierdził, wierna jak pamięć, która pozwalała mu nauczyć się długich kwestii do skeczów odgrywanych na żywo w telewizji i półtoragodzinnych monologów, z którymi występował na Broadwayu.

I wtedy doznałam olśnienia. Fakty zaczęły układać się w logiczną całość... niby złożone z kilku elementów fragmenty układanki, które odkłada się na bok (bo wydaje się, że nie mogą pochodzić z tej układanki, że trafiły do pudełka przez przypadek). Nagle człowiek znajduje miejsce, gdzie

pasuje jeden z nich - o, proszę, to łączy się z tym, a tu mamy kawałek traktora, a to czubek stogu siana... i nagle duża część obrazka jest gotowa.

Policja uwielbia gadatliwych podejrzanych. Zamawia takim pączki, tosty z bekonem, sałatą i pomidorem, posyła dla nich po papierosy, świeżo zaparzoną kawę i zmienników, którzy mogliby kontynuować rozmowę, wszystko, byle facet gadał. Nikt bowiem, kto mówi bez przerwy, nie może w którymś momencie nie powiedzieć prawdy, choćby nieświadomie.

Po co Lanny miałby przysłać mi ten dokument akurat teraz - tego nie mogłam zrozumieć.

Gdybym jednak miała uwierzyć w to, co napisał, to wyjawiał o wiele więcej, niż przypuszczał.

Podobnie jak Vince i ja, może Lanny nie był tak sprytny, jak mu się wydawało.

Popołudniowe wiadomości ABC dobiegły końca. Nie było nawet wzmianki o rzekomej śmierci Lanny'ego. Przed kilkoma dniami relacjonowano pogrzeb Vince'a. Jak donieśli reporterzy, Lanny wygłosił kwiecistą i wzruszającą mowę.

W ceremonii uczestniczył też Sally Santoro. Po jej zakończeniu był cały we łzach. Szlochając, ogłosił, że „ku pamięci Vince'a” otworzy w szpitalu w Pittsburghu nowe skrzydło imienia Salvatore Santoro. Na pytanie, w którym szpitalu, odpowiedział, że szczegóły poda po tym, jak jego ból zostanie nieukojoyony. *Sic*.

Byłam ciekawa, kto wygłosił mowę na pogrzebie Maureen. Na tę myśl włosy zjeżyły mi się na karku, dotarło do mnie bowiem, że - jak Maureen - wiedziałam tyle, że tak młodej osobie nie mogło to wyjść na zdrowie, zwłaszcza jeśli chciałam dożyć starszego wieku. Znałam treść trzeciego „pamiętnika” Lanny'ego. Odgadłam, jak nieszczęsna Maureen została przewieziona do New Jersey - niczym grzeszna księżniczka w lodowej trumnie, otoczona dworem skazanych na śmierć skorupiaków. Wiedza przechowywana w moim mózgu groziła Lanny'emu Morrisowi utratą wolności, a, niestety, panuje przekonanie, że z chwilą śmierci informacje zgromadzone w mózgu zostają bezpowrotnie skasowane. Gdyby Lanny zaczął podejrzewać, co wiem, nic nie sprawiłoby mu takiej frajdy, jak wiadomość o moim zejściu bądź jego zorganizowanie.

Dlatego też, zgodnie z tradycją, która szybko stawała się moim *modus operandi*, wybrałam najbardziej idiotyczne rozwiązanie i zaczęłam się zastanawiać, jak najszybciej mogłabym porozmawiać z Lannym.

Nie miałam jego numeru telefonu. Do tej pory kontaktowałam się tylko z adwokatem Lanny'ego. Wiadomość, którą dla niego miałam, dotycząca

tego, co wiedziałam i dlaczego miałby życzyć sobie mojej śmierci, raczej nie nadawała się do przekazania za pośrednictwem trzeciej osoby. Musiałam porozmawiać z nim osobiście. Na szczęście jako doświadczona dziennikarka wiedziałam, w jaki sposób zdobyć tak tajne informacje jak jego adres. Pojechałam na Sunset Strip, gdzie wśród stojących na światłach samochodów zawsze kręci się taki jeden facet, i kupiłam od niego plan miasta z zaznaczonymi domami gwiazd.

Od North Beverly Glen Boulevard odchodzi ulica o nazwie, to nie żart, Scenario Lane. Lanny mieszkał na jej końcu, wysoko ponad rezerwuarem Stone Canyon, w murowanym domu w stylu gotyckim, wzorowanym na Ropuszym Dworze z „O czym szumią wierzyby” Walta Disneya (książki swego czasu napisanej przez Kennetha Grahame'a). Zatrzymałam się pod czarną żelazną bramą i wcisnęłam guzik domofonu, podobny do tego u Vince'a.

- Tak? - powiedział kobiecie głos.
  - Przesyłka dla pana Morrisa - powiadomiłam ją.
  - Może ją pani zostawić w skrzynce.
  - Przykro mi, nie zmieści się - odparowałam. - Poza tym pan Morris musi pokwitować odbiór.
  - Pan Morris przed godziną wyjechał do Nowego Jorku. Wraca w poniedziałek. Mogę pokwitować w jego imieniu, jestem gosposią. Ale jeśli to on musi się podpisać, to proszę przyjść w poniedziałek.
  - Nie wie pani, gdzie się zatrzymał w Nowym Jorku? Moglibyśmy tam doręczyć mu tę przesyłkę.
  - Przykro mi, nie mogę udzielić tej informacji - oświadczyła.
- To nic. Byłam pewna, że wiem, gdzie go szukać.

Zapukałam do drzwi pokoju 2302 w hotelu Plaza. Możecie być pewni, że wcześniej sprawdziłam, czy Lanny jest w swoim zwykłym apartamencie w Plaza, żeby znów nie lecieć bez powodu na drugi koniec kraju. Poprzedniego dnia odłożyłam słuchawkę, kiedy tylko telefonistka zadzwoniła do pokoju pana Merwina i usłyszałam głos Reubena.

I to właśnie Reuben otworzył teraz drzwi apartamentu Lanny'ego. Miał na sobie białą marynarkę służącego. Na mój widok jego złocista twarz rozbłysła jeszcze jaśniejszym blaskiem.

- Panna Trout! - Zaraz jednak miejsce serdeczności zajął niepokój i Reuben ruchem oczu wskazał mi Lanny'ego jedzącego śniadanie z jakąś kobietą.

Widziałam ją tylko z tyłu, ale jej kostium był elegancki i dobrze skrojony.

- Cześć - powiedział Lanny, podnosząc głowę znad filiżanki kawy. - Jak leci?

Byłam trochę zawiedziona, że nie okazał zaskoczenia na mój widok. Jadąc tu taksówką od Beejay, myślałam ze sporą satysfakcją o minidramatycznym efekcie, jaki wywołam, powracając na miejsce jego zbrodni namiętności.

Położyłam aktówkę na stoliku, jakbym zamierzała się rozgościć.

- Cóż, wydawnictwo chce mnie zabić za to, że nie wyciągnęłam z Vinc'e'a Collinsa więcej, a jednocześnie skłonne jest zapłacić każdą cenę za cokolwiek, co mogłoby uratować moją książkę... ale żadne pieniądze nie wrócą mu życia, prawda?

Przesunęłam się tak, by lepiej się przyjrzeć tej kobiecie, jego najnowszemu Cukierczkowi z Plazy. Powodzenia, skarbie, pomyślałam. Przeszłam jeszcze kilka kroków i zrobiło mi się głupio (i, co jeszcze głupsze, poczułam ulgę), kiedy zobaczyłam, że towarzyszka Lanny'ego na oko

mogłaby być jego matką. Choć zadbana i obwieszona drogą biżuterią, ta starszuszka raczej nie nadawała się na ostatnią zabawkę Lanny'ego, no, chyba że był jeszcze bardziej pokrecony, niż to przy mnie okazywał. Z drugiej strony, z tymi chłopakami nigdy nic nie wiadomo. Wtedy przypomniałam sobie, że liczba mnoga nie ma tu już zastosowania. Został tylko jeden „chłopak”. Lanny spytał, czy zjem z nimi śniadanie.

- Nie, dzięki. Nie jestem miłośniczką śniadań - wyjaśniłam. - Po przebudzeniu zwykle przeciągam się trochę, przypominam sobie, gdzie jestem, i słyszę od pokojówki, że mam sobie iść.

Towarzyszka Lanny'ego uśmiechnęła się do mnie niepewnie. Reuben, który właśnie prznosił naczynia na wózek, posłał mi współczujące spojrzenie.

- Reuben - powiedział Lanny - bądź tak dobry i przewieź wózek do schowka przy windzie. Nie cierpię, jak brudne naczynia stoją pod drzwiami, a poza tym spodziewam się gości. I wtedy przez jakiś czas nie będzie mnie dla nikogo, dobrze?

- Oczywiście - odparł Reuben. - Będę w pokoju 2307, gdybym był potrzebny - zwrócił się do Lanny'ego, ale patrzył na mnie.

Drzwi zamknęły się za nim.

- Ta urocza dama to Dorothy Vanderheugel, zebrała już masę pieniędzy dla mojej organizacji dobroczynnej - przedstawił gościa Lanny, czyniąc honory domu. - Dorothy, to... - Zrobił zakłopotaną minę. - Przepraszam, jakim nazwiskiem dziś się posługujesz?

Przedstawiłam się tym prawdziwym. Dorothy Vanderheugel, wyczuwając, że coś niedobrego wisi w powietrzu, oznajmiła, że o dziesiątej musi być w siedzibie Gulf and Western. Lanny skinął głową.

- Daj im popalić - powiedział ze śmiechem, odprowadzając ją do drzwi.

Zostaliśmy sami. Wcześniej przezornie powiedziałam Beejay, dokąd się wybieram, i umówiliśmy się, że jeśli do dwunastej nie skontaktuję się z nią pod służbowym numerem wicedyrektora jej szkoły, ona zadzwoni do pokoju Lanny'ego i zażąda, by poprosił mnie do telefonu. Pomyślałam, że rozsądnie będzie z góry powiadomić o tym Lanny'ego, więc to zrobiłam. Dodałam też, że windziarz Mickey widział, jak tutaj wchodziłam, i że Reuben wie, że tu jestem.

- A Bob z recepcji pamiętał mnie z poprzedniej wizyty, co wydało mi się zaskakujące, zważywszy, ile kobiet musi przewijać się przez ten pokój - skwitowałam cierpkim tonem. - Po to wynajmujesz apartament z dwiema sypialniami? Cztery łóżka, zero czekania?

Zamierzałam od razu przejść do rzeczy, ale nie mogłam nie wspomnieć o doznanym upokorzeniu. Skierowałam się do sypialni, do której nie

zajrzeliśmy podczas mojej ostatniej wizyty, i otworzyłam drzwi. Wyglądała na nieużywaną, choć wałało się w niej sporo bagaży. Lanny wzruszył ramionami.

- Nie lubię spać w pokoju pełnym toreb, teczek i papierów. Druga sypialnia służy mi za schowek. Poza tym... wiesz, żaden ze mnie psychiatra, ale przez wiele lat zawsze zatrzymywaliśmy się z Vince'em w apartamentach z dwiema sypialniami. Gdybym miał do dyspozycji tylko jedną, chyba czułbym się samotny. - Skrzywił się lekko i poszedł zamknąć drzwi drugiej sypialni. - A co się tyczy kobiet przewijających się przez ten pokój, chyba trochę mnie przeceniasz. Żeby było jasne: w latach pięćdziesiątych wybykałem się do woli, ale od tamtego czasu trochę się zmieniłem. Jasne, mogę na zawołanie przywoływać „Lanny'ego”... I, co niezwykle, to właśnie zrobił; choć nie powiedział nawet słowa, po jego twarzy przemknął cień „Lanny'ego”. - ...ale to tylko postać, którą gram. Z biegiem czasu stawała mi się coraz bardziej obca, jak Vince. Któregoś dnia, wkrótce, duet Lanny i Lanny rozpadnie się. I już nie mogę się tego doczekać.

Podszedł do okna. Widać było z niego cały Central Park. To, że nie został on sprzedany i zabudowany blokami i parkingami, było jednym z największych cudów współczesnego świata.

- No cóż - rzekł, podziwiając widok - a zatem znów tu jesteś. Co mogę dla ciebie zrobić? Zakładam, że twoja wizyta ma jakiś związek ze śmiercią Vince'a. Narobiłaś sobie kłopotów, co?

Wpiłam się w niego wzrokiem, ale nic więcej nie powiedział. Czekał na moją reakcję.

- Wyciągnęłam z Vince'a sporo ciekawych informacji o jego wczesnych latach, doszliśmy mniej więcej do momentu, kiedy poznał ciebie - zaczęłam. - Jest tego za mało na książkę, ale byłoby miło, gdyby czytelnicy mogli zobaczyć w nim ciepłego, zabawnego człowieka, jakim był, zwłaszcza w świetle tego, jak umarł.

Podszedł do mnie.

- Cieszę się, że tak bardzo przejmujesz się tym, jak Vince zostanie zapamiętany. Tym bardziej że to twój projekt wytrącił go z równowagi. Pamiętasz ten dzień, kiedy miałem spotkać się z tobą i z nim... wtedy, kiedy umarł twój tak zwany brat? Vince zadzwonił do mnie po raz pierwszy od wielu lat, tylko dlatego, że odchodził od zmysłów ze strachu. Bał się, że powie coś nie tak.

- Co takiego bał się powiedzieć, Lanny?

Przeszył mnie gniewnym wzrokiem.

- Nie wiem. Takiej odpowiedzi udzielam tobie i wszystkim, którzy pytają, dlaczego się zabił. Nie wiem.

Oj, Lanny, wiesz doskonale, pomyślałam.

- Niech ci będzie - zgodziłam się. - Przyszłam tu jednak, bo z upoważnienia wydawnictwa Neuman i Newberry chcę ci zaproponować, żeby moje materiały o Vinsie, wraz z notatkami i zebranymi przeze mnie informacjami, zostały dołączone do twojej książki. Oczywiście, moi szefowie chętnie wydaliby całość, ale jeśli masz coś przeciwko temu, mogą to zrobić we współpracy z innym wydawnictwem. Moim zdaniem, rozdziały o Vinsie byłyby doskonałym wstępem do twojej historii.

Lanny spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Oczywiście nie przypiszę sobie współudziału w pisaniu twojej części książki, Lanny - dodałam. - Wystarczy, że moje nazwisko zostanie umieszczone na karcie tytułowej małymi literami. Na grzbiecie go nie będzie. Po prostu szkoda mi zmarnować te materiały. Jeśli wolno spytać, dużo już napisałeś?

- Nie - powiedział, nie spuszczać mnie z oczu, jakby obawiał się, że mam gdzieś schowaną broń.

- To znaczy? Jeśli założyć, że tekst, który przeczytałam w biurze Johna Hillmana, stanowi jeden kompletny rozdział... nawiasem mówiąc, bardzo zajmujący... to ile takich rozdziałów jeszcze masz? Osiem, dwanaście...?

- Nie, nie aż tyle.

- A jak sądzisz, kiedy skończysz pisać? - spytałam najzupełniej niewinnym tonem. - Żebyśmy mogli...

- Nie skończę. Zrezygnowałam.

- Oczywiście - powiedziałam. - Oczywiście, że zrezygnowałam.

Spojrzał na mnie z góry.

- Co to ma znaczyć? - spytał.

- Och, Lanny, ty wcale nie pisałeś książki. Po prostu wróciłeś do swojego dawnego zajęcia.

- Czyli?

Wyjęłam z torebki papierosa, zapaliłam go i wypuściłam dym z ust. A niech sobie poczeka.

- Pisałeś dla Vince'a Collinsa.

Usiadł na kanapie.

- To ty byłeś autorem wszystkich skeczy, prawda? Teraz Vince'owi potrzebny był nowy numer. A ponieważ kochałeś go, bałeś się o niego i o siebie, napisałeś mu tekst. Najpierw jednak, jakby na rozgrzewkę przed głównym występem, zrobiłeś coś, na myśl o czym mam ochotę spuścić oczy i splonąć rumieńcem.

Skinął głową, wyraźnie zaintrygowany.

- To znaczy?

- Napisałeś jeden rozdział specjalnie dla mnie. No i kogokolwiek innego, komu przyszłoby do głowy pisać o was książkę. Chciałeś zdusić wszelkie



tego typu projekty w zarodku. Po to właśnie powstał pierwszy rozdział, ten, który kazałeś mi udostępnić. Muszę przyznać, Lanny, napisałeś go bardzo pomysłowo. Rozmyślnie przedstawiłeś w nim dwóch niewyżytych heteroseksualistów, którzy traktowali płę przeciwną, jakby orgazm był kichnięciem, a kobiety chusteczkami higienicznymi.

Lanny skrzywił się.

- Przykro mi, ale tak to w gruncie rzeczy wyglądało.

- No, może w tamtych czasach do pewnego stopnia tacy byliście. Jednak ty, człowiek, którym jesteś dziś, nie pisałby o tym tak wybitnie szczeniackim językiem, jaki wybrałeś, godnym koguta obdarzonego zdolnością mowy. Ten styl był twoim wymysłem, narracją „Lanny-mana” w roli pozabawionego krzty wstydu świntucha. Wiele można o tobie powiedzieć, Lanny, ale nie to, że nie umiesz się zachować. Gdybyś naprawdę pisał swoje pamiętniki dla potomności, nie pozwoliłbyś, by czytelnicy zobaczyli cię od tej strony, złagodziłbyś ton relacji, podretuszował fakty, próbował usprawiedliwiać swoje zachowanie. Ten rozdział powstał po to, by sprawić wrażenie, że twoja nieistniejąca książka zawierać będzie tak pikantny, nieupiększony i skandalizujący opis ciebie i Vince'a, że ktokolwiek inny podjąłby się podobnego wyzwania, jego wersja w porównaniu z twoją byłaby mdła i ugrzeczniona jak komunikat prasowy. Mogłeś sobie pozwolić na to, by przedstawić się w tak niekorzystnym świetle, bo wiedziałeś, że te kartki nigdy nie opuszczą gabinetu twojego adwokata! Miałeś jeszcze jeden, równie ważny cel. Chciałeś, by każdy, kto zbierając informacje o was, sięgnie po ten materiał, naczytał się o kobietach, niezliczonych kobietach, które zaliczyliście z Vince'em.

Igrałam z losem, ale musiałam zobaczyć, jak Lanny zareaguje. Jego twarz zachmurzyła się, nadszedł sztorm.

- Rozumiem wszystko oprócz tego, co mówiłaś pod koniec.

- Wkrótce zrozumiesz, Lanny. - Wstałam i zdjęłam żakiet. - Jedyne, co osłabia wymowę twojego znakomitego dzieła, to fakt, że nie przypuszczałeś, iż pisarka, dla której je napisałeś, pozna cię osobiście, i to tak dobrze. Mój ukochany. - Te ostatnie słowa wypowiedziałam bez cienia ironii. - Gdybyś od samego początku wiedział, kim jestem, zachowywałbyś się wobec mnie bardziej jak „Lanny-man”, w którego wcielasz się przy ludziach. Nie mogłam nie zauważyć, jak ogromnie różni się narrator przeczytanej przeze mnie opowieści od człowieka, z którym rozmawiałam podczas lotu i w drodze na Manhattan. Można by to zrozumieć, gdyby tekst powstał przed piętnastoma laty. Ale tak nie było! Napisałeś go rok temu. To byłoby tak, jakby Shirley Temple napisała autobiografię językiem dziecka!

Uśmiechnął się.

- No dobrze. Ale dlaczego uważasz, że pisałem dla Vince'a Collinsa?  
Wyjęłam z aktówki drugi rozdział pamiętników Lanny'ego i rzuciłam mu go na kolana.

- Dlatego.

Wziął manuskrypt, który dostarczono do mojego domu, kiedy zatrzymała się tam Beejay. Przewertował go i spojrzał na mnie ze złością.

- Skąd to masz?

- Przyniesiono mi to do domu.

- Gówno prawda. Ukradłaś to.

- Komu? - spytałam.

Lanny tylko wpatrywał się we mnie.

- Początkowo myślałam, że przysłali to z kancelarii twojego adwokata. Może przypadkiem.

- Mój adwokat w ogóle tego nie miał - powiedział Lanny.

- Wiem. Potem pomyślałam, że mogłeś mi to przysłać ty, choć nie miałam bladego pojęcia, po co. Powiedz, że to zrobiłeś, Lanny.

- Nie. Nie miałbym powodu. Dlaczego miałbym pierwszy rozdział trzymać pod kluczem w kancelarii adwokackiej, a drugi oddawać dziennikarce? Gdybym naprawdę chciał, żebyś go przeczytała, wezwałbym cię jeszcze raz do Hillmana.

Skinęłam głową.

- Zgadzam się z twoim tokiem rozumowania. - Przeciągnęłam się, choćby po to, by pokazać mu piersi, których ostatnio nie miał okazji pieścić. - Dlatego jeśli nie przysłałeś mi tego ty, mogę ci powiedzieć, kto to zrobił. Vince.

Zauważyłam, że nie zaprotestował.

- Vince był jedyną osobą oprócz ciebie, która miała kopię tego rozdziału, bo tylko on go potrzebował. - Wzięłam od niego manuskrypt i zaczęłam go kartkować. - To była instrukcja dla Vince'a. Jego ściągawka. Scenariusz, którego musiał się nauczyć. W ten sposób dopilnowałeś, by wasze relacje z tej nocy, kiedy zginęła Maureen O'Flaherty, zgadzały się we wszystkich szczegółach. Jak spędziliście tamtą noc, dlaczego wzięliście udział w wielkim finale akcji charytatywnej, czemu musieliście lecieć stamtąd prosto do hotelu Sally'ego Santoro. To miało pokazać, że macie alibi na każdą minutę, poprzedzającą odnalezienie ciała Maureen. Napisałeś ten tekst w tym samym stylu, co pierwszy rozdział, na wypadek gdybyś kiedyś musiał pokazać go mnie czy komukolwiek innemu, by przedstawić oficjalną, uwierzytelnioną, wiarygodną, opatrzoną przypisami i nieocenioną „białą księgę” dotyczącą wydarzeń tamtej nocy. Nawet wymyśliłeś jakieś panienki, z którymi miał spać Vince, i w związku z tym pozwoliłeś sobie na żart.

Wertując plik, zatrzymałam się na interesującej mnie kartce.

- *Łyknęliśmy z Vince'em parę tuinali, bo chcieliśmy zapaść w słodki sen, a Vince, żeby było mu szczególnie słodko, miał kilka lasek pod ręką. No, właściwie to nie pod ręką.*

- Możesz sobie wyobrazić, jak byłam zdumiona, kiedy Vince, nawiasem mówiąc, nie po raz pierwszy, słowo w słowo zacytował twój manuskrypt, którego rzekomo nikt nie widział na oczy... albo kiedy spytał mnie, czy spodziewałam się zobaczyć w jego domu zawieszona na czarnym aksamicie obrazy matadorów, nagich kobiet i klaunów... dokładnie te same, które dwa razy opisałeś w swoich pamiętnikach, w tej samej kolejności. Jakby nauczył się na pamięć scenariusza nowego numeru Lanny'ego Morrisa, choć nie widzieliście się już prawie piętnaście lat.

Rzuciłam manuskrypt na kanapę obok Lanny'ego.

- To Vince przysłał mi kopię rozdziału, który dostał od ciebie. Kiedy tylko zgodził się ze mną współpracować, wpadł w popłoch i stwierdził: „Trzeba jej pokazać ten bryk, niech wie, że to, co mówię, jest prawdą”. Chyba miał nadzieję, że jak przyjdzie co do czego, w książce po prostu sparafrazuję twoją wersję, powołując się na anonimowe źródło. Dlatego właśnie chciał, żebyś był przy naszej rozmowie: wiedział, że będziesz pilnował, by nie zbroczył z drogi, którą mu wytyczyłeś.

- Osioł - wyrwało się Lanny'emu i natychmiast spojrzał na mnie, uświadamiając sobie, że tą odruchową reakcją potwierdził moje przypuszczenia. Ja jednak jeszcze nie skończyłam.

- Posłuchaj, Lanny, z ciebie jest kawał drania. Popatrz tylko, jak napisałeś ten rozdział; zawarłeś w nim tylko tyle prawdy, tyle ponurych, przerażających faktów, ile było trzeba, by zwrócić uwagę Vince'a na to, co przemilczałeś: wspomniałeś o skrzyni z homarami i lodem, o tym, że „posłaliście Maureen do diabła”, że tamtej nocy spałeś „jak zabity”, wyłącznie po to, by dać mu do zrozumienia, że w razie czego też możesz puścić farbę, a do powiedzenia masz o wiele więcej niż on, i że jeśli przedstawi mi wersję obciążającą ciebie, Lanny Morris jest mistrzem zabójczej puenty. To nie żart. Poradziłeś mu, co ma mówić, jednocześnie przestrzegając go, by nie ważył się odejść od scenariusza. - Uśmiechnęłam się. - Przepraszam cię na chwilę.

Podczas kiedy on usiłował ogarnąć to wszystko myślą, ja wzięłam zakład i aktówkę i poszłam do łazienki sąsiadującej z jego sypialnią.

Zdawałam sobie sprawę, że powiedziałam za dużo, ale zrobiłam to celowo. Teraz czekało mnie sporo pracy i musiałam szybko się z tym uwinąć, zanim Lanny wyciągnie wnioski z tego, co ode mnie usłyszał, i zrozumie, co wiem.

W tej chwili z jego punktu widzenia byłam najgroźniejszą osobą na świecie.

Po paru minutach zapukał lekko do drzwi. Kazałam mu wejść.

Jego oczom ukazała się młoda, dwudziestokilkuletnia kobieta, obdarzona ciałem, którym ze smakiem uraczyło się wielu mężczyzn (i jedna dziewczyna), naga i wyciągnięta w kuszącej pozie w pustej wannie. Odwrócona do niego twarzą, opierałam swój ciężar na lewym pośladku i wyprostowanej lewej nodze. W łazience było chłodno, czułam na sobie zimny dotyk porcelany; to, wraz z ogarniającym mnie przerażeniem, sprawiło, że dostawałam gęsiej skórki, a sutki wyprężyły mi się na baczność. Oczy Vince'a wędrowały po mnie, poczynając od paznokci u nóg, na których miałam koralowe tipsy. Przesuwając wzrok wyżej, być może zwrócił uwagę, że na tę okazję wydepilowałam się, i to wszędzie. Skoro człowiek i tak ma być nagi, co mu szkodzi pójść na całość. Kiedy jego spojrzenie spoczęło na paznokciach u rąk - także koralowych - nie mógł nie zauważyć, że moja lewa dłoń jest przykuta kajdankami do stylowego kranu w wannie hotelu Plaza. Choć miałam nadzieję, że wyglądam apetycznie (w końcu też jestem próżna), chodziło mi nie tyle o to, by go uwieść, ile żeby się przed nim obronić.

- Co to ma znaczyć? - powiedział cicho i przesunął wzrokiem po łazience. - Gdzie twoje ubranie?

- Za oknem, skarbie, właśnie spada w głąb kanału wentylacyjnego, chyba że sprzyjający wiatr poniosł je do zoo w Central Parku. - Wskazałam opuszczoną klapę sedesu. - Siadaj. Teraz utniemy sobie pogawędkę.

Usiadł powoli.

- Pojechało cię - mruknął.

- Zobaczymy. Pomyślałam, że przez następną godzinę porozmawiamy sobie, tak od serca. Powiesz mi wszystko, co wiesz, ja odpłacę ci się tym samym. Zrzucimy ten ciężar z piersi. - Spojrzałam z uśmiechem w dół na swój nieskazitelnie czysty, nawilżony biust. - Przyszło mi do głowy, że w trakcie naszej rozmowy mógłbyś odczuć pokusę, by mnie zabić. Pomyślałam więc: „Co mogłoby go odwieść od tego zamiaru?”. I nagle jakiś głos podszeptał mi: „Lanny nie może sobie chyba pozwolić na to, by w jego apartamencie hotelowym znów znaleziono w łazience ciało nagiej, młodej kobiety”. Jeśli coś takiego zdarza się raz, można to uznać za nieszczęśliwy przypadek, ale dwa razy?

Spojrzałam na niego, by sprawdzić, czy rozumie, do czego zmierzam. Rozumiał.

- Co miałbyś powiedzieć? Że uległam przykreemu wypadkowi, w którego wyniku wszystkie moje ciuchy wyleciały za okno, a ja zostałam przykuta

kajdankami do kranu? Gdybyś wylała kran, nie mógłbyś ukryć szkód. Oczywiście, mógłbyś wyrzucić mnie przez okno, ale wtedy...

Odwrociłam się do niego plecami. Z natury próżna, miałam cichą nadzieję, że najpierw spojrzy na mój tyłek, który zyskał aprobatę windziarza Mickeya, wiedziałam jednak, że tym, co najbardziej przyciągnie jego uwagę, będzie zdobiący moje łopatki napis HOTEL PLAZA - P. 2302, wykonany czerwonym markerem. Poprosiłam Beejay, żeby mi to napisała, zanim wyszła rano do szkoły; wcześniej musiałam ją zapewnić, że za kilka miesięcy napis zniknie bez śladu.

- Twoja przyjaciółka Dorothy Vanderheuvel i Reuben widzieli mnie u ciebie, i to całkowicie ubraną. Dlatego gdybyś miał jakieś genialne pomysły, Lanny, wybij je sobie z głowy. Kiedy skończymy, powiem ci, gdzie schowałam klucz, ty mnie rozkujesz, pożyczysz mi ten ładny prochowiec Burberry, który wisi w drugiej sypialni, a ja zadzwonię do Beejay z automatu na dole. Jeśli nie skontaktuję się z nią w ciągu godziny, przyśle tutaj policję. Może znajdziesz jakiś sposób, by pokrzyżować mi szyki, ale nie sądzę, żebyś w godzinę zdążył ściągnąć tu skrzynię z homarami w lodzie.

Lanny spojrzał na mnie z kompletnym zaskoczeniem, niechętnym uznaniem i zimną pogardą.

- Zawsze jesteś taka cwana - powiedział.

Nie zdradziłam mu, że byłam na tyle cwana, że mam przy sobie drugi klucz do kajdanek. Wolalabym nie mówić, gdzie go schowałam; dość powiedzieć, że taki klucz jest względnie mały, a tampony Playtex mogą przydać się nawet wtedy, kiedy nie jest to ta właściwa pora miesiąca.

Pokręciłam głową.

- Ja? Cwana? Wręcz przeciwnie, Lanny - zaoponowałam. - To stosowne zakończenie całej historii, nie uważasz? Maureen i ja, dwie dwudziestokilkuletnie kobiety, żadne sukcesu w branży prasowej, niezbyt rygorystycznie przestrzegające zasad moralnych, idące po trupach do celu, romansujące z tobą i Vince'em... W dodatku teraz, jak świętej pamięci Mo Cohan O'Flaherty, leżę naga w wannie, w twoim apartamencie w hotelu nad rzeką Hudson. Jedyna różnica jest taka, że jeszcze żyję.

Lanny przeszył mnie złowrogim wzrokiem, a ja rozejrzałam się po łazience. Wskazałam ruchem głowy telefon na ścianie przy sedesie, grzeszny luksus, oferowany przez hotel Plaza.

- Zadzwoń na numer domowy Bonnie Trout - poleciłam. Zrobił zdumioną minę.

- Mówiłaś, że jest w szkole.

Skinęłam głową.

- Bo to prawda, ale w jej mieszkaniu czeka na ciebie niespodzianka. No, dawaj. Dzwon.

Lanny wyjął z kieszeni złożoną kartkę. Była to lista najpotrzebniejszych numerów, w większości wypisanych na maszynie, ale i z kilkoma zanotowanymi długopisem na dole. Przesunął po niej wzrokiem i zaczął wciskać guziki telefonu.

Przyglądałam mu się, kiedy to robił, ze świadomością, że za kilka sekund będę wiedziała praktycznie wszystko... oprócz tego, czy, jak to mówią, prawda czasem bywa bolesna. Na tyle, by zabić.

Czy to dlatego, że zmęczenie spowodowane zmianą stref czasowych dopadło mnie z opóźnieniem (jak często bywa), czy też przez to, że byłam wyczerpana fizycznie i psychicznie po wydarzeniach ostatnich kilku godzin, tego samego popołudnia - czemu być może nie należy się dziwić - zmorzył mnie sen. Ciemność otuliła mnie ciasno bandażem zapomnienia, przynoszącym ulgę, ale i krępującym ruchy.

Usłyszałam melodyjny dzwonek telefonu. Coś kazało mi go odebrać, mówiło, że to może być ważne. Ja jednak nie zamierzałam odwalać roboty za firmę telefoniczną. Czemu miałabym dzień w dzień odbierać za nich telefony? I to za takie pieniądze?

Oczywiście, kiedy tylko się obudziłam, telefon zamilkł. Na szczęście za chwilę zadzwonił znowu. Usiadłam prosto i nie wiadomo który już raz rąbnęłam się czołem w sufit nad łóżkiem Beejay. Nie zważając na ból, zeskoczyłam na podłogę i dałam nura pod łóżko w poszukiwaniu telefonu. Odebrałam. Dzwonił Reuben. Cudownie. Właśnie zastanawiałam się, jak zwabić go gdzieś, gdzie mogłabym z nim porozmawiać na osobności. Nie miałam ochoty sterczeć w dziale owocowo-warzywnym mojego Safewaya w Los Angeles dotąd, aż znów przyjdzie po pomidory, a tu proszę, sam do mnie zatelefonował z automatu dosłownie po drugiej stronie ulicy, zaledwie kilka godzin po tym, jak widziałam się z nim w hotelu Plaza. Powiedziała mu, że jestem sama, i poprosiłam, żeby zadzwonił domofonem do mieszkania 4D, to go wpuszczę.

Prawie cały dzień padało, co jakiś czas rozlegały się grzmoty. Słońce zniknęło bez śladu. Żłocista twarz Reubena rozświetliła ciemne mieszkanie Beejay; nawet przy najlepszej pogodzie, żeby nacieszyć się tu słońcem, trzeba było odwiedzić sąsiada. Przeprosiłam za nieporządek, poradziłam mu, by schylił głowę, i usiedliśmy pod łóżkiem Beejay. Spojrzał nieufnie

na wypełniony kulkami fotel i wybrał małe, proste krzesło.

- Bardzo się cieszę, że wpadłeś - powiedziałam, kiedy podziękował za zaproponowaną przeze mnie wodę z kranu, tak brązową, że mogła uchodzić za schłodzoną herbatę. - Pan Morris myśli, że gdzie jesteś?

Wyjaśnił, że pan Morris poszedł na spotkanie do CBS w sprawie sitcomu, w którym miałby grać główną rolę, owdowiałego weterynarza, opiekującego się krnąbrną córką i dwiema małpami, traktowanymi jak członkowie rodziny. Negocjacje miały potrwać do późnego popołudnia. Lanny kazał Reubenowi do trzeciej „pilnować interesu” (wyobraziłam sobie Reubena sprzedającego świeże warzywa w pokoju hotelowym w Płazie), a na resztę dnia dał mu wolne. Reuben wsiadł do metra na skrzyżowaniu Lexington i Pięćdziesiątej Dziewiątej i po kilku minutach był już na Trzydziestej Trzeciej.

Spytał, jak przebiegło moje spotkanie z panem Morrisem. Odparłam, że dowiedziałam się paru nowych rzeczy. Reuben wciąż nazywał mnie „panną Trout” i znałam, że najwyższy czas wyprowadzić go z błędu. Powiedział, że jest trochę zbity z tropu, bo kiedy rozmawialiśmy ostatnio, szukałam pracy w Los Angeles, a teraz wychodziło na to, że znalazłam coś w Nowym Jorku. Najbardziej poruszyła go wiadomość, że moje wydawnictwo skłonne jest zapłacić każdą sumę za dokończenie książki o Vinsie. Znał mnie jako nauczycielkę, a teraz okazało się, że pracuję nad czymś, co miało związek ze świętej pamięci panem Collinsem...?

Powiedziałam, że muszę mu coś wyznać, i wyraziłam nadzieję, że kiedy pozna prawdę, nadal będzie chciał ze mną rozmawiać. Potem, tak szczerze, jak to możliwe, i nie próbując się usprawiedliwiać, przedstawiłam mu skróconą historię moich zawodowych kontaktów z jego chlebodawcą i Vince'em Collinsem. (Oczywiście o kontaktach osobistych nie musiałam mówić, bo przecież pakując bagaże Lanny'ego, widział, jak leżałam nieprzytomna w jego łóżku). Na dowód, że nie jestem byle stukniętą fanką, która ludzi się, że kiedyś zostanie pisarką, pokazałam mu stały element wyposażenia mojej torebki: napisany na papierze N&N list od Connie Wechsler, potwierdzający, że pracuję nad książką o Lannym i Vinsie, i plastikową koszulkę z artykułami i wywiadami. Jedyne, co w mojej relacji brzmiało podejrzanie, nawet dla mnie, było to, że tylko czysty przypadek zdecydował o tym, iż w samolocie do Nowego Jorku dostałam miejsce w pobliżu Lanny'ego (i obok Reubena). Zwróciłam mu uwagę, że lecąc tego dnia American Airlines, pierwszą klasą, szansa spotkania Vince'a była nie jak jeden do miliona, lecz jeden do czterech (linie American obsługiwały



cztery bezpośrednie połączenia z JFK). Reuben jednak najwyraźniej wziął moje wyjaśnienia za dobrą monetę.

Kiedy skończyłam mówić, a on, początkowo z pewnym wahaniem, zaczął zwracać się do mnie per „panno O'Connor”, jego twarz nabrała lekko zboląłego wyrazu. Odetchnął głęboko i powiedział, że też musi coś wyznaczyć, coś o wiele poważniejszego niż ja. Spytał, czy to prawda, że wszystko, co powie mi „nieoficjalnie”, będę musiała zachować w tajemnicy. Czasami zdarzało mi się udzielać wymijających odpowiedzi na to pytanie, uznałam jednak, że Reuben zasługuje na szczerość. Powiedziałam, że jeśli chodzi o dyskrecję, każdy dziennikarz jest sobie policjantem, ale sądy różnie interpretują kwestię, w jakim stopniu dyskrecja ta jest chroniona przez konstytucję. Poradziłam mu, że jeśli chce zachować coś w tajemnicy, to najlepiej, by nie mówił o tym nikomu, włącznie ze mną, bo tylko wtedy może być pewien, że nie wyjdzie to na jaw. Dodałam uczciwie, że z własnego doświadczenia wiem, że zdradzając komuś swój sekret, trzeba liczyć się z tym, iż wkrótce pozna go więcej osób.

Po krótkim wahaniu uznał, że instynkt podpowiada mu, iż może mi zaufać, a on zawsze stara się kierować instynktem, bo ten prawie nigdy go nie zawiodł, w odróżnieniu od zdrowego rozsądku. Potem powiedział coś, co byłoby wstrząsem dla każdego, kto znał tego godnego zaufania, łagodnego człowieka.

- Zasięgnąłem porady u dwóch różnych adwokatów, których wybrałem osobiście, nie podając im przy tym żadnych szczegółów, które mogłyby komukolwiek zaszkodzić. Obaj stwierdzili, że zgodnie z prawem moje czyny uległy przedawnieniu.

Choć po lekturze listu Lanny'ego do Johna Hillmana nie mogłam mieć wątpliwości, że Reuben wiedział o zabójstwie Maureen O'Flaherty, słowa te zabrzmiały niesamowicie w jego ustach. Jestem pewna, że musiał czuć się bardzo dziwnie, wyjawiając tajemnicę, której z Lannym i Vince'em strzegli przez tyle lat. Uznałam, że nie powinnam rozjaśniać światła w mrocznym mieszkaniu Beejay, bo o pewnych rzeczach można mówić tylko zniżonym głosem, w ciemności.

Jego opowieść prawie całkowicie pokrywała się z relacją Lanny'ego. Mniej więcej dziesięć po ósmej zadzwoniła telefonistka, bo Lanny nie odbierał telefonu, choć zamówił budzenie na ósmą. Reuben miał klucz do jego pokoju, ale drzwi były zamknięte na łańcuch. Zaczął dobijać się do nich i wołać Lanny'ego, który po długiej chwili wstał z łóżka i otworzył. Kiedy Reuben zbierał w łazience rzeczy, które mogły przydać się jego chlebodawcy w telewizji, usłyszał, jak ten krzyczy coś do niego z salonu. Pobiegnął tam i zobaczył, jak Lanny próbuje ocucić Maureen; on sam na podstawie swoich doświadczeń z wojny na Filipinach od razu zorientował

się, że dziewczyna nie żyje. Pomyślał, że ktoś włamał się do apartamentu, ale drzwi salonu były zamknięte na łańcuch. Wpadł do pokoju Vince'a, który, na pierwszy rzut oka martwy jak Maureen, leżał nieprzytomny na podłodze. Na jego drzwiach też był łańcuch.

Zawołał Lanny'ego i razem ocucili Vince'a. Lanny twierdził, że kiedy widział Maureen po raz ostatni, położyła się spać w salonie, a Vince patrzył na nią z drzwi swojego pokoju. Sam Vince nie pamiętał nic z tego, co zdarzyło się potem. Wpadł w histerię i Reuben z Lannym musieli wymierzyć mu kilka policzków, żeby się uspokoił. Położyli go do łóżka, a potem, jako ci trzeźwo myślący, uznali, że muszą wynieść ciało Maureen z apartamentu i wywieźć je jak najdalej od hotelu. Gdyby na któregokolwiek z komików padło podejrzenie o zabójstwo, także dla Reubena byłby to koniec świata.

- Jeśli ktoś nie może być bogaty, panno O'Connor, najlepsze, co może zrobić, to iść na służbę do bogatego człowieka. Je się właściwie te same posiłki, często popijane tym samym winem, dostaje się mniejsze pokoje w najbardziej ekskluzywnych hotelach, jeździ się limuzyną... Moje życie na Filipinach... Wy, Amerykanie, nie jesteście w stanie sobie wyobrazić, czym jest prawdziwa nędza. Nie mógłbym do tego wrócić, nigdy. Wolałbym umrzeć. Jednak moja jedyna umiejętność, mój fach to... - Reuben wyciągnął ręce. - ...to, co robię. Pomógłbym panu Morrisowi i panu Collinsowi z samego poczucia lojalności. Miałem jednak drugi motyw, jeszcze dla mnie istotniejszy: moje własne bezpieczeństwo i wygodę.

Przerwałam Reubenowi i spytałam, czy przyszło im do głowy, by poprosić o pomoc Sally'ego Santoro, właściciela Versailles. Pokręcił głową z poważną miną.

- Prosić o tego rodzaju pomoc człowieka pokroju pana Santoro... to tak, jakby wódz afrykańskiego plemienia pojechał przed wojną secesyjną na Południe i zaproponował swoje usługi właścicielowi plantacji. - Prawie że roześmiał się na tę myśl. - Tak czy inaczej, panowie Morris i Collins starali się, by to pan Santoro miał wobec nich dług wdzięczności, nie odwrotnie. Dlatego właśnie skłonni byli polecić do New Jersey bezpośrednio po finale akcji charytatywnej, bez chwili odpoczynku. Coś, co wydawało się ciężarem, teraz stało się zesłaną przez niebiosa okazją do zapewnienia sobie alibi.

To Reuben wpadł na pomysł, by wykorzystać metalową skrzynię z homarami, krabami i lodem jako makabryczną trumnę dla Maureen. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, i tak miała pozostawać pod jego pieczęcią, kiedy będzie przewoził rzeczy Vince'a i Lanny'ego z Versailles do hotelu Casino del Mar. Wydawało się to niezwykle korzystnym zrządzeniem losu. W czasie wojny na Filipinach, gdy jako sanitariusz na co dzień miał do czynienia ze zbieranymi z pól bitwy trupami, przekonał się, że bardzo

wysoka bądź niska temperatura znacznie utrudnia precyzyjne określenie czasu zgonu - przynajmniej według standardów obowiązujących pod koniec lat pięćdziesiątych - co można było wykorzystać do zapewnienia Vince'owi i Lanny'emu alibi. Schowali ciało Maureen w pościeli (co nie było szczególnie trudne, zważywszy, że już się nie ruszała) i kazali dwóm bagażowym przynieść metalową skrzynię z chłodni, rzekomo po to, by pokazać ją znajomym. Jako że z Vince'a nie było wówczas żadnego pożytku, brudna robota, jaką było przeniesienie ciała Maureen do skrzyni, przypadła w udziale Reubenowi i Lanny'emu, który potem oświadczył, że nigdy już nie weźmie do ust homara ani kraba. Vince pognał do studia telewizyjnego, pragnąc uciec jak najdalej od apartamentu w Versailles i myśli o wydarzeniach, których nie pamiętał. Lanny z Reubenem zamknęli skrzynię. Wraz z resztą podarków od Sally'ego Santoro została przewieziona do New Jersey pod czujnym okiem Reubena.

Do pewnego momentu wszystko szło dobrze. Reuben dopilnował, by bagaże i skrzynie w komplecie trafiły do apartamentu w Casino del Mar. Wcześniej naradzili się we trójkę, co zrobić z ciałem, kiedy trafi do New Jersey. Dla chłopaków najważniejsze było to, by znaleziono je właśnie tam, nie w Versailles, gdzie mieszkali. Reuben liczył na to, że kiedy drewniane skrzynie zostaną opróżnione, przeniesie Maureen do jednej z nich i wywiezie ją z pomocą szwagra mieszkającego w Park Slope, ten bowiem miał pikapa, z którego korzystał w swojej firmie, zajmującej się pielęgnacją trawników. Jednak dyrektor hotelu, człowiek Sally'ego Santoro, usłużnie zaproponował, że każe zabrać homary i kraby na dół, do Niebieskiej Groty, gdzie będzie je można przechować w zbiornikach z wodą, zarezerwowanych wyłącznie dla Lanny'ego i Vince'a. Reuben miał zaledwie kilka minut na to, by przenieść Maureen i lód do łazienki. Potem na jego oczach skrzynia z resztką lodu i nienaruszonym zapasem owoców morza została zabrana z apartamentu. Reuben, który nie mógł dodzwonić się do szwagra (okazało się, że jego siostra właśnie zaczęła rodzić swoje trzecie dziecko), znalazłby się w niezręcznej sytuacji, gdyby został w pokoju sam z trupem, więc ostentacyjnie wyszedł razem z pracownikami obsługi, oddał klucze w recepcji i popędził do Park Slope, by odnaleźć szwagra i zaczekać, aż z chwilą przyjazdu Vince'a i Lanny'ego wybuchnie zamieszanie. Ponieważ przypuszczał, że policja uzna, iż Maureen zginęła na kilka godzin przed ich przybyciem, wiedział, że on sam pozostanie poza wszelkim podejrzeniem pod warunkiem, że nie będzie widziany w pobliżu hotelu, tylko w szpitalu w Brooklynie; tam zapewnił sobie równie dobre alibi, jak Collins i Morris.

Z pewnym zawstydzeniem powiedział mi, że skoro tylko pomógł zatuszować morderstwo (zgodnie z prawem, nie można go było uznać za współsprawcę, bo zbrodnię popełniono bez jego udziału), jego czyn już dawno uległ przedawnieniu.

- No tak, oczywiście - powiedziałam wreszcie w pogrążonym w mroku mieszkaniu 4D - to szokujące informacje, Reuben, i nie dziwię się, że nie paliłeś się do tego, by je ujawnić, więc powiedz, dlaczego właściwie mi to wszystko mówisz.

Zamiast odpowiedzi, nachylił się ku mnie (jakby bał się, że oprócz nas w tym ciasnym mieszkaniu ktoś jeszcze może go usłyszeć) i spytał, jak przebiegło moje spotkanie z Lannym.

Powiedziałam mu, najzupełniej szczerze i w najgłębszej tajemnicy, że moim zdaniem, pan Morris nie będzie w stanie go dłużej zatrudnić, i wyraziłam nadzieję, iż Reuben ma jakieś plany na taką okoliczność... dodałam, że podejrzewam, iż pan Morris tak naprawdę nie uczestniczy w żadnym spotkaniu w CBS, tylko się ukrywa... i że Reuben nie powinien się spodziewać, że zobaczy go w hotelu Plaza dziś czy w ogóle kiedykolwiek. Dawno nie byłam tak prawdomówna.

Skinął głową i wyznał, że w zasadzie nie jest zaskoczony. Powiedział, że odkąd pan Collins postanowił opowiedzieć mi o swoim życiu, pan Morris bardzo się niepokoił, że straszna prawda, o której rozmawialiśmy, w jakiejś części ujrzy światło dzienne - a wówczas w najlepszym razie ich kariery zostaną zniszczone, a w najgorszym obaj odpowiadzą za morderstwo. Reuben zaś bez wątplenia musiałby złożyć obciążające ich zeznania.

- Jak już pani mówiłem, pewne cechy charakteru mojego chlebodawcy budzą moje poważne obiekcje, panno Tr... - Ugryzł się w język. - Panno O'Connor. Czy to takie straszne, że martwię się nie tylko o pana Morrisa, ale i o siebie? Jeśli jego świat legnie w gruzach, to mój też.

Powiedziałam, że mieć takie obawy to rzecz ludzka. Wiedziałam, że to nie wszystko i że jest mu trudno o tym mówić.

- Słyszałem... - wykrztusił wreszcie - ...słyszałem, jak mówiła pani dziś w hotelu, że wydawnictwo chciałoby jakoś uzupełnić pani książkę. Że gotowe jest zapłacić dużo pieniędzy za coś, co mogłoby w tym pomóc.

Potwierdziłam, że dobrze słyszał.

- Panno O'Connor... mam taśmę z nagraniem tej nocy, kiedy Maureen O'Flaherty została zamordowana.

Znalazł ją w torbie Maureen, kiedy Vince i Lanny poszli na finał akcji charytatywnej. W środku był mały magnetofon szpulowy Grundig na baterie, z taśmami o dziewięciocentymetrowej średnicy. Ciasny futerał, w

którym był schowany, tłumił odgłos jego pracy, z wierzchu zaś w torbę wszyty był mały wielokierunkowy mikrofon. Przy najwolniejszym tempie obrotów (muzyki tak nie dało się nagrać, ale rozmowę jak najbardziej) taśma starczała na godzinę rozmów.

Pośpiesznie wyjaśniłam Reubenowi, dlaczego taki magnetofon był częścią standardowego ekwipunku Maureen w jej drugim wcieleniu, kiedy występowała jako Moe Cohn. Teraz zrozumiał.

- Nie sądzę, by dowiedziała się pani z tego nagrania, czy zabił ją pan Morris, czy pan Collins, ale ja go słuchałem i zapewniam, że dowie się pani, dlaczego to się stało. Myślę, że będzie pani zdumiona. A książka, w której znajdzie się zapis tych rozmów, odniesie wielki sukces. - Wyjaśnił, że przegrał taśmę na bardziej nowoczesny nośnik, czyli kasetę, ale udostępnił wydawnictwu Newman i Newberry obie wersje. Oczywiście trzeba się będzie dogadać. Nie mógł po prostu „wypożyczyć” taśmy. Jego złocista twarz oblała się pomarańczowym rumieńcem ze wstydu, że musi rozmawiać o takich rzeczach.

- Reuben - powiedziałam łagodnym tonem - kiedy spotkaliśmy się w Safewayu w Los Angeles, bardzo podniosłeś mnie na duchu, byłeś niezwykle troskliwy. Wiem, że wrodzona delikatność nie pozwala ci wyrazić tego wprost, więc pozwól, że pomogę ci i zrobię to za ciebie. Myślisz sobie, zresztą całkiem logicznie: „A jeśli wezmą taśmę i nie oddadzą mi jej, albo przekażą ją policji czy stacji radiowej, która ujawni nagranie opinii publicznej?”. Wtedy coś, co trzymałeś przez prawie piętnaście lat, że tak powiem, na czarną godzinę, stanie się bezwartościowe. Uprzedzam, że na razie nie mogę mówić w imieniu Neumana i Newberry'ego, ale co powiedziałbyś na taki układ: ustalamy cenę, połowę dostajesz z góry i wtedy dajesz nam taśmę. Przesłuchujemy ją w twojej obecności. Jeśli będzie na niej to, co mówisz, na miejscu dostaniesz drugą połowę.

Pokiwał głową z wdzięcznością. Mogłabym przysiąc, że w jego migdałowych oczach niemal zaszklily się łzy ulgi. Spytałam, czy myślał już o orientacyjnej cenie. Nieśmiało nachylił się ku mnie.

- Myśli pani... - powiedział - ...myśli pani, że milion dolarów to za dużo?

Zakaszłałam cicho.

- Oj, Reuben, Reuben... Vince miał dostać milion za całe swoje życie. Ty chcesz tyle samo za jego godzinny fragment?

Reuben powoli pokiwał głową.

- Ale za to najciekawszy. Przesłuchałem tę taśmę. Zapewniam panią, to bomba.

- Cóż, mogę spróbować, to znaczy, zobaczymy, czy... - wyrzuciłam z siebie. - Wydawnictwo musi wnieść do majątku Vince'a zaliczkę za materiał, który udało nam się nagrać, więc może gdybyś trochę spuścił z ceny...

Hej, czekaj chwilę. Możliwe, że jest sposób... Reuben, masz tu tę taśmę, zgadza się?

- Tak.

- A ja mam zapis nagrania. Tak mi się przynajmniej wydaje - powiedziała i mocno podekscytowana poszła po aktówkę. Wyjęłam z niej trzeci rozdział Lanny'ego i pokazałam go Reubenowi. - Wyłożyłeś karty na stół, teraz pora na mnie. Twój szef zostawił to pod drzwiami mojego mieszkania. To jego wersja wydarzeń tamtej nocy. Byłoby super, gdybyśmy mogli ją porównać z nagraniem z twojej taśmy. Rozumiesz, Reuben? Sama ta relacja nie jest nic warta. Mogłam przecież napisać ją ja, nie mogę się na nią powoływać... ale gdyby zgadzała się z tym, co masz na taśmie, ogromnie zyskałaby na wiarygodności. Przez to twoja taśma staje się jeszcze bardziej cenna. I wiesz co? Gdyby nagranie różniło się znacząco od relacji Lanny'ego, wskazywałoby to, że Lanny próbuje zrzucić winę na Vince'a. Tak czy inaczej, niewykluczone, że twoja taśma naprawdę może być warta milion dolarów.

Rozpromienił się.

- To już drugie niesamowite wydarzenie, w którym dziś oboje uczestniczymy! - dodałam.

- A jakie było pierwsze? - spytał z ożywieniem.

- Zadzwoiłeś do mnie! - powiedziałam radośnie.

Zawtórował mi śmiechem.

- No i?

Spojrzałam na niego.

- Zadzwoiłeś do mnie. To właśnie jest niesamowite. Zadzwoiłeś z automatu, żeby powiedzieć, że jesteś po drugiej stronie ulicy.

Miał lekko zdziwioną minę.

- I...?

- Widzisz, Lanny mówił, że kiedy tamtego ranka zostawiliście mnie na lodzie, ile razy dzwonił do mnie na ten numer, telefon był wyłączony. Oczywiście wiedziałam, że tak nie było, więc po prostu uznałam, że kłamie.

Reuben skinął głową.

- Mówiłem pani, jaki on jest.

- Tak, to prawda. Tyle że dzisiaj, kiedy byłam w hotelu, kazałam mu zadzwonić do Bonnie Trout. Wziął jej numer z listy, którą od czasu do czasu uzupełniasz, wybrał go i wiesz co? Telefon rzeczywiście był wyłączony. Dlatego że to był zły numer.

Reuben wzruszył ramionami.

- Musiałem źle go zapisać. Bardzo mi przykro.

Sięgnęłam do aktówki.

- Tyle że Lanny mówił, że dawałeś mu ten sam numer kilka razy, zapisany na różnych kartkach. Twierdził, że jesteś jego chodzącym notatnikiem.

Jeśli nie ma listy przy sobie, piszesz mu na kartce numer, którego potrzebuje. Dziś znalazł w portfelu tę. - Pokazałam mu złożoną żółtą kartkę z numerem wypisanym jego charakterem pisma. - Ta sama historia. Niewłaściwy numer.

- Najwyraźniej źle go zapisałem za pierwszym razem. Wstyd mi - powiedział Reuben.

Pokręciłam głową.

- No tak, ale dziś dzwoniłeś do mnie i wybrałeś właściwy numer.

Reuben uśmiechnął się.

- Niestety, przez przeoczenie nie wziąłem ze sobą spisu telefonów. Musiałem zadzwonić do informacji.

- Ten numer jest zastrzeżony, Reuben. Wiedziałbyś to, gdybyś zadał sobie trud, by go sprawdzić, jak Lanny, kiedy nie mógł się do mnie dozwonić. Zamierzał zlecić swoim ludziom z ochrony, by spróbowali ustalić, co jest nie tak z telefonem Bonnie, ale zanim zdążył się tym zająć, dowiedział się, że okłamałam go co do tego, kim jestem, i postanowił więcej się do mnie nie odzywać.

Na twarzy Reubena malował się niezmacony spokój.

- Znałeś właściwy numer - powiedziałam. - A Lanny'emu podawałeś niewłaściwy. Nie dzwoniłeś do informacji, by upewnić się, czy dobrze go zapisałeś, bo chciałeś, by był niewłaściwy. Numer, który podałeś Lanny'emu, był prawie identyczny z numerem Bonnie; zamieniłeś tylko miejscami piątą i szóstą cyfrę. Dlatego Lanny nie zauważył różnicy, kiedy dostał billingi Bonnie Trout. Interesowało go tylko to, do kogo dzwoniła, a kiedy dowiedział się, że osobą tą byłam ja, postanowił nigdy więcej nie kontaktować się ani z nią, ani ze mną. Musiałeś sprawdzać różne numery, podobne do właściwego, dotąd, aż znalazłeś prawie taki sam, ale nieużywany. Czemu niby miałbyś zrobić coś takiego?

Spojrzał na mnie z życzliwością.

- Być może, panno O'Connor, chciałem oszczędzić pani bólu i odrzucenia. Mówiłem pani, jaki on jest wobec kobiet.

- Wiem i całym sercem zgadzałam się z tobą, że jest kompletnym bydlakiem. Dlaczego jednak tak o nim myślałam? Po pierwsze, przez to, jak opisał swoje zachowanie przed piętnastoma laty w tym tak zwanym pamiętniku, moim zdaniem, obliczonym na uzyskanie określonego efektu; po drugie, dlatego, że nie zadzwonił do mnie po wyjeździe z Plazy, za co trudno go winić, skoro ciągle podawałeś mu ten nieszczęsny nieużywany numer; po trzecie, bo nie zostawił choćby krótkiej wiadomości. Oczywiście, on sam twierdził, że przy łóżku albo w salonie położył kartkę z wyjaśnieniem, dlaczego musi wyjechać i gdzie mogą go zastać. Cóż, kiedy ja, wyczerpana, pozostawałam w stanie błogiej nieświadomości, dzięki czemu

mogłeś bez trudu zabrać liścik i schować do kieszeni, czy to wtedy, kiedy pakowałeś bagaże, czy też przed wyjściem, kiedy sprawdzałeś, czy niczego nie zostawiliście.

Reuben pokręcił głową.

- Ale dlaczego miałbym to zrobić?

Uśmiechnęłam się.

- A po co miałbyś dawać mu zły numer, żeby nie mógł się ze mną skontaktować? Bo bałeś się, co mi zrobi? A może raczej niepokoiło cię to, co ja mogę zrobić jemu... i tobie?

Reuben wstał z oburzeniem. Zaczął chodzić w kółko, zataczając tak duży krąg, na jaki pozwalały wymiary pokoju.

- Och, na litość boską. Wszyscy dziennikarze tak mają? Traktują zwyyczajne pomyłki czy przejawy troski jako elementy spisku? Czemu miałbym bać się nauczycielki nazwiskiem Trout?

- Jej się nie bałeś. Bałeś się wścibskiej dziennikarki nazwiskiem O'Connor.

Znieruchomiał.

- Teraz to już głupstwa pani wygaduje. Przecież pani prawdziwe nazwisko i zawód poznałem dopiero przed chwilą, kiedy przeczytałem list napisany przez pani wydawcę.

Wstałam i poszłam do kuchni po szklanę brązowej wody, choć nie miałam na nią ochoty. Zależało mi na tym, by Reuben znalazł się po tej stronie pokoju, na którą padało światło jarzeniówek. Włączyłam je.

- Nie, zdobyłeś te informacje już w Plazie. To wtedy przeczytałeś list od mojego wydawcy. Jak zawsze, miałam go w torebce. Kiedy się obudziłam, torebka i ubrania leżały w równym rzędku na toalecie, przygotowane na moje wyjście, jak wystawione przed drzwi pensjonatu bagaże wyeksmitowanego lokatora. Tamtego ranka przeszukałeś moje rzeczy i stwierdziłeś, że to właśnie ja jestem tą O'Connor, która zamierza napisać książkę o czymś, co, twoim zdaniem, nie powinno nikogo interesować, czyli o historii Collinsa i Morrisa. A ponieważ Connie Wechsler wysłała list na mój adres domowy, dowiedziałeś się, gdzie mieszkam. I dlatego tamtego dnia mogłeś pójść za mną do Safewaya.

Nalałam wody do szklanki, a Reuben wybuchnął śmiechem.

- Nie, to pani mnie śledziła!

Spojrzałam na niego spod uniesionych brwi i upiłam łyk wody. Tego mi było trzeba.

- Cóż za dziwna reakcja, Reuben. Powinieneś być powiedzieć: „Spotkaaliśmy się przypadkiem!” albo „To był czysty zbieg okoliczności!”. Ale nie: „Nie, to pani mnie śledziła!”.

Po raz pierwszy okazał wzbierającą w nim złość. Kiedy wszedł do kuchni, jego złocista twarz przybierała zmatowiały miedziany odcień.



- Jasne, pozwoliłeś, żebym myślała, że to ja cię wypatrzyłam - ciągnęłam. - Bóg raczy wiedzieć, jak długo chodziłeś za mną po sklepie, dając mi szansę, bym zobaczyła w sobie superdetektywa. Ależ musiałeś mieć ubaw! Uznałeś, że możesz mnie zauważyć dopiero przy kasie, kiedy zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by rzucić ci się w oczy, i nie mogłeś dłużej przekonująco udawać, że mnie nie widzisz. Gdybym jednak sama cię nie zobaczyła, na pewno wpadłbyś na mój wózek na parkingu. W każdym razie kiedy już cię „wypatrzyłam”, wyraziłeś swoje głębokie zawstydzenie tym, jak Lanny obszedł się ze mną i w ogóle z wszystkimi kobietami... a ja kupiłam ten portret bezdusznego Lanny'ego, choć na poparcie miałam wyłącznie twoje słowa i fakt, że zostałam przez niego porzucona, jak wiemy, za twoją sprawą. Przez ciebie odechciało mi się szukać z nim kontaktu czy wyznać mu, kim jestem, bo po tym, co powiedziałeś, poczułam się, jakbym znaczyła dla niego mniej niż zero. Tobie zaś chodziło tylko o to, by dalej prowadzić swoją misterną grę z Lannym i Vince'em. Gdybym za bardzo się do nich zbliżyła, mogliby zacząć porozumiewać się ze sobą za moim pośrednictwem; z Vince'em rozmawiałabym w dzień, z Lannym w nocy. Musiałeś mnie powstrzymać i unieszkodliwić.

Reuben zaczął od niechcenia otwierać i zamykać szufladę, zaglądając z zaciekawieniem do środka. Jeśli chciał zaatakować mnie opakowaniami folii spożywczej, byłam gotowa.

- A na czym polegała ta moja misterna gra? - spytał, powoli cedząc słowa.

Pomyślałam, że dobrze by było narobić trochę hałasu, więc wzięłam małą patelnię i położyłam ją na jednym z elektrycznych palników na kuchence Beejay, połączonej z lodówką. Odkręciłam palnik na maksa.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zrobię sobie kolację? - spytałam. - Cały dzień nic nie jadłam.

Wyjęłam z szuflady rękawice kuchenne. Było tam też pół butelki oleju Wesson, używanego przez Beejay - co sama przyznała - do rozmaitych celów (z których smażenie było najbardziej trywialnym). Wlałam całą zawartość na patelnię.

Odwróciłam się twarzą do Reubena.

- Aha, pytałeś, na czym polegała twoja misterna gra. - Patelnia szybko zaczęła trzaskać wśród cichego szumu dochodzącego do stanu wrzenia. - Szantażowałaś Vince'a Collinsa, wykorzystując tę samą taśmę, którą teraz proponujesz wydawnictwu Neuman i Newberry. Żądałeś miliona dolarów. Dlatego Vince potrzebował pieniędzy.

Otworzyłam lodówkę pod kuchenką i zaczęłam myszkować po półkach w poszukiwaniu czegoś, co dałoby się usmażyć. Trzy hiszpańskie oliwki w

słoiku zalewy solnej odpadały. Podobnie jak pół pojemnika kwaśniejszego jogurtu śliwkowego Light n' Lively.

- Ciekawe, czego Vince bał się bardziej: ujawnienia swojej orientacji seksualnej czy faktu, że taśma dowiedzie, iż miał motyw, by zamordować Maureen. A może tajemnicy, którą nosiłeś w głowie ty, Reuben: że obaj chłopcy mieli i sposobność, i motyw, by ją zabić. I że Vince nie pamiętał, co robił tamtej nocy. Tyle tych sekretów. Miałeś na Vince'a tak dużo najprzeróżniejszych haków, że aż dziw, że nie próbował cię zabić.

- Pan Collins był tragiczną postacią - powiedział Reuben, usiłując nie odejść za daleko od swojego publicznego wizerunku i ode mnie. Jakby nigdy nic, wysunął następną szufladę. Była w niej srebrna zastawa, plastikowe noże i łyżki, kilka krótkich świeczek na tort urodzinowy i kilka długich na wypadek przerwy w dostawie prądu.

Znalazłam w małej zamrażarce opakowanie mrożonego groszku i wyprostowałam się.

- Tak, dręczył siebie bardziej niż kogokolwiek innego. Raz próbował mnie zabić i nie dał rady. To ty mu zasugerowałaś, żeby zmusił mnie szantażem do napisania ugrzecznionej biografii?

Reuben patrzył na mnie spode łba.

- To byłoby dla ciebie najlepsze rozwiązanie. On dostałby pieniądze, ale książka byłaby nieszkodliwa i jedynym zagrożeniem wciąż pozostawałbyś ty ze swoją taśmą. Wiesz, Reuben, najdziwniejsze jest to, że byłam jednocześnie twoim największym sprzymierzeńcem i najgorszym wrogiem. Dzięki mojej książce Vince zarobiłby milion, który potem przekazałby tobie, ale gdybym zawarła w niej prawdę o Maureen O'Flaherty, nie mógłbyś go dłużej trzymać w szachu. Kiedy powiedziałam mu, że się nie ugnę, że albo opowie mi o tamtej nocy, albo pożegna się z milionem... a wówczas musiałby oddać ci praktycznie wszystko, co miał... uznał, że jest tylko jedno wyjście z tego koszmaru.

Wrzuciłam mrożony groszek do oleju i oszronione zielone kulki zakwierały głośno, wypuszczając wielki kłęb niebieskiej pary.

- Oczywiście po śmierci Vince'a wszystkie twoje plany wzięły w łeb. Musiałeś podjąć trudną decyzję. Nie byłeś gotów porzucić posady służącego Lanny'ego Morrisa. Chroniła cię ona od nędzy, jakiej już zaznałeś w życiu, i pozwalała korzystać z luksusów, jakie zapewniało towarzystwo Lanny'ego. Nigdy otwarcie nie szantażowałaś go z powodu tego, że zatuszował zbrodnię Vince'a. Pozwoliłeś, żeby sam cię wynagradzał za milczenie. Podróże pierwszą klasą, noce w tych samych hotelach, kolacje w tych samych restauracjach. Dopóki pozostawałaś lojalny, trudno było powiedzieć, komu żyło się lepiej: panu czy służce. Gdybyś zaszantażował Lanny'ego, to wszystko mogłoby się skończyć, a poza tym taśma nie obciążała

go tak bardzo, jak Vince'a.

- I wtedy zorientowałeś się, że jest jeszcze ktoś, kto może wybulić taką samą kasę, jaką usiłowałeś wyciągnąć od nieszczęsnego Vince'a Collinsa. Ja, przy wsparciu wydawnictwa Neuman i Newberry. Ależ głupio zrobiłeś, sięgając do kieszeni Vince'a; trzeba było od razu wziąć pieniądze z N&N. Kiedy usłyszałeś, jak powiedziałam to, co chciałam, żebyś usłyszał: że moje wydawnictwo zapłaci każdą cenę za coś takiego, jak twoja taśma... o rany, te słowa musiały być muzyką dla twoich uszu.

Skwierczenie przysmażonego groszku stało się cichsze, jednostajne. Trzymałam dłoń blisko rączki patelni, na wszelki wypadek.

- Czyli przychodząc dziś rano do Plazy, wiedziałaś, że mam tę taśmę?

- Pomyślałam, że Maureen nie mówiłaby z takim przekonaniem, że może ujawnić coś, co wydarzyło się za zamkniętymi drzwiami, gdyby nie miała jakichś dowodów. Inaczej Vince i Lanny wyparliby się wszystkiego, i tyle. Fakt, że wzięła do pokoju Lanny'ego torbę, która nie była jej potrzebna, sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, co w niej miała. A jej słowa, że cały świat usłyszy aksamitny głos Vince'a Collinsa śpiewającego łabędzią pieśń... to brzmiało tak, jakby miała na myśli nagranie. Jednak połączyłam ze sobą te fakty dopiero wtedy, kiedy dokonałam najbardziej fascynującego odkrycia ze wszystkich.

Podeszłam do łóżka i wzięłam trzeci rozdział Lanny'ego.

- Jeśli wyczuwasz w moim głosie wrogość, proszę, nie zniechęcaj się - powiedziałam uspokajająco. - Nadal uważam, że twoja taśma będzie bardzo cenna, i nigdy nie pozwalałam, by osobiste uczucia przeszkodziły mi w napisaniu dobrego tekstu.

Moje słowa wyraźnie dodały mu otuchy. Podeszedł do mnie.

- Myślę, że błędnie zinterpretowałaś wiele spraw, ale miejmy nadzieję, że z czasem zobaczysz, że myliłaś się co do mnie.

Zaczęłam kartkować manuskrypt.

- Wiesz, trochę uprzykrzyłeś mi życie, choć na pewno nie tak, jak Vince'owi, który przez ciebie się zabił... o, ale tu oto mam dowód na to, że jesteś prawdziwym człowiekiem renesansu. - Reuben bynajmniej nie obraził się za to określenie. - Jeśli założymy, że Lanny w swojej relacji wiernie przedstawił fakty, a twoja reakcja po jej przejrzaniu zdaje się to potwierdzać... - Spojrzałam na niego pytająco.

- Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza - przytaknął.

- Dobrze więc - powiedziałam. - Lanny właśnie wyszedł spod prysznicza i chce dać Maureen swój szlafrok, na wypadek gdyby była zbyt skrzepowana. Pisz: *Wyglądam jednak z sypialni i co widzę? Maureen, naga jak ja Pan Bóg stworzył, siedzi okrakiem na Vinsie. Skrzepowana, też coś!*

*Rzuciłem szlafrok na łóżko i w te pędy pobiegłem do salonu, nie chciałem bowiem, żeby skończyli beze mnie. A to się chłopak podpalił.*

Reuben zachichotał.

- A tu, po zakończonej kompletną klapą zabawie w salonie, Lanny idzie do sypialni, by dać Maureen trzysta dolarów. Czytamy: *Skierowałem się do drzwi mojej sypialni i powiedziałem: „Tutaj”. Wzięła torbę, z którą przyszyła, i ruszyła za mną. Zamknąłem za nami drzwi. Mój portfel leżał na komodzie, na jedwabnym szlafroku. Wyjąłem trzy studolarowe banknoty i rzuciłem je na łóżko, tak jak to się robi, płacąc dziwkom.*

*Spojrzała na mnie z rozbawieniem. Nagle poczułem się tak skrepowany moją nagością przy niej, jak przy Vinsie. Rozłożyłem szlafrok i owinąłem się nim pośpiesznie, nerwowo zawiązując pasek. Maureen śmiała się ze mnie.*

Przestałam czytać i spojrzałam na Reubena.

- I co? - powiedział ze wzruszeniem ramion.

Zamknęłam aktówkę.

- Fajny ten szlafrok Lanny'ego. Rzucony na łóżko, po piętnastu minutach jest już złożony na komodzie, w dodatku leży na nim portfel.

Reuben podszedł do mnie.

- Pokaż - powiedział ze zdziwioną miną.

Wyjęłam dokument i dałam mu.

Poszedł do kuchni, by obejrzyć go w świetle. Nagle wprawnie wyjął zapalniczkę, tak jak zawsze, kiedy podawał ogień Lanny'emu, przypalił róg manuskryptu i wrzucił go do smażonego groszku. Olej zapalił się i w górę strzelił biały płomień, który pochłonął kartki w jednym gwałtownym rozbrłyku. W życiu nie czułam takiego smrodu. Dobrze, że właściciel mieszkania nie zamontował wykrywacza dymu, bo alarm postawiłby na nogi cały budynek. Po chwili z dokumentu został tylko tłusty proch i Reuben zaniósł patelnię do zlewu, nie zważając na to, że rączka musiała być gorąca. Odkręcił kran i z patelni buchnął dym.

Westchnęłam.

- Szkoda, że spaliłeś ten list, Reuben, po tym jak zadałeś sobie tyle trudu, by wykraść go swojemu chlebobdawcy i skopiować. Otwierające go dramatyczne słowa „tylko po śmierci Lanny'ego Morrisa” musiały zachęcić cię do lektury. A potem, co bardzo miłe z twojej strony, podrzuciłeś mi jego kopię, bo uznałeś, że będę bardziej skora kupić od ciebie taśmę, jeśli się dowiem, jaką tajemnicę zawiera. Założę się, że list Lanny'ego o wiele klarowniej przedstawia wydarzenia tamtej nocy niż stłumione odgłosy rozmów, nagrane na starym magnetofonie. Jednak kiedy połączyć jedno z

drugim, powstaje wybuchowy materiał. Tak w ogóle to właśnie spaliłeś kserokopię kserokopii.

Reuben ruszył ku mnie, nie pozostawiając wątpliwości co do swoich zamiarów. Cofnęłam się trochę, aż stuknęłam głową w krawędź łóżka. Odwróciłam się w przeciwną stronę. Chciałam, by stanął przodem do mnie.

- Myśle, że to było tak, Reuben. Gdyby coś się nie zgadzało, popraw mnie. Jak co wieczór, wszedłeś do pokoju Lanny'ego by posprzątać i posłać łóżko. Właśnie umieściłeś na komodzie złożony szlafrok i portfel, kiedy doszły ci intrygujące odgłosy z salonu, więc zacząłeś nadśłuchiwać przez otwarte drzwi. Kiedy usłyszałeś, że Lanny idzie do sypialni, schowałeś się w łazience. Tam podsłuchiwałeś rozmowę, z której wynikało, że duet Collins i Morris jest w poważnym niebezpieczeństwie. Siedziałeś w łazience dotąd, aż Lanny zamknął drzwi na łańcuch i zwałił się na łóżko.

- Sen błyskawicznie zmorzył Vince'a, Maureen i Lanny'ego. Ty, siedząc w ciemnej łazience, uświadomiłeś sobie, że to może być koniec wszystkiego. Albo Maureen puści chłopaków z torbami, albo ujawni wszystko, co wie, skazując ich na zapomnienie. Tak czy inaczej, Collins i Morris stali na skraju przepaści... a gdyby w nią wpadli, co stałoby się z tobą?

Patrzyłam na niego zimno. Teraz już żadne z nas nie miało złudzeń.

- Jedyne, co mnie ciekawi, to to, czy znalazłeś magnetofon, zanim zabiłeś Maureen, czy już potem. Może dasz mi jakąś wskazówkę?

Reuben tylko wpatrywał się we mnie, jakbym była pulchnym księdzem, odmawiającym modlitwę dziękczynną przed ucztą u kanibali.

- Nie? Cóż, ja domyślałam się, że znalazłeś ją przedtem. Ci troje byli tak naćpani, że mógłbyś urządzić w salonie koncert Led Zeppelin, a i tak by się nie obudzili. Wiemy już, że masz nawyk przeszukiwania damskich torebek. Początkowo mogło ci chodzić tylko o to, by uciszając Maureen, ocalić swój świat. Kiedy jednak zobaczyłeś ten magnetofon i odgadłeś, co zostało na nim nagrane, nie było wyjścia, świętej pamięci panna O'Flaherty musiała powiększyć grono aniołów, niech spoczywa w pokoju. Zrozumiałeś bowiem, że choć w tej chwili to ona była w uprzywilejowanej pozycji, po jej śmierci taśma znalazłaby się w twoich rękach i to ty byłbyś panem sytuacji.

- Trudno wyobrazić sobie łatwiejsze morderstwo. Ofiara była zagrożona w głębokim śnie, wręcz nieprzytomna. Na kanapie leżała poduszka. Przycisnąłeś ją do jej twarzy. Możliwe, że nawet nie stawiała oporu. I tyle. Tak umarły jej ambicje, a wraz z nimi Moe Cohn, marzenia Kefa Ludlowa, serce jej matki i rozum jej ojca. I, koniec końców, Vince. Nieźle, Reuben. Sześć osób za jednym zamachem.

Reuben sprężył się. To miało się stać lada chwila.

- Jak mogłem ją zabić, skoro wszystkie drzwi wejściowe były zamknięte na łańcuch? Wyjaśnij to.

Przysunęłam się do niego. Gdyby spróbował mnie zabić, potwierdziłoby to wszystkie moje przypuszczenia. Lepsze byłoby podpisane zeznanie, ale to nie wchodziło w grę.

- Kiedy już zabiłeś Maureen, wyszedłeś z apartamentu przez pokój Vince'a, bo wiedziałeś, że drzwi pokoju Lanny'ego i salonu były zamknięte na łańcuch. Wychodząc, byłeś pewien, że chłopcy nie obudzą się o ósmej rano bez twojej pomocy. Rano zacząłeś dobijać się do drzwi Lanny'ego i powiedziałeś mu, że nie możesz otworzyć ich swoim zapasowym kluczem, bo są od wewnątrz zamknięte na łańcuch. Kiedy wszedłeś za nim do salonu, dopilnowałeś, by zobaczył, że także tam na drzwiach jest łańcuch. Podczas gdy Lanny próbował ocucić Maureen, ty pobiegłeś do pokoju Vince'a. Vince leżał nieprzytomny na podłodze, w tym samym miejscu, w którym przestąpiłeś przez niego, kiedy wychodziłeś kilka godzin wcześniej. Pierwsze, co zrobiłeś po wejściu do pokoju, to założyłeś łańcuch na drzwi. Potem zawołałeś Lanny'ego, który zastał cię pochylonego nad Vince'em i zobaczył, że drzwi tej sypialni też są zamknięte na łańcuch.

- Miałeś więc taśmę, którą zabrałeś zaraz po zamordowaniu Maureen, dowód pod wieloma względami obciążający Lanny'ego i Vince'a. A potem wiodłeś całkiem przyjemny żywot służącego Lanny'ego, czas biegł, aż wreszcie okres przedawnienia minął i mogłeś przestać obawiać się kary za „lojalną” pomoc, jakiej udzieliłeś Lanny'emu i Vince'owi w zatuszowaniu zabójstwa, które sam popełniłeś. Pozwoliłeś, by przez te wszystkie lata żyli w przeświadczeniu, że jeden z nich zabił Maureen O'Flaherty. Vince Collins leżał w wannie i umierał samotnie, powoli popadając w otępienie, do ostatniej chwili przekonany, że jest mordercą. Obyś zgnił w piekle, Reuben.

- Idź tam pierwsza i rozpakuj mi bagaże, co? - zaproponował. Wyprostował się i, o rany, bałam się jak diabli. - Czyli okłamałaś mnie, mówiąc, że pan Morris nie będzie w stanie dłużej mnie zatrudnić, że już nigdy nie zobaczę go w Plazie i że się ukrywa. Powiedziałaś to, żeby osłabić moją czujność?

- Nie, mówiłam prawdę. Lanny nie będzie w stanie dłużej cię zatrudnić, bo nie pozostaniesz na wolności. Nie zobaczysz go więcej w Plazie, bo już tam nie wrócisz. A co do jego kryjówki...

Reuben złapał mnie obiema rękami za gardło. Choć nie miał siły Vince'a, był bardziej zdeterminowany.

Jednak głupio zrobił, że mi przerwał, bo właśnie miałam mu powiedzieć, że kryjówka Lanny'ego Morrisa znajduje się pod prześcieradłem, w łóżku Beejay, w którym uprawialiśmy niesamowity seks dwadzieścia minut przedtem, nim dzwonek telefonu obudził nas ze słodkiego snu.

Choć Lanny'emu od długiego leżenia w bezruchu zdrętwiały nogi (robiłam tyle hałasu w kuchni po to, by mógł je trochę rozruszać i żeby odwrócić uwagę Reubena od łóżka), udało mu się mocno (choć nie tak mocno, jak chciał) uderzyć Reubena stalowym prętem, który Beejay trzymała w łóżku.

Kiedy Reuben się ocknął, leżał w wannie, skępowany mokrym sznurem z porwanych prześcieradeł. Trudno mu było oddychać przez knebel, ale wiecie co, nie przejmowaliśmy się tym zbytnio. Żadne z nas nie miało w stu procentach czystego sumienia - ani Reuben, ani Lanny, ani ja. Różnica polegała na tym, że ja i Lanny nikogo nie zabiliśmy. Naszym zdaniem, była ona wystarczająca.

Z bełkotu Reubena zrozumieliśmy, że chce rozmawiać z adwokatem.

- Po co ci adwokat, Reuben? - spytał Lanny. - Przecież nie zostaniesz aresztowany, osądzony, skazany ani warunkowo zwolniony. Wyluzuj. Nie potrzebujesz adwokata.

Lanny wykręcił numer, na który nie dzwonił od wielu lat, poprzedzony kierunkowym do New Jersey. Musiał on być znany nielicznym wybrańcom, odebrał bowiem Sally Santoro we własnej osobie. Lanny mówił tak, by Reuben słyszał go wyraźnie.

- Sally. Tu Lanny Morris. Możemy rozmawiać na tej linii? Dobra, słuchaj, przez ostatnie piętnaście lat chyba ani razu nie prosiłem cię o przysługę. Dziękuję. Widzisz, tak się składa, że jestem na Manhattanie i mam pewną przesyłkę, chciałbym, żeby bracia Lattanzi pomogli mi coś z nią zrobić. Co? Dobre pytanie, chwileczkę. - Lanny zwrócił się do Reubena. - Hej, Reuben, Sally pyta, czy chodzi o tymczasowe przechowanie, czy o ostateczną wywózkę. Jak myślisz?

Reuben, który słyszał o ciężarówkach z Casino del Mar, zabierających pasażerów na wycieczki na wyspisko braci Lattanzi - czasem w jedną, czasem w dwie strony - wydał z siebie przeraźliwe „Nieeeeeeeee!”, stłumione przez knebel.

Lanny spojrzał na mnie pytająco. Nie wiedziałam, co mu powiedzieć. W tej chwili zależało mi tylko na tym, by umyć zlew przed powrotem Beejay. Było mi strasznie głupio z powodu bałaganu.

Lanny wrócił do rozmowy z Sallym.

- Cóż, mówię ci, Sally, to trudna decyzja. Widzisz, ta przesyłka szantażowała mojego partnera, Vince'a. Tak, twojego Vince'a, naszego Vince'a. Dlatego właśnie postanowił z sobą skończyć. - Lanny na chwilę zamilkł. Musiał wyteńczyć słuch, by słyszeć Sally'ego, a z uzyskanych przeze mnie informacji wynikało, że im ciszej Sally mówił, tym bardziej był niebezpieczny. - No cóż, rozumiem - rzekł Lanny, odpowiadając niemal niesłyszalnemu głosowi. - Ta sama przesyłka zabiła też Maureen O'Flaherty w

Versailles. Tak, tę rudą. Przesyłka zawiozła jej ciało do New Jersey, co, jak zapewne pamiętasz, zepsuło uroczyste otwarcie twojego nowego hotelu, do którego tak pracowicie się przygotowywaliśmy, ty, ja i Vince. Tak, Sally, przepraszam, mógłbyś mówić głośniej?

Spojrzał na mnie.

- Chyba są jakieś zakłócenia na linii, ledwo go słyszę. - Lanny przyłożył słuchawkę do ucha i powiedział, patrząc na Reubena: - Słucham? No nie wiem, Sally, zawsze byłeś sprawiedliwy. Może pozostawię decyzję tobie?



Siedziałyśmy spokojnie w ogródku, prowadząc niespieszną wymianę myśli, przerywaną długimi chwilami milczenia. Drzewo brzoskwini straciło już owoce, ale liście wciąż były zielone. Niepotrzebne nikomu brzoskwini leżały wygodnie pod drzewem, które dało im życie. Był schyłek lata.

- Pani córka dowiedziała się o Vinsie Collinsie czegoś, co chciał zachować w tajemnicy - powiedziałam. - Dlatego zginęła. Nie wiem, czy to choćby w najmniejszym stopniu panią pocieszy, ale prawdopodobnie nie cierpiała.

- Nie dane jej było dłużej żyć. To nie cierpienie? - powiedziała jej matka cicho.

Skinęłam głową, przyznając się do błędu.

- Chcę, by człowiek, który ją zabił, poniósł karę - dodała i do jej głosu wkradła się twarda nuta.

Przez chwilę milczałam, by swoim wahaniem uwiarygodnić to, co zamierzałam jej wmówić.

- Vince Collins nie żyje. Popęłił samobójstwo. - Spojrzałam na nią znacząco i pozwoliłam, by źle mnie zrozumiała.

- Czyli to on ją zabił?

Znów chwilę zwlekałam z odpowiedzią.

- Nie mógł bez końca uciekać od tego, co stało się tamtej nocy. Jeśli chce pani, by ktoś odpokutował za śmierć pani córki, może będzie pani lżej, jeśli zobaczy pani w Collinsie człowieka, który przez ostatnie piętnaście lat siedział w celi śmierci, starając się za wszelką cenę odwlec egzekucję, bez nadziei na nowy proces czy uchylenie wyroku. Odroczenie wykonania kary to nie to samo co wolność.

Wstała z krzesła.

- Chcę, żeby świat poznał prawdę o nim. Chcę, by wszyscy wiedzieli, co zrobił.

Nie wstałam z nią, tylko wzięłam ją za rękę i delikatnie pociągnęłam z powrotem na krzesło.

- Ufa mi pani? - spytałam.

Pokiwała głową. O naiwności.

- W całej tej sprawie jest ktoś, kto w najmniejszym stopniu nie był zamieszany w wydarzenia tamtej nocy, ale komu ogromnie utrudniłabym życie, ujawniając prawdę w tej chwili. Ta osoba dość już wycierpiała, chcę ją ustrzec od bólu. Obiecuję, że spiszę wszystko, czego się dowiedziałam, ale na tym będę musiała poprzestać do czasu, aż ta osoba umrze i prawda nie będzie jej już mogła zranić.

Nie dała najmniejszego znaku mogącego wskazywać, że wie, iż mówię o niej.

- Ale obiecuje pani, że pewnego dnia powie ludziom, co się stało?

Wstałam.

- Tak. Kiedy tylko będę wiedziała, że nie wyrządę tym krzywdy żadnej niewinnej osobie. Chyba pani jako ktoś, kto tyle przecierpiał w życiu, potrafi to zrozumieć? W dzieciństwie mówiono mi: „Prawda nie boli”. Teraz wiem, że tak nie jest, pani O'Flaherty. Myślę, że prawda najczęściej bywa bolesna.

Otworzyła mi boczną furtkę i spojrzała na mnie niemal ze strachem.

- Czy moja córka... czy zrobiła coś... to znaczy, chodzi mi o to, czy zasłużyła na los, jaki ją spotkał?

Spojrzałam na nią z - miałam nadzieję - krzepiącą pewnością grzesznego kaznodziei.

- Pani córka była wspaniałą, porządną dziewczyną, która nie wyrządziła nikomu żadnej, choćby najmniejszej krzywdy. Ma pani na to moje słowo, pani O'Flaherty, a mojemu słowu można wierzyć. Dzisiejszej nocy może pani spać spokojnie ze świadomością, że Maureen przebywa wśród aniołów.

Jej twarz ożywiła się po raz pierwszy od chwili, kiedy ją poznałam.

- Przysięga pani?

Położyłam dłonie na jej ramionach.

- Na grób matki. - Nie sądziłam, by mama miała coś przeciwko temu. Jeszcze żyła.

Matka Maureen Beatrice Margaret Cohan O'Flaherty przeszukała wzrokiem każdy zakątek mojej twarzy. Pozwoliłam jej na to, jak dziewczica z epoki wiktoriańskiej, cierpliwie znosząca pieszczoty męża w noc poślubną. Byłam pewna, że kobieta nie znajdzie śladu kłamstwa. Nauczyłam się olewać prawdę.

Cofnęła się usatysfakcjonowana. Wyglądała na niemal pogodzoną z losem.

- Była pani dla mnie dobra. I dla mojej córki. Dziękuję.

- Proszę bardzo, pani O'Flaherty.

Zostawiwszy jej dom za plecami, wyszłam na chodnik i skręciłam, jakbym chciała skierować się do miasta.

Dwie przecznice dalej odbiłam w prawo. Lanny czekał w samochodzie sportowym, tam gdzie go zostawiłam.

Ostatnio odkryłam w sobie nowe pokłady głębi i współczucia i stałam się nieporównanie lepszym człowiekiem; to właśnie dzięki temu potrafiłam wybaczyć Lanny'emu jego liczne grzechy, zwłaszcza kiedy zadałam sobie trud, by je przeanalizować i przekonać się, jak niewiele z nich tak naprawdę popełnił.

Na pewno nie mogłam go winić za naszą pierwszą noc w Plaza. Tamtego rozkosznego wieczoru byłam jego pełnoprawną współniczką: zwartą, gotową i sprawną na ciele i umyśle (no, przynajmniej na ciele) aż po świt. Od chwili, kiedy poznałam Lanny'ego w samolocie, byłam pod jego urokiem, a w końcu się w nim zadurzyłam i w Auto-pubie z własnej nieprzymuszonej woli wypijałam tyle, by łatwiej mi było z radością otworzyć drzwi pokusie.

Prawdę mówiąc, zniecierliłam Lanny'ego dopiero po tym, jak następnego ranka obszedł się ze mną w niewybaczalny sposób - zostawił mnie na lodzie w apartamencie hotelowym i nawet nie zadzwonił. To wszystko jednak stało się za sprawą Reubena. Lanny zostawił mi list z wyjaśnieniem i numerami telefonu, pod którymi mogłam go złapać; spodziewał się, że zadzwonię, a kiedy tego nie zrobiłam, próbował się ze mną skontaktować, przyszedł nawet do mojego rzekomego mieszkania z kwiatami dla rzekomej mnie.

Wtedy to przekonał się, że bezczelnie okłamałam go co do tego, kim jestem, i z jakich powodów się nim zainteresowałam. Nic dziwnego, że było to dla niego wstrząsającym i upokarzającym doświadczeniem. Sami powiedzcie, kto tu postąpił jak bydlę?

A co z bezdusznym podejściem Lanny'ego do kobiet, spytacie? Cała moja wiedza o jego okropnym zachowaniu pochodziła, po pierwsze, z jego tak zwanych pamiętników (które mocno podkoloryzował, by wyrzeć stosowne wrażenie na przebojowej dziennikarce nazwiskiem O'Connor i odstraszyć ją, a zarazem ochronić Vince'a Collinsa); po drugie, z kłamliwych ust Reubena, który na parkingu przed supermarketem wmówił mi, opierając się wyłącznie na pogłoskach, że byłam tylko jedną z wielu odrzuconych i odrzuconych młodych dam; po trzecie, z mojej własnej chorej, pełnej uprzedzeń wyobraźni, do której jad wsączył Reuben.

Kiedy jednak przebiegłam myślą wszystkie chwile, spędzone z Lannym, nasze prawdziwe rozmowy i łączącą nas prawdziwą intymność, musiałam przyznać, że w najgorszym razie był szarmanckim mężczyzną, próbującym oczarować mnie najlepiej, jak potrafił, a w najlepszym... kimś, z kim świetnie się czułam i z kim znów chciałam być.

Posunął się za daleko tylko raz, na rozdaniu Scottych; wtedy potraktował mnie zimno, szorstko, brutalnie, nim wydał mnie na łaskę Vince'a Collinsa. Mogłam mu jednak wybaczyć tamten atak furii, bo on obiecał, że daruje mi moje potworne kłamstwa, które go wywołały. Poprosiłam, by uwierzył, że nie wzięły się one z wyrachowania, tylko z paniki. Jeśli w to uwierzy, czy ja nie mogłam uwierzyć, że tym, co najbardziej podobało mi się w Lannym, zanim postanowiłam go nienawidzić, było jego prawdziwe oblicze?

Udało mu się (cóż, dla niego chyba nie było rzeczy niemożliwych) wynająć corvette rocznik 1960, nie modnego nowego stingraya, lecz oryginalny czerwony kabriolet jak z serialu „Route 66”, ze śnieżnobiałym opuszczanym dachem, bocznymi zagłębieniami z trzema otworami do zasysania powietrza, czarną tapicerką, czadowym radiem lampowym, dwoma gaźnikami czteroprzelotowymi i dwustu siedemdziesięcioma najsympatyczniejszymi kordami mechanicznymi, jakie moglibyście poznać.

Lanny drzemał z małym kapeluszem słomkowym opuszczonym na twarz. W radiu grała muzyka klasyczna, coś podniosłego, pompacyjnego - pomyślałam, że to pewnie Richard Strauss. Strauss obraziłby się, gdyby usłyszał swój wielki finał, odtwarzany tak cicho. Wsiadłam do samochodu.

Lanny usiadł prosto i zapalił silnik.

- Jak poszło? - spytał.

- Dobrze, zważywszy na okoliczności - powiedziałam. Wcisnęłam guzik w radiu i pionowa wskazówka tunera przesunęła się na stację nadającą stare przeboje. Trafiliśmy na „Come Softly To Me” Fleetwood Mac. Piosenka była spokojna, kojąca, jak spokojny i kojący był komfort, który dawaliśmy sobie nawzajem.

- Dokąd teraz? - spytał.

- Wszystko jedno.

Zastanowił się.

- Do Karoliny Południowej?

- A co tam jest? - spytałam.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Pokiwałam głową.

- Doskonały pomysł. - Zanim słowa wyszły z moich ust, samochód, pyrkocząc, odbił od krawężnika.

A teraz co się tyczy pozostałych. Nie wiem, czy mi wybaczycie, czy mnie potępicie, kiedy powiem wam, że dzięki mojej i Lanny'ego interwencji Reuben nie zginął z ręki Sally'ego Santoro. Owszem, został zabrany na wysypisko, gdzie musiał doświadczyć tego, co jego ofiary, na wiele sposobów, które przemówiłyby nawet do najbardziej nieczułego człowieka, życia jednak nie stracił. Obecnie mieszka (i nie ma innego wyboru) w swojej ojczyźnie. Na Filipiny składa się siedem tysięcy wysp i

Reuben jest na jednej z nich, daleko od Manili i swojej rodziny. Z tego, co słyszeliśmy ostatnio, szoruje samochody w myjni pod Calbayog. Oby to było prawdą.

W New Rochelle powstał Klub Lanny'ego dla młodych ofiar poparzeń. Nie żeby miało to być jakkolwiek formą rekompensaty, ale nosi nazwę Skrzydła Maureen Cohan O'Flaherty Szpitala Miejskiego w San Rochelle. Matka Maureen dożyła jego otwarcia i pracowała w nim sześć dni w tygodniu.

Być może największą tragedią jest to, że te same tajemnice, które pchnęły Vince'a Collinsa do samobójstwa, w dzisiejszych, nieco bardziej oświeconych czasach byłyby kompletnie nieistotne. Wątek biseksualizmu Vince'a mógłby nawet z powodzeniem zostać wykorzystany jako materiał do skeczy. To tak, jakby Lanny zabił się tylko dlatego, że ktoś dowiedział się, że jest Żydem. Choć w niczym nie pomoże to naszemu udręczonemu przyjacielowi, nagrania Vince'a wydawane na płytach kompaktowych cieszą się niesłabnącą popularnością, a jego głos słyszany jest na ścieżkach dźwiękowych wielu filmów, których akcja rozgrywa się w tamtych czasach. Filmy Collinsa i Morrisa zostały na nowo odkryte przez szczęśliwe pokolenie, które może zobaczyć je świeżym okiem, po raz pierwszy.

Drugą osobą obok Maureen O'Flaherty, której chciałam oszczędzić bólu, z jakim mogło wiązać się ujawnienie prawdy, był Lanny, i to także z jego powodu chciałam wstrzymać się z opowiedzeniem tej historii. Nie żeby zrobił cokolwiek, czego powinien się wypierać bądź wstydzić. Chodziło po prostu o to, że miał przed sobą jeszcze wiele lat rozśmieszania i zabawiania ludzi, nawet kiedy już jego filmy - zarówno te, które reżyserował, jak i te, w których występował - stały się nieco poważniejsze. Nie chciałam, by co bardziej niesmaczne elementy tej historii w jakikolwiek sposób zniekształciły odbiór stale powiększającego się dorobku Lanny'ego.

Nie moglibyśmy przetrwać bez ludzi, którzy potrafią nas bawić i od czasu do czasu odwracać naszą uwagę od prawdy. Lanny zachował tę umiejętność praktycznie aż do dnia swojej śmierci, która okryła żałobą cały świat, a dla mnie była druzgocącym ciosem.

Ponieważ najlepszym antidotum na smutek jest praca - jak brzmiała rada udzielona przez Sherlocka Holmesa doktorowi Watsonowi - szybko zajęłam się porządkowaniem materiałów, którymi się tu z wami podzieliłam.

Oczywiście, najłatwiej było mi uzyskać dostęp do rozdziałów z rozmyślnie nieukończonych autobiografii Lanny'ego, ponieważ sąd ustanowił mnie wyłącznym administratorem jego majątku, jak to na ogół bywa w przypadku wdów po pisarzach.

## Podziękowania

Ta książka istnieje dzięki mojemu redaktorowi, Jonowi Karpowi. To on swoją inspiracją, zachętami, pochlebstwami, wskazówkami, poprawkami i „namiarami” tchnął w te stronicie życie. Jest też wspaniałym pisarzem i wybitnym librecistą, przez co jego komplementy były dla mnie szczególnie istotne. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na tak szlachetnego sprzymierzeńca, ale ma on pełne prawa do mojej dozgonnej (i nie dającej się wyrazić słowami) wdzięczności.

Jestem głęboko wdzięczny wszystkim z Random House za cierpliwość, wsparcie i entuzjazm, okazywane przez nich w czasie, kiedy przeciągałem pisanie tej książki przez wiele lat. Benjamin Dreyer, mój redaktor techniczny, i Bonnie Thompson, adiustatorka, zrobili, co do nich należało, nie tylko sprytnie, ale i inteligentnie. Jestem im niezmiernie wdzięczny i żywię ogromny podziw dla ich fachowości.

Praca z Heather Schroder, moją agentką z ICM, zawsze była wyjątkową przyjemnością. Możliwość obcowania z jej przenikliwym umysłem i żywą osobowością była nie tylko bezcenna, ale i prawdziwie rozkoszna.

Zanim coś, co tworzę, zobaczy światło dzienne, jest to najpierw przesłuchiwane, sprawdzane, odsyłane do naprawy, opatrywane przestrogi, sugestiami i radami, przykrawane i poprawiane przez moją najbliższą współpracownicę i drogą przyjaciółkę, Teresę Esposito, której niezapomniany głos słychać, tak dosłownie, jak i w przenośni, w praktycznie wszystkich moich dziełach z ostatnich dziesięciu lat. Bez niej nie napisałbym tej książki ani też niczego innego. Dziękuję ci, teraz i zawsze, Tereso.

Charles Dickens powiedział kiedyś, że w głębi serca nosi ukochane dziecko, które nazywa się David Copperfield. Ja też mam ukochane dzieci. Ich imiona to Wendy, Nick i Tim.

Moja córka, Wendy, zmarła w wieku dziesięciu lat. Jej brak doskwiera mi każdego dnia, a nieprzemijająca pamięć o jej dobroci i wdzięku jest dla mnie tym, co sumienie. Była piękną, błyskotliwą, delikatną dziewczynką, która miała prawo przeżyć życie.

Mój młodszy syn, Tim, z dosłownie niewypowiedzianą odwagą niesie brzemień autyzmu. Z utęsknieniem wyczekuję dnia, kiedy będzie mógł odezwać się do mnie i powiedzieć, co czuł przez te wszystkie lata. Do tego czasu cieszę się jego uśmiechami, tulę go i czekam.

Mój starszy syn, Nick, urodził się po śmierci Wendy, i ni mniej, ni więcej, tylko ocalił swoim rodzicom życie. Dał nam nadzieję. Jest bardzo zabawny, wrażliwym i silnym młodym mężczyzną. Poczytuję sobie za wielkie szczęście i powód do dumy, że jestem jego ojcem. Każda stronica tej książki to godzina, której nie mogłem z nim spędzić, za co chciałbym tylko prosić go o wyrozumiałość i wybaczenie.

Książka ta poświęcona jest tym dzieciom, które tak kocham, szczególnie zaś kobiecie, która jest ich matką i moją żoną, a którą kochałem i kochać będę zawsze.